

Komkawy

GUSTAW GEFFROY

WIEZIEN
~~KOMUNISTA~~

ŻYWOT I DZIEŁA AUGUSTA BLANQUIEGO *46526*

TLUMACZYŁ

F. MIRANDOLA



31-12-266

NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO
WE LWOWIE

I.

Zaraz w dniu śmierci Jana Dominika Blanquiego, w roku 1832, kiedy to ów był członek Konwentu, późniejszy podprefekt cesarstwa, zakończył dni swoje w opustoszałym, lichym mieszkaniu przy ulicy Harlay, można było przystąpić do spisania inwentarza poglądów zmarłego i dokumentów jego działalności publicznej. Ktoś, ktoby się był wziął do owej czynności, byłby może odczuł, że wśród przeróżnych faktów życiowych, poprzez dzieła zawarte w papierach poźółkłych przewija się nic dziedziczności zwita z dwu tajemnych pasem, że dwa czynniki określiły, ukształtowały życie starca leżącego oto w trumnie. W roku śmierci, dwaj synowie Blanquiego doszli już do lat męskich i zaznaczyli swoją działalność. Otóż badacz ów, gdyby był obdarzony spojrzeniem, sięgającym poza ciasne szranki dnia dzisiejszego, badacz-wizjoner zadrżałby, stanąwszy wobec narzucającego się z siłą oczywistości dziwnego związku pomiędzy owymi stojącymi u progu życia młodymi ludźmi, a nieboszczykiem. Dusza dziecka jest spadkobierczynią duszy ojca, potomkowie dziedziczą losy przodków. Przepuszczenie to nabierze jasnych, określonych konturów prawdy, gdy spojrzymy na obu synów Blanquiego. Obaj natychmiast biorą instynktownie w posiadanie swe części zagadkowego dziedzictwa. Starszy Adolf obejmuje poważne, pracowite rozprawy naukowe, dotyczące kwestyj

monetarnych, miar i wag, referaty komisyjne i studia ekonomiczne, będzie rozwijał zawarte w nich myśli opracowywał je na nowo. Młodszemu Augustowi dostaje się praca ogłoszona pod tytułem: „*Dzieje dziesięciu miesięcy konania*“, historia przeżyć ojcowskich w r. 1793, które wypełnią czterdzieści lat życia syna, takie dziwnie te same, tak bezpośrednio przyjęte. Losy wypisane głoskami płomiennymi, nic nie może ich zatrzeć, zamglić, droga rozdwaja się, synowie poniosą każdy część przeznaczeń ojca. Jedną ścieżką pójdzie człowiek normalny, drugą buntownik.

II.

Przechodząc rok po roku długie, siedmdziesiąt lat trwające życie Blanquiego, w którym odzwierciedla się schyłek starego czasokresu i narodziny ery nowej, dostrzegane związki i wpływy określają nam się konturami jasnymi. Przedewszystkiem zwróćmy uwagę na to, że urodził się w Drap, pod Nizzą, 24 kwietnia 1757, czasu wybuchu wojny sukcesyjnej austriackiej, gdy Francji zagraża Piemont. Miecz tętni o miecz, a równocześnie ścierają się, łączą i krzyżują światopoglądy. Ale ziemia, światło i charakter obu ras nie doznają żadnej zmiany. To są rzeczy trwałe. Kędyś, wśród owych rzeczy trwałych, opornych, w ziemi, w piersiach ludzkich, w materji samej skryta tai, się siła niespożyta i zjawia natychmiast po przemarszach wojsk, gdy jeno ucichną tententy koni, bezpośrednio po klęskach i zwycięstwach, ledwo opadną dymy z ponad murów miast bombardowanych i zniszczonych, nim jeszcze zaschnie atrament na aktach preliminaryów pokojowych.

Dominik Blanqui, syn garbarza, pobierał nauki w Nizy, był wykształcony i w roku 1792 został powołany na wybitne stanowisko. Od trzech już lat szlachta prowanccka emigruje do Nizy, tak podobnej do ich ojczyzny, ogrzewanej tem samym ciepłem, południowem słońcem. Ale nie przybywają tutaj napawać się cudami natury, oddychać rozkosznem powietrzem. Nie wiele ich to wszystko obchodzi, nie patrzą na kwiaty. Gotują się do walki, liczą swe siły, ogarnęła ich żądza bronienia do upadłego swych praw. A lud? Ludowi zjawia się widmo rewolucyi, idące z siłą nieprzemogoną naprzód, widmo bojowniczkii sprawiedliwości z mieczem w rękę i wagą, z piersią zakutą w stal. Serca ludności włoskiej przepelnia ideał jedności latyńskiej, który się zjawil na nowo. Włoch, palcami, w których czuje jeszcze ucisk wiązki rzymskich lasek liktorskich, dotyka wybitej na monetach surowej twarzy republiki zdobnej w wieniec obywatelski i wspomina owe stare pieniądze, które nierzadko z ziemi wydobywa lśniący lemiesz pługa prującego na wiosnę łany.

Był to czas gorący, czas, w którym pożądanie szybko, niepostrzeżenie przemieniało się w czyn, czas, w którym myśl współzawodniczyła w szybkości z dziełem rąk, zjawiającem się niby cudem, natychmiast. Tęsknoty, pragnienia przybierają w jednej chwili formę buntu, ruchawki, wojska sabaudzkie ustępują i niedługo potem zjawiają się w Nizy żołnierze w białych kamaszach i kapeluszach wołyżerów. Dowodzący generał zowie się Anzelm, szefem jego sztabu jest Masena, a kapitanem artyleryi Bonaparte.

Przez ciąg całego niemal roku trwają ustawiczne walki, bitwy, zasadzki, napady, a skalne zbocza gór i rozpadliny podają sobie echa strzałów niemilknące niemal

wcale. Nakoniec armia znosi ostatecznie przeszkody, jak woda sięgnawszy szczytu grobli i wojska zalewają rzeką Italię. Zjawiają się nazwiska miejsc wsławionych zwycięstwami, wypływają na powierzchnię historii traktaty, a hrabstwo Nizy staje się departamentem Alp nadmorskich.

W owym czasie Jan Dominik Blanqui jest profesorem filozofii i astronomii w liceum swego miasta rodzinnego.

III.

Blanqui, którego filozofia doby ostatekniej pozyskała całkiem dla republiki z wielką niecierpliwością wyczekujący chwili, w której rodzinna jego ziemia uwolni się od opieki i zalewu arystokratycznego, w której otrząśnie się z ruchliwego mrowia rozagitowanego kleru, został wybrany do Konwentu wraz Veillonem, dnia 12 stycznia 1793, by upominać się o przeobrażenie swych ziomków z Włochów na Francuzów. Gdy uchwalono aneksję i kraj podzielono na okręgi administracyjne, ruszył jako reprezentant swych ziomków do Paryża. Wraz z Massą i Dabayem stanowi delegację departamentu Alp nadmorskich.

Przybywszy do Paryża, zamieszkał przy ulicy St. Honoré 75 i wszedł w bliższe stosunki z Laurençotem, deputowanym departamentu Doubs, który mieszkał przy ulicy St. Thomas du Louvre, u wdowy po szlachcicu pikardzkim, pani Brière de Brionville, żyjącej tu skromnie wraz z dwunastoletnią siostrzenicą, przyjętą z litości w dom. Pani Brière de Brionville, która zajmowała niegdyś stanowisko na dworze Maryi Antoniny, obecnie utrzymuje się z dochodów, jakie jej przynosi mały hotel garni,

zamieszkały przez kilku deputowanych Konwentu. Blanqui stołować się tu zrazu zaczął wraz ze swym przyjacielem Laurençotem, a potem zostaje już stałym gościem pani Brionville, powziawszy dla niej sympatyę. Takim było jego życie prywatne. Polityczne życie Blanquiego nie płynęło tak spokojnie.

Dnia 24 maja 1793 zajmuje w Izbie miejsce pomiędzy żyrondistami. W ówczesnej Francji dziwne wywołała rewolucya zamieszanie, dusze łączyły się z sobą i naśladowały na podstawie podobieństw tajemnych. Istniały dystrykty upodobnionych, starożytnej odpowiadające organizacyi miast. Wysłańcy Nizy nie chcą uznać ni Rzymu, ni Sparty, wybierają, a może zdaje im się, że wybrali Ateny. Jak wszyscy zresztą, Blanqui patrzy przez mgłę, nie widzi dobrze zjaw przeróżnych w koło siebie i nie umie oznaczyć swego do nich stosunku. Czyż to Paryż? Niewiadome i to nawet, tyle zmian nastąpiło!

Przystąpienie Blanquiego do grupy ludzi umiejących się poprawnie wyrażać, którymi często kieruje nie tyle praktyczność polityczna co serce, oto skutek wykształcenia, które mu przypadło w udziale, a także usposobienia i upodobań pokojowych. U schyłku życia Blanqui, spoglądając na swe losy, przyzna, że chociaż został wiernym „partyi dołu“, częstokroć miewał ochotę zerwać się i jednym susem wskoczyć na najwyższy stopień „góry“, wyowiada się z tego, że przekonania tej ostatniej partyi dzielił, a od ludzi, którzy je wygłaszali, od jakobinów i kordelierów odpychały go zawsze jeno giesty ich gwałtowne, brutalność wyrażen i przesada. Rozpłomieniona twarz, burzący głos i machanie pięściami Dantona nie miały dlań powabu, podobnie jak cyniczna maska i grymas szyderczego niedowierzania, widnyna twarzy Marata, deklamacya namiętna, mistyczna i krwiożercza Saint

Justa, poety śmierci o bladych oczach i ostrym profilu, lub wreszcie twarde, niemiłosierne wyroki spiżowego Robespiera. Patrząc po ludziach w chwili, gdy rozważał ideje, uczył, że pociąga go Żyronda miarową, cieniowaną frazą Vergeniauda, subtelnością Buzota, rozważą i sumiennością Valaze'a, przekorną dobroduszością Pétiona, zapalem rozumnym i wykwiutnością dworską Gensonne'go, Guadet'a, Lanjuinais'a i Brissot'a, a wreszcie uczył szacunek dla obojga Rolandów, w których dojrzał związek ideałów stanu trzeciego z aspiracjami artystycznymi.

IV.

Wybór ten nie dziwi, jest uzasadniony. Dziś z odległości historycznej widzimy, jak bardzo, mimo swych błędów, żyrondyści wiernymi byli swemu proklamowanemu raz *credo* filozoficznemu i republikańskiemu. Nie widzą faktów, nie czują strasznych postulatów, krwawych konieczności rewolucyi. W węzowisku, gdzie kłębią się nienawiści, pośród sporów i walk, gdzie ustawicznie domagają się wszyscy od rządu środków niskich praktyk drapieżnych, żyrondyści idzie zawsze przedewszystkiem o teorię. Upierają się przy niej wytrwale. Jeśli odrzucimy oszczerstwa, cóż pozostanie z żądań politycznych, których byli wyobrazicielami? Uzasadniony wstręt do ludzi posiadających władzę, niechęć do jednostek rozporządzających przemocą, potępienie despotyzmu administracyjnego Paryża i ideał federacyi, przeciwstawiony centralizmowi. Wszystko to nie narusza zasady jedności republiki seryo pojętej. Są to mowcy i pisarze, ludzie myśli zarówno jak czynu, filozofowie i prawodawcy. Ale to są umysły wolne o szerokich horyzontach, trudno

przeto wymagać, by współpracowali w tem samym dziele, a zwłaszcza w tenże sam sposób, co opętani szalem sekciarze jakobini, wyznawcy religii Rousseau'a, układający jej postulaty w formuły praw, szerzący jej dogmaty za pomocą dekretów. Jeden, jedyny człowiek mógłby im wyjaśnić znaczenie owych krwawych misteryj, których są świadkami, wskazać cel, do którego zdąża społeczeństwo etapami, tonąc raz w krwi, to znowu w błocie. Ale człowiek ten nie domyśla się nawet, iż mógłby to uczynić, a oni stoją jakby skamienieli owego dnia jedynego, w którym człowiek opatrnościowy czyni chwiejnych parę kroków w ich stronę. Spelzła na niczem kombinacya polityczna, mogąca złączyć Dantona z żyrondistami i ludziami, którzyby mogli byli dopomóc do owdzięcia biegiem rewolucyi, pozostali niepewni, niemi na pół drogi pomiędzy wulkanicznymi szczytami „góry“, a bagniskiem „dołu“.

V.

W takim czasie nikt nie troszczy się walką duszną człowieka zmuszonego określić swój stosunek do innych, zdecydować się na jedno nieodwołalnie. Nikt nie zwraca uwagi na sprzeczności, biorące swój początek w jego charakterze, skłonności, które przyniosło z sobą wychowanie, wahania się i całą tę pracę wewnętrzną. W chwilach decydujących, kiedy wyłaniają się nowe kształty społeczne, w walce obywatelskiej, kto raz podjął się swej roli i przemówił, musi czyny swe stosować do słów. Inaczej beczynność poczytaną mu zostanie za chytrą. brak natychmiastowego zdania w danej kwestyi za wyrachowanie. Blanqui, reprezentant Nizy przekonał się o tem już 31 maja, to jest w ośm dni po zajęciu swego

krzesła wśród Żyrondy, w dniu, w którym po uchwaleniu powstania przez Komunę i wyznaczeniu powstańcom czterdziestu sous dziennego żołdu, sekcyje obległy Konwent.

Petycja przedłożona Izbie domagała się chleba po trzy sous, organizacyi milicyi rewolucyjnej, zniesienia komisyi dwunastu, która miała powierzone sobie badanie aktów Komuny, uwięzienia ministrów i deputowanych Żyrondy.

Petycję tę wymuszono, skierowawszy paszcze armat Henriota na Izbę obradującą nad nią.

Żołnierze do armat! Deputowani do urny!

Generał powstańców pilnuje drzwi, z trybuny przemawia Marat.

Z ulicy dobiegają groźne okrzyki żołnierzy, mieszając się ze słowami terrorysty, biczującego słowami Izbę.

Większość Konwetu uchwała wydać dwu ministrów i dwudziestu dwu deputowanych. Jan Dominik Blanqui głosi przeciw aresztowaniu, podpisuje protest przeciw zamachowi i oświadcza, że odtąd nie bierze udziału w pracy prawodawczej. Od tej chwili jest podejrzanym i wie o tem, czego dowodem tragiczny bilet przechowany w archiwach, noszący datę 15 czerwca: „Żegnaj was, obywatele, na zawsze może“. W kilka dni potem, 19 czerwca pisze list do pewnego prawnika obywatela Oliviera w Nizy i list ten kończy słowami: „Bądź pewny, że jedna i niepodzielna republika odniesie tryumf, a szubrawcy wszelkiego rodzaju zginą marnie pod ostrzem prawa. Żegnaj mi!“ W październiku, na wniosek Robespiera został aresztowany wraz z siedmziesięcioma innymi. W dniu tym dwudziestu dwu żyrondistów stawiono przed trybunał, a potem posłano na szafot.

VI.

„*Dziesięć miesięcy konania*“, oto tytuł pracy, pełnej wyrazów oburzenia, w której Blanqui opisuje ciągle przepędzanie aresztowanych deputatów z miejsca na miejsce i pastwienie się nad nimi. Praca ta obejmuje czas od chwili opuszczenia Konwentu, aż do wyzwolenia po Termidorze. Ciągła niepewność dręczy więźniów, ustawicznie wystawionych na napady klubistów. Jak potępieńców włóczą ich z jednego więzienia do drugiego. „*La Force*“, „*Les Magdelonettes*“, „*Les Benedictins anglais*“, „*Les Fermes générales*“, „*La Caserne des Carmes*“, oto nazwy miejsc owych okropnych, gdzie uwięzieni znoszą męki czekania raz stojąc, to znów leżąc na twardych ławach, stłoczeni w kurytarzu, lub na schodach. Oddychać są zmuszeni powietrzem kloak, znosić fetor kubłów wspólnych, sypiać w chlewach, lub pakach podobnych do trumien, na słomie, w której roi się od robactwa, przy akompaniamencie pisku szczurów, biegających wśród ciemności. Mieszkają wspólnie ze złodziejami, mordercami, fałszerzami, jedzą przy tym samym, co oni stole, tę samą braję, w której pływają kawałki miętusa i śledzi napół zgniłych. Na drugie danie mięso pełne robactwa i jarzyny wyglądające jakby je wygrzebano ze śmietnika. Czasem noce przepędzają w wąskich salach, sklepionych jak piwnica. Ze ścian kamiennych ścieka lodowata wilgoć na łóżka. Jest ich trzydziestu, dotykają się wzajem. Ledwo oczy nakryją się powiekami, nagle rozlega się zgrzyt gwałtownie otwieranych zamków i zasów, wszyscy zrywają się na równe nogi, a półsenным ukazują się na tle ciemni w obramowaniu drzwi czarne postacie kluczników, okrwawione ponurymi błyskami

latań. Wzywają ich do śledztwa, denerwują, nie dając ni chwili spoczynku.

Nie zdołali uchronić się od świerzb. W podobnych warunkach nic w tem dziwnego. Wielu zapadło na gorączkę trawiącą, inni podostawali febry. Chwilę ulgi mieli jeno wówczas, gdy ich przepędzano z jednego więzienia do drugiego, mogli przynajmniej odetchnąć świeżem powietrzem ulicy. Ale tam roiło się od ludzi rozszalałych, oblegały ich zaraz tłumy i zarzucały obelgami, kobiety wywijały pięściami, kolporterzy podsuwali pod nosy dzienniki oskarżające ich o zdradę republiki, młotów uliczny powtarzał oskarżenia, a jeno tu i ówdzie przemykały się w bocznych ulicach ciemne postacie pilnie bacząc, by nie napotkać megier, eskortujących wozy więzienne.

Dominik Blanqui bardzo był skompromitowany. Badano go na śledztwie 29 prairiała roku II. Odnaleziono w Nizy owe listy, pisane rok temu po uwięzieniu żyrondystów i przedłożono je sądowi z groźnemi dopiskami.

„Styl całkiem nie zgodny z prawdą... ani śladu uczciwych zasad“.

Źle stały jego sprawy.

Ale i w owych rozlicznych więzieniach, które dręczeni zwali przedsionkami śmierci, zdarzały się chwile znośniejsze. Toczoło nieraz rozmowy, rozweselali jedni drugich, dowcipkując n. p. na temat dwudziestu liwrów zapłaty miesięcznej za mieszkanie i wikt, które muszą płacić. I rzeczywiście czasem wydaje się, że o nich zapomniano, bo całem okrucieństwem na razie bywają afisze, jedyna rzecz, którą więźniom dają strażnicy do czytania, afisze domagające się ich głów. Powtarza się to co dnia z monotonią szczekania psa. W takich okresach spoczynku więźniowie zajmują się pracą ręczną,

szukają rozrywki w zamiataniu ścieżki, po której co dnia wolno im się czas krótki przechadzać, z kawałków cegieł i kamieni budują przeróżne rzeczy, krzesła z wysokimi oparciami, tarasy, fantastyczne ołtarze patryotyczne. Inni znów sadzą drzewka, kwiaty, zioła, urządzają klomby, wycinają w deseń trawniki, lepią z gliny posągi miniaturowe i cieszą się, jak dzieci. W godzinach popołudniowych panują niepodzielnie gry, a więc gra w piłkę, bilboket, warcaby i szachy.

Człowiek przywyka do wszystkiego, groza sama może stać się monotonna. Gdy zbyt długo trwa stan niebezpieczny i bolesny budzi się instynkt życia, a złamani, skazańcy, opuszczeni, stwarzają sobie egzystencję nową, przystosowaną do warunków. Budują sobie program prac i spełniają go mechanicznie w oczach prowokatorów i kluczników. Oswajają się z twarzami katów i wrażeńie czyni na nich uprzejmość siepacza, któremu raz wpadło do głowy przynieść któremuś z nieszczęśników szklanekę wina. Ten lub ów ułoży nieraz piosenkę, współtowarzysz próbuje ją grać na flecie, a autor uradowany, iż się podoba, prosi o przebaczenie, że nie może dostarczyć drugiej, bo właśnie nazajutrz o świcie mają go ściąć.

Gospodyni Blanquiego i kilku innych deputowanych z Żyrondy nie zapomniała o swych pensjonarzach i często odwiedza ich w więzieniu. Przyprawia ze sobą zawsze siostrzenicę Zosię. Czasem Zosia przybywa ze służącą, lub nawet sama i nie boi się żołnierzy i dozorców. W „Kasarni Karmelitów“ zwłaszcza, codzienne odwiedziny dwunastoletniej obywatelki, stanowią ogromną pociechę dla więźniów. Jest to osoba przystojna, miła, umie zagrać i pomówić i złote ma serce. Całymi nieraz dniami wyczekuje, by ujrzeć swych pupilów. I zazwyczaj piękność jej i zręczność odnosi tryumf nad dozorcami.

cami najsurowszymi. Gdy wszystko zawiedzie, pomaga nieraz cudnym głosem zaśpiewana piosenka patryotyczna. Przychodzi zazwyczaj przebrana za chłopca w cienkiej, krótkiej kamizeli, tzw. karmanioli, drepcąc po śniegu bosemi nogami. Saboty ma w rękę. Boso lepiej biegać. Przynosi jedzenie i zawsze uda jej się przemycić przy tej okazji dziennik lub list. Wszystko słyszy, wszystko wie i opowiada i jest promieniem słońca, co złoci czarne, osepiałe mury więzienne, powiewem wonnego, ciepłego wiatru w atmosferze śmiertelnego zamrozu, jaki tu panuje. Gdy się zjawi, pierzcha widmo wiecznie otwartej, zbrojnej w zęby stalowe paszczy nienasyconej gilotyny, na twarzach skazańców zjawia się uśmiech.

VII.

W rezultacie wywiązała się z tego u Blanquiego miłość silna i namiętna. Zaraz na drugi dzień po upadku Robespiera, ledwo wyszedłszy z więzienia, Blanqui prosi pani Brionville o rękę jej siostrzenicy i pupilki i zostaje przyjęty. W dniu 17 vendémiaira roku V. odbywa się ślub. On ma wówczas lat 38, ona 16.

Znamy odnośnie do tego faktu opinię najstarszego syna, Adolfa Blanquiego. Znalazłem ją w jego pamiętniku niedokończonym i nie ogłoszonym drukiem, który zaczyna się w roku 1853, a urywa w dniu śmierci. Podaję ją wiernie. Adolf tłumaczy się i usprawiedliwia z tego, że badał charakter matki i nie waha się zanotować wniosków, do jakich doszedł, ale chociaż sprawia mu to ból, powie wszystko, będzie szczerym „aż do okrucieństwa“, nie oszczędzi swych bliskich w imię prawdy. Zaznaczywszy, że chociaż Zofia Brionville umiała śpie-

wać i tańczyć, nie umiała szyc, ani pisać ortograficznie, taki kreślił portret matki:

„Miłe dziecko przeistoczyło się w przedcudną kobietę, w piękność pierwszorzędną. Czyste, szafirowe jej oczy ocieniały długie rzęsy, z poza ust świeżych, wiśniowych połyskiwały zęby nieporównanej białości, a jedwabiste, złote włosy spływały migotliwą falą aż do stóp. Wiek pokrył je siwizną, ale nie zgasił, aż do ostatniej chwili ich połysku. Ta piękność, której towarzyszyła wypróbowana w różnych okolicznościach życia, niezłomna uczciwość, była jedną z głównych przyczyn wszystkich naszych nieszczęść. Różnica wieku uczyniła ojca mego zazdrosnym, a matka była w błędzie, sądząc, iż kobieta na wszystko może sobie pozwolić w domu, byle była cnotliwą i cieszyła się opinią niepokalaną. Ta cnotliwość matki naszej kosztowała nas więcej, jak byłyby kosztowały wszystkie możliwe jej występki, a ojciec pokojem całego życia zapłacił za tę chwilę uniesienia, za owo uczucie wdzięczności, którego skutkiem był wybór żony o tyle młodszej od siebie“.

Adolf zaznacza, że charakter matki cechowały upór i żądza panowania. Opiekunka pozwalała jej czasu młodości na wszystko, to też zachciankom i kaprysom niema końca ani granic. Zrazu była zepsutem dzieckiem, potem przemieniła się w małżonkę niesłychanie wymagającą, kłótniawą, nieprzystępną dla rozumowania, wreszcie matkę despotyczną, nadużywającą swej władzy, nie zważającą na dobro dzieci, o ile ktoś je pojmował inaczej jak ona sama.

Surowy sąd syna tłumaczy gorące jego przywiązanie do ojca. Z bólem widzi, że cierpi, że energia jego duszy marnieje i rozprasza się pod wpływem codziennych drobnych starć i ukłuc, patrzy na to, jak ojciec

wysła się, by ukryć sceny, które znosi ustawicznie i nie dopuścić, by ludzie radowali się widowiskiem ich niezgody małżeńskiej.

VIII.

Po okropnościach termidoru, prześladowania polityczne komplikują się jeszcze bardziej, orgie nienawiści osobistych wybuchają na nowo i szerzą wokół spustoszenie. Reakcja umiarkowanych, całkiem taksamo jak rewolucya skrajnych napełnia więzienia, zalewa krwią place publiczne i ulice. Nieprzerwanym szeregiem ciągną się jak dawniej wozy więzienne, ten sam tłum napastuje i plwa na skazańców. Prawo: oko za oko, ząb za ząb normuje stosunek wzajemny ludzi do siebie, teraz występuje jeszcze jaskrawiej, wyraziściej, jest to jedyne prawo społeczne, jedyne prawo osobiste. Ci, którzy mordowali przedtem w imię sprawiedliwości, padają masami pod wyrokami tejże samej sprawiedliwości, którą owładnęły wczorajsze ofiary. Pałka Samsona, ociekająca krwią, pracuje niez mordowanie, aż do chwili, kiedy ni jedna głowa nie sterczy ponad poziom tłumu, kiedy w opustoszałych ulicach niema już nikogo, a w mieszkaniach, teraz na nowo otwartych, znaleźć można jeno zręcznych, którzy umieli żyć, ostrożnych, którzy umieli czekać i obojętnych, którzy przez cały czas uganiaли się jeno za rozrywkami.

Dominik Blanqui nie bierze udziału w reakcyi. Jedyne kroki, które czyni, to starania, by mu zwrócono sumę, 7784 liwrów i 12 soldów, wydaną czasu więzienia, trwającego dwanaście miesięcy i dwadzieścia dni, wreszcie bezprawnie zagrabione podczas rewizyi i śledztwa kosztowności i papiery wartościowe.

Gdy wreszcie ustalili się jaki taki porządek prawny, na ulicach ukazują się kobiety w rzymskich i greckich szatach, nagie, okryte jeno przejrzystą gazą i cienką wełną i mężczyźni w ubraniach kraciastych, niebieskich, żółtych, zielonych, z szyjami tonącemi w wysokich krawatach. Wszyscy tańczą po bruku, który krew zczerniała okrywa, jakby kamienie pordzewiały. Potem nagle milkną tony instrumentów muzycznych, a w całym Paryżu nie słychać nic, prócz trąb mosiężnych, głuchego łoskotu bębnow, po bruku ulic tętnią jeno koła jaszczyków i armat, dudnią kroki miarowe maszerującego wojska, otaczającego prostego niedawno generała, którego dzień dzisiejszy uczynił cezarem. Nastaly czasy żołnierskie, otwarło się pole dla awanturników innego rodzaju włóczęgów, zbiegłych z pola walki lub spieszących na bój. Inni, wróciwszy po krwawych bitwach, ciężkim krokiem, powłócząc szable, kroczą pośród zatrwożonych i oniemiałych mieszczan, pyszniąc się publicznie swemi ranami i pióropuszcami, bliznami i orderami. Opanowali Paryż, są zbawcami ojczyzny, nie wolno im się sprzeciwiać. Zresztą porządek. Mięso armatnie skatalogowano, spisano, podzielono na pułki i wysłano na granicę. Francuzi, którzy pozostali w domu z kobietami i dziećmi mają jeno jeden obowiązek, ustawiać się w szpalery i witać wracające, zwycięskie wojska. Aklamacya, albo milczenie. Zadużo mówiono. W biwakach obozowych i w Tuilleryach jedno jest teraz prawo, jeden mistrz, a on nie lubi gadułów i ideologów.

Zyryndysta wypuszczony z więzienia, który przypadkiem jeno uszedł śmierci, godzi się wejść w służbę tego jedyne go mistrza i władcy. W roku IV. zajmuje znowu swe miejsce na ławie deputowanych. Aż do floreala roku V w radzie pięciuset, podobnie jak w Konwencie

bierze czynny udział w pracach politycznych i naukowych i gdy nadszedł brumaire, gotów zamienić swój mandat poselski na urząd publiczny. Nie był jedynym, wielu pożądało takiej zmiany losu i pogodziło się z nią. Urok władzy napoleońskiej ogarnął zarówno emigrantów wracających masowo jak i pozostałych przy życiu rewolucjonistów. Zwolenników dawnej formy rządu pozyskała restytucja tytułów i odznak, rewolucjonistom stworzono nowe, obdarowano ich frakami wyszywanymi złotem, krzyżami na wstęgach, szpadami honorowymi, które nigdy krwi widzieć nie miały i oto wszyscy naraz znaleźli się u jednego żłobu, dali się wprzagnąć w jeden rydwan. Co do różnych spraw i faktów, zdarzają się w historii dziwne omyłki, których czas nie jest w stanie skorygować. Taką omyłkę popełniono odnośnie do pojmwania: „członka Konwentu“. Ta nazwa przywodzi dotąd jeszcze na myśl bohaterskiego krzykacza, gadułę niengiętego i dzikiego. Tak nie jest, bo chociaż Merlin de Thionville sprzedał swą posiadłość w Bongival z tego jeno powodu, że nie mógł znieść widoku Malmaison, a Cambon dobrowolnie wrócił na wygnanie, przypatrzwszy się iluminacyi 15 sierpnia, to większość rzuciła się tłumnie do przedpokoju Napoleona i wszyscy wydzierali sobie wzajem fraki senatorskie i klucze szambelańskie, wieszając je z zachwytem na pośladkach.

Blanquiego, który ongi pożytał aneksyi prowincyi włoskiej przez republikę francuską, musiało zdziwić i napełnić dziwnymi refleksyami to nagłe zagarnięcie władzy przez korsykanina, równie jak on południowca. Czyż istniała jakaś tajemna harmonia, jakieś prawo wymiany sił pomiędzy tymi dwoma krajami, jakaś solidarność odnośnie do klęsk i tryumfów, kierowana dziwną logiką historyi? Ale nie można było uczynić nic więcej, jak

pogodzić się z faktem, proklamować „po tysiąc razy szczęsnym“ dzień 18 brumaira, jak to uczynił jeden ze starych opozycjonistów Konwentu... no i wrócić do domu na własne śmieci.

Blanqui nasamprzód w germinalu roku VIII został zamianowany sędzią trybunału departamentu Alp nadmorskich w Nizy i tam przyszedł na świat 21 listopada 1798 roku, jego pierwszy syn Adolf. Potem we florealu tego samego roku został z tytułem podprefekta przeniesiony do Puget-Théniers, do miejscowości w tym samym departamencie, odległej o 15 mil od Nizy, położonej nad rzeką Var.

IX.

W owej małej mieścinie, przychodzi dnia 12 pluvioza roku XIII na świat syn młodszy Ludwik August. Przed nim urodziła się córka. Ojciec zgłasza urodzenie się syna w merostwie. Merem jest podówczas Cayla, świadkami Guibert sekretarz i Papon, urzędnik podprefektury.

Małe to miasteczko, owo Puget-Théniers. Rozłożone jest nad rzeką, ponad dachy wznoszą się prostopadłe niemal ściany gór, domy wydają się wobec tych olbrzymów niższymi jeszcze jak są w rzeczywistości, wieże także tracą swą wysmukłość, ulice jak ścieżki wyglądają. Pnące się stromo w niebo skały, niby cyklopi mur otaczają cię zewsząd i wydaje ci się, iż nagle znalazłeś się w więzieniu. Tutaj zwiększa się ciągle z roku na rok rodzina Blanquiego. W Puget-Théniers doczekał się ośmiorga dzieci, a malcom musiało się wydawać, że ktoś je za karę zamknął. Nigdzie bowiem wzrok swobodnie pobujać nie może. Terasami, to znów gwałtownie prosto w górę wznoszą się szare głązy, kędyś pod niebem obry-



sowane zębatą linią przełęczy, ponad które wydzierają się szczyty. Zwłaszcza jeden z nich, Gourdan, przygniata sobą wszystko wokół. Niema regularnej komunikacji z resztą świata, a w zimie miescina zamienia się wprost w pustelnię. Kilkaset kroków wszerz i wzdłuż ledwo można uczynić po ulicach i już zastępują drogę ściany skalne. Dzieci odbywają nieraz przechadzki z ojcem, matką lub boną, w braku czegoś lepszego chodzą po zakupy do sklepów, a dzień targu jest dla nich świętem. Niema obcych twarzy, wszyscy się znają, widząc ustawicznie, obcując z sobą przy pracy, mieszka tu zresztą ledwo kilkaset ludzi. Dzieci znają wszystkich i wszystko, zmierzyły nawet wysokość wieży kościelnej i ruin dawnej fortecy, zapoznały się doskonale z kulturą morw, a czas rekreacji spędzają na przyglądaniu się życiu i hodowli jedwabników. Przytem w uszach im ciągle dudni, dolina rozbrzmiewa bez ustanku łoskotem leących z gór wodospadów, a warkoczą też koła kilku zakładów przemysłowych, garbarń i słychać klekot kijanek, któremi kobiety piorą bieliznę w rzece.

Mijają lata, dzieci rosną fizycznie, a myśl wydiera się po za ciasną przestrzeń. Śmielsze marzą o wycieczkach. Jest pewnie coś poza tymi grzbietami gór, za tym olbrzymim wałem, są tam gdzieś inni ludzie, miasta, wsi inne. Porywa tęsknota, żądza wdzierania się coraz to wyżej, coraz dalej, wzrasta niepokój na widok ciągle nowych zjawiających się grzebieni, zasłaniających horyzont, gniewa i boli to, że ciągle nic nowego, tylko chmury i gwiazdy, jeno nowe szczyty i przepaści, gdzie strasznie spoglądać, bo w głowie się kręci.

Lata płyną ciągle, dzieci nabierają sił, wycieczki wymarzone mogą stać się rzeczywistością, nogi są już dość mocne, mali wędrowcy wytrzymują kilkugodzinną

bieganinę po ścieżkach urwistych. Ruszają w świat. Decydują się przejść most, wiedzą już z książek, że ta płynąca woda, wysychająca niemal całkiem w lecie, a przelewająca się za brzegi i zbałwaniona zimą, zaniósłaby ich do morza śródziemnego, które tak jest rozległe, tak szafirowe, usiane białymi żaglami okrętów, przemykających po falach, zataczających łuki, kierujących się kędyś daleko, ku wschodowi. Odkrywają co dnia nowe przesmyki, bruk miasteczka został daleko, spinają się ścieżkami, wstępują po olbrzymich kamiennych schodach i nagle wpadają w zachwyt. Otoczyły ich góry, objęło powietrze wyżyn. Roztacza się wokół panorama. Połoniny zielone staczające się w dół po uboczach, szczyty okryte śniegiem bieleją, a dal przysłonięta szafirową i czerwoną mgłą.

Dotychczas dzieci żyły wśród roślinności nizin, winorośli i figowców. Oczy ich olśniewa ta nieznana kraina, pełna refleksów zielonego światła, gdzie we fioletowym gruncie tkwią czarne sosny. Potem doznają ukojenia i wydaje im się, że zapadły w wielkie głębie morskie, w wodę przejrzystą i zimną. Ale niema ta woda gęstości zwyczajnej i ciężaru, to powietrze lekkie, subtelne, tchnące ostrą i miodową zarazem wonią żywic. Kasztany grubopienne o tęgich węzłowatych konarach, zda się wymachują rękami i o czemś chciałyby przekonać łagodne drzewa szpilkowe o ramionach nieruchomych, prosto wyciągniętych, a ziemia usłana kasztanami w zielonych koleczastych łupinach i najeżonemi szyszkami. Hebanowce, okryte żółtymi kwiatami, odcinają się jaskrawymi plamami od zieleni. Pyłek nasienny unosi się w obłokach pośród gałęzi drzew szpilkowych i powoli sływa na ziemię, by deszcz siarczasty. W miarę wdzierania się coraz wyżej, dzieci odkrywają coraz to inne cuda, oddychają inną wonią, widzą cisy o jasno czerwonych owo-

cach, tłumy cyprysów, niby orszak czarnych, żałobnych postaci jakiegoś olbrzymiego pogrzebu, jałowce z płomienistymi i czarnymi jagodami, ciemne i jasne modrzewie o koronkowo przeświecających gałęziach. Rosną tu drzewa silne, odporne na wichry, twarde mające miąższ pni i silne stalowe korzenie. Dzieci idą ciągle i oto otaczają je cedry, szeroko rozpościerające swe poziome konary, tuje potężne wznoszące się od ziemi jak piramidy, wreszcie jodły zwieszane ponad przepaściami i śmielsza jeszcze, w powietrzu niemal rosnąca, kosodrzewina. Powietrze przesycone zapachem smoły i terpentyny. Potem drzewa znikają, a poczynają się halne pastwiska, wyżej jeszcze roślinność ustępuje i wynurzają się głazy czarne, okryte mchami, gdzie w rozpadlinach jeno kryją się wątłe kwiatki szarpane wichrami. Wyżej rozpościera się kraina porostów skromnych, szarych mchów, cierpliwie przez trzy czwarte roku wyczekujących lipcowego słońca, które dopiero jest dość gorące, by w nie wlać na krótko życie.

W tych regionach często przesuwają się po ziemi chmury, szafir nieba macą i zasłaniają częste, krótkie burze, zmywające skały, które zaraz potem zatapia fala jaskrawego, złotego światła. Jasno, ostro rysują się tu szczyty. Wybiegają śmiało ponad zębatą linię garbów i przełęczy, a w dali, poza nimi nowe szczyty, omglone, niewiadomo czy skały to, czy chmury, toną w różowej poświacie.

Malcy upajają się powietrzem, wypatrują oczy, wymieniają nazwy szczytów, które poznały w szkole z książki, odgadują, czy tam a tam może być ścieżka, przesmyk, czy tym oto stokiem wije się droga, spina po grzbiecie i spada wreszcie niby potok kamienisty w rozlewne doliny Italii.

Trzeba jednak iść dalej, zaczynają więc teraz zstę-

pować, chwytając się skał granitowych, czerwonych, szarych, zielonych, potem skaczą po białych blokach wapienia i wnet ścieżkę, którą idą, otaczają drzewa cytrynowe o delikatnym zapachu i gęstwa srebrzystych oliwek. August zwłaszcza rozkochany jest w tych wycieczkach. Choć mały i nerwowy chodzi bardzo wytrwale i często sam się wybiera, by po całych dniach oddychać ostrą wonią górskich roślin, wpatrywać się w liście, kwiaty, chmury, przelatujące ptaki. Równie despotyczny, jak zapach, równie wszechpotężny jest ustawiczny szmer toczących się po skałach strumieni, dźwięk tętniących wodospadów i łopot kropel deszczu po kamieniach. Wszędzie gdzie spojrzeć, po schodach z gnejsu, granitu, porfiru, czy łupku i wapienia spływa krystaliczna woda kroplami, pędzi strumykami, rozpryskuje się, lśni, szmerze, śpiewa.

Dziecko czuje się szczęśliwem pośród tych wszystkich cudów, nadśluchuje odgłosów, wdycha pełną piersią wonne powietrze i pije z dłoni perlącą się wodę.

X.

Blanqui z rodziną mieszka w budynku podprefektury naprzeciw kościoła parafialnego. Opodal stoi szkoła, gdzie chłopcy pobierają pierwszą naukę. Najstarszy stąd wyruszy na dalsze wykształcenie do liceum w Nizy. Pamiętnik Adolfa, z którego czerpiemy te szczegóły świadczy, że Puget-Théniers, ów kął zapadły jest jednak w pomniejszeniu obrazem wszystkich miejsc małych, czy wielkich świata cywilizowanego:

„Można tu było spotkać ludzi ciekawych i ludzi bez wartości, urzędników administracyjnych, sędziów, finansistów, nie brak było spraw miłosnych, intryg, za-

biegów, dysput teologicznych i filozoficznych, zdarzali się bogaci, słowem intelektualnie i moralnie owo miasteczko nie różniło się w gruncie rzeczy od każdego innego miasta mimo, iż miało niespełna dwa tysiące mieszkańców“.

Żyło się tu dostatnio i zdrowo. Dostać było można ryb z rzeki Var, zwierzynę, drób, owoce, chleb doskonały. Dolinę zdobiły cyprysy, figowce, migdałowe drzewa, oliwki, granaty i festony winorośli. Adolf kreśli żywo ów obraz natury południowej tak, że trudno o nim zapomnieć. Pobyt w liceum w Nizy nie zmienił w niczem jego usposobienia, wrażliwość i sentymentalizm wraca ciągle mimo, że staje się poważniejszym i w umyśle jego kształtuje się światopogląd o jasnym, wyrazistym konturze. Podoba mu się sposób kształcenia, jaki przyniosło ze sobą cesarstwo przy odgłosie bębnow, ale często przychodzą też wątpliwości, poczyna się walka duszna z której wyjść ma takim, jakim już zostanie na całe życie. Ojciec wszczepia mu zasady honoru i prawości, a on pociesza ojca i dodaje otuchy biedakowi, którego dręczy zmienna i swarliwa żona. Dzieje się to zazwyczaj podczas wakacji w Puget-Théniers, na które obaj się cieszą co roku.

A matka, co roku niemal w ciąży, ciągle karmiąca dziecko, żyje dostatnio, otoczona szacunkiem, nie może się przecież pogodzić ze skromną dola, jaka jej przypadła w udziale. To też ciężkie jest życie Blanquiego z żoną nieprzezorną, ciągle buntującą się, wyrzekającą, zwłaszcza wobec nieustannego wzrostu rodziny. Ustawicznie przemyśliwa jakby się dorobić majątku, próbuje ująć wodospad Varu i sfinansować jego siłę motoryczną, sprowadza plany, zadłuża się, pracuje, poto jednak tylko, by doczekać się dwu strasznych wylewów,

które unoszą całą instalację i uniemożliwiają dalsze zamysły. W roku 1813 ma już siedmioro dzieci, czterech synów i trzy córki. Nie może oczywiście dać zupełnego wykształcenia całej tej czeredzie i obawia się, że może nagle przyjść czas, w którym August skończy elementarną szkołę w Puget-Théniers, a nie będzie go można posłać do Nizzy na dalsze studia.

Ale przynajmniej przyzwyczał się do swego urzędniczego stołka i polubił nawet sprawy administracji, jak o tem świadczy raport przełożonego prefekta Nizzy pana Bouchage. Raport ten złożony w r. 1812 wyraża uznanie dla zdolności Blanquiego, jego silnego, choć „coprawda nieco zamkniętego w sobie“ charakteru, sławi zapobiegliwość, sprawność i energię w urzędowaniu, samodzielną i spryt, oszczędność i wreszcie zalety osobiste w życiu prywatnem, pośród zaś nich brak kosztownych namiętnostek. Ale tenże sam raport mówi o szczupłych dochodach licznej rodziny. Wynoszą one 1500 franków rocznie. Jestto niezmiernie mało, wyżyć trudno i dlatego Blanqui wraz ze żoną podejmują jedną próbę poprawienia losu swego, oraz zabezpieczenia przyszłości dzieciom.

Należałoby, mianowicie zbliżyć się do jednej z ciotek pani Brionville osoby ośmdziesięcioletniej, od piętnastu już lat owdowiałej, mieszkającej w departamencie Eure-et-Loire, w miejscowości Aunay-sous-Auneau. Byłaby wówczas nadzieja, że zapisze swój dość znaczny majątek licznej rodzinie Blanquich. Jan Dominik nie zaniedbał niczego. Wysłał do ministerstwa spraw wewnętrznych memoriał obejmujący dzieje jego życia od czasów Konsulatu, w którym to piśmie wyłuszczył swoje położenie, gdzie wielbił „po tysiące razy szczęsny dzień 18 brumaira“, obiecywał wychować dzieci swoje w uczu-

ciach wdzięczności i miłości dla dobroczynnego rządu, któremu zawdzięczać będzie swój dobrobyt, a wreszcie w zakończeniu prosił o nadanie mu podprefektury departamentu Eure-et-Loire, lub innego pobliskiego. Żona jego napisała równocześnie do protektora rodziny, prezydenta trybunału Fabra de l'Aude, a także ciotka Zofii, pani Brionville zwróciła się pisemnie do ministerstwa spraw wewnętrznych.

Na razie jednak żadna z podprefektur nie jest wolną, a w parę tygodni potem następuje katastrofa ostateczna: Napoleon zwyciężony przez sprzymierzonych w r. 1814 składa 11 kwietnia koronę i podpisuje abdykację w Fontainebleau.

W chwili kiedy ex-cesarz, teraz mizerny król Elby, by uniknąć napaści, kłatw i kamieni rojalistycznych mieszkańców prowincyi musi podróż z Awinionu do Frejus odbywać przebrany w biały i niebieski uniform austriackiego oficera, w tejże samej chwili „były“ podprefekt Puget-Théniers musi także opuścić swój dom i uciekać, zostawiając na łasce losu swą rodzinę. Wraz ze sprzymierzonymi wkraczają, pamiętający dobrze rok 1792, wypędzeni skutkiem aneksyi Piemontczycy. Pośród tego zamięszania dzieci nic nie winne, żyją, patrząc ze zdziwieniem na to, co się dzieje. Po raz pierwszy w życiu zapoznawają się z brutalizmem soldateski, nikczemnościami rozpanoszonego szpiegostwa, bezczelnością ciągłych rewizyi, widzą jak kule dziurawią mury, jak ludzi aresztowanych pędzą oddziały wojska do więzień, plątają się po ulicach popychane, szturkane, a wkoło huczą strzały, krew się leje, migocą szable. Podczas gdy w liceum w Nizy Adolf widzi jak profesorowie jego przypinają do piersi białe kokardy burbońskie i niebieskie odznaki sardyńskie i zatracą wiele z szacunku jaki miał

dla nich, wobec jawnego tchórzostwa i oportunistów, który mu się w głowie pomieścić nie może, brat jego August patrzy na to samo w Puget-Théniers i ze zdumieniem patrzy na tryumf barw reakcji, hołdy, składane emblematom obcych państw zwyciężkich, deptanie trójbarwnej kokardy republikańskiej.

Na rodzinę spadła klęska wielka. Dominik Blanqui musi wraz z ośmiorgiem dzieci uciekać z terytorium przywróconego obecnie Sardynii, a całą gotówką jaką rozporządza jest kwota 5000 franków, na którą składa się pensja za ostatni miesiąc i pieniądze uzyskane ze sprzedaży mebli. Adolf, który pospiesznie przyjechał z Nizy zastał w domu chaos wyrzucanych mebli, zgiełk, ujrzał strapionego ojca, posłyszał wyrzekania matki.

Ale nagle w wilię wyjazdu przypadek zmienia nagle wszystko. Łzy smutku przemieniają się w łzy radości i sprawa przybiera inną postać.

Opisuje to Adolf w swym pamiętniku, temi słowy:
 „Gdyśmy wszyscy z niezmiernym pośpiechem czynili przygotowania do podróży do Paryża, gdzie ojciec miał nadzieję przy pomocy przyjaciół zdobyć skromną posiadłość, któraby umożliwiła egzystencję jego i nas wszystkich, zdarzyło się, iż przyniesiono z poczty list nieopłacony, za który należało się dość wysokie portoryum. Adres był pisany przez kogoś nieznanego, po przez kopertę widać było drukowane litery, toteż ojciec nie przyjął go, pewny, że jestto jakiś anons któregoś z kupców paryzkich. W owym czasie zarzucały firmy handlowe stolicy urzędników prowincjonalnych tego rodzaju prospektami, przesyłanymi przeważnie w niefrankowanych kopertach. Ale matka była ciekawa, opłaciła tedy należność i list otwarła. Był to komunikat sędziego pokoju datowany z jednego z większych miast departa-

mentu Eure-et-Loire i zawierał wiadomość o śmierci jednej z ciotek mojej matki. Matka odziedziczyła znaczną część majątku zmarłej, a ojca wzywał sąd, by przyjechał podjąć go jej imieniem. W końcu była wzmianka odnośnie do inwentarza, z której dowiedzieliśmy się, że pozostało wiele cennych mebli, srebra stołowe, tabakierki złote, kosztowne koronki i bielizna znacznej wartości. Samą posiadłość stanowił dom mieszkalny nazywany „pałacem Grandmont“ otoczony parkiem obmurowanym wokół, oraz pola uprawne.

Ojciec pojechał sam. Chciał sobie zdać jasno sprawę ze stanu rzeczy, pojechał tedy do Chartres, zamieszkał na poddaszu, wytoczył proces jednemu z współspadkobierców, wygrał go, a wobec tego inni współnicy odstąpili od pretensyi, tak, że cały majątek przypadł nam teraz w udziale. Trwało to kilka miesięcy i dopiero gdy się wszystko skończyło ruszyła w drogę pani Blanqui z młodszym synem i jedną z córek. Reszta rodziny ściągnęła nieco później pod opieką pani Brionville, która od śmierci swego męża przemieszkiwała u Blanquich w Puget-Théniers.

Podróż trwała trzynaście dni, była męcząca, bo trzeba było jechać dyliżanssem, a wesołego w niej było niewiele, bo znaczna część drogi odbywała się okolicami nawiedzonymi wojną. Mijano wsi popalone, i pola bitew usiane mogiłami poległych“.

Adolf pierwszy pospiesza do ojca do Aunay-sous-Auneau. Oto co pisze o tem:

„Było około dziewiątej wieczór gdym znalazł się nareszcie przy moim drogim ojcu, na owym folwarku, który mu się zdobyć udało. Oczekiwał mnie z utęsknieniem wielkiem i nader skromną kolacją. Zamiast rozgospodarować się w jednym z licznych pokojów, którym

nie zbywało na elegancyi, siedział w olbrzymiej kuchni, a na kominie trzaskał ogień podsycany wielkimi polanami drzewa. Trudno opisać jak bardzo chwycił mię za serce widok tego niezrównanego człowieka, który dumniejszym był z procesu i ze zdobycia dla nas schroniska, jak gdyby wygrał sto bitew. Nazajutrz o świcie ojciec stanął nad mojem łóżkiem i zaproponował, byśmy odbyli przechadzkę po parku i polach, czyniąc w ten sposób przegląd generalny posiadzonego bogactwa. Parku było piętnaście morgów, z czego połowa na sposób włoski pocięta była ścieżkami i usiana klombami. Były tam schody wiodące na terasy, wznoszące się w różnych poziomach, długie lipowe aleje ciągnęły się w prostych liniach, te znów załamywały pod kątem, a trawniki świeże, jasne, stanowiły przesłiczne tło. Oddychało się tam pokojem wielkim, ciszą, a oczy miały gdzie pobujać nim oparły się o ściany stuletnich, czarnych, sękatych dębów, zamykających w dali widok“.

Wszystko jednak nosiło cechę zaniedbania. Podobnie też wyglądało wnętrze domu. Zakrojone było na wielką skalę. Łóżka z baldachimami adamaszkowymi i jedwabnymi, fotele ogromne w stylu Ludwika XV., komody z drzewa różowego, na nich przepiękne stare zegary, gotowalnie pokryte spłowiałym muslinem, wszystko świadczyło, że była to rezydencya pańska, o którą się jeno troszczyć od kilkunastu lat przestano.

Na nieszczęście, pani Blanqui ledwo stanęła w nowej siedzibie doznała zawrotu głowy. „Przewróciło jej się w głowie“, tak pisze Adolf. Olśnił ją widok sreber, tabakierek złotych, koronek i zegarków. Zrazu bawiła się tem wszystkim jak dziecko, okrywała się cała prawdziwemi brabanckimi koronkami ile razy szła do wiejskiego kościółka, ale potem wysprzedała jedną po dru-

giej wszystkie tabakierki, które stanowiły zbiór wartości około 8000 franków. Po tabakierkach znikły srebra, koronki, adamaszkowe obicia i portyery, porcelana sewrska, zegary, wanny, nawet i naczynie kuchenne.

„Wszystko — mówi Adolf — przelewało się jej przez ręce, nikło jakby czarem, a matka okazywała w zajęciu tego rodzaju jakiś upór nieszczęsny i wytrwałość pożałowania godną. Nie widziałem nigdy takiego zapamiętania się niszczycielskiego“.

Ale na cóż szły pieniądze, które uzyskiwała w zamian za to wszystko? Na nic. Nie restaurowała domu, nie kształciła dzieci. Pani Blanqui była niezmiernie lekkomyślna i kapryśna. Bardzo często jeździła do Paryża, zwoziła do domu marynaty, zwierzyne, konfitury, kawę, czekoladę, herbatę, ciastka, modne suknie, czepeczki. Ile razy mąż lub syn starszy, usiłując położyć tamę jej marnotrawstwu, przedstawiali smutne skutki takiego postępowania, musieli zaraz zamilknąć wobec kategorycznych odpowiedzi w tym guście: „Nie jestem obowiązana nikomu tutaj zdawać rachunków. Wszyscy jesteście na mojem utrzymaniu. Kto nie jest zadowolony, może sobie iść gdzie mu się podoba“.

Ojciec próbuje utrzymać równowagę, otwierając wraz z Adolfem w pałacu Grandmont szkołę elementarną. Przedsiębiorstwo rozwija się odrazu doskonale, ale wnet rząd zamyka szkołę, otwartą bez pozwolenia, na skutek skargi wniesionej przez nauczyciela wioski, na ręce prokuratora królewskiego.

Blanqui próbował również odzyskać utraconą posesję i pojednać się z nowym rządem. Ów krok, owo uniżenie się byłego człowieka Konwentu przed królem, usprawiedliwić powinna obawa o przyszłość i wychowanie siedmiorga dzieci, obawa, którą go nappełnić mu-

siał widok gospodarki żony. Jedno z dzieci umarło w r. 1814. Nim opuścił Puget-Thèniers, pierwszego czerwca 1814 zwrócił się do nowego ministra spraw wewnętrznych z przypomnieniem, iż był więziony: „Jakże byłbym szczęśliwy — pisze — ja, com z zapałem i poświęceniem w czasach smutnych służył ojczyźnie, gdybym mógł teraz oddać się znów na jej służbę, zawdzięczając to nowemu Henrykowi IV. i jego zastępcy nowemu Sullyemu“. A 8 lipca tegoż roku, w ponownym podaniu wspomina swe trzynastomiesięczne więzienie, spowodowane tem że: „głosił zasady sprzeczne z szaleństwem władającym w owym okropnym czasie“. W toku podania prosi o nadanie mu posady podobnej do tej, którą utracił i kończy: „Ożywia mnie nadzieja, bo czyż nie dostało mi się w udziale żyć czasu rządów monarchy, który ojcowską opieką otacza swych wiernych poddanych?“

Ale prośba została odrzucona. Burboni nie spieszyli się korzystać z usług i wynagradzać żyrondistów roku 1793. Mimo korzystnego świadectwa, na jakie się petent powoływał, odszedł z kwitkiem, uzyskawszy jeno naturalizację francuską dla siebie i rodziny, noszącą datę 20 grudnia 1814 roku.

Ale nagle wraca cesarz z Elby i natychmiast prawie Blanqui odzyskuje swe stanowisko. Łódź przybija do brzegu, orły napoleońskie wzlatają, muskając skrzydłami dzwony wież wszystkich kościołów. Rozbrzmiewają głosem potężnym po całym kraju, a on sam stąpa pospiesznym krokiem zwycięzcy, od miasta do miasta, wyciskając na ziemi ślady swe, obejmując na nowo Francję we władanie. Stąpa od wsi do wsi, wstępuje na przedmurze Alp, przebywa wał potężny, zstępuje w rozlewną dolinę Rodanu, staje pod Paryżem. Orzeł jego siada na

szczyte Notre Dame, Napoleon wkracza do pałacu tuileryjskiego. Następuje „sto dni“, Napoleon jest cesarzem, Blanqui podprefektem. Ale już nie w Puget-Théniers, które jest teraz włoskie, jeno w Marmande, odległem o dwa dni drogi od Bordeaux, nad Garonną.

Blanqui nie krył się z tem, że usiłował uzyskać coś od Ludwika XVIII. „Tak jest — pisze w prośbie o posadę — czyniłem kroki, by uzyskać miejsce urzędnika czasu efemerycznych burbońskich rządów, czyniłem to, by mieć co dać jeść dzieciom. Ale nadzieja zawiodła. Nie wyemigrowałem, a na sam dźwięk słów „były członek Konwentu“, ministrem królewskim wstrząsał dreszcz strachu. Musiałem żyć skromnie na wsi w Grandmont, gdzie żona moja posiada kawałek ziemi i dom“.... W następnem piśmie z dnia 29 marca, mówi: „Nagle, gdy już najmężniejsi utracili nadzieję, Opatrzność wyniosła na tron Francji ponownie bohatera, którego wieki potomne podziwiać i czcić będą, wielbiąc jego cnoty, któremi błyszczał nawet w chwilach klęsk i nieszczęść. Nadzieja budzi się w sercach Francuzów, a serce proszącego bije także przyspieszonym tętnem. Powrót na tron rodziny cesarskiej, na tron, który jej się należy z woli całego narodu, osuszy strumienie łez, ukoji więc też i ból proszącego i jego dzieci, pocieszy całą rodzinę, która po dziś dzień nie przestała oplakiwać strasznych wypadków, które pozbawiły Francję Napoleona“.

W odpowiedzi na to pismo Carnot, minister spraw wewnętrznych, oddaje mu trudny i przykry urząd podprefekta w Marmande, miejscowości południowej, gdzie grasują instynkty monarchistyczne i szerzy się propaganda klerykalna, gdzie Blanqui mimo swego pojedynczego usposobienia z wysiłkiem jeno najwyższym jest w stanie utrzymać się na wysokości zadania i gdzie, co

ranka niemal spostrzega, że ktoś zniszczył i podarł flagę trójbarwną, powiewającą na budynku podprefektury.

XI.

I oto znowu wszystko się zmienia. Walna rozprawa odbyła się i została przegrana pod Waterloo. Statek angielski podąży ku św. Helenie, a Blanqui, który do Marmande nie zabierał rodziny, piechotą powraca do Aunay. Wędruje długo, nie ma co jeść, musi po drodze sprzedać zegarek i zjawia się dnia jednego na wsi, okryty pyłem, z kijem w rękę, w towarzystwie chłopca, niosącego jego torbę podrózną.

Rozpoczyna na nowo walkę o byt. Trzeba znowu zwrócić się do Burbonów, którzy rozsiedli się w Tuilleryach. W latach 1818 i 1819 narzuca się ciągle rządowi Ludwika XVIII, podnosi swe „umiarkowanie, wypróbowane w czasach trudnych“, uzyskuje wreszcie nawet poparcie ludzi takich jak Lanjuinais, Boissy d'Agas, Hely d'Oissel, ale mimo to sprawa utyka co chwila i wkońcu Blanqui uczuwa, że skończyła się jego działalność publiczna, że musi poprzestać na uprawianiu jarzyn w swym ogrodzie i sadzeniu drzew. Teraz kolej na synów, by weszli w szranki. Adolf raz już próbował szczęścia w Paryżu. Wyjechał do stolicy z czterema mniej więcej koszulami, kilku chustkami do nosa i czterdziestoma sousami, które mu matka na odjazd wcisnęła w rękę. Ale prócz nędzy i głodu nic tam nie znalazł. Aby zapłacić hotel musiał czas jakiś odpisywać dokumenty, a potem wrócił do Aunay, gdzie bardzo nieprzychylnie został przyjęty przez matkę.

Gdy się rozeszła wieść o powrocie Napoleona, ruszył

ponownie do Paryża, był obecny przy uroczystościach na placu Karuzelu, ale i ta druga podróż nie zdała się na nic. Wrócił tedy na wieś. Ale tu nowe przeciwności losu spotkały rodzinę i dołączyły się do dawnych, jakby ruina względnego dobrobytu Blanquich była postanowioną. Sprzymierzeni weszli poraz drugi do Francyi, w Grandmont zakwaterowano sztab pułku huzarów pruskich, to jest pułkownika i siedmiu oficerów. Ci wojskowi nie kępują się oczywiście, jedzą, piją, przyjmują przyjaciół. Znika tedy drób, wino, ścinają drzewa, krzewy, dęby stuletnie padają pod siekierami, by potem zrąbane, dać materyał na wielkie ognisko biwaków. Trwa to dość długo i kończy się jeno dlatego, że Adolf poznał się z jednym porucznikiem, siedmnoletnim młodzieńcem, równie jak on sam zapalonym wielbicielem łaciny i greki i ów oficer powiadamia pułkownika, że jedynie przez złośliwość mera obrano Grandmont na kwaterę dla wojska. Wszystko się odrazu zmienia, pułkownik zmusza mera do wyszukania nowej kwatery i środków utrzymania wojska, a Adolf tryumfuje równie jak i pani Blanqui, która z energią wielką i odwagą sprzeciwiała się wandalizmowi pruskiemu, co wprawiało w zachwyty syna.

Adolfowi wreszcie udaje się zdobyć egzystencję w Paryżu. Wstępuje do instytutu Bourg-la-Reine, potem do podobnego zakładu na Marais, a w końcu znajduje miejsce przy ulicy de la Chaussée-des-Minimes, w pensyonacie starego emigranta Massina. Massin przyjmuje go za sekretarza i poleca prowadzenie dwu klas elementarnych, oraz korepetycyę w trzeciej, gdzie przygotowują się uczniowie starsi, uczęszczający do lyceum Karola Wielkiego. Gdy Adolf uzyskał wreszcie 1500 fr. rocznego wynagrodzenia oraz mieszkanie i wikt u Massina,

natychmiast czyni, co było zawsze jego ideałem, sprowadza do Paryża swego młodszego brata, Ludwika Augusta. By opłacić koszta podróży, prosi swego chlebodawcę o dopuszczenie go do pewnego konkursu pedagogicznego, odnosi zwycięstwo i inkasuje nagrodę, potem udaje się do matki z prośbą o wyekwipowanie Augusta, ale spotyka go kategoryczna odmowa. Musi tedy czekać kilka miesięcy, by mógł zakupić rzeczy najniezbędniejsze i wreszcie August zjawia się w stolicy.

Adolf w pamiętniku swym przedstawia brata, jako ślicznego, złotowłosego chłopczyka, w którego oczach maluje się zachwyt dla wszystkiego na co patrzy i wielka inteligencja. Szczęśliwy jest, widząc go „w ławce swej klasy, dopuszczonego do komunii duchowej“. Ubiera dwunastoletnie dziecko w bluzkę niebieską, z aksamitnym kołnierzem. Oto co pisze: „Czekałem z niecierpliwością niedzieli, by go wziąć ze sobą na przechadzkę, pokazać osobliwości Paryża, zaspokoić choć w części ciekawość, odpowiedzieć na szereg pytań, którymi mnie bez końca zasypywał“. W niedzielę zawsze wspólnie jedzą w mieście kolację i wracają do pensjonatu Massina. Adolf jest prawdziwym ojcem dla brata, a z wszystkiego co pisze i robi, widać, że uczucie to głębokie, szczere. W pamiętniku pełno uwag, szczegółów, odnoszących się do Augusta, ale tego wszystkiego zamieścić na tem miejscu nie możemy, nie chcąc uprzedzać wypadków i zepsuć chronologii opowiadania. Na razie niechaj wystarczy sprawozdanie z sukcesów szkolnych Augusta.

„Bardzo szybko August stał się jednym z pierwszych uczniów zakładu Massina, a także wobec zwycięstw, jakie odniósł w liceum Karola Wielkiego, zbladły moje sukcesy niedawne w liceum w Nizy. Po głównym popisie, w którym udział wzięły wszystkie średnie szkoły Paryża, wy-

mieniano go z entuzjazmem i na jednym z pierwszych miejsc figurował we wszystkich listach honorowych. Greka, łacina, historia, geografia... wszystko było mu jeno polem do popisu, za wszystko pobrał nagrody... Pan Massin, poznał się od samego początku na inteligencji mego brata, a teraz niezmiernie radował się jego powodzeniem, którego blask sływał także i na jego pensyonat. To też w dowód uznania zniżył wspaniałomyślnie należytość za utrzymanie Augusta“.

Ale cóż się dzieje? Oto Adolf, który odbył krótką wycieczkę do Anglii spóźnił się o dwa dni i to gniewa niezmiernie pana Massina. Gdy w dodatku niedługo potem spóźnił się na jakąś korepetycję o dwie minuty, nastąpiła kłótnia i zerwanie. „Panie Blanqui — oświadczył przełożony instytutu — lekcyja trwa 60 minut, a miesięczny urlop 30 dni“. Ale Massin mówił to głosem podniesionym wobec uczniów, więc młody nauczyciel nie przyjął spokojnie wyrzutu i podziękował za miejsce. Panu Massin atoli żal się zrobiło: „Cóż jednak czynimy z pańskim bratem panie Blanqui?“ — spytał. „Brat mój szanowny panie, woli mój chleb czarny, jak pańskie frykasy — odpowiedział Adolf — Moje uszanowanie!“

I mimo, że Massin ponownie ofiarował mu miejsce sekretarza, Adolf wyniósł się natychmiast z pensyonatu. Ale zerwanie nie było zupełnem. Adolf przychodził do pensyonatu dawać korepetycję, mieszkał zaś wraz z bratem w mieście. Nie długo potem zjechała ciotka Brionville do Paryża i zajęła się gospodarstwem tak, że wraz ze siostrą, którą Adolf także umieścił w stolicy na pensyi, stanowili wcale sporą gromadkę na wycieczkach podmiejskich w niedziele.

August nie przerwał więc, jak się tego można było obawiać, nauki u Massina, i wedle zepewnień Adolfa:

„Zajaśniał pod koniec takimi zdolnościami, że był wprost najpierwszym z laureatów“. Adolf powiadamia nas, że: „gdy rozdzielano nagrody roczne, dostał takie mnóstwo książek, iż wszystkich pięknych owych tomów poprostu nie można było zabrać do domu, chociaż obładowaliśmy się nimi wszyscy, matka, August i ja“. Wspomina przy tej okazji o jakimś nadzwyczajnem wydaniu Rollina in quarto w żółtej skórce, o złożonych brzegach. Przy tej okazji przyszło też, jak zwykle z byle jakiego powodu, do wybuchu gniewu matki. Gdy Adolf zaproponował, by wziąć dorożkę i złożyć w niej całą tę bibliotekę, pani Blanqui napadła nań z wielką gwałtownością i zasypała wyrzutami, pośród których najcięższym był ten, iż chce brać dorożkę, by pod jej budą ukryć dowody tryumfu brata, któremu zazdrości.

XII.

Przez ciąg sześciu lat, to jest od 1818 do 1824 r., August Blanqui jest więc uczniem i wędruje każdego dnia wraz z gromadą kolegów, z surowego przybytku wiedzy pana Massin do szkoły. Chłopcy o rękach powalanych atramentem drepcą ulicą de la Chaussée des Minimes, przebywają Place Royale, gdzie z zazdrością przyglądają się ulicznikom, tarzającym się w kurzu pod kasztanami, ulicą Królewską dostają się na rue Saint Antoine i wreszcie rozsiadają się na lakierowanych ławkach liceum Karola Wielkiego.

W r. 1824 kończy naukę i już nie jest dzieckiem. Teraz jest to młodzieniec nerwowy, ruchliwy, o ruchach gorączkowych, snadź przepracowany, o bladej twarzy, na której zjawiają się zaczątki wąsów, jest dorosły,

przygotowuje się do wstępnego egzaminu na wszechnicy, co go roznamiętnia i popycha do dyskusyj naukowych z niedawnymi jeszcze nauczycielami. Z natury zakochany w formułach klasycznych jest zapalonym łacinnikiem i grekiem, jego umysł równocześnie pociąga ścisłość rozumowania jak i bujanie w sferach fantazyi, co razem wzięte popycha go do matematyki, tej poezyi liczb, zaś ciekawość wiedzie go znów do geografii i historii. Wszystko go wabi, a wytrwałość przewycięża wszelkie trudności. Adolf w owym czasie jest uczniem Jana Baptisty Saya, jest już ekonomistą i przysposabia się do wykładów, które niedługo rozpocznie w „Atheneum“. Ani mu przez myśl nie przyjdzie zazdrościć bratu — coś podobnego powstać mogło chyba jeno w głowie pani Blanqui — przeciwnie, zachwytem napęlnia go owo niezwykle połączenie inteligencji i pilności i pisze ojcu, który zrezygnowawszy z wszystkiego, mieszka w Aunaysous-Auneau: „To dziecko zadziwi świat!“

XIII.

Wypadki polityczne, jakie miały miejsce między rokiem 1818 a 1824, podczas studyów elementarnych Augusta, mogły snadnie rozpromienić do ostatnich granic, a zarazem uczynić poważnemi, aż do melancholii dusze uczniów, skazanych na milczenie podczas godzin szkolnych, a polatujące niby ptaki po drzewach w porze rekreacyjnej. Poprzez okratowane okna dobiegały w tym czasie dziwne, zmieszane odgłosy z ulicy, a chłopcy wracając na wakacye widzieli, że w mieszczańskich domach rodziców panuje jakieś niezadowolenie i obawa.

Później, jak przez mgłę, ujrzą to wszystko w aureoli

jasnej przeszłości i dziwić się, że przeżyły takie rzeczy. Pewne daty rozbłysną światłością, w obłokach chwały ukażą się symbole, czerwona czapka frygijska, trójca wolności, równości, bohaterstwa, orły rozwijające skrzydła do lotu, laury, krótkie miecze rzymskie, jasne smugi światła, tańczące po lufach dział i migocące na stali bagnetów maszerujących oddziałów. Ponad tłum szemrzący i falujący, niby fale rozkołysanego morza wznosi się trybuna jak skała urągająca burzy. Zwisają sztandary, a ręce klaskających wznoszą się ku nim. Wozy pełne mowców i agitatorów tętnią po bruku przedmieść. A dalej pola bitew usłane ciałami poległych, podobne cmentarzom, które wyrzuciły zmarłych z głębi grobów, a ponad polami wielkie żałobne korowody wron i kruków zataczających w powietrzu koła. Dziwne, tajemnicze postaci idei, które przyjęły kształty plastyczne i ubrały się w kostyumu bogiń. Nikną, to znów pojawiają się, rosną, wydłużają się tak, że głowami sięgają nieba, a wokół rozbłyski pożarów i krzyki. Pewnego ranka zjawia się biały koń, na nim cesarz objeżdża pole bitwy, raduje się zwycięstwem. Wszystko miesza się w jeden kłęb wizji tak dziwnych, tak zda się dalekich, a jednak to wszystko działo się wczoraj. Ci, co przeżyli, nie chcą dać wiary własnej pamięci, wahają się i nie mogą pojąć, że w piersiach ich goreje ideał sprzeczny sam w sobie, mający podwójną twarz, republiki i cesarską.

W obłokach dymu, na tle takim radosnem i tragicznem równocześnie, na mgłę przysłaniającej kontury zjawiają się ludzie, rozgrywają dzieje drugiej Restauracji.

Nie zapomniano, że rząd został narzucony narodowi przez obce armie, wszyscy o tem pamiętają, a oczom

patryotów widni jeszcze car rosyjski i król pruski, defilujący poprzez bulwary wśród oklasków royalistów. Wszyscy pamiętają jak kozacy rąbali lód na Sekwanie, by się wykapać w oczach starych napoleońskich żołnierzy, zmuszonych do odbywania służby w Tuilleryach. Cytadela zajęta, opróżniono arsenały, armaty zabrano i ciągnięto jak ujarzmione lwy na smyczy. Blücher podminował most jenajski, Francuzi musieli dostarczyć wódki i tytoniu prusakom, kontrybucją objęto cały kraj aż do Bretanii. Trzeba było zapłacić siedmset milionów kosztów wojennych, książę anhalckobrenburski zażądał prócz tego żołdu dla czterech tysięcy rejtarów, wystawionych ongi przez jego przodków Henrykowi IV. Brune został zamordowany w Avinionie, a Ramel w Tuluzie. Na równi Grenelle rozstrzelano Labedoyera, Neyą na avenue de l'Observatoire, Cezara i Konstantego Faucherów w Bordeaux, w samym Paryżu jeszcze Miettona i Montona-Duvernet. Bonnaire zmarł w więzieniu, Debelle i Travot skazani na dwadzieścia lat więzienia. A dalej proskrybowani: Drouet d'Erlon, bracia Lallemand, Clauzel, Brayer, Ameilh. Adwokat Didier i towarzysze powstańcy zginęli pod gilotyną w Grenoble. Plaiquierowi, Carbonneau i Tolleronowi, twórcom spisku patryotów, skazanym za zbrodnię morderstwa obcinają przed straceniem dłonie. A wśród tego wszystkiego z pozwolenia Europy panuje w Paryżu, jak dawniej w Mitawie Ludwik XVIII., mający podagrę, upudrowane włosy i epolety złote na niebieskim fraku, Marmont, książę Raguzy urządza rewie wojsk, albo wyczekuje w przedpokoju „króla“ swej andyencyi, Fouché napełnia wszystkich grozą, a Talleyrand niepokojem.

Gdy wszystko to się dzieje, cóż robią uczniowie Massina? Czyż bez względu na wiek i przekonania dzielą

się wiadomościami, jakie bądźto zaczerpnęli czasu pobytu w domu, bądź też wyczytali w pochwyconym na ulicy dzienniku, zachwycają się wszyscy jednym, kłóca się zaciekle, albo pokazują sobie oczyma, to przechodzącego przez place Royale, chudego kościstego jezuity w czarnym rabacie, to czerwonego, królewskiego gwardzistę, paradującego na placu gdzie ongiś stał brązowy posąg Ludwika XIII. Starsi utworzyli zamknięte kółko i prowadzą dysputy zażarte, w owych latach opowiadają sobie rzeczy straszne, od których lica ich bledną, to znów radosne nowiny, które oczy ich napęlniają polskami nadziei:

Generał Cannel zarządza egzekucję w Lyonie... Lafitte, a także La Fayette, Mannel i generał Grenier wchodzą do Izby... Niezawisłych deputowanych jest obecnie czterdziestu pięciu... Kotzebue zabity przez studenta Sanda... Student Loenig, który chciał zabić regenta nasauskiego popełnił w więzieniu samobójstwo, połykając kawałki szkła... Arndt uwięziony... Goerres ucieka do Francji... W dzielnicy łacińskiej studenci, prawnicy zaprotestowali przeciwko dymisji swego profesora Bavoux... Ksiądz Gregoire deputowanym z Grenoble... Liberalów jest obecnie dziewięćdziesięciu... Rewolucya w Madrycie, Lizbonie, Neapolu i Turynie... Ferdynand wypędzony z Hiszpanii, a Ferdynand neapolitański składa koronę... Maroncelli i Silvio Pellico wtrąceni do więzienia szpilberskiego... Wczoraj wieczór książę de Berry został zakłuty nożem, w chwili, gdy wychodził z opery... Dziś rano święto Louvela... Uchwalone ograniczenie wolności osobistej, a także ustawa przeciw prasie, ustanowiono cenzurę i poczyniono restrykcyę w ordynacyi wyborczej w tym celu, by Izbę zalać większością ultramontańskich deputowanych... Urodził się książę

Bordeaux... Studenci po klasach i internatach śpiewają ubliżające królowi piosenki... Wdowa po Brunie, która ukrywała w domu przez sześć lat zwłoki męża, uzyskuje wyrok zaoczny na nieznanego z pobytu zabójcę... Napoleon zmarł na wyspie św. Heleny!

Na tę wiadomość rośnie duch w mieszkańcach Tailleyów, Paryżem zaś owłada zdumienie. Jakto? Więc nie wróci już, jak wrócił z Elby? Większość nie wie, czy mógł wogóle umrzeć, inni marzyć zaczynają o Napoleonie II., który żyje w Austrii. Ale są i tacy, którzy w śmierci cesarza widzą zmartwychpowstanie republiki... de Villèle zostaje ministrem... Grecya pali się... nad morzem śródziemnym, dokoła Scio, łuny krwawe mieszają się z szafirem wody... Spisek wojskowy... Pułkownik Caron rozstrzelany w Tulonie... Doktor Caffé, generał Berton i czterej inni rozstrzelani w Saumur... Na place de Grève ustawiono gilotynę przeznaczoną dla Boriesa, Goubina, Pommiera i Raoulx'a, czterech sierżantów więzionych w la Rochelle. Niejeden ze studentów owego dnia wakacyi wrześniowych widział tę poczworną egzekucyę. Jednym z nich był August Blanqui. Siedmnastoletni chłopak patrzył na krwawy gwałt, widział spadające głowy czterech młodych ludzi i zadrzał z przerażenia i wściekłości. Nie zapomniał nigdy tego widowiska i przysięgi, jaką wówczas uczynił. Onego dnia polityka ukazała się jego oczom w postaci krwawej orgii, wyuzdania bezlitosnego, w którym przepada wolność i życie ludzkie. Z jakążę siłą wżarty się te wspomnienia w dusze wychowañców Massina i jakże nazajutrz dyskutowano! Okrzyk: Niech żyje wolność! rozdarł powietrze... to wołał Bories... Nie, to Raoulx... Nie, nie... ja wiem najlepiej... krzyczeli wszyscy czterej... Zanosi się na wojnę z Hiszpanią... Manuela, który pro-

testował, wypędzono z Izby... Sam de Foucault schwycił go za kołnierz... Nagle... Ferdynand wraca do rządów w Hiszpanii... Riega powieszono w Madrycie... Nowe wybory... Już tylko dziewiętnastu liberałów wybrano... Izba odzyskana.

Tak się wciskają do dusz młodych odgłosy świata zewnętrznego, na długo przed zamieszkami ulicznymi gromadzi się materiał wybuchowy, zapełniają się szeregi wolontaryuszów, a wszystko to tętni donośnym echem we wrażliwych duszach chłopięcych rysuje niezatartymi ślady w ich umysłach.

XIV.

Dziewiętnaty rok życia, to pora czytania, zagłębiania się w książkach bez końca. W tym wieku oczy wpijają się we wszystko co drukowane, ręce wyciągają się do gazet, a umysł żarłoczny, niecierpliwy, połyka wieści, systematy, fragmenty historii, pławi się w filozofii napełnia się frazesami, przesiąka tem wszystkim i zmęczony jest, a napeężniały jak gąbka. Wszystko to porozmieszcza się powoli, samo ułoży, rozklasyfikuje w umyśle i da mu treść wielką i materiał dowodowy. Książki zostaną zamknięte, młodzieniec wstanie od stołika i rozpocznie życie czynu, zapragnie czegoś innego. Wówczas to materiał nagromadzony pocznie się asymilować, stawać własnością jego duszy. Zwłaszcza podczas snu, owej pozornej śmierci, gdy ciało leży ciche, pograżone w ciemności, a osobowość gdzieś się podziewa, gdy twarz jest blada, wargi nabrzmiąte, oddech głęboki, spokojny i miarowy, wówczas duchowe odbywa się trawienie. W tych wszystkich małych, niedostrzegalnych pojedynczo, tak kruchych i wątłych komórkach, mogących

jednak pomieścić bezmiary myśli, wiedza nabyta za dnia przelewa się, by lawa gorąca i zwolna dopiero, w ciszy nocnej spokojniej pulsuje, rozdziela się, to znów zbiera, eliminują się rzeczy nie potrzebne, lub mniej potrzebne i treść oczyszczona rozplywa się po rozlicznych krążgankach, przenikając aż do tajnego zbiornika świadomości. Następuje odpływ.

Blanqui ukończywszy szkoły, doświadczył owego wrzenia w mózgu młodzieńczym i zapoznał się z tą stopniową asymilacją. Teraz już umysł jego ma swoje wybitne cechy, łatwość objęcia i wielką nieustanną produktywność, podobny do łona niektórych samic u zwierząt, które raz zapłodnione ciągle rodzi. Naturalnie równocześnie z wzrostem tęsknoty poznania wykształcają się równocześnie pewne jej formy, a charakter nabiera tych oznak swoistych, które zatrzyma na całe życie. W miarę upływających lat i doświadczeń osobistych zwiększy się jeszcze i oprocentuje kapitał zakładowy, ale pozostanie już usposobienie do sądów a priori, co mu dała filozofia, pozostanie grunt etyczny i skłonności pewne w politycznej taktyce. Na to wszystko wpłynęły też w znacznej mierze wspomnienia o ojcu, łatwość w nauce i temperament południowca. Młody Blanqui rozkoszuje się autorami łacińskimi, pociągają go postaci proste, nagie, starej republiki, a co za tem idzie, bohaterowie Corneilla, Racina, a nawet Voltaira, bo mimo wielu komplikujących pierwiastków napływowych, jest to francuska transpozycya starożytności klasycznej. Niezatarciem pozostało wrażenie przysięg spiskowców, widział sztylet w rękach Brutusa, wziął sobie do serca, że rzecz sama jest wszystkim, osobnik niczem i głęboko się wryły w jego duszy słowa: Ojczyzna i Republika.

Blanquiego pociąga i entuzjazmuje karbonaryzm,

ta forma tajnej, gwałtownej opozycji, która panowała za Ludwika XVIII. i Karola X. Ledwie wyszedł ze szkoły zaraz przyłączył się do jednej z grup. Jak południowiec łatwo się aklimatyzuje w Paryżu, również idea włoska rozkwita bujnie w stolicy. Twórcami karbonaryzmu francuskiego byli Bazard, Flotard i Buchez, a stało się to dnia 1 maja 1821 r. w jednym z domów ulicy Copeau. Na czele stoi „wysoka wenta“, dalej idą „wenty centralne“ i „wenty lokalne“. Armia dzieli się na legiony, kohorty, centurye, manipuły... słownictwo rzymskie święci tryumf. Ale tajemnicę organizacji, całą jej znajomość posiada niewielu stojących na czele. Wenty kantonalne mają wysyłać po jednym deputowanym do went okręgowych, a te ostatnie porozumiewają się z wentą naczelną przez jednego ze swych członków. Karbonar obowiązany jest jeno słuchać, posiadać karabin i pięćdziesiąt ładunków. Inni zaś myślą i ostrzegą na czas, ma jeno czekać rozkazów wodzów, których nie zna wcale.

Blanqui pozyskany dla polityki czasu Restauracji przesiąka ideami konspiracyjnymi swego czasu i za najdoskonalszą formę wszelkiej możliwej opozycji uważa wentę węglarską.

XV.

W tym czasokresie pracuje popołu ze starszym bratem, usiłuje zdobyć stanowisko i przyjść w pomoc rodzinie. Obaj, Adolf i August zostają współpracownikami „Kuryera francuskiego“ Walentyna de la Pelouse, a także „Journal du Commerce“, obaj znajdują miejsca w „Ecole du Commerce“ i obaj każdej soboty popołudniu wędrują wesoło piechotą, by spędzić niedzielę

w Aunay-sous-Auneau. Już teraz uważani są za ludzi niebezpiecznych przekonań politycznych. Adolf znajduje się pod ścisłym dozorem policyjnym, a na Augusta złożono już donos. Raport policyjny z owego czasu odnoszący się do Adolfa wspomina o Augustcie, który „równie jak brat starszy jest nauczycielem w Ecole du Commerce i którego przekonania polityczne są równie złe jak Adolfa“. Ale niema żadnego faktu, żadnego wyraźnego przestępstwa, któreby pozwoliły przychwycić młodzieńców, będących w posiadaniu „złych“ przekonań politycznych. Przeciwnie, na życzenie ojca zgodzili się nawet udać do barona Louis, ministra finansów, poprzednio Napoleona, a teraz Ludwika XVIII., któremu stary konwentczyk oddał swego czasu jakąś przysługę. Ale baron przyjmuje petentów tak lodowato i niechętnie, że odchodzą dotknięci i rozwściekieni, a August gwałtownie zatrzaskuje drzwi za sobą. Raz jeszcze przekonali się, że liczyć mogą tylko na siebie samych. Adolf zagłębia się coraz bardziej w studia nad ekonomią polityczną, August stara się i otrzymuje niebawem miejsce prywatnego nauczyciela, tzw. guwernerkę.

Poraz pierwszy styka się August z życiem w zamku Blagnac, spartym na skałach, wznoszących się stromo ponad łożysko Garonny. Zostaje guwernerem syna generała Compans, którego koleje losu były bardzo podobne do życia ojca, Dominika Blanquiego. Podobnie jak Blanqui, Compans wstąpił jako wolontaryusz w służbę Republiki i został dygnitarzem cesarstwa. Młody nauczyciel z zapalem oddaje się kształceniu powierzonego mu chłopca, a myśl jego szybuje daleko, zwiedza kraje odległe lub zanurza się w dziedzinę myśli ścisłej. Życie płynie mu bądź na czytaniu, samotności i poważnych rozmyślaniach w ciszy swego pokoju, bądź też wesołych

rozmowach z generałem. Nie opuszczają go i tutaj nawyczki młodociane, przeciwnie, może teraz dowoli im się oddać, sypia więc nawet w zimie, nie czując chłodu, przy otwartych oknach, a często płaty śniegu wirują koło jego głowy. Obok tego ustalają się upodobania co do odżywiania. Obrzydzenie, a równocześnie kurcze żołądka sprawiają mu: wino, kawa, likiery, ciastka, mięso. Nie znosi niczego prócz jarzyn, lubi sałatę bez oliwy, octu, soli i pieprzu, owoce, mleko, a nad wszystko pije wielkie ilości wody. Nie pociąga go widok kuchni, gdzie przy ogniu ogromnych kłódzin drzewa obracają się różny z drobiem, ani też widok piwnicy pełnej flaszek różnych barw i kształtów. Je prędko i zaraz wychodzi na taras wzniesiony trzydzieści metrów ponad powierzchnię rzeki, albo przechadza się po zamku. Zbudowany w XVII wieku zamek Blagnac był potem własnością rodziny dorobkiewiczów, urzędników, a trawniki ogrodu i klomby, pomysłu słynnego Le Notr'a zmieniono potem na park angielski. Blanqui najczęściej po spacerze zachodzi do generała zażywającego wczasów po bitwach i oblężeniach. Compans opowiada długo i szeroko o swych czynach, otrzymanych ranach i marzy o Neyu, za którego śmiercią oddał swój głos ongiś. Stary żołnierz dożywa swych lat ostatnich w spokoju, dom jego otwarty dla wszystkich. To też nie brak nigdy wesołych gości, często zjawiają się kokotki, a wówczas w parku odbywają się długie uczyty, tańce, słycać odgłosy pocałunków i szelesty sukien kobiecych.

Pośród tego wszystkiego młody guwerner, błądy, milczący, dwudziestoletni chłopiec, chodzi jak obcy, szeroko otwarte jego oczy zdają się nie widzieć świata zewnętrznego, jakby zapatrzone w głąb duszy, gdzie rodzi się sen dziwny, niewysłowiony. Charakter jego nabiera

konturów, kształtuje się równie jak i nikłe ciało. Surowa powściągliwość, wzrastająca z dniem każdym otacza się mgłą słodczy, o wolę wiecznie napiętą niby o puklerz odbija się szyderstwo zawarte w uśmiechu ludzkim, w oczach zapala się ironiczny uśmiech, spokój widniejący ciągle na szczupłej twarzy, pokrywa żywość i niepokój, którego pełną jest dusza tego milczącego dziecka południa.

XVI.

Gdy Blanqui po dwuletnim pobycie na zamku Blagnac powrócił z końcem roku 1826 do Paryża, by objąć u Massina miejsce korepetytora, a także przygotować się do ostatecznego ukończenia swych studyów prawniczych i medycznych, zastał w stolicy wielkie wrzenie. Karol X. prześcignął w prowokacyjnych rządach Ludwika XVIII i stan rzeczy był teraz nierównie gorszy jeszcze. Miliardy franków rozdzielono pomiędzy emigrantów, uchwalono ustawę o świętokradztwie, a teraz właśnie miano narzucić drugą tak zwane „loi de l'amour“. Studenci opuszczają szkoły, zbierają się po kawiarniach, dyskutują, przychodzi do aresztowań, staré z wojskiem, strzałów. Blanqui naturalnie przyłącza się do demonstrujących i w ciągu roku 1827 trzy razy jest ranny. Po raz pierwszy w kwietniu otrzymuje w ulicy St. Honoré cięcie szabłą, właśnie z okazji owego „loi de l'amour“ de Peyronneta, drugi raz dostaje mu się jeszcze jedno cięcie na moście Św. Michała, podczas demonstracji przeciw jezuitom Recamierowi. Ale wrażenie prawdziwej bitwy ulicznej odnosi Blanqui dopiero 19 listopada 1827 r., nazajutrz po wyborze liberałów do Izby. Godzina jest wieczorna, miejsce zajścia, rue aux Ours i rue St. Denis,

które schodzą się tu, tworząc obszerny plac, obstawiony wysokimi domami. Pospieszne zamykanie okien i drzwi sklepowych nadaje tragizmu sytuacji. Zdała dochodzi odgłos kroków miarowych wojska. Nagle wynurzać się poczyna szereg po szeregu, widać sylwetki ludzi ubranych jednakowo, ruszających się tak samo, jakby wszyscy stanowili jeden automat. Nareszcie rozlega się suchy trzask odwodzonych kurków, wyloty luf zniżają się i bez słowa rozpoczyna się ogień. Kule zmiatają wszystko z placu, w uszach dzwoni od huku strzałów i świstu kul. Jeden z pierwszych pada młody, czarno ubrany młodzieniec. Został trafiony w szyję, ale nie umarł, podniesiono go pospiesznie i zanesiono do domu, gdzie matce, czuwającej po całych nocach nad synem, wydaje się, że widzi naprzód jakim będzie całe dalsze jego życie. To jasne. Czeka jeno ozdrowienia, by pójść znów i nastawić piersi na kule i bagnety.

Gdy Blanqui przyszedł do siebie, żył czas jakiś spokojnie, dając lekcye prywatne u panny Montgolfier, a potem ucząc w pensyonacie żeńskim. Tam to spotkał się z Zuzanną Serre. Była jego uczennicą. Poznał się także niezadługo z jej matką, a ponieważ godził się z nią w przekonaniach i poglądach, powstała wkrótce między nimi sympatya i młody Blanqui stał się w tym domu bardzo częstym gościem.

XVII.

Amelia Zuzanna Serre słucha wykładu w wielkim pokoju, przez którego szeroko otwarte okna widać Place Royale. Jest to młoda dziewczyna o pięknych włosach, już rozwinięta, w długiej sukni, niemal już kobieta, z rumianemi policzkami. Szczęśliwą się czuje, zasłuchana

i zapatrzona w młodego nauczyciela, tak z pozoru surowego, a tak dobrego dla niej. Nie ulega wątpliwości, że naprzód w tej trzynastoletniej dziewczynie obudziła się tajemna sympatya dla dwudziestoletniego młodzieńca. Żywe, namiętne, młodociane uczucie wzbiera w jej sercu i podnosi piersi obciśnięte fiołkowym gorsecikiem bez rękawów. Świt miłości, pierwsze przebłyski uczucia, które nie wszyscy ludzie zdołają uchwycić i zrozumieć. Czyż dostrzegł to Blanqui tak zagłębiany w polityce, że i podczas wykładu oczy jego zdają się śledzić plac królewski i całe miasto? Czyż się obróci i spojrzy na piękną postać dziewczęcą pochyloną nad książką?

Dostrzegł jednak i pojął. Pani Serre przychylnie przyjęła go, pan Serre, architekt, także się nie opierał widząc, że młodzi już się porozumieli. Teraz pozostawało jeno doczekać się stosownego wieku obojga zakochanych.

XVIII.

Przez ciąg roku 1828 i następnego Blanqui podróżuje. Instynktownie udaje się w strony rodzinne, w owe słoneczne okolice, kędy zima nie grozi mrozami i śniegiem. Piechotą, z tobołkiem na plecach przebiega południową Francję, przebywa Alpy i stokami ich dostaje się do Włoch. Tutaj są świeże, rzeźwe wody, pachną liście drzew aromatycznych, drogi zaścielają złomki skał, a domy kamienne palą gorące promienie, z jałowej ziemi znika roślinność, wznoszą się jeno tumany kurzu i pną się w górę ścieżyny kędyś wysoko w krainę słońca.

Właśnie podczas tej podróży zapoznaje się Blanqui z więzieniem i korzysta z chłodnej jego kaźni. Gdy w Nizy wymienił swe nazwisko, przypomniano sobie

jego ojca. Wspomnienie owo, zgoła nie sentymentalnie usposobiło urzędników włoskich. Zaraz poczęto go śledzić, badać, a wreszcie uwieziono. I nagle z pełnego słońca dostał się w szarzyzną półciemnej izby i w uszach mu dudnieć poczęły miarowe kroki klucznika, chodzącego po kurytarzu.

Ale chociaż nie zbyt zachwycone były władze nazwiskiem młodego podróżnika, chociaż coś podejrzywały, niepodobieństwem było trzymać go długo w więzieniu. Więc też jednego dnia drzwi się otwały, każń zalało słońce i Blanqui poszedł dalej. Ale skrócił pobyt we Włoszech, zwrócił się ku Bordeaux, zwiedził to miasto, posunął się aż za granicę Hiszpanii i wyprażywszy się niezgorzej na słońcu palącym drogi wycięte w żywych skałach, powrócił do Paryża 9 sierpnia 1829 roku.

XIX.

Literatura onych czasów namiętą jest i wojowniczą i pod tym względem zupełnie godzi się z polityką. Podczas trzydziestolecia wojen i rewolucyj ludzie całkowicie oddani akcji politycznej i zawodowi wojennemu mało znajdowali pociągu do pracy umysłowej. Ale teraz pożądanja owe, które dały życie nowym ideom, powstały w nowej formie, przejawily się w nowych słowach i zakwitło życie umysłowe skore jeno nastala cisza społeczna i wyczerpanie. I teraz dostrzeżono wielkość Chateaubrianda. Lamartine i de Vigny rozbrzmiali jak harfy o wieczorze letnim. Hugo rozplomienil dusze. Młodzi nie zdadni do odgrywania roli na wielkim teatrze zgromadzeń publicznych, w ciałach prawodawczych i polach bitew połączyli się w kluby literackie po kawiarniach, wstapili w szranki za i przeciw Jemapes i Austerlitz...

desek teatralnych i godzili w siebie wzajem artykułami o obrazach Salonu.

Ciekawe pole do obserwacji daje porównanie rozwoju literackiego i politycznego czasów Restauracji. Opozycja liberalna i opozycja rewolucyjna, biorące swój początek w XVIII. wieku stały się klasycznymi, wzięły na siebie rolę opiekunek tradycji starej Francji, zaś rewolucjonistami słowa i inscenizacji stali się neokatolicy i legitymiści. Pokolenie republikańskie i napoleońskie które żyło się z naśladownictwem łacińskich oratorów i pamflicistów, jakiemu hołdowała Rewolucja, było opanowane przez Dawida, który za swego profesorskiego ustanawiał prawa estetyczne, będące jeno wyrazem uporu przy tem kopiowaniu, banalnem kopiowaniu starożytności na podstawie wspomnień. Tragedya, oda, satyra, bajka, dopuszczalne środki sceniczne, reguły dobrego smaku, oto były formułki i postulaty wcielone ze względów taktycznych do programu sztuki nowatorów politycznych. Ale nietylko w ich własnym obozie krzewiło się to dziwne nieporozumienie. Ci wszyscy, którzy zjawiali się na powierzchni jako bojownicy nowych ideałów, burzyciele form starych i oswobodziciele języka, wygłaszali opinie wsteczne zmierzające do nawrotu ku odpychającemu i despotycznemu retoryzmowi. Ich umiłowanie natury, to był element nowy stworzony przez Rousseau, to też panuje niepodzielnie. Ale natomiast znajomość człowieka i jego duszy nie postępuje równym krokiem ze znajomością rzeczy. Entuzyazmują się chrześcijaństwem i średniowieczem, odprawiają po katedrach nabożeństwa i roztkliwiają ich ruiny. Wstręt do spraw społecznych, które wyrzucają poza nawias objaśnia znużenie życiem, a oznaką tego, rozplómiwienie miłosne do wszystkiego co już minęło, zamiłowanie samotnictwa w otoczeniu rze-

czy starych, apologia tyary i miecza. Głównie różniło romantyków od klasyków prawdziwych zamiłowanie sztuczności i brak wszelkiego przekonania. I dużo jeszcze czasu minąć musiało zanim tradycję podjęto naprawdę i rozwinięto, zanim ustaliła się równowaga. Ale dzieła Wiktora Hugo zawierają już zaródź odnowy polityczno-socjalnej i romantyzm jego jest zdolny do rozwoju. Nie długo zjawi się Balzac i napisze historię owych czasów poszukiwań i niepokoju, Balzac, który wyłania się z przeszłości i odkrywa rzeczy przyszłe.

Okolo roku 1830 rysują się wyraźnie upodobania kierowników ruchu artystyczno-umysłowego, romantycy zachwycają się kostyumami, sylwetkami miast starych, tragiczną miłością, mglistymi heroinami, puderkami pełnemi trucizny, tronami, ołtarzami, wsiami i klasztorami, republikanie oklaskują Kazimierza Delavigne, rozkoszują się Courier'em i śpiewają piosnki Berangera.

XX.

Blanqui w owych czasach poświęca się polityce, literaturze, zwraca na siebie uwagę wykształceniem i staje się ważną osobistością w partyi swojej. Zawsze miał w pogardzie owych płaskich ekscentryków w olbrzymich kamizelach, uśmiechał się ironicznie słuchając sekcjarzy politycznych, patrząc na demonstracye teatralne. I kto wie czy nie byłby podpisał oskarżenia Armanda Carrela przeciw Wiktorowi Hugo. Ale ciekawiły go sprawozdania dzienników omawiające dysputy premierów Paryża i doktrynerskie spory obu Izb. W dniu, w którym Polignac został ministrem Blanqui wstąpił do „Głobu“ jako stenograf. Dostarcza teraz pismu opozycyi jedynie sprawozdań

z obrad parlamentarnych, usuwa się zresztą od wszystkiego, zamyka uszy na plotki redakcyjne, mówi bardzo mało, słucha wiele i bada. Wynika to zresztą z jego usposobienia zamkniętego w sobie i skłonności do rozmyślań. A w piśmie kierownikami działów, literackiego, filozoficznego i politycznego są: Guizot, Cousin, Villemain, Barante, Broglie, nowicyusz ma przed oczyma postacie ludzi wybitnych i słyszy częstokroć ważne, brzemiennie w skutki słowa. Często nasuwali mu się sami autorowie doktrynerskich artykułów „Globu“, więc Remusat, Jouffroy, Damiron, Vitet, Duchatel i Duvergier de Horanne, Miquet i Ampère, Dubois i Barthelemy Saint Hilaire, Sainte-Beuve i Thiers. Ale bliższa jeszcze zażyłość łączyła go z Piotrem Leroux administratorem i sekretarzem, oraz dyrektorem, Dubois. Zakochany w piśmie, pełen najgórniejszych nadziei co do roli politycznej, jaką „Globe“ ma odegrać, poświęcający się cały piśmu Dubois, ogłosił zrazu w roku 1824 szereg szkiców krytycznych filozoficznych i literackich głosząc wszędzie z wielką śmiałością swe sądy i wojując przeciw literaturze zaspanej i drobiazgowej swego czasu, a zaraz po upadku Villela i zniesieniu cenzury założył w roku 1828 swój dziennik polityczny. „Globe“ był znienawidzony przez rząd, śledzony ciągle w każdym wierszu, prześladowany, ale już od samego początku wyraźnie zarysował się jego charakter. Była to cieplarnia, gdzie w sztucznej atmosferze mieli dojrzewać orleanistyczni mężowie stanu.

XXI.

Młody bojownik nie zużywał całego swego czasu na śledzenie tych wszystkich postaci w wysokich hal-

sztukach i uroczystych krawatach. Toczące się około osoby Polignaca spory polityczne i prawodawcze także nie absorbowwały go do tego stopnia, by nie miał wziąć się napowrót do studyów i zaniedbywać swe sprawy sercowe. Odwróciwszy oczy od polityki staje się zaraz weselszy, rozmawia i śmieje się w salonie panny Montgolfier gdzie spotyka myślące czytane kobiety i oddających się poważnym naukom mężczyzn. Nadewszystko jednak odwiedza swą dawną uczennicę Amalię Zuzannę Serre. Dziewczyna ma obecnie szesnaście, Blanqui dwadzieścia pięć lat i teraz już związkowi ich nic, zda się nie stoi na przeszkodzie. Nie trudno mu było poznać co się dzieje w jej sercu, przekonał się, że w nim samym uczucie nie wygasło, przychodzi do porozumienia i zaręczyny się odbywają. I oto stary cichy dom i ogród przy place Royale opromienia zorza budzącego się, nowego życia opartego na prawdziwej miłości. Ale wszystkie te rozmowy i zwierzenia miały rozwiać się w nicłość, a znaczenia ich nie miał pojąć nikt inny, prócz umarłych, w sercach których pozostało ukryte na zawsze. I z trudnością przychodzi wyobrazić sobie w otwartym oknie domu, gdzie po nich tyle postaci musiało się zjawiać, młodzieńca i dziewczynę z roku 1830, rozmawiających, uśmiechnionych, szczęśliwych. Obraz spełniony jakiś, miłość tak gorąca i głęboka, w oddali czasu to jeno wspomnienie, jeno coś niejasnego związanego ze strojem, ruchami a i to jakieś dziecięce i starcze zrazem, niby ówczesny drzeworyt.

XXII.

Pewnego ranka lipcowego, w chwili gdy posiepaki króla zjawiają się w redakcyi „Monitora“, Blanqui zastaje

w redakcyi „Głobu“ wszystkich współpracowników razem zebranych, niespokojnych i poważnych. Przeczytawszy kilka relacyj odgaduje na czem się to skończy: „Nim upłynie tydzień o dalszych losach Francyi rozstrzygnie broń palna“. Ale Jouffroy ani słyszeć o tem nie chce, twierdzi, że załatwi się wszystko pokojowo: „Nie padnie ni jeden strzał“. Nazajutrz zebrano się znowu na naradę, na której wziął udział Dubois umknąwszy ze szpitala waryatów, gdzie go więziono. Wśród obecnych są: Cousin, Piotr Leroux i Beranger. Blanqui namawia kolegów, by utworzyli komitet rewolucyjny. Ale oni wolą czekać i co więcej pozbywają się niebezpiecznego współpracownika. „Broń rozstrzygnie“ powiedział odchodząc „ja w każdym razie biorę karabin i tricolor“. „Panie — rzekł na to Cousin — proszę pamiętać że godłem Francyi jest sztandar biały“. Ale Blanqui już jest daleko, biegnie na place de la Grève, widzi na Notre Dame chorągiew trójbarwną, biegnie i znika w kurzawie i dymie owych trzech dni, które mają się później zwać: Les Trois Glorieuses.

XXIII.

Zgiełk, tentent, wrzawa, jakby zerwała się przeogromna burza, biją pioruny działo, padają ludzie, by drzewa lasu. Tłum faluje, tu się zbiera tam znowu rozpryskuje na części, by zewrzeć się ponownie o kilka kroków dalej. Chaotyczna gra fal wspinających się ku punktom stałym i trwałym, choć z pozoru tak nikłym. Cicho zalewa nieraz to morze wyspy granitowe Palais Royalu, Tuille-ryów, ratusza, rozszerza się wokół swych warowni bez szelestu, aż nagle fala cofnie się w tył, podniesie w górę grzywiasty łeb i wali w skalną ścianę czołem, póki nie

pryśnie i nie padnie u jej stóp. To znowu odpływają wody, ciekąc setkami strumieni wąskich uliczek. Dziwny miałby widok ktoby mógł wznieść się ptakiem w górę. Zda mi się że czynię to patrząc nań z oddali czasu, bo czyż nie starczy ona za odległość przestrzenną? I widzę też ów przypływ i odpływ czarnych fal, ruchy te wszystkie dziwne, wrzenie niby gotującego się płynu, wir zawrotny po którym rozstępują się bałwany i wzrok sięga kędyś głęboko, do dna, albo nastaje cisza okropna zwiastująca nowe wybuchy i nowy atak szaleństwa.

Rewolucyjna burza rozpetąła się nad miastem, a pioruny jej biją z niewysłowioną siłą w stare mury fortecy monarchicznej, stare smutne, jakby mrokiem owiane, szarokamienne wysokie mury kościołów, pałaców, w których już nie zbudzi mocy słońce, ni dzień nowy. Sterczą w górę, ale jakby już drżały, podgryzione od podstaw przeżarte tą czarną wodą co bezustannie podmywa im stopy, wciska się w szczeliny bije, tłucze, aż dreszcz po wysokich bastyonach przebiega. Rozpetany żywioł grzmi, fosforyzuje na powierzchni, błyskota salwami, zalewa szeroką falą wszystkie ulice, bulwary, ulicą St. Antoine dostaje się na skwery, przelewa się, rozdziela i łączy, bierze w uściski Notre Dame i Louvre, niezwyciężony, potężny, jak morze w przypływie, któremu niema przeszkód.

XXIV.

Co do szczegółów tych dni i nocy, dowiemy się gdy wezwiemy na świadectwo dzienniki, pamiętniki, sprawozdania pisane przez współdziałających i widzów owego krótkiego dramatu politycznego, że nie różnił on się

niczem od swych poprzedników. Jestto przypadek klasyczny. Zamęt zaburzeń ulicznych na początku, a koniec rewolucya. Dnia 27 lipca młodzi dyskutują w Palais Royalu, gorączkują się, wskakują na krzesła, każdemu się zdaje że jest Kamilem Desmoulins. Nadchodzi wojsko i rozprasza ich. Potem lekkomyślny któryś oficer każe strzelać do tłumu w ulicy St. Honoré, w stronę rue du Coq. Zabitych przenoszą do Charité i na ten widok wybucha natychmiast długo nurtujący gniew mas. Podnosi głowę bunt piersi wzbierają żądzą zemsty i uniesieniem poświęcenia. Wieczorem tegoż dnia wchodzą do miasta pułki gwardyi zarekwirowane z prowincyi, z Courbevoie Rueil, Wersalu, na plac Karuzelu wytoczono armaty. Podniecenie wzrasta do ostatecznych granic, przeprzechoinnie rzucają się na patrole, zabierają proch kule i broń ze sklepów, zamykają ulice stosami kamieni, cegieł i sznurami, rozrzucają gwoździe, by uniemożliwić ataki kawaleryi. Stłuczono trzy tysiące latarń ulicznych. Ale mimo wszystko Paryż kładzie się i śpi.

Ale budzi się wcześniej nazajutrz 28 lipca i natychmiast rozbrzmiewają okrzyki: „Vive la Charte!“ „A bas les Ordonnances!“ Nikt nie zdaje sobie sprawy czego ma dokonać rewolucya, ale wszyscy się do niej sposobią. Gdziekolwiek się drzwi otworzą o świcie, ukazuje się w progu człowiek gotowy do boju, przez ramię rzemień z ładownicą, na głowie kepi, w ręku broń, szabla, kij, strzelba, narzędzie jakiegokolwiek. Studenci prawa i medycyny organizują się, studentów politechniki widać już na ulicach. Oddziały powstańców w bluzach, w paltotach, w samych jeno kamizelkach z białymi rękawami koszuli idą na bój, tłoczą się, spieszą zetrzyć się z siedmnastotysięczną armią królewską, nic sobie nie robiąc z dwanastu dział wytoczonych na plac Zgody.

Poczyna się walka, tłum prze naprzód, to znów cofa się, tu pobity zbiera się niedaleko i rzuca na wojsko. Opanowano i znów musiano opuścić ratusz, ale za chwilę jest odzyskany, chwila, a z wieży Notre Dame powiewa flaga trójbarwna i biją na alarm dzwony. Potem widać, że ktoś poczyna kierować walką, ataki są coraz regularniejsze. To przyszli inżynierowie, studenci politechniki ze szkicami terenu w rękach kierują tłumem. Usiłowanie generała Marmonta, by osaczyć powstańców, obchodząc bulwary spęzło na niczem. Oddziały połączyć się nie mogą na rue St. Antoine, bo na głowy żołnierzy spada z okien grad kamieni brukowych i mebli wszelkiego rodzaju. Następuje odwrót. Mimo, iż wypłacono z góry żołd za półtora miesiąca i zarządzone wydawanie wina po placach i kasarniach, wojsko znużone ciąglą gonitwą po ulicach, poczyna szemrać, niedbale wykonywać rozkazy, strzelać gdziebądź, albo nawet w powietrze. Tej nocy Paryż już się nie kładzie. Podczas gdy armia wróciła do koszar, znika z ulic bruk, znika literalnie z większości ulic, które zamykają gęste barykady. Co pięćdziesiąt kroków zatarasowane są wózkami, fiakrami, omnibusami, dyliżansami, beczkami z ziemią, kamieniami i drzewami bulwarów. We wszystkich domach od pierwszego piętra w górę pełno kamieni. Jestto broń kobiet i dzieci. Kamienie te spadną na głowy żołnierzy księcia Raguzy.

Dwudziestego dziewiątego lipca monarchia posiada w Paryżu już jeno pozory i zewnętrzne symbole swej wiekowej potęgi. Żołnierze Karola X. mają w swych rękach same jeno Tuillerye, Louvre i Palais Royal. Komendant miasta proklamuje zawieszenie broni, ale jakże nikła jest ta proklamacya, nieledwie lekliwa. Zmuszony jest poprzestać na tem, że oficerowie rozdają afisze, pisane

w pierwszych szeregach powstańców, okalających wojsko ciasnym kołem. Ale nie pora nawet i na to. Nikt nie czyta pisaniny, Tuillerye i Palais Royal wzięte, na Louvrze zjawia się trójbarwny sztandar i powiewa tryumfalnie.

XXV.

Niepodobieństwem jest w tłoku i ścisku zauważyć, co robią poszczególni ludzie, w niezmiernym wrzasku trudno rozróżnić głos czyjś wyraźnie, w chaosie fal giną pojedyncze fale. I tylko gdzieś tu i owdzie dziennikarz i rysownik, obaj poprzestający na roli obserwatorów ulicy, mogli zauważyć i uchwycić wynurzające się z dymu postacie na pierwszym planie. Oni jeno mogli zanotować kilka rysów właściwych walczącemu Paryżowi. To jednak, co nam dali, wystarczy dla zobrazowania tego rozmachu mas, tej atmosfery entuzjazmu, którą dyszały ulice, heroizmu wielkiego dramatu, jak również i jego śmieszność.

Postaci tych wyjątkowych ludzi, wydzierających kamienie z bruku ulic, strzegących barykad, polujących na wszelaki uniform, przybierają nagle kształty legendarne i robotnik paryski zostaje uwieczniony w książkach i na płótnie, jako bojownik ulicy, doświadczony rewolucjonista, wędrujący po mieście pół nago, z ładownicą i szablą przywiązaną sznurkiem do koszuli, z gołą głową, w zdobytym kepi z galonami, lub stosowanym kapeluszu z pióropuszem, bez pieniędzy, znużony, wielkoduszny, poczerniały od prochu, pocący się na słońcu, upominający się ostentacyjnie o wodę, w chwili, gdy mu podają szklanekę wina, rozsiadający się na tronie, jak to czynili

sansculoci dziewiędziesiątego trzeciego roku, dzielący się łupem z towarzyszami, wychodzącymi z apartamentów królewskich, wreszcie karzący śmiercią złodziei. Wystarczy spojrzeć na rysunki Charleta i Raffeta, przeczytać publikacje, sprzedawane w parę dni po walce, na dochód wdów, sierót i rannych, a przed oczyma zjawia się postać wojownika. Gwałtowny, jaskrawy koloryt, owych naiwnych opowieści, tworzących niby muzeum obrazów rewolucyj, odzwierciedla wspomnienia, wiarą obudzoną nagle, nadzieje, wszystkie cnoty tłumu nagle wyzwolone, a na tem tle wyraziście kreślą się sylwetki ludzi, pozbawionych bruku ulic stolicy. W owych hyperbolicznych sprawozdaniach same zachwyty. Oto jakiś lekarz dał pięć strzałów do lancierów, a potem powrócił do swego zajęcia, do opatrywania rannych, których dosięgły własne jego kule... O kilka wierszy dalej autor dziwi się niezmiernie śmierci jakiegoś Anglika, który dostał kulą w głowę, w chwili, gdy zbliżał się ku oknu pokoju hotelowego gdzie mieszkał, by rzucić kilka kamieni na głowy żołnierzy królewskich. Działo się to przy rue St. Honoré, dodaje autor dla dokładności. Ktoś znajduje niespodzianie miecz Karola Wielkiego. Przechodzą oddziały wojsk, niosąc na bagnietach nabite bochenki chleba i pieczone kurczęta. Niezmierną ilość bohaterów spotyka zaszczyt uścisków La Fayette'a. Kobiety przebrane za mężczyzn, jak amazonki podmiejskie, rzucają się w bój. Terminatorzy nadają najendacniejsze nazwy swym karabinom. Jakiś izraelita odgrywa wielką rolę i widać wszędzie walczących Polaków. Zjawia się też Gavroche. Tak, to on, mały chłopiec chwytając jeźdźca z koniem, zabiera mu broń i depeşe przeznaczone dla dworu. Tenże sam Gavroche rozbija w puch pułk wojska, bierze do niewoli pułkownika i stroi się w jego kepi. Albo znów inny,

młody studencik dowodzi oddziałem stu pięćdziesięciu ludzi i stoi na straży przez dwa dni i dwie noce, jeszcze inny zmusza oficera kawaleryi, by krzyczał: „Vive la Charte!“ Potem zabija go strzałem, rzuca się na brzuch, by uniknąć salwy, ucieka, a potem wraca i szuka po placu zgubionego kepi.

Ostatecznie rezultat jest taki, że ministrowie dostają się do więzienia w Vincennes, intryga orleanistyczna odniosła zwycięstwo, powstańców zwabiono do Rambouillet, wypędzono króla wczorajszego, a gdy się to działo, sfabrykowano jutrzejszego w osobie Ludwika Filipa. Król-obywatel wyłazi na fotel wysoki Karola X. A wreszcie i to jest skutek prawdziwy... Sekwaną płynie powoli od Morque ku Polom Marsowym statek, pełen trupów. Niektórzy w trumnach, inni nadzy, przykryci słomą brudną, przysypani wapnem niegaszonym. Z masztu zwiesza się w grubych zwojach czarna, żałobna flaga. Na rzece snuje się ostry odór rozkładających się ciał, a woda jak przedtem szafirowa i złota, szkli się i połyskuje w ciepłym, jasnym, sierpniowym słońcu. Oparci o parapet brzegu ludzie patrzą. Głowy złożyli na rękach, inni wydają pomruk dziwny, a jeszcze inni żegnają oklaskami ten olbrzymi karawan, posuwający się cicho, mknący w dal śmierci.

XXVI.

Wieczór dnia 29 lipca, gdy czerwone opary zachodu przysłaniały jeszcze rude dymy salw i pożarów, zebrani w saloniku panny Montgolfier znajomi jej rozmawiali półgłosem, często też słowa zamierały im na ustach, nad słuchiwano, a ten lub ów zbliżał się do okna ciekawy, co wieści ulica. Naraz słyhać na schodach kroki. Ktoś

zbliża się szybko, drzwi się otwierają i w progu staje Blanqui, powstaniec. Twarz i ręce jego poczernione prochem, okryte kurzem, z czoła ścieka pot, rozchodzi się od niego ostry odor dymu, ale z ócz widać, że niesie wieść tryumfu, że bitwa wygrana i oto woń ta, idąca od niego wydaje się nagle zapachem wiosennych kwiatów. Staje na progu, a z rąk wysuwa mu się karabin i pada z głuchym łoskotem na posadzkę. I znów wydaje się, że stal dzwicząca nuci piosenkę tryumfu, że biją dzwony zwycięstwa. Wszystko to harmonizuje z brutalnymi, ironicznymi słowami, które się mimowoli wyrwywają z ust przybyłego. „Romantykom sprawiliśmy lanie!” Tak woła student i w okrzyku tym znajdują swój wspólny wyraz i łączą się jego nienawiści polityczne z uprzedzeniami literackimi. Nienawidził liryzmu, frazesu powagi katedry, miłował natomiast miarę, reguły i wzory klasyczne.

Słowa to głębokie, znaczące, krótkie i jasne, jak błyskawica, która oświeca nagle umysły ludzi roku 1830 wychowanych w tradycjach, wręcz przeciwnych, nawykłych do tragedyi i dramatu, noszących znaki wyraźne wpływu szkoły oficjalnej, przywykłych w sztuce i nauce wszelakiego rodzaju do owego życia minionego, rozmyślających o klasztorach, olśnionych widokiem trybunów i konsulów, papieża i cesarza.

I oto słowa te, w których leżała zapowiedź, a może już jeno relacya o dokonanej fakcie porażki literatury nowej, odbiły się echem w duszy jednego z obecnych. Ten młody człowiek o bladej, delikatnej twarzy, który wydał już zarys historii współczesnej i studyum o filozofie włoskim Vico, to Michelet, którego myśl błądzi w owym czasie po kryptach romańskich i gotyckich i wysiła się obudzić do nowego życia umarłych historii.

XXVII.

Ranek po rewolucyi. Z jakimże zdziwieniem zbudzili się ci, którzy udali się na spoczynek jeszcze ogarnięci gorączką czynu i zapadli w sen pełen zwidywań bohaterskich wysiłków i zamętu walki. Otworzyli oczy i półsenni jeszcze, pojąć nie mogą, że to wszystko tak szybko się stało. Muszą zbierać myśli i przypominać sobie fakta i szczegóły wypadków dnia wczorajszego. [Entuzyaści, którzy przed kilku godzinami biegali po ulicach i pałacach, wyrzucając w niebiosy okrzyki nadziei i tryumfu, oszołomieni są teraz powodzeniem i znużeni walką. Ciało opada na posłanie, mózg woła o spoczynek. Pytają się siebie wzajem i dziwią, a ręce ich bołą, jakby nazajutrz po przepitce i wybuchu namietności. Pytają się, kto im dał tego wina złudzeń, kto napoił ich serca takim zapalem, młodością i miłością. Energia przemienia się w rozpa miętywanie, wola nie zmienia się bezpośrednio w czyn, z aktorów przemienili się we widzów i teraz jasne im, że mylili się, sądząc, że odegrali całą sztukę. Brali jeno udział w prologu. Przyszli bowiem inni, ci, co podczas zamętu walki trzymali się na uboczu i teraz nabrali odwagi widząc, jak łatwo wyczerpują się siły ulic. Ci nowoprzybyli uporządkują to, co poprzewracano, wszystko niemal przywróca na dawne miejsce, zmieniawszy jeno kilka etykietek. Likwidacją rewolucyi zaraz w nocy zajęli się ludzie przebiegli, trzeźwi, świadomi, klucznicy historii, notarynsze, adwokaci, aferzyści. Rodząc się, przynieśli już z sobą na świat zmysł rządzenia, znają dokładnie mechanizm cały, każdą sprężynę i kółko, umią pokierować ruchem roztropnie, wiedzą, jakie należy poczynić koncesye, ale wiedzą także, że wystrzegać się należy wszelkiej zmiany biegu rzeczy w państwie i losach jedno-

stki. Są poważni, słowa ich uroczyste i wierzyć im trzeba na słowo, gdy zapewniają o swej kompetencji i zdolnościach. Gdy strzały milkną i trony obalone, ludzie ci uspakajają ludność afiszami, a afisze te czytają z uśmiechem dobrodusznym wczorajsi rewolucyoniści, którzy dziś wrócili do swego zwyczajnego zajęcia i zbijają bruki stolicy.

XXVIII.

Ból owego wyczerpania, tragizm nagłego oczarowania brzmi donośnem echem w wierszach Barbiera w „La Curée“. Barykady jeszcze stoją, a jedynym rezultatem trzydniowej walki jest monarchia orleańska. To też ta brutalna poezya, ów krzyk zgrozy rozległ się echem potężnem po ulicach i placach, gdzie wałęsały się jeszcze echa strzałów i zwieszał w festonach dym szary, przysłaniający widok. Wszyscy zamilkli, by nie stracić ni słowa. A poeta zdyszany, urywanym głosem opowiadał bohaterstwa walki i marny kompromis zawarty niemal natychmiast. Akcent był ostry, słowa szorstkie, brak obrazowania, wiersze nierówne, pełne nieznośnych jambów, wściekle jakieś, złe, jakby skaczące po nierównych, pozabawionych bruku ulicach.

Ale okrzykami i oklaskami klątwy i oskarżenia poety przyjęli wszyscy ci, których rozgoryczyło wstąpienie na tron „najlepszej z republik“, demokracji, którzy ujeli szablę i karabin, by obalić raz na zawsze zasadę monarchizmu, a oto patrzeć musieli, jak buja na nowo na glebie użyźnionej, krwią przelaną.

Ci ludzie w dziele poety czerpali otuchę, że nie wszystko jeszcze przepadło, gdy młodzież zdobywa się na takie słowa. Wszak ta poezya przedmieścia, ożywiona

zapalem rewolucyjnym, ta druzgocąca satyra była bronią, którą odzyskać można było na nowo utraconą placówkę. Nie uświadamiali oni sobie, że i literatura ma swe okresy wyczerpania, swe wczasy po walce, że rozleniwienie i sceptycyzm nachodzi ją równie jak politykę i że poeta, który wyrzucił ten okrzyk, zapadł już w milczenie.

XXIX.

Blanqui był jednym z tych, co nie złożyli broni. W owej epoce jego duszą owładnęły dwa prądy, negacya, mająca swe źródło w niedowierzaniu, a równocześnie jakaś wiara w przyszłość. Dziwna to była mieszanina. Nie przestawał z ufnością myśleć o tem, że grupa ludzi zdecydowanych może zmienić sytuację i dowolnie zmienić stan rzeczy w państwie, a jednocześnie ze złością wygłaszać pesymistyczny pogląd, że „dzisiaj“, diablo jest podobne do „wczoraj“, a pewnie „jutro“ też niewiele się od „dzisiaj“ różnić będzie. Krytyka wypadków, które z dnia na dzień są do siebie podobne, narzekanie na brak woli w ludziach, bezsensowność powolnego rozwoju, powinny go były doprowadzić do zgoła innych wniosków, jak były wnioski ludzi czynu, buntowników, protestujących przeciw środowisku, w którym się znaleźli i w którym żyć byli zmuszeni. Wiekuiste: „I na cóż?“, te ulubione słowa marzycieli nieproduktywnych mogły się stać zaułkiem, w którym utknęłyby spostrzeżenia jego jasno widzącego umysłu i porywy niezaspokojonego serca. Ale nie stało się tak. Chociaż zjadliwie podkreślał głupotę, zacierzewienie, oschłość nieprzystępną dla uczuć prostej ludzkości, słowem tysiące rzeczy marnych i głupich, panoszących się teraz, nie stracił jednak wiary. Wierzył

i wiara ta czyniła, iż w myślach przeciwstawiał pracą się naprzód mniejszość, zadowolonej i sytej większości, i będąc sceptykiem nie przestał być apostołem, mimowoli pełnił swą misję w wielkiej sprawie wiekiustego rozwoju, na który składają się fale postępu i uwstecznień i wyczuwał w swej duszy ów ciągły rytm smutku i świtań nadziei, idącego ku swym przeznaczeniom rodzaju ludzkiego.

XXX.

Gdy minęły dni rewolucyi Blanqui odznaczony krzyżem lipcowym nie wahał się długo. Zaraz widzimy go w klubie, przy pracy dziennikarskiej i w tajnych stowarzyszeniach.

Węglarskie wenty czasu Restauracyi przetrwały rewolucyę i przekształcone zostały w stowarzyszenia ludowe w okresie panowania zasady „laisser faire“. Trwa to czas jakiś, a gdy znowu powróciła groza ustaw reakcyjnych, wenty przeobraziły się niemal całkiem w związki tajne, przybierając dawną postać i organizacyę. Pod etykietami: „Porządek i postęp“, „Związek skazańców politycznych“, „Reclamants de Juillet“, „Francs régénérés“, tworzą się dawne grupy, i jak dawniej, każdy członek obowiązuje się do solidarności, propagandy, posiadania karabinu i nabojów. Wnet siły rozprószone centralizują się w związku „Société des amis du peuple“, na czele którego staje Cavaignac, obradującym niemal w permanencyi klubie w manège Peltiera przy rue Montmartre, gdzie publiczność dopuszczona na galerię patrzy i przysłuchuje się obradom członków, gromadzących się na arenie wyścigowej. Ale we wrześniu 1830 roku i „Związek przyjaciół ludu“

i klub Peltiera muszą przeobrazić się w stowarzyszenia tajne i oto ta sama organizacja i broń, która zwalczała Restaurację, obraca się przeciw Ludwikowi Filipowi.

W styczniu 1831 roku, deklaracja zredagowana przez Blanquiego imieniem komitetu uczniów szkół wyższych stwierdza, że gmach konspiracji, o którym myślano, że leży w gruzach, stoi silnie na niewzruszonych oparty podstawach i odtąd staje się hasłem związkowców: Pracować nad tem, by rewolucja lipcowa nie była kłamstwem.

Za tę deklarację ogłoszoną w „Tribune“, dalej za udział w manifestacji tłumnej w podwórzu Sorbony, za plakaty i zebrania burzliwe, za rzucenie jaj na ministra i rzekome rozbicie szyby jego karety, Blanqui zawezwany przed sąd rady uniwersyteckiej pozbawiony zostaje 22 stycznia prawa uczęszczania na uniwersytet przez ciąg trzech semestrów. Pojawiają się protesty, studenci burzą się, przychodzi do demonstracji i aresztowań. I Blanqui dostaje się do więzienia, mimo oświadczeń sprawozdawców parlamentarnych kilku dzienników, że widziano go w Izbie, w czasie między godziną drugą a czwartą, gdy awantury w Sorbonie się odbywały. Wbrew temu alibi Blanquiego trzymają w więzieniu. Trzydziestego stycznia przewieziono go z „Dépôt“ do „La Force“. Dzienniki polemizują ze sobą w sprawie rewelacji „Nationalu“, odnoszących się do prześladowania Blanquiego. Prefekt policji broni się i przeczy. Na to Blanqui odpowiada listem datowanym z „La Force“. W liście owym więzień w dosadnych słowach maluje, jak rząd nagradza ludzi, którzy zań przelewali krew w lipcu, opisuje co spotyka jego samego i jego przyjaciół, jak muszą żyć ze złodziejami i mordercami, jeść jarzyny, w których roi się od robactwa, pić błotnistą

wodę, jak im wilgoć z murów spływa na pościel, a wyziewy wstrętne zanieczyszczają powietrze. Nie żali się zresztą, oskarża tylko i kończy cytatem łacińskim i wierszem Berangera. List wydrukowano i zaraz tego jeszcze wieczoru wypuszczono Blanquiego i jego towarzyszków, a „National“ znów podniósł pytanie czy dopuszczalne jest więzienie trzecztygodniowe wobec alibi wykazanego zaraz pierwszego dnia.

Nazajutrz, 14 lutego, wybuchły zaburzenia w kościele St. Germain Auxerrois, i osaczono pałac arcybiskupi.

W lipcu, w przeddzień sadzenia pamiątkowych drzew wolności, odbyły się rewizje domowe u redaktorów dziennika „Związku przyjaciół ludu“, a Raspail i Blanqui zostali aresztowani pod zarzutem spisku przeciw władzy państwowej. August Blanqui w zeznaniach swych uwalnia od wszelkiej odpowiedzialności brata Adolfa, a ten ze swej strony, 19 września, protestuje przeciw postępowaniu ministra sprawiedliwości Bartha, który bez wahania odczytał publicznie list pochwycony przy rewizyi, pisany przez Blanquiego do Anthony-Thoureta i Raispaila. List jest jasny, radzi odłożyć na później wywody doktrynerskie, a wziąć się do czynów. „Idzie o powstanie — mówi August — zdobądźmy się na trochę zapału, odwagi, na dyskusye dość będzie czasu po zwycięstwie. Ale nie utrzymuje się oskarżenie o spisek, władze zadowolniają się prostem przekroczeniem prawem. Sprawa jest ciekawą z tego względu, że wykazuje zapał i gorączkę czynu dwudziestosześcioletniego młodzieńca bezpośrednio po wypadkach roku 1830.

Ówczesnego Blanquiego opisuje Henryk Heine w jednym ze swych listów publikowanych w „Augsburger allgemeine Zeitung“.

„Przypadkiem — mówi Heine — znalazłem się na zgromadzeniu „Przyjaciół ludu“... Było tam z półtora tysiąca ludzi stłoczonych w ciasnej salce, podobnej do sali teatralnej. Obywatel Blanqui, syn byłego członka Konwentu, wygłosił długą przemowę pełną szyderstw pod adresem burżuazji. Drwił niemiłosiernie z owych sklepikarzy, którzy obrali sobie królem Ludwika Filipa, ów „kram wcielony“. Obrali sobie go zaś z pominięciem interesów ludu, i lud wolny jest od zarzutu, jakoby przyłożył ręki do tej haniebniej uzurpacji. Była to mowa niezwykle zręczna, gryząca, wypowiedział ją Blanqui trzęsąc się ze złości... Całe zgromadzenie wyglądało i pachniało jak stary, wyczytany, zatłuszczony, zużyty egzemplarz „Monitora“ z roku 1793. Widziałem tylko gołowąsych młodzieńców i starców. ...Zresztą u jednych i drugich zebranych w sali „Przyjaciół ludu“ zauważyłem nastrój poważny i spokojny, jaki napotykamy u wszystkich, którzy czują się silnymi. Oczy im tylko błyszczały i krzyczeli: „To prawda!“ „To prawda!“ — ile razy mowca kładł nacisk na jakimś fakcie.

Wydaje się jakby w tym czasokresie władza, którą zwalcza Blanqui, obserwowwała go, katalogowała jego czyny i słowa, kompletowała materiały oskarżenia, wogóle sposobila się do napaści.

Przeciwnicy próbują swych sił. Nowy rząd usiłuje wśród poczynającego się wrzenia odróżnić od masy wrogów niebezpiecznych, przywódców ruchu, oficerów rewolucyi. Więzienia czekają, ale gdy raz się otworzą, to pochłoną na pewne tych, których niemiło byłoby widzieć na wolności. Więc jakkolwiek gorzkie i groźne, były słowa Blanquiego, wypowiedziane w styczniu 1832 roku wobec ławy przysięgłych, podczas procesu „piętnastu“, w który jest wmieszany skutkiem swej afery, chociaż

tak ciężkie i nowe są zarzuty skierowane przeciw społeczeństwu i niebezpiecznym jest bardzo jego słownik socyalny, mimo, że od pierwszych słów mówi o konieczności zwycięstwa proletaryatu, sąd uwalnia go od zarzutu przestępstwa prasowego, jak również zbrodni spisku i zamachów wniesionych przez prokuratorę państwa.

Ale urzędnicy widzieli dobrze jego energiczne, niedwuznaczne gesty, w brzmieniu słów dosłuchali się obietnicy kul karabinowych, uderzyła ich logika i trzeźwość rozumowania, drwiny uczuli w obrazie, który im roztaczał przedstawiając ich w postaci świeżo upieczonych feudałów, którzy cłem okładają kogo im się podoba, a rzeszę nieposiadających zniżają do roli bydła pracującego na miliony podatkowych pieniędzy. Urzędnicy wysłuchali tego wszystkiego i skazali mowcę właśnie za tę mowę znieważającą ich, na rok więzienia.

XXXI.

Historia owych czasów wypełniona wyrokami i utarczkami socyalistów i sklepikarzy, z czego znów wynika ustawiczne zamykanie klubów, skutkiem czego zmieniają się one w tajne związki, dalej znajdziemy tam częste zaburzenia uliczne, od których rozpłomieniają się namiętności mas, potem następuje proces ministrów, marsz na Vincennes, nieudały spisek wśród gwardyi narodowej, w listopadzie 1831 wybija się na wierzch kwestya socyalna z racyi olbrzymiego strejku lyońskich tkaczy w fabrykach jedwabiu, potem zwracają na siebie uwagę manifestacye na korzyść Polaków i wreszcie zjawia się cholera, która porywa Dominika Blanquiego. Okropności

tej zarazy zwiększa jeszcze powstanie 5 i 6 czerwca, wybuchłe przy okazji pogrzebu generała Lamarqua, powstanie tak nieoczekiwane, że stolica przez chwilę była w rękach rewolucjonistów.

Armatami bombardować musiano klasztor Saint-Merri, gdzie garść ludzi trzymała się przez dwa dni za stołami kamieni brukowych, bijąc się, lejąc kule i robiąc naboje. W tej walce rząd naraził się niesłychanie, ale była ona też klęską i wielce mogła zniechęcić republikanów, bo objawiała się przy tej okazji niezmierna przewaga wielkich oddziałów regularnego wojska, a co gorsze, szczęście zdawało się odwracać od powstańców.

Blanqui siedzący już od sześciu miesięcy w więzieniu za swój występ oratorski podczas procesu, nie zraził się jednak krwawą czerwcową rozprawą i przegraną i nic nie zmąciło jego wiary w powodzenie nagłych napaści i powtarzanych ciągle zbrojnych rozruchów. Nic dziwnego, miał lat 27 i nie rozczarowało go doświadczenie, nie mógł też, u progu swego, poświęconego idei wolności, życia wiedzieć, że ruchawka każda z góry jest skazana na niepowodzenie, że tryumf rewolucyi dać może jeno jednomyślne i jednoczesne powstanie całego narodu. Potem gwałtowność jego usposobienia skojarzyła się z wielką roztropnością, ale niemniej gwałtownym pozostał na zawsze.

XXXII.

Prosto z więzienia spieszy z zapalem do pracy w stronnictwie opozycyjnem. Ojciec umarł, brat starszy, obecnie dyrektor „Ecole du commerce“, pogodził się z rządami Ludwika Filipa, potępia czyny młodszego

brata, i niepokoi się zarazem jego przyszłością. Starsza siostra Zofia wyszła za mąż za Barelliera, właściciela kawałka ziemi w Beauce pod Aunay-sous-Aunau, młodsza Zoé jest przy matce. Blanqui cały wolny od pracy czas spędza ze swoją narzeczoną, która godzi się podzielić z nim kiedyś to życie burzliwe i niepewne jakiego wiecie.

Po zgromadzeniach przyszedłszy do domu, pracuje nad sobą późno w noc, tonąc w książkach i papierach, czyta, notuje, rozmyśla i wreszcie odbiera wizyty tajemniczych osobistości. Odciętym się czuje od świata, zapomnianym ze swymi olbrzymimi pomysłami na wielkim, wzburzonym oceanie Paryża, ale gdyby widział rzeczy jasno i mógł przeniknąć do ich głębi, możeby uwierzył, że ów mały pokoik, gdzie co wieczora zapala lampę, stanie się latarnią morską, ku której pobiegną spojrzenia wszystkich, skieruje się zła lub dobra wola, wyteży energia. Nie wie tego jeszcze i wiedzieć nie może, bo jest za młody. Jest to dziś wątłe światełko na statku rzucanym falami, nikt nie i rozbłyska zależnie od podmuchu wichru. A jednak ten czuwający po nocach młodzieniec mógł zbudzić się pewnego ranka admirałem floty, od którego zależy czy ją szczęśliwie do cichej doprowadzi przystani, czy rozprószy po morzu i wyda na pewną zgubę.

Za pierwszych tych lat zresztą, misja jego jest niejasna jeszcze i nieokreślona. Pobiera naukę i wzoruje się na doświadczeniach i starszych. Przyświeca mu, jako mistrz, Michał Buonarotti, przyjaciel Baboeufa, skazany za spisek „przyjaciół równości“, przedstawiciel gorączki socjalnej czasów Rewolucji. Drugim nauczycielem jest mu uczony Raspail, przesiąknięty tradycjami doktryny republikańskiej. Potem pociągnie go ku sobie Lamenaïs, złamany przez papieżstwo, z zapadłego ostępu

dzikiej samotni la Chenaie, rzucający tłumom „Słowa wierzącego“, ów Dant współczesny, pół-kapłan, pół-socyalista o gestach buntownika, z sercem wezbranem goryczą. Ale w tym czasie, roku 1832, Cavaignac prowadzi masy do ataku na despotyczny gabinet Kazimierza Perriera, a dopiero później, gdy powstaną stowarzyszenia „Société des Familles“ i „Société des Saisons“, Blanqui, a po nim Barbés, zostaną jednogłośnie uznani za kierowników rewolucyi.

XXXIII.

Ale zaraz od chwili swego pojawienia się w redakcyach dzienników i klubach, gdzie opozycja liberalna i parlamentarna przywódców lewicy w Izbie nie była uważana za dostateczną, Blanqui uzyskał pewnego rodzaju uznanie, zaufanie i kredyt moralny.

Udział i działalność w bitwach ulicznych, rany odniesione w roku 1827, krzyż lipcowy przyznany mu po owych trzech, pełnych bohaterstwa dniach, pozyskały mu opinię bojownika idei demokratycznej, wybitnego działacza i rewolucjonisty bez zarzutu. Gdziekolwiek się pojawił, szczupły, blady, milczący, zaraz przychodził wszystkim na myśl jakiś projekt ukryty, plan obmyślany, był konspiratorem niez mordowanym. Niepokój o przyszłość nieznaną kojarzył się w jego duszy z wierzeniami legendarnymi i mistycznym szacunkiem dla jutra. Ten młodzieniec o zwichrzonych włosach, krótkiej rudej brodzie, jasnych oczach i zaciśniętych ustach, który tak niedawno wziął się do polityki, porwany zaburzeniami społecznymi, miał już na sobie piętno weterana rewolucyi.

Jeśli bacznie przyjrzymy się jego działalności w epoce pierwszych lat rządów Ludwika Filipa, jeśli weźmiemy

na uwagę jego przemowy, spostrzeżemy, że wierzył w zasadę: sposobie się długo, działać szybko. I zamysłał naprawdę poruszeniem wielkich mas ludzkich doprowadzić do tego, by ziściła się przemiana społecznych stosunków, której pragnął, o której marzyła gorąca jego dusza. I w tem właśnie dał dowód niezwyklej rozwagi i wielkiego zmysłu praktycznego, okazał się działaczem, który umie w karby ująć przypadek. W swych namiętnych artykułach, płomiennych dyskusjach, ową wielką przemianę społeczną określa jeno ogólnikami. Podczas gdy inni przywódcy grup nie przestają proklamować swych utopii, kodyfikować ideałów, umysły zwolenników skuwać żelazną obręczą logiki, Blanqui na rozstajach myśli rewolucyjnej zatykał zdala widoczny i pociągający ku sobie sztandar niepewności. Milczenie to gromadziło w okół niego wszystkich, których niezadowolenie, tęsknota i nadzieja popychały ku buntowi. Bezstronny, jak przystało na prawdziwego terrorystę, uznawał wszystkie požądania i wszystkie złudzenia, wcielał do swej czarnej armii wszystkich, co chcieli iść i bić się, nie żądając od nich hasła szczegółowych i nie wymagając wyznania wiary zgodnej z jego wiarą.

Pozwalał więc idealistom swej partyi budować w poście czoła grody szczęścia, gdzie cnotliwi obywatele przyszłości zapoznałyby się mogli ze srogością przepisów drobiazgowych i powabem nudy i jednostajności. Ograniczał się do ciągłego przypominania, iż naprzód należy zdobyć Tuillerye, ministerstwa, prefekturę i że trzeba naprzód zburzyć to co stoi na przeszkodzie, a potem dopiero można przechadzać się po ścieżkach rajy ziemskiego stworzonego przez wyobraźnię. Praktyczny zdrowy rozsądek nakazywał mu iść co dnia naprzód krótkimi etapami. Co dnia po trochu. Naprzód trzeba przystąpić

do związku, policzyć swe siły, zgromadzić bruk i rozpocząć strzelaninę. Co potem nastąpi okaże się samo przez się. Organizacya społeczna powinna nastąpić dopiero po zwycięstwie.

Czyny jego, podobnie jak słowa, nie zawierały bliższych wskazań. Ale myśl jego ciągle pracuje i właśnie badania tego czasokresu doprowadziły do odkrycia, że można zmienić formy posiadania. W tym to czasie posyła do pisma pt. „Liberateur“ rozprawę o współdziałaniu i z tej to rozprawy później miał przekonać się Benoit Malon, że Blanqui pierwszy w Europie dał zasadniczą formułę kolektywizmu. Blanqui rozmyślnie odsuwa na bok marzenia i spekulacye nasuwające mu się ciągle, nie stara się określić niezbadanego celu, nie ściga mirażu, o którym niewiadomo jest że na ziemi jałowej, czy chmurach nieba. Potem? Któż odgadnie co będzie potem? Sam instynkt, sama potrzeba życia wystarczą. Idei było tyle już i ciągle zaprzeczały im fakty, określały je, zmieniały. Trzeba iść naprzód i w samym tym ruchu znajdować zadowolenie, czyn sam jest nagrodą za działanie, należy iść naprzód i działać ciągle, co dnia, bez wytchnienia, a skutek przyjdzie niezawodnie, bo przyjść musi. Przynajmniej jakiś zawsze nastąpi.

Tego ostatniego zdania nie wygłaszał i nie mógł wygłosić. Byłoby mu ono poczytane za dowód ironicznego sceptycyzmu, a Blanqui tak dalekim był od sceptycyzmu jak masy, które chciał pociągnąć za sobą. Wierzył w natychmiastowy wysiłek i jeden ten dogmat wyznawany stale, uparcie, i udowodniony niejednokrotnie na przykładach, wystarczył mu do osiągnięcia stopnia generała rozruchów, któremu przysługuje prawo kreślenia planu i dawanie sygnałów rozpoczęcia walki.

XXXIV.

Drugim generałem został Barbés. Armand Barbés, urodzony na Guadelupie, wrócił do Francji i przybył do Paryża z okolic Tuluzy, gdzie przebywali jego rodzice. Był podobnie jak Blanqui południowcem, ale pochodził z Langwedocji, był Gaskończykiem, nie miał w żyłach krwi włoskiej, to też różnił się temperamentem od Blanquiego. Był nieco obcym temu wszystkiemu co Paryż przeżywał właśnie. Zrazu wiódł łatwe, zwyczajne życie człowieka bogatego, beztroskie życie właściciela ziemi, urozmaicone podróżami do stolicy, za granicę, ale potem porwały go wypadki, zapoznał się z ludźmi, zapalił do sprawy, i oto wnet ze spokojnego rolnika zrobił się fanatyczny wielbiciel wypraw krzyżowych ulicy, nie dający się prześcignąć w żadnej awanturze. Polubił przygody, a przygody wypraw republikańskich wydały mu się najszczytniejszemi. Ileż bo piękna w takim boju o sprawiedliwość? W XVI wieku, kiedy każda wybitna jednostka mogła wyzwolić swe instynkty na swój sposób, byłby niewątpliwie został jednym z głównych podżegaczy do walk religijnych, byłby szedł do boju zbrojny w miecz cnoty, dysząc żądzą sławy. Teraz, bez łykliwego pancerza, bez symbolicznego pióropusza, w tem, że porzucił dostatki i leniwe ich używanie odnajdywał urok czegoś niezwykłego i rozmiłował się w nowem życiu. Co za rozkosz maszerować po nocy przez ulice, przedmieścia, wsi, w tłumie ludzi w bluzach, płaszczach, stukać obcasami po bruku miejskim, a potem upajać się zapachem prochu, wdychać mgłę nocy, napadać składy broni, zdobywać posterunki policyjne, widzieć wychodzące przeciw sobie z zakrętu ulicy kolumny wojska. A chociaż scenerya owych wypraw była niezbyt świetna,

domy niskie częstokroć i nędzne sklepiki przedmiejskie, wyobraźni Barbésa wystarczało to. Bo od czegoż wyobraźnia.

Nie ulega wątpliwości, że pewną niechęć do współpracy z Blanquim musiał czuć ten człowiek, bardziej pochopny do czynu, jak do rozważki, entuzjasta zawsze gotowy do wydania władzy walnej bitwy, zamilowany w efektownych słowach, wierzący w Republikę i Chrystusa, naśladowca Zbawiciela i Konwentu z roku 1813.

W stosunku do Blanquiego jest on żołnierzem wobec dyplomaty, żołnierzem niedawno awansowanym na oficera wobec dowódcy armii i polityka. Bystry i krytyczny rozum tamtego, wytrwałość granicząca z uporem, jego polityka milczenia, cała ta taktyka katakomb, musiały go odpychać częstokroć, jak cienie ścielące się po zaułkach, jak ciemne pokoje, jak wynurzające się nagle karkołomne schody, co toną w czeluściach niezgłębiomych piwnic, musiał się czuć jakby w opuszczonym, a nieznanym domu, gdzie szuka rękami drogi człowiek olśniony jasnymi promieniami słońca, a gdy potknie się o coś, nakazują mu milczenie.

XXXV.

Strzały do króla, eksplozje maszyn piekielnych pod powozem dworskim, odgłosy salw karabinowych, wznoszące się rusztowania szubienic, oto wypadki straszne na tle nieustannych pościgów za rewolucjonistami i masowych aresztowań winnych i niewinnych. W powietrzu czuć bliską burzę gniewu ludowego, śmierć biega po ulicach, z okien raz po raz sypią się kamienie, błyskają

smugi ognia z broni palnej, grzmia strzały, snują się dymy przysłaniając niebo, i wydaje się, jakby to nie ludzie gotowali się do walki, ale sama natura chciała wyładować w piorunach nagromadzone zapasy energii, jakby chciała sama przekonać się o swej sile.

XXXVI.

Po ślubie pozostał Blanqui nadal w tej atmosferze polityki, bo innym powietrzem oddychać już nie umiał. Nadeszło więc szczęście, o którym z dawna marzył, od pierwszych lat młodości, i szczęście to nie może oderwać go od przeznaczenia, musi pogodzić się z walkami codziennymi i codziennem niebezpieczeństwem. Ale zaszła zmiana i stał się jeszcze bardziej nieprzystępnym i tajemniczym.

Człowiek, nawykły do ukrywania swych wycieczek na miasto, swych planów, postanowień, który za naczelną zasadę życia publicznego uważa tajemniczość, nie może być jako mąż skłonny do zwierzeń, nie będzie deklamował o swych uczuciach. Miłość schodzi głęboko do serca, kryje się na dno duszy człowieka skupionego w sobie, na którego bladej twarzy nie widać odbłyśków lawy gorejącej w głębi.

Ale Blanqui żyje podwójnym życiem, tem i tamtem równie gorączkowo. Gdy jest przy żonie, gdy potem bawi się z dziećmi, słuch jego wyteżony, oczy patrzą w strony nieznanego jego blizkim, dochodzą go słowa, których nie wypowiedziano, siedzi jak na szpilkach, bo oto nagle wspomniął sobie, że zobowiązał się być tam, widzieć z tym, wydaje mu się, że słyszy dalekie pomruki groźby, lub, co gorsza, rozpaczny okrzyk porażki. Zrywa

się, spieszy do klubu, biegnie do redakcyi na tajne posiedzenie. Pisze artykuły, w których nienawiść idzie o lepsze z tkliwością, żąda, by małuczcy nauczyli się wydzierać należne im prawa, a pisząc, równocześnie nazywa schadzki, planuje zamachy.

I teraz, podobnie jak w chwilach poświęconych rodzinie, także nie przestaje nadśluchiwać. Jak przedtem drżał na każdy odgłos z ulicy, tak teraz przysposabiając rozruchy, w chwilach kiedy nasuwają się trudności i kolizye, nie może obronić się słodkim obrazem szczęścia rodzinnego. Zwiduje mu się ciche, ciepłe mieszkanie, czuje niepokój żony, która tam oto czeka i trwoży się, myśli o szczęściu, które to się chowa, to znów ukazuje... dusza jego migota jak światełko latarni morskiej, raz niknące, to znów widoczne człowiekowi walczącemu z nawałą burzy na ogromnym, bezmiernym, rozszalałym oceanie.

XXXVII.

Rok 1834, to rok szczęścia małżeńskiego, czas pierwszych upojeń miłosnych. Blanqui kocha swą dziewiętnastoletnią żonę, ale równocześnie potęguje się w nim jeszcze zaciekłość rewolucjonisty. Wydaje się, jakby chciał udowodnić sobie i innym, że nie zejdzie ani na chwilę z posterunku i że rola jego jako człowieka, godzi się z powołaniem rewolucjonisty. Ale rok szczęśliwy pod jednym względem przynosi ze sobą ciężką klęskę partyi republikańskiej. Represyjne ustawy, ograniczające wolność prasy, wolność zgromadzeń, a uchwalone i stosowane przez dawniejszych liberałów, przeciwnych czasowi Restauracyi tego rodzaju praktykom rządu, cały ten nawrót do absolutyzmu, wykazuje jasno nicość nadziei

lipcowych i bankructwo tej idei. Pod biczem prowokacyi drży masa zorganizowana, targa się na uwieży, wydaje pomruk dziki, każdej chwili gotowa podnieść rzuconą rękawicę. Jeszcze chwila, a tron Ludwika Filipa runie. I niewątpliwie byłoby to nastąpiło, gdyby nie ówczesni ministrowie, jak Soult, Thiers, Barth, Guizot, którzy pokazali, że potrafią ubiedz i sparaliżować zamysły przeciwnika.

Powstanie lyońskie zgnieciono, powstanie w Paryżu uniemożliwiono, zanim jeszcze mogło się rozpocząć. „Tribunę“ zamknięto, członków stowarzyszenia „des Droits de l'Homme“ wtrącono do więzienia. A pośród tych, co nie utracili wolności rozpoczęły się swary, wymiana sprzecznych zdań i co gorsza sprzecznych rozkazów. Prowokacya dopięła swego, znikło widome godło i nastąpił zamęt. Carrel źle usposobiony i inspirowany odmawia ogłoszenia w „Nationalu“ proklamacyi wzywającej do rozpoczęcia walki, a sama ta walka niezdarnie rozpoczęta 13 kwietnia, kończy się czternastego zgubą grupy ludzi, którzy na oślep poustawiali barykady w dzielnicy Temple, w zaułkach ulic, Beaubourg, Transnonin, Aubry-le-Boucher, Geoffroy-Langevin, aux Ours, Maubuée, Grenier-Saint Lazare.

Wszystko kończy się rozpaczną walką około domu l. 12, ulicy Transnonin i rzezią po walce, w której zwycięskie wojsko nurzało się we krwi mężczyzn, kobiet, dzieci, starców i chorych nawet.

Barbésa zamknięto, a potem sprawę jego umorzono i Blanqui także nie został pociągnięty do odpowiedzialności. Podczas procesu, w kwietniu 1835 roku, kiedy wszyscy czynni członkowie partyi republikańskiej, jakich jeno schwycić zdołano, zostali stawieni przed trybunał Parów Francyi, ferujący wyroki w pałacu luksemburskim,

obrona oskarżonych zostaje powierzona Blanquiemu i Barbésowi. Mają wyjaśnić zasady polityczne i socyalue partyi i opowiedzieć szczegółowo zajście przy rue Transnonin, co zresztą uczynił już przedtem Daumier.

Oskarżeni zarówno z Paryża, jak i Lyonu złączyli się do tej akcyi wspólnej i celem ich była nie tyle obrona, co chęć rewindykacyi praw swej idei społecznej. Chcieli przy okazji procesu wyłożyć swe zasady tak, by głos ich został posłyszany w całym kraju. Oskarżonych było 121, a pośród nich: Godefroy, Cavaignac, Baune, Armand Marrast, Guinard, de Ludre, Causidière, Lagrange, de Kersausie, Vignerte, Recurt, Clément Thomas, Albert...

Złączyło się z nimi też wszystko, co było w partyi republikańskiej żywotne, zdolne do czynu, poświęcenia, a więc: Lamennais, Armand Carrel, Trelat, Raspail, Carnot, Piotr Leroux, Jan Renard, Cormenin, Stefan Arago, August Comte, Marc Dufraisse, Dupont, Flocon, Michel (de Bourges), Degeorge, Juliusz Favre, Marie, Ledru Rollin, Girard, Garnier-Pagès, Buonarotti, Martin Bernard, Barbés, Blanqui...

Ale i pośród nich nie było jedności, być jej nawet nie mogło. Oskarżeni lyońscy różnili się od paryskich w zapatrywaniach na taktykę i zaraz podczas zebrania wstępnego wybuchł spór między obrońcami, zwłaszcza kłócili się Michel (de Bourges) z Juliuszem Favrem. Działo się to w mieszkaniu Blanquiego. Zresztą Izba Parów nie zgodziła się na tych obrońców, motywując odmowę tem, że nie posiadają kwalifikacyi adwokackich, a co więcej, obrońcy sami zostali postawieni w stan oskarżenia z powodu ogłoszonego protestu, który kończył się temi słowy:

„Nikczemność sędziego jest najwyższą chwałą oskarżonemu“.

Odpowiedzialność za ten list otwarty przyjęło na

siebie ledwo kilku i ci zostali zasądzeni. Obrona tedy została udaremniiona, oskarżeni odmówili odpowiedzi na pytania i w grobowej ciszy zapadły wyroki, skazujące ich na wygnanie i więzienie. Odsiadujący karę w więzieniu Św. Pelagii Godefroy, Cavaignac, Marrast, Gninard i kilku innych, uciekli.

Pogrom się udał, rząd zwyciężył. Zdziiesiątkowano legion przywódców partii republikańskiej, organizacja jej została zniszczona. Ale duch jej nie zaginął, ci, co pozostali zacięli się jeszcze bardziej w upornym szerzeniu idei buntu, zbrojne powstanie uważając za najskuteczniejszą broń dla wywalczenia masom praw politycznych i społecznych. To też ledwie wydany został wyrok na sądzonych w kwietniu, w miejsce zamkniętego „Société des Familles“, powstaje i zyskuje odrazu mnóstwo członków „Société des Droits de l'Homme“, a miejsca uwięzionych zajmują Barbés i Blanqui. Po zajęciach na bulwarze du Temple, podczas przeglądu wojsk, w lipcu 1835, kiedy to Fieschi, Morey i Pepin usiłowali z szeregu strzelać do Ludwika Filipa, podniesiono też zarzut przeciw nim, ale okazało się, że nie wiedzieli o zamiarze, nie brali żadnego udziału w zbrodni królobójstwa, co więcej nie uznają tego rodzaju akcji, nie wierzą w jej skuteczność i potępiają ją.

Ale biorą zaraz potem czynny udział w fabrykacji prochu przy ulicy de Lourcine. Przygotowania do powstania są w pełnym toku, siły rewolucyj wzrosły niezmiernie, a przecież trzeba czekać. Niema dostatecznej ilości amunicji i broni. O broń zresztą mniejsza, znajdzie się w stanowczej chwili w składach rusznikarzy, rzecz główna to proch i kule, trzeba przygotować jedno i drugie i schować w bezpiecznych magazynach. Fabryka prochu mieści

się przy ulicy de Lourcine l. 113, w domu zatraconym, niby łódź na oceanie, wśród rozłogów dzielnicy Port Royalu, gdzie same jeno widnieją mury szpitali i klasztorów. Oficjalnie zwie się to suszarnią, pracuje tam stale po kilka osób co dnia. Blanqui przychodzi każdego ranka do laboratorium, a Martin Bernard każdej nocy i oznajmia swe przybycie zapomocą rzucania w szyby garści piasku. Potem drzwi się otwierają bez szelestu. przybyły niknie w czarnej sieni i po niedługiej chwili wychodzi znowu z workiem na plecach. Za moment już go nie widać, znikł wśród ciemności, jak przyszedł. Martin Bernard w ten sposób co nocy nosił proch na ulicę Dauphine, gdzie wylewano kule i robiono naboje, w domu pod l. 22—24. Niestety wysłedzono obie fabryki i pewnego dnia policja zastaje przy „zbrodniczem zajęciu“ należących do stowarzyszenia studentów i robotników. Wśród aresztowanych dnia 6 marca, jest i Blanqui, przychwycony w pomieszkaniu Barbèsa. Komisarz pochwycił jego portfel. Na ten widok rzucił się nań Blanqui jak szalony, wydarł mu z rąk niemal wszystkie papiery i począł gryść i połykać. Ale i komisarz zdołał zdobyć kilka dokumentów, zresztą w papierach Barbèsa znalazła się druga lista członków i oto w sierpniu posypały się kary, przy której to okazji Blanqui skazany został na dwa lata więzienia. Został osadzony w więzieniu głównem w Fontevrault, w departamencie Maine-et-Loire, a żona osiadła w temże mieście wraz ze synem jedynym, bo drugie dziecko umarło. Blanqui odsiedział ośm miesięcy tylko, gdyż w roku 1837 amnestya zmieniła jego karę na przymusowe osiedlenie w Pontoise, gdzie zostawał pod dozorem policyjnym.

XXXVIII.

Czasu onego pokutowania w Jancy, nad brzegami rzeki Oisy, gdy Blanqui był odcięty od Paryża, rozpoczął się miesiąc miodowy pożycia dla młodego małżeństwa. Dla tych dwojga ludzi zaświtało wreszcie spokojne „dziś“, odsunęła się wieczysta obawa i gorączka „jutra“, więc nie dziwnego, że pili ową ciszę ukryci w przytulnym domku wiejskim, otoczonym ogrodem, schodzącym ku rzece łagodnym spadkiem, patrzyli na zachodzące słońce z wielkiej, oszklonej werandy, radowali cudnym, puszystym trawnikiem, pękami kwiatów, co zazierały przez okna, było im dobrze, cicho, jak na wilegiaturze, wesoło, jak dzieciom na wakacjach. Zamknęli swe szczęście w tej kryjówce, wśród zieleni, co wieczyste się odnawia i ta odnowa pociesza serca, żyli, a życia nie widział nikt, prócz słońca. I oto człowiek, wczoraj jeszcze targany sprzecznymi wichrami polityki, nauczył się w cichej zadumie patrzeć na zmierzch, bezgłośnie schodzący na ziemię, na wijące się kędyś w dal, bez wyraźnego kierunku, zasłane kurzem drogi wiejskie. Opoдал widnieje las, ciemna jego ściana pozwala marzyć o niezmiernych ostępach borów. Blanqui siedzi u okna, głowę sparł na rękach, oczyma wodzi po drzewach, widzi migotliwą toń rzeki, myśli jego snują się zwolna, jak jej fale, poddaje się urokowi otoczenia i śni o tem, że znalazł szczęście.

I znalazł je. Ale wnet nasuwają się wspomnienia innego szczęścia, tego, które się skończyło. Szczęścia, które stanowiło parcie się naprzód wśród zmieniających się ciągle światła i cieni, tego tajemniczego, szarpiącego upojenia konspiracji, zamieszek, walk za ideały. Później, niejednokrotnie przyjdzie mu na myśl, że jednak więcej dobra niż wszystko inne dała mu ta chwila spoczynku

w przystani losu, ten spoczynek za karę, narzucony przez prawo. Nieraz z rozkoszą wspomni jasną suknię żony, snującą się po ścieżkach, posłyszysz pierwszy płacz dziecka, rozbrzmiewający donośnie w ciszy wiejskiej.

Dla przywódcy partii jest jednak tragicznem to, co dla człowieka stanowiłoby dobroczynny zwrot w życiu. Blanqui nie może i tu przestać myśleć o polityce. Jest ona wiekuistym gościem w małym, wiejskim domku, każe mu konspirować przeciw ciszy, szczęściu własnemu, mąci samotność. Podczas przechadzek wzdłuż rzeki, aż tam, gdzie wpada do Sekwany, podczas dalekich wędrówek do lasu w miejscowości Isle-Adam, włączę po polach Beauchamp, gdzie widnieją pustacie zasłane kamieniami, porośnięte różowo kwitnącymi głógami, wycieczek do odległego lasu Montmorency, nie schodzą mu z myśli problemy strategiczne, widzi się ciągle na ulicach Paryża. Nawet owe peryodyczne zmiany na niebie i ziemi, jakie przynoszą z sobą pory roku, wszystko, co daje jesień, zima, wiosna i lato, dziwnie przypominają mu owe żmudne prace organizacyjne w „Société des Saisons“. Bo właśnie Blanqui całą duszą tkwi w owem nowem stowarzyszeniu, które ma zastąpić rozwiązane „Société des Familles“. Zmiany księżyca notowane w kalendarzu, obserwowane na niebie, wiele innych zjawisk przyrody znajdzie swój wyraz i nazwy w nowej organizacji rewolucyjnej. Grupy dzielą się na drobniejsze podziały: miesiące i tygodnie. Trzecziesięczne czasokresy, tworzące porę roku, stać mają pod rozkazami wodza, noszącego miano: Wiosna. Każdy miesiąc ma cztery tygodnie, a naczelnym miesiącem jest Lipiec. Tydzień składa się z sześciu członków pod przywództwem Niedzieli. Wodzowie są niewidzialni, Blanqui nie bierze udziału w ogólnych zebraniach. Kierownictwo naczelne jest podobnie, jak w węglarstwie

osłonięte tajemnicą, a przyjmowanie i wtajemniczanie odbywa się z równą, jak w lożach wolnomularskich, uroczystością. Jest to tajemny werbunek, konspiracyjna rekrutacja armii powstańczej. Wszyscy cisi pracownicy fabryk, każdy pracujący na chleb powszedni, każdy spotykany na ulicy przechodzień, wszystko to jest armia bliskiej rewolucyi. Może już jutro wybuchnie, któż to wiedzieć może!

Sygnał do rozpoczęcia da on, Blanqui, wyrzucony z Paryża, żyjący tu w Jancy z żoną i synem. Jak wyglądał w owym czasie opowiada nam pani Blanqui. Jest wstrzemięzliwy, myśli jasno, oczy mu połyskują, usta zazwyczaj zaciśnięte, a profil obrysowany wyraźną, charakterystyczną linią. I swój portret daje nam pani Blanqui. Widzimy jej ciemne włosy, spadające w symetrycznych zwojach, ujmujące w piękną ramę owal młodej, myślącej twarzy. Mówiąc o sobie, nie wspomina o tle zieleni, wspomina o kwiatach, nie czyni żadnej wzmianki o słońcu. Jasność, która ją otacza, to światło nadziei, co różową poświatą rumieni dziecięcą jeszcze twarz młodej kobiety, rozświetla trwożne, głębokie spojrzenie. Ale więcej jeszcze mówi nam o niej ta chmura troski, widna na czole. Z portretu męża, który nam daje, widać, że patrzyła na drogiego sobie ponad wszystko człowieka jasnymi oczyma przecucia, a jednocześnie z niewysłowioną czułością, podziwem i utajoną na dnie duszy melancholią.

Blanqui żyła poza rzeczywistością, opanowała go znowu zmora, uczyniło się koło niego ciemno, od tłoczących się projektów i pomysłów, a jedyne światło, jakie widzą, znużone czuwaniem, oczy jego, to skąpy pas białych promieni, wpadających wązkim okienkiem więziennem.

O, ileż razy potem szybkim, jak błyskawica wydał

im się ten rok, którego dni płynęły z pozoru tak wolno Jakże kojąco przedstawiały się im we wspomnieniach te przechadzki.

XXXIX.

Zaledwie Blanqui powrócił, w ciągu tego jeszcze roku 1838, kadry armii powstańczej zostały zapełnione. Wszyscy oczekują na swych posterunkach hasła do rozpoczęcia boju. Proch został zakupiony drobnemi ilościami dla uniknięcia podejrzeń, trwało to długo, ale nareszcie naboje gotowe. Braknie nieco broni, ale to rzecz drobna, w stanowczej chwili znaleźć ją można w składach. Wybuch rewolucyi oznaczony został na dzień 5 maja, potem wobec opozycyi Barbésa, na 12 maja. Zrazu przebywający w Aude Barbés nie usłuchał, gdy go wezwano do stolicy w marcu, musiano mu dopiero przypominać, iż przyrzekł stawić się na pierwszy sygnał. Wkońcu musiał przystać na propozycje Blanquiego i Martin Bernarda.

W onym roku, wedle słów Lamartina: Francya nudzi się! Paryż, jak zawsze rozgorączkowany polityką, czytający dzienniki, nie rozumie znaczenia powstania, ciekawi go znacznie więcej trwające już długo przesilenie gabinetowe. Pytanie kto stanie na czele rządu, Thiers, Molé, czy Guizot, jest dla Paryża nieskończemnie ważniejsze. To też śmiałe przedsięwzięcie spełzło na niczem.

Na 12 maja przypadała niedziela. Blanqui sądził, że jest to dzień najodpowiedniejszy, z powodu małych oddziałów wojska na posterunkach i w prefekturze. Czekał on cały tydzień z rozpoczęciem, by skorzystać z rozmieszczenia po stolicy nowych pułków, nie znających miasta, rozkładu ulic, przejść i zaułków. Oddział tysiąca ludzi, który miał rozpocząć, miał zająć przestrzeń pomiędzy

ulicami Saint Denis, a Saint Martin i ukryć się w podworcach hal winnych, w mieszkaniach robotniczych, w pobliżu składów broni Lepaga, przy ulicy Bourg-l'Abbè.

Wszyscy czekają w wyznaczonem miejscu, wtem około południa zjawia się w kawiarence, na rogu ulicy Mandar i Montorgueil Blanqui i w krótkich słowach oznajmia cel, dla którego zgromadził spiskowców. Rozdziela potem ten pierwszy oddział na plutony, naznacza nowy punkt zborny w kawiarni przy ulicy Bourg-l'Abbè, odchodzi, by zbadać, co słychać w okolicach prefektury, wraca, bierze do ręki pistolet. Wszyscy wychodzą na ulicę, oddział za oddziałem wynurza się z zaułków i nagle rozlega się okrzyk: Do broni! Do broni! Magazyny Lepaga zalewają tłumy, wyważywszy bramy, Barbès i Blanqui rozdzielają strzelby myśliwskie, karabiny, wyrzucają je przez okna parteru, powstańcy otwierają skrzynie z nabojami. Barbès podąża na ulicę Quincampoix, gdzie jest inny magazyn z nabojami. Gdy powrócił, zastał Blanquiego w tłumie niezadowolonych, mówiących już o zdradzie, domagających się komitetu, któryby nakreślił plan, zaprowadził ład w chaosie.

Ale udaje się wreszcie sformować trzy małe oddziały. Wychodzą pod wodzą Martin Bernarda, Blanquiego i Barbèsa, śpiewając pieśni rewolucyjne. Słońce świeci przedcudnie, na ulicach mnóstwo spacerujących, nagle nastrój niedzielny pierzcha, czyni się w koło pusto i głucho, to powstańcy zjawili się wśród spokojnych mieszczuchów. Kolumna Barbèsa zatrzymuje się przed posterunkiem pod Pałacem Sprawiedliwości. I nagle rozlegają się strzały. Niewiadomo kto strzelał, jak zawsze w podobnych razach. Kule świstają w powietrzu w chwili, gdy zbliżają się do siebie dowódca powstańców i komendant posterunku, w celu porozumienia się. Porucznik Drouineau,

idący na czele swych ludzi, z obnażoną szablą w rękę, pada od czyjegoś strzału, zanim zdołał zrozumieć o co idzie, zanim zdołano spróbować pertraktacyj pokojowych. Następuje salwa, zamęt, po obu stronach zabici i ranni tamują ruchy, rozlegają się przerażające okrzyki. Ale wojsko poniosło znaczne straty, posterunek został wzięty, oddziały poszły dalej. Na ulicy de Jérusalem gęsto padają strzały, ale nie można zdobyć prefektury, bo zabarykadowana jest i broniona. Powstańcy cofają się, wracają na punkt zborny, na place du Châtelet, by spotkać się z oddziałami Martin Bernarda i Blanquiego, które poszły tymczasem w inną stronę. Na placu du Châtelet oddziały zlewają się znowu w jedną kolumnę i zajmują ratusz, licho strzeżony. Przy tej okazji rozgrywają się sceny najrozmaitsze. Raz zwyciężywszy, powstańcy muszą się znowu cofać, idą powtórnie do ataku i znowu są panami pozycyi, na to jednak, by ją w następnej chwili utracić. Tak się miotają w ciągłym wysiłku i niepewności, otoczeni rosnącymi z każdą chwilą falami wojsk królewskich, naciskani ze wszystkich stron, ogłuchli od warkotu bębnow. Nareszcie ratusz zdobyty.

Ale cóż robić w zdobytym ratuszu, gdy się skończyło wszystkie dekrety, podpisało odezwy, zredagowało proklamacye, których nikt nie będzie czytał?... Blanqui mianowany zostaje dowódcą naczelnym, Barbés, Martin Bernard, Quinot, Meillard, Nettré komendantami dywizyi armii republikańskiej. Ale i to nie wystarcza na długo, powstańców niebawem ogarnie zniechęcenie, gdy spostrzegą, że ludność nie sympatyzuje z nimi, że znajdują się obojętnem, a nawet wrogim środowisku. Jeśli oczy ciekawego tłumu, obojętnie spoglądają na ruchawkę, to powstańcy z koniecznością fatalistyczną uledz muszą regularnym wojskom, choćby wśród nich byli sami bo-

haterowie, zdolni do czynów nadludzkich. Bezpośrednio po tem pozornem zwycięstwie wodzowie muszą pomyśleć czem zajmą wojsko. Muszą to uczynić. Mają pozory władzy, a żołnierzy rewolucyi dziwi niezmiernie, przeraża nawet nagła cisza jaka teraz panuje. Naprzód tedy! Zdobywać merostwa, rozbierać posterunki. Na placu du Marché-Saint-Jean wywiązuje się krwawa utarczka, padają trupy, ale wreszcie merostwo VII. dzielnicy zdobyte. Teraz powstańcy zawracają do dzielnicy Saint-Martin, a Blanqui i Barbés z niewielkim oddziałem bronią barykady przy ulicy Greneta, atakowanej przez gwardyę municypalną. Oba wojska biją się zaciekle, oddalone od siebie zaledwo na czterdzieści kroków, i w rezultacie municypaliści muszą cofnąć się wgłąb ulicy Saint Martin i pod Obserwatorium. Blanqui zbliża się do Barbésa, by mu powiedzieć, że należy zmienić miejsce, a w tejże chwili Barbés otrzymuje strzał w głowę i pada. Drobną garść ludzi nie może obronić się przeważającym siłom na czas dłuższy, przeto Blanqui pod gradem kul cofa się ze swoimi aż na ulicę Bourg-l'Abbé. Barbés nie umarł, w sąsiednim sklepiku handlarza win obmyto i przewiązano jego ranę, ale w chwil gdy stamtąd wychodził został przyaresztowanym.

Sprawa szybko dobiega do końca. Niebawem pada ostatnia barykada w dzielnicy Saint-Merry. Nikt nie wie czemu i jak się wszystko kończy, wszyscy słyszą jeno, strzały są coraz to rzadsze, cichnie wrzawa, powstańcy gdzieś się podziewają, coraz ich mniej, teraz dopiero czuje każdy pewne zdziwienie, patrzy na mgłę, czuje zapach prochu... powoli robi się cicho. To koniec. Ruchawka została uśmierzona.

XL.

Teraz następuje akt ostatni, pościg za winnymi i skazywanie na ciężkie kary, zwłaszcza przywódców. W parę tygodni potem, dnia 27 czerwca, przed Izbą sądowną Parów staje pierwszy zastęp zbrodniarzy. Widownią nowego procesu jest znowu Pałac luksemburski. Akt oskarżenia wywodzi, że pod względem politycznym rewolucya ostatnia bierze swój początek w prądach nurtujących w roku 1834, zaś społecznie sięga czasów roku V-go, a ojcem jej jest Babeuf. Wypływa teraz znowu na powierzchnię sprawa fabryki prochu przy ulicy de Lourcine, usiłowany zamach Pepina, i istnienie rozgałęzionej sieci tajnych stowarzyszeń. Odczytują formuły przyjęcia, pisane przez Barbésa, przychwycone w Carcassonne, a świadkowie zeznający najsprzeczniej w świecie, snują się nieskończonym szeregiem. Czternaste i ostatnie posiedzenie sądu odbyło się dnia 12 lipca. obrońcami byli: Dupont, Arago, Caillet, Blanc, Juliusz Favre, Liguier, Bertin, Lequerre, Genteur, Nogent-Saint-Laurent, Hemerdinger, Grévy, Barre, Benoît, F. Barrot, Barbin, Puybonnieux, Madier-Montjau, Lafargue. Barbés skazany został na karę śmierci za to, iż własnoręcznie zastrzelił porucznika Drouineau. Skazany przeczy temu jak najenergiczniej. Dalej mimo nadzwyczajnych wysiłków obrońcy, Martin Bernard wygnany, Mialon zesłany na dożywotną katorgę, wreszcie inne kary od piętnastu lat fortocy, do trzech miesięcy więzienia spadają na resztę obwinionych. Skazani: Delsade, Austen, Nongués, Philippot, Rodil, Guilbert, Lemièrre, Martin, Longuet Marescal, Walch, Piervé.

Odbyła się manifestacya na rzecz Barbésa. Dnia 3 lipca, została ułożona petycya, ale przeciw niosącym

ją do Izby wystąpiło wojsko na placu Zgody i rozprószyło ich. Słuchacze wydziału prawa w liczbie 2500 oblegli Urząd kanclerski, domagając się zniesienia kary śmierci za przestępstwa polityczne, i złagodzenia kary wymierzonej Barbésowi. Wiktor Hugo i Lamartine podjęli się zainterweniować wprost u króla, i w samej rzeczy król, wbrew zapatrywaniu rady ministrów, dnia 14 lipca złagodził karę. Barbés został skazany na dożywotnią katorgę.

Ale aż do 14 października, władza nie może go dostać w swe ręce. Przez pięć miesięcy wodzi policyę za nos. Agenci zjawiają się nareszcie w chwili, gdy ma sięść do wozu pocztowego, by wyjechać do Szwajcaryi.

Dnia 14 stycznia, zjawia się przed sądem nowych trzydziestu winowajców, Blanqui odmawia zeznań, i zostaje skazany na śmierć.

W rezultacie nikt nie zginął pod nożem gilotyny. Karę śmierci zamieniono Blanquiemu na dożywotnie roboty. Tak więc wszyscy ocaleli, chociaż nie wesołe mieli przed sobą życie. Wszyscy zostali wywiezieni do Mont-Saint-Michel. Straszna była chwila rozłąki Blanquiego z żoną. Więzień z rozpaczą patrzy na złamaną bólem postać drogiej istoty, na jej pobladłą twarz. Ale opuścić ją musi. A ona raz jeszcze spogląda nań, może ostatni raz, a w spojrzeniu tem, cały niewysłowiony smutek, jaki może nawiedzić duszę ludzką. Umówili się, że podobnie jak w Fontevreault zamieszka przy nim, gdy jeno przyjdzie na tyle do sił, by mogła odbyć podróż. Potem wybiła chwila rozłąki i życie przysło jak bańka mydlana.

XLI.

Dnia 6 lutego 1840 roku, wielki wóz o wielu siedzeniach, wytoczył się z bramy więzienia w Avranches. W otoczeniu silnego oddziału żandarmeryi, jadą na miejsce kary, ostatni przywódcy i uczestnicy powstania majowego: August Blanqui, Karol Herbulet, Godard, Guignot, Hendrick i Dubourdien. Koła dudnią po głazach, szcękają szable żołnierzy i kopyta końskie, wóz skacze i toczy się po skalistej drodze ku Gué de l'Epine. Od Courtil wzrok już może objąć Rochtorin i sterczącą ponad morze cytadelę Mont-Saint-Michel. Mgła gęsta leży na wszystkim, cisza, szaro i pusto. I turkotu wozu już nie słycać. Konie brodzą po kostki w czarnym namule, którego ogromne łachy zostawia morze po odpływie. Skazańcy i eskorta zatracili się w oparze szarym, smutnym, słycać już jeno szcęk szabel żandarmskich, bijących o ostrogi i strzemiona. Jest to jakby szczerk bezustanny zachrypłego dzwonka, a oznacza, że kona coś, że życiu nastał koniec.

Zwolna mgła rzednieje, wreszcie rozdziera się tu i owdzie, ukazuje się cały fort, długie spadziste mury, cokóły granitowe, a za chwilę słońce rzuca swe blaski i mimo ponurego wyglądu Mont-Saint-Michel poczyna być piękny w złotej szacie promieni, na tle ciemno-szafirowego nieba. Krajobraz zwiększył się teraz i poweselał. Ale mimo to nie stracił swej niepokojącej tajemniczości. Wóz toczy się po piasku, pokrywającym błoto, grunt ugina się pod kołami i te rozłogi budzą podejrzenie, iż są zasadzką, że kryje się coś pod tą ziemią, niepokojoną wieszycie przez morze, że na dole są groby, w które wnet zapadną się skazani. A ponad ową tundrę nadmorską sterczy szkielet fortu. Sam jeden wznosi się

pod niebo, gdy wszystko legło nisko przy ziemi i zda się cierpieć przez samotność swą i te męczarnie, które kryje w swem łonie. Teraz widać go coraz lepiej. Zda się, iż idzie naprzeciw więźniom i wita twardem, żelaznem spojrzeniem. Twarz jego, jakby ze stali pordzewiała, pokryta zmarszczkami, bliznami. Nie widać na niej oczu. Jest to twór ślepy, nosobienie goryczy jakiejś bezbrzeżnej, która nie pozwala mu śmiać się już, ni płakać. Zgrzybiał w rozgoryczeniu i stępiął na wszystko.

XLII.

Grube, szare mury odpychają brutalnie od fortu, domy wąskich uliczek, co nie mają snadź miejsca, i ogrody wspinające się tarasami. Wioska zresztą nędzna, z trudnością jakby trzyma się na oślizłych skałach. Domki wyglądają jakby się kulily ze strachu, inne niby do skoku, jakby chciały wyrwać się stąd i uciec. Ale despotycznie nakrywa je cieniem swym, ogromny gmach opactwa i teroryzuje. Kościół ten, forteca, pałac i monaster silnie zespolone ze skałami, wyrastają z nich. Świadome swych praw, na feudalizmie i religii opartych, szeroko się rozpościerają, grubemi ramionami murów, spychając w morze wszystko co późniejsze. Może wysokie gmachy kamienne oczom nieuprzedzonego objawiłyby także rozmodlenie, mistyczne zapatrzenie się w niebo. Bo wybiegają daleko od ziemi, spieszą im uciec gdzieś wysoko w chmury i mgłę tajemniczą, gdzie niema trzęsawisk, błotnych zalewów morskich. Ale Blanqui od pierwszej chwili widzi w tym gnieździe skalnem jeno więzienie, pełne okropnych skrytek, podziemnych katakumb. Wysiadł i wraz z innymi poprowadzono go w górę

po schodkach jedynej stromej uliczki, którą ścisnęły tak wysokie mury, że jeno wspiąwszy się na palce, mógł zobaczyć ruchome piaski poprzecinane wąskimi paskami wody, to wsiąkającej w ziemię, to znowu zjawiającej się wraz z nową falą co się rozbiła na brzegu. Prócz tego dojrzeć mógł jeszcze jeno ruinę położoną na północ. Wysoko stercząca na skale jak Mont-Saint-Michel, ruina Tombolaine była trupem warowni, pustką niezamieszkałą, osadzoną przed wiekami na bloku wapiennym, dziś przeżartym przez fale, okrytym mchami i złożem startych na proch muszel. Wszystko zjawiło się więźniowi jak przy świetle błyskawicy, przemknęło, niby wizja przez duszę, w następnej chwili stał już u wieży Klaudyi, naprzeciw bramy otwartej, niby czarna paszcza, szczerzącej zęby żelaznej bramy. Miał jeszcze czas pobieżnie zmierzyć oczyma wysokość fasady opactwa i grubość murów. Mało obchodziła go architektura, i teraz na tę bastyllę patrzył ze złością i pogardą, a w duszy uczuł dawną nienawiść do gotyku, który był mu zawsze wyobrażeniem ucisku i niewoli. Nie cierpiał go na równi z romantyzmem, upatrując w nim jeno nawrót do kultu czasów złych, czasów cierpienia.

XLIII.

Poddał się z musu całemu ceremoniałowi administracyjnemu, został wpisany do ksiąg, wszedł niejako do inwentarza kamiennego grobowca i wreszcie odbywszy długą procesyę, znalazł się w małej kaźni, „przybytku wieczystego wygnania“. Niesłychaną musiał przejść ilość schodów zimnych i stromych, minąć sklepiste przejścia i krążanki, prowadzono go przez podwórza, gdzie ze

sterczących w powietrzu rynien kapala woda, rozbijając się na tysiące kropli na kamiennych płytach. Dyrektor przyjął go grzecznie, nawet słodko. Dobrodusznie wyglądał ze swym okrągłym brzuszkiem i uśmiechem na ustach. I znowu zaskrzypiało pióro po papierze, nabrało parę słów w wielkim rejestrze, znowu kilkadziesiąt kroków po krętych schodach i drzwi się otwarły. Oczom przybyłego ukazała się cela kształtu nieregularnego, mająca może z dziesięć metrów kwadratowych, piec przy drzwiach i wąskie okno na drugim końcu, zasłonięte gęstą kratą, wpuszczone w tak gruby mur, że i połowy tego światła nie dawało co dać mogło. W tej to klatce należało żyć... żyć do śmierci. Zgrzytła zasuwka u drzwi, brzękła kłódka, między życiem a Blanquim stanęła straszna, niezwyciężona zapora niewoli.

XLIV.

Mija dzień, drugi, snuje się szereg dni, tydzień, przybywa jeden tydzień po drugim, czas wyciąga się w lata. Stało życie, co trwa w bezruchu, nie mija czas, bo minuta, która upływa nie zaczęła się nigdy i nigdy nie skończy. Niema jej czem zmierzyć. Niema rozrywki, zmiany, niepokoju o przyszłość, nawet przyszłości, nawet strachu niespodzianego. Los znany na-przód, życie, to jest to, co zeń pozostało unormowane przez urzędnika w purpurowej todze, obszytej gronostajem. Deliberowano poważnie nad tem i zawyrokowano, ile metrów przestrzeni będzie zajmował, o których godzinach będzie jadł, w jakich chwilach w nocy zrywać się będzie z pościeli na szcęk klucza i tentniące kroki kluczników i rontów wojskowych, ile powietrza może

nabrać w piersi, i jak daleko sięgnąć wzrokiem. Ułożono niewidzialny, wieczyste niezmienny kalendarz, wobec jego potęgi ustało wszystko, co się nazywa: chce, pragnę! Została jeno pustka. Cichy zegar, którego chodu nie posłyszysz najczulsze ucho, wybija dlań nieubłaganie ciągle jedną godzinę: „Zawsze, zawsze“! Niema: „Było i będzie“. Jest jeno monotonia trwania, która niczem, dosłownie niczem, nie różni się od śmierci.

XLV.

Dobrze jest tutaj zamknięty więzień. Nie sam tylko ten kolos granitowy, o ponurem obliczu grobowca, jest więzieniem. Poza wszystkiem co Blanqui widział w chwili przybycia, gdy szedł krętymi schodami ulicy, jest jeszcze druga wierna i nie przekupna stróżka galerników. Natura podjęła się tutaj poniżającej roli żandarma. Wokoło błota, głębokie, niebezpieczne dla nieświadomego przejść. Powierzchnia tundry drży ciągle, za każdym krokiem można się zapaść i zginąć. Więzienie stoi pośrodku drugiego więzienia, strzeżone go lepiej jeszcze może jak cytadela.

Wstępując po stromych schodach, mijając krużganki, podworzec i zewnętrzne zwieszono nad urwiskami, Blanqui przyglądał się bacznie i szybko pojął tajemnicę olbrzyma, zrozumiał jakimi drogami posuwał się tu wysiłek ludzki, jaką sztuką zdobyto władanie nad żywą skałą w formie stożka, co wyłoniła się przed zamierzczłym czasem ponad poziom, jak ten rodzinny gład zmieniono w mieszkanie ludzkie. Cytadela wyrosła z Mont-Saint-Michel, była do tego stopnia dalszym jej ciągiem, że kamień na mury łupano z jej boków. Na każdym wy-

skoku naturalnym opierano ściany, wypełniano rozpadliny, ochwiane głązy podpierano przyporami, szczyty budowli pokryły się koronką rzeźby, płaszczyzny haftem kamiennym, wieżycy wyostrzone, jak strzały, pękami akantowych liści. Romańskie grube słupy i śmigłe gotyckie kolumny stoją na granicie. Czasem na wysokości stu metrów nad poziomem morza, pośrodku wielkiej sali, skała sterczy z pomiędzy płyt posadzki, jakby ostrym kantem przecięła flizy, któremi ją chciano zakryć. Wojna jakaś ukryta wre, zda się, że Mont-Saint-Michel chce się pozbyć wszystkiego, co sztuczne i na jej grzbiet nałożone ręką ludzką. Zda się pod nogami chwieją się schody, kamień bowiem przeżarły wichry i deszcze. Gdy się tak idzie przez huczące echami sale, ciemne krypty, kurytarze, w których otwierają się co krok czarne paszcze kaźni, po posadzkach rozległych sal, pod niskimi, romańskimi sklepieniami beczkowemi i ostrołukami gotyku, mija zwietrzałe i czarne arkady klasztoru, doznaje się zawrotu głowy. Za wiele przestrzeni i za ciasno zarazem, chaotyczność linii architektonicznych przeraża. I mimowoli wydaje się zwiedzającemu, że tu wszystko drży, nachyla się z grzbietu skały i za chwilę runie w morze.

Czas pokrył zmarszczkami dzieło rąk ludzkich, morze i wichry doprowadziły do tego, że granit murów począł pruchnieć. Skała podjęła walkę z obcemi naleciałościami, zacięła się w dziele zniszczenia. Tu i ówdzie runął kawał muru, zarysowała się wieża, załamał ostrołuk, pękło witrażowe okno. A potem przyszli ludzie, benedyktyńscy mnisi, i uczynili jeszcze gorzej. Miast niszczyć, poczęli naprawiać, dodawać, zawieszać ozdoby na przepięknych kształtach budowli, wydrapywać dziury, rowy, krzywić i garbić linie. Nadewszystko oszpeciła starą fortecę fasada kościoła w stylu jezuickim. W czasach

późniejszych kościoł został zmieniony w budynek administracji więzienia, a całe Mont-Saint-Michel na miejsce tortur moralnych dla skazańców. Znowu więc rozpoczęły się przeróbki. Poprzecinano na części rozległe galerie, wyłamano żebra sklepień, by założyć sufity, powybijano szersze otwory na okna, by dać więźniom ową odrobinę powietrza i światła, ową dawkę ironiczną, która jeno wzmaga pożądanie oddychania pełną piersią i kąpienia się w słońcu.

XLVI.

Każnia Blanquiego miała okno na południowy wschód obrócone. Gdy wyglądał, miał po prawej ręce rzekę Couesnon, której koryto oddziela Normandyę od Bretanii, przed nim prosto leżały wzgórza Ardevon i Huines, mógł dojrzeć cypel skalny Rochtorin i skrawek ziemi Avranches. Ale wszystko to w wielkiej dali, przysłonięte ciężką, wiekuistą mgłą wilgotną, tak, że ledwo widzialne. Bliżej widać jeno cichą, zdradną, przeraźliwie smutną płaszczynę piachu, kryjącego ruchome błoto. Ruch, życie, bijące szybkim tętnem serca ludzkie, wszystko to dalekie, nieprawdopodobne jakieś, dziwne jak sen.

Tu jest kraina smutku. Linie proste, nie skomplikowane, idą w nieskończoność, horyzont sam nieoznaczony ostro, zlewa się z niebem. Wszędzie szaro. Olbrzymia płachta piasku ma wszystkie odcienie tej szarzyzny. Żółtawy, zielonawy, popielaty. Na tem tle srebrzą się cienkie pasemka rzek, których wody pije błoto. Oto ich nazwy: Couesnon, Selune, Sée Guintre. Rzadko jeno, gdzieś w niepewnej odległości zjawi się statek, z mgły wyłoni się szereg pływających beczulek, wskazujących drogę łodziom, a na lądzie sylwetka człowieka, albo

wozu, ciągnionego z mozołem po grzaskim mule przez konia o rozwichrzonej grzywie. Takie jeno zjawiska czasem pozwalają spocząć zmęczonym oczom i wtedy jeno jest czem zmierzyć przestrzeń.

XLVII.

Życie, ujęte w grube, brutalne mury fortocy, przejawia się jeno na jedynej ulicy, zwanej pryncypalną. Biedna ta pryncypalna ulica ma szerokość sporego korytarza, a domy, zdają się spinać po jej schodach w górę, mają miny, jakby się potraçały, podpierały, kłóciły się o pierwszeństwo, przyczem dachy, niby kapelusze, spadają jednym na oczy, innym zsuwają się na plecy. Stu mieszkańców tej miejscowości biega przez cały dzień jak po drabinie, w górę i na dół, całem ich zajęciem jest połów ryb, uprawa nędznych, zawieszonych na skale, niby jaskółcze gniazda, ogródków i noszenia w konewkach wody, po którą trzeba nieraz chodzić o sześć kilometrów.

Więzień ma przed oczyma jeno te przejawy wiecznie jednostajnej egzystencji biedaków. A jednak w porównaniu z życiem w kaźni, rozpamiętywaniem przeszłości z oczyma w dal wbitemi, rękami co z całej siły ściskają sztaby kraty, chodzeniem bezustannem tam i napowrót, na kształt dzikiego zwierza, to mało urozmaicone i ciche życie wydaje się wolnem, śmiałem, pełnem nadziei, zaś kilkudziesięciu biedaków, ludzkością. W kaźni wieczyście jedno. Idziesz z kąta i zawracasz przy ścianie, potem do drzwi, w które zazwyczaj się kopie, ręce obmacują w następnej chwili przeciwległą ścianę, głowa podnosi i dziwisz się czemu tak daleko do sufitu. W porównaniu

z owem rozpaczliwym dreptaniem, jakże pięknym jest ten cały świat po drugiej stronie kraty, jakże pełnym życia i siły ten białowłosy starzec, kopiący motyką i roznoszący na łopacie ziemię. Jak sobie wybornie radzi z kamieniami, z jaką troskliwością choduje sałatę i przesadza do doniczek kwiaty! O jakże wolnym jest ten rybak bosonogi, stąpający po grząskim piasku, w ślad za ustępującymi w czasie odpływu falami morza.

XLVIII.

A nawet, jakże szczęśliwy sam klucznik. Czasem po skończonej służbie, zbiega w podskokach niemal po schodach ulicy „pryncypalnej“ wzdłuż murów, staje przed szynkiem i pije lampkę czegoś mocnego. A pijąc nawet, jeszcze z progu uważnem spojrzeniem mierzy więzienie, którego psem go uczyniono. Jakże wolnym jest bodaj ten klucznik, dzień i noc zamknięty wraz z tymi, których strzeże, zamyka na ogromne zasuwę i kłódki i podgląda przez „judasze“, małe okienka w drzwiach kaźni. Może wyjść, przechadzać się po ziemi, zdjąć buty i wejść do wody, pełną piersią pić wolne powietrze, które zgoła inny ma smak od powietrza, które przenika do cel przez żelazną kratę. Po głębszym namyśle więźniowi wydaje się, że ponad wszystko inne, jest on symbolem owej utraconej wolności. Ma w kieszeni klucz, dający wolność, otwierający przestrzeń, chałaśliwy ów twór, który w zamku przemawia tak rozkazującym i stanowczym zgrzytem. I gdy wychodzi z owym kluczem w kieszeni, więzionym, co patrzą jak stąpa, i słuchają jak dudni obcasami po kamieniach, wydaje się być symbolem niewoli przejawionym w świecie swobody i podwójnie wów-

czas cierpią. Klucznik zaś wesóły z rękami na plecach założonemi, wałęsa się tu i owdzie i poziewa, szeroko otwierając usta.

XLIX.

O jakież twarde są te mury, o jak ciężkie jest cielsko granitu. Cóż przeciw niemu dwie biedne ręce mimo całej siły, wszystkiej energii nerwowej, która w nich się mieści, wszystkiej woli co spłynęła z duszy w owo kruche, wątłe narzędzie. Ziarna granitu ściśnione, związane lepiszczem co stwardniało przez setki, miliony wieków, twardą jest i grubą mokra skała, z której ręka ludzka wyciosała ściany. Całe dni upływają na wpatrywaniu się w tę ścianę, w tę zaporę dzielącą od życia. Więzień opiera o nią czoło, zdziera na jej szorstkiej powierzchni paznokcie. Mija dzień za dniem w dziwnej, mglistej zadumie nad niepodobieństwem, wpatrywaniu się w czarną, niezbadaną tajemnicę istnienia. Na mur ten składają się niezmiernie drobne cząsteczki, szorstkie, nieregularne kryształki, z których każdy ma swój kształt, kolor, trwałość, życie. Są tam złomki ostrokańciaste, ziarnka sferoidalne, jajowate, kostki, piramidy, graniastosłupy, dwunastościany. Jedne szare jak żelazo, inne srebrzyste, o połysku starego złota, utkane z niedostrzegalnych niemal barwnych żyłek, z wprysniętymi groszkami koloru miedzi, i ołowiu stopionego. Ale najwięcej niebieskich i różowych, szafir ich podobny bywa do szafiru nieba i wody, różowa barwa przypomina promienie zachodzącego słońca w ciepłe letnie wieczory. Są oczy, co mają w źrenicach ton takiego szafiru spelzłego, są wargi tak blade i tak różowe. Więzień wpatruje się w mur z takim natężeniem, że ztraca świadomość co

się dzieje wkoło niego. Spojrzeniem obejmuje małą jeno powierzchnię, a i na niej wnet zacierają się tony, nikną barwy, zatracają się i szafir nieba i wody, i czerwień słońca wieczornego, niema już wspomnienia, dawno widzianych oczu, ni twarzy bladych, wszystko co było barwą stopiło się w jedno, jak w jedno zlewają się kolory kwiatów na łące. Na tle niby szarej, a ozłoconej słońcem ziemi, mglisto, jakby przez oponę dżdżu, przebłyskują kwiaty, i noc zapada.

L.

A wszystkie owe drobne szczątki, ziarnka, okruchy kamienia tworzą razem agregat spoisty, twardy, zaporę, która oprzeć się zdoła nietylko człowiekowi, w którą daremnie tłukłby kilof stalowy. Siła przyciągania zwarła te cząstki, i scementowała razem ów proch przedwieczny, tak, że stał się skałą, która opiera się morzu, skałą, z której wyciosano kwadry prostokątne na ściany więzienia. I nie brak ironii, nigdzie jej nie brak. Ów grobowiec wolności pokryła ręka artysty cudnymi postaciami stylizowanych gotycko roślin, umysł budowniczego wysilał się, by nadać wdzięku, smukłości i lekkości owym twardym ciężkim blokom, brutalną ich ocieężałość, bezwładność i, rzecby można, tępotę przemocy usiłowało dłuto rzeźbiarza wyszlachetnić, ukryć pod koronką przejrzystego ornamentu. Na grobowcu rozsypano kwiaty, rozsnuto draperyę z gazy, a więzień w przeźroczu onych filigranów żyje, by szkielet poźółkły, męczennika czasów dawnych w cudnie cyzelowanym relikwiarzu.

LI.

Na murach ironicznie rozrzucono kwiaty, a twarze ludzkie okrywa maska obłudy. Grzeczność i dobroduszość zewnątrz, a w duszach rutyna urzędnicza. Dusze to zimne, nie znające litości. Dyrektor Theurrier pochodzi z zamożnej mieszczańskiej rodziny o przekonaniach orleanistycznych, której członkowie byli zwolennikami hrabiego Montalivet. Człowieczek to gruby, rzucający miodowe słówka, pełen dyskrecyi i umiarkowania, wybornie udający, że interesują go żywo skargi i zażalenia więźniów. Ale to są pozory. Naprawdę, był podejrzliwym, napastliwym, wymagającym, znudzonym i nudy owe, nieodłączone od stanowiska dyrektora cytadeli w Mont-Saint-Michel, popychały go nieraz do poszukiwania wyrafinowanych rozrywek. Wtedy stawał się nagle okrutnym i uczuwał nieprzewycięzoną skłonność do torturowania więźniów. Drugą osobistością wybitną był spowiednik więzienny Lecourt. Był to człowiek bez wszelkich aspiracyi duchowych, i dla zabicia czasu zajmował się po całych dniach ślusarstwem, a także brał udział w każdej przebudówce, każdej robocie murarskiej, wogóle gdzie coś zmieniano i przerabiano, musiał wystąpić z radą i pomocą. Kompletu dopełniał inspektor Gaujoux, będący jeno brutalnym wyrazem perfidy dyrektora, lekarz, dla porządku, od oka zapisujący więźniom leki, i dwu klnących, bijących, popychających starszych kluczników. Wszyscy ci ludzie pobrzękujący kluczami, otwierający drzwi cel, wnoszący jedzenie, wałęsający się, podglądający, wymyślający bezbronnym, zachowywali się jakby byli nadzorcami politycznej menażeryi, rewolucyjnego muzeum, zmuszonymi do dbania

o życie dzikich, niebezpiecznych zwierząt, siedzących za mocnymi kratami, które przepędza się batem z klatki do klatki.

LII.

Dnia 17 lipca 1839, około siedm miesięcy przed Blanquim, przywieziono do Mont i osadzono za podwójną kratą we więzy Perrine, Armanda Barbésa, Martin Bernarda, Delsada i Austena. Pod koniec tegoż roku 1839 osobnym konwojem przybyli więźniowie: Martin Noël, Roudil, Guilmain i Bézenac.

Zrazu cisza panowała, cisza klasztorna, namiętności tych ludzkich dusz zapadły w odrętwienie pod wrażeniem niewoli. Potem dreszcz przebiegł wszystkich, rozległy się szmery, zbudziła się dziecinna chęć narażenia na prześladowania ze strony znudzonych dozorców, poczęto drwić z ich antorytetu, zaczął się instynktowny bunt samotników, pozbawionych zajęcia umysłowego, odciętych od pracy fizycznej. Pierwszych dni, każdy dziwi się tej nagłej niewoli. Nowość ta go olśniewa. Budzą jego zainteresowanie owe drzwi, dzielące go od świata żywych. Myśl całą zajmuje ten fakt wytrącenia z wielkiej gromady ludzkiej. Jeśli ma wyrobioną zdolność brania rzeczy jak są, jeśli zawsze jasną będzie miał świadomość bezużyteczności woli, bezcelowości wobec uniemożliwienia jej przejawów, zniesie niewolę, zadowoli się drobiazgami, znajdzie sobie sposób życia. Ale takich niewielu. Przeważna część więźniów wpada w gniew. Gniewać się musi człowiek, którego pozbawiono wszystkiego, do czego nawykł, oddychania świeżem powietrzem, swobody ruchów, i szamocąc się w dusznej celi, wśród ścian, nie dających mu wyjść na szeroką przestrzeń.

Nudzi się, i nie znajduje na te nudy lekarstwa, zapada więc w bezwład, który jednakże przerywają nagle wybuchy gniewu. Przez ciąg kilku dni więzień nie porusza się niemal, nie odzywa się wcale, aż nagle posłyszane słowo, szmer, myśl nagła wyzwala ją w nim szalony poryw złości. Zajęcie jakie sobie niektórzy umieją stworzyć nie wystarcza, wystarczyć nie może.

Od dnia, w którym zostało uczynione odkrycie, że powietrzem kaźni oddychać trudno, i za mało w niej miejsca dla ruchu, nostalgia za wichrami i bezkresnym obszarem o władnęła duszę, począł się okres walki. Gorączkowe wypieki zjawiają się na twarzy więźnia, w gardle czuje on skurcz ustawiczny, a spazmatyczne kontrakcje są tak silne, że budzą ze snu. Skazaniec zrywa się z krzykiem, zda mu się, że się dusi, ręce i nogi ma rozpalone, a w całym ciele czuje strzykanie i jakby klucie tysięcy szpilek. Próbuje się bronić, nie chce dać się opanować złemu, więc zaczyna biegać od ściany do ściany, potracając to stół, to krzesło, ociera się o mur chwyta rękami i szarpie kratę. Trwa to przez chwilę i zda się, już, że pomogło, ale gdy jeno więzień stanie spokojnie, uczuwa nagle niezmierny jakiś ciężar. Zdaje mu się, że ma u rąk i nóg ogromne żelazne kłody, czy łańcuchy, pod brzemieniem których upaść musi.

LIII.

Bunt, choroba, szaleństwo, oto etapy, oto gospody na owej smutnej drodze życia, którą wpółumarły, obrabowany z nadziei skazaniec wlec się musi aż do śmierci. W Mont niebawem poczęli się buntować więźniowie, stawiać opór klucznikom. Krzyki rozległy się w długich,

wąskich kurytarzach, zbudziły się echa drzemiące od jakiegoś czasu.

Martin Noël chciał pożyczyć od Barbésa dziesięć franków. Ofiarował mu się z pożyczką dyrektor więzienia. Martin Noël odmówił. I oto cóż za kara? Wino wającę ront kluczników budzi po kilkanaście razy w ciągu nocy. Przykładają mu latarnię wprost do oczu i śmieją, gdy się zrywa przerażony. Więźnia to wreszcie poczyna gniewać, pada jedno, drugie ostre słowo, klucznicy porywają go za włosy, ciągną po ziemi, biją. Trwa to pół nocy i rozpoczyna się następnego ranka na nowo. Tym razem oprawcy ciągną więźnia, nie za włosy, ale za nogi a głowa dudni po kamiennych schodach galeryi, zwanej „galeryą Montgomery“, wlecze się po flizach szeregu krypt, i znów tłucze z jękiem o stopnie schodów, wiodących do kazamat podziemnych.

Nareszcie potłuczony, okrwawiony, skopany Martin Noël znalazł się w jednej z owych czarnych nor. Lodowata woda cieknie strumieniami z powały i ścian. Trzeba leżeć, siedzieć, wogóle być skurczonym, bo sklepienie ledwo metr oddalone od granitowej podłogi. Powietrze i światło dochodzą jeno z kurytarza, który wydaje się być ścieżką cmentarza, do której z prawej i lewej strony przytykają otwarte groby.

Nie panują tu już szczury, o nie. Zostały wyparte przez pchły. I temu to robactwu, snującemu się w krocach tysięcy, bezbronny więzień wydany jest na łup. Ale i tego jeszcze mało. Nogi Martin Noëla zakuto w łańcuch, umocowany w murze. Ogniwa żelazne wpiły się w ciało, wcisnęły w nie, otarły skórę, odsłoniły muszkuły, nerwy, kości nawet. Musiał leżeć na brzuchu, jeść czarny chleb, pić brudną wodę, stawianą w naczyniu tuż przed jego twarzą, twarzą półmartwą, męczennika.

Ledwo wargami mógł sięgnąć po nią. Zda się, że nigdy nie wiedział jasno, jak długo dręczono go w podziemnym grobowcu. Godzinę całą zużyto na rozkuwanie go. Trudno było w opuchłym, przegnitem ciele znaleźć ogniwa łańcucha.

Gdy się tak raz zstąpiło do podziemi, innemi oczyma patrzy człowiek na dumny granitowy kolos, tak surowy, a tak wykwintny zarazem. Teraz znamy jego tajemnicę, przerażającą tę dwoistość. Sale cudne jak sen, albo hymn do Boga, podziemia pełne krętych, czarnych przejsć, będących wyrazem obłudnej złośliwości, żądzy dręczenia, pastwienia się nad innym bezkarnie, po ciemku, w tajemnicy. Mont proste jest i skomplikowane, jak człowiek, pełne wzlotów w niebo i okrucieństwa na dnie.

LIV.

Straszne przygody Martin Noëla miały miejsce przed przybyciem Blanquiego, ale nie były czemś wyjątkowem. Po ostatniej porcyi więźniów, jaką w 1840 pochłonęło Mont-Saint-Michel regulamin więzienny uległ jeszcze większemu obostrzeniu. Zakazano mówić przez otwarte okna, wogóle rozmawiać z galernikami, śpiewać, a za każdym wybuchem złego humoru za każdym głośniejszym wyśpiewaniem słowem, można się było spodziewać zakucia w kajdany na całe tygodnie. Nakazano oficjalnie rezygnację i najgłębsze milczenie. Usta przeto przestały się poruszać, cisza nastąpiła, natomiast pośród więźniów szerzyć się poczęły choroby nerwów, żołądka, choroby mózgu. Staube podciął sobie gardło brzytwą, Austen zwaryował.

LV.

Blanqui nie stracił zdolności panowania nad sobą. Słuchał i obserwował, nie odzywając się prawie. Siedział oparty łokciami o stół, albo u drzwi chwycił odgłosy, szelesty, skargi, pogroźki rozlegające się ciągle, płynące długimi kurytarzami jęki dobywające się gdzieś z głębin granitowego grobu, przenikające doń poprzez kamień w postaci ledwo dosłyszalnych westchnień.

Po sześciu miesiącach choroby Austena rzeczoznawcy orzekli, że udaje i obłąkanego zamknięto do podziemnej kazamaty. Nieszczęśliwy wzywał na pomoc brata, ojca. „O co za nieszczęście! — wołał. — Te łajdaki trzymają ich obu w kazamacie podemną! Słyszę ich jęki! Słyszę! Słyszę!“ Wołanie obłąkanego, dobywające się z głębin, błdziło kruzgankami, łamało się o sklepienia, rozpraszało w jęki i szmery, ale dość było silne, by w nocy przygłuszyć wycie wichru i łomot fal morskich, i dostać się do cel więziennych. Wówczas więźniowie zrywali się z tapczanów i gryźli w rozpacz ręce, nie mogąc słuchać owego szaleńczego gniewu, złączonego z płaczem dziecka. Zdawało się że płaczą wszyscy pokrzywdzeni, że rozgrywają się na nowo wszystkie tragedye, jakich widownią od długiego szeregu wieków były skrytki kazamat podziemnych Mont-Saint-Michel.

Ci, którym udało się uniknąć chorób, wysilali się, by znaleźć jakieś zajęcie. Trudnem to było niezmiernie skutkiem braku wszelkich środków. Jeden umyślił oswoić jaszczurkę i przyuczyć ją, by wychodziła na świat i wracała, zabierając i odnosząc listy. Inni żywili i tresowali wróble, gołębie, wreszcie kury. Nieszczęśnicy radowali się patrząc na skaczące wróble, muskające się po piórach gołębie, wsłuchiwali się w wiecześnie jednaki, mo-

notonne gdakanie kur. Odczuwali dreszcz życia na widok drapania nóg, stukania dziobów, powiewania piór, raz zjeżonych, to znów układających się gładko, połysku małych, czarnych, ciągle mrugających oczu. Patrząc na niedołączne próby fruwania ptaków po kaźni, dotykając się tych ciepłych, drgających ciał, mieli chwile zapomnienia, nie też dziwnego, że krótkie urywane dźwięki, gruchanie, gdakanie, że wszystko to razem wzięte było im niezmiernie miłe. Ale wróbel, kura, gołąb przechodzą łatwo pomiędzy sztabami kraty, gdy im się znudzi w mrocznej chłodnej kaźni, idą na słońce wygrzewać się, mogą nasycić się ciepłem i zielenią. Dla nich otwarty świat i życie, a człowiek jeno musi zostać w klatce, zamknięty przez siebie podobnych, przez ludzi.

LVI.

A klatka ta coraz to ciaśniejszą się staje, coraz bardziej zda się, że zadławić musi, jakby mury zbliżały się do siebie zwolna, niepostrzeżenie. Po długich okresach bezwładu, inercyi, w którą peryodycznie zapadają więźniowie, niby w trzęsawisko otaczające zewsząd cytadele, następują chwile przebudzenia. Organizm broni się przed owem pogrzebaniem w lotnym piasku nudy, który wdziera się z każdym dniem śmieiej do duszy, zasypując ją nieznacznie, a wytrwale. W takich momentach więźniowie wstrząsają się, jakby po długim śnie, przeciągają się, a obudzona świadomość prze ich ku życiu. Poczyna się wówczas akcyja w kierunku poprawy warunków bytu, układają petycye, protestują przeciw sposobowi traktowania ich, przeciw zamykaniu każdego w osobnej kaźni i t. p. Niedługo czekają na odpowiedź

administracyi. Przychodzi ona z Paryża na ręce podprefekta Avranches i zaleca odebranie więźniom wszystkich drobiazgów, jakieby mieli przy sobie, zredukowanie przechadzek na wolnem powietrzu do pół godziny co drugi dzień, i kończy się wymowną dyrektywą: Za najmniejszym oporem płazować!

Pewien adwokat z Avranches, obrońca i przyjaciel kilku więźniów w Mont, przywiezionych tu w r. 1834, nazwiskiem Fulgencyzus Girard, przechadza się czasem popod okna i przy pomocy binokli usiłuje dostrzedz ich sylwetki. Tylko tyle. Nie wolno zamienić słowa. Co najwyżej można spoglądać na siebie i domyslać się raczej jak widzieć w ciągłym mroku, który panuje zarówno w kaźni jak i w podworcę, obciśniętym wysokimi murami.

Żona jednego ze skazańców, pani Guilmain, sprowadziła się na stały pobyt do Mont i wynajęła pokój naprzeciwko okna celi swego męża. Wyteżając wzrok, mogła go widzieć jako tako poprzez kratę w cieniu grubego muru. Ale nie wzięła w rachubę, że w Mont cała ludność jest zdana na łaskę dyrektora, i że w zamian za jakąś drobną grzeczność wyświadczoną żonie więźnia, za trochę litości nieborak taki może utracić nędzną swą pracę, narazić na ruinę drobny przemysł domowy, związany ściśle z cytadelą, jako konsumentką. To też właściciel drżąc na całym ciele, wymówił pewnego dnia pokój pani Guilmain, a nie znalazł się drugi, któryby jej chciał odstąpić podobne mieszkanie z widokiem na więzienie polityczne. Ofiarowano jej natomiast wiele pokoików, z okien których widzieć mogła niezmierne pustaci trzęsawisk, ale na cóż się to mogło biedaczce przydać. Wreszcie pewien stary rybak, niezależny od nikogo, z tej racyi, że był zupełnym nędzarzem, odstąpił

jej kąt w swoim stojącym nad brzegiem morskim szalasię.

Zdawało się, że sprawę wygrała. Ale okazało się wnet, że ostatnie słowo w tej kwestyi pozostanie przy subtelnym dyrektorze, wytrawnym kacie. Okazało się, że potrafi on przeszkodzić rozmowom, wymianie listów, że nawet wymianę spojrzeń zdoła uniemożliwić. Potężną jest złość ludzka i wynalazczość w tym kierunku dziwnie jakaś łatwa.

Pomysłowy dyrektor wymyślił nową kratę. Miała ona spuszczać się od powały do ziemi w odległości znacznej od okna, niby firanka, a być tak gęstą, by nie można niemal niczego na zewnątrz widzieć. W ten sposób odcięty więzień nie będzie mógł wcisnąć się we wręb okna, gdzie dotąd spędzał dni całe, wpatrzony w okno swej żony. Ani spojrzenie, ani głos nie wydostaną się na zewnątrz, a gęsta firanka nie przepuści listów ni dzienników, dotąd wciąganych do kaźni zapomocą nitek, o różnych porach dnia i nocy, dla zmylenia czujności straży.

LVII.

Generalny inspektor więzień państwowych, któremu przedłożyć musiano plan nowych krat, potępił go po prostu i odrzucił jako zgoła bezcelowy i nieużyteczny. Należało przeto uzyskać pretekst, udowodnić, że zarządzenie to, wywołała istotna potrzeba. W takich razach jedyną i niezawodną metodą bywa metoda prowokacyi. Zakazano więźniom zbliżać się do okien a strażnikom zalecano uważać, czy nie dojrzą u kraty twarzy więźnia. W razie dostrzeżenia, mieli przestrzedz, a gdyby to nie

poskutkowało, strzelać. Oczywiście obostrzenia takie leżą w zakresie władzy dyrektora więzień, a wyższa władza administracyjna nic o nich nie wie. Więźniów nie powiadomiono o zakazie, dowiedzieli się dopiero od żołnierzy.

Pierwszym był Blanqui. Siedział na murze okiennym i dumał nad tem, jak marnem i hałaśliwym było całe ostatnie powstanie, jakie dzieciństwa popełniali wszyscy od pierwszej chwili, dalej w jakich warunkach, okolicznościach i przy jakiej taktyce udałoby się mogło obalenie istniejącej formy rządu. Myślał jeszcze o różnych rzeczach i ludziach, o żonie, której oczekiwał z utęsknieniem, ulicach znanych dobrze, przyjaciołach, a oczy jego błądziły po bezkresnej płaszczyźnie lotnych piasków i trzęsawisk, po daleko na horyzoncie połyskującym morzu w odpływie. Odszedł tak bardzo od rzeczywistości, że nie słyszał, iż go ktoś woła. Dopiero po dobrej chwili, na ponowne wołanie zbudził się z zadumy i z najwyższem zdziwieniem spostrzegł, iż żołnierz mierzy doń z karabinu przez kratę. Oskoczył instynktownie w tył, ale zażądał wyjaśnienia od dyrektora. Dyrektor odpowiedział z niesłychaną uprzejmością, że było to nieporozumienie, pomyłka, żołnierz zostanie ukarany i rzecz nie powtórzy się już nigdy. Ale trzeciego dnia to samo rozległo się wołanie, żołnierz złożył się znów do więźnia. Podobną też była odpowiedź dyrektora. Usprawiedliwiał się jeno jeszcze słodziej może. Tegoż dnia wieczór doświadczyli tego samego Martin Bernard, Guignot i Delsade. Ale Delsade był sangwinikiem, porwał tedy lichtarz z palącą się świecą, energicznym ruchem postawił go na przymurku okna, przytknął twarz do kraty i wrzasnął do żołnierza: Strzelajże teraz kanalio jedna!... No strzelajże, przecież jasno i możesz dobrze zmierzyć.

W ten sposób nareszcie stało się czego chciano. Żołnierz w służbie został ciężko obrażony, dodano do tego zarzut ciągłego rzucania kośćmi z mięsa i kamieniami w patrole przechodzące pod oknami i wszystko razem przedstawiono jako groźny bunt. Tymczasem rzucanie kośćmi było niemożliwe, ponieważ więźniom dawano zawsze mięso bez kości, aby zdobyć kamienie, musieliby chyba paznokciami łupać bloki granitowe ścian. Innego sposobu na to nie było. Jednak kamienie i kości faktycznie spadały na głowy żołnierzy, i wytłumaczyć to łatwo, jeśli się weźmie w rachubę fakt, że pomieszkanie dyrektora znajdowało się ponad kaźniami politycznych przestępców. Niedługo zarówno więźniowie jak i strażnicy dowiedzieli się prawdy. Przechwycono raz pewnego syna dyrektora Theurriet na tej arcy-miłej i dyplomatycznej zabawie. Poczyniono natychmiast odpowiednie kroki, ale, niestety, było już za późno. Raport odszedł już do ministerstwa, a w krótki czas potem zaprowadzono podwójne okratowanie okien.

LVIII.

Ale wszystko to nie mogło obchodzić Blanquiego. Przeżywał on w tym czasie rzeczy straszne; zapamiętawszy się w bólu, nie słyszał nic, nie czuł niczego. I ból ten dał mu jasnowidzenie. Widział, że oddala się odeń z każdym dniem bardziej to, co jedynie kochał na świecie, że odchodzi, by nie wrócić już nigdy. Jasno widział zbliżającą się katastrofę i nie zdziwił nawet gdy przyszła.

Dokładnie, co do dnia w rok po rozstaniu, 31 stycznia 1841 roku, umarła w 26 roku życia Amalia Zuzanna.

Dobiło ją uwieszenie meża, zmarła z tęsknoty i żalu, że nie może lotem jaskółki przebyć dzielącej ich przestrzeni i choćby otrzeć się skrzydłami o więzienną kratę. Konała przez ciąg roku. Przez cały rok Blanqui czekał na jej ozdrowienie i spełnienie obietnicy przyjazdu do Mont-Saint-Michel. Wierzył przez cały rok, że pierzchnie straszna, szara mgła co wszystko dławi, rozstąpi się, a na tle jasnego szafiru nieba zjawi się ta, której czekał. Daremne czekanie, wahanie się ciągle między wiarą i rozpaczą, to były jego wewnętrzne przeżycia tego roku, to były jego męki. Teraz skończyły się, ale rozpoczęło się co innego. Ona, ta której czekał, przyszła, przyszła doń wreszcie, ale przyszła po śmierci.

Gdy mu urzędnik oznajmił nowinę, ani drgnął. A gdy został sam skulił się tylko, obrócił plecami do drzwi, oparł czoło na rękach i patrzył na morze, patrzył długo, nie widząc nic zgoła. I nieświadomy czasu co upływał, siedział tak do wieczora, aż do czasu gdy noc pogasiła wszystkie blaski fal morskich, zabrała ze sobą barwy, a cisza się roztoczyła po świecie. Wtedy dopiero uświadomił sobie, że jest czemś odrębnem od tego świata zjawisk, dusza wróciła, poczuł się sobą. Ale odtąd już wszystko było mu mniej więcej obojętnym dodatkiem do jego marzeń. Gorączka o władnęła jego myślami, wszedł w świat dziwny zwidywań i halucynacyi.

Wydaje mu się że oto po ołowianej, szarej, falistej powierzchni morza sunie trumna. Zrazu czarna, bieleje potem, zmienia kształty, staje się ludzką postacią sztywną i martwą, potem rozjaśniają się rysy jej twarzy, jestto mumia. Ale powoli opadają z niej osłaniające członki białe paski płótna, wstaje, chwieje się na falach, jak maszt rzuconego burzą statku. Tak, to ona, poznaje ją doskonale, jakże zresztą mógł nie poznać? Ale jakże się

zmieniła, jaka blada! Nogi jej sztywne, ściśnięte razem, jak je ułożono na śmiertelnej pościeli, ręce wyciągnięte wzdłuż ciała chude i nagie, cała zresztą strasznie wysoka i chuda, zbliża się, idzie, czasem znika, ale po chwili zjawia się jeszcze bliżej. Wraz z przytływem morza postępuje naprzód, dopływa aż do kraty, szuka wejścia, cofa się i zbliża, twarz jej to zjawia się, to znika, rozplywa w mgłę białą i znowu występuje wyraźnie, a na twarzy jakby wyraz żalu, że miłość się skończyła, jakby wymówka, że trwała tak krótko. Włosy jej zwite w warkocze zwisają na dół, jakby wodą przesiąknięte włosy topielicy; czarne oczy mają połysk szklisty, przeźroczystość martwą okien, nieoświetlonych połyskiem wewnętrznych światła. Już teraz nic jej nie będzie przeszkodą, ni strażę, ni kraty, ni zamki. Rozplywa się, rozprasza w gęsty opar, czy dym, zatracą swe kształty, przestaje na chwilę istnieć, ale wnet kondenzuje, zestala, już blisko, już w kaźni. I oto znów jest z mężem, znowu jest mu wierną towarzyszką. Tylko daremnieby wyciągnąć ręce, chcieć ją pochwycić w ramiona i przycisnąć do serca. Wróciła niedotykalną.

LIX.

I odtąd Blanqui nie był sam. O tych samych niemal godzinach zjawiała się ona, ta, której się żywej doczekać nie mógł. Żył z umarłą, oswoił się z faktem śmierci, tak, że przestała dlań istnieć. Gdy tylko mrok począł gasić barwy i przysłaniać gazą czerni świat cały wokół, na niebie zaczęły mu się okazywać przedziwne zjawy, niby chmury co ciągle zmieniają kształty. Nie potrzebował ich wywoływać. Na tle tych przemian przy-

chodziła doń „ona“ do kaźni i poczyniała długie rozmowy z jego duszą. Opuścił ją, póki żyła, dla więzienia, a ona znów porzuciła go dla grobu. Przez długie miesiące, nawet lata, była jedynym celem jego marzeń, jedynym przyjacielem, który mu słodził wdowią samotność życia. Później, gdy odeszła, z ust jego wydzierały się okrzyki bólu, świadczące o tem czego doświadczył, ale nie mówił o tem co stanowiło rozkosz i rozpacz niezmiernie długich, bezsennych nocy. Milczał podczas gdy go odwiedzała, tajemnicą osłonił treść rozmów tak bolesnych, a tak pożądanych jednocześnie. I nikt z otoczenia nie domyślał się co przeżywał człowiek, dwoma tknięty śmiertelnymi ciosami; nikt nie wiedział, jakie szepty rozlegały się wśród czterech ścian granitowych kaźni, nie mógłby nikt nawet pójść za nim ową krętą linią wspomnień, którą się ześliznął w dół, w to co minęło. Zatrwożony o swą tajemnicę milczał i nie padła ani jedna łza na kartki książki, którą czytał. Płakał w samotności i wszystkie jego łzy pozostały nieznanne.

LX.

Coraz częściej zapadał w bezwład i milczenie. Przeżywał dni bez dat, gdzieś w omrocach żałobnych bez nazwy i barwy. Skamieniał w tych przestworzach i był dla świata jak posąg bólu. Do półświadomości budził go jeno odgłos kroków, zgrzyt kluczy i głosów. Wtedy wizya pierzchała, a on zdziwiony patrzył wokoło. Podczas gdy Blanqui był chory, zubożniały na wszystko i zmęczony tem dziwnem życiem, poczęły zaostrezzać się niezmiernie stosunki więzienne i w szybkim tempie doszło do barbarzyńskich prześladowań. W kwietniu 1841

postanowiono zaprowadzić owe podwójne kraty u okien, odcinające więzienie do reszty od światła i zaraz też gorliwy dyrektor przystąpił do wykonania swego umiłowanego pomysłu. Odbywało się to w sposób dość oryginalny. Spowiednik cytadeli, ks. Lecourt, wchodził zazwyczaj do kaźni wraz z budowniczym i jego pomocnikiem i zwracał się z wyrazami niezmiernego współczucia do więźniów. Ścisł im dłonie, wypytywał się o zdrowie, proponował, że podejmie starania w różnych sprawach, słowem grał rolę najlepszego przyjaciela, najczulszego i najtroskliwszego o swe owieczki kapłana. Równocześnie dokonywano potrzebnych pomiarów. W ten sposób uniknięto dyskusyi, starć, a może nawet jawnego oporu. Sam Blanqui, mimo zwykłej swej zimnej krwi i bystrości w obserwowaniu, nie spostrzegł się i dopiero po wyjściu słodziuchnego duszpasterza począł się domyślać, co to wszystko mogło znaczyć. Oto co pisze w jednym z listów swych do Fulgencjusza Girarda: „Dziwna osobistość ten nasz spowiednik. Jest to ksiądz, a zarazem cieśla; po mszy zdejmuje trzewiki i wdrapuje się na rusztowanie, fabrykuje i zakłada rygle i zamki, robi kraty i okuwa drzwi więziennych cel, spowiada swe owieczki i sam je potem zamyka“.

LXI.

Dnia 18 kwietnia odbyła się inspekcja, przybył na nią podprefekt z Avranches. Wobec urzędnika dziewięciu więźniów sprowadzono do kancelaryi. Nazwiska ich: Barbés, Delsade, Dubourdiou, Martin-Bernard, Guignot, Godard, Guilmain, Vilcoq, Blanqui. Gdy stanęli w obliczu swych pogromców, powiadomieni zostali, że z po-

wodu koniecznych naprawek w kaźniach, które dotychczas zajmowali, przez parę dni będą mieszkać gdzieindziej. Delsade niedyskretnie zażądał wyjaśnień. W tejże chwili porwano go i długimi kurytarzami zawleczono do celi karnej, nie szczędząc po drodze kopnięć, kułaków i pchnięć bagnetu lub szpady. Zresztą wszystkich innych również zaprowadzono do cel karnych, gdzie przez trzy czy cztery miesiące znosili najsroźsze katusze. Cele karne są przeznaczone dla złodziei i innych krnąbrnych przestępców kryminalnych. Są to niejako strychy Mont-Saint-Michel. Po stronie północnej cytadeli umieszczone, wznoszą się na sto metrów ponad trzęsawiska nadmorskie, dominując ponad wysokim dachem klasztoru. Na tej wysokości oczywiście cele wystawione są na wszystkie wichry, niby latarnia morska, wznosząca się wysoko w niebo z pośród pustaci i rozłogów niezmiernych. Dwa i pół metra szerokie, metr i pół długie ściany kaźni karnej stanowią powierzchnię dostateczną dla dzikich igrzysk wiatru, co tłucze w nędzne schronisko więźnia, to cichnąc, to znów wracając z siłą wzmożoną. Przez zimno, którym siecze, wycie i lament, którym napęlnia małą przestrzeń celi zdaje się sam być więźniem i skazańcem ów wicher północno-zachodni, lodowaty, który urodził się gdzieś w Grenlandyi, płynąc ponad Anglią, przejął wszystko jednym olbrzymim dreszczem, a nareszcie utknął tutaj, zaplątał się skrzydłami w tej oto zatoce, wbił się głową w błoto trzęsawiska. Tak, wicher ten nigdy stąd nie odchodzi, nigdy całkiem nie cichnie, jest zewnątrz cytadeli, we wnętrzu, wszędzie, ale ciągle przesiąkły parą morza, nie suszy murów, z których ścieka wilgoć, nie uzdrawia ich. Powietrze kaźni bez przerwy, ustawicznie duszne, jakby zatęchłe od wilgoci, cuchnące wyziewami kubła, owego straszного narzędzia tortury. Ani

śladu pieca, kominka, jakiegokolwiek ognia. Aż do maja więźniowie dzwonią zębami, leżąc skurczeni w zimnych łózkach, dławiąc się odorami najwstrętniejszymi. Takie były teraz ich najświeższe męki. A trwały długo.

LXII.

Klatki te, wzniesione na przeszło osmdziesiąt metrów ponad poziom błotnych trzęsawisk i morza, nie posiadały okien, jeno przez otwór okratowany pod sufitem dostawało się do wnętrza trochę powietrza i światła. Nędzne owe komórki mierzyły ledwo cztery metry kwadratowe, miał łóżek trochę słomy w pace, służyło więźniowi za legowisko. Poza tem było tam jeszcze jedno krzesło i wyż wspomniany kubeł. To stanowiło umeblowanie. Trzeba było stoczyć walkę zaciekłą z silnym wichrem, deszczem siekącym po twarzy, by przycisnąwszy czoło do krat, zobaczyć dalekie skały, sylwetkę ruin „la Merveilleuse“, piętrzące się fale przyływu, bielejące w dali żagle i wreszcie, na samym skraju horyzontu koło Causale, zatokę otwierającą się na pełne, ogromne, bezkresne morze.

LXIII.

Podczas przemieszkowania w owych celach poprawczych, dyscyplina stała się jeszcze surowszą, prześladowanie stało się rzeczą codzienną. Tych, którzy pytali o powód przeniesienia ich na inne mieszkanie, zawleczono do kazamat podziemnych i zakuto w łańcuchy. To samo uczyniono ze skarżącymi się na złe pożywienie i złą jakość

wody do picia. Wszyscy poszli do podziemi i okaleczono im nogi i ręce kajdanami. Ciągniono ich za nogi poprzez kurytarze do nor oślizłych od wilgoci, gdzie roiło się od szczurów, robactwa wszelkiego rodzaju, do pieczar wykutych w skale. Barbès doświadczył tego pewnego dnia, gdy nie chciał wrócić po przechadzce do swej celi, której okratowany otwór pod sufitem zatkało podczas jego nieobecności, tak że stało się w niej ciemno i jeszcze duszniej. Obalono go na ziemię, piętnastu dozorców rzuciło się z wściekłością na leżącego, drąc mu włosy z brody i głowy, kopiąc po piersiach. Głową tłukł o kamienie, gdy go wleczono. Zamknięty został do nory zwanej „in pace“, niczem nie różniącej się od grobu. Delsade i Martin Bernard, którzy usiłowali interweniować, tę samą ponieśli karę.

Później przyszła kolej na innych, którzy ośmielili się krzyczeć. Dozorcy, w szable uzbrojeni, siekli ich gdzie padło, zakuli w łańcuchy, bili kolbami karabinów, mierzyli do nich, krew ciekła, a potem znowu to samo... poszli do kazamat, albo w celach zostali przykuci do ścian. Przez całą noc z głębin podziemnych cytadeli dobywały się jęki, krzyki, szczęki żelaza, płacz i wołanie o litość. Znikła wszelka odpowiedzialność, wszelaki cień sprawiedliwości; przemocy maniaków nie było już żadnej granicy, i okrucieństwo doszło do szczytu, przeobraziło się w zwierzęcość, złączyło z potworną ironią. Pozabijano wychowawców więźniów, a więc kury, gołębie, pozbawiono ich jedynych stworzeń, do których czuli przywiązanie. Pobladłym, półmartwym od męki, śmieją się kaci w twarz, drwią z ich osłupiałego spojrzenia, zaciśniętych zębów. Był to czas najokropniejszy, to też choroby się szerzą pośród więźniów, pomieszanie zmysłów zwłaszcza zjawia się i przybiera charakter epidemiczny.

LXIV.

Przez czerwiec, lipiec i sierpień więźniowie przebywają ciągle jeszcze w celach karnych. Blanqui miał być ostatnim z tych, którzy powrócili do swych kaźni. I powrócił też 23 sierpnia, po stu dwudziestu siedmiu dniach męki, która podczas letnich miesięcy przybrała inną formę. W tym czasie wiatr przestał być dręczycielem, roli tej podjęło się słońce. Upalne promienie przenikły ściany cel, tak wysoko pod niebem zawieszonych, wytworzyła się temperatura niemożliwa do zniesienia. Nie można było teraz już nawet wyglądać otworem po sufitem umieszczonym. Łachy trzęsawisk stały się błyszczące, białe, wrogie. Ledwo któryś z więźniów spojrział, musiał umykać oślepiiony. Teraz szło o to, by znaleźć w maleńkiej celi kącik zacieniony. Z trwogą śledził za nim wzrok nieszczęśnika, cień i chłód stały się wnet złudzeniem. Więźniowie formalnie piekli się i dusili w smrodliwej atmosferze cel, tych ohydnych pieców, wzniesionych na stumetrową wysokość. Jedna ulga, jedyny odpoczynek, to owa godzinna przechadzka. I wówczas widywali więźniowie wielki kawał morza. Wówczas to mogli radować się jego widokiem. Ale choć z trudem przez wysoko umieszczone okna oglądane, wywierało to morze także czasu pobytu w celach karnych, zwanych „Petit Exil“, swój dobroczynny wpływ na więźniów. To też oczy ich biegly ku niemu, pogardliwie odwracając się od cudów architektury opactwa. Nie chciano patrzeć na cudną, delikatną florę gotycką, przejrzyste, pajęczce niby, siatki rzeźbionych okien, bogactwa liści i kwiatów, co osłaniały kapitele, to zwite spiralnie, to odsłaniające aż do dna wnętrze koron. Nie istniało dla nich dziwo zamieniające szczupłe, klasztorne podwórze w mistyczny ogród,

granitowej pełen roślinności. Nie uznawali sztuki, żyć, przetrwać te wszystkie straszne godziny, tyle okropnych godzin wszystkich pór roku, pozwalała im jeno natura, jeno morze. Czasem było tej barwy co deszcz, potem znowu niepewne, melancholijne, złote, tajemnicze, rozległe, innym razem zmienne i kuszące... Jednem słowem cała potęga energii nagromadzonej tonęła w tem morzu. Było ono czynem beczynnych, obrazem olbrzymim ich złudzeń. Morze to kradło im wolę, zabijało czas, rozbijało złość, uciszało bunt, koło, unicestwiała wszystko widokiem ogromu i wieczystym, nieposkromionym, nad wszelką mocą ludzką panującym szumem swych fal.

LXVI.

Uczucie, że wszystko na nic, podobnie jak innymi, ośwładnęło także i Blanqim. Przychodziły nań takie chwile zniechęcenia i wstętu. Umysł jego metodyczny i kierowany jasną i świadomą swych celów myślą, szarpała rozpacz beczynności. Zawsze gotów do buntu, do czynu, do aktów odwagi ponad zwyczajną miarę, przeżywał teraz straszne chwile odpływu woli, niezmiernie długie okresy męki, z której dusza nawet pragnieniem wyrwać się nie czuła sił. Przeżył to, co tak trafnie określił Balzak, jako chwile ogromnej niemocy, kiedy to gieniusz wysiła się, wyteża całą swą moc, by rodzajnymi uczynić beznadziejnie, niepłodne piaski pustyni. Opuszczają go w takich chwilach nawet zwyczajne marzenia, przestaje zajmować się ulubionemi studyami socyologicznemi, wszystko go opuszcza w czem leży siła broniąca przed złem, pozostaje bezbronnym, samotnym, jak inni i wówczas, bez zdolności odczuwania nawet, wpatruje się w morze,

w którym toną myśli, na bezdroża schodzą pomysły, a tylko zjawy bez określonych konturów wstają i znikają ustawicznie.

Zrazu spoglądał na rozlewną, ruchomą dal z ciekawością, miał co dnia niespodziankę; fale były wciąż inne, a wszystko razem jakieś niezmiernie obce. Nie takim było morze, które pamiętał z czasów dziecinnych, morze latyńskie, szafirowe, nakryte jasną kopułą nieba, zawsze ciche, łagodne nawet w burzy, nieumiejące przerażać wybuchami szału. Jakże obce były mu te nieskończone piachy, lotnego i grząskiego błota ostępy, ta szarość wieczysta, okrywająca wszystko, chłonąca barwy, ta woda mętna zawsze spieniona, jakby w nieustającej złości, ów wiatr szalony nie słabnący nigdy, te dzikie ptaki przelatujące ponad wodą, z rozdzierającymi duszę, wołającymi o pomoc okrzykami. Tak obce mu były wszystkie te rzeczy, obcem było morze, tłukące bałwanami w podnóża skał i opadające po szturmie z jękiem pomstą dyszącym.

Patrzył na to wszystko z okna swej celi, z wyżyn tarasu fortecy podczas przechadzek, skąpo wydzielanych więźniom, i widowisko to osmucalo go. Spoglądał na ciągle zmaganie się wody i ziemi, walkę bezustanną dwu żywiołów, dwu form materii, brutalną walkę o pierwszeństwo. Czasem morze się cofało, odchodziło w dal, rysując się jeno na horyzoncie wąską, białą linią. Nagle zrywało się, rosło, zbliżało się, piętrząc, zataczając kolistę linię, nadchodziło, zagarniało wszystko, piasek, skały obrosłe kosmatymi porostami, ziemię okrytą szaro-purpurową murawą, ale zdobywało w ataku wszystko po to, by znów wszystko utracić.

Niebo podobnem było do morza. Szafir plamiły gęste kłęby chmur, postrzępione jakby zwitki szmat brudnych.

Czasem też spuszczała się z góry płachta mgły i poczynało w niej kotłować jak w morzu, czasem nastawała cisza odpływu, znikало niemal światło, wsiąkało w opar wilgotny, wówczas nastawała chwila bezruchu, ale zanim zdołała ją pochwycić dusza i odczuć ukojenie, skądś nadciągały wiry nowe, poczynały się ruchy rytmiczne, rosły i wnet rozpętywał się orkan, wracało szaleństwo ze zdwojoną mocą.

A na wszystko to, na wzajemne odbijanie się ruchów wody i chmur patrzą z poza kraty nieruchomo oczy człowieka. Wszystko to porusza się, żyje, jest na wolności. Ptaki latają, suną łodzie, gonia się po niebie chmury. Jakże dziwnie patrzeć na ruch przez kraty, przez wieloboki krat. Zdaje się, że pejzaż cały jest podobnie jak patrzący, w więzieniu. Woda i chmury są to różnobarwne plamy biegające tu i owdzie od jednego czarnego pręta do drugiego, świat cały pocięty jest liniami kraty i coś go trzyma w tych ciasnych granicach. Więzień zamknięty w klatce traci z wolna sąd o rzeczach, i wydawać mu się poczyna, że to on patrzy na klatkę, w której zamknięta funkcjonuje maszyna dziwna, poruszana motorem powszechnej grawitacji. Obserwacyi już nie kontroluje logika budująca wnioski z premis, jeno bezpośrednio wrażenie istnieje i oto cela więzienna wydaje się punktem kędyś w przestrzeni, nie wiadomo gdzie, okno jakąś ramą obrazu dziwnego, a natura przypadkową jeno dekoracją dramatu, gdzie nie działają ludzie, bohaterami są jeno myśli.

LXVII.

A myśli te są jedyną ucieczką więźnia. Dosłownie ostatnią. Blanqui nie jest już zdolnym nawet do kon-

templacyi. Znużył go wschód słońca, południe, zmrok, noc, wiosna, lato, jesień i zima. Morze zwiększa jeno smutek, szamotanie się jego i pomruki wywołują jeno zły humor. Podobnie do rozpaczy doprowadza go to, co może dojrzeć z okna, więc zębate mury, linie fortyfikacyi, cuda bogatej architektury, rzeźba, której fragmenty rzucają mu się w oczy gdy wychyli się za próg kaźni, koronkowa siatka, okrywająca ponure łuki galeryi, granitowe klasztorne podwórze, zmienione przez sztukę w cudowny ogród mistyczny o granitowych kwiatach, precudne witraże z których w kaskadach spadają smugi precudnych barw. Buntuje się przeciw sztuce, dnsze jego, miłującą klasycyzm, napełnia ironia i pogarda na widok owych wytworów średniowiecza i romantyzmu. Nigdy nie interesował się architekturą, a zresztą zamknięty w gotyckiej fortecy, zniechęcony i zbolący nie mógłby podziwiać tej sztuki, choćby lgnął do niej całym sercem. I cóż mu z tego, że rzeźbą pokryte było całe więzienie, gdzie marniał zamknięty na potrójny zamek. Toteż listy, jakie pisuje do przyjaciela, adwokata w Avranches, Fulgencjusza Girarda, pełne są drwin gorzkich. Znajdujemy też w nich dowcipne uwagi pod adresem tego ostatniego. Girard bowiem, oburzony na katowanie więźniów po kaźniach i kazamatach, całe życie nie przestawał jednak zachwycać się gotycką rzeźbą i architekturą. Zresztą nic nie zadawała Blanquiego, nawet te zielone, nędzne figi, stanowiące chlubę mieszkańców Mont. Choć wszyscy twierdzą, że są niemal dojrzałe i niemal dobre, Blanqui, południowiec, nie wierzy w moc twórczą północnego, bladego słońca, którego promienie z trudem sobie poprzez mgłę torować muszą drogę: „Wszystko — mówi — jest złe w Mont-Saint-Michel“. Odwraca się do wszystkiego plecami, nie chce rozumieć

tego co go otacza. Odcina się od najprostszych rzeczy i co dnia spotykanych ludzi, nie zapomina natomiast ani na chwilę o żonie i nie opuszcza go troska o syna. Ale równocześnie czuje, że minął okres bezwoli; teraz widzi przed sobą cel, chce się uchronić od choroby umysłowej, abulii i szaleństwa, które szerzą się pośród więźniów. Poczyna walczyć z przymusową bezczynnością, rozmyślać nad możliwością wyzwolenia, zajmuje się historią, potem, naturalnym biegiem rzeczy, powraca do polityki.

LXVIII.

Natężeniem woli stara się teraz przenieść myślą daleko, dostać się napowrót do wielkiego zbiorowiska ludzkiego. Stara się ująć samotności, wyrwać się duszą ze środowiska, które mu zadaje codzienne tortury, siłą woli przeciwstawić udreće, zamknąć oczy, nie widzieć kraty podwójnej swej kaźni. Walczy z całym wysiłkiem, do jakiego jest zdolny, z fizycznym cierpieniem, które poczyna opanowywać jego wątły organizm, bólami krzyża, obrzmieniem gruczołów, febrą, zjawiającą się w parodniowych odstępach. Najgorsze są teraz noce. Budzi się co chwila, prześladowany okropnymi snami, jęczy przez sen, ale wysila się, by pozostać obojętnym na łoskot zamku, by nie zalterować się, gdy ront nocny brutalnie zbudzi go ze snu. Słucha bez drgnienia gniewu ni zdziwienia słów lekarza i dyrektora, którzy odmawiają mu prawa przeniesienia się do szpitala więziennego, co dozwolonem jest zawsze nawet złodziejom... Z zupełnym spokojem przyjmuje ich zapewnienia, że się przyzwyczai do nowych warunków życia. Wyrzeka się dyskusowania, zresztą bezcelowego wobec szelmowskiej ironii kierownika admi-

nistracyi i obojętności lekarza. Milczy, gdy dyrektor mówi, że jest to rzecz całkiem naturalna, iż od czasu do czasu umiera jeden z więźniów, że niewola jest dobrodziejstwem dla ludzi bez środków do życia, że doskonały wikt, jaki więźniowie dostają, wprawia w zdumienie i oburza niemal obcych, zwiedzających Mont-Saint-Michel, którzy przyjść nie mogą do siebie z podziwu, iż tak dobrze traktuje się więźniów politycznych, zbrodniarzy ohydniejszych stokroć od morderców i złodziei. O pożywieniu tem opowiada Blanqui okropności w jednym z listów, pisanych w tym właśnie czasie. Wyraża się z najwyższym wstrętem i goryczą, mówi, że dostają zamiast mięsa i rosółu, rozkładającą się, surową padlinę, pływającą w popłuczkach czy pomyjach. Robactwa pełno w potrawach, które zresztą więźniowie nazywają lekarstwem na wymioty. Grochowianka składa się w połowie przynajmniej z gąsienic i karakonów, jest to prawdziwe powidło z robactwa.

LXIX.

Blanqui wysiła się przezwyciężyć to wszystko obojętnością i pogardą. Myślą cofa się w przeszłość, stara stworzyć sobie obraz chwili obecnej i na jego podstawie sformułować przyszłość.

Przedewszystkiem musiały go ciekawić dzieje rzeczy otaczających. Blanqui nie mógł przemieszkiwać w granitowym grobowcu, nie zastanawiając się nad tem, co się tutaj i w najbliższej okolicy działo w czasach dawnych. Najbliższą mu na razie była historia pułapki, w której raz zamknięty nieszczęśnik, jak dziki zwierz, co wpadł w muł grząski mrze, a gdy muł stwardnieje na skałę,

potomne wieki odkryją odbite na kamieniu jego kształty. Z kilku ksiązek, jakie udało mu się dostać bądźto z biblioteki więziennej, bądź też od jakiegoś uprzejmego dozorca, Blanqui dowiedział się jakimi były dzieje formowania się Mont-Saint-Michel, jakie siły wycisnęły na niej ślady swego istnienia, jakie fale żłobiły jej zbocza i szarpały piaski podnóża.

Patrzył na przetwarzanie się geologiczne skały, widział jak stopiona lava wydobyła się z pokładów łupku, jak zastygała zestalając się w twarde stożek, potem zamajaczył mu przed oczyma prastary pejzaż, dostrzegł zielen na równi nadmorskiej, las osłaniający brzeg, a w oddaleniu sześciu kilometrów ową skałę. Daleko wówczas wśród łąd sterczała, zamykając zatokę, roztaczającą się od Concalu, aż po archipelag Chausey. Była to epoka bujania ogromnych trzcin i szuwarów, gęste kępy otaczały obszary mokrych wieczyście łąk, wszędzie pełno było zieleni, cienie długie słały się po ziemi. Pod drzewami dostrzegł Blanqui druidów. Miejsce ich później zajęli kapłani. Ale wraz z upływającymi wiekami zmienił się też wygląd tego zakątka. W VII wieku ostatnie olbrzymie leśne zapadły się w grząski grunt, jodły i dęby zginęły, pogrzebane w bagnie, fale morskie, szarpiące bez przestanku grunt wybrzeża, nie dopuszczają żyć tutaj żadnej roślinie. Ziemia staje się więc jałową i niebawem z pośród piasku sterczącą widać jeno twardą skałę. Oprócz natury, na niszczenie miejsca tego wysilali się też i ludzie. Przez szereg wieków grasowali tu korsarze normandzcy, rozgrywały się walki, o których dokładnych wieści nie zdołał nikt zebrać i dopiero dużo później, gdy stosunki się ustaliły, obyczaje złagodniały, biskup Avranches Aubert objął skałę w posiadanie i zbudowawszy na jej

wierzchołku w r. 709 kaplicę i klasztor, osadził tam dwunastu mnichów. Z biegiem lat znowu się wszystko zmieniło i Mont objęli Benedyktyni, w miejscu dawnego pobudowawszy nowy, obszerny gmach otoczony silnym, wysokim murem. Monaster z wolna zamienił się w fortecę, rozszerzył na stoki góry i zakwitło tam życie dostatnie, wygodne, swobodne, a mnisi, rycerze i uczeni „skrybowie“ czuli się bezpiecznymi i z wyżyn Mont-Saint-Michel władali całym krajem okolicznym.

Ale dopiero w XII wieku kamienie tego labiryntu granitowego poczynają się pokrywać rzeźbą, na ciosach wznoszą się strzeliste wieże. Za czasu opatów, Rogera II. i Roberta de Thorigny, ponad staremi, niskimi budowlami ukazują się sklepienia lekkie wyższych pięter, stare piwnice i „sala straży“, szeroko rozsiadłe na twardej podłodze, podparte grubymi filarami, stają się podstawą konstrukcyj wykwintniejszych, a więc pięknej, technicznej zmysłowością „sali rycerskiej“, refektarza o przeducudnem sklepieniu żebrowanem, zwornikach pozłocistych i bogatych kapitelach wieńczących niby bukiety przepysznych kwiatów, święte kolumny. W wieku XIV., u jego schyłku, Pierre Leroy buduje południowo-zachodnie skrzydło klasztoru, wieżę „Perrine“, „Petit Exil“, wielką bramę pomiędzy dwoma basztami, szerokie, kręcone schody. W latach 1462, 1469 i 1472, częstym tu bywa gościem Ludwik XI., ów król-lis podstępny, węszący, a tak gorliwie budujący zamki feodalne. Za jego przyczynieniem się, Mont-Saint-Michel staje się tem, czem miał być potem. Przecztał on, że warownia będzie oddawała znakomite usługi, jako więzienie dla niewygodnych rządowi śmiałków i kazał sporządzić drewnianą klatkę, wedle pomysłu dworzanina La Balue.

LXX.

Czasu swej niewoli Blanqui w listach ciągle zastanawia się nad tą rolą policyjną, jaką spełnia Mont-Saint-Michel. Funkcye owe, którym nie sprzeniewierzyła się granitowa skała, przez szereg wieków stanowią ciągły temat, występują na pierwszy plan w jego opisach, toteż posiadamy długi spis nieszczęśników, którzy tam marnieli w czasach dawnych i nowych.

Lista sięga pierwszych wieków istnienia fortecy, epoki, kiedy istniały jeno ciężkie, niezgrabne murzyska i ciągle bez przerwy, często anonimowo, z siłą konieczności przesuwiają się skazańcy, podczas, gdy Monasterem władają opaci potężni, wiecey panowie, wznoszący wciąż nowe budynki, zdobiący je dziełami sztuki, rozmiłowani w życiu spokojnem i wykwintnem. Popod salami, których sklepienia wspierają się na kolumnach, rozkwitających u szczytu kapitelami nieporównanej piękności, pod kościołem, co rozbrzmiewa harmonijnymi dźwiękami organów, biblioteka, gdzie panują niepodzielnie erudycya i rozum, po stromych, wilgotnych, wykutych w skale schodach zstępują więźniowie do kazamat, do nor, zwanych, i nie daremnie: „oubliettes“. Są to jakby dna studzien zalane wodą ściekającą ze ścian, do których powietrze dochodzi jeno pośrednio przez długie kurytarze, o sklepieniach niskich i ledwo półtora metra rozpiętości mających, tak, że skazaniec musi leżeć, albo siedzieć w kucki. Wyprowadzano ich stamtąd raz na tydzień i pozwalano na terasie, pod dozorem mnichów, oddetchnąć świeżem powietrzem. Pewien zakonnik przeżył w tych warunkach dwadzieścia lat. Na liście, o której mowa, figurują nazwiska Anglików, dalej jest tam: Noel Beda, d'Avranches, syndyk paryskiego fakultetu teologicznego, prze-

łożony kollegium w Montaigu, znajdują się liczni przywódcy hugenoccy, dziennikarz duński Dubourg, schwytany w Holandyi, który zmarł w twierdzy, konając przez długi czas, dalej różni autorowie pamfletów, finansisci, podejrzani. Rewolucya zburzyła Bastyllę, ale nie tknęła Mont-Saint-Michel. Nadano jej jeno imię: „Skala wolności“. Także jedną z baszt nazwano „basztą wolności“ i w latach 1793 i 1794 zamknięto w niej trzystu księży dyecezyj Avranches, Coutance i Rennes, którzy odmówili złożenia cywilnej przysięgi wierności dla republiki. Czasu cesarstwa pełno w forticy więźniów, wyższych oficerów, którzy nie chcieli się wyzbyć przekonań republikańskich, prócz nich znajdują się tam trzej jeńcy wojenni, rosyjscy generałowie. Za Restauracyi odsiadują tu karę między innymi: syn Boboenufa, publicyści, którzy dopuścili się przekroczeń prasowych, fabrykant sabotów Mathurin Bruno, półwaryat zwący się „królem Francyi“, wtrącony przez swego kolegę, króla francuskiego do więzienia na całe życie i wreszcie były członek Konwentu Lecarpentier, który umarł po dziewięciu latach, a którego głowę dotychczas przechowują w więziennej aptece.

Po roku 1830 lokatorami Mont, zostają legitymiści, skompromitowani w rozruchach royalistycznych w Bretanii. Najwięcej atoli republikanów. Może pamięta jeszcze Ludwik Filip — czasy to niedawne — że w młodości, jako ksiązę Chartres, z guwernantką swą panią de Genlis, zwiedzał raz opactwo w Mont-Saint-Michel. Pamięta pewnie, jak w zapale młodzieńczego oburzenia porwał siekiere i rzucił się rąbać klatkę tortur, wymyśloną przez Ludwika XI. Dawne to jednak czasy, choć nie wiele lat minęło i teraz jeśli wspomni o Mont-Saint-Michel to nie dlatego, by usunąć narzędzie męki, albo złagodzić straszne warunki życia więźniów, ale poto, by zaludnić

fortecę swymi wrogami i poddać ich całej surowości zemsty. Po rozruchach czerwcowych Mont przemieniła się w kolonię karną, gdzie internowano żołnierzy wraz z przywódcami jak: Joanne, Blondeaux, Lepage i Colombat. Wszyscy, prócz Colombata, któremu się powiodło nadludzkie niemal przedsięwzięcie ucieczki, znajdowali się jeszcze w cytadeli w chwili, gdy przywieziono powstańców z maja roku 1839, Martin Bernarda, Barbésa, Blanquiego i innych. Oto w ogólnych zarysach kronika więzienna Mont-Saint-Michel.

LXXI.

Blanqui, jak powiedzieliśmy, wysiłał się, by wejść w kontakt z życiem, by na nowo zapoznać się z bieżącą polityką. I udało mu się to poniekąd. Pisywał często do przyjaciela swego w Avranches Fulgencjusza Girarda, a przez niego przysyłał listy do matki i sióstr. Otrzymywał też tą drogą różne wiadomości, nawet dzienniki, to jest wycinki z dzienników i mógł teraz, z przerwami nieraz znacznymi coprawda — śledzić tok spraw publicznych, irytować się jednym, cieszyć z drugiego, badać czyny ludzkie i rozwój wypadków. Przez ciasne okienko kaźni widzi teraz Blanqui kierujących losami państwa, zebranych u zielonego ministeryalnego stołu ludzi jak: Guizot, Thiers, Soult, Molé, członków Izby, osobistości grające pierwsze role i komparsów wszystkich tych ludzi, szybko przechodzących z ław opozycji na fotele ministeryalne i przeciwnie. Dalej na widowni [Europy obserwuje przewijających się dyplomatów, ruchy ludów, przemarsze wojsk, z daleka patrzy na wszystko i wydaje mu się, że widzi czarne mrowisko w bezustannym ruchu.

Od kiedy został zamknięty w Mont, działy się różne rzeczy: abdykowała królowa hiszpańska, Anglicy i Rosyanie manewrowali po Azji, odnowiono fortyfikacje Paryża, walczone w Algerze, Blanqui słyszał niemal grzmot armat pod Beyrouth, widział trumnę, w której zwłoki Napoleona wracały do Francji. Ale nie na tem koniec. Partya rewolucyjna w owym czasie złamana, zdziesiątkowana, musi zrezygnować z propagandy wśród szerokich mas. Natomiast kształtują się teorye socjalistyczne. Ludwik Blanc głosi zasadę interwencji państwa, Proudhon anarchię, fourierzyści i saint-simoniści snują swe marzenia o miłości wszechludzkiej, Cobet odkrywa lkaryę, Daumier słynie ze swych rysunków, a równocześnie rozbrzmiewają harmonijne, spokojne słowa Lamartina.

LXXII.

Narówni z historią i polityką studyował teraz Blanqui także literaturę. Mimo ograniczonej liczby tomów jakie znaleźć mógł w bibliotece więziennej, nie jeden dzień i wieczór spędził na czytaniu, i przy książce zapominał o strasznem swem położeniu. Martin Bernard opowiadał potem nieraz do jakiego stopnia mogą ułatwić życie więźniowi, takie choćby książki jak: „Pamiętnik Kardynała de Retz“, „Podręcznik literatury“ La Hope'a, „Historya Paryża“ Dulaure'a. Znaleziono list Barbèsa gdzie prosi, by mu przysłano z księgarni pani Fenard, powieści Lucheta, H. Latouche'a, Alfonsa Karra, Sainte-Benva, Juliusza Janin: „Un nom de famille“, „Aymar“, „Sous les tilleuls“, „Volupté“, „Le chemin de traverse“, a wreszcie „Pamiętnik barona de Tvenck“ więźnia fortecy magdeburskiej, kochanka księżniczki Amelii, któ-

rego wtrącił do więzienia jej brat, Fryderyk II. Ale bardziej jeszcze niżli dzieje tego oficera pruskiego interesowały przymusowych lokatorów Mont-Saint-Michel losy Silvia Pellico. Był im nierównie bliższym. Blanqui w listach nazywa więzienie opactwa w Mont francuskim Spielbergiem, a podziemne kazamaty i „oubliettes“, znajdujące się głęboko pod klasztorem, przyrównywa ciągle do słynnych weneckich komór ołowianych. Nic dziwnego, że więźniów interesuje przede wszystkim książka omawiająca więzienie, że ten rodzaj tematów opanowuje całą ich umysłowość i że snują ciągle analogie.

Wszystko niemal innem jest w światopoglądzie Silvia Pellico. Blanqui nie znajduje w sobie żadnego z nim pokrewieństwa. Bo i jakąż być mogła wspólność idei tego chrześcijanina i rewolucjonisty? Nawet zwiierzając się ze swych powątpiewań, opowiadając o atekach wewnętrznego gniewu, nawet bluźniąc, Pellico pozostaje zawsze wierzącym, a wiara ustala się w nim, oczyszcza i trwa tem silniejsza, obmyta wyrzutami sumienia. Równie jasnym i niewzruszonym jest brak wiary Blanquiego. Ale życie silniejszym się okazuje od cech charakteru i myśli tak różnych u obu. Życie to właśnie zbliża i łączy co w nich jest sprzeczne, a podobieństwo losów jednego i drugiego świadczy o jakimś dalekiem, niepojętem braterstwie. Czyż książka Pellica „Moje więzienie“ nie zawiera mnóstwa faktów, wydarzeń, przejsć, jakby skopiowanych z dziejów niewoli Blanquiego. Tylko tamten cierpiał dawniej. W Medyolanie podobnie jak tu, cele mnichów przemieniono w kaźnie więzienne, w komory o dachach ołowianych, wysokie, ciasne jak kominy skrytki na najwyższem piętrze Pałacu Dożów, lodowato zimno w zimie, podobne piecom ognistym w le-

cie, czyż nie odpowiadają jak najdokładniej celom karnym klasztoru Mont-Saint-Michel? Nawet przez czas jakiś podobnie nazywa się więzienie gdzie siedzi jeden i drugi. Przed osadzeniem w Spielbergu Pellica więziono na Ile Saint-Michel około Murano. I tam jak tu mniej więcej dwa stopnie kary, „carcere duro“, więzienie ciężkie, „carcere durissimo“, bardzo ciężkie. W pierwszym wypadku więzień ma łańcuchy na nogach, śpi na gołych deskach, je nędznie i musi pracować; w drugim zakuwają mu nogi i ręce, prócz tego pas żelazny obejmuje go w pół ciała i przygwoźdza do ściany tak, że ledwo dwa kroki zrobić może. Za całe pożywienie dostaje jeno chleb i wodę. Stosowanie łagodniejszej, lub ostrzejszej kary określone zarówno w opactwie normandzkim, jak i w forcie austriackim, specjalnym regulaminem. Tu i tam kazamaty wykopano głęboko pod ziemią. Tu i tam mięso jest zgniłe, niemożliwe do jedzenia, wywołuje wymioty, a więźniowie chorują z obrzydzenia i głodu. Tu i tam przechadzka trwa godzinę, i spaceruje się pod nadzorem żołnierza z nabitym karabinem. W obu przybytkach niewoli nagle i niewiadomo z jakich powodów następuje nagle obostrzenie, odjęcie drobiazgów, książek, w Mont podwójne kraty, tam otaczanie palisadą podwórza, tak by odciąć dręczonym widok świata zewnętrznego. Analogie tak liczne świadczą, że chyba wszystkie więzienia cywilizowanej Europy podlegają jednym i tym samym prawom.

Podobne są też szczegóły życia, pomysły i usiłowania więźniów dwu krajów tak odległych. Silvio podczas przeprowadzania go z jednej kaźni do drugiej poznaje Melchiora Gioję. Obaj powiewają chustkami. Ile razy zdarzy się sposobność, stara się dowiedzieć co porabiają inni, Maroncelli i Rossi. Z wielką uwagą obser-

wuje widniejące na horyzoncie kopuły i wieże, wyteża słuch, chwytając dochodzące do jego celi głosy ludzi, przychodzących czerpać wodę ze studni znajdującej się pod jego oknem, ciekawi go widok gołębi fruujących ponad placem św. Marka. Skutkiem samotności miewa halucynacje, wydaje mu się, że ktoś jest w jego kaźni, ktoś, kto go chce zadusić, słyszy śmiech i jęki, wpada w omdlenie i miewa ataki nerwowe. Podczas podróży z jednego więzienia do drugiego zakuwają go w kajdany. W celi swej w Spielbergu Pellico wspina się w górę czepia krat okna, by spojrzeć na dolinę, na miasto Brunn, małą osadę, tonącą w ogrodach, cementarz, niewielkie jezioro la Certosa i wzgórza okryte ciemną zielenią lasów. Usiłował dojrzeć świat zewnętrzny, wieś, ruch ludzi wolnych, chmury błędzące po niebie, usłyszeć śpiew chłopów pracujących w polu. Pali go bezustanne pragnienie słyszenia i widzenia ludzi, wymyśla przeto różne sposoby, któreby usunęły zawadzające kraty i mury, wreszcie wdaje się w długie rozmowy ze złodziejami. Prócz tego czyta, rozmyśla i pisze. Pisze na stole i czasem, gdy mu się uda pozyskać łaski dozorczy, na papierze urywki poezji, dramatów. W epoce, gdy dostał się do celi, gdzie siedział już Maroncelli, ma gotową tragedję, której jeno napisać nie może z braku pióra i papieru. Ale umie ją na pamięć, poprawia ciągle, ulepsza i po całych godzinach deklamuje wyjątki.

W ten sposób Blanqui ma w rękach niejako sprawozdanie z dni niewoli jakie jego i towarzyszy czekają. Wie naprzód co się mniej więcej będzie działo. I oni też w Mont-Saint-Michel dowiadują się o sobie wzajem, powiewają chustkami, badają mury, przesyłają sobie listy. I oni też patrzą, a raczej starają się patrzeć na ruszających się ludzi, latające ptaki, rozkwitłe kwiaty.

I oni są chorzy, wyczerpani, trapi ich gorączka i uciezki przed tem wszystkim szukają w czytaniu, w nauce. Na całej kuli ziemskiej ludzie są sobie podobni, doznają tychże samych wrażeń, więc czują się braćmi, choć umysł ich snują wręcz odmienne myśli, a serca nie biją dla tych samych ideałów. Czyż biedny Silvio, gdy go po dziesięciu latach okrutnego więzienia wypuszczono na wolność, nie entuzjazmuje się dla owych: Trzech, pełnych chwały dni Paryża, czasu których Blanqui walczył na barykadach? A ileż jeszcze wspólnych rzeczy odkrył on, czytając słowa obcego sobie z pozoru człowieka, ileż zwierzenia owe dotykały punktów bolesnych, ileż mówiły o tem wszystkim, co nie nazwane, co się przeczuwa jeno, co się uchyla od wszelakiego imienia, a tak bardzo obchodzi wszystkich cierpiących, wszystkich pożądających daremnie pełnego, wolnego życia. Doprawdy, zdawałoby się, że więzień włoski dla Blanquiego umyślnie pisał te słowa: „...A mimo wszystko nawet w mrocznej głębi więzienia czuje się rozkosz życia, gdy się pomyśli, że prawdziwe dobro leży we własnej świadomości, a nie w rzeczach zewnętrznych“. Albo dalej: „...Przekonałem się, że można uczynić swój sposób myślenia niezależnym od miejsca gdzie się przebywa, stań się panem twej wyobraźni, a wszędzie czuć się będziesz szczęśliwym“. Filozof, równie jak i chrześcijanin mógł się zgodzić na taką apologię życia wewnętrznego. Albo, czyż można było zostać obojętnym wobec wydzierającej się z głębi duszy skargi męczennika: „Biedne moje serce! Jakże łatwo zdolneś pokochać i jakże gorąco. Ileżes dotąd zmuszone było przeżyć chwil rozłąki!“ I Blanqui wie co rozłąka, zna jedną zwłaszcza straszną, wieczystą, na którą rady niema! Jakże szybko przesuwała się przez życie i przez jego życie ukochana ko-

bieta. Ledwie został wykluczony ze świata i zamknięty w więzieniu, ona natychmiast odeszła, odeszła nierównie dalej, zstąpiła do kazamaty ciemniejszej niżli on, w ciemń większą, skąd powrotu niemasz, w grób.

LXXIII.

Ale należało wyzwolić się z tego biernego rozmyślenia, odłożyć je, a przedewszystkiem wydostać się na wolność. Historia Mont-Saint-Michel zawiera mnóstwo przykładów prób ucieczki. Nim przystąpię do opisu odnośnych usiłowań naszego bohatera pragnę dać obraz sytuacji i zaznaczyć jego stosunek do współwięźniów.

Fomberteaux, więziony przez trzy lata w Mont, przyjął autora tej książki w r. 1888 w swem mieszkaniu w Montrouge i oto co opowiedział:

„Wraz z Vuillcoq'em i Joigneaux zostałem skazany w procesie pism „Moniteur republicain“ i „L'homme libre“. Po rozruchach majowych przywieziono Barbésa, Delsade'a, jakiegoś Polaka, Blanquiego, Huberta i innych. W „Petit Exil“ gdzie siedziałem, zamknięto Barbésa, Martin Bernarda i Blanquiego. Wówczas już zaznaczył się antagonizm między Barbésem a Blanquim. Pierwszy zarzucał drugiemu tchórzostwo. Blanqui, wedle Barbésa wydał pod groźbą listy z mnóstwem nazwisk. Niestety Barbés uczynił to samo. Wogóle obaj zostali zmuszeni. Barbés twierdził, że konspiratorzy w guście Mazziniego i Blanquiego nie grzeszą rozwagą, a za wiele ufają sobie. Przez dwa i pół lat z całych trzech mego więzienia siedziałem w osobnej kaźni i nie widziałem ani razu Blanquiego, jedynie z Barbésem i Martin Bernardem rozmawiałem przez dziurę w suficie i drzwiach. Potem

pozwolono korespondować ze sobą więźniom i wypuszczano nas na godzinną przechadzkę, podczas której mogliśmy się widzieć i zamienić kilka słów. Blanqui był zawsze niezmiernie śmiały i spokojny. Czytał podobno wiele i rozmyślał. Nigdy dużo nie pisywał, (Tu się myli Fomberteaux, Blanqui umiał jeno ukryć co napisał) a mówił i głosił swe poglądy tylko w obliczu sędziów“.

Niechęć wzajemna dzieląca Blanquiego i Barbésa, objawiła się jeszcze przed osadzeniem ich w Mont-Saint-Michel. Ale nie przeszkodziła wcale do wspólnej akcji, nie rozdawiała energii. Cierpieli wspólnie, więc wspólnie wyteżyli siły, by uzyskać wolność. Mimo pilnego nadzoru, surowego regulaminu, mimo, że na każdym kroku byli terroryzowani, karani srogo za najdrobniejsze przekroczenie, nie stracili pomysłowości i wola więźniów zwyciężyła przeszkody. Chociaż z dniem każdym niemal obostrzenia spadały na nich i rosły trudności, nie słabła energia. I oto ludzie ci pozamykani w osobnych kaźniach, tak zdałoby się dobrze odosobnieni, zdobywają przeróżne sposoby porozumiewania się. Zrazu przesyłają sobie kartki, potem od okna do okna przeciągają nitki, piszą na dnie szalek z jedzenia umówione słowa, wreszcie rozmawiają przez przewody kominów i co najmniej spodziewane znajdują sposoby widzenia się, zgromadzania razem.

Regulamin celkowy zabrania więźniom mówić, nawet do dozorców odzywać im się nie wolno, zerwane są wszelkie stosunki ze światem zewnętrznym, wszystkie listy mają być badane przez dyrektora i w listach tych nie wolno wspominać o represaliach, a tem bardziej skarżyć się na prześladowania zarządu więziennego. Nie na tem koniec. Nie wolno śpiewać. Nie mogą ulżyć swym nerwom, rozerwać się w szalonej nudzie, nie wolno wy-

ładować swego gniewu w piosnce, czy innym fragmencie muzycznym, który z czasów wolności pozostał w pamięci. Bez pozwolenia żadnej książki mieć nie wolno, nic coby odwrócić mogło myśl od przerażającej rzeczywistości, coby nieszczęśnika wykluczonego ze zbiorowiska ludzkiego, z tem zbiorowiskiem na nowo złączyć mogło. Ni kropli wina, czy wódki dla rozgrzania się, pobudzenia rozpraszającej się energii. Za każdy z tych zabronionych artykułów, za najlżejsze przekroczenie, zaraz: karamaty, cele karne, łańcuchy. A w tekście regulaminu ciągle podkreślana arbitralna władza dyrektora, który włada rzuconą na fale morza twierdzą Mont-Saint-Michel, jak kapitan okrętem.

Regulamin taki oczywiście obliczony jest świadomie na wywołanie rozpacz, apatii, choroby i szaleństwa. U ludzi w sile wieku będących, zmuszonych żyć w powyż opisanych warunkach bez ruchu, słowa, możności zadowolenia najelementarniejszych potrzeb, wytworzyć się musi ostry stan patologiczny. Toteż jedni chorują na febrę, znajdują się w stanie ciągłego podniecenia, inni przeciwnie zapadają w bezruch. Staube popełnił samobójstwo, Austen, Bardon i Charles dostali pomieszania zmysłów, wielu wreszcie zmarło w szpitalu w Pontorson.

Ale u niektórych odporność jest wielka, energia nie słabnie długo mimo wszystko. Od początku wielu wysiła całą swą pomysłowość w kierunku zmylenia czujności dozorców i oto często niespodziewanie udaje się osiągnąć rzeczy z pozoru niemożliwe; więźniowie rozmawiają ze sobą, korespondują, czytają dzienniki, porozumiewają się ze światem zewnętrznym, w czem czynni są przyjaciele Blanquiego i Barbésa, jak Fulgencyzus Girard i inni. Przyjaciele ci snują się po całej cytadeli,

umieją dać znać o swojej obecności, niektórzy za formalnem pozwoleniem składają więźniom wizyty.

We wrześniu 1840 dzięki odwiedzinom matki, Blanqui przesyła Girardowi list, w którym obiecuje mu pisywać doń przy pomocy współwięźnia Guilmain, siedzącego w sąsiedniej kaźni. W liście tym Blanqui prosi o dzienniki, domaga się, by mu skreślił szkic sytuacji politycznej, okazuje zainteresowanie pokojem i wojną, losami księcia Ludwika.

Dzięki tym wszystkim zabiegom, zaraz pierwszego roku więzienia tj. w r. 1840 zjawia się na porządku dziennym kwestya ucieczki. Niejaki Doux, przyjaciel Barbésa przeprowadził rokowania z żołnierzami, którzy byli republikanami i pochodzili z Paryża. Przygotowania już były na ukończeniu, ale Barbés nagle oświadczył, że sam uciekać nie chce, żołnierze zaś zapomnieli się i zanucili pewnego wieczora „Marsylianke“. Natychmiast wysłano ich do armii kolonialnej afrykańskiej.

List Blanquiego pisany do przyjaciela w październiku 1840 r. pełen różnych projektów ucieczki. Blanqui poddaje każdy z osobna krytycznej ocenie, dalej zastanawia się którą wybrać z rozlicznych dróg do Gronville, gdzie można sięść na statek odpływający do Jersey, a w każdym słowie tętni radość, nadzieja, zachwycenie tą wolnością wziętą samowładnie, w nocy, tą drogą po grząskich piaskach, a potem rozchwiać morze, czuć szal upicia się przestrzenia, powietrzem.

Blanqui słusznie zwraca uwagę na to, że zbiegowie będą mieli ledwie dwie godziny przed sobą, a z Mont-Saint-Michel do Gronville jest siedm mil, dalej, że trzeba znać dokładnie miejsce gdzie można sięść na statek, albo w samym Gronville, albo na wchodzącym w morze cyplu górzystym (Carolles), który widać z okna jego

kaźni, albo między Gronville i Sienna, rzeką okręgu Coutances, albo ostatecznie w Saint-Malo. Jakąż jednak drogą dostać się do Gronville? Na Genest, Sortilly, albo naokoło przez pola? Blanqui ma w głowie całą kartę geograficzną tego zakątka kraju. Rozmyśla też, który czas najlepszy, która pora roku; czy wybrać długą, burzliwą noc, czy przeciwnie. Stawia mnóstwo znaków pytania, a równocześnie zjawia się wesołość i dowcip, który go nigdy nie opuszcza, i robi Girardinowi wyrzuty, iż mu zachwalał figi w Mont-Saint-Michel. Oświadcza, że za całą tę fortecę nie dałby ni dwu liordów, że gdyby od niego zależało, napchałby do piwnic tak ze sześć tysięcy kilogramów prochu i wysadził w powietrze tę piekielną pułapkę. W dalszym ciągu listu mówi o księżycu, o falowaniu morza i wzdycha do chwili, kiedy po tylu wichrach i przyptywach odetchnąć będzie mógł wonią łąk i lasów. „Dość — pisze — nawąchaliśmy się powietrza trzęsawisk, które jest tak słone i drapiące, jak ody Wiktora Hugo“. W tym samym liście robi aluzję do bombardowania Beyrouthu, po którym jego zdaniem powinno rozpocząć się bombardowanie Paryża i kończy: „Główną winę ponoszą dzienniki, te głupie gaduły zawsze muszą wszystko zepsuć“.

Girardin odpowiedział obszernie, wyluszczył kwestyę uciezki, wskazał samo Gronville jako miejsce wsiadania na statek, co miało być upozorowane wycieczką w celu połowu ryb, albo badań geologicznych na wyspy Chausey, iść radził na Genest i Sortilly i wsiadać zaraz, jeśli zbiegowie mogą oznaczyć dzień swego przybycia jeśli nie, proponował, by parę dni przeczekali we fermie pobliskiej, którą posiadał. Ale to ostatnie nie podoba się Blanquiemu i z zupełną słuszością twierdzi, że taka kryjówka byłaby niezmiernie łatwa do odnalezienia. Jest

zdania, że trzeba dzień oznaczyć i przekupić kogoś, by się podjął pośrednictwa. Niedługo też poczęły się przygotowania, ale je dostrzeżono i sprawa upadła.

Rozpoczęto knuć nowe spiski.

Tym razem prym wiedzie Delsade. Przy pomocy małych dziurek wierconych gęsto, przez długie, żmudne manipulowanie doszedł do tego, że otworzył okute blachą cynkową drzwi swej kaźni opatrzone w olbrzymie zamki i zasuwę. Podobnie otworzył kaźnię Barbésa, Martin Bernarda i Guinaulta, jak się zdawało strażnikom, doskonale zamkniętych, zwłaszcza, że drzwi ich cel podparte były jeszcze sztabami, utkwionemi w murze kurytarza. Teraz co wieczora po roncie, więźniowie się schodzą. Trwa to jednak niedługo, gdyż wszystko zdradza jeden z współwięźniów, Hendrick.

Teraz Blanqui wymyśla coś nowego, dostaje się mianowicie kominem do komina celi Martin Bernarda.

I tak ciągle trwają wysiłki, następują porażki, władza poczyna sobie coraz to okrutniej, prześladowania dochodzą do zenitu, więźniów pozbawiają wszystkich mebli, nowe zakładają kraty u okien, wywołuje to w odwecie bunt, wściekłość prześladowanych nie zna już granic i wreszcie szala zwycięstwa poczyna się przechylać na ich stronę.

Pani Blanqui, mimo pozwolenia ministeryalnego, nie może długi czas doprowadzić do widzenia się z synem, bo Blanqui odrzucił poniżające warunki, na jakich dyrektor chciał na wizytę przyzwolić. Wedle nich, pani Blanqui miała być zrewidowana przez strażników, a rozmawiać mieli przez podwójną kratę. Dopiero za wdaniem się szwagra Barbésa i jego siostry złagodzone warunki tak, że odwiedziny mogły mieć miejsce. Teraz państwo Carle dowiedzieli się o okropnych krwawych scenach,

jakie się tu zdarzają, o niepodobnych do prawdy nadżyciach i wnoszą skargę. Fulgencysz Girard układa memoriał w imieniu rodzin więźniów, a więźniowie ze swej strony robią doniesienie karne na dyrektora i żądają usunięcia go ze stanowiska. Sprawa stała się głośna, prowadzono śledztwo, wnoszono petycje do Izby, zawrzało w prasie.

W tym czasie pisze Blanqui: „Musi tutaj przyjść do katastrofy. Te szelmy prą do niej, co dnia więcej prześladują, a i my nie od tego. Nie idzie jednak za tem, byśmy mieli działać jak obrani z rozumu. Choć co do mnie, to już teraz nie mam wiele do stracenia. Nie obawiam się niczego i nie spodziewam, nie zależy mi na życiu, cięży mi, wiem, że nie pożyję długo, a więc radbym to życie wymienić na coś..“

LXXIV.

Do katastrofy nie przyszło, gdyż 13 grudnia 1841 r. Thourrier został odwołany ze stanowiska dyrektora więzienia. Wprawdzie ten fakt nie zmienił zasadniczo niczego, ale w każdym razie nastąpił okres względnego spokoju. Natychmiast rodzi się na nowo nadzieja ucieczki. Barbès zauważył podczas jednej z codziennych przechadzek, że w miejscu zwanem „saut Gauthier“ jest pewna niedokładność w fortyfikacjach. Spostrzeżeń swych udzielił innym, Aleksandrowi Thomasowi jeszcze w grudniu, a Martin Bernardowi i Blanquiemu w styczniu. Ale należało się naprzód zebrać razem. Pani Blanqui podjęła się to umożliwić i rozwinęła działalność, istotnie zdumiewającą u osoby sześćdziesięcioletniej. Co dnia, o ile zachodziła potrzeba, nawet dwa razy dziennie, przycho-

działa piechotą z Avranches do Mont, z całą energią domagała się widzenia z więźniami, długie godziny nieraz wyczekując na pozwolenie. Oczywiście nie przychodziła daremnie, znosiła po kawałku narzędzia żelazne, cienkie stalowe piły, dłuta, nici na sznury. Ruszt żelazny Blanquiego, służący mu do pieczenia jabłek został przerebiony na klucz. Komunikacya przez kominy została wydoskonalona, a oprócz tego wykopano przejście podziemne. Nareszcie pewnej nocy, czterej więźniowie zeszli się w jednej celi, mogli sobie uściskać dłonie, ucałować się i w głębokich ciemnościach porozmawiać. Choć ten co mówię, musiał usta do uszu słuchającego przykładać, choć Barbésa i Blanquiego dzieliła niechęć wzajemna, pierwsze to widzenie napełniło wszystkich niezmierną radością, serca wszystkich uderzały przyspieszonym tętnem, w duszach wszystkich tkwiła nadzieja bliskiej wolności.

Szło teraz o to, by się wydostać. Po długich usiłowaniach zdołano podziurawić drzwi, odstłonić rygle i odsunąć je zapomocą haczyka. Dorobionym kluczem otwarto drzwi kurytarza i celę Dubourdieu, której okna wychodziły na „saut Gauthier“. Wypiłowano wreszcie kratę tej celi i wszystko było teraz gotowe.

Dla zmylenia pogoni postanowiono jeszcze poprzebierać się. Blanqui, jako szczupły i niskiego wzrostu miał być kobietą, inny służącym, uplanowano wystarać się o paszporty w merostwie miasteczka Vitré i jako rodzina mieszczańska odbyć dyliżansem podróż do granicy szwajcarskiej. Ale droga była daleka, pełna niebezpieczeństw, więc poczęto zastanawiać się, czy nie lepiej po ucieczce rozstać się natychmiast i próbować szczęścia w pojedynkę,

Dopiero 10 stycznia 1842 ostateczny plan ułożono i wzięto się do dzieła. Gdy minął pierwszy ront nocny,

więźniowie zgromadzili się, pootwierali drzwi i wyjęli kratę celi Dubourdieu. W siedmiu zstępywali, trzymając się sznura po chodach głównych, potem po cichu, wśród deszczu i wichru przebyli inne schody wiodące na taras fortyfikacyj, aż do miejsca zwanego „saut Gauthier“. Ale czterech jeno miało uciekać, mianowicie: Barbés, Blanqui, Martin Bernard i Huber, wszyscy skazani na więzienie dożywotnie. Trzej inni, Thomas, Béraud, Dubourdieu postanowili czekać aż minie czas kary.

Umocowano linę, trzymali ją Béraud i Thomas, a Barbés pierwszy ucałowawszy współtowarzyszy znikł w ciemnościach.

Nagle straciwszy grunt pod nogami począł się kręcić z liną w jedną stronę, potem w drugą, nie mogąc w żaden sposób znaleźć punktu oparcia. Niestety nie przewidziano, że lina zwisa daleko od muru fortyfikacyjnego z powodu gzymsów i przymurków. W głowie mu się zawróciło, rękami, z których natychmiast starł się naskórek, z trudnością jeno trzymać mógł linę. A towarzysze oczekiwali z trwogą, wpijając się oczyma w czarną przestrzeń, usiłowali napróżno coś dojrzeć. Naraz szarpnięcie i lina stała się lekka.

Barbés, który od chwili spadał raczej, jak się spuszczał, dotknąwszy wreszcie nogami skały nie zdołał utrzymać równowagi, stoczył się jakieś dziesięć metrów po pochylonym stoku, najeżonym ostromymi głazami i padł prosto na drogę, którą zwykły były chodzić ronty. Oczywiście upadek jego narobił hałasu, posypały się kamienie, ktoś krzyknął, powstał alarm i nadbiegli żołnierze, dozorczy. Barbés przerażony i poraniony nie mógł uciec daleko, złapano go tedy i żołnierze zawlekli go do dyrektora. Podobnie przytrzymało znajdujących się na platformie, Blanquiego, Hubera, Bérauda i Martin Bernarda. Dwaj

ostatni, Dubourdiou i Thomas zdołali dostać się na czas do swych kaźni. Barbés nie poniósł żadnych poważniejszych obrażeń, potłukł się jeno, obłocił, pokrwawił, a w rezultacie dostał febry.

Zdwojono teraz czujność, podwójne kraty stały się prawomocnymi i zmiana dyrektora nie wpłynęła wcale na stan rzeczy.

LXXV.

Ostatnie lata pobytu w Mont-Saint-Michel, to jedno pasmo tortur i chorób wszelakiego rodzaju. Znikła energia, stargały się siły, i najdzielniejsi poddali się nieubłaganej konieczności. Ostatnie wysiłki protestu i buntu zdławiono i posypały się kary. Dnia 20 kwietnia Blanquiego zamknięto do celi karnej, zabójczej dla zdrowia zarówno w zimie, jak i w lecie. Innych spotkało to samo. Dnia 23 kwietnia skazany na tę samą karę Guignot, 24, Roudil, Martin Noël, Godard, Hubert-Louis, Elie i Herbulet, wreszcie 26 kwietnia Barbés i Martin Bernard. Wypuszczono ich dopiero w trzy miesiące potem, a niektórzy, jak Blanqui, Godard, Hubert-Louis i Barbés wyszli stamtąd bliżsi śmierci, jak życia. Barbés nabawił się suchot gardlanych, pluł krwią i na dobitkę 19 lipca znowu dostał febry. Mimo to przez cztery miesiące walczył z chorobą, odpychając wszelką interwencję mogącą mu przynieść ulgę, nie chciał słyszeć o przyjeździe siostry, słowem uczynił wszystko co mógł, by przeszkodzić przeniesieniu i rozłące z resztą więźniów. Ale 2 listopada Blanqui w liście do Girarda, stanowczo przedstawił konieczność ratowania chorego i przy końcu tegoż miesiąca Barbés wyjechał dylizanssem pocztowym do więzienia w Nimes. Smutny był, opuszczając towarzyszy,

a i ich pograżył w żalu ten nowy przypadek, tak ponury koniec wygnania, który wyrwał z pośród nich kolegę broni. Wspólnie dzielić choćby najgorszy los zawsze łatwiej przychodzi.

LXXVI.

Blanqui przebył w Mont-Saint-Michel jeszcze cały, długi rok, kolejno przechodząc od wybuchów woli do rezygnacji i poddania się losowi, czytając i rozmyślając. Siły jego zużywały się w tej walce, starzał się, wielce podobny do mnicha, który nie opuszcza swej celi i kopie sobie własnymi rękami grób, w którym kiedyś spocznie. Blanqui widział co dnia swój grób i pewny był, że tam jeno przesiedli się z kaźni więziennej. Grób ten widniał pod jego oknami, wśród wiejskiego cmentarza otoczonego murem, niby cicha, śniąca oaza na wielkiej, szarej płachcie piasków. Ciągłe, bez przestanku czuł teraz, wyraźniej niż kiedykolwiek w ciągu życia, że wszelka energia ludzka na nic, że wszystko prędzej czy później tam się skończyć musi. Ciemń, która pochłonęła jego żonę widniała przed nim tak blisko, wiedział, że co dnia do niej się zbliża, czuł krok każdy i nawet nie doznawał żalu. Czasem jednak zjawiała się skądś nadzieja, skazaniec wspominał syna, swych bliskich, towarzyszków broni, wszystkich, których jednak mógł jeszcze oglądać. Po klęskach, czując jeszcze porażkę, starał się jednak znaleźć, odnaleźć siły, z których począć się mogło zmartwychpowstanie. Czyż miałyby zmarnieć nadzieja, wiara w przyszłość, w ideał sprawiedliwości, harmonijne ukształtowanie się stosunków ludzkich, a on sam tak czynny, tak gotowy zawsze do walki miałbyż być już tylko bezsilną igraszką wypadków? Skupiał się w sobie, gotował swą duszę do

wysiłeków, stawał się odpornym na fatalne warunki życia więziennego, podejmował bój z milczeniem, zniechęceniem, apatyą i tym powiewem beziły i nicości, który mu od trzęsawisk dalekich przynosił wiatr przez kraty celi.

Zdobywał się na siłę czekania, starał się istnieć i oto poczynaly się teraz dni i wieczory wyęzającej pracy. Przemyślał całe wielkie okresy historii, zatapiał się w politykę, siedział długie godziny z głową pochyloną nad książką, ręka ścisnęła pióro, a dusza odbywała niezmierne podróże poprzez czas i przestrzeń wymknąwszy się z ciała przykutego do ścian więzienia.

Czasu tych prób usilnych zdobył władanie nad swą myślą, a charakter jego zmodyfikował się i przyjął nowe formy pod presją nieubłaganej konieczności. Porywczoci swej, pobudliwości do czynu, swej woli, zdołał nałożyć pęta, zredukować ją do zakresu, w którym mogła działać skutecznie i wola ta zwróciła się na niego samego. Zaczął tedy zrazu planować ucieczkę, obmyślać sposoby, układać fortele. Ale pojął wnet, nie popadając w apatyę, że daremne jest takie szamotanie się w próżni, że prowadzi jeno do wielkich wybuchów wściekłości u więźnia, będącego dzikiem zwierzęciem w klatce. Porywy takie wiedą do coraz gorszych wybuchów, a na końcu ich odrętwienie albo szaleństwo. Przekonał się, że należy raczej zaprzestać próżnych demonstracyj, siłę zaś całą skryć w sobie. Nietylko z wyrachowania, ale z wrodzonego popędu doszedł do tego, że zdołał gwałtowność utaić na dnie duszy i odtąd z dniem każdym bardziej zaznaczało się w Blanquim to, co z biegiem lat coraz wybitniej charakteryzowało jego indywidualność. Stał się milczącym, nie reagował na ciosy losu, a patrzący mógł się jeno domyślać co myśli, przeczuwać

pogardę jaką odpowiadał na zło, pogardę skrywaną zazdrośnią. Na zewnątrz spokojny był, cichy, mówił jeno z konieczności, obojętnie, zresztą osłaniał się pancerzem milczenia. Nie dość, że zamknięty w kaźni, zamknął się jeszcze w sobie. Odcięty od świata murami, odkopał się od niego jeszcze głębszą przepaścią, a myśli jego spotężniałe niespodziewanie i niewidzialne krążyły wysoko ponad światem. Więzienie stało mu się szkołą wolności ducha.

LXXVII.

I dobrze się stało, iż się wyzwolił z popędu do życia wśród niemożliwości. Pogodzić się ze swoim losem to jeszcze nic. Wypadło mu teraz patrzeć bezradnie na unicestwienie się najbliższych sercu nadziei. Nietylko żonę utracił, powoli, z każdym dniem tracił teraz syna. Odgadywał to z oddali, był tego pewny. Czuł, że wychowywane w rodzinie żony dziecko odwróci się od niego. I to było znacznie trudniej znieść jeszcze niż życie w fortecy i śmierć Amalii Zuzanny. Zdala od ojca, od najmłodszych lat wychowywany po mieszczańsku w atmosferze hipokryzyi religijnej, ten syn oddziedziczy kiedyś gdy dorosnie małą fortunę matki i przypadnie dla ojca. Kto wie czy go Blanqui kiedy zobaczy, a choćby nawet to nastąpiło przekona się zapewne, że nic w nim niema coby przypomniało ojca i tę, która już odeszła w świat cieni. Daremnie wypytuje, ilekroć przybywa jego matka lub siostra starsza, która obecnie wyszła za niejakiego Barreliera. Żadna z nich nie może go pocieszyć, nie może nawet przybiecać, że coś uczyni.

Ze strony brata także żadnej pomocy. Adolf nie przestał kochać go jak za dawnych lat, nie zapomniał

chwil wspólnie przeżytych, ale jakież daleki teraz, społecznie na drugim biegunie żyje i nic mu dać nie może. Wszystko co Blanqui jeszcze posiada, to owe odwiedziny matki i siostry. Siostra przyjeżdża ilekroć jeno może, opuszcza Beauce, Aunay-sous-Anneau, gdzie gospodaruje, a za każdą bytnością podziw jego dla niej wzrasta. Ani na chwilę nie wątpi w wielkie przeznaczenie młodszego brata, przywozi ze sobą do więzienia wielki zapas życia, energii, wiary, a do domu zabiera wszystko co wyszło z ust więźnia i powtarza przy każdej okazji przy śniadaniu, obiedzie i kolacyi. Czynna jest jak chłopka, a zdycydowana, silna w przekonaniach jak Rzymianka, jak Francuska czasu wielkiej rewolucyi. To też zachwyca wszystkich, porywa i przekonuje krewnych, przyjaciół sąsiadów, zjednywa sobie serce każdego, kto zajrzy pod jej dach, zasiądzie u stołu posłyszny męskie, idące do duszy słowa.

LXXVIII.

Przyszedł czas, że Blanqui musiał zrezygnować z walki upornej z chorobą. Popadł w zapalenie płuc i stan jego pogarszał się z dniem każdym. Zawezwano naczelnego lekarza szpitali cywilnych i wojskowych okręgu Avranches, doktora Emila Voisin i ten orzekł, że natychmiastowa zmiana klimatu jest nieodzowna. Władze zgodziły się na to orzeczenie, równocześnie zaś postanowiono rozprószyć więźniów po różnych miejscach kraju.

Skutkiem wydanego w roku 1844 rozporządzenia Blanqui i Huber przeniesieni zostali do więzienia w Tours, Dubourdieu de Bordeaux, Peterman, Vilcoq i Fomberteaux

do Doullens, gdzie również znalazł się Martin Bernard i reszta więźniów z Mont-Saint-Michel.

Pewnego mroźnego dnia w lutym stanęła u stoków cytadeli karetka więzienna przeznaczona dla Blanquiego. Zniesiono go w krzesło słomianem. Wicher dał, więzień dygotał i jęczał z wycieńczenia, niosący kleli czas i ciężki obowiązek transportowania człowieka chorego. Zmieniony był nie do poznania. To też podczas całej drogi przez Mont z tłumu ciekawych, którzy się zbiegli na widowisko wydobywać się wnet poczęły okrzyki zdziwienia i współczucia. Po czterech latach, z człowieka energicznego, pełnego sił i zdrowia, forteca uczyniła niemal trupa. Pewien świadek, chłopiec od piekarza opowiadał potem co następuje:

Pamiętam czasy gdy tego rudego pana (Blanqui miał rudawy zarost) wywożono z Mont. Był bardzo cierpiący. Wsadzono go do dwukonnego wózka bez resorów. Nie mógł siedzieć, więc go położono i nakryto kołdrą. Z prawej i lewej strony jechali żandarmi. Obaj żandarmi i woźnica zatrzymali się przed gospodą pod „złotem jabłkiem“, weszli do wnętrza i siedzieli może z pół godziny. Pan Blanqui mnie dostrzegł, zawołał i poprosił, bym zawołał woźnicę, bo chory jest i nie wie, czy nie umrze w drodze. Powiedziałem, by się spieszyli, ale sporo jeszcze upłynęło czasu, nim wypróżnili szklanki. Wózek ruszył, a pan Blanqui w podzięcie podał mi rękę i rzekł: „Do widzenia mój przyjacielu, może się kiedy zobaczymy“. Wyraziłem życzenie, by wrócił do zdrowia i straciłem go wnet z oczu.

Wózek potoczył się wśród gęstej mgły ogromną, grząską płaszczyzną piachów, oddalając się z każdą chwilą od potwornej skały pełnej kazamat cel karnych, całej tej katorgi milczenia, gdzie mimo wszystko w łonie

twardego granitu kielkowała myśl wyzwolenia, formowały się nowe prawa, które niebawem miały zdobyć sobie moc istnienia.

Tak, nie daremne były tęsknoty i pożądanja więźniów. Doszła mnie pewna rozmowa, która to dobrze charakteryzuje. Pewien radny municypalny, wieśniak o małej intelligencyi, snadź powtarzając słowa miejscowego proboszcza, znalazłszy się u drzwi dawnych cel Barbésa i Blanquiego począł im wymyślać ostatniemi słowami i spluwał przytem gęsto. Na to odparł stary żołnierz, podówczas dozorca więzienny w Mont-Saint-Michel, lepiej zdaje się poinformowany w kwestyach politycznych.

— Ej obywatelu, zdaje mi się, że tosamo właśnie uczyniło cię radnym municypalnym, za co Barbés i Blanqui siedzieli w tych celach.

LXXIX.

Miasto Tours, położone na wielkiej równi, przeciętej krętem łożyskiem Loary, wśród rozlicznych wsi, klimat ma nierównie łagodniejszy. Jest to więc odpoczynek po łoskocie morskich fal, wyciu wichru. Ale Blanqui jest poważnie chory, a nowe więzienie nie może uleczyć tego, czego powodem było Mont. Tymczasem w miarę ustalania się stosunków politycznych zajadłość i mściwość tych, którzy przyszedli do władzy słabną, budzi się ludzkość, wyrozumiałość, i zmienia to w znacznej mierze zarówno położenie Blanquiego jak i innych. Władze nie traktują go już jako dzikiego rewolucjonistę, konspiratora, którego trzeba zgnieść, jest to teraz w ich oczach człowiek chory, ongi skazany za sprawy polityczne, dziś mało niebezpieczny, z każdą chwilą obojętniejszy poli-

tycznie w ich oczach. Nie zachodzi przeto żadna przeszkoda, by go przenieść z więzienia do szpitala, pozwolić spacerować po ogrodzie, odpoczywać na ławce, radować się zielenią i słońcem. Skutkiem tego więzień zostaje skreślonym z listy pokutników mrocznych cel więzienia w Tours, i zostaje jeno pacjentem przykutym do szpitala. Skutkiem choroby spada nań ta łaska dnia 6 grudnia 1844 r. Rząd sądził, że ułaskawia umierającego, a Blanqui zaprotestował i odrzucił ułaskawienie listem energicznym, w którym motywuje, iż Ludwik Filip, jako uzurpator nie ma prawa więzić, ni ułaskawiać obrońców republiki. List ten napisany został 26 grudnia, pod adresem mera miasta Tours. Blanqui żąda w nim, by go przesłano prefektowi. Ale ułaskawiony czy nie, chory musiał pozostać w szpitalu i dopiero po 20 miesiącach spędzonych w łóżku, był w stanie, w październiku 1845 wstać po raz pierwszy. Wiosną roku 1846 spędził w szpitalnym ogrodzie. Ale już wtedy powróciła mu dawna ironia. Oto co notuje w jednym z ówczesnych listów:

— W dniu komunii zakonnice szpitala w Tours, są zgola nie przystępne, wprost dzikie. Zjadły Pana Boga ta mistyczna dygestya wprawia je w zarozumiałość graniczącą z szałem. Zdaje się, że te czary świętości zawierają witryol.

Chory przesiaduje w słońcu pod murem, po którym pną się mchy i powoje. A wokoło niego inni chorzy, rekonwalescenci, starcy w szarych i brunatnych sukniach. Ogród szpitalny podobny do klasztornego, do jakiejś dziwnej cieplarni, gdzie się wylegają na słońcu szare, małe jaszczurki. Cisza ogromna. Blanqui ubrany jak wszyscy, w czapce, w opończy, z rękami opartymi na lasce, ginie w tym tłumie. Głowa jego spuszczone na piersi, i niktby go nie poznał, gdyby nie błysk oczu

przenikliwych, któremi spoziera ciekawie i drwiąco zarazem. Rozkoszuje się słońcem. Jestto dobrodziestwo dla południowca. Podobnym jest i był zawsze do owocu, któremu nie dano dorósć i dojrzeć, ale zerwano przedwcześnie, do figi zielonej, która dojrzewa na słomie pod murem, pomarszczonej i biednej.

Ale nigdy silniej nie pragnął żyć jak teraz, w dni owej przymusowej bezczynności ozdrowieńca. Odory różnych leków, maści, parujących okładów, ulatują, a wszędy przenika zapach róż rozkwitłych. Hałas i ruch świata zewnętrznego wciskają się do szpitala. Nogi jeszcze za słabe, by go nosić i ręce nie sposobne do czynu, całe ciało anemiczne, ruchy dziecięce, ale zato myśl wybiega wysoko jak ptak upojony słońcem. Blanquiemu zdaje się, że biegnie przez świat stumilowymi krokami.

I teraz nie przestaje troszczyć się synem. Widział go raz w roku 1844, ale czuje, że dziecko mu się wymyka. Wie, że go czeka rozczarowanie, że ten malec pobierał nauki od tych, którzy nienawidzą jego ojca, wie, że jego syn wszystko zawdzięcza wrogom. Ale chce go widzieć, pisze tedy do opiekuna list stanowczy, gniewny, i kończy go przypomnieniem ostatnich słów jakie wyrzekła umierająca: Wychowają go tobie na wroga!

W rezultacie jednak odzyskał zdrowie, mimo woli własnej jest ułaskawiony, a rząd w niemalym znajduje się kłopotcie. Ułaskawiono umierającego, który nie przyjął łaski, ale teraz jest zdrów i... wolny. Co tu robić? Więc do ostatnich granic przedłużają jego pobyt w szpitalu, niejako na stopie w połowie wolnej, a tym czasem do łóżka Blanquiego i Hubera poczynają napływać znajomi, przyjaciele, zwolennicy polityczni. Zjawia się tedy Béasse, jeden ze skazanych za rewolucyę majową, Béraud, współtowarzysz z Mont-Saint-Michel i mnóstwo

innych. Naturalnie na pierwszy plan występuje zaraz polityka, poczynają się kuć plany, a władze czuwają, czyhają wprost na pierwszy lepszy pretekst do wytoczenia śledztwa i aresztowania.

I niedługo czekano. Wybuchły zaburzenia w Blois, w które wmieszani byli Béasse, Béraud i pośród innych także Blanqui. Blanquiemu zresztą podsunięto agenta prowokatora, niejakiego Houdina, i dowiedziano swego. Rozruchy miały miejsce 21, a 23 Blanqui został oskarżony i 27 wtrącony do więzienia w Tours. Ale nad spodziewanie, dnia 27 kwietnia 1846 sprawa sądzona w drodze policyjnej w Blois, skończyła się wyrokiem uwalniającym.

Blanqui pragnie copędzej wracać do Paryża. Już słyhać poszumy skrzydeł nadciągającej rewolucyi, wypadki tłoczą się jedne przez drugie, a ex-więzień wsłuchuje się w to wszystko z Blois, gdzie go internowano. Nastąpiła jesień roku 1847, wszyscy przeczuwali, że coś się stanie z wiosną.

LXXX.

Dziwnych doznaje wrażeń więzień wracający w życie, zatapiający się na nowo w odmet wielkiego miasta. Po więzieniu, szpitalu jestto przejście zbyt gwałtowne, by nie miało oddziałać na jego zdrowie. Doznaje rzeczy nowych, ostro rysujących się w jego świadomości, jest oszołomiony i w ludnej ulicy, potrącany przez przechodniów doznaje zawrotu głowy. Zdziwiony, zgorączkowany idzie po bruku, oddycha powietrzem, porusza się wolno w przestrzeni... nie może przyjść do siebie. Drży w nim wszystko, zasłaniałby rękami oczy olśnione nagłem świa-

tłem, i twarz muskaną świeżym powiewem wiatru. Tak dotąd skąpo wydzielano mu jasność dnia, dawano jeno porcy powietrza, oszczędzano tego wszystkiego, czego ma nagle w bród, czem się upija... Nadmiar wolności ma, więc się waha, idzie chwiejnym krokiem, gotów każdej chwili zemleć. Barbés ułaskawiony, musiał w Nimes czekać 24 godzin na omnibus. Nie mogąc sobie dać rady wrócił do więzienia i wyprosił, że mu pozwolono spędzić tę ostatnią noc w kaźni.

Blanqui doznał tego samego 24 lutego 1848. Rządy Ludwika Filipa właśnie miały się skończyć. Rewolucya czekała jeno sygnału. Więzień włóczył się zrazu oniesmielony po ulicach Blois, ale wnet odzyskawszy pewność siebie skierował się do Paryża.

LXXXI.

Powrócił tedy do stolicy, którą opuścił w r. 1839 i zastał ogromne zmiany. Jestto pora tryumfu rewolucyi. ulicami przeciągają tłumy, w powietrzu powiewają sztandary, błyskają tu i owdzie światła pochodni, rozbrzmiewają okrzyki roznosicieli dzienników, słyszać warczenie bębnow, potężne tony Marsylianki. Wojsko maszeruje miarowym krokiem, falują tłumy, tłoczą się studenci, robotnicy, widać obok czerwonych sztandarów księży z krucyfikсами idących błogosławić drzewa wolności, sadzone po placach i rozstajach ulic.

Dnia 25, Blanqui błąkał się zrazu po mieście, nie wiedząc co począć, dziwiąc owej mieszaninie nastroju świętelnego i wojowniczego. Ale wnet łączą się z nim dawni towarzysze, koledzy z czasu tajnych związków i barykad. Wszyscy jednogłośnie wyrzekają i dowodzą,

że rewolucya się nie uda, że sfalszowaną została przez stronnictwo „Nationalu“, że należy bezzwłocznie ująć jej ster w rękę, jeśli jeszcze ma być coś z tego wszystkiego. Dyskusya zaciekła w tej sprawie odbywa się na place du Palais Royal. Wtem ktoś się zbliża, opowiada historję czerwonego sztandaru na szczycie ratusza i zdaje sprawę z tego, jak tłumy przyjęły słowa Lamartina. Rezultat napęłnia wszystkich otuchą. Natychmiast trzeba brać się do dzieła, stanąć w szeregu. Punktem zbornym ma być Prado, na lewym brzegu Sekwany. Tam wszyscy się zjawią wieczór z bronią w rękę. Spiskowcy rozchodzą się, zostaje Blanqui z dwoma, z których jednego potem zabito jako szpiega. Blanqui nie dzieli ogólnego zapału, waha się, nie jest przekonany o konieczności rozpoczynania rzeczy na nowo, nie wierzy w możliwość odebrania ratusza tym, którzy nim wczoraj owładnęli. Chciałby się poinformować, naradzić, z Caussidiérem i Raspaiem. Udaje się na rue de Jerusalem, do prefektury policji, na ratusz. Towarzysze czekają nań na place de la Gréve.

Powraca zamyślony, niespokojny, i mówi o trudnościach sytuacji, oświadczając wkońcu, że dzieło ogromne przechodzi ludzkie siły. Człowiek, z którego ust, jak wszyscy sądzą, ma paść hasło do walki, rozumuje na zimno, wskazuje niebezpieczeństwo, jest wprost niechętny. Ale tymczasem wybiła siódma. Blanqui wstępuje raz jeszcze do Caussidiéra, potem podąża do Prado.

Posiedzenie już otwarte i wre walka na słowa. Kolby karabinów dudnią po kamiennej posadzce sali tańców. Spiskowcy, są to w połowie ludzie całkiem młodzi, studenci szkół wyższych. Drugą połowę stanowią weterani, członkowie dawnych tajnych stowarzyszeń. A wszyscy

rozgorączkowani, na głowach wszystkich nowiuteńkie, czerwone czapki frygijskie. Każdy mowca zaleca, bez ogródek zbrojny marsz na ratusz. Ale wszyscy oczekują Blanquiego, ciekawi co powie męczennik podziemi Mont-Saint-Michel. Zadrżał tłum zebranych, zachwiał się, gdy w pierwszych szeregach ukazała się siwa głowa młodzieńca, okrzyki się rozległy, gdy wstąpił na trybunę, szczupły, licho ubrany, w czarnych rękawiczkach, a każdy wpatrywał się w jego bladą twarz, pałające oczy, śledził pilnie ruch czarnej ręki, którą mowca giestykulował. Zapadło głębokie milczenie, gdy zaczął mówić, słuchano z uwagą.

Ale wręcz przeciwne nadziejom posłyszano słowa. Ława gorąca obłana została strumieniem zimnej wody. Bez wstępu, jasno i otwarcie objawił Blanqui swoje zapatrywanie i postanowienie. Potem zaklinał towarzyszy na wszystko, by nie narażali republiki na zgubę, zapewniał, że pora obecna nie nadaje się zgoła do walki, że złe jutro nastaloby po zbrojnym ataku w myśl ideałów radykalnych, że niezbędnem jest odłożyć na później pomysł zdobycia ratusza.

Przerażony jest w tej chwili i niedowierzający jak Proudhon. I ma odwagę przeświadczenie swe objawić tysiącom zebranych, ma śmiałość rzucić im w twarz zarzut, iż nie znają społeczeństwa. Poucza ich, że Francya owej doby zgoła nie jest republikańską, że rewolucya wczorajsza jest miłą niespodzianką, efemerydą, niczem więcej, że, gdyby niedawne ofiary polityki Ludwika Filipa, to jest on i skazańcy Mont-Saint-Michel nagle znaleźli się u steru rządów, prowincya nabrałaby przekonania, iż powróciły czasy teroru i Konwentu i nastalby ogólny popłoch. Wykazał dalej, że gwardya narodowa bez jasnej świadomości, wbrew woli swej nawet, po-

ciągnięta została na stronę ludu, i wreszcie prowincya wraz z drobnomieszczaństwem Paryża przywrócićby mogła to, co dopiero obalonem zostało, to jest królewsczyznę. Blanqui jak zawsze konsekwentny i śmiały, nie cofa się przed ostatecznymi wnioskami i tym oto zebrany rewolucjonistom, gotowym tegoż jeszcze wieczora do zbrojnego powstania, wskazuje, że poza nimi stoją silne kohorty, równie śmiałych i gotowych do walki wsteczników, którzy nie cofną się przed niczem, by przez kontrrewolucyę odzyskać utraconą władzę państwową. W cóż tedy zamieni się republika? W pole bitwy, gdzie wre walka bratobójcza. Zresztą o nic nie idzie jeno, by ci wszyscy dzielni obrońcy wolności zechcieli zmusić się do odrobiny rozwagi i cierpliwości. Należy nasamprzód zorganizować lud, zrewolucjonizować go, kraj pokryć siecią tajnych klubów i w ten sposób przysposobić się do walki zbrojnej. Jeno wówczas zwycięstwa spodziewać się można.

I stała się rzecz dziwna. Zdumieni zrazu słuchacze dali się przekonać. Blanqui zdołał usmierzyć gniew i wzburzenie. Mówił do dziesiątej w nocy, zwycięzko wyszedł z dyskusyi, odparł i unicestwił gwałtowne ataki i wnioski szalone, zapobiegł walce zbrojnej i uzyskał kredyt dla tymczasowego, zaimprovizowanego wczoraj ledwo rządu.

O dziesiątej wyszedł. Towarzyszyli mu ci sami dwaj ludzie. Błąkali się we trójkę przez godzinę może, ulicą de la Harpe przyszedli na place des Termes.

— Jadłeś kolację? — spytał Blanqui jednego z nich.

— Nie...

Blanqui był równie głodny. Jeden z towarzyszy posiadał 70 centimów w kieszeni, drugi franka.

Blanqui spojrział do włóczkowej sakiewki i rzekł:

— Mam niewiele więcej półtora franka, na jutro wystarczy.

Wstąpił do jakiejś, otwartej jeszcze piekarni, kupił chleba za dwa sous.

Poszli dalej i rozłączyli się aż na bulwarze Poissonnière.

Blanqui nie lubił, by wiadano gdzie mieszka. Znikł w ciemności.

LXXXII.

Od tego to zgromadzenia w sali balowej w Prado, datuje się istnienie Centralnego Związku Republikańskiego, później zwanego powszechnie klubem Blanquiego, mimo protestów ze strony twórcy, który wielokrotnie wykazywał, że klub nie może być własnością jednego, poszczególnego człowieka, jak naprzykład za dawnych rządów pułk wojska był własnością panującego.

Przewodniczącym klubu był Blanqui, zastępcami: Thorè i Durrien. Na miejsce zebrań obrano salę Konserwatorium. Od pierwszych zaraz dni tłupy cisnęły się do klubu. Wchodziło się bramą od rue Bergère, a ludzie szli gęsiego jak do teatru, cisnąc się pomiędzy murem, a drewnianą balustradą otaczającą chodnik. Co wieczora od pół do ósmej zbrojni klubiści w czerwonych krawatach strzegli wejścia. Członkowie klubu zajmowali miejsca w parterze i orkiestrze i oni jeno mieli prawo przemawiać i głosować. Publika płacąca za wstęp, przysłuchiwała się rozprawom. Byli tam zwolennicy, przyjaciele, przeciwnicy, wręście prości ciekawscy, których pełno na każdym spektaklu, gdzie pogromcy grozi w każdej chwili, że rozszarpany zostanie przez lwa. Pośród nich był też Henryk Rochefort, piętnastoletni podówczas student. Na scenie, po lewej stronie umieścili się przy stole, pokrytym zielonem suknem, protokolanci i sekretarze, po prawej

stawał mowca. Najczęściej przemawiali: Hipolit Bonnellier, Arnoult Frémy, Alfons Esquiros literat, Routier de Bullemont skarbnik prefektury policyi, Malapert adwokat, Savary powroźnik i wreszcie sam Blanqui.

Na słowa Blanquiego czyhali wszyscy. Gdy wstąpił na scenę czyniła się głęboka cisza. Wszyscy nastawiali uszu, by usłyszeć jego ostry głos, zrozumieć słowa jasne, logiczne, poprawne, konkretne w dyskusyi i poparte energicznym ruchem rąk, ubranych zawsze w czarne rękawiczki. Przeciwnicy i dowcipnisie twierdzili, że cierpi na wyrzuty skórne, albo trąd. Ale Blanqui nosił żałobę po żonie i pod rękawiczką ukrywał zazdrośnie obrączkę ślubną, symbol wiary zaprzysiężonej miłości, której węzłów śmierć zerwać nie zdołała.

Osięgnął odrazu wielki wpływ.

„Potężnym był niezmiernie jako mówca — pisał o Blanquim Alfred Delvan. — Głos jego ostry, przejmujący, donośny i metaliczny, a mimo to, stłumiony chwilami, jak brzęk tam-tamu, gorączkę niecił w duszach słuchaczy... Miał umysł matematyka, opierał się zawsze na danych konkretnych, z upodobaniem przytaczał ściśle cyfry, fakty historyczne... Wymowa jego zarówno jak i charakter, to nie ogień skryty pod popiołami, to przeciwnie zamróz lodowy pod stosem gorejącym.

Nieraz rozczarowanie ogarniało wszystkich, gdy Blanqui milczał, ograniczając się do słuchania jeno, gdy siedział zamyślony, ledwie widzialny, a klub rozbrzmiewał paplaniną, w której wyładowuje się energia tylu ludzi, wyzwala ich żądza czynu. W chwilach, gdy mowca publiczny rzuca frazesy, wywołujące burzę oklasków, gdy dowodzi jak koniecznem i jak łatwem zarazem jest zmienić w mgnieniu oka postać świata, w owych chwilach bliskim jest bardzo wiary, albo nawet wierzy, że on to sam

różdżką czarodziejską dokonał owej tajemniczej zmiany. Siada tedy na swem krześle, uradowany, spokojny i ogarnia go błogość wierzącego. Takim bywa mówca szczerzy. I szczęśliwym się czuć powinien, jeśli z nastroju owego natychmiast nie wyrwie go następny mówca, jeśli słuchając nie dostrzeże głupoty jego, płytkości i upojenia własnymi słowami. Ale niestety dzieje się tak niemal zawsze. Niepodobieństwem jest zmienić człowieka. Zebranie publiczne posiada swe zakamarki zakulisowe, swą rutynę teatralną, swych bohaterów dramatycznych, ojców szlacheńskich, swych komików. Któż nie dostrzegł tego wszystkiego, któż nie widział aktorów przed występem, podczas niego, lub po zejściu ze sceny, jak chciwie pożądają wyłącznej sławy, walczą o efekt, niby do mety z wysiłkiem zdążają do końca spektaklu, okryci potem, zziębnięci, zawistni. Nie łatwe zadanie ma polityk zmuszony z tych różnolitych pierwiastków stworzyć organizm i wykrzesać zeń czyn. To też Blanqui spostrzegł niedługo, zaraz może pierwszego dnia, jak trudną rzeczą jest stworzyć armię i kierować nią, jak bezsensownem jest chcieć wykonać zapomocą tej armii plan z góry nakreślony i że nierównie łatwiej w omroce celi więziennej skonstruować sobie i wymarzyć wielki dramat ludzki, jak wbrew ciągłym przypadkowym przeszkodom, przeprowadzić go w rzeczywistości. Wszystko wymyka się z rąk, rozprasza i ograniczyć się jeno trzeba na tem, by jak najwięcej ocalić z tego, co się uważa za swe przeznaczenie, by skombinować wyśnione idee z niezmiennym biegiem rzeczy.

Blanqui podjął się próby, wykrzesania jedności z tej anarchii. Musiał dobyć wszystkich sił i zwrócić całą siłę woli jużto w kierunku powstrzymania niewczesnych zapędów, gdy widział jasno bezowocność wysiłku, jużto

w kierunku zogniskowania w jedno rozprószonych sił i pchnięcia ich naprzód, gdy dostrzegł nadarzącą się sposobność zwycięstwa. Rozpoczęła się na dobre długotrwała, męcząca walka między jego zimną, stalową wolą, a kaprysem tłumu. Ale nie mógł, wobec tej ruchliwej, zmiennej jak woda masy, zastosować dawnych metod organizacyjnych, niepodobieństwem było wznawiać instytucję hierarchiczną i tajemniczą dawnych, tajnych stowarzyszeń i went węglarskich, gdzie hasło zna kilku jeno, słuchają wszyscy, a rozkaz ostateczny jest tajemnicą aż do ostatniej chwili przed czynem. Metody te znikają same z siebie wobec wolności, topnieją jak cienie na zalanych jasnym słońcem ulicach. Tamto trafiłoby może do dusz wybrańców, masa z natury rzeczy nie odczuwa kontaktu psychicznego z wtajemniczonym arcykapłanem wolności. Zresztą za republiki Blanqui sam dążył do akcji jawnej.

Zdolności umysłowe jego usposabiały go przytem bardziej do dzierżenia władzy, do kierowania czemś co jest, niżli do buntowania się, knucia spisków. Widział jasno, więc ze szczytu społecznego, byłby niewątpliwie w jednej chwili dostrzegł drogi po jakich się toczyć ma rydwan państwa, byłby wybornym mężem stanu. I chociaż dziwnem się to wyda zrazu, po bliższem zastanowieniu każdy przyzna słuszność zdaniu, że właśnie umysł krytyczny Blanquiego był mu najlepszą kwalifikacją, gdy szło o wybranie drogi pośredniej pośród grożących niebezpieczeństw. Dowodzi tego choćby jego interwencya w Prado i cała polityka w roku 1848. Łączył w sobie rozwagę, zamiłowanie do strategicznych operacyj z instyktownem, bezwolnem niemal pożądanem czynu. Prócz tego jeszcze, i to właśnie tłumaczy natychmiastowy, bezgraniczny wpływ jego w roku 1848,

posiadał zdolność przeczuwania wydarzeń, instynkt logiki faktów, i niemal nieomylnym był w tym kierunku. Wszystko to są zdolności, które normalnie trwać, rozwijać się i wzrastać mogą jeno u steru rządów. Blanqui w sali Konserwatoryum jest jeno zmarnowanym politykiem. Tam nie może prowadzić polityki, któraby miała jakieś znaczenie i konsekwencye. Ta może jeno na śmiech obalać i powoływać do życia ministerstwa kilkugodzinne, a energia jego wyczerpuje się na zwalczanie takich wniosków naprzykład jak wniosek obywatela Thouarsa, który chciał, by obradowano w bluzach. Obywatel Thouars, w istocie nazajutrz przyszedł w niebieskiej, robotniczej bluzie i odchodząc zostawił ją w garderobie.

I.LXXXIII.

Owe drobiazgi i głupstwa spaczyły najzupełniej pogląd ogółu, na to co się działo w klubie i ciekawi cudzoziemcy przepłacający nieraz krzesła w sali Konserwatoryum, w nadziei dziwaczного widowiska, odchodzili rozczarowani. Dzienniki reakcyjne zapewniały, że cały czas bywa tam poświęcany liczeniu głów wrogów, a słuchaczy traktuje się dyskusjami na temat przywrócenia stempli, utrzymania dawnej magistratury, wyboru komisarzy republiki, zagarnięcia domenów państwowych, stworzenia gwardyi ruchomej i t. p. Tymczasem Blanqui nawoływał do ostrożności i liczenia się z najbliższymi, możliwymi wypadkami, żądał czynu, nie słów, wskazywał na konieczność odsunięcia terminu wyborów, a wreszcie rozwijał ideje proklamowane w r. 1830, to jest emancypację pracy i nowy porządek społeczny.

Ale to nie znaczyło nic. Przeciwnicy nie przestawali

twierdzić, że cały czas obrad klubu schodzi na domaganie się głów nieprzyjaciół i legenda ta utrzymywała się z dniem każdym. Blanqui na tem tle, w oczach wszystkich wyrósł na potwora i taką to już opinią miał odtąd cieszyć się u mieszczaństwa paryskiego i prowincjonalnego. Nic innego o jego charakterze i roli nie wiadano i nie chciano wiedzieć.

Zresztą nietylko w sali Konserwatorium, wrzało podówczas, nietylko tam zjawiały się i znikwały dziwaczne pomysły, nietylko tam posługiwano się ekscentrycznym językiem i dopuszczano błazeństw rozlicznych. Aby zrozumieć wybryki objawiające się na jednym miejscu, trzeba objąć okiem stan umysłowości całego Paryża ówczesnego. Trzeba wziąć na uwagę, że czasu pierwszych miesięcy nowego porządku rzeczy, równocześnie niemal, otwarto dwieście pięćdziesiąt klubów, a liczba ich szybko wrastała i niebawem doszła do pięciuset. Upodobanie w gromadzeniu się, adoracya parlamentaryzmu ogarnęły lud, toteż oddawano się temu z rodzajem nabożeństwa, wspomniano czasy dawnych swobód, marzono o jakiejś nieziszczalnej republice. Z zapalem mianowano sekretarzy protokolanów, prezydentów, kwestorów, skarbników, ustanawiano komisye obradujące w permanencyi, komitety wykonawcze, uchwalano regulaminy i statuty. Podobny szal układania wszystkiego w formułę prawną opanował także stowarzyszenia kobiece, nauczycieli szkół, służących nawet, zbiegów politycznych, artystów i literatów. W każdej dzielnicy, wszędzie, gdzie jeno można było ustawić kilka ław dla audytorium i trybunę dla mowcy, organizował się zaraz klub, odbywały się zgromadzenia ludowe i manifestacye.

Klub zainstalowany w gmachu opactwa przy rue du Dragon, przesłał rządowi tymczasowemu kwotę: jeden

frank i dwadzieścia pięć centimów, jako swój datek na potrzeby republiki. W klubie „de l'Élemente revolutionnaire“ przy ulicy Mouffetard liczba 69, gdzie prezydował Palanchon, wraz z Blanquim wmięszany w aferę z prochem z roku 1836, klubiści noszą czerwone, frygijskie czapki, a posiedzenia zamykane bywają refrenem pieśni:

„Chapeau bas devant la casquette,
A genoux devant l'ouvrier!“

W klubie Franklina, rue des Tournelles, również czerwonego koloru czapki, krawaty i przepaski, a sala ozdobiona drzewcami lanc na których zatknięto czapki frygijskie. W klubie wojennym „des Hommes sans peur“ przywódcami są mistycy.

Towarzystwem „des Droits de l'Homme et du Citoyen“, mieszczącym się w Palais National i przy rue Saint Martin, kieruje komitet centralny: Barbés, Huber, Napoleon Lebon, Villain i inni, zaś wydziałami tegoż towarzystwa zarządzają komisarze obwodowi i szefowie sekcji. Owo „stowarzyszenie praw człowieka i obywatela“ wskrzesiło, przetwarzając równocześnie na jawną, metodę organizacyjną dawnych, węglarskich związków tajnych i przywróciło znaczenie i cześć staremu regulaminowi, który nakazywał każdemu ze spiskowców posiadać fuzyę, naboje i odznakę klubową. I tutaj ujrzały światło dzienne i zostały uwiecznione w protokołach różne, arcydziwacze wnioski. I tak na przykład: obywatel Garat domagał się, by rząd utworzył sanitarny kordon wojskowy wokoło mieszkań bogaczy, których się równocześnie skazuje na wymorzenie głodem. Obywatel Hubert, powrótnik z ulicy Saint-Louis-au-Marais żalił się wobec zgromadzonych na zmarłego prefekta policyi, Gabryela De-

lesserta, który zjawia mu się co nocy jako wilkołak, albo gniecie go zmorą, wreszcie rekord wziął zdaje się obywatel Duvivier, który pewnego dnia rozwiązał radykalnie wszystkie zawile kwestye społeczne wnioskiem, w którym domagał się „usunięcia“ wszystkich ludzi powyżej trzydzięci lat wieku liczących, a to ze względu, iż są oni zarażeni obyczajami czasów dawnych i jako tacy niezdolni do twórczej pracy przy budowie, od fundamentu nowego gmachu państwowego. Zwracał się w konkluzji do samych skazańców, by dla miłości ojczyzny i świata, filozoficznie położyli koniec swemu życiu. Ale poważnem zadaniem towarzystwa stało się niebawem zwalczanie wpływu Blanquiego i paraliżowanie podjętej przez niego akcji.

Wymieńmy jeszcze dla całości obrazu z pośród stowarzyszeń żeńskich, klub-legion Wezuwianek przy rue Sainte-Apolline, którego regulamin wymagał od wstępującej: piękności, wieku od 15 do 30 lat najwyżej i życia w celibacie. Reżyserem tego klubu był obywatel Borme młodszy, wynalazca wielu machin wojennych wyrzucających w ciągu sekundy trzysta paczek, mieszczących mnóstwo kul mitrajlezowych. Borme również wsławił się — oczywiście w klubie — genialnym wynalazkiem straszliwego ognia, którym spalić można było z łatwością każdą flotę nieprzyjacielską. Posiadał również sekret pewnego sposobu, zapomocą którego dwa tysiące obywatelk potykać się mogło zwycięsko z pięćdziesięciu tysiącami żołnierzy wrogiej armii.

LXXXIV.

Zerwała się w duszach ludzkich burza, słychać zmieszane głosy, łkają ludzkie serca, w różnych językach,

o swym bólu znać dając, rozbrzmiewają gwary ras wszelakich, wszelakich zawodów, pomruk starców, bas głęboki brodatych robotników, sopran kobiet. Ani sposobu pojąć znaczenia codziennych żądań, domagań się, formuł abstrakcyjnych filozofów humanitarnych, zapewnień wynalazców przeróżnych systemów. Począł się jakiś dziwny kiermasz myśli, ogłuszające wrzaski i zgrzyty walczą o lepsze z pieśniami słonecznymi. Piotr Leroux tłumaczy kwadraturę koła, Considerant zaleca falanster, Cabet obiecuje ziemski raj Ikaryi, Louis Blanc przewiduje niepowodzenie organizacyi pracy, Proudhon krytykuje republikę, przerażony zbyt szybkim tworzeniem się republiki socyalnej, straszny, jasnowidzący, zrozpaczony przebiega i pustoszy pola utopii, Blanqui przewiduje konieczność czynu i jego równocześnie grozę i niebezpieczeństwo.

Cały ten chaos, wszystkie gwałtowne enuncyacye przywódców, niepewne ruchy i wrzaski tłumów, pojmujemy dziś, gdy wiele czasu minęło, a wszyscy, wówczas żywi spoczywają w grobach. Z odległości patrzemy i wiemy, co znaczył rok 1848. Jest to epoka definitywnego wystąpienia ludu na arenę świata. Wówczas to po raz pierwszy ozwał się ten chór anonimowy, wówczas głos jego wybił się ponad wszystkie inne. Tłum wstał i wynurzył się z ciemnic historii, krzykiem oznajmił, że czuje, że świadomy jest swej nędzy i że śni mu się sen złoty lepszego świata.

LXXXV.

Jeżeli chcesz lepiej niżli ze zbioru dokumentów i rozpraw historyków poznać ów rok 1848, to wpatrz się w twarz starca, który ten czas pamięta. Musiałeś

go spotkać w życiu. Pamiętasz zapewne rysy jego, ze śladami zmęczenia bezustanną pracą, troską o nędzny zarobek dla utrzymania życia konieczny, zatarte wiekiem. Wpatrz się dobrze w tego robotnika, którego od młodości do grobu praca nęka, posłuchaj, co mówi i jak mówi. Na pomarszczonej twarzy młodemi pozostały oczy, są to naiwne oczy dziecka. Promienie światła biją po przez w pół otwarte, obwisłe powieki. A głos... w głosie jego przebija jakieś wielkie, niezasadnione zaufanie, wiara, że wszystko jest dobre. Gdy jeno ktoś wymówi czarodziejskie słowo, gdy wspomni: rok 48, oczy te, mimo rozczarowań tyloletnich rozblęsną, jak gdyby padł na nie snop jasnych promieni jutrzeńki, głos starca stanie się rześkim, wesołym, jakby miał dobrą wieść ogłosić, czujesz, że doznał ulgi, że mu lat ubyło. Nie zapomniał i już nie zapomni, że był to rok nadziei, chwila, która miała zmienić na lepsze dolę jego własną i dolę blizkich i w sercu zachował głęboką wdzięczność dla losu, za tę mglistą obietnicę, za ten promień słońca co rozświetlił drogę jego życia. Gdy posłyszysz nazwiska ludzi owego czasu, powtarza je z nabożeństwem i opowiadać poczyna nie troszcząc się o to, co my współcześni sądzimy. Wszyscy mają prawo do jego serca, kojarzy ze sobą przeciwników i mówi o wszystkich, jak o jednej wielkiej falandze bohaterów zjednoczonych w gigantycznym, wspólnym dziele. Łączy ze sobą ludzi najskrajniej różniących się od siebie, z rozczuleniem wspomina tych nawet, którzy kazali doń strzelać... Ach! Lamartine! Co za poeta!... A Wiktor Hugo... Ach!... Ledru Rollin!... Trybun!... A Proudhon... Barbés... Blanqui... ...Louis Blanc... ...ha, ha, ha... mały Louis Blanc... Ukochał wszystkich zarówno jest apostołem głoszącym, wzajem wykluczające się ich słowa... jakąś dziwną, aniel-

ską metodą sprowadza jedność, harmonię między ludźmi i ideami i stwarza z rozczułającą chytrą nową filozofią historyi... nową i jedynie dobrą filozofią, która wykazuje, że wszystkie, sprzeczne nawet ze sobą wysiłki, wbrew woli nawet ludzkiej zdążają do jednego celu.

LXXXVI.

Ale w bieżącej polityce, w wysiłkach poszczególnych i codziennych niema owego wzajemnego zrozumienia się umysłów, nie może człowiek wznieść się do uczynienia ofiary ze swego ja i dla rządów ówczesnych miarodajną jest formuła wypowiedziana przez Bérangera w rozmowie z Marrastem:

— No i cóż — spytał poeta — znowu wszystko utknęło?

— Ha, cóż chcecie obywatelu! Różnice naszych przekonań psują wszystko.

— Ej! Powiedz pan raczej: Podobieństwo naszych ambicji...

Nie ulega wątpliwości, że chęci mieli wszyscy jak najlepsze, ale ludzie, których losy postawiły u steru, nie byli w możności rozwikłać problemu społecznego, który zjawił się tak nagle. Nie dorosli wszyscy do tego zadania. Przedewszystkiem nie byli przygotowani, nie przeszli szkoły doświadczenia, a powtórę uparli się godzić sprzeczności, pogodzić się w żaden sposób nie dające. A lud nie mógł i nie chciał czekać. Posiadającym nie przyszło nawet do głowy, że można cześć ustąpić, rzec się, czy to w zakresie przywilejów, czy też stanowiska społecznego i majątku. Kwestya w rezultacie redukowala się do tego, że jedni posiadali

za mało, albo nawet nie posiadali nic, a drudzy za wiele i że koniecznie trzeba znaleźć sposób podziału, niezwłocznie przywrócić równowagę społeczną, znaleźć formułę nowego życia. Nie znaleziono jej i to stanowi tragedję roku 1848.

LXXXVII.

Z samego zaraz początku wszystkich pociągnął za sobą ów wir straszliwy. Rząd nowy usiłował posługiwać się zrazu tem wszystkiem, co dostał w spuściźnie po obalonym, to jest armią, klerem, administracją policyą i t. p. Gdy minęła burza i rozrzucono barykady okazało się, że trzeba porozumieć się z resztą kraju, wybadać czego chce Francya. Wahano się i szukano sposobów, a przez ten czas ludzie, którzy wynieśli w górę na barkach rząd nowy, czekali sparci o karabiny. Przez parę pierwszych dni Lamartine łagodził gniew, usypiał zniecierpliwienie akordami swej dźwięcznej harfy, rozbrzmiewającej harmonijnymi tonami wśród zgiełku. Ale nie samą się jeno żyje muzyką. Chleb ma też swoją poezyę i takiej poezyi co dnia ludowi trzeba. Jestto rzecz zarówno zbytkowna jak i użyteczna ów dobry chleb, wzmacnia siły, raduje oczy, zaspakaja smak i powonienie, wabi złocistą skórka, zapachem ośrodku, srebrzystą mąką ńęci. Ażeby dać ludowi ową biesiadę artystyczną zapowiedziano studia nad kwestyą pracy, stworzono komisję luksemburską i zaproszono Ludwika Blanc, by objął przewodnictwo. Był to eksperyment dziwny, ale Blanc podjął się zadania, przechodzącego siły ludzkie i komisya poczęła urzędować. Ale ledwo się zabrano do rzeczy, rząd 26 lutego ustanowił warsztaty narodowe. Była to

próba fatalna, na oślep podjęto najkonieczniejsze instalacje, by zaspokoić najgłodniejszych i najmniej cierpliwych, była to maskarada pracy i zarobku, dekoracja teatralna jeno. W rzeczywistości z dnia na dzień spodziewano się, że wybuchnie wojna domowa.

LXXXVIII.

Spokój był jeno chwilowym. Przez kilka pierwszych dni, reprezentanci klas gotujących się do boju, to jest mieszczaństwo u steru rządów i mowcy klubowi patrzyli sobie bacznie w oczy. Nie brakło nawet prób pojednania. Barbés, de Flotte, Raspail, Cabet i Sobrier naradzali się z Lamartinem. Także i Blanqui rozmawiał pewnego dnia z ministrem spraw zagranicznych. Lamartine w ten sposób opisuje wydarzenie:

„Blanqui sam przyszedł pewnego ranka, wydał się dobrowolnie w me ręce i to tegosamego dnia, kiedy, jak głoszone miał knuć spiski na moje życie. Rozmawialiśmy w tonie żartobliwym. Nie wierzę, by ludzie władający bronią intelektualną mieli używać sztyletów. Blanqui zaciekał mnie bardzo, bardziej jeszcze niżli trwożył przedtem. Poznałem w nim jedną z owych osobistości przeładowanych elektrycznością, których mnóstwo w naszych czasach. Musi żyć w ciągłym ruchu, inaczej zginąłby z nadmiaru energii. Jest chory na rewolucję, przyznał to sam. Na twarzy jego widne ślady cierpień fizycznych i moralnych, ale nie widać tam zapamiętania, raczej smutek i żal. Rozmawiał z wielką subtelnością. Ma umysł o rozległych horyzontach. Wydał mi się człowiekiem bezdomym, który wśród chaosu poszukuje światła i drogi znaleźć w ścisku nie może.

Szkoda, że go nie mógł częściej widywać, pewny jestem, że oddałby był niezmiernie przysługi republice. Ale rozmawialiśmy raz tylko“.

Blanqui prawie nie wspomina o tem widzeniu się z Lamartinem, który jak się zdaje mówił za siebie i gościa, co go uwalniało od szerokich wywodów i objawienia swych istotnych przekonań. Ale nie całkiem fantastyczne są słowa ministra co do użyteczności Blanquiego w roli funkcyjaryusza republiki. Prawdopodobnie przeczuł w nim siłę. Tylko dla ułożenia się i pogodzenia co do różnych punktów, koniecznemi były częstsze wizyty, a Hipolit Castille miał słuszość twierdząc, że czasu pełni rewolucyi, Blanqui oddałby koronę cesarską Japonii, za ką na poddaszu paryskim.

Do niczego przyjść nie mogło, i to nie z powodów błahych, jak brak częstszego widywania się. Przyczyny tkwiły głębiej. Sytuacya była tego rodzaju, że wszelkie ugodowe wysiłki polityków naprzód skazane były na niepowodzenie. Tłumy nie troszczyły się o formuły, chciały odpowiedzi jasnej i kategorycznej, w kwestyi życia i śmierci. Nastął czas okropny, a grozą napełniły się serca wszystkich, którzy przeczuwali walkę bratobójczą. Truchleli obaj myśląc o najbliższej przyszłości, zarówno Blanqui, jak Lamartine. Przez całe cztery miesiące rewolucyi, każdej godziny zawsze wszystkie wysiłki kierują się ku jednemu. Przywódcy ludu, agitatorzy i ci, którzy piszą i mówią, by wyrazić niejasne instynkty mas, wszyscy z trwogą cofają się przed ostateczną decyzją i cały czas i siły zużywają na powstrzymanie tłumy, rwącego się nad brzeg przepaści. Rzeczy stają na ostrzu miecza cztery razy: 17 marca, 16 kwietnia, 15 maja, aż wreszcie nadchodzi czerwiec. Obraz owej walki czerwcowej znajdzie czytelnik niebawem na kar-

tkach tej książki, posłyszysz gromy i ujrzy błyskawice, teraz całą widownię zapelniają skłębione masy bez wodzów i planu, rwące się naprzód, pod biczem ślepej, dzikiej siły instynktu.

I.XXXIX.

Blanqui był kierownikiem manifestacyi 17 marca. Przewrotność nakazywała mu domagać się odroczenia wyborów, w celu uzyskania czasu dla zorganizowania plebiscytu. Rozumiał on dobrze sytuację stworzoną przez antagonizm społeczny klas, które dla krótkości oznaczono onego czasu nazwami: burżuazya i lud — prowincya i Paryż. Poinformowany jest dobrze o odpływaniu za granicę kapitałów, chowaniu pieniędzy, niemożności pracy zarobkowej. Środki zaproponowane w celu zaspokojenia długów publicznych, powstrzymania obiegu bonów. Wie on dobrze, że kroplą w morzu są rzeczy takie jak: przymus obiegu banknotów państwowych, sprzedaż dyamentów koronnych, wywłaszczenie lasów, stanowiących część dawnej listy cywilnej i realizacya reszty pożyczki uchwalonej jeszcze czasu monarchii. Podatek, 45 centimów od franka, który wprowadzono bezpośrednio po czterech kontrybucyach wojennych oburzył do żywego każdego chłopca, posiadającego choćby zagon ziemi. Przeprowadzać w takiej sytuacji wybory znaczyłoby to tyle, co zmieść z widowni republikę i reformę społeczną zabić w zarodku. Ponieważ raz się chwycono metody rewolucyjnej, trzeba więc uszanować logikę faktu i dać nowemu rządowi czas do okazania, iż stoi na wysokości zadania i zasługuje na zaufanie. Stąd wynika konieczność odroczenia wyborów.

Odroczenia tego domaga się Blanqui natarczywie, odbywa się nawet wielka demonstracja, w której bierze udział przeszło 200.000 osób. Tłum zalewa bulwary, powiewają w wietrze sztandary przeróżnych korporacyj i klubów, wśród których widnieją chorągwie Polski, zjednoczonych Włoch, Niemiec, Irlandyi. Deputacya udaje się na ratusz i stawia żądanie cofnięcia wojska i odroczenia wyborów. Lamartine w niejasnych słowach obiecuje, Louis Blanc, wahający się po czyjej stronie stanąć, z ludem, czy z rządem, wreszcie nie ma odwagi pójść za swym odruchem pierwszym i okazuje się rządowcem, a Proudhon czyni słuszną uwagę, że odnośnie do manifestantów używa tychsamych określeń co Guizot. Dołącza więc swe obietnice do obietnic Lamartina. I wszyscy nagle stają po stronie ich obu, przeciw Blanquiemu, Ledru Rollin, Barbès, Cabet, Sobrier... Deputacya w końcu odchodzi, a obietnic dotrzymano w brzmieniu ich dosłownem, nie zaś właściwym sensie. Odroczono wybory, ale na jakże krótki czas! W dniu 17 marca upłynął ostatni moment, kiedy zbiorowy czyn mas, mógł jeszcze zmienić tok wydarzeń. Czyn jednak nie nastąpił.

XC.

Pomiędzy 17 marca, a 16 kwietnia zdarzyło się coś bardzo ważnego w życiu Blanquiego. W dniu 31 marca znaczenie i wpływ jego nagle zostają podkopane, przestają niemal istnieć. Ukazuje się, w powstałym bardzo niedawno temu piśmie „Revue retrospective“ artykuł publicysty Taschereau o Blanquim, który świadczy, że tenże popełnił zdradę względem swego stronnictwa.

Mógł on z łatwością naprzód przewidzieć swe dal-

sze losy czytając cienki zeszyt pisma. Artykuł nosił tytuł: Afera 12 maja. Było ostrzeżenie, w którym nazwisko wykropkowane jeno, nasuwała ciągle sama jego treść. Blanqui zebrał się w sobie, zacisnął pięści, postanowił walczyć, ale zdaje się, że obojętny wyraz twarzy skrywał omdlenie energii w jego duszy. Gmach życia zarysował się u samych podstaw, popłynęły potoki łez smutku, których szmeru nikt z ludzi nie słyszy. Teraz z oddali czasu, radosnemi wydały mu się porażki na barykadach, słodkiem mu się zdało konanie w Mont-Saint-Michel opromienione wizją drogiej zmarłej.

Ale czytać musiał do końca, by poznać stan rzeczy. Oto co zawierał artykuł Taschereau.

Zacznął się niejasną insynuacją co do pochodzenia pewnych dokumentów, paczki papierów zabranych podczas walki z gabinetu Guizota. Niektóre z nich, jak twierdził autor, wpadły w jego ręce. Jak się to stać mogło, nie wspomina, zapewniając jeno, że je złoży do archiwum państwa.

Bezpośrednio po tym wstępie dowiadujemy się o „Deklaracyi złożonej przez ** ministrowi spraw wewnętrznych“ i otrzymujemy wskazówkę, że w oryginale nazwisko nie jest zaznaczone gwiazdkami. Ale nie można tego na razie opublikować. „Deklaracya“ nosi datę 22, 23 i 24 października r. 1839. Tegoż miesiąca i roku Blanqui został aresztowany.

Od pierwszych zaraz wierszy na scenę występuje Blanqui. Zeznający, o którym artykuł pisze w trzeciej osobie, oświadcza, o czym wszyscy w r. 1839 wiedzieli, że „Société des Familles“ zostało założone w r. 1835, że myśl założenia go powstała czasu wielkiego procesu politycznego w kwietniu.

„Ja byłem jego założycielem“ — mówi ów zeznający.

Cóż za pośpiech, co za chęć dziwna wybicia się na plan pierwszy, jaka zmiana w człowieku skrytym i tajemniczym, zgoła inne mającym przyzwyczajenia. Owo twierdzenie, owo zerwanie maski od pierwszych zaraz słów, zwierzeń tego rodzaju, jest nieomylną cechą denuncyacji. Ciąg dalszy usprawiedliwia w całej pełni powyższe twierdzenie.

Odnosnie do Pépina i Fieschiego, znajdujemy szczególne ścisłe w tym sensie: „Pożegnawszy się z Pépinem, udałem się do Barbésa, który nie wiedział jeszcze o niczem. Że nie byłem poinformowany o zamierzonym zamachu świadczy fakt, że tegoż samego dnia posłałem na bulwary syna mego z mamką, by dziecko przyjrzeć się mogło paradzie wojskowej“. Oczywisty to donos policyjny, na który składa się szereg zeznań prawdziwych i opisów wymyślonych, mieszanina, w której skład wchodzi rozporządzenia policyjne i fragmenty raportów przeróżnych agentów. Blanqui na śledztwie, pytany o sprawę Fieschiego mógł wedle wszelkiego prawdopodobieństwa odpowiadać tak, jak było wydrukowane w artykule. Również mógł podobnie starać się zmylić tropy policyi odnośnie do list, znalezionych przy rewizji w jego mieszkaniu. Co do tego czytamy: „Nigdy nie istniały listy członków stowarzyszenia. Władza jest w błędzie sądząc, że znalazła je u mnie. Są to jeno spisy osób, które zostały polecane do przyjęcia i ja miałem zdecydować dopiero o ich wstąpieniu“. Wskazania nazwisk przywódców nie można nazwać donosem. Cały Paryż wiedział co robią Raisant, Lamieussens, Martin Bernard i Blanqui. Rozróżnienie tych przywódców od osób niższych rangą nie całkiem odpowiada rzeczywistości. Dalej oświadczenie co do zdrady jednego z członków, nazwiskiem Teissier, który był urzędnikiem prefektury policyi,

potem wstąpiwszy do towarzystwa stał się przyjacielem Lamieussensa i skorzystał z tego, by zdradzić zamierzony atentat, owo zeznanie dowodzi, iż rzecz znana była policyi z innego jeszcze źródła. Wspomina nawet o tem na innem miejscu akt odnośny, mówiąc o spisku: „Policya nie mogła o tem nie wiedzieć“. Zaraz obok znajdujemy zdanie: „Próby strzelania do celu, które odbywały się u mnie“... i wyjaśnione jest w dalszym ciągu, że nie szło tu o jakieś złe zamiary przeciw osobie króla, chciano się jeno przekonać o doniosłości strzelb myśliwskich.

Im dalej tem wyraźniej występuje charakter dokumentu Taschereau. Ilekroć jest tam mowa wprost o Blanquim, zbieranina owa, której od biedy usiłowano nadać charakter jednolity, przybiera formę protokołu. Blanquiemu zadają pytania, on odpowiada, zbija twierdzenia, tłumaczy się. Naprzykład ustęp, w którym miał mówić: „Stowarzyszenie nie brało udziału w rozruchach z początkiem kwietnia u bram Izby posłów i w ulicy Saint Denis“. W ten sposób ze szczegółów raportów, odnoszących się do powstania 12 maja sfabrykowano coś co miało naśladować zeznanie osobiste. Dokument Taschereau jest fabrykatem biurokraty, to jasne jak słońce. Ale musimy przyjrzeć mu się bliżej i przejść go od samego początku.

Niektóre ustępy obliczone są wprost na przysporzenie wrogów Blanquiemu: Odnośnie do Raisanta, miał zeznać: „Uważano go za narzędzie Lamieussensa i to go bardzo gniewało“.

O Lamieussensie czytamy: „Narzucał swą przyjaźń wszystkim, posiadającym więcej majątku jak inni i wybitniejsze stanowisko“.

O Barbésie: „Jest to jeno pionek. Choć posiada wiele energii, nie nadaje się na przywódcę. Był głównym

sprawcą wszystkich naszych klęsk 12 maja. Nie bił się jak oficer, ale jak żołnierz“.

O samym dniu 12 maja znajdujemy takie zeznania: „Nadszedł 12 maj. Oto powody, które nas skłoniły do akcji. Przedewszystkiem przesilenie ministeryalne,... potem ciężka kryzys handlowa i przemysłowa,... wreszcie żądza walki, ogarniająca wszystkich“... Takie to zeznania. A wszędzie pełno drobnostkowych szczegółów, dat, odnośników ledwo widocznych, a jednak świadczących o fałsyfikacie lepiej, niż wszystko inne.

„W marcu 1839 roku liczyliśmy na to, że“... Jakto, w marcu 1839? Tego powiedzieć nie mógł. Czyż mógł w ten sposób wyrażać się o rzeczach ledwo miesiąc temu zaszytych? Byłby powiedział poprostu: „W marcu!“, nie dodając zgoła zbytecznego roku... Podobnie czytamy dalej: „W kilka miesięcy potem, 22 października 1839“... Naprawdę, jest to dokładność zbyt wielka i wskazuje, że fałszerz był lichym psychologiem.

Wszystko o czem było wyżej, są to zeznania z pierwszego dnia śledztwa. Nazajutrz, 23 października, miał Blanqui opowiadać o powstaniu 12 maja. Są to ogólniki, które post factum łatwo można było odtworzyć. Mowa tam o tych co się bili i co się bić nie chcieli, o studentach, robotnikach, o niebezpieczeństwie i bezpożyteczności rekrutowania z pośród żołnierzy członków tajnych stowarzyszeń i t. d. Wreszcie znowu osobisty charakter przybierają owe zeznania: „Pod koniec lipca objąłem znowu przewodnictwo“... Otóż Blanquiego aresztują w październiku i akt Taschereau każe mu zeznawać tegoż miesiąca, w czasie między uwięzieniem, a wyrokiem deportacyi. Stąd widać raz jeszcze, że „dokument“ został umyślnie sfabrykowany na podstawie raportów policyjnych. Bo jeśli to wszystko jest prawdą, to Blanqui, na-

wet przyznając się do swej roli przywódcy, nie mógł pragnąć ocalenia się. Wszak nie był jeszcze wcale skazany.

To co teraz następuje, mogłoby w pobieżnym przejrzeniu wydawać się obciążającym. Zbadajmy przeto lepiej. Idzie tu o oświadczenie, że towarzystwo przeżyło dzień 12 maja, dalej szczegóły odnośnie do grup i nazwiska naczelników.

I tak: „Grupa pierwsza. Naczelnik Geoffroy, garbarz“. Co prawda zaraz potem następuje dopisek: Geoffroy obwiniony był o stosunki z policją, zagrożono mu sądem i wykluczono, a oddział jego się rozprószył“.

Podobnie grupy: druga, trzecia, piąta, szósta i siódma oznaczone są jako rozwiązane. Z istniejących mowa o czwartej, grupie krawców... 75 do 80 ludzi... naczelnik... Avon... Grupa ósma... kucharzy... 30 do 35 ludzi... naczelnik... Gorat... Grupa dziewiąta... ślusarzy... naczelnik Chèry... i grupa dziesiąta... kapeluszników... stu ludzi pod wodzą Dechampsa. Następują zeznania podobne o innych, odosobnionych grupach, w ostatnich czasach tu i owdzie potworzonych, ale nim przejdziemy do komentowania tej części deklaracji, skończmy ten szkic.

Zeznania trzeciego dnia śledztwa, 24 października odnoszą się do tego samego, jest tam mowa o braku pieniędzy w „towarzystwie pór roku“, o braku amunicji, o stosunkach z armią... i nagle niespodzianka. Blanqui nie mówi już o sobie w pierwszej osobie, ale w trzeciej i oznacza się literą B.

„Oto jakim był projekt ucieczki obywatela B.: Podjął się zorganizować stowarzyszenie, ale chciał bezpośrednio po dokonaniu tego udać się do Szwajcaryi, do kantonu Ticino. Po dwu, czy trzech miesięcznym pobycie za granicą, byłby stracił wszelki kontakt i nie mógł nikt od

niego żądać, by brał na siebie odpowiedzialność za kierownictwo“.

Któż to mówi? Oczywiście nie Blanqui. Redaktor tedy raczył zdradzić owego incognito, sam dostarczył dowodu potępiającego. Zapomniał się.

Rzecz cała kończy się rozprawą, nie pozbawioną zresztą sensu o widokach powodzenia partii bonaparty-stowskiej. Wogóle wszystko to bardzo pięknie się przedstawia, jest nawet w zasadzie prawdziwe, tylko tego nie mógł zeznać Blanqui i twierdzenie takie, choć z pozoru śmiałe, jest za nierozsądne, by je brać seryo a sprawy nie zmienia napuszysta enuncyacya Barbésa, który zaraz po ukazaniu się artykułu, zwracając uwagę na szczegółowe dane co do grup i naczelników, miał się wyrazić, że dwaj jeno ludzie znali na wskrós tajemnicę organizacji towarzystwa, to jest on i Blanqui. Wypadałoby tedy, wobec niepodobieństwa podania w wątpliwość uczciwości Blanquiego twierdzić, że denuncyantem był Barbés...

Są to wszystko dzieciństwa i szkoda czasu na rozsądzanie. Wystarczy przypomnieć sobie, że klasyczną metodą rządu w owym czasie, było wchodzenie w kontakt bezpośredni ze spiskowcami, w każdym klubie roiło się od szpiegów, agentów, prowokatorów, zdrajców. Pełno ich było w każdej grupie. Czyżby więc jedno tylko „Société des Saisons“ miało być wolne od tego rodzaju nieproszonych gości.

Prawdziwie tajne, w całym owym „tajnem“ towarzystwie były jeno, zamiary, plany, postanowienia, obawy, bole i nadzieje skryte w sercu i głowie Blanquiego, a to wszystko, nawet zdradzone, nie mogło nikogo więcej, prócz niego samego skompromitować. Co do reszty organizacji, bądź to w części czy w całości znało ją więcej ludzi, tajemnica właściwie nie istniała nigdy. Ciągłe

spotykamy się z nazwiskami ludzi różnych zawodów, pochodzących z różnych dzielnic, mnóstwo naczelników grup, co chwila w dziejach onego czasu natrafiamy na członków, mniej, lub więcej wtajemniczonych, którzy równocześnie mają stosunki z policją, zajmują się zarazem konspirowaniem i zdradą. Jakże można nie brać pod uwagę przypadku tak typowego jak sprawa Lucyana de la Hodde, inteligentnego spiskowca i zręcznego szpiega?... A rzeczy podobne zdarzały się co dnia. Pojąć doprawdy trudno, że głupstwo podobne mógł ktoś traktować poważnie, że zacieżyło ono strasznie na życiu Blanquiego. Czyż mogło ono ostać się wobec oczywistych zalet jego charakteru, świadectwa poświęcenia ukaranego długoletnią katorgą. Bezpłodną zdaje się praca badania szczegółowego owego paszkwilu, skleconego niezdarnie, jednakże dostał on się przed kratki sądowe i został poddany skrupulatnej analizie.

XCI.

Choćby dokument, ogłoszony przez Taschereau został sporządzony w r. 1839, jak zeznali w procesie wytoczonym Blanquiemu przez „Revue retrospective“ świadkowie dowodowi: Pasquier, de la Chauvinière, Zangiacomi, Frank Carré, Passy, a zwłaszcza Dufaure, fakt ten nie osłabia ani trochę wątpliwości, gdyż one wynikają z badania samego dokumentu, a nie mają nic wspólnego z jego datą. Śledztwo przeprowadzone w lipcu r. 1848 stwierdziło wyraźnie, że akt nie był pisany przez Blanquiego, ani przez niego podpisany, a dalej, że był to jeno odpis, a oryginału w żaden sposób odnaleźć się nie udało. Prócz tego dowiedziono, że nie była to rzecz dyktowana, ale odpisywana. A tu oryginału brak... wniossek jasny.

Odnaleziono dalej autora owego odpisu w osobie byłego sekretarza prezydium dawnej Izby Parów. Ale na tem się też skończyło. Lalande na śledztwie zeznał, że nie może w żaden sposób przypomnieć sobie jak wyglądał dokument, z którego sporządzał kopię, nie wiedział nawet, czy były to notatki luźne, i kto je pisał, czy przeciwnie był to akt gotowy i przepisany na czysto. Były kanclerz Pasquier także nie dostarczył bliższych informacji. „Jeśli — mówił — pan Lalande w istocie sporządzał odpis tego aktu, prawdopodobnie pisał w swoim gabinecie, przytykającym do mojego. Czyż więc ja mu poleciłem? To bardzo możliwe, ale doprawdy nic a nic nie pamiętam... i twierdzę stanowczo, że w pamięci mej, odnośnie do wyglądu inkryminowanej deklaracji nie pozostało ni śladu wspomnienia. Nie wiem czy był to oryginał, czy sam był odpisem.“

„Fakty historyczne“ niestety często opierają się na takich przypuszczeniach, „możliwościach“, półsłówkach, zastrzeżeniach, wynikających z użytej w porę wymówki: „nie pamiętam“.

XCII.

W czasach Blanquiego, żądza wybicia się na powierzchnię, kierowania losami świata nie pozwalała na solidarność wobec wroga, nawet rewolucjonistom tradycyjnie nieskazitelnym, drapującym się w powagę i surowość na wzór spiżowych i marmurowych posągów starożytności. Korzystał z tego nieraz wróg i pęk różg historycznych rozpadał się na kruche pręty. I tym razem zazdrość, zawiść i łatwowierność dokonały swego, a deklaracja ogłoszona przez Taschereau znalazła wiarę. Z pośród wielu grupujących się niedawno dokoło Blanquiego, przy-

jaciele Barbésa i Martin Bernarda odsunęli się pierwsi, jedni demonstracyjnie, inni milczkiem. Nie wyciągnął ręki, by ich zatrzymać i przekonać. Zamknięty w sobie, z pogardą patrzył na niedawnych zwolenników, którzy nie chcieli już weń wierzyć. Pozwolił im dowoli rzucać obelgi, bez drżenia patrzył jak odchodzili. Stawił czoło samemu jeno Taschereau. Tego samego dnia, w którym pojawiła się „deklaracya“ napisał do „Gazette des Tribunaux“ i „Journal des Débats“ owe dwa listy, za które mu Taschereau wytoczył proces, a w kilka dni później, 14 kwietnia ogłosił plakat pod tytułem: „Odpowiedź obywatela Blanquiego“. Jestto w istocie arcydzieło zwięzłości i wymowy, a równocześnie goreje w niem każde słowo. Człowiek lodowaty zadrżał, a czytelnika przejmują dreszcze. Nie opuszcza go duma, ale jaśnieje pełnym blaskiem, rzuca w tłumy okrzyk, w którym zawarł całą gorączkę myśli twórczej i ból męczeńskiego serca. Niechże i tu znajdzie miejsce mały ustęp, niech zajaśnieje kilka słów płomiennych, dziś już skrytych pod popieliskiem, jakim czas zasnuwa wszystko.

Wspomniawszy w kilku słowach o dacie sfabrykowania owego paszkwila i jego pochodzeniu, ironicznie mówi o powodach, które sprawiły, iż falsyfikat ten mógł znaleźć wiare. Jestto forma dokumentu, gdzie wszędzie występuje w pierwszej osobie, jakby sam zeznawał:

„Jakże oprzeć się magicznemu wpływowi, owych, ciągle powtarzających się słów: Ja... Mnie... Czyż nie przekonują, że przemawia sam spotwarzony? To on! — zawoła każdy. — wszakże mówi, opowiada...“

Przywodzi potem różne fakty historyczne oparte na podobnem złudzeniu, potem obalone, dowodzi, że rzecz pozornie dyktowana, w rzeczywistości była przepisywana

z brulionu, że nie jestto jego styl, i że wreszcie sam oryginał, tak ważny nie został odnaleziony.

„Niema także podpisu! Czyż to możliwe? Jakto? Oto jeden z najstarszych, najzaciętszych wrogów leży plackiem u stóp zwycięzcy zdany na jego łaskę, otwiera swą duszę, przetrząsa zakamarki pamięci, oddaje się cały... i ów zwycięzca wierzy mu na słowo? Nie żąda żadnej gwarancyi? Nawet prostego podpisu?“

„A nazajutrz podlec ten wstaje i zjawia się wyniosły, dumny przed Izłą Parów. Biczuje sędziów swoich słowami, biczuje ich milczeniem i w obliczu pełnego trybunału dowodzi konieczności rewolucyi. Upokarza publicznie tych, którym wczoraj drżący całował stopy. Jakże pogodzić ów przejaw nikczemnego tchórzostwa z dnia 22 października, gdy mu nic nie groziło, z brawurą wobec grozy śmierci, dnia 14 stycznia?“...

„Oszczerstwo zawsze liczyć może na dobre przyjęcie! Zawistni i łatwowierni roskoszują się niem. Nie trzeba się wysilać nawet. Byleby zabiło... mniejsza o prawdopodobieństwo. Nawet widoczny absurd nie obniża jego wartości. Ma w sercu każdego tajnego obrońcę... zazdrość. Od jego ofiar jeno ludzie domagają się racyj i dowodów, oszczerstwo od nich wolne i może bezkarnie w jednej chwili zdruzgotać długie życie poświęceń, czystości i cierpień. Wystarczy jedno słowo“.

„Zdrajca“. Ale gdzież powody. Czy szło o uratowanie życia? Każdy wie dobrze, że mi nic nie groziło. Szafotu nie ustawiono dla mnie pierwszego zaraz dnia, pod wpływem zemsty, czyż mi mógł zagrażać po ośmiu miesiącach, gdy szal przeminał, gdy o mnie zapomniano? Czyż nie mógłbym był przynajmniej zaczekać i zdradę odłożyć na czas istotnego niebezpieczeństwa, a jeśli już strach rzucił mnie, jak brzmi oskarżenie, do stóp wro-

gów, to czemuż, pytam, przypisać, że nie zdruzgotali mnie do reszty moralnie wydzierając pogrózkami podpis, co się równałoby śmierci?

„Czyż uzyskałem choćby zmniejszenie małe ciężaru mych kajdan? Niech na to odpowiedzą kazamaty Mont-Saint-Michel i cele więzień w Tours.

„Któryż z mych współtowarzyszy tak wielką jak ja wychylił czarę męki? Przez rok żyłem ze świadomością, że kobieta droższa mi nad wszystko kona zdala odemnie w rozpacz, a potem cztery lata straszego sam na sam w mrokach kaźni więziennej, z pozagrobową zjawą tej, która odeszła bezwrotnie. Oto były cierpienia, tom przetrwał w onem piekle dantejskiem. Wyszedłem z ciemni, włosy wyniosłem posiwiałe, serce mi zamarło i ciało męka pochyliła do ziemi, a oto wokoło rozbrzmiewa krzyk: Śmierć zdrajcy! Ukrzyżuj go!“

„Sprzedałeś za judaszowe złoto twych braci— pisze człowiek, będący zaufańcem rozpustników, stojących u steru władzy. Czyż trzeba złota gdy się je czarny chleb nędzy i pije gorycz życia? I cóż to uczyniłem z owem złotem? Mieszkam na poddaszu, wydaję 50 centimów dziennie, a całego majątku mam dziś 60 franków. Więc to ja jestem zdrajcą? Ja, wlokący się z trudem ulicami, zmęczony i chory w wytartym ubraniu, jam sprzedawczyk? I mnież to, biednego Joba, wypuszczonego z więzienia swych niedawnych chlebobawców ze czci obdzierają lokaje Ludwika Filipa, przeistoczeni w świetne, barwne efemerydy republiki, co ledwo tykają stopami dywanów ratusza?“

„O synu człowieczy, co zawsze dzierżysz w rękach kamień, byś kamienował niewinnych, gardzę tobą!“

Blanqui w dalszym ciągu omawia dowody, owe zdradzone fakty, które znało tysiąc pięćset osób i przy-

wodząc jeden jedyny ważny zarzut, to jest wyliczenie nazwisk członków „towarzystwa pór roku“ zreorganizowanego po 12 maja przypomina, że pośród spiskowców znajdował się jeden prowokator i jeden prokurator królewski. Wreszcie wykazuje tuzin grubych omyłek, odnośnie do faktów i dat, zwraca uwagę na notatkę policyjną, w której nagle piszą o nim w trzeciej osobie... on... zamiast... ja i ustęp ten kończy słowami: „O dziwna, opatrnościowa omyłka, która przykuła do ofiary zbrodniczą rękę skrytobójcy, na świadectwo dla wszystkich“.

Dodaje jeszcze:

„Dość słów o oszczerstwie, przypatrzmy się oszczercom. Czas postawić ich pod pręgierz. Ta mała broszurka, ich cios mistrzowski, nie był ciosem próbnym. Nienawiść ich ma już swą historję, ma lat piętnaście“.

„Wybiła godzina publicznej rozprawy, wygrały ją bębny lutowego powstania. Na koniec trzeba wywieść na słońce spory, które długo kotłowały w mrokach“.

„Portret mój nie ma zaszczytu figurować w kolekcji, którą miłosierna ręka odkryła w pyle muzeum policyjnego. By zapełnić tę lukę kreślę go tutaj. Niech wszyscy ujrzą mnie takim, jak im mnie przedstawiali setki razy moi skryci wrogowie dawni, dzisiaj otwarci przeciwnicy i sędziowie: Blanqui, człek ponury, zmienny, dziki, arbitralny, sarkastyczny o wielkiej ambicyi, zimny, nieubłagany, druzgocący bez litości ludzi, po których stąpa brutalnie. Serce jego kamienne, wola stalowa“.

„Sylwetka nie zbyt ponętna. Ale niema cieniów na tym portrecie. Zwracam się do tych wszystkich, którzy znali moje życie prywatne. Niech powiedzą, czy istnienie me nie było jednym pasmem głębokiego, szczerzego przywiązania, w którym czerpałem ustawicznie siły

do coraz to nowych walk politycznych. Śmierć, łamiąca to przywiązanie zadała cios jedyny, jaki mógł zdruzgotać me serce. Wyznaję to jawnie. Wszystko inne, nie wyłączając trucizny oszczerstwa osuwa się po mnie jak pył uliczny wiatrem miotany. Strzepuję go z ubrania i idę dalej“.

„Obłudnicy, którzyście chcieli przedstawić mnie potworem moralnym, otwórzcie, jak jam to uczynił podwoje waszych domostw, obnażcie swe serca. Czyż śmiecie to uczynić? I cóżby znaleźć można pod nikczemną maską hipokryzyi? Brutalizm zmysłowy, przewrotność duszy... nic więcej! Groby pobielane! Podniosę kamienie i okażę światu waszą zgniliznę!“

„To, zem niengięty rewolucjonista, że żyję poświęceniem dla idei, to was razi, i to ścigacie oszczerstwem. Pragniecie powalić na ziemię bojownika wytrwałego... A sami cóż zrobiliście w ciągu lat czterestu? Gdzie spojrzeć, kłęski! W roku 1831 stałem z wami w jednym szeregu, samotnym się na placówce ujrzałem w r. 1839, a teraz, w 48 idę przeciw wam!“

Następuje opis rozlicznych perypetyj działalności od 24 lutego, wahania się ustawicznie, zakusy porozumienia z rządem tymczasowym, bezpłodne narady z Lammartinem 17 i 22 marca, potem puszczenie w obieg fałszywej „deklaracyi“, wreszcie jej publikacya w piśmie Taschereau, a wszystko w reasumpcyi końcowej zamknięte słynną, rzuconą w twarz wrogom obelgą: „Wsteczniczy jesteście nikczemnikami!“.

U spodu afisza widnieje protest opatrzony pięćdziesięciu podpisami dawnych członków „Société des Familles“ i „Soc. des Saison“. I nie byli to jedyni ludzie. Dnia 1 kwietnia, w sali klubu w Konserwatorium wrzało wszystko oburzeniem. Jeden gest Blanquiego, a wszyscy

rzuciliby się na oszczerców. Ale Blanqui nie uczynił tego gestu.

Partya blankistów nie poniosła z tej racji żadnych niemal strat, pozostała, czem była przedtem. Silniej tylko rozgorzała zawiść przeciwników i przybyło wrogów. Barbés i jego przyjaciele, przyjęli bezkrytycznie, ochotnie niemal zarzut zbrodni, dotyczący niedawnego jeszcze ich przywódcę i towarzysza broni. Poznałem dokładnie źródło owej starej nienawiści. Wpadł mi w ręce odpis długiego, piętnastościurkowego listu Barbésa do Ludwika Blanc. Nosi on datę 6 czerwca, pisany był w więzieniu w Nîmes i miał za zadanie poinformować o różnych rzeczach autora „Historii dziesięciu lat“. Ale autor zeń nie skorzystał. Poza szeregiem faktów i opisów, mogących interesować czytelnika, jestto długa i nudna filipika przeciw Blanquiemu, wytwór maniaka trapionego zazdrością, którego nie opuszcza żądza i pretensya odegrania roli dowódcy sił zbrojnych. Marzy mu się generalstwo, układanie planów, podpisywanie rozlicznych, powstańczych proklamacyj. List ów pełen jest ordynarnych dowcipów i uwag ironiczych, ze szczegółami opisuje wahanie się, bladość twarzy i niepewność woli Blanquiego w decydującym momencie walki, walki której pragnął. Ale zapomina Barbés dodać, że walki tej twórcą i organizatorem był Blanqui, że namówił do działania, pchnął do czynu samego Barbésa, który wycofał się do Carcassonne, że wreszcie poświęcił dla tejże sprawy swe życie rodzinne, rozłączając się ze żoną i synem. Jeśli tedy w decydującym momencie, w porównaniu do spokojnego, rozgadanego Barbésa, wydawał się bladym, milczącym, to chyba jeno podziwiać należy niezłomną wolę, co pogardziła wążem ciałem i wydała je na rany, ból i grozę śmierci. Jednem słowem „deklaracya“ Taschereau od-

świeżyła dawne nrazy, nasyciła starą, wiecznie łaknącą zawiść. Powitano ją radośnie. A jednak posiadamy ciekawą enuncyację Ludwika Combes w tej sprawie:

„Czy mimoto Barbés był odrazu pewny zdrady Blanquiego, czy może raczej zrazu nie wierzył, a tylko pod wpływem otoczenia, pod sugestją dawnych, budzących się zawiści skłaniał się z wolna do nieprawdopodobnego przypuszczenia? Oto fakt. Seigneurgens, stary republikanin, pamiętający początki najpierwszych związków tajnych, entuzjastyczny wielbiciel Barbésa, nieco ozięblej usposobiony dla Blanquiego, ale w żadnym razie nie wróg jego, opowiadał mi w Belle-Ile, że spotkawszy Barbésa właśnie w sam dzień publikacji dokumentu, zapytał go, co myśli o najświeższej, wielkiej sensacji. Barbés, jak zawsze szczerze oświadczył, iż nie wierzy, by Blanqui miał być zdrajcą. Dodał jeszcze, że nic łatwiejszego, jak sfabrykować taki „dokument“. Seigneurgens zmarł około dwanaście lat temu, ale zaręczam za wierne przytoczenie słów jego. Zresztą nie ulega wątpliwości, że mówił to wielu innym, którzy mogą poświadczyć“.

Jakkolwiek było, faktem jest, że ani Barbés, ani Martin Bernard i ich zwolennicy nie przestali zwalczać przez całe życie Blanquiego. Ankieta ogłoszona w tej sprawie przez zbiorową komisję klubów, w chaosie ówczesnych wydarzeń nie doprowadziła do niczego i tylko Proudhon, jako referent postawił wniosek pogodzenia się. Skończyło się więc wszystko, a każdy pozostał przy swoim zdaniu. I dopiero później, gdy Blanqui po odsiedzeniu rozlicznych kar więziennych spotkał się z inną, nową generacją polityczną, oszczerstwo pierzchło, zatarło się, zamgliło, wobec świeżych dowodów bohater-skiego poświęcenia. Ale jad potwarzy wżarł się w jego

duszę, wywarło wielki, osmucający wpływ oskarzenie, o którym zda się nikt już nic bliższego się nie dowie.

Tymczasem w szybkim tempie następują po sobie pierwszorzędnego znaczenia wypadki i do nich zwrócić się musimy.

XCIII.

Czternastego kwietnia Blanqui ogłosił swą odpowiedź na paszkwil Taschereau, szesnastego udał się na Pola Marsowe, gdzie zebrał się tłum robotniczy dla omówienia sprawy wyboru sztabu i oficerów gwardyi narodowej. Drugie zgromadzenie obradowało w Hipodromie. Tu i tam poruszano kwestyę wyborów parlamentarnych. Zanosilo się już na dobre na atak na ratusz. Nie wiele brakło a ponowiłyby się demonstracye z 17 marca. Nie nastąpiło nic podobnego, ale rządowi tymczasowemu napędzono strachu. Tłum stanowczą przybrał pozycyę, tu i owdzie przechodząc nawet do akcji zaczepnej. Barbés na czele 12 legionu staje po stronie rządu. Z rozkazu Ledru-Rollina rozbrzmiewają trąbki, gwardya narodowa Paryża i przedmieść i gwardya ruchoma otaczają gmach, gdy tłum z Pól Marsowych zdążył pod ratusz, musiał milcząco wtłoczyć się w szpaler wąski najeżony bagnetami. Wieczór upłynął na demonstracyach na rzecz „idei ładu i porządku“. Dzień ten święcono jak dzień zwycięstwa. Nazajutrz nastąpił przegląd wojsk, w dzień potem odbyła się uroczystość rozdania sztandarów, jedzono, pito, wznoszono toasty, burżuazya pokumała się z armią, a Blanqui nabył przekonania, że najbliższa przyszłość będzie smutną. Wszystko to wydało mu się zapowiedzią bliskich represaliów zwróconych przeciw proletaryatowi i w rzeczy samej nastą-

piły liczne aresztowania, a po przychwyceniu ludzi niewygodnych rządowi... wybory.

Oczywiście wybrano samych niemal wsteczników i zaraz, na samym początku ery prawodawczej nastąpiły zaburzenia w Rouen, gdzie brutalnością odznaczyła się prowincjonalna gwardya narodowa. Była to przygrywka do zajść czerwcowych, strzelano na oślep, mordując i raniąc kobiety i dzieci, dobijano rannych, rozpuszczono zagony po wsiach i urządzoną wielką obławę, w której czynny udział brało mieszczaństwo miasta Rouen, próbując celności swych strzelb myśliwskich.

W zawierusze ideje ustępują na plan dalszy, a przyszłością, jak zawsze w takich czasach kierują najśmielsi, najbezwzględniejsi.

XCIV.

Po zebraniu się Izby, wyraźniej zarysowała się sytuacja zarówno w Paryżu, jak i całym kraju. I oto natychmiast przejawiał się fakt, który stwie dził i nad którym łzy wylewał Proudhon, mianowicie, okazało się, że przywódcy i ogół w swych poglądach i pożądaniamiach niezmiernie wyprzedzili warunki ekonomiczne, które stworzyły powoli i tworzą grunt pod założenie republiki socjalnej. Po silnem pchnięciu naprzód, jakiego doznała Francya w r. 1848, nastąpiło cofnięcie się wstecz. Ale twórcy rewolucyi, nie chcieli temu wierzyć, sądzili, że można iść przebojem, zawierzyć fali, która ich dotąd niosła, dążyć siłą woli coraz dalej i dalej. Codzienne życie upływało im w gorączce nie chodzili po ziemi, zamieszkali krainę, w której ideje traciły charakter utopij, a poczynały stawać się rzeczywistością. Czyż można opuszczać taki

raj? Nie mogli wierzyć, że wszystko to znikłoby w jednej chwili, gdyby doń zastosować miarę użyteczności. Żyli w stolicy świata, a wśród cudnych dekoracji Paryża marzenia ich natychmiast nabierały życia i było to jakby bezustanne czarodziejskie widowisko, bajka o życiu, szczytna i dziecinna zarazem. Toteż oburzały się ich serca na samo przypuszczenie, że sen cudowny skończyć się może. Utopiści roku 1848 podobni byli całkiem do republikańców roku 1830, którzy nie mogli pojąć, iż cały trud ich był daremny i, że bezpośrednio nazajutrz po upojeniu tryumfem zwycięstwa stawali się zwyciężonymi.

Nie ulega wątpliwości, że myśleć tak, jestto nie mieć najłżejszego pojęcia o konieczności powolnego rozwoju, ale jakże żądać tego od poetów i tłumy, który idzie za nimi zwartą masą, niecierpliwie domagając się wszystkich zmian na lepsze, które jeno jako możliwość, w oddali wieków widzi ekonomista, historyk, filozof... Niecierpliwść i parcie naprzód ku niepodobieństwu jest zresztą samo w sobie jednym z czynników ewolucji. Nie można oczekiwać, by cała ludzkość rozumowała i metodycznymi etapami posuwała się ku temu, co wedle programu stać się powinno. Życie nie jest maszyną, nie znosi ruchu jednostajnego w warunkach pewnych i określonych z góry. Jest burzliwe, eksplozywne, a fatalizm jego ulega nieobliczalnym komplikacyom. I stało się też w r. 1848, że republikanie i socjaliści, pałając pożądaniem utrzymania się przy sterze rządów, zachowania w swych rękach owoców zwycięstwa, przyspieszali jednocześnie katastrofę, parli do rozwiązania, nieuniknioną czynili zmianę formy rządu, a to przez swą gorączkę jaką zarazili społeczeństwo. Musieli przegrać sprawę, bo żyjąc w bezustannem napięciu woli i wyobraźni usi-

łowali urzeczywistnić w ciągu krótkiego bardzo czasu to, co miało być dziełem wieków całych. Musieli zostać ofiarami, ofiarami szlachetnymi i lekkomyślnymi zarazem, dobrowolnie zapełnić sobą rozpadliny i rowy, by wyrównać drogę dla pokoleń późniejszych. Zginęli za Jutro. Historycznie, rolę ich da się określić już dzisiaj bardzo dobrze. Postawili problem pracy i pauperyzmu w całej jego nagości, w sposób niedwuznaczny. Od tej pory problem ten usunąć się nie da, stoi jak kolos kamienny i cień rzuca na wszelkie rządy całego świata i jedynie rozwiązany być może, pominąć go nie można. Kwestye ściśle polityczne, zmałyły, stały drugorzędne, zależne od każdorazowej klęski danej grupy rządzących, kwestya socyalna zawładnęła wszystkimi umysłami. Narodził się sfinks i odtąd rósł z dniem każdym, cieleciem swoim zaćmiewając słońce, głową sięgając wysoko ponad ziemię.

XCV.

Tylko uwzględniając ten fakt, można zrozumieć, czem był dzień 15 maja. Inaczej na pierwszy rzut oka wyda się prostą manifestacją, teoretyczną zresztą, na rzecz Polski.

Polska, była powodem ogólnie znanym, wszyscy o niej krzyczeli, w jej imię tłumy się gromadziły, chciały rewindykować jej prawa istnienia. Masa robocza, owa armia bezbronna, czarna, płynęła ulicami zatrwożonego Paryża przebywającego jedno z najokropniejszych przesileń handlowych i przemysłowych, szła na Zgromadzenie Narodowe, które wzbraniało się przyjąć petycyi. Tłum chciał odzyskać siłą zaprzeczone mu prawo inicjatywy,

prawo stawiania żądań i z prawa tego chciał uczynić użytek na rzecz narodu gnębionego. Kto patrzy jeno na to, co mu się bezpośrednio przed oczy nasuwa, zdziwi się niewątpliwie, że ci, którzy mieli tyle najniezbędniejszych spraw własnych rozwikłać, tracili czas na interweniowanie w sprawie Polski, że domagali się wielkiej, europejskiej wojny, mającej na celu przywrócenie państwowości narodowi rozdartemu na trzy części. I stąd to zrodziły się zarzuty, że demonstracya ta, mająca cechę kosmopolityczną, była jeno czczym objawem bezpożytecznej sympatyi, jakąś wprost bezrozumną awanturą.

Ale tak sądzić mogą jeno ci, co nie pojmują rzeczywistego znaczenia 15 maja. Zapał jaki ogarnął masy, był symptomem ważnym i znamionym dla najbliższej przyszłości. Tkwiło w tem wspomnienie wielkich wojen republiki i cesarstwa, przejawiała się idea międzynarodowa, lud zdrowym instynktem odczuwał jaką jest rola Francyi w Europie i czuł potrzebę zwiększenia terytorjum rewolucyą objętego. Sentymentalny ten epizod mógł stać się ważnym i koniecznym etapem w uzyskaniu jedności Europy i całego cywilizowanego świata.

XCVI.

A teraz przypatrzmy się pochodowi. Zaczynał się na placu Bastylli, tam był punkt zborny, i wzrastał po drodze. Uroczysty był i poważny, nic nie zakłócało porządku. Płynął jak rzeka do Madeleine, tam nareszcie rozlał się w jezioro przyjąwszy w siebie liczne dopływy. Tysiącami przybywało uczestników, co niepokoiło nawet Raspaila. W przeddzień demonstracyi, Blanqui w klubie

ostrzegął przed nią i odradzał. Wieczorem, gdy nie ulegało wątpliwości, że się odbędzie, postanowiono przyłączyć się do petycyonujących. I tak się stało. Klub stanął na czele pochodu, a Blanqui solidaryzując się z nim poprowadził tłumy. Na placu Zgody utworzyło się morze, a od jego ruchliwych czarnych fal jaskrawo odbijały białe mury parlamentu. Tentent stąpania tysięcy, rozgwar zmieszanych głosów przeniknął do sali obrad. Mowca na trybunie zamilkł, posłowie poczęli się niespokojnie poruszać i wstawać z ław. Niestety już zapóźno. Nie zabezpieczono się wcale, a teraz mowy już nie było o jakichś środkach ochronnych. Generał Courtais głównodowodzący gwardyą narodową, który miał powierzoną sobie ochronę pałacu, chciał w drodze pokojowej usunąć trudności i za jego to sprawą postanowiono wpuścić wysłańców tłumu. Ale nacisk mas był tak wielki, że poczęli wchodzić wszyscy, wyłamano drzwi i jeszcze przed delegatami, niosącymi petycę zapełniły się łóże dla publiczności przeznaczone, rozwinięto sztandary i zabrzmiały okrzyki: Niech żyje Polska! Niektórzy, zręczniejsi przesadzili balustradę galeryi, spuścili się na rękach i skoczyli na dół do sali obrad.

Jednocześnie niemal otwały się drzwi boczne i w progu stanęli Sobrier, Raspail i Blanqui. Posłowie zadrżeli. Nastąpiła chwila trwogi, oszołomienia, po ogarnięciu izby nikt w pierwszej minucie nie wiedział co będzie. Wyobraźnia nasunęła obrazy straszne. Kałuże krwi, ciała wyrzucane przez okna, głowy sterczące wysoko ponad tłumy, zatknięte na ostrza lanc i żerdzi. Ale w dniu 15 maja nie popłynęła krew. Cała energia zdobywców wyładowała się w słowach samych jeno.

Przez zbitą masę ludzi przecisnął się do trybuny Raspail i z jej wysokości, wśród wrzawy odczytał pe-

tycę, a prezydent Buchez, chcąc zyskać na czasie i mieć za sobą nowe legiony gwardyi, po które posłano, wypowiedział kilka słów, niemal zgodę na żądanie wyrażających. Dziwną jest petycja ułożona i odczytana przez Raspaila. Stwierdza ona, że młoda armia wstydząc się swej bezczynności czeka jeno na znak przyzwolenia ojczyzny, by iść po święte i szlachetne zwycięstwa, wskrzesić dzieje słynnych walk cesarstwa, iść na bój i dać wolność całej ludzkości. Wzywając do zwycięskiej wojny, kończy się zdaniem: „Bóg da nam tryumf i wówczas nastanie sprawiedliwość na ziemi“.

Tłum żąda, by mówił Blanqui. Barbés pierwszy ze swej ławy poselskiej z gestem zniecierpliwienia wzywa wszystkich, by wyszli. Ale już Blanqui błady i zdecydowany, o władnięty gorączką onego wielkiego dnia, a mimo to panujący nad sobą i zdający sobie sprawę z tego co powie, wstąpił na trybunę. Ręką obciążoną w czarną rękawiczkę uczynił gest ku swym zwolennikom, potem ku wrogom i posłom. Uczyniła się wielka cisza. Przemówił.

Zrazu mówił o Polsce i ilekroć wspomniął naród daleki, znajdujący się w stanie opłakanym, szarpany przez orły Rosyi, Prus i Austryi, tyle razy zrywa się huragan oklasków w odpowiedzi. Ale po chwili Blanqui zręcznym zwrotem przechodzi do spraw innych, porzuca sprawę Polski, przypomina krwawe zajścia w Rouen, domaga się sądu nad sprawcami rzezi, amnestyi dla ofiar. Nakoniec porzuca Rouen i przystępuje do problemu pracy i nędzy, zwraca uwagę na to, że lud przez trzy miesiące cierpiał głód cały się oddawszy na usługi republice i przechodząc do spraw ogólnych zapewnia, że kwestyą społeczną zająć się poważnie trzeba, że bliskim jest czas, kiedy wszystko tej najważniejszej rzeczy

ustąpić będzie musiało. Uświadamia sobie, że na trybunę, z której przemawia zwrócone są oczy całego kraju, wie, że słów jego nie sam już klub słucha, że zapisują je skrętnie stenografowie, by rozpowszechnić po miastach, gminach, pałacach, za granicą. Stara się więc być sprawnym, rozumnym taktykiem, mężem stanu, którego wzrok obejmuje całokształt przejawów społecznych, a jednocześnie protest jego jest energiczny, śmiały. Odpowiada na ciągle powtarzane zarzuty, jakoby agitacja po placach publicznych i klubach była winną trudnościom i przełomom w handlu i przemyśle, godzi się na te zarzuty, ale dowodzi, iż nie jestto przyczyna zasadnicza, główna, otwiera słuchaczom oczy na prawdziwe, socyalne źródło owych kryzysów.

Ale przerywają mu ciż sami, których najżywotniejszych spraw broni. Wybuchają okrzyki: Polska, Polska! Mów o Polsce! Musi tedy powiedzieć, że przygodnie jeno poruszył kwestyę kapitału i pracy, że głównym na dziś problematem jest kwestya polska. Ostatnie jego słowa giną w rozgwarze, schodzi z trybuny i zanurza się we wzburzonej toni ciał ludzkich. Raz jeszcze dowódca musiał usłuchać swych żołnierzy, poddać się ich woli. Przez chwilę przelotną jeno danem mu było żyć złudzeniem, że mówi poprzez nich, wskazuje im drogę, czy jak ować losami i złą dolą, pokierować dziejami ludzkości.

Chwila ta minęła i teraz już Blanqui, jak zresztą wszyscy, sądząc, że manifestacja się skończyła, wzywa do spokoju. Demonstranci skłonny się okazują do posłuszeństwa i nawet sala w trzech czwartych się opróżnia, gdy nagle wpada nowa fala z Huberem na czele. Huber stawia znowu wszystko na ostrzu miecza, żądając, by 300.000 ludzi parami przedefilowało przed trybuną. Dyskusya została na nowo otwarta, a Barbés, który wraz

z Ludwikiem Blanc, wyszedł ze sali podczas przemówienia Blanquiego wraca i z kolei zabiera głos. Rzuca się, jak szalony, żąda, by bezzwłocznie wysłano armię na pomoc Polsce, nałożono miliard podatku na bogaczy, wycofano wojsko z Paryża i grozi, że jeśli Izba nie uchwali tego ostatniego wniosku, ogłosi wszystkich posłów za zdrajców i wrogów ojczyzny.

Jest kwadrans na czwartą. Nagle słychać bębny bijące na alarm. Zrywa się burza, krzyżują się interpelacje. Barbés jeszcze bardziej rozgorączkowany wdiera się ponownie na trybunę i pyta kto rozkazał bić w bębny na alarm. Żąda, by sprawcę ogłoszono zdrajcą, wrogiem ojczyzny i wyjęto z pod prawa. Warkot bębna zbliżył się, potem zwolna przycichł w oddali, a równocześnie ktoś powiadomił prezydenta, że byle trzymał się w tym chaosie przez kwadrans, gwardya narodowa przybędzie i położy wszystkiemu koniec. Za chwilę pojawił się na sali czerwony jakobiński sztandar przewiązany czarną krepą, a Huber dwukrotnie z trybuny wśród krzyków oznajmił, że z woli ludu rozwiązuje Zgromadzenie Narodowe.

To sprawę zakończyło. Posłowie zaczęli wychodzić, manifestanci także, zdawało się, że masa teraz ruszy na ratusz, gdzie trzeba będzie jeno wyrzucić przez okno akta rządu, by stworzyć nowy rząd prowizoryczny. Wszyscy niemal wyszli, tak, że gwardya narodowa, przybywszy o trzy kwadransy na piątą wraz z drugim batalionem gwardyi ruchomej miała jeno za zadanie powyrzucać ze sali obrad i z galeryi kilku spóźnionych demonstrantów dyskutujących najspokojniej o tem co zaszło. Niebawem powrócili posłowie, otwarto na nowo posiedzenie, ale na to jeno by je formalnie zamknąć. Uczynił to Lamartine, a potem na czele gwardyi ruszył do ratusza.

W ratuszu tegoż wieczora aresztowani zostali Barbés, Albert, Borme i Thomas. Sobriera przychwycono w Café Orsay, Raispaila w mieszkaniu syna. Aresztowano również i zaskarżono generała Courtais głównodowodzącego sekwańską gwardyą narodową. Huber zaraz po aresztowaniu wypuszczony na wolność, zniknął z widowni. Wogóle tego dnia aresztowano przeszło czterysta osób. Izba wydała sądom Barbésa i Alberta, nie zgodziła się natomiast wydać Ludwika Blanc. Caussidière złożył mandat poselski i podał się do dymisji ze stanowiska prefekta policji. Blanqui nie pojawił się w ratuszu, znikł i przez dwa tygodnie nie wiadomo gdzie się podziewa. Rozkaz aresztowania go podpisali 22 kwietnia wszyscy członkowie rządu tymczasowego z wyjątkiem Alberta i Ludwika Blanc. Cauler w pamiętnikach swoich opisuje na jakie trudności natrafiano w poszukiwaniach za Blanquim. Nie mogła go policja znaleźć, choć mieszkał u Flotta, przy rue Boucher, a każdej nocy czuwali nad jego bezpieczeństwem uzbrojeni klubiści. Dopiero przekupstwem i zdradą dowiedziano się gdzie chodzi i przebywa. Aresztowany został 26 maja przy rue Montbolon 14, podczas gdy obiadował z Flottem i Lacambrem. Prosił jeno, by mu pozwolono skończyć jeść, uściśnął dłonie przyjaciół i poszedł z agentami.

W ten sposób, jak rząd sądził, wszystkich przywódców przyłapano, a organizację rewolucyjną zniweczono.

XCVII.

Winowajców osadzono w Vincennes. Ale w czasie od aresztowania ich, do dnia stawienia przed sąd zaszły ważne wypadki na widowni politycznej.

Przedewszystkiem czerwcowe rozruchy i fatalny upadek rewolucyi, która przedwcześnie wybuchła... pochód ulicami Paryża 50.000 bezbronnych nędzarzy, bunt głodnych, i kwestya pauperyzmu rozwiązana strzałami i upustem krwi. Była to najokropniejsza jaką historia pamięta walka dwu klas współżyjących dotąd, walczących razem za różne ideały. Data ta znaczy wiek nowy, stanowi erę nową. Odtąd istnieje pośród ludu stronnictwo wrogie, nie dbające o hasła, o formuły republikańskie, o patetyczne napisy na pomnikach i aktach publicznych, o jakiegokolwiek zmiany form rządu. Wśród dziecinnej ludności i łatwowiernej, której wystarczają chimeryczne proklamacye ciągle powstających i padających republik, ciągle mgliste frazesy, o trwającym jakoby wiekuiście braterstwie ludzkim, jawi się i na tej glebie kiełkować poczyna realny, konkretny socjalizm, który się domaga dla każdego człowieka praw do życia, warunków rozwoju fizycznego i umysłowego. Z zamętu czerwcowego wyłoniło się owo twierdzenie kategoryczne, rozbrzmiał potężnie głos instynktu, rozplomieniły się serca żądzą prawdziwej, istotnej sprawiedliwości. Tłum anonimowy co walczył i przegrawszy zapadł na nowo w cienie nie miał ni przywódców, ni programu, a nikt z tych, co przeciw niemu toczyli bój, nawet wielcy poeci, nawet ludzie, którzy mogli stanąć na czele mas i przyspieszyć świt nowego jutra, ci nawet nie wiedzieli: „Czego chcą oni“, co stargawszy cugle niewoli porwali się na bieg szalony, ku nieosięgalnemu, a tak realnemu jednak prawu życia. Wszyscy myśleli, iż to rewolta marnych kreatur, niezrozumiały ryk dzikich ludzi. Nikt [nie rozumiał, że nędzarze pałali żądzą wydobycia się z ciemności, że zwierzęcym wrzaskiem, domagając się krwi i śmierci wyrazić usiłowali swe pożądanie słońca i nadzieję szczęścia.

Jakże można było kierować taką rewolucją? Nikt nie przywoził tej armii idącej pod sztandarem śmierci, nie dyktował żywiłowi formuł wybuchu, ni wodza tam nie było, ni komitetu rewolucyjnego. Każda dzielnica sama z siebie dostarczyła swego kotyngentu, ludzie jednego zawodu utworzyli pułk i pułki te walczyły zaraz na miejscu u drzwi domów i pracowni. Organizacja przyszła sama z siebie i bez żadnych wysiłków. Najśmielsi, najbardziej zdecydowani, bez głosowania, bez wyboru, ni protekcji zostali kapitanami tej armii nędzarzy. Z mozołem szukając pośród rumowiska faktów historycznych, ledwo gdzieniegdzie napotkać można na jakieś nazwisko, obojętne zresztą dla całokształtu rzeczy. Znamy paru z tych, co zwoływali ludzi, kierowali marszami i dawali rozkazy ze szczytu barrykad. Na przedmieściu Poissonnière jawi się Legenissel mowca klubowy, Benjamin Laroque literat w okręgu Saint Lazare. Powroźnik Voisambert przywozi w rue Planche-Mibray, a mechanik Barthélemy w rue Grange-aux-Belles. Na przedmieściu Saint-Antoine odznaczyli się Pellieu, Marche, Delacollonge, na placu Wogezów mechanik, Racarri w ulicy Thorignych, księżę Fouchecourt, dawny gwardzista królewski, w rue de Jouy, Touchard, dawny montaniard, w dzielnicy Saint Paul, kapelusznik Hibrunit... a w końcu przy barrière d'Italie lokator bez zajęcia, Lahr, były artylerzysta i Wapereau, handlarz koni.

Oto nazwiska. Nie mówią nic. Bezimienny bohater, to tłum spragniony życia. Trudno go określić. Jasnych konturów niema, ani czasu swej egzystencji na ziemi, ani nawet w grobie, wspólnym dole pełnym ciał, jakiegoś podobny żałobnemu korowodowi szaleńców, co z pieśnią rozpaczy dąży ulicami miasta-olbrzyma bez celu, bez nadziei. Oto co się ujawniło w rewolucji czerwcowej i już nie zniknie nigdy, z powierzchni ziemi.

XCVIII.

Przywódcy niedawni a teraz ofiary, ludzie, którzy znali formułę rewolucyi, mieli w duszy tragedję rozruchów, klasycy ulic i placów, nie mieli żadnego, ni pośredniego, ni bezpośredniego udziału w zajściach czerwcowych. Zamknięci w Vincennes, wysilali jeno napróżno myśli, wolę swą radziby byli posłać poprzez mury, tam na pole walki, ale nie wiedzieli nawet dobrze co się dzieje. Trudno o ściśle wieści w więzieniu. Natężywszy słuch, rozeznąć mogli jeno szmer głuchy, płynący od strony miasta, ale wnet i ten odgłos znikł wśród rozłogów równi, a więźniom pozostało jeno poczucie bezsiły i świadomość, że znowu jeden wielki okres walk o wolność zamknięty został tym wybuchem, że nastąpi teraz rzeź winnych i niewinnych, a oni sami zostaną skazani na ponowne wytrącenie z pośród żywych.

Nazwiska ich wspominano jednak. Przez cały ów tragiczny tydzień oczekiwano Barbésa, rozeszła się bowiem wieść, że uciekł z więzienia. Żałowano też Blanquiego, żałowały go gorzko masy wierzące instynktownie w jego zmysł organizacyjny, a i on wzajemnie opłakiwał, że traci sposobność wyładowania energii. Nie zablizniona była jeszcze rana po ciosie skrytobójczym Taschereau, a teraz czuł, że nadchodzą czasy ziszczające mieszczańskie ideały, że w zupełności zatracone zostaną zdobycze roku 48. Miałby być co mścić, gdyby ponury i nieugięty mógł stanąć na czele armii desperatów i straceńców. Ale przeznaczenie chciało, by cały zapał i oburzenie, które tlały w jego duszy, poszły na marne. Do celi zamku w Vincennes, gdzie był zamknięty dobiegło jeno echo kanonady, i huk gromów ostatecznej katastrofy, a niby pomruk dalekiego grzmotu burzy letniej nad-

płynął i zaszemrał w liściach drzew parku odwiecznego, pogłos upadku przedmieścia Saint-Antoine. Więźniowi wolno jeno kasać własne, bezczyenne ręce. Skazany jest na bezruch i milczenie i wyjść ma stąd wraz z innymi dopiero w marcu 1849, by stanąć w obliczu trybunału sądowego „la Haute-Cour de Bourges“.

XCIX.

Trybunał ów który sądził obwinionych o rewolucję 15 maja został ustanowiony w listopadzie, to jest w sześć miesięcy po inkryminowanej sprawie. Jak z natury rzeczy wynikało, był to dorywczy wymiar sprawiedliwości i w samej zasadzie gwałtem było, iż przedłożono tej instytucji do rozstrzygnięcia delikt daleko starszej daty. Ale próżne były reklamacje oskarżonych, żadnego rezultatu nie dały narady i dyskusje prawników. Zresztą na widowni politycznej zaszły wypadki udaremniające wszelką opozycję. Lud w czerwcu zmuszono do milczenia, Ludwik Napoleon był prezydentem republiki, a w powietrzu wisiała zmiana formy rządu. Każdy czuł, że nadeszły czasy nowego cesarstwa. Sumienia sędziów nie mogły tego wszystkiego nie odczuć i żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, ani z winy oskarżonych, ani z samego tekstu prawa, które zmienić mógł dzień następny. Otwierało się szerokie pole dla interpretacji, zwyciężeni zaś, w tych warunkach mniej, niżli kiedykolwiek mogli liczyć na ludzkie traktowanie.

Jaką będzie rozprawa, łatwo było można z góry przewidzieć... nasamprzód historia rewolty 15 maja, opowiadana przez dwudziestu ludzi od początku do końca, z tysiącem przeróżnych zmian, najsprzeczniesze dane

co do powodów jej samego przebiegu i skutków, dalej korowód świadków dowodowych i odwodowych, wyścigi retoryczne adwokatów, prokuratora i prezydenta, dyskusya polityczna oskarżonych ze sędziami, chaos słów, których tragizm miesza się z komizmem wiekuistej głupoty ludzkiej... oto wszystko.

Blanqui i Barbés pobledli, wychudli, to skutek dziewięciomiesięcznego więzienia. Ale energia ich budzi się ze snu w zetknięciu ze sędziami. Dobry, mądry i zdolny polityk Raspail mówi spokojnie, z umiarkowaniem, widocznem jest, że radby godzić, łagodzić i jak najkorzystniej dla współwięźniów zeznawać. Ubrany ceremonialnie we frak przypomina majestatycznego, uczonego i wymownego aptekarza...

Mówi: „My filologowie“... a potem: „Jeśli panowie osadzicie, zem ubliżył republice, rozkażcie, by przyniesiono ołtarz wolności! Chcę w płomienie tlejące na nim włożyć tę oto rękę. Niech spłonie, jeśli sprzeniewierzyła się w czynach nakazom mojej woli. Tak uczynię i błogosławić was będę za wyrok“.

W śledztwie zeznaje: „Kwestya polska, jest mi sprawą poniekąd osobistą“. Ale prawdziwa jego werwa i dowcip południowca przejawia się gdy może złośliwie wmieszać do rozprawy medycynę i lekarzy. Opowiada, że został aresztowany w mieszkaniu syna swego przez legion medyków.

„Patrzmy — mówi — przez okno i oto widzimy 10-ty legion naszej zacnej gwardyi narodowej, jak panowie wiecie składający się niemal całkowicie z bohaterских uczniów Eskulapa.

„Wsadzono mnie do doróżki — mówi dalej. — Patrzę, a tu na koźle siedzi lekarz“. Jakiś świadek oświadcza, że jest lekarzem, a Raspail zwraca się doń zaraz:

„Nie umiem znaleźć słów, by panu doktorowi wyrazić całą wdzięczność za gotowość, z jaką porzuciłeś swą cenną praktykę, w celu złożenia zeznań przeciwko mnie“.

Barbés jest oburzony, śmiały, oskarżenie traktuje z pogardą, posiada wszystkie zalety demokracji, ale niestety niemożliwie dużo gada i przeważnie na wiatr. Na początku audyencji oświadczył, że odmawia odpowiedzi na wszelkie pytania, nie miesza się do dyskusji, a mimo to ciągle wplata niezmiernie długie mowy, bezdennym przesiąkniętym retoryzmem. Na ogół z jego gadaniny wynika, że dlatego wziął udział w manifestacji, by nie pozwolić Blanquiemu kierować nią wyłącznie. Dnia 14 maja w mieszkaniu Ludwika Blanc dowodził, że koniecznym jest przeszkodzić Blanquiemu i zmniejszyć w ten sposób rozmiary i doniosłość manifestacji, do której masę prą instynktownie. Dnia 15 maja ostentacyjnie wychodzi z sali obrad parlamentu podczas przemówienia Blanquiego.

Blanqui przyjął wyzwanie, kilkakrotnie wstaje, przemawia, odpiera zarzuty, wogóle w imieniu wszystkich obwinionych stawia czoło prokuratorowi.

„Blanqui (Ludwik August) lat 42, publicysta, urodzony w Nizy (Sardynia), zamieszkały w Paryżu, rue Boucher l. 1“. Oto co figuruje w akcie oskarżenia na czele spisu winowajców. Człowiek ten blady jest teraz, wynędzniały, włosy ma krótko ostrzyżone, a rudą przyściętą brodę okrywać zaczyna siwizna. Wygląda na starca, ale bystrej jego uwadze nic nie ujdzie, w dyskusji jest ścisłym, nieubłaganym. Zaczyna od wniesienia zażalenia w sprawie braku wszelkiej łączności w przytoczonym materiale dowodowym, potem zwraca się do świadków, zmusza ich do zeznań, otacza siecią pytań, prowadzi do

sprzeczności. Ciężkie chwile przy tej okazji mają restaurator Dagneaux i prefekt policji Carrier. Zbija z tropu prezydenta rzucając mu ostre odpowiedzi na jego insynuacje, mówi gwałtownie, kryjąc się jeno tam, gdzie przekracza wszelkie granice, w mgłę ironii, a w następnej zaraz chwili ciska gromy w przeciwników, silnym, spokojnym, ostrym głosem, jakby trafnyymi rzuty miazdząc ich w proch. W chwili, gdy ma stanąć do zeznań nowy świadek, prosi bardzo przewodniczącego Berengera, by polecił swym świadkom, zaraz z początku mówić istotną prawdę, a pomijać prawdy, których ich wyuczono w przedśionku sądowym, wreszcie podkreśla zeznanie pułkownika dragonów Goyona, tymi słowy:

„Słyszeliśmy tedy panowie wykład teoretyczny sztuki mordowania więźniów“. Dreszcz wstrząsa słuchaczami, gdy udowadnia, że Huber jest agentem policji i, że odegrał poleconą sobie rolę prowokatorską rozwiązując Zgromadzenie Narodowe, dalej że Borme, ów pozorny dekadent i fantasta jest zausznikiem Ludwika Napoleona, a jego klub stanowi legion pogotowia kontrrewolucyjnego i jest na żołdzie pretendenta. Dotyka w ten sposób niemiłosiernie bolączki, wskazując kto skorzystał właściwie z 15 maja, z rewolucji, której opierał się z wszystkich sił. W wymownych słowach odkrywa tajne przejścia, kędy ku swym celom przeciska się bonapartyzm i mówi głośno, pierwszy, kto kierował właściwie wybuchem. Ale wszystko to poniekąd zwiększa winę samego Blanquiego. Człowiek, tak dobrze zdający sobie sprawę z najbliższej przyszłości nie powinien był nledz sugestii i nie grać 15 maja roli mimowolnego sprzymierzeńca cezaryzmu. Lamartine, poeta, jaśniej patrzył na rzeczy, snadź przeczucia jego wyraziściej mu się przed oczyma rysowały na tle nienawiści, jaką pałał

do Napoleona. Pod sam dopiero koniec przemówienia podejmuje Blanqui swoją obronę. Opierając się na prawie i istotnym sensie ustaw, nie boi się sądu nad sobą, choć złość ludzka w akcie oskarżenia zrobiła zeń jakiegoś djabelskiego maniaka konspiracyjnego. Obrona Blanquiego podobna jest raczej do śledztwa prowadzonego przez prokuratora rewolucyi. Oto wyjątek:

„Stałem zawsze w pierwszym szeregu, a jednak ciosy padające nie trafiały we mnie. Stałem z twarzą obróconą ku wrogom sprawy ludu nie odpowiadając na pociski, a pociski te dla mnie przeznaczone, poprzez moją osobę padały w samo serce rewolucyi. Oto moja obrona, w tem leży mój honor, i to uczucie które mi dziś duszę napełnia, poczucie obowiązku spełnionego wśród najstraszniejszych warunków i doświadczeń życiowych, ze spokojem i wytrwałością. Niedługo nadejdzie dzień spełnienia owych, dziś zamglonych i dalekich ideałów, dzień wielkiego rozczarowania dla was panowie, a chociaż słońce wschodząc dnia onego oświeci jeno kazamatę, w której głębi konał będę może... cóż to znaczy? Wszak więzienie było dotąd przez lat 12 mojem mieszkaniem. Wywabiła mnie zeń zwycięska rewolucya... teraz gdy padła zgnębiona wracam do mrocznej celi“.

Stwierdza upadek rewolucyi, zgadza się na oczekujący go los. Potem prostuje się, oczy jego rozbłyskują ogniem i Blanqui donośnym głosem rzuca klątwę na zwycięzców, wykazując korupcyę ludzi, stojących u steru, kwalifikując cały rząd jako bandę rabusiów, żyjącą z oszustw, kradzieży, wszetecznictwa. Mówca zapowiada, że jak z jednej strony zamarło sumienie, a pozostała jeno gorączka nżycia, tak z drugiej skończyła się cierpliwość i pałacy jań nędzy doprowadził tłumy do rozpacz. Nastął czas ogólnego zamętu, czeka nas niebawem

chaos zupełny i klęski niezmiernie, jeśli nie przystąpimy do zasadniczych reform społecznych. Blanqui podobny Jonaszowi woła: „Jeszcze dni czterdzieści, a porażę Niniwę ogniem. Jeno w pokucie jeszcze ocalenie, Niniwe przywdziej wdowie szaty, głowę posyp popiołem, albowiem zmógł się nad tobą gniew ludu, a wnuki mogą nie znaleźć fundamentów twych gmachów przepotężnych!“

„Jakaż zmiana nastalaby w całej umysłowości narodu, gdyby rząd nagłym ruchem zmiotł całe to robactwo, łązące po społeczeństwie, gdyby usunął chciwość z całej hierarchii urzędniczej, wykorzenił cynizm, a nauczył gorliwości i poświęcenia, gdyby przedajność ustąpiła miejsca uczciwości i bezinteresowności, gdyby urzędy publiczne przestały być ohydniemi synekurami, i przemieniły się w placówki, gdzie stoją strażę wierne.“

„Przykład dany z góry działa pewnie i szybko. Wstrzeмиęźliwość i surowość obyczajów mogłyby równie dobrze być zaraźliwemi, jak korupcya. Za inicjatywą klas rządzących objąćby mogły całe społeczeństwo.“

Potem przechodzi do dyskusyi i nagle wraca mu humor. Krytykuje manifestację 15 maja i tłumaczy, że tłum rewolucyjny nie jest pułkiem, który słucha rozkazów, ale żywiołem, który wolę swą narzuca.

„Ale dodać tu muszę jeszcze jedno. Pan prokurator przedstawił mnie łaskawie jako manekina. Ponoś wbrew własnej woli poszedłem na czele tłumy, bezwolnie wkroczyłem do sali obrad, wstąpiłem na trybunę, a wkońcu bez własnej chęci wypowiedziałem długą mowę. Jestto bardzo dowcipne, ale zarazem niema sensu. Być może, że działały tu i inne względy, ale mówiłem z najzimniejszą krwią i za słowa me biorę odpowiedzialność. Polityk szybko orientuje się w sytnacyi i wie co ma począć, gdy uczuje jeno stopnie mownicy pod nogami. Tak się

stało i ze mną i mimo, że wokoło działały się głupstwa, ja głupstw żadnych nie mówiłem i nie uważałem ich za stosowne mówić“.

Podkreśla dalej charakter niewinny demonstracyi, zapewnia, że gdyby miano naprawdę obalić rząd i parlament, inaczej wzięto by się do rzeczy, że on i jego towarzysze, mający pewną wprawę w urządzaniu rozruchów i konspirowaniu, nie pletliby przez trzy godziny andronów, ale na ostro się wzięli do roboty.

„Wiemy jak się to robi!“ — woła. I zaraz rozpoczyna wykladać teorię obalania rządów, opisuje, jak się wylamuje drzwi, wkracza do sali obrad, wypędza posłów, z wyraźną rozkoszą kreśląc obraz tego wszystkiego co stać się mogło.

C.

Dnia 2 czerwca, w ostatni dzień rozprawy nastrój się zmienia. Komizm, jaki chwilami przebiegał wśród zeznań, wynikał z sytuacji, ustąpił miejsca tragedji. Wybuchają tłumione z dawna nienawiści, rozbrzmiewają obelgi, kłatwy. Przewodniczący zwraca się do Blanquiego z zapytaniem, czy ma coś jeszcze nadmienić ku swej obronie, po replice prokuratora generalnego Barocha, który pod koniec rozprawy dnia poprzedniego przedstawił szczegółowo całą jego działalność polityczną.

Blanqui powstał i rzekł:

„Nie potrzebuję wychodzić z tej sali i szukać poza jej murami dowodów, na to, że nienawiść zaciekle ściga mnie. Wydano mi wojnę, wrogowie moi skupili się pod czarnym sztandarem. Walka wre na śmierć i życie“...

Przewodniczący chce mu przerwać.

„Nie przeszkadzaj mi pan mówić!“ — woła Blanqui

i ze swego punktu widzenia oświetla dzieje 12 maja roku 1839. Gdy uczynił wzmiankę o Barbésie, tenże zadrżał i krzyknął: „Nie mów pan o mnie!“. Blanqui ciągnie dalej, rozpłomienia się i oświadcza, że wiadomy dokument Taschereau został sfabrykowany na radzie rządu tymczasowego.

Przewodniczący ledwo mógł się końca doczekać, zaraz też z pośpiechem udziela głosu Barbésowi, a współobwiniony, towarzysz broni wstaje i poczyna oskarżać. Zdaniem jego Blanqui jest winnym, ale nie nazywa go po nazwisku, zadawalniając się jeno frazesami jak: „Zrobiono to a to... podobno... jeden z współoskarżonych moich... pewien osobnik... Słuchający tego wszystkiego Flotte krzyczy na Barbésa: „Upadlasz się pan!“, a Barbés reaguje obelgą: „Tobie także mam coś powiedzieć mój panie! Jesteś pachółkiem pewnego indywiduum, a chcesz wmówić we wszystkich swój republikanizm. Na to Flotte: „Czekajno pan, czekaj, już ja cię zdemaskuję!“

Takie i tym podobne wykrzyki rozlegają się po sali, aż Blanqui musi interweniować, stawić czoło roznamietnionemu Barbésowi.

Mówi, a w zwiezłych jego słowach czuć, że chce panować na sobą i nie da się unieść, oddech jego krótki, na czoło występuje pot kroplisty. Niezmiernie przykra jest ta sytuacja, ta walka współwinnych w obliczu wspólnych wrogów, ale zarazem niezmiernie ciekawą jest konfrontacja dwu tak różnych indywidualności. Zwróceni są do siebie, siedzą blisko na jednej ławie, jeden czuje oddech drugiego, a oczy obydwu miotają ciosy zabójcze. Któżby przeczył Barbésowi, że zachowuje się jak przystało na bojownika i męczennika wielkiej sprawy, traktuje sędziów z góry, mówi wybornie. Radziibyśmy jeno, by był mniej dogmatyczny, bardziej ludzki, by ten od-

ważny człowiek był sprawiedliwszym. Nie wszystko załatwia się wyklęciem, nieomylność nie jest właściwością człowieka. Kiedy się po latach bada popielisko faktów historycznych, nie należąc ni oficjalnie i uczuciowo do żadnego z współczesnych stronnictw, gdy się widzi, jak ci wszyscy biedacy walczyli, cierpieli, znosili prześladowania, trudno zgodzić się na tę łatwość sądzenia, jaką się odznaczał Barbés, na jego ekskluzywność i gorączkę. Trudno wprost wymódl na sobie wyrok potępienia na Blanquiego wobec takich marnych, zgoła niedostatecznych dowodów.

Owa podejrzana szmata Taschereau miałażby być wystarczającym motywem doraźnego potępienia człowieka który przecierpiał już dwanaście lat więzienia, a teraz na nowo Bóg wie na jak długo miał zniknąć ze świata żywych? Cóż za okropna, coś za ciasna polityka! Jestto barbarzyństwo godne najciemniejszych sekciarzy wieków średnich, bezmyślność zaciekłości, co zapominać każe o idei i rzuca ludzi na ludzi, by się pozagryzali na śmierć.

Nie ulega wątpliwości, że Barbés poświęcił wszystko, oddał od razu, bez wachania sprawie swą przyszłość, pieniądze, spokój, życie umysłowe, widoki szczęścia rodzinnego, swobodę osobistą, działania, wolność, zdrowie, to znaczy oddał życie... ale pamiętajmy, że i Blanqui złożył na ołtarzu w ofierze to samo.

CI.

Pogodził ich wyrok jednaki i dobrze się stało. Znacznie przystojniej im cierpieć razem jak toczyć bój w obliczu sędziów. Mimo protestu Lamartina, człowieka bez-

stronnego, uczciwego męża stanu, który nie chciał uznać za wynik spisku wypadków 15 maja, a jeno traktował je, jako instynktowną manifestację skrajnych partyj, którą wywołała poprostu sytuacja, mimo takiegoż protestu, podobnie nawet brzmiacego, który złożył Ledru-Rollin, gdzie z logicznie zszeregowanych faktów i ich następstwa wyprowadzony był zgoła inny wniosek, a przede wszystkim jasno było udowodnione, że właśnie dopiero owo bicie bębnow na alarm nasunęło manifestantom myśl rewolucyi i ustanowienia nowego rządu, mimo to wszystko zapadł wyrok zasądający. Barbés i Albert, wobec obciążającego faktu, że byli posłami, skazani zostali na deportację, Blanqui na 10 lat cytadeli, Sobrier na 7, Raispail na 6, a Flotte i Quentin na 5 lat więzienia.

Jednych, a pośród nich Barbésa wywieziono na Belle-Ile-en-Mer, inni, wraz z Blanquim zostali osadzeni w Doullens.

CII.

Doullens, gdzie uwięziono skazańców procesu w Bourges leży w departamencie Sommy. Cytadela została zbudowana w XVI. wieku. Dochodzi się do niej długą ulicą białą, zimną, która przechodzi zwolna w drogę, wznoszącą się ku górze, ujętą w żywopłoty ostrokrzewu. Naprzód ukazują się oczom fortyfikacye i dopiero gdy się minie wielki most zwodzony, wyrastają, jak z pod ziemi budynki. Przeważnie zbudowane są z cegły, a barwa ich różowa, wypełzła, o tonach liliowych charmonizuje z zielenią wysokich topol i trawników.

Budynek główny otaczają inne, niegdyś rezydencye pańskie, koszary wojskowe, wysokie i niskie, stare i nowe, a środkiem biegną uliczki wąskie, tu i owdzie zaułek

bez wyjścia, słowem dziwnie to smutny konglomerat, kędy żyją, chodzą i pracują więźniowie. W takim to otoczeniu spędził Blanqui dziewiętnaście miesięcy. Poznał wszystkie podwórza, zakamarki, trawniki i mury, ale z jednego jeno punktu mógł widzieć co się dzieje na zewnątrz, z najwyższego terasu cytadeli, gdzie wzdłuż zębatach blanków snuły się bezustannie straże. Stamtąd dojrzeć mógł drogę, którą tu przybył i którą kiedyś mógł wrócić do świata, dalej, na drugim planie samo miasto, zbiorowisko śpiczastych dachów, barwy stalowo szarej i czarnych kominów, przetykanych tu i owdzie kępami drzew, po których rozeznawał pory roku, kilka małych stawków, zamarzłych w zimie, domki mieszczan, otoczone powycinanemi w deseń gazonami, na których mieniły się tęczowo grządki z kwiatami, wreszcie długie, proste linie topól, aleje kasztanowe, sterczące ponad szczyty dachów dwie wieże, jedną kończystą, drugą zakończoną kopułą i fasadę kościoła, zbudowanego z cegieł, na którym widniał zegar. Byłem raz w Doullens i poznałem owo odosobnienie na jakie skazany jest tam człowiek, widziałem spokojnie wznoszące się w górę dymy, obojętnie, martwo patrzące okna, roztrąpnie trzymającego się na uboczu miasteczka, ukołysanego monotonią życia codziennego. Blanqui wiódł wzrokiem za latającemi ponad łąki wronami, słyszał, jak spadają z murów kamienie w głębokie rowy więzienne i pojał, jak nienublagalnym jest obrót skazówek tego zegara, znaczących miarowe następstwo godzin, w ciągu których nic się nie dzieje.

Ale tam właśnie, w środowisku, kędy życie zda się bezcelowem, mimo prześladowań, dyskusyj, często pogróbek i klątw codziennych, Blanqui snuje dalej swe myśli i notuje je w zeszytach. W Doullens powstały szkice krytyczne i wspomnienia o Ludwiku Blanc, Caussidièrze,

Ledru-Rollinie, dalej rozprawa o katolicyzmie i protestantyzmie, a w końcu plik związłych, źródłowych danych przeciw Robespierrowi.

Widziałem regestr w biurze więziennem, gdzie zapisany jest dzień uwięzienia Blanquiego wraz z wzmianką co do kary i winy: „Dnia 6 kwietnia 1849, dziesięć lat więzienia, wyrok trybunału sądowego w Bourges, z powodu zamachu, mającego na celu obalić lub zmienić rząd, wolny będzie 2 kwietnia 1859“.

Odnosnie do osoby więźnia znalazłem tam co następuje:

„Wiek, lat 43, wzrost 1 m. 43, włosy czarne, siwe, brwi czarne, czoło wydatne, oczy wypukłe, szare, nos orli, okrągły, usta małe, podbródek spiczasty, twarz owalna, cera blada“.

W końcu jeszcze datę i miejsce, kiedy i gdzie został przeniesiony:

„Wydany z urzędu i odstawiony do wozu więziennego, w celu przewiezienia na Belle-Ile-en-Mer, skutkiem rozporządzenia ministeryalnego z dnia 18 października, na dniu 20 października 1850 roku.

CIII.

Karetka więzienna uwozi tedy Blanquiego z północy na wschód, ku morzu i odległej wyspie. Pierwsza stacya dłuższa wypada w Auray, potem mijają Pikardyę, Normandyę, Bretanię, i wreszcie zjawia się morze. Ostatnim postojem na kontynencie jest mała stara miejscina, o krzywych małych, drewnianych domkach, skupionych nad rzeką. Teren jest tu podmokły, nierówny, domki tedy stoją chaotycznie, a całość wygląda na obozowisko,

wpół zniszczone w potyczce. Ale piękną i majestatyczną jest rzeka, snująca się ku morzu szafirową wstęgą, i pięknem jest jasne niebo, tego zakątka. W małym cichym porcie, pewnego ranka, wobec kilku ledwo ciekawych, snujących się tu i owdzie, więzień pod strażą porucznika żandarmeryi ruchomej, Lebruna wsiada na statek żaglowy i odjeżdża do nowego miejsca kary.

Przywódca socjalistyczny i oficer zbrojny od stóp dogłowy i bacznie śledzący każdy ruch konwojowanego płyną w dół rzeki, przebywają zatokę Morbihan i wydostają się na pełny ocean. Ale statek nie wpłynął do portu cytadeli, sterczącej na wyspie skalistej. Blanqui ledwo mógł dostrzedz zarysy małej osady, port, płachtę spokojnej wody basenu, prześwietlającej przez las masztów, i białe plamy żagli. Sternikowi polecono przybić w Port Fouquet na północnym wschodzie wyspy, po drugiej stronie przylądka, na którym stoi cytadela. W miarę zbliżania się, gdy statek sunie wzdłuż brzegu, co chwila ukazują się oczom nowy port, widać sylwetkę żołnierza stojącego na posterunku, tu i owdzie stare reduty porosłe trawnikami, od mchów zrudziałe i rdzy, leżące odwieczne, wielkie kule działowe i same działa porzucone. Patrząc, czujesz, że staczano tu walki krwawe, obmyślano sposoby obrony i zniszczenia jednocześnie, a fale morza niosły daleko grzmot przeciągły armat.

CIV.

Wylądowali u cypla skalnego zamykającego prostokąt Port-Fouquet. Od wody wiodła ścieżka kuta w skale. Poszli nią w górę kilkaset kroków i znaleźli się w domu

ocienionym więzami, superintendenta Fonquet, dziś należącym do kompleksu gmachów więziennych. Dom ten z podwórzem, kędy rosną wiązy, broniony murami, otoczony rowami ma wygląd pańskiej rezydencji, piękny jest i trwały choć kamienie jego okryły zielone mchy i ruda rdza osiadła na żelaznej bramie. Odrazu poznać można, że powstał w XVII. wieku. Olbrzymich jego beczkowych sklepień krużganków i wieżyc nic nie szpeci jak w Mont, zaledwie tu i owdzie nastrój psuje krata świeża w ostrołukowem oknie, lub budka żołnierza stojącego na warcie.

Blanqui zapisany został w rejestrze więziennym pod datą 2 listopada 1850 i od tej pory, przez trzy miesiące odsiadywał karę w niewielkim pokoju pierwszego piętra. Z okna swej celi mógłby dostrzedz dach, czuby drzew, kawał drogi, kilka zagonów pola, trawnik, morze i strzęp nieba. Ale wszystkiego tego jeno mógł się domyślać, odgadywać, stojąc pośrodku pokoju. Podobnie bowiem jak w Mont-Saint-Michel, nie wolno mu było zbliżyć się do okna, wychylić głowy i rąk na powiew świeżego, czystego powietrza. Pewnego dnia żołnierz strzelił do wyglądającego więźnia, który widocznie nie dość prędko wykonał rozkaz cofnięcia się w głąb celi.

Pobył w owej pańskiej rezydencji zakończył się w lutym roku 1851. Przeprowadzono Blanquiego do więzienia centralnego. Idąc, widział zdala osady podmiejskie miasta nadbrzeżnego Roseriére, ogrody i drzewa i pierwszy to raz od kilku miesięcy odetchnął pełną pierśią. W więzieniu głównem spotkał się z innymi więźniami. Było ich razem około sześciuset, a strażników i żołnierzy przeszło drugie tyle.

CV.

Trzeba minąć mnóstwo podworców, ogrodów, otoczonych małymi domkami, przejść krętych kurytarzy, by wreszcie dostać się do miejsca przechadzek, obszernej łąki, gdzie dyskutują o klęsce ostatniej rewolucyi więźniowie w godzinach wolnych od wpatrywania się w szare ściany cel. W ich życiu gorączkowem, pozbawionem wszelkiego przejawu siły w czynie, zjawienie się nowego towarzysza jest sprawą ważną. Zwycięzeni są wprawdzie, ale nikt ich nie pozbawił złudzeń, zachowali cały swój upór, wiarę, zaciętrzewienie, pośród murów więzienia trwa dalej organizacya bojowa, jak czasu rewolucyi, są tu grupy, oddziały, frakcye, rozbrzmiewają tesame hasła, tesame żyją zawiści, są przywódcy, są podejrzani. O Blanquiego kłócono się zawsze najzacieklej. Miał i tu swych wiernych stronników, odpierających zarzuty, broniących go, gestykulujących. W godzinach codziennej przechadzki bezustannie bywał tematem rozpraw dokument Taschereau. Ostatecznie Barbés, posiadający znaczną liczbę stronników, królujący nad nimi, jak władca absolutny postanowił zgotować Blanquiemu przyjęcie. Za jego ukazaniem się, z kilkudziesięciu piersi zabrzmieć miał okrzyk: „Niech żyje Barbés! Precz z Blanquim!“ Ale ukazanie się jego wywarło niezmierne wrażenie. Poznano go zaraz. I na widok człowieka wychudłego, małego wzrostu, bladej twarzy, na której błyszcząły płomienne, znamionujące niezłomną wolę oczy, cisza się uczyniła. Rzucił na wrogów i przyjaciół dziwny jakiś nrok. Szeptano jeno: Blanqui... Blanqui... Nazwisko jego podawane z ust do ust zbudziło ukryte namiętności, wyzwoliło okrzyki tłumionego podziwu. Nie padły słowa obelżywe, powitanie uplanowane nie nastąpiło. Nienawiść

zagasła na widok bladego człowieka o włosach posiwiałych w kazamatach Mont-Saint-Michel. Przesunął się jak cień, ściskając po drodze wiele dłoni, które się doń wyciągnęły, nie drgnąwszy nawet na widok zaciekłości wrogów, rąk wyzywająco skrzyżowanych na piersiach. Cicho — spokojnie, jak zawsze, poszedł zająć swą celę w więzieniu.

CVI.

Skrzydło gmachu więziennego gdzie siedzi Blanqui zwrócone jest ku zachodowi. Budynek to niski długi, przytykający jedną stroną do łąki przechadzek, a z drugiej otoczony murem, tworzącym tu zaułek bez wyjścia. Po oknami budynku leży mały skrawek urodzajnej ziemi. Morze jest bardzo blisko, ledwo pięćdziesiąt metrów odległe, słyhać je nawet, ale widzieć go stąd niepodobna. Całe terytorium tego skrzydła obiega mur, pięć metrowej wysokości, a kaźnie mają wprost na ten mur zwrócone drzwi i okna. Wtyle, poza kaźniami jest długi kurytarz, łączący cele i poszczególne części więzienia. Tym to kurytarzem chodzą strażnicy i ronty wojskowe.

Gdy się otworzy drzwi pomalowane na zielono wiadać celę. Jestto mały pokoik, zawierający łóżko żelazne, krzesło i stół. W ścianie są jeszcze drugie drzwi, wiodące do kaźni sąsiedniej. Republika tedy nie zastosowała do pokonanych przez siebie systemu odosobniania w więzieniu. Towarzyszem Blanquiego był Cazavan, student medycyny, chudy smagły południowiec, zawsze czynny i zdecydowany, który bezpośrednio po osadzeniu w więzieniu Belle-Ile, w Chateau-Fouquet usiłował uciec, ale został schwytany i odtąd zostawał pod ścisłym nadzorem.

CVII.

Blanqui zajmował celę czternastą, a Cazavan piętnastą. Obie kaźnie łączyły drzwi, tworząc w ten sposób z więzienia rodzaj pomieszkania. Zresztą nie trudno było o towarzystwo. O pewnej godzinie otwierały się wszystkie drzwi na kurytarz, a więźniowie wychodzili swobodnie, składali sobie wzajem wizyty, wolno im było rozmawiać, jeść wspólnie, czytać i palić tytoń... W celi Barbésa, pod liczbą 29, codziennie, o godzinie dozwolonej odbywało się zgromadzenie. Tytoniu było dość, rozmowa ożywiona, koleżeństwo niewzruszone. Cela Barbésa była głównym centrem politycznego życia, tam obradowało zgromadzenie, żywiące złudzenie, iż przechowuje nie-
tkniętą ewangielię rewolucji.

Blanqui nie miał wstępu do tego przybytku. Ów cień padający od afery z dokumentem Taschereau, chociaż dla najżałostliwszych wrogów niczem więcej, jak cieniem nie był, wystarczył do obłożenia klątwą człowieka, którego się zresztą i tak zawsze bano, z powodu gryzącej krytyki, jaką do wszystkiego stosował, a bardziej jeszcze z powodu dumnego i tajemniczego zachowania się. Pochwycono tedy czempredzej ów pretekst i oto klub został odrazu pozbawiony niezmiernie cennego człowieka, który był wprost koniecznym dla przeciwwagi pustej frazeologii, rozgłośnemu patosowi lekkomyślnego i próżnego Barbésa. Ale wynikało już z samego stanu rzeczy, że Blanqui musiał zawsze być odosobnionym w każdej partii republikańskiej. Wraz z wykształceniem klasycznym przejął też związane z niem tradycje i przez większą część życia pozostał konspiratorem w guście Restauracji, posługując się nawet formułami, które wówczas stanowiły hasła bojowe i były znakami rozpoznawczymi. Ale w isto-

cie rzeczy Blanqui umysłem wyprzedzał o wiele taktykę własnego stronnictwa. Pierwszy z pośród współwyznawców, odgadł, że polityka musi być nauką, podobne mieć formy jak wszelkie innych nauki, i do nauki tej położyć fundamenty z pewników społecznych. Chociaż był człowiekiem czynu, jedyny może posiadał równocześnie zmysł krytyczny, pośród falangi działaczy, którzy nie domyślając się nawet konieczności ujęcia siły w systemat, zadowalniaли się tem, że szli mężnie do szturm, w pewne dni, gdy zapal republikański wezbrał w ich bohaterskich sercach, a naiwne mózgi osłoniła krwawa mgła upojenia wojowniczego.

W takim środowisku, dużo czasu upłynąć musiało nim ktoś się spostrzegł, że Blanqui, poza przywódceniem na barykadzie i wyłamywaniem bruku zdolny jest do czegoś więcej jeszcze. Nie wiadomo, że jest pilnym i bystrym badaczem walki sprzecznych interesów, nurtujących w społeczeństwie, znawcą ludzi, spoglądających na nich z pewnego rodzaju pogardą, a więc zimnym i niedowierzającym, wreszcie uczonym, praktykiem, który zna Francję, jak znaćby ją powinien minister spraw wewnętrznych, a który zarazem, jak przystało na ministra spraw zagranicznych zna całą Europę. Toteż mimo wszystko, z bezprzykładną wiernością stało przy nim kilku ludzi, a ludzie ci wierzyli niezachwianie, że on jest właśnie owym utajonym, wielkim mężem stanu przyszłości, upragnionym, wyczekiwany organizatorem wielkiej rewolucji socyalnej. Ludzie ci zdolni byli stawić czoło wszystkiemu, a nie wszyscy byli nawet wtajemniczeni w jego plany. Wielu nie wiedząc nic zgoła, czuło cześć głęboką dla jego umysłu i ślepo ufało sile. Ale w roku 1851 nie wielu ich było w więzieniu Belle-Ile-en-Mer. Później dopiero, za cesarstwa miała się rozrósć i wzmódcz na sile

partya blanquistów, przeważną ilość członków zwerbowawszy pośród studentów medycyny dzielnicy łacińskiej. Teraz, czasu niewoli na wyspie, Blanqui żył cicho w tym dziwnym falansterze, wedle upodobania oddając się samotności, albo obcując z kilku znajomymi. Myśli jego są teraz pogodne, często bywa nawet wesoły, dowcipkuje, lub słucha conceptów, a z największem upodobaniem uprawia kawałek ziemi pod oknem swej kaźni. Sadzi tam truskawki, i chodzi po trawniku bez surduta w wielkim, słomianym kapeluszu na głowie, nieco pochylony bacznie śledzi wzrost roślin, czasem bierze się do ręcznej, wyteżającej pracy, a czasem rozmawia półgłosem z Cazavanem.

Chociaż samo zjawienie się Blanquiego obróciło wniwecz wrogie, planowane manifestacye, wiedział on dobrze, że na tem się nie skończy, że czekają go cierpienia nowe. Toteż od samego początku chcąc poznać teren, po którym mu kroczyć przyjdzie, postanowił pójść naprzeciw złemu, z najlepszą wiarą przystąpić do rzeczy, wywołać dyskusyę jawną. W tym celu uprosił towarzysza niedoli, by przedłożył Barbésowi propozycyę następującą:

Niech Barbés, w obliczu wszystkich więźniów wystąpi na rozmowę z nim. Nie wolno używać pomocy żadnych obrońców, adwokatów. Będzie to pojedynek między Barbésem a Blanquim wobec dwustupięćdziesięciu słuchaczy.

„Pilno mi — tak kończy — zerwać maskę z twarzy rzekomego Bayarda i ukazać go we właściwej postaci Tartufa, pilno mi przedstawić oczom wszystkich próżnego, zawistnego arystokratę, który przypadkiem zabłąkał się do obozowiska ludowego.“

Barbés zrazu przystał, ale potem zażądał różnych

zmian w warunkach spotkania. I Blanqui nie odrzucił zmian, ale jako człowiek ostrożny postawił ultimatum, że warunki zostaną spisane i punktacye przez obu podpisane. Blanqui miał rację. Wiedział, że w celu skapto-
wania sobie pomocników i obrońców Barbés rozdał więźniom bony, opiewające na dwa franki każdy, miał nawet jeden taki bon w ręku.

Punktacye, przedłożone Barbésowi brzmiały jak następuje:

„Dyskusya przeprowadzoną zostanie wyłącznie pomiędzy Barbésem i Blanquim, z wyłączeniem wszystkich innych. Każde wtrącenie się, każdą uwagę, jakiegokolwiek treści by była, skarci przewodniczący i uważanem to będzie, za obelgę rzuconą zgromadzonym. Blanqui i Barbés z góry potępiają tego rodzaju wybryki i piętnują je jako złe i niewłaściwe, bez względu na to, kto by się ich dopuścił. Każdy z dyskutujących będzie mówił dowolnie długo, ale raz przerwawszy, zmuszonym będzie czekać, aż przeciwnik skończy swą replikę. Wolno w ten sposób naprzemian przemawiać kilkakrotnie, a dyskutujący z góry godzą się nie przerywać sobie wzajem, bez względu na treść przemówienia. Nadzór nad dyskusją spoczywa w rękach prezydium złożonego z trzech osób. Prezydenta wybiera całe zgromadzenie, a potem jednego członka naznacza Blanqui, drugiego Barbés. Zadaniem prezydium jest jedynie utrzymywać spokój wśród zgromadzonych. Nie wolno pod żadnym warunkiem, żadnemu z jego członków mieszać się do dyskusyi, ani przerywać któremukolwiek z mowców. Jednakże gdy już obaj przeciwnicy trzykrotnie wymienią zdania, prezydium może zgromadzeniu przedłożyć do uchwały wnioski o zamknięcie dyskusyi.

Cytadela Belle-Ile-en-Mer 14 grudnia 1851“.

Warunki nie były trudne, ale choć Barbés zgodził się słownie, podpisać jednak nie chciał.

„Wolałby był — mówi Blanqui kiermasz, gadaninę ogólną. Byłby wysłał naprzeciw mnie kilku swoich adwokatów, deklamatorów, ze swej kliki. Zmuszony byłbym ucierać się z nimi, a sam Barbés z uroczystą miną, jako widz nasyciłby się widowiskiem. Ale ja chciałem pojedynku i tylko pojedynku“.

Nie udało się tedy Blanquiemu. Barbés zwołał wprawdzie zgromadzenie, ale mówiono na niem jeno o procedurze samej. Jeden z przyjaciół Blanquiego napomknął o warunkach, które Barbés w zasadzie przyjął. Barbés zaprzeczył. Fontaine i Peyra twierdzili, że przyjął, dawali słowo honoru. — Przyjąłem słownie — poprawił się Barbés, — ale nie podpisałem. Zły zresztą, że osoba jego i postępowanie poddane zostały dyskusyi zawołał wkońcu. — Niech kto idzie zawołać pana Blanquiego!

Na owo wyrażenie: „pana Blanquiego“ powstał szmer niezadowolenia i ośmiu więźniów zredagowało deklarację, w której oświadczyli, że nie mają prawa sądzić Blanquiego. Na to podniosły się także inne głosy: „I my! I my! Precz z wydawaniem wyroków! To ohydne! To wstrętne!“ Powstała wrzawa, wyzywać się wzajem poczęto, czynić sobie wymówki i wreszcie wszyscy rozeszli się zwaśnieni.

Blanqui od samego przybycia swego, to jest od listopada, miewał dla więźniów dwa razy w tygodniu odczyty z zakresu ekonomii politycznej. Właśnie nazajutrz przypadał odczyt. Zgromadziła się wielka liczba słuchaczy, przybyło też wielu robotników, a wszyscy protestowali przeciw prześladowaniu Blanquiego. Powtarzano ciągle: Burzuje chcą pognać naszych! Zawadzają im widocznie! Nie dajmy się! Wśród więźniów są teraz

dwie, wyraźne partie, oddzielili się już republikanie mieszczańscy od rewolucyjnego proletariatu, któremu przywodzi Blanqui. I ci ostatni są liczniejsi. Blanqui stwierdza to w listach kilkakrotnie, dodając, że dzięki jeno tej przewadze liczebnej swojego stronnictwa, nie został gdzieś pokryjomu zabity.

Owa próba wywołania dyskusji, jak widzimy, dała Blanquiemu spokój i bezpieczeństwo osobiste. Odtąd nie zwraca wcale uwagi na zachowanie się i czyny przeciwników. Uczynił to dopiero w swym „Manifeście do ludu“. Napisał go w odpowiedzi na prośbę Barthelemyego o toast na bankiet pamiątkowy „Société des Egaux“, który odbył się 24 lutego pod prezydencją Ludwika Blanc. Blanqui skorzystał z nadarzającej się sposobności i wyjawiał w manifeste co myśli o polityce i politykach roku 1848, opowiedział ich czyny, troski i pragnienia. Szło mu głównie o to, by się dowiedzieli Barbés i Ludwik Blanc, co o nich sądzą. Wiedział, że manifestu podczas uczty nikt czytał głośno nie będzie, zależało mu jeno na powiadomieniu spiskujących przeciw sobie. Zresztą w innej drodze manifest stał się dostępnym ogółowi. Blanqui posłał swemu szwagrowi brulion do przeczytania, a ten go opublikował. Zawrzało wśród ludzi, którzy znajdowali zupełnie słusznem, że oni napadają na Blanquiego, ale pojąć nie mogli, że napastowanemu przysługuje prawo gromić swych pogromców.

Poza tem jednym wystąpieniem, Blanqui nie spowiada się ze swych myśli, czasem jeno daje kilka oderwanych zdań w poufnych listach do przyjaciół. I tak w marcu 1851 roku opisuje z humorem zaciekleść agitatorską, politykomanie i plotkarstwo kwitnące w więzieniu. Opowiada, że Barbés, Albert i Spółka zorganizowali tutaj rząd tajny, jakby rzeczywiście stali u steru

państwa, lub jutro mieli pochwyć władzę w swe ręce. Zapędzili się tak daleko, że rozdzielają między siebie posady, stanowiska, wyznaczają sobie rangi, dzieląc się jednocześnie pieniędzmi, winem i tytoniem. Barbés jest owym rogiem obfitości, z którego sypią się dobrodziejstwa, a otaczają go przyszli dostojnicy, których obowiązkiem na razie jest kaptować zwolenników. Napastują oni wprost każdego więźnia mówiąc mu: „Czyś oszalał, że stoisz po stronie Blanquiego? Ależ on nie dojdzie nigdy do niczego, nie ma najmniejszych widoków. Pomyśl jeno, jutro wybucha rewolucya, zwycięża... i czemuż ty zostaniesz? Niczem! Barbés będzie wówczas u steru... no i całkiem słusznie pominie cię“.

Ujadanie na Blanquiego nie ustaje ani na chwilę. Wszyscy przeciwnicy codziennie nazywają go zdrajcą, utajonym dyktatorem, agentem policji Cromvella, szpiegiem, pretendentem do tronu napoleońskiego. Blanqui w liście wspomnianym pogardliwie wyraża się o Barbésie, ale widne to raczej z tonu, niż ze słów. Opowiada, że robi zawsze i wszędzie jedno, to jest i tu sieje rozterkę, podobnie jak to czynił w Mont-Saint-Michel, ściga go swą nienawiścią i oszczerstwami, co zresztą stanowi od dziecięciu lat jego specjalność, wreszcie rzuca się nań z tyłu, jak w Bourges, zapewniwszy sobie wpierw sympatyę i protekcyę „Wysokiej Izby“ i „Jaśnie Wielmożnego pana prokuratora generalnego“.

Blanqui sam się nazywa „paryasem“ swego czasu, wspomina o ścigającej go opinii, iż jest szpiegiem, wreszcie kończy zapewnieniem, że z reputacyi, jaką ma u ludzi nie robi sobie i tyle, co z mniemania, jakiego o nim miało stado dzikich byków.

Ale nie wszystkie myśli poświęca owym próżnym

dysputom. W innym liście z tego czasu, pisze do przyjaciela, któremu zmarł ktoś z blizkich:

„Ja sam nie lubię, by mnie pocieszano. Wielki ból serca gaśnie powoli w walce życiowej, chaosie wydarzeń, w tym całym rozgwarze, który nas otacza, wirze, który nas porywa i ciągnie ze sobą. Zdziwi cię to, ale zauważysz, że łyzy tve zwolna osychają, w miarę jak coraz więcej dni dzieli cię od nieszczęścia. W ten sposób ludzie i rzeczy zwolna staczają się w przepaść wieczystego zapomnienia i zatury. Bądź zdrów“.

W tym liście, wspominając swego ojca, pisze:

„Był to człowiek idealny, łagodny, łatwy w pożyciu, pobłażliwy i nieporównany filozof. Po nim mam w spadku tę odrobinę cierpliwości i rezygnacji, która chroni mnie i przy życiu utrzymuje. Zapewniam cię, że inaczej dawno bym już zmarł z rozpacz“.

CVIII.

Warunki życia w więzieniu były znośne, klimat wyspy łagodny, a już prawdziwą rokoszą więźniów była owa rozległa, usiana kwiatami łąka, roztaczająca się pośrodku wielkiego prostokąta budynków. Miała długości dwieście pięćdziesiąt metrów, a sto dwadzieścia pięć szerokości. Jakże łatwo było tam zbierać się dowolnie w grupy, albo też zażywać samotności, unikać spotkań, nie słyszeć słów przeciwnika, poszeptać z zaufanymi, albo urządzić zgromadzenie. Najbardziej hałaśliwym było stronnictwo Barbésa. Zazwyczaj zwolennicy jego, wprost z kaźni swego przywódcy udawali się na przechadzkę, gdy wybiła godzina odpowiednia i kończyli na świeżem powietrzu dysputę. Dalej, wolnym krokiem spacerowali tutaj

obojętni, nie biorący udziału w polityce, ludzie tęskniący za rojnymi ulicami, mozołem dnia roboczego i ciszą wieczorów, kiedy to wracali do podmiejskich swych domostw po dniu czynnym i ruchliwym. Z pośród zwolenników Blanquiego, część jedną stanowili sprzymierzeńcy dawni, tutaj odnalezieni, reszta, byli to pozyskani świeżo uczniowie, ale ludzie pewni, bo miał już taki talent zdybywania partyzantów, że kto go raz uznał, wiernym zazwyczaj na zawsze zostawał. Często jednak Blanqui wyraźnie dawał poznać, że pragnie samotności, więc albo przesiadywał po całych godzinach u otwartego okna, zapatrzony w jasne, czyste niebo, albo kroczył po łące szybko, zdala od innych, często stając w zamyśleniu, i potem krył się wśród drzew ogrodu, położonego na stokach cytadeli. Czasem zażywał przejażdżek. Nie wielką przestrzeń, po jakiej mu się swobodnie poruszać dozwolono, przebywał wierzchem, ubrany jakkolwiek, na osie, w wielkim, słomianym kapeluszu na głowie i wówczas, patrząc na zamysłonego wędrowca, niktby nie poznał w nim polityka, którego żywiołem jest dyskusya, agitacya i walka.

CIX.

Zdarzały się dni burzliwe. Łąka czasem, w godzinach rozluźnienia się dyscypliny więziennej, zamieniała się w forum, gdzie wśród rozgwaru deliberowano nad kwestyami politycznymi i społecznymi pierwszorzędnej wagi. W namiętnych słowach wyrażały się tu wszystkie teorye, próby, zamysły, tętniące, kilka miesięcy wstecz, rozgłosnie po klubach. Dochodziły one do Belle-Ile słumionem echem, ale umysły ludzi przyzwyczajonych do tego chwytaly je niby tuby akustyczne zwiększając sto-

krotnie doniosłość, przetwarzając w strawę konieczną, połykając żarłocznie. Myśli wszystkich zwrócone były w tym czasie na Francję, zmienioną w cesarstwo grudniowym zamachem stanu, który dla więźniów był ostatecznym zamknięciem całego, długiego okresu działalności. Uchem łowili ostatnie pogłosy zamierających rewolucyj europejskich i wydawało im się, że już teraz nie będzie prócz milczenia grobowego, że to co nastąpi we Francji, Niemczech, Włoszech, całej Europie, będzie jeno echem przeszłości, że na nic nowego, nic jasnego niema nadziei. Zdawało się, iż wybiła ostatnia godzina, a garść więźniów to resztką armii wierzących, skazana na bezwład, niemoc, stos ognia rzucony na polarny ocean nicosi po to, by wypalił do reszty i spopielał.

Mimo wszystko ci ludzie energiczni, robotnicy przedmieść, idący do niedawna w pierwszych szeregach, ciągle gotowi iść na zdobycie niepodobieństwa, nie upadli na duchu. Przeciwnie opanowała ich egzaltacja, wspomnienia przybrały olbrzymich czynów kształty, na usta ich wybiegały słowa zapału, deklamowali całe rapsody snów o szczęściu, budowali oparte na twardych, logicznych podwalinach systematów, rajskie grody dobra i piękna, piętrzyli w niebo koronkowe, drżące w powiewie wiatru konstrukcje tęsknot. Potrzeba wewnętrzna rytmu, jednolitości w ruchu, skryta na dnie każdej duszy, po burzliwych dyskusjach parła ich do wywnętrzenia bardziej harmonijnego i wówczas rozbrzmiewały śpiewy patryotyczne i rewolucyjne.

Gdy się dosyć nagadali o wszystkim możliwym, wywnętrzyli z frazesów, częstokroć naprzód znanych, dosyć naprzerywali mowcom, to jest gdy użyli sobie na złudzeniu wolności, wstępywaniu na nieistniejące trybuny, gdy już się znużyli pozorami, wówczas budziło

się w nich pożądanie silniejszego narkotyku. Śpiew chóralny dawał im poczucie, jakby biegli do szturm, jakby tyrania już leżała zmiażdżona, śpiew łączył ich silnym braterstwem tonów, wcielał w rytm kosmicznej harmonii. Ileż pieśni uleciało z okola twardych murów, ileż „Marsylianek“, „Chant du départ“, „Chant des ouvriers“ niesionych wichrem słyszały fale morza, drzewa, kwiaty i niebo.

Zwyczajnych, wolnych mieszkańców Belle-Ile, zgoła nie przerażało, że więźniowie śpiewają i mówią o pożarach, piciu krwi i t. p. okropnościach. Przeciwnie, czasu przechadzki pełno było ludzi po pobliskich drogach, a nawet blankach murów cytadeli. Słuchano wykrzyków, namiętnych przekleństw, wołania o broń, oswojono się z całą tą nomenklaturą i polubiono religię rewolucyjną, tak podobną w swych objawach, litaniiom i śpiewom kościelnym. Dla większości mieszkańców małej miejsciny, odbywających wieczorny spacer po szczupłej przestrzeni, śpiewy i mowy więźniów przedstawiały się jako regularne widowiska i koncerty. Weszły w modę. Bo i prawda. Jakże miło posłuchać. Zdaje się człowiekowi, że bierze udział w produkcjach dobrze wyćwiczonej trupy, przybyłej ze stolicy, to i owo zostanie w głowie, a potem, po kolacyi, przed spaniem można sobie pogwarzyć o zasłyszanych sprawach ze znajomymi, przy szklance wina.

CX.

Poza sprawami ważnemi, przymusowi członkowie falansteru więziennego oddawali się także rozrywkom i zabawom towarzyskim. W jednej z wielkich sal, zastępującej w czas słotny łąkę, urządzano przedstawienia

teatralne. Naturalnie pomysł i wykonanie w pierwszej linii były zasługą Paryżan. Nie zapomnieli teatrzyków ludowych bulwaru du Crimè, nie wyzbyli się sympatii dla słynnych swego czasu aktorów, a około godziny siódmej, gdy w stolicy publiczność się tłoczy do drzwi teatrów, gdy ponad stosami pomarańcz błyszczą latarnie o czerwonych reflektorach, podobne słońcom na scenie produkowanym, więźniowie czuli, że im brak czegoś. Żyłkę teatralną mieli nawet tu, w cytadeli, przeto prędko się wzięwszy do rzeczy, urządzili scenę, kulisy, podium, ławki, wystarali się o jakiś klawicymbał do orkiestry i rozpoczęli studyować role. Na pierwszym planie postawiono oczywiście sztuki, modne czasu przebywania więźniów w Paryżu. Ale trudno było dostać egzemplarze drukowane. O ile się to udało, przedstawienie szło doskonale. Gorzej znacznie wypaść musiało, gdy grano z pamięci, a aktorzy zniewoleni byli wypełnić własnym konceptem duże nieraz luki w tekście. Naturalnie było mnóstwo braków w inscenizacji, światło lamp i świec nie wystarczało, w półmroku przesuwaly się przed oczyma widzów niepewne sylwetki aktorów, a międzyakty ogłaszano okrzykiem: „Otwierać drzwi“! Z zamiłowaniem wykonywano wszystkie role, nawet najbliższe i silono się na grę, jakby widzami nie byli współwięźniowie rozbawieni, niby dzieci i skłonni do najdalej idącego pobłażania, ale jak gdyby na drewnianych ławkach siedzieli wszyscy wykwintnisie i melomani stolicy. Długo utrzymało się wspomnienie pewnej sztuki, w której „amantka“, zapomniawszy udać się naprzód do golibrody, wstępuje na scenę z większemi jeszcze wąsami, jak jej romantyczny kochanek.

CXI.

Podczas tych wspólnych zajęć i rozrywek zapominano naturalnie o zawiści i sporach. Zapominano o nich także w pewnych dniach, gdy przypadały ważne rocznice i uroczystości. Obchodzono tedy zgodnie „pełne chwały dni lipcowe“, dzień 24 lutego i opłakiwano razem wypadki czerwcowe. Wówczas odbywały się wspólne biesiady, uczty, podczas których, winem, przez kilka dni naprzód oszczędzaniem, wznoszono toasty dla żywych i zmarłych, a w mowach wspominano o pomordowanych i czyniono przysięgi pomsty. Czasem ponad głowami ludzi zbitych, niby na barykadzie w jedną, zwartą masę ukazywał się czerwony sztandar, godło buntu. Skąd się wziął, nie wiadomo, ktoś go znalazł, przemycił, czy uszył ze skrawków... dość, że zjawiał się wzniesiony w górę przez kogoś energiczniejszego. Rozwijano go także w chwili pogrzebu któregoś ze zmarłych więźniów. W takich momentach występowała na jaw cała ohyda i groza przymusowego pobytu na samotnej wyspie i bezprawie wyroku. Jakto, więc ten biedak nie ujrzy już ani swoich blizkich, ani rodzinnego miasta? A iluż z pośród tych co jeszcze żyją czeka los podobny? I podobnie, jak wybuchają nieraz namiętności tłumów, eskortujących wóz żałobny, toczący się powoli na wzgórze Pèr-Lachaise, podobnie i tu, śmierć budziła instynkty wolności, zrywała się burza, zjawiał się sztandar czerwony, a z wszystkich piersi ulatywała namiętna, dzika nuta Marsylianki. Niby eskortując zmarłego, żywi przemaszerowali zazwyczaj kilka razy dokoła łąki, pełni poczucia własnej niemocy, ironii tego dreptania na miejscu bez możliwości wyjścia poza bramę, u której stały wzmocnione stráže.

I zawsze przy takich okazjach wybuchały protesty przeciw złym pomieszkaniom, przeciw żywności. Były to rewolty dziecinne, bunt więzienne, które tłumiono natychmiast, puszczając na malkontentów wojsko, karząc celkami i odbierając zwyczajne pożywienie. Dyrektor, którego dopiero co in efigie powieszono, wlec kazał winowajców do ciemnych kazamat, piwnic zalanych wodą, skazywał on przywódców rozruchów na chleb i wodę, gromił w okrutny sposób więźniów, którzy wyrzucali jedzenie, podpalali słomę swych sienników, i innych oskarżonych o wzniecanie nieporządków i kłótni z dozorcami. Dozorcy także nie wszyscy mieli łagodne usposobienie. Pewnego dnia, jeden z więźniów został ciężko raniony motyką. W piwnicach Chateau-Fouquet rozgrywały się sceny zupełnie takie jak w kazamatach Mont-Saint-Michel. Potem znów wracał spokój i trwał czasem dłużej, czasem krócej, ale zawsze czuć było w powietrzu burzę. I trudno nawet, by było inaczej w miejscu, gdzie żyło razem tylu pokrzywdzonych, pognębionych siłą pięści prawa.

Naprawdę smutne, były jednak jeno owe zawiści dzielące pokonanych, przepaść wieczyście ziejąca pomiędzy Barbésem i Blanquim, sekciarstwo, doprowadzające do tego, że towarzysze broni sztyletowali się oczami i wzajemnie pogardzali sobą. Hańbą nadto było, wyznać to musimy, że z niskiej zazdrości, ten i ów dopuszczał się denuncyacji, zdrady, że wydawał nieraz autora jakiejś demonstracji, przywódcę buntu, lub donosił o usiłowanych próbach ucieczki. Zresztą cóż dziwnego. W każdym zbiorowisku ludzkim gnieźdzą się choroby moralne, zbrodnie i podłości, wszędzie obok bohaterstwa dostrzedz można łajdactwo.

CXII.

Blanqui czytał, robił wypiski z książek lub rozmawiał. Zawsze był z pozoru spokojny, ale myśl jego nieustrudzona, bez ustanku przebiegała świat cały z końca w koniec. Ciągłe prosił matkę, siostrę, przyjaciół, którzy dotąd wiernymi pozostali, o książki, dzienniki, miesięczniki, karty geograficzne, a lektura stanowiła całą jego pociechę. Pod tym względem był nienasycony i za pobytu na Belle-Ile pochłoniął całą bibliotekę. W tym czasie osiągnął pięćdziesiąty rok życia i teraz dopiero opanował wszystkie swe zdolności, doszedł do równowagi umysłowej, zyskał szeroką podstawę dla myśli, zdobył jasny pogląd na całokształt zjawisk i własną istotę.

Zagłębiał się w kwestye polityczne, ekonomiczne, filozoficzne, szukał z mozołem drogi poprzez gęstą mgłę metafizyki, zajmował się naukami przyrodniczymi, robił wypiski z czytanych książek, sprawozdania z nich dla siebie samego, wreszcie odpowiadał na otrzymywane liczne listy. Odpowiedzi owe, pisane do osób nadsyłających mu swe prace, są to istne recenzje literackie, obszerne, ściśle i staranne. Pisywał też artykuły do dzienników, fejetony i refleksye polityczne na temat wydarzeń, o których wieści dochodziły go listownie, lub przez „Monitora“. W liście pisanym w listopadzie, roku 1851 do obywatela Rougée, przepowiedział bliski zamach stanu. W roku 1853, omawiając grożącą wojnę krymską, i w r. 1855 pisząc o jej wybuchu, podejmuje i omawia temat napoleoński: „Czy Europa ma być republikańską, czy kozacką“.

Za pobytu na Belle-Ile pisze w r. 1852: „Stała anarchia jest przyszłością rodzaju ludzkiego“. W tymże

czasie jasno i kategorycznie oświadcza się przeciw Mazziniemu. Wogóle tutaj notuje wiele, a w zapiskach znajdujemy pośród wielu innych, następujące zdania: O tłumie: Niech inni palą przed nim kadzidło, ja mu hołdu nie złożę. Nie mógłbym czcić krokodyla... O swoim osamotnieniu: Sam z prawdą swoją, choćby wszyscy byli przeciwni, choćby mieszkaniem było nędzne poddasze, o jakże słodką jest samotność taka... O działaczach z roku 1848: Chcieli wzniecić zapal w sferze interesu, ja w sferze sumienia... Wreszcie czasu pobytu na Belle-Ile-en-Mer zajmował się Blanqui żywo astronomią, usiłował nawet dać nową hipotezę kosmogoniczną.

W ten sposób, wbrew opinii ogółu Blanqui rósł ciągle na duszy i szlachetniał w samotności. Nie mógł jednak tej opinii zmienić. W owym czasie „ma lat 51 jest szczupły i nieco pochylony“ — jak pisze o nim Hipolit Castille. Jest spokojny, w pracy odnalazł pogodę filozoficzną, nappełniło go przeświadczenie fatalizmu ironicznego, warunki wśród jakich żył uznał za niezbędne i predestynowane dla takiej, a nie innej ewolucji swej osobowości. Z jego późniejszych czynów, oraz z relacji osób, z którymi rozmawiał i obcował ciągle w Belle-Ile przekonywamy się, że właśnie tu, a nie gdzieindziej zarysował się definitywnie jego charakter, ustaliły poglądy i nabrały przejrzystości krystalicznej.

Pogoda umysłu nie miała nic wspólnego z rezygnacją. Nawykły był z dawna przemysleć każdą myśl do końca, wyzwolić wszystkie siły, więc i teraz nie zadawał sobie żadnego przymusu. Żył w więzieniu, jakby tam miał dokonać swego żywota, jednocześnie nie pozbywał się nadziei wydobycia się z niewoli, a nawet myśl ta zawsze obecna była w nim, zawsze ważna. Stawiał

ją na równi z wewnętrznym nakazem nabywania coraz więcej wiedzy.

Wodząc wzrokiem po karcie Europy, gdzie rozgrywają się losy tylu plemion, gdzie takich cudacznym nieraz dokonywała zmian dyplomacya, wymazując narody i państwa, wpisując inne, obcinając i dokładając napowrót ziemi i morza, patrząc na to, Blanqui nie zapomniał jednak o owym, małym zakątku, gdzie go los rzucił. Wystarał się o kilka książek i broszur zawierających opis Bretanii. Były tam wzmianki o Belle-Ile, znalazła się też mapka, z której, chociaż pobieżnie powziąć było można wyobrażenie jak wygląda okolica najbliższa i jak się przedstawiają widoki ucieczki. Któż wie? Może łatwiej jak mniemają wszyscy jest wydostać się z tej, pozornie tak pilnie strzeżonej wysepki. Właśnie morze, najlepsze zamknięcie mogłoby się może zamienić w wyzwolenie. Wystarcza przecież zdać się jeno na fale i wyzekać, aż się ukaże okręt angielski lub hiszpański. Fale same wyniosą zbiegów na pełne morze, w dal ogromną, gdzie niema żołnierzy, kluczników, gdzie nie dobiegnie odgłos strzału armatniego, zwiastującego, że więzień uciekł. Tak, wszystko to prawda, ale jak wykonać?

Niedługo przekonał się Blanqui, że niema co nawet kusić się o ucieczkę od strony „Pałacu“. Pobieżnie jeno obejrzał miasto i wyspę w dniu przyjazdu, ale nie trzeba było długich badań, by spostrzec, że części północnej strzeżono najpilniej, że tam koncentrował się ruch wojsk, groźnie sterczała tu w górę cytadela, czarny, długi gmach więzienia głównego, jeżyły się forty, tutaj też pełno było zawsze ciekawskich, dozorców i urzędników więziennych.

Choćby zresztą przyjąć za prawdopodobne, że właśnie ten rozgardyasz sprzyjał ucieczce, to zaprzeczyć nie

było można, że pas morza, dzielący wyspę od lądu, był wąski, że ciągle pełno tam było statków, a prócz tego regularnie krażyły tu rządowe parowce komunikacyjne, linii Belle-Ile,-Auray,-Guiberon,-Houat-Hoedik. Zresztą i tak trzeba by wydostać się z terytorium francuskiego, opłynąć wyspę i znaleźć się na południowym jej brzegu, czyż więc nie lepiej odrazu tam się zwrócić?

W pobliżu miejscowości Sauzon, na północno-wschodnim brzegu, sześć kilometrów od „pałacu“, ludność jest rzadsza, ale sytuacja geograficzna tasama. Podobne trudności są po stronie Locmarii, bo i tutaj pas wody dzielący od lądu jest zbyt wąski i nadto uczęszczany. Znacznie lepsze widoki daje brzeg południowy, a zwłaszcza cypel południowo-wschodni tam, gdzie znajduje się tzw. „morze dzikie“ (Mer Sauvage). Najsposobniejszym dla celów ucieczki jest Port Goulphar, cicha, pewna przystań, gdzie zawsze pełno małych, niepozornych łódek miejscowych rybaków i pilotów, których burza zaskoczyła w drodze powrotnej do domu po dziennej pracy. Cicho tam, woda głęboka, prądów żadnych, stamtąd więc wypadnie ruszyć.

Blanqui i Cazavan domyślali się tego wszystkiego raczej, niżli wiedzieli. Cóż znaczy w takim razie mapa i książka? Informacyi lepszych dostarczyła im dopiero pani Blanqui, która późną jesienią 1852 przybyła na Belle-Ile. Matka Blanquiego miała już wówczas 75 lat. Przywiozła ze sobą wnuka, chłopca piętnastoletniego i pierwszy to raz syn i ojciec mogli z sobą pomówić seryo.

CXIII.

Pani Blanqui zesła pieszo całą wyspę, począwszy od „pałacu“ do Sauzon, Bangor, i Locmaria. Towarzy-

szył jej dawny znajomy, republikanin Emil Houchoua. Staruszka zamieszkała na czas jakiś we wsi Kervillaonen, położonej u stóp latarni morskiej w wąwozie Port Goulpharu. Wysoko wznoszące się skały sprawiają, iż wieś i wąwóz zawsze niemal pogrążone są w cieniu, a roślinność tego miejsca przesiąknięta jest wodą, bujna, w większej części złożona z mchów lepkich, oślizłych i alg czepiających się wszystkiego. Stąd mogła pani Blanqui bez przeszkody przyglądać się rzeczom i ludziom. Sam nawet domek, gdzie mieszkała, będący własnością marynarza-wieśniaka, mieścił szynk wioskowy, gdzie po całych dniach pełno było rybaków i przewoźników. Około piątej po południu tłumnie schodzili się tutaj na jablecznik, albo wódkę. Byli to ludzie dziwni, z pozoru szorstcy i nieogłodzeni, ale spojrzenie każdego niemal jasne było i szczere. Niewątpliwie znalazby się pośród nich śmiałek, któryby się podjął dopomóc do ucieczki. Ryzyko nie było wielkie, a żadnej nie sprawiało trudności w skalistym Port Goulphar wsiaść w łódkę w nocy i dać się ponieść odpływającym falom. Wydobywszy się raz na pełne morze łatwiej już przeczekać, aż się nawinie jakiś okręt. Zresztą nie trzeba było nawet zbyt daleko szukać. W niewielkiej odległości od Belle-Ile przepływały co dnia statki różnych państw europejskich.

CXIV.

Na wiosnę, roku 1853, Blanqui i Cazavan powzięli stanowczą decyzję. Już od dawna myśl ucieczki nie opuszczała ich, ale samo postanowienie wytwarzało się w nich powoli, niejako zbliżało się niepostrzeżenie. Z niezmierną ostrożnością gotowali się do wykonania

zamysłów, czynili wymknięcie z niewoli możliwem, zwolna nabierali zaufania do prac podjętych, upewniali, że wszystko szczęśliwie pójsć musi.

Blanqui, od samego niemal przybycia swego, dziwnie się zachowywał wobec kryminalnych przestępców. Odnalazłem sam starych dozorców i ci mi opowiadali, że Blanqui był dla tej kategorii więźniów wprost niegrzeczny, robił minę, jakby ich nie widział wcale, nie słyszał co mówią. Gdy już w żaden sposób nie mógł uczynić inaczej, odpowiadał oschle i krótko, ale najczęściej obracał się plecami i pozostawiał pytania bez odpowiedzi. Tak postępował stale, aż nareszcie kryminalni nabrali przekonania, że nie warto się doń odzywać, że jestto człowiek brutalny, zarozumiały, mający wszystkich w pogardzie, wróg całego rodzaju ludzkiego. Jakby czekał tej chwili Blanqui. Przestał niemal całkiem rozmawiać. Nigdy nie odpowiadał na wołanie. Nie odwracał głowy, nie pozwalał sobie na najlżejsze poruszenie, gdy jeno posłyszał zbliżające się kroki, lub zgrzyt rygli i zasuw u drzwi swej kaźni. Nie przerywał zajęcia, więc albo pisał dalej, albo czytał, albo też pochylony nad mapą trwał w głębokiem zamyśleniu, czy tonął w marzeniach. Gdy leżał na łóżku nie drgnął nigdy nawet. Głowa dalej była sparta na rękę, książka otwarta, oczy jeno zamykał Blanqui, udając, że śpi. W pierwszych dniach strażnicy i klucznicy, wołali nań, tręcali, nastawali na to, by się obrócił, lub odezwał. Ale nic to nie pomogło. Pewnego ranka naczelnik dozoru więziennego we własnej osobie zjawił się w celi, ale jego uniform jaskrawy, szamerowany gęsto srebrem, nie wywołał większego efektu, jak ciemno zielone, naszywane żółtymi galonami uniformy zwyczajnych kluczników. Napomnienia i grożenie ciemnicą na nic się nie zdały, więc nie

pozostało nic innego, jak zgodzić się milcząco na ten kaprys więźnia. Postępowanie takie, ćwiczenia takie powtarzane z wytrwałością co dnia, w ciągu całych tygodni, a wreszcie miesięcy wywarły na reprezentantach władzy więziennej podobny skutek, jak opryskliwość na kryminalnych. Przeszto na te dziwactwa zważać, Blanquiemu dano spokój. Klucznik otwierał drzwi, wołał: Blanqui!... naocznie przekonywał się, że zwierzyna jest w sidłach i szedł dalej, nie przestąpiwszy nawet progu kaźni. Tosamo działo się u Cazavana, który stał się dziwnie prędko mrukiem i odpychającym wszystkich swą opryskliwością maniakiem milczenia.

Zwolna, nieznacznie ustalili się ten zwyczaj u kluczników. Nie fatygowali się oglądaniem bliższem swych pupilów. Cazavan z zamiłowaniem obracał się teraz plecami do drzwi i pochylał nisko nad stołem, zarzuconym papierami, Blanqui, czy to leżąc, czy też pisząc miał zazwyczaj na głowie swój ogromny, słomiany kapelusz, którego używał podczas przechadzek. Kapeluch ten rzucał cień na całą twarz, przysłaniał oczy, a z pod jego kresy wyglądała ledwo krótką, rudawo siwa broda. Przesiadawali teraz długo wieczorami i dziwnie się zabawiali. Wysilali się mianowicie na to, by po całych godzinach trwać bez poruszenia w pozycji wypchanej lalki, z karkiem sztywnym, opuszczonemi rękami, leżącej gdziekolwiek, jak ją rzucono. Klucznik, ujrawszy to poraz pierwszy, może i zbliżył się, podejrzewając atak apoplektyczny, ale wnet powrócił do wygodnego zwyczaju wykrzykiwania od progu nazwisk. Kaźń poczęli więźniowie jakoś licho oświecać wieczorami, klucznik, licząc na światło wewnątrz celi, nie zawsze brał latarkę no i... nadszedł czas wykonania planu ucieczki.

CXV.

Rozpoczął się dramat krótki, ale wstrząsający, błyskawicznie przesunęło się kilka scen, i zdało się, jakoby wola ludzka mocowała się z losem.

Piątego kwietnia przypadł właśnie nów. Noc obrano ze względu na ciemność. Obaj spiskowcy, zaraz popołudniu wzięli się do fabrykowania manekinów. Z poduszek, ubrań, kapeluszy i trzewików utworzyli coś, co mogło od biedy udawać ludzi, pochylonych nad stołami, obróconych plecami do drzwi, potem zapalili lampy i udali się na zwykłą, wieczorną przechadzkę, unosząc ze sobą dwie liny węzłów pełne, mające po kilka drewnianych szczebli i haki żelazne po obu końcach. Podczas przechadzki Blanqui i Cazavan najspokojniej rozmawiali z innymi, nie zdradzili niczem swych zamiarów. Tylko gdy inni wrócili, oni zostali, skorzystawszy ze sposobnej chwili, gdy powstał przy wejściu ścisk i uwaga dozorców skierowała się na drzwi główne. Uciekli do ogrodu i skryli się wśród wysokich tyk fasoli. Siedzieli tam dosyć długo, dobrze schowani mogli przeczekać cały ruch wieczorny, dotrzeć aż w cytadeli pokładają się wszyscy na spoczynek i nareszcie zapanuje spokój. Wówczas będą mogli wyjść, względnie iść dalej omackiem, wśród gęstego, siekącego deszczu, który właśnie począł padać i wkrótce przemoczył ich obu nawskróś.

Tymczasem skończyła się pora przechadzki, więźniowie wracali to pojedynczo, to parami, lub po kilku, jedni krokiem żwawym, inni leniwie, niechętnie, a dookoła nich uwijali się dozorczy, niby psy owczarskie, co ogarniają stado owiec wracające z pola do zagrody. Nareszcie znikli we drzwiach wszyscy, bramy zostały

pozamykane i zapanowała wielka, smutna cisza, zwisająca, niby chmura ponad każdym domostwem zamkniętem, gniotąca tu zwłaszcza. Krażyć poczęły ronty, kroki rozteńczyły się po kurytarzach, otwarto drzwi kaźni: Blanqui! Cazavan! Jak zawsze żaden nie odpowiedział na zawołanie, ale są obaj... Blanqui w słomianym kapełuszu czyta, czy medytuje nad książką, Cazavan pisze, pochylony nad swoim stołem. Z trzaskiem zapadły drzwi jedne, drugie, zgrzytnęły rygle,..... ront poszedł dalej.

CXVI.

Ukryci w ogrodzie badali wciąż jeszcze sytuację. Ale nie dostrzeżono widocznie ucieczki, nie słycać bieganiny, nie widać błyskających tu i owdzie latarek, cisza głęboka, deszcz pada, ciemno i powietrze gęste aż od mgły. Trzeba teraz uniknąć spotkania z rontem ostatnim, trzeba wyjść z pośród tyk fasoli. Pomiedzy łąką, a ogrodem warzywnym była niezbyt głęboka studnia. Za pomocą zabranych lin, czepiając się cembrowiny spuścili się obaj do tej studni, na szczęście około czterech metrów obwodu mającej i tam z nogami w wodzie, dygocząc ze zimna przesiedzieli przeszło półtorej godziny. Wyszli dopiero gdy ucichły kroki oddalającego się rontu ostatniego, zlni wodą, zmęczeni, z bolącymi rękami i nogami. Otoczyła ich noc i mgła. Szczękając zębami, śmiejąc się po cichu i klnąc zarazem, omackiem poczęli szukać drogi. Z trudem wydrapali się na pierwszą palisadę. Właśnie gdy byli na szczycie uderzył dzwon. Zwycięstwo! Był to znak, że kontrola kaźni skończona. Manekiny spisały się doskonale. Teraz szło jeno o to, by minąć ogrody, przeskoczyć dwa niskie murki, prze-

kraść się około dwu posterunków reflektorowych, wreszcie, na mur forteczny otaczający zakład karny, najeżony tłuczonym szkłem zarzuciwszy okrycia, wydobyć się na wolność. Wszystko poszło gładko. Wnet znaleźli się poza więzieniem. Ale zagroziły im drogę mury fortecy i szkarpy obwarowań. Nie wiedzieli, iż od wewnątrz prowadzą na szczyt wygodne schody, czy nie mogli w ciemności doszukać się ich, dość, że napróbowawszy się daremnie zarzucić na mur linki z hakami, poczęli wdzierać się na mury przy pomocy scyzoryków i kawałków drzewa, które, niby stopnie wbijali w szczeliny kamieni ciosowych. Namęczyli się nie mało, ale za to niebawem ze szczytu dojrzeli światło latarni morskiej w Bangor. Zejście na dół nie przedstawiało już wielkich trudności. Spuścili się po linach swoich, znaleźli na zewnątrz cytadeli, minęli rząd armat, przekroczyli jedną, potem drugą fosę i w końcu omijając miasteczko poszli ku morzu. Odetchnęli, roztaczało się wokół szczere pole, a morze nęciło obietnicą wolności.

CXVII.

Ciepły wiatr powiał, mgła znikła, ale deszcz padać nie przestawał. Zbliżali się zwolna ku portowi. Tam zaczynała się ich właściwa droga, wiodła z przystani prosto na południe, za obręb wód francuskich. Wyszędłszy z „pałacu“ musieli przebyć wyspę w całej jej szerokości, by się dostać do latarni morskiej. Minęli jedną jeszcze fabrykę sardynek, nowy rów i kilka domów, stojących na uboczu, których okna i drzwi zwrócone były w pole, a tyły wychodziły na drogę. Potem czekała ich jeszcze droga przez Cosquet, małą wioskę, mającą mniej więcej

i oglądał się wstecz na to, co było niegdyś utworzył sobie więzień świat cudny, pociągający barwami tęczy.

CXXVI.

Z listu Blanquiego, pisanego dnia 30 października 1857 roku, do przyjaciela, pewnego adwokata w Brukseli dowiadujemy się o losach rodziny jego. Jeden z braci, Gustaw Henryk zmarł w Cayenne 5 września 1856 roku. Matka mieszka pod ten czas w Paryżu, w dzielnicy St. Antoine, przy ulicy Montreuil 110. Od czasu zamknięcia w Saint Michel, ledwo cztery, czy pięć razy zdołała odwiedzić syna.

Nareszcie dnia 1 grudnia 1857, prawie w trzy lata po próbie ucieczki, po 7 latach niewoli w Belle-Ile, Blanqui został wypuszczony z cytadeli. Wraz z 31 innymi, pośród których znajdował się też Delescluze, został przewieziony na Korsykę.

Podróż trwała ośmnaście dni, z czego dziesięć dni spędził więzień na morzu, cztery w dokach Kadyksu, gdzie ładowano węgiel, trzy w porcie Ajaccio i wreszcie cały dzień wieziono go z Ajaccio do Corte.

Głównem wydarzeniem podczas tej przepawy była burza, trwająca trzydzieści sześć godzin, gdy okręt wpłynął na wody zatoki Gaskońskiej. Ale mimoto Blanqui czuł się zdrowszym, poweselał, rozpogodził się, z rozkoszą wdychował lekkie, obfite w wilgoć powietrze oceanu. Píše o tem z humorem i dodaje w końcu listu uwagę, że nawet żołądek jego, z natury kapryśny i bardzo nadwyrężony przyszedł do siebie do tego stopnia, że trawi stary tłuszcz, z jakim tu na statku przyrządzają potrawy. Nie tak dobrze posłużył mu pobyt w za-

dymionym Kadyksie, lub może na ton listu pisanego stamtąd wpłynęły nudy. Trudno było się zachwycać brudnym miastem, gdy się miało jeszcze świeżo w pamięci cudne wybrzeża Hiszpanii, Portugalii i Afryki.

Na drodze z Ajaccio do Corte rozstawiono silne oddziały wojska i żandarmeryi. Posterunki gęsto obsadziły przestrzeń 80 kilometrów niespełna, którą przebywało trzydziestu dwu więźniów otoczonych kompanią piechoty. Posuwali się dziką, odludną doliną Gravony, przybyli zaś na miejsce w nocy, przy blasku niesionych przez żołnierzy pochodni. Niespodziankę też mieli i to miłą. Nie wiadomo z jakiego powodu, w ciągu całego marszu, od wsi do wsi mieszkańcy urządzali im owacye wykrzykując: Niech żyją dzielni Paryżanie! Także ludność Corte czekała na konwój, nie ruszając się z miejsca od ósmej wieczór do trzeciej rano.

Więzienie umieszczone na boku skały, sterczącej z kompleksu granitowego Monte Rotondo, zbudowano z surowych bloków czarnego marmuru. Gmach jest jednopiętrowy, podparty arkadami i ma w górze obszerny taras. Środkiem biegnie długi korytarz, na prawo i lewo kaźnie, ot i wszystko. Patrole chodziły zewnątrz gmachu, przez okna umieszczone w ścianie korytarza strzegąc cel więziennych, chodziły ścieżka, biegnącą dokoła obszernego trawnika, kędy czasu rekreacji przechadzali się więźniowie. Łąka, do której dochodziło się przez mostek rzucony na dość głębokim, fortocznym rowie opadała tarasowo w dół po zboczu góry. Można było stamtąd wzrokiem sięgnąć daleko. Od północnego i południowego zachodu olbrzymie głazy Monte Rotondo, wznoszące się prostopadle w górę na dwa tysiące siedmset metrów, oddzielone od cypla skalnego, na którym zawieszono gmach więzienny huczącym, spienionym potokiem

Tavignonu, dalej, amfiteatralnie rozłożone widniały bloki poszarpane rozpadlinami grup Monte Conio i Monte Cardo — po stronie południowej stara cytadela wrosła w grzbiet góry, sterczącej ponad więzieniem i miastem, na wschód dalsze gniazda górskie szerokim półkolem, a w ciasnych, wąskich dolinach ledwo domyślać się można było wiosek i osad mniejszych. Samo Corte zamknięte jest górami w dolinie podłużnej, mającej ledwo cztery do pięciu mil średnicy dłuższej. Z terasy więziennej widać jeno szczyt dzwonnicy kościoła katedralnego.

Blanqui nie czuje się zadowolonym z nowych warunków życia. Nie może do nich przywyknąć, brak mu słonej, przesyconej wilgocią atmosfery Belle-Ile. W lecie, istotnie duszno jest w więzieniu Corte. Pośród białych murów powietrze jest martwe, bez ruchu. Jestto jakby wielki, słoneczny piec piekarski.

W zimie co innego daje się we znaki, mianowicie woda. Więzienne cele, znajdujące się w parterze są to sutereny, w poziomie fundamentów położone, a zamknięty tam nieszczęśnik może się uważać za mieszkańca jakiejś groty morskiej, albo ścieku wielkowiejskiego. Zewsząd ciekłą wodę ze stropu, ścian, występuje na podłodze, wszędy rozpanoszyła się zgnilizna, i grzyby osiadły żółte. Czyż organizm więźnia długo mógł się ostać w tych lodowatych piwnicach? Wentylatory, mające na celu przewietrzać te miejsca, przynosiły jeno na górne piętro cuchnące, odory rozkładu i niebezpieczne bakterye. Dziwnym zbiegiem okoliczności, więzienie na Monte Rotondo, przed osadzeniem tu buntownika, Augusta Blanquiego zwiedził ekonomista konserwatywny, Adolf Blanqui. Rozumie się nie przybył tu w charakterze więźnia, ale na skutek ankiety, jednej z wielu, jakie

ministerstwa wszelakich państw rozpisują od czasu do czasu, by nadać sobie pozory instytucyj dbałych o dobro obywateli. Otóż z okazji takiej, łudząc się, że coś robi, przybył tu w roku 1840 Adolf Blanqui i uznał więzienie w Corte za: „hańbę rodzaju ludzkiego“. I „hańbę“ tę znosił, od roku 1857 do 1859 rodzony brat ekonomisty. Przez rok i cztery miesiące, to jest do czasu ekspiracji dziesięcioletniej kary więzienia, na jaką opiewał wyrok „Wysokiego Trybunału w Bourges“.

Uwolniono go dopiero dnia 2 kwietnia 1859, ale i teraz nie był wolny zupełnie, albowiem z więzienia przemienił się w wygnańca. Wydobyto go z mokrego, zalanego wodą więzienia w Corte i posłano do Afryki, by wysechł należycie na słońcu.

CXXVII.

Mimo protestu zaniesionego z kaźni więziennej w Marsylii, dnia 22 maja został internowany w Mascara, prowincyi Orann na południowych stokach Atlasu i dopiero na mocy ogólnej amnestyi, ostatecznie uwolnionym został dnia 16 sierpnia 1859 roku. Mógł tedy wracać do Francyi i uczynił to niezwłocznie, ale i teraz nie obeszło się bez przypadku. Po drodze został osadzony w Tulonie, w forcie Lamalque i zagrożono mu deportacją do Cayenny na mocy ustawy o bezpieczeństwie publicznem. Wolność odzyskał dopiero za wstawieniem się siostry swej, pani Antoine, która przez adwokata udowodniła, że nie można stosować tej ustawy do przekroczeń z roku 1848. Po takich perypetyach znalazł się nareszcie w Paryżu, gdzie nie był od wiosny roku 48.

Rodzinej zastał tu znacznie uszczuploną. Zmarł Adolf,

z którym zresztą zerwały się nici serdeczne na długo przed jego śmiercią. Potem, w roku 1858, dnia 30 lipca podczas pobytu jego w Corte zmarła matka, którą poraz ostatni widział na Belle-Ile, przed próbą ucieczki. Do końca życia zachowała swą zwyczajną energię, siłę woli i zdawało się, iż nawet umierając czyni to, co chce. Pozostały tedy Blanquiemu jeno siostry, zawsze oddane mu i życzliwe, i brat Hieronim, człek dobry i inteligentny, zajmujący się stolarstwem, niestety głuchy nieuleczalnie i skazany na wieczyste milczenie. Nie odnalazł natomiast Blanqui syna swego. Został dorosłego, dwudziestoczteroletniego młodzieńca, wychowanego przez rodzinę Serre w nienawiści do wszystkiego, co ukochał ojciec. Toteż nie było mowy o wpływie. Młody człowiek, podobny doń fizycznie, obojętny był na wszystko, nie pojmował umiłowań ojca, z pozoru był ucieleśnieniem jego młodości, ale z wnętrza wiało pustką, nie było ni śladu żaru, ni błysku, ni iskierki, któraby rozdmuchać można. Widywali się, ale jakby obcy, co nie mają sobie nic powiedzieć i szukają tematu konwersacyi, a im są dłużej razem, tembardziej dzielą ich zamieniane, mdłe, niejasne, zbyteczne słowa. Enzebiusz Blanqui objął majątek matki, był niezależny i miał zamiar wieść życie daremne, roślinne w wiejskim dworku. Cała czułość synowska, na jaką się zdobył, polegała na propozycyi uczynionej ojcu, by zamieszkał z nim razem i marniał w bezruchu i ciszy sytości. Ale i tu nie mógł się wyzbyć wszczepionej mu nienawiści i złośliwości, gdyż wzamian za chleb i dach zażądał od ojca, by wyrzekł się polityki. Blanqui miał wyrzec się polityki! Było to przypuszczenie tak dziwne, że nikomu hyba nie byłoby przyszło do głowy. Ojciec nie odpowiedział nawet na propozycyę beczelną. Wyrzec się! Po tylu latach nie-

woli, o nie, raczej nowa katorga, jak zaparcie się swego ja, skazanie swego umysłu na śmierć. Posmutniał tedy bardziej jeszcze, ale myśl wyboru nie tknęła go wcale. Pozostał biedny i wolny.

Przyczyny smutku były, jak widzimy rozliczne. Jednej z nich zwłaszcza nie ukrywał Blanqui wcale. Oto powierzył komuś z rodziny, podczas odwiedzin, wszystkie swe papiery, notatki, artykuły porozpoczynane i gotowe. Był to owoc pracy w Mont-Saint-Michel. Wszystko to spalił brat Blanquiego, Hieronim z rozkazu umierającej matki w jej oczach, na kominku w jej sypialni. Nie wiadomo, co ją do tego skłoniło? Obawa rewizji policyjnej, strach o syna, czy wreszcie może był to wybuch ostatni instynktów dyktatorskich wobec dzieci. Jak ojciec był zawsze słaby i chwiejny, tak ona posiadała wiele energii, była gwałtowna, niugięta, nieposkromiona. W całym tego słowa znaczeniu, panowała u siebie w domu, zwalczała ciągle opór, teroryzowała dzieci i nie pogardzała nawet zasadą: *divide et impera*, tak często przez panujących stosowaną. August Blanqui posiadał tę samą siłę niezłomną, ale, rzecz dziwna, jeno w zakresie intelektualnym, jeno w sferze ducha, a więc w polityce, której się oddał cały. W stosunku do życia osobniczego, pełen był rezygnacji jak ojciec, nie żalił się tylko, jak on i nie protestował. Podobnie też dobrym był i łagodnym w stosunkach rodzinnych i umiał kochać długo i szczerze. Nie przeczy temu nawet fakt zerwania stosunków z Adolfem. Winną tu była jeno polityka, przyczyną tego była walka dwu poglądów, walka społeczna.

Wróciwszy z Afryki dowiedział się o zniszczeniu papierów. Biedny, głuchy Hieronim nie słyszał nawet jego wymówek, a siostry bezradne patrzyły jak chodził

tam i napowrót po pokoju obiema rękami wzięwszy się za głowę i powtarzał: Moje papiery. Niema moich papierów! W skardze tej brzmiał żal do matki, która go kochała i którą on także kochał wzajemnie. Niebawem jednak zamilkł.

Wyjechał do Londynu i wróciwszy niedługo począł studyować Paryż czasu drugiego cesarstwa. Ujrzał pogasłe, lub przysypane grubą warstwą popiołu ogniska, miasto przemienione, patrzył na ludność, którą uszczęśliwiać się zdawały spacerzy niedzielne, czuł, że wszyscy, jakby w cyrku bawią się patrząc na przesuwające się barwne pułki wojsk, pochody więźniów austriackich, powrót wojsk z wojny włoskiej, widział, jak zwolna wszyscy nabierają upodobania do pochulanek nocnych, balów, gadaniny po kawiarniach, koncertów, wogóle do życia hałaśliwego, pustego, wśród jaskrawego światła i wrzaskliwej muzyki, do męczącej ciała i ducha egzystencji, złożonej z chwil nerwowego podniecenia i bezwładu wyczerpania.

Zwolna, nieznacznie siły, energia i myśl zatracają się w tej monotonii płytkich drgnień, w atmosferze wiecznego świętowania tonie poczucie konieczności wysiłku, przykazanie pracy.

Charakterystycznym, dla drugiego cesarstwa, mimo wszystkich dekoracyj, chcących fakt ten zakryć, był brak zupełny życia społecznego, które istnieć może jeno w wyładowaniu się wzajemnem wszystkich sprzecznych elementów i czerpie swe siły właśnie z owego ścierania się.

Bezruch nie jest równowagą. A właśnie w latach owych wszystko co stanowiło opór, rozprószone, zmuszono do milczenia. Kilka dzienników, nie będących na żołdzie nowego rządu szeptem ledwo ważyło się wygła-

sząc poglądy opozycyjne. Blanqui, od pierwszych zaraz dni poczuł, że znajduje się w atmosferze obcej, wrogiej nawet i że należy zachowywać się ostrożne, nie zbliżać do nikogo. Wszyscy, przemieszkujący tu dawni towarzysze jego z Mont-Saint-Michel i Belle-Ile byli podejrzani, nadzorowani przez policję i żyli pod ciągłym obuchem obawy, czy jakiś fałszywy, lub mylnie wytłumaczony krok, albo słowo mniej ostrożne, nie spowoduje ich zaskarżenia, aresztowania i nie ściągnie na ich głowy surowego wyroku z ust sędziów, gotowych na wszystko, byle jeno dostawali regularnie swe pensye miesięczne.

Dodać do tego należy ów specyficzny niepokój, jaki owłada więźniem, gdy jeno znajdzie się na wolności. Już raz, zarówno Blanqui, jak i Barbés doznał takiego uczucia w roku 1848, po uwolnieniu. Przywykłemu do niewoli, katastrofą wprost wydaje się, że nie widzi, otwierających się o oznaczonych godzinach drzwi celi, wchodzących dozorców, że brak owego trybu codziennego życia, w który wrósł przez lata. Wydaje mu się, że jest rośliną wydartą z korzeniem. Trwa to czas długi, tak że żali się na nadmiar wolności Micheletowi, spotkanemu na ulicy. Michelet, który mu serdecznie wieszował odzyskanej swobody nie może wyjść z podziwu, słysząc co mu mówi wieczysty więzień. Myślał iż Blanqui będzie pijany wolnością, a tu tenże skarży się, że wyciąga dłoń i nie spotyka muru kaźni, że utracił całą wolę, bo mu się rozpierschła na wszystkie strony, że czuje brak czegoś nieokreślonego i sądzi, iż panem siebie może być już teraz tylko w więzieniu.

CXXVIII.

Chociaż, z jednej strony, w roku 1860 dawał się odczuwać zanik sił, które dawniej ożywiały opozycjonistów i odpływ energii, wobec jasnej świadomości, że z rozbitkami armii roku 1830, oraz 1848, z lutego i czerwca nic się już zrobić nie da, to z drugiej strony w łonie partyj rewolucyjnych rozpoczął się ruch wewnętrzny, odnowa materii, reintegracyjna praca, która nie uszła baczного oka Blanquiego. Odmówił nawet dlatego współudziału w pracach Garibaldiiego na Sycylii, nie zdecydował się na wyprawę, której cele go nie pociągały, a sprzymierzeńcy i bojownicy nie mogli wzbudzić sympatii. Całą duszę wypełniła mu niedaleka, przeczuwana walka z cesarstwem. W gruncie rzeczy ludzkość nie spoczywa nigdy. Często wydaje się, że znikła wszelka energia, wszystko wymiotła straszliwa kosa represaliów, ziemia wydaje się jałową i na zawsze zabita. Rośliny żywcem popalone, ogień i krew poniszczyły nawet nasiona. Wszystko jest jeno trupem. Mija chwila i znów na spustoszonych ugorach wstają nowe źdźbła, nowe rozwijają się kwiaty, wbrew wszystkiemu, nowa roślinność rozpościera swe panowanie nad ziemią.

Blanqui czuł, że siły owe podziemne działają. Jeszcze rok, dwa i z wnętrza wyłonią się na słońce nowe kształty, stanie się zadość pragnieniom, wszystkie wysiłki poszczególne zjednoczy w sobie wielki, doniosły czyn. Stanie się zadość tęsknotom, nastąpi wyładowanie energii, zawrze bój. Czy przyniesie nową klęskę? Nie wiadomo. Ale pamiętać trzeba, że walczy się o niezmiernie dalekie, niemal nieziszczalne ideały, a w walce takiej, nawet klęska mieści ogromną dozę zwycięstwa.

Życie prze naprzód, przyszłe pokolenie chcące żyć, wyzwoić w czynach swą energię oprą swe stopy o wyłom zdobyty, choćby najmniejszy, choćby krwią oblany, i pójdą wprzód. Nie będzie w nich żalu po klęskach, płaczu za pobitymi, wpatrzeni w jutro ludzie przyszli będą wszystko złe świata wyzywać na bój, bo jeno w boju nadzieja, a zapal tem większy się w nich rozpłomieni, że będą dziedzicami tęsknot naszych.

W niedawnej przeszłości były zresztą aż nadto wyraźne ślady owych, dążących do wcielenia się tęsknot za jasnym jutrem, a nosabiał je w sobie Blanqui świeżo wyszły z więzienia. Każdy kto nań spojrział ucuwał ciągłość owego łańcucha wysiłków rewolucyjnych, którego pierwsze ogniwa ginęły w oddali jakichś lat dwunastu.

Istniała oficjalna, liberalna opozycya przeciw cesarstwu, należeli do niej wszyscy niezadowoleni, począwszy od legitymistów, orleanistów, aż do konstytucyjnych demokratów, a nawet najskrajniejszych odcieni republikańców, żadnych daleko idących reform. Ale to było jasne, niemal jawne. Natomiast zarodkiem jutra, wyrazem pożądań nowych, byli ludzie, o których nikt nie wiedział, była grupa nieliczna, co dnia jednak zyskująca zwolenników dążąca do przemian społecznych, do nowego ukształtowania stosunków, a w następstwie tego, do zmiany formy rządu.

Oczywiście ludziom tym przywodzi Blanqui. Grupa się koło niego bądżto, jako żołnierze, uznając go za wodza, albo też jeno żądni rady, przyjaciele i sympatycy. Wyrosło skutkiem tego stronnictwo, nowych zwolenników nazwano blanquistami drugiego stopnia, podczas gdy klubistom przyznano stopień pierwszy. Ale wpływ Blanquiego na jednych i na drugich był jednaki,

a byłby nierównie większym jeszcze, gdyby był lepiej przyjmował tych, co się doń zwracali, gdyby był zdolny do jakiejś serdeczności wobec ludzi. Niestety nienawiść i krzywdy, jakich doznał, uczyniły go bardziej jeszcze zamkniętym w sobie.

Chociaż czasem miewał chwile jaśniejsze i wówczas można było zmierzyć całą głębię jego wiedzy, przekonać się o bystrości umysłu. Zachwycał tych, którzy się doń w takich chwilach zbliżyli, olśniewał ich zwłaszcza tem, że tyloletni pobyt w więzieniu nie zdołał spaczyć jego poglądu na sprawy aktualne, nie zakrył mu przed oczyma faktu ewolucyi wielu kwestyj ważnych, zmian w zapatrywaniach na wiele rzeczy i ludzi. Toteż garneła się doń młodzież, studenci, publicyści, mieszczuchy i robotnicy i niebawem w dowód szacunku i sympatyj nazwali Blanquiego, osiwiatego już na dobre, „dziadkiem“...

CXXIX.

Niedługo przesiadywał Blanqui u swej starszej siostry i kilku przyjaciół. Nie długo korzystał z tej pół wolności. Jakże zresztą mogło to i być? Czyż Blanqui nie znał wszystkich usiłowań i nie współdziałał we wszystkich próbach akcji rewolucyjnej swego czasu. Czyż nie znał każdego wybitnego działacza partji republikańskiej? Cóż łatwiejszego, jak wmieszać go w jakąś sprawę w czasie, gdy rząd miał listy podejrzanych, nauczył się kierować tak biegle armią prowokatorów i nabrał tyle fantazyi w wymyślaniu nieistniejących spiszków.

Blanquiego zresztą opanowała niezmierna gorączka

czynu. Rwał się, jak lew w klatce, szukał dróg, nie liczył ze środkami. Pierwszy, któremu się zwierzył z najważniejszych swych planów, był Artur Ranc, wygnaniec, który dopiero co wrócił do kraju, podobnie jak i sam Blanqui. Ranc twierdził, że zanadto są obaj nadzorowani, byli mogli coś podjąć, ale Blanqui zbagatelizował to sobie i rzucił się do roboty. Naturalnie chwyciono się pierwszego pozoru w celu represyi. Stało się to w roku 1861. Wniesiono przeciw niemu oskarżenie o organizowanie stowarzyszeń tajnych, poparte mnóstwem przychwyconych broszur treści karygodnej, które bez wszelakiej ostrożności rozszerzał. W broszurach tych doszukano się, że on to był ich inspiratorem, on im nadał ową markę zbrodniczą, bo oryginalnych enuncyacyi nigdzie nie odnaleziono.

U siostry Blanquiego odkryto listy. Były to poprostu spisy osób, którym miano posłać broszury agitacyjne, wyjęte z książki adresowej ówczesnej, z rocznika Bottina. Ale czegoż było więcej potrzeba policji, by wykazać zbrodniczą organizację. Wydano nakaz aresztowania. Ale nie zaraz udało się go wykonać. Blanqui miał podówczas oficjalne mieszkanie przy ulicy Figuiier-Saint-Paul, mimoto jednak trudno było go przychwycić w legowisku. Umiał zawsze w porę zniknąć, zatracić się gdzieś, dać nura, to do przyjaciela, to do siostry, a ciągle był w pobliżu policji, ocierał się łokciami o agentów zziających i rozwścieczonych.

Najgorzej sprawy raz stanęły w mieszkaniu siostry Blanquiego, pani Antoine, przy ulicy Hautefeuille. Blanqui przespał noc, w łóżeczku małego swego, dwunastoletniego siostrzeńca, wstał właśnie i gotów był do wyjścia. Miał w rękach kapelusz i rękawiczki, gdy nadbiegła robotnica i doniosła, że dom otacza chmara po-

licyantów i agentów tajnych. Pani Antoine z bratem wbiegli tedy pospiesznie na najwyższe piętro, gdzie mieszkała odzwierna teatru Odeonu, kobieta olbrzymiego wzrostu, przywiązana do Blanquiego niezmiernie, aż wprost zakochana w nim. Właśnie przyrządzała z całą precyzją kawę. Z wielką ochotą ukryła ona zbiega w pierzynach swego łóżka i wróciła do poprzedniego zajęcia, uchyliwszy nawet drzwi na kurytarz, by tem większy dać dowód, że nie może być w zмовie, i że o niczem nie wie.

Pani Antoine zeszła potem do swej pracowni haf-tów, mieszczącej się w parterze tegosamego domu i asystowała rewizyi, która powoli przeniesioną została do pomieszkania, na pierwszym piętrze. Znaleziono oczywiście kapelusz i rękawiczki, ale malec uratował sytuację, twierdząc najbezczelniej, że to jest jego własność. Na dowód prawdy otworzył nawet szafę, pełną ubrań wuja i obalamucił tem tak policyantów, że poszli dalej. Nie ocalał przed rewizją nawet pokój odzwiernej. Agenci obwąchali wszystko, kawę, śmietankę, zajrzeli nawet pod łóżko, do łóżka atoli zaglądać uznali za zbytęczne. Blanqui był tedy znowu wolny, ale nie na długo. Are-sztowano go pewnego dnia na rogu rue de Figuier, i dnia 14 czerwca 1861 stawiono przed trybunał wraz z współ-nikami, rzeźbiarzem Senique, drukarzem Caumette, po-wroźnikiem Vosgien, litografem Frémeaux i żoną jego, panią Frémeaux. Jak było do przewidzenia posłuszni sę-dziowie, bez ceregieli zasądziłi go na cztery lata po-śtali do więzienia Św. Pelagii. Widocznie wychodzili z założenia, że mu się nudzi na wolności i za całą do-tychczasową działalność należy odpoczynek w zacisz-nej celi.

CXXX.

Już dwa razy siedział u Św. Pelagii, raz w roku 1831 po swej obronie oskarżonych w procesie 15-tu, drugi raz zaś w roku 1835, po procesie „Société des Familles“. Wrócił tedy jeno w roku 1861, w towarzystwie Seniqua i Canmetta.

Nic się tu nie zmieniło. Jak dawniej ponury, smutny gmach tkwi w prostokacie ulic: rue de la Clef, Puits-de-l'Ermite, du Battoir i rue Lacépède, obok Jardin des Plantes i szpitalu de la Pitié. Więzienie stanowią trzy gmachy, gmach główny po stronie północnej i dwa, wschodnie i zachodnie skrzydła. Wśród nich mieszczą się różne podwórce wybrukowane olbrzymimi głazami, pośród których sterczą nikłe akacje, otoczone wysokimi murami ze szkarpami, kędy włączają się bezustannie patrole z nabitą bronią. Ostatnie podwórce w głębi, przeznaczone było, jak się łatwo domyślić, dla więźniów politycznych i chorych wszelkiego rodzaju. Tutaj mógł z zupełną swobodą, na podstawie zeznań ustnych samych interesowanych badać pisarz, dziennikarz, człowiek czynu, jak żyją ludzie potępieni przez kodeks karny. Tutaj można było się przypatrzeć jak się ludzi dręczy, wyzyскуje, jak się dozwala przedsiębiorcom okradać ich prostoprostu, zmuszając do różnych prac, jak krawiectwa, powroźnictwa itp., a wzamian za to dając 5 centimów, za dwunastogodzinną pracę dzienną. Tak się działo istotnie, bo jedną trzecią zarobku zabierała administracya, drugą trzecią chowano dla więźniów, by mieli coś wychodząc stąd, i rozwój przemysłu więziennego, jak wszędzie tak i tu polegał na wyzysku pracy najpodlejszym. A jakie dawano jedzenie! Rosół niczem nie różnił się od ciepłej, mętnej wody, jarzyny były zawsze zeschłe, a często na-

wet zepsute i wreszcie dwa razy na tydzień więźniowi dostawał się mały skrawek najgorszego w świecie mięsa gotowanego. To wszystko jeszcze niczem by było, gdyby nie okropne współżycie z takimi i tyloma ludźmi, gdyby nie widok tylu krwawiących ran społecznych, na przykład zamykania za byle co płaczących dzieci, które potem wypuszczano zuchwałe, śmiejące się, cyniczne i gotowe do zbrodni.

Polityczni mieli do czynienia jeno z posługaczami, których im dano za szpiegów i wyzyskiwani byli jeno przez dozorców.

Jedzenie przynoszono im z miasta i wogóle poza-tem co się rzekło wyżej, mało było obostrzeń w tem więzieniu, do którego dochodziły wszystkie odgłosy stolicy. Z wyjątkiem roku 83, kiedy tu przebywali Żyrondyści i pani Roland na jednym z etapów wiodących ku śmierci, Św. Pelagia była zawsze przybytkiem kary dla przekroczeń lżejszych. Snuli się tędy ciągle dziennikarze, pamfletyści, członkowie stowarzyszeń tajnych, przemieszkiwali tu: Nodier, Beranger, Courier, Jay, Jouy, Marrast, Philippon, Carrel, skazańcy z procesu kwietniowego 1834, Godefroy, Cavaignac, Guinard, Imbert i inni, zwyciężeni podczas bitwy pod klasztorem St. Merry, oskarżeni z okazji afery „des Prouvaires“, dalej Lachambaudie, Daumier, Lamennais, Pyat, ekscedenci czerwcowi z roku 1848, Proudhon, posłowie do Izby areztowani w r. 1851, i wreszcie wszyscy skazani czasu cesarstwa za różne sprawy i wykroczenia, za sprawę rozruchów w Hipodromie, pod „Opéra Comique“, i tyle, tyle innych.

CXXXI.

Blanqui zastał tu, w roku 1861 towarzystwo bardzo mieszane. Byli tu politycy, literaci, dziennikarze, wydawcy, robotnicy. Tegoż roku spotkał się ze swym przyjacielem Emilem Villeneuve, skazanym za obrazę duchowieństwa, Vacherotem, autorem „*Demokracji*“ i poetą, Catullem Mendès, odsiadującym karę za przestępstwo prasowe przeciw moralności publicznej. W roku 1862 przybywa gromada kowali, powroźników, perukarzy, ślusarzy itp., wraz z Juliuszem Miot, znanym od dawna opozycjonistą i przywódcą ludu, a wszyscy ukarani za należenie do tajnych stowarzyszeń. Tegoż roku zjawiają się w murach Św. Pelagii: Taule, Tridon, Germain i Casse, skazani za obrazę religii i zgorzenie publiczne, jakich się dopuścili w czasopiśmie „*Travail*“, Scheurer-Kestner, za machinacye i spiski w ministerstwie spraw wewnętrznych, Alfred Sirven, za obrazę religii, przez państwo uznanej, wreszcie za różne przewinienia podobne dziennikarze i redaktorzy: Scherer z „*Temps*“, Vermorel z „*Jeune France*“, Eugeniusz Pelletan z „*Courier du Dimanche*“, Laurent-Pichat z „*Phare de la Loire*“. Zarzucono im głównie „budzenie nienawiści różnych klas społeczeństwa do siebie wzajem“. Później, po wyjściu Blanquiego, w roku 1863 i 1864 przybyli jeszcze: Charles Longuet za przestępstwo prasowe popełnione w piśmie „*les Ecoles de France*“, i za rozliczne inne przewiny i Gustaw Naquet, Poupart-Davył, Xavier de Ricard, Castagnary i inni.

CXXXII.

Blanqui zajmował zrazu w Św. Pelagii celę na trzeciem piętrze pawilonu wschodniego, zwanego pawi-

lonem książąt, potem przeniesiono go na drugie piętro, z początku do tzw. „Salon de la Gomme“, potem do „Rozmownicy“. Miał za sąsiadów Miota, Taula, Cassa, Tridona i Alfreda Sirven. Regulamin więzienny dopuszczał różne swobody, przeto więźniowie osadzeni w przytykających do siebie celach mogli rozmawiać, schodzić się i jadać nawet wspólnie. Cela Blanquiego była, rozumie się, celem ogólnej ciekawości i sympatyj. Ale Blanqui zamykał się przed ludźmi, oile jeno mógł, a przejawów sympatyj nawet szczerych i nie dwuznacznych unikał. Nie było mniej narzucającego się i dyskretniejszego więźnia. Przez całe trzy lata spędzone w więzieniu Św. Pelagii, oile wogóle schodził na dół w godzinie przechadzki, nie przyłączał się do żadnej z grup rozmawiających, ale samotny i tu, przechadzał się po skrawku ziemi, jaki mu przeznaczono i zdawał jeno tem zajęтым, by oddychać powietrzem, którego mu używać dozwalał regulamin. Ale mimo milczenia i opryskliwości, jakimi traktował ciekawskich, chcących się doń koniecznie zbliżyć, nie brakło takich, których coś wprost pociągało do odludka. Wyróżniał ich po swojemu. Nie przyjmował, nie odmawiał niczego, przeciwstawiał wszelkim usiłowaniom jeno wolę swoją i obojętny ton, gdy się zdecydował mówić. Tak go bardzo długo nienawidzono, tak prześladowano, zohydzono w oczach społeczeństwa, a pamiętać trzeba, że staje się podejrzliwym ten, kogo los długo prześladowuje. Samo to jednak, że cofał się w głąb siebie, dziś już było nową przeciw niemu bronią. Ale nie zabraniał używać jej przeciw sobie, w tym okresie życia, nie wiele mu już zależało, że go ktoś obwini o oziębłość i pychę. Podobnie nie troszczył się zdumieniem, jakie wywoływał u wszystkich jego sposób życia, upodobanie w kukurudzy, mleku, soczewicy, nawyczka

spania przy otwartych oknach, bez względu na porę roku, wiedział doskonale, że nawet najzyczliwsi mu współwięźniowie uważają go, za najdziwniejsze dzikie zwierzę, jakie kiedykolwiek siedziało zamknięte w klatce, to też nic dziwnego, że kłuty, jak oszczepami, spojrzeciami tych wszystkich ciekawskich, przybrał raz na zawsze pozę nieruchomą, pogardliwą lwa drażnionego przez uliczników, a jeno w oczach, z pod brwi ściągniętej łyśkało czasem bezgłośnie.

CXXXIII.

Nie ulega wątpliwości, że Blanqui przesadzał, że nadmiernie odciął się od ludzi, odstręczał zgoła niepotrzebnie wielu, których wspólność celów i pragnień pociągała ku niemu, onieśmielał do reszty płochliwych, zmuszał do odwrotu niezręcznych i mylił się często, biorąc szczerze i gorące uczucia, za napastliwość ordynarną. Wszystko to prawda. Co więcej, odsuwał od siebie współpracowników i sprzymierzeńców o wysokich zdolnościach umysłowych, a potem, z konieczności przyjmował do pomocy ludzi marnych. To nie ulega żadnej wątpliwości i to stało się dlań fatalnem. Mylił się łatwo, bo żył ciągle zmiennemi wspomnieniami, rozczarowaniem i zwątpieniem. Zraniono go boleśnie, nawet śmiertelnie, otoczono ciąglem podejrzeniem. Żył tedy z ową raną nieuleczalną, dumny, samotny i cóż dziwnego, że nie chciał schodzić do ludzi i prosić o popularność. Cóż dziwnego, że odstręczała go sama nawet łatwość.

Ale mimo, że zdawał się obojętnym na wszystko, doznawał pewnej radości, widząc jak garną się ku niemu serca i umysły, jak charakterem swym i samotniczem

życiem, budzi sympatyę. Można w nim odkryć cechy, po których rozpoznaje się filantropa szorstkiego, odpychającego, posiada tę samą nerwowość, uprzedzenia i manie. Jestto mizantrop, którego do tej manii doprowadziła miłość ludzkości i marzenia o złotem jutrze. Wstydlivość tego uczucia widać w staraniu, z jakim je kryje, we wzruszeniu, niecierpliwości i milczeniu. Nagle, wbrew woli zjawiał się na jego twarzy uśmiech życzliwy, na usta wybiegało słowo serdeczne a Blanqui posiadał, choć tego nie chciał, wielką zdolność zjednywania sobie wszystkich, czar pociągania ich do siebie. Nie byłoby to możliwem, gdyby nie był naprawdę szczerym i nie kochał ludzi. Nie stracił niemal żadnego z raz pozyskanych przyjaciół i to nietylko z pośród zwolenników politycznych, oddanych mu ślepo, bo przeświadczonych o niesłychanej potędze jego jako agitatora i trybuna ludu, oczarowanych powagą i tajemniczością, jakie w sobie łączył, ale cieszył się stałem przywiązaniem ludzi, ledwo znających jego ideje i czyny. Mimo wszystko nie odsunęli się od niego, nie oddziały na nich ni lata, ni śmierć nawet.

Toteż do tych ostatnich czuje Blanqui prawdziwe przywiązanie, wobec nich ustępuje napięcie jego nerwów, ustawicznie gotowych do sygnalizowania niebezpieczeństwa, do obrony, z nimi rozmawia Blanqui.

Z młodych lat pozostało mu upodobanie do dyskusyj poważnych, więc i teraz jak dawniej zagłębia się w roztrząsanie filozoficzne i literackie. Co do tego ostatniego przedmiotu zachował także przekonania młodociane. O ile przybyło mu wykształcenia historycznego i przyrodniczego, o tyle nie przyznawał dziś należytego znaczenia przejawom czysto literackiej twórczości. Sztuki, nie uważa za inną, wyższą formułę życia ludzkiego,

tylko bierze ją za kłowna, którego przeznaczeniem rozśmieszać i bawić umysł przeciążony troską o jutro. Upodobał sobie oddawna autorów starych i nie zmienił zdania, lubuje się w surowych historykach, a zarazem poetach lekkich i komicznych, podziwia tedy Tacyta, rozczytuje w Horacym, ale nie przyznałby szczątka talentu i nie czytałby Tacyta nowego, któryby pisał o życiu współczesnem. Jestto zjawisko dziwne, jednak do dziś charakteryzujące ludzi tej mniejwięcej epoki, zwłaszcza Francuzów i nie ulega kwestyi, że gdyby z pośród napływających zewsząd dzieł, kazano Blanquiemu wybierać pomiędzy Balzakiem, a About'em, byłby zapoznał pierwszego wielkiego twórcę i artystę, a bawił się wesoło facecyami, dwuznacznikami i krótkimi epigramatami.

Ironia rozrosła się w nim potężnie czasu lat osamotnienia i męki. Wszystko, co było przeciwstawić jego poglądom zbywał drwinami. Małe jego usta uśmiechały się wówczas złośliwie, z oczu szły ostre przebliski, a cała twarz promieniała wesołością. W chwilach takich był zazwyczaj dobroduszny i jowialny, a przyjaciele podziwiać musieli bystrość jego krytyki i ową nieznużoną ciągłą troskę o przyszłość, która przejawiała się w najswobodniejszej rozmowie.

CXXXIV.

Skupione w sobie życie, jakie wiódł Blanqui w więzieniu Św. Pelagii przechodziło czasem w jednostajność, nużącą nawet takiego jak on samotnika. Wówczas poza czytaniem, pracą twórczą i rozmowami trzeba było znaleźć sobie jeszcze coś innego. Jeden z współpracowników dziennika Sirvena, Jan Dolant, początkujący eko-

nomista, okazujący już teraz wielki talent, miły był Blanquiemu dla powagi i bystrości umysłu. Ten to Jan Dolent przychodził dość często na szachy. Ilekroć młody publicysta zjawił się, twarz starego weterana rewolucyjnego rozjaśniała się wesołym uśmiechem, a na długo nieraz przed godziną jego wizyty Blanqui niecierpliwie się oglądał. Trwało to przez cały niemal czas pobytu w więzieniu. Gdy jeno się przywitani, natychmiast zjawiała się szachownica, obaj tonęli w rachubach, kombinacjach, ogarniała ich gorączka strategiczna i długimi godzinami nic nie przerywało ciszy. Prawie nigdy nie skończyli partii i musieli ją odkładać do jutra. Każdą chwilę czasu Blanqui starał się czemś zapełnić, była to jedna z tajemnic odporności więźnia na szkodliwe wpływy otoczenia w jakim żył. Nie próżnował nigdy. Nawet czasu rekreacji na łące, gdy miał nadychać się świeżego powietrza, bezustanku żadny poprawiać, uszlachetniać duszę ludzką, pędzony wewnętrznym nakazem dawania tym, co nie mają, siadał na ławce, i uczył czytać złodziei, którzy go tłumnie otaczali. Opowiadał mi Jan Dolent, że poznał go w takiej chwili. Blanqui czekając na partię szachów, tymczasem niby apostoł szerzył ewangelie rozumu wśród rzeszy zbrodniarzy.

Blanqui objawiał wyraźną sympatię do innego jeszcze publicysty, lubił bardzo Teofila Silvestra, który dość przychodził co dnia do Św. Pelagii, przez cztery miesiące w roku 1862. Teofil Silvestre niezmiernie żywo zajął się osobistością więźnia i jemu to zawdzięczam notatki nieocenione, w których streszczone są rozmowy i zapisane zwierzenia. Od niego to mam owe portretowe szczegóły, które tak żywo i jasno określają człowieka i niczem wobec nich są wzmianki trupie oficjalnych paszportów i protokołów.

Zda mi się, czytając szkic Silvestra, że patrzę na to „czoło wysokie, wąskie u dołu, zakłęśłe na linii skroni, nad wyraz pełne i szerokie w części górnej, pośrodku wyraźnie rozdzielone na dwie półkule“, że widzę te „kości policzkowe nadmiernie wystające, pozwalające wnioskować o wytrzymałości niezwykłej“, „białka oczu, nieco przekrwione, znużone czytaniem“, „żrenice szarobłękitne, pośrodku których błyszczą dwa światełka, dwie gwiazdki złotawych promieni, nadających im wyraz stanowczy i energiczny, wargę górną wąską, ostro zarysowaną, jakby zakretem pióra artysty, wargę dolną grubszą, podaną wprzód, wyrażającą dobroduszość, łagodzącą wyraz gwałtowny wargi górnej“, wreszcie „delikatnie zatoczone kąty czoła na wysokości włosów“, „czaszke wystającą w części leżącej za uszami“, „szyję nadzwyczaj chudą, pełną fałdów, zmarszczek głębokich i węzłów, z wgłębieniem w miejscu osady głowy“. Zda mi się jeszcze, że widzę „brodę i włosy przedwcześnie osiwiłe“, „ruchy głowy i mrużenie oczu, przyczem nos wydaje się dziobem orlim“, „ręce małe, nerwowe, węzłowate o palcach białych, zawsze czystych, ze starannie obciętymi paznokciami i połyskującej na jednym z nich u lewej ręki obrączce ślubnej.

Teofil Silvestre notuje w dalszym ciągu cechy charakteru i usposobienia, więc między innymi wspomina o przyzwyczajeniu do otwartego dnia i nocą okna, tak że łóżko często szron okrywał, jak to miało nieraz miejsce czasu młodości, jeszcze za guwernerki w Blagnac. Dalej zapisuje starannie, że Blanqui, był cierpliwy, wytrzymały, a jednocześnie lekkomyślny, naprzemian bardzo żywy i czynny, lub znów zatopiony w bezruchu i marzeniach. Dowiadujemy się, że był wrogiem tajemniczości i nie znosił gdy ktoś składał wszystko na fatalizm.

„Nie należę do tych — mawiał — którzy twierdzą, iż rozwój idzie własnym rozpędem, bez woli ludzkiej i aż społeczeństwo nie może się cofnąć ku formom życia przewyciężonym. Przeciwnie, twierdzą, że zło jest winą ludzką, i nie należy tego składać na fatalizm. Zło, nawet pokonane, każdej chwili może wziąć górę. Nie, nie istnieje fatalizm. Gdyby istniał, to dzieje tego świata, które budują się ciągle z wpływających chwil i godzin, byłyby już gdzieś gotowe, napisane....“

Często sprawiedliwe, ale także często dziwne wydaje opinie o dziełach i ich twórcach. Naprawdę, zajmuje go jeno polityka, nauki przyrodnicze i filozofia z niemi związana. Pozatem podziwia styl Veuillota, Teofila Gauthier, pełen jest pobłażania dla pani George Sand, mówi o Bandelairze, że jest czysto epicznym i specjalistą w zakresie rzeczy strasznych, i wreszcie zachwycając się stylem „Historii Żyrodystów“, nazywa Lamartina publicystą „bez stosu pacierzowego“. Obok tego ma za złe Balzakowi, i wymawia mu to często, że podburzył ludzi na ludzi i dał w rękę każdemu broń niebezpieczną, że rzucił oszczerstwo na rodzaj ludzki. Dziwnie brzmi ten zarzut w ustach jasnowidzącego na polu polityki i wojowniczego Blanquiego. A na koniec oburza się na tegoż autora, że całym jego ideałem był pieniądz. Nie poznał się więc na tem, że Balzak opisał krwawą kronikę pieniądza, i odwrócił się od niego, natomiast za pierwszego romansopisarza epoki uznając Pawła de Kock.

CXXXV.

Dowiadujemy się też to i owo z zakresu polityki. W roku 1830 Blanqui był studentem prawa i mieszkał

przy rue de la Harpe. „Nosilem — mawiał — jedną z pierwszych kokard, jakie w r. 1830 robiła pani Bodin z „Pasage du Commerce“. Z oddali czasu wydają mi się teraz zabawnymi kluby polityczne z roku 1848. Mówi: „Niewątpliwie ucierpiały bardzo teatry paryskie owego czasu. Byliśmy im niezmiernie silnymi konkurentami. Większość klubów komizmem przewyższała ogromnie teatr Palais Royal.“

Ale najważniejszą rzeczą i największej godną uwagi jest wyjaśnienie skąd się wzięła nienawiść Barbésa. Długo taił to Blanqui i dopiero teraz zwierzył Teofilowi Silvestre. Słyszeliśmy wszystko co przytaczali przeciw niemu wrogowie, niechże więc wolno będzie także i jego oskarżenia wysłuchać i złożyć je do aktów. Zresztą Blanqui czysto po ludzku, wyłącznie jeno ze stanowiska psychologa rzecz całą bierze i nie tyka niczego, prócz samego charakteru Barbésa. Ale charakter przeciwnika poddaje analizie zasadniczej, nie pomija już niczego, nie szczędzi ni jego skrywanej na dnie duszy próżności, ni głupoty tajonej pod pstrą szatą słów wielu, uroczyстых i nadętych manier.

W roku 1862 cała owa nienawiść Barbésa wydała się Blanquiemu już jeno manią śmieszłą i wprost patologicznym obłędem.

„Tajemnicę — opowiadał Blanqui wracając do dziejów roku 1839 — znała większość przywódców i naczelników sekcji i Barbés wiedział dobrze, że nie mogłem podjąć sprawy 12 maja, by jej zaszkodzić. Wszak zgubiłbym był przez to siebie i żonę swoją, istotę, którą ponad wszystko w świecie kochałem. Długo też sam nie mogłem przyjść na to, gdzie leży przyczyna tej zacieklej nienawiści do mnie. Zazdrość nie wydawała mi się powodem dostatecznym. Ale w końcu odkryłem istotne źródło.

„W roku 1836, podczas fabrykacji prochu przy rue de Lourcine, Barbés zostawał pod mymi rozkazami. Zostałem skazany na dwa lata więzienia, Barbés na rok. Przesiedzieć rok w więzieniu, było to dla Barbésa wielką przykrością. Nawykł bowiem do wygodnego życia, przejażdżek, próżnowania, polowań, włóczenia się z prowincyi do Paryża i z powrotem. Mnie zaś bardzo było na rękę mieć w stronnictwie człowieka, bogatego, pełnego zapału w danej chwili. Stanowił on dobry przykład i mógł wielu innych pociągnąć. Zresztą rzadka to rzecz taki pomocnik, w szeregach rewolucjonistów nie wielu się spotyka podobnych jemu rentierów.“

„Po wyjściu z więzienia, gdzie zapewne dobrze rzecz całą rozważył i postanowił już się nie dać złapać, pod wpływem wrodzonej próżności zapragnął jednak skorzystać z aureoli męczeńskiej, jaką był otoczony i odegrać wybitną rolę w sztabie stronnictwa demokratycznego, gdzie nigdyby nie wybił się na plan pierwszy przy samej jeno pomocy swej inteligencji. I zdarzyło się, że właśnie w porze, gdy czuł się bezpiecznym, wolnym od obaw, i zabierał do sfinansowania swego męczeństwa, ja zmusiłem go do poświęcenia znacznie jeszcze większego i skutkiem zbiegu okoliczności stałem się jego kusicielem, jego złym duchem poniekąd.“

„Zaraz po wyjściu z więzienia podjąłem na nowo me prace i rozpocząłem akcyę, mającą na celu obalenie rządów Ludwika Filipa. Wówczas to, wobec wielu członków partyi spytałem Barbésa, czy sprawa liczyć może na jego współdziałanie i poświęcenie. Pod naciskiem z wszystkich stron Barbés dał słowo honoru, że na pierwsze wezwanie wróci z posiadłości swych w Carcassonne.“

„Wyjechał, ale zamiast zabawić na wsi, jak mówił, dwa tygodnie, siedział tam bez końca, Ponieważ uzna-

łem, że trzeba wystąpić zbrojnie 12 maja i ponieważ mi się to wydało nie cierpiącą zwłoki koniecznością, posłałem po Barbésa. Przyjechał, ale wszyscy wiedzą, że omal życiem nie przypłacił tego przyjazdu, przeze mnie spowodowanego. I tego nie mógł mi już darować.“

„Dawniej, nigdybym nie był wpadł na coś podobnego, ale dziś, znam dostatecznie serce ludzkie, by być pewnym, że prawdą jest to co opowiadam“.

Wówczas Teofil Silvestre rzekł Blanquiemu:

„Wobec tego, Barbés jest konspiratorem wbrew swojej woli. Sądzę, że zasługi jego są jeno tem większe.“

„Nie inaczej, — odparł Blanqui — toteż został za to wynagrodzony przydomkiem „Bayarda demokracji“.

I ile razy w ciągu całego życia Blanquiego ktośkolwiek poruszył w rozmowie sprawę roku 1839 i wspominał imię Barbésa, Blanqui nie omieszkiał nigdy dodać z uśmiechem: „Ach ten lojalny Barbés... nie znałem przez całe życie większego odeń kłamcy!“

Z obowiązku sprawozdawcy notujemy tutaj wszystkie owe ataki i całą obronę, choć cała sprawa przeminęła, a bojownicy pomarli. Czynimy to także dla pogodzenia ich duchów, które dotąd zdają się toczyć bój w omrocnych dalach historii, w pozagrobowych przestworzach, w pamięci ludzkiej.

CXXXVI.

Prawdziwym, istotnym powodem tego przejawu, iż tylni demokratów i rewolucjonistów pałało nienawiścią do Blanquiego i to w tak różnych epokach, — jest jego przewaga umysłowa. Wszyscy inni mimo wielu dobrych stron, niezaprzeczonego poświęcenia, bezinteresowności,

heroizmu dowiedzionego setki razy, nie byli zdolni do tego jednego, by rzutem oka objąć całokształt zjawisk przystosować swój sposób myślenia do coraz to innej sytuacji, zdobyć się na taką ewolucję umysłu. Dzieliła ich przepaść niezgłębiona. Po jednej stronie ludzie z „przekonaniami“, zaprzysiężeni na jedną, raz z trudem odkrytą formułę, nieprzystępni nowym wpływom, a z drugiej Blanqui bezustannie pracujący, nie tracący chwili, chciwy wieści, żądny ciągle, by przywłaszczyć sobie skrawek terytorium poznania ludzkiego.

Żądza wiedzy ogarnęła go całego, sprawiała, że wyciągał ręce do wszystkiego, co się jeno pojawiło, do odkryć nowych, czy świeżych spekulacji filozoficznych. Umysłem jasnym i byстрыm śledził wolno postępującą budowę gmachu wiedzy, wznoszoną przez wybrańców ludzkiego rodzaju. Spostrzegł natychmiast, że pojęcie sprawiedliwości harmonii społecznej do ziszczenia których dążył, nie polega na dogmacie, ale stanowi immanentną część samej ewolucji i, by wiedzieć dokąd się zmierza, trzeba wiedzieć skąd się wyszło i jakie minęło stacje pośrednie. Sen o szczęściu ludzkości, marzenia o jasnym jutrze oparte były teraz o stalowy fundament naukowych faktów, polegały na uznaniu wielkiej zasady rozwoju i udoskonaleniu się człowieka. I oto Blanqui od chwili gdy to poznał, zrozumiał, że cała rzecz polega na wychowaniu, że najbliższą pracą było uwolnić umysły ludzkie od skłonności do despotyzmu, całego szeregu pasorzytniczych idei, przesądów, nawyków i odiedzionych manij.

Poznał to. Ale można sobie wyobrazić, że przerażiło go trochę, gdy się u schyłku życia przekonał jak olbrzymiem jest zadanie człowieka. Przeto musiał stąd wysnuć wniosek, że poprzestać należy na oswobodzeniu

swego własnego nmysłu i serca od naleciałości szkodliwych, i nie jestto wcale rezygnacyą, bo pracować nad sobą, znaczy czynić dobrze wszystkim.

CXXXVII.

Dużo miał ze sobą samym do czynienia Blanqui, podobnie jak miałby każdy, gdyby jeno się wziął do rzeczy. Był on jakoby polem walki, gdzie myśli i instynkty toczyły długie, ciche, mordercze i wyczerpujące boje. Przedewszystkiem musiał się uporać z wpływem swej rasy, wychowania początkowego, różnych konieczności życiowych, tzw. zrządzeń losu. Można uważać za pewne, że upodobanie, jakie żywił do Machiavela i machiawelizmu w polityce miało swe źródło w ciemnym atawizmie, w jakimś tajemniczem drgnieniu w głębi duszy, nad którem nie miał władzy, w odruchu, utajonego w Blanquim Włocha z XVI wieku, awanturnika i mistyfikatora, którego niebezpieczeństwa trzymają w ciągłym pogotowiu do walki, główną jego cechą jest podejrzliwość, a narzędziem chytry podstęp. Książka Machiavela, „Poradnik książęcia“ z którą ni w dzień ni w nocy nie rozstawał się Blanqui jest istotnie dziełem niezwyklej wartości, tak pod względem doskonałej obserwacyi, jak też i rozległego poglądu filozoficznego. a w naszych czasach oddano mu w całej pełni hołd należny i potwierdzono to, co o niem powiedział Rousseau. Nieposzlakowanemi są słowa autora, wygnanego z ojczyzny, potem więzionego, torturowanego, olbrzymią jest jego prorocza wizya zjednoczenia Italii, tak, iż od książki bije światło prawdy i piękna, a zimne, okrutne rady i surowe maksymy świadczą, że znał życie. Oile

nie jest chłostą, jest ta książka wołaniem, modlitwą do siły wyższej, siły zdolnej tę jedność stworzyć. Zwracał się Machiavel do księcia... tak, musiał to zrobić, bo za jego czasów nie wiedziano jeszcze, że takie ogromne dzieła dokonywują się jeno za wysiłkiem jednoczesnym wszystkich ludzi stanowiących społeczeństwo, że to dzieje się jeno pod naporem jednakich interesów, namiętności, idej i że wszystkie owe czynniki razem zwa się siłą rozwoju narodu danego. Machiavel, patryota i republikanin miał ideję potężną, ale marne, dziecinne środki. Chciał z tej rozkawałkowanej Italii targanej przez stronnictwa i obce mocarstwa zrobić kraj wielki, mocny i wolny. Każda prowincya z osobna tkwiła w szponach i była gryziona zębami jakiegoś papieża, księcia, czy kondotiera francuskiego, hiszpańskiego, lub niemieckiego. Chciał tedy z pośród tych drapieżców wybrać najsilniejszego, z pośród okrutników, najokrutniejszego, najgwałtowniejszego, najzdolniejszego, posiadającego największą czelność, najwięcej odwagi i chciał, by ów wybraniec zwyciężył innych, poskromił wszystkie te dzikie zwierzęta, wymordował wszystkie te jaguary krwiożercze i tygrysy, by wygnał całą menażeryę, zarówno cesarzy, jak tyranów miast, papieży, jak i najemnych katów wszystkich stronnictw. Prawie to samo zresztą stało się we Francyi. Poprostu feudał z Ile de France połąknał innych feudałów i utrwalił swój tron stworzywszy jedność. Jestto historia Kapeta, Ludwika XIV, Ludwika XI, Richeliengo.... Potem gdy jedność już się utrwaliła przyszedł lud i obalił ostatniego istniejącego feudała, zrobił Rewolucyę. Jakiż można dać lepszy przykład historycznego rozwoju instynktów. Przecież to samo stało się we Włoszech. Król Turynu odegrał rolę, o której marzył dla swego księcia Machiavelli wobec innych kró-

łów, papieża i obcych burzycieli. Tylko na tem się na razie skończyło, bo prawdziwy książe, sam lud włoski nie powstał jeszcze, by skończyć dzieło. Społeczeństwa żyją tak powoli....

Blanqui przesiadujący u Św. Pelagii pojał ów rys konieczności nieuniknionej, konieczności następstwa faktów, jaki się daje odczuć w dziele wielkiego Włocha i dlatego cała ta polityka tajemnic, gwałtów, nieprzebierania w środkach, byle prowadziły do celu szybko i pewnie, przez oddał trzech wieków znalazły w nim echo. Wiedział przecież, że ponieważ już odbyła się rewolucya, zamknięto bilans filozoficzny i historyczny przeszłości, przeto dziś, jak mu to przedstawiał jasno jego umysł proroczy w rzeczach polityki, cała kwestya sprowadza się do wychowania nowego księcia, do wytworzenia człowieka. Teraz widzi to jasno i przy każdej sposobności powtarza do ostatnich chwil swego życia. A jednak, jednak mimo wszystko, przeciw Francuzowi, Blanquiemu, myślącemu ewolucyjnie, człowiekowi społecznemu, o niezwykłej inteligencji i zdolności ironizowania, powstaje od czasu do czasu Blanqui inny stary, uzbrojony w sztylet Włoch z Florencyi, czy Wenecyi, wierzący w ciemne, zawikłane plany i powodzenie dzieł ogromnych, osiągniętych przez krwawy spisek.

CXXXVIII.

I ten to Blanqui, zamknięty w sobie, despotyczny niedowierzający, sam poniekąd stał się tajemniczym księciem demokracji, który nie odpowiadał na zapytania, pogardliwe robił miny, nadawał swej partyi ton mistyczny, machiawelski, podejrzewał najbardziej oddanych

sprawie i zniechęcał największe w nim pokładających zaufanie. Więzienie spotęgowało jeszcze jego niepokój wewnętrzny i dziką nieprzystępność. Zdarzało się, że nowy zwolennik zachwycony zrazu olbrzymią inteligencją mistrza, powabem jego słowa, wykwintną wesołością, nagle czuł, że wszystko zerwane, stosunki ustały i zdziwiony pytał o przyczynę tej nagłej zmiany, rad się dowiedzieć jakim to fałszywym krokiem, jakim dziecinnym drobiazgiem naraził się mimowoli nauczycielowi. W ten sposób nieraz bez powodu zrywały się stosunki pomiędzy Blanquim, a różnymi wielkiej wartości ludźmi, których zrazu pociągał ku sobie. Chciał z nich zrobić zbyt wiele, chciał, jak to się praktykowało w stowarzyszeniach tajnych, uczynić z nich powolne sobie narzędzia, uczniów apostołów, którzyby działali, nieznając ostatecznego celu i rezultatu swych usiłowań. Niestety większość nie poddawała się temu, pytała o cele ostatnie, chciała dyskutować, zwłaszcza, że Blanqui umiał dyskutować i z wielką łatwością odkryć umiał każdy błąd w systemie innym, przewidzieć konsekwencye, do jakich doprowadzi kwestya fałszywie postawiona, potrafił roztrząsać ideje i sądzić surowo czyny przeciwników. Pomocnicy jego cofali się na pewną odległość, doznawszy porażki w pierwszym zbliżeniu, Blanqui miał wielu uczniów, ale nigdy, ni jednego bliskiego przyjaciela.

CXXXIX.

Czasu odsiadki kary w więzieniu Św. Pelagii nie miało to jednak wszystko wielkiego wpływu i można bez przesady powiedzieć, że Blanqui przeżywał tu

najmilsze chwile swego życia. Poraz pierwszy może czuł, iż go ludzie rozumieją, że ocenia jego wartość młodzież myśląca, że garnie się doń to wszystko co jest najlepszym w porewolucyjnym mieszczaństwie. Ci, z którymi rozmawiał byli zdolni i jego wzajem zainteresować. Zachwycali się nim w tej porze przedstawiciele młodej, formującej się dopiero partii socjalno-demokratycznej, a to z powodu krytycznej oceny, jaką stosował do republikańskiego stronnictwa parlamentarnego. Przeczł też Blanqui największe błędy, w jakie popaść mieli, wyliczył niemal na palcach wszystkich renegatów i ci nawet, którzy zrazu zarzucali mu złośliwość i srogość, nie mieli potem dość słów, by wielbić dar jasnowidzenia. Wreszcie najważniejszym powodem, dlaczego wywierał tak wielki wpływ na umysłowość swych społecznych, była jego filozofia ugruntowana na pozytywnej wiedzy, którą przeciwstawiał mrzonkom religijnym teistów. Przez cały okres cesarstwa, aż do końca snuł się jakby powrotny prąd, jakby wspomnienie idei ośmnastego wieku i ruch ten zaznaczył swój ślad w całej ówczesnej produkcji literackiej, poczynawszy od systemów filozoficznych, skończywszy na dziennikarskich artykułach. Wydawano specjalne miesięczniki i tygodniki mające na celu polemikę antireligijną, a raczej skierowaną przeciwko supranaturalistycznemu pogładowi na świat, ocknęła się myśl i nawiązując znowu do grecko łacińskich tradycji poczęła rozrywać pęta, któremi ją nieproszeni opiekunowie, czasu chwilowego zaćmienia skrepowali. Każdy w owym czasie chętnie zwie się ateistą, materyalistą, pozytywistą, a dawny republikanin z roku 1848, marzący o jakiejś nowej religii, albo wyraźnie przyznający się do chrześcijaństwa należy dziś do rzadkości. I tu widzimy jeszcze jeden z powodów nieporo-

zumień z Barbésem, który ciągle i wyraźnie podkreślał swój deistyczny światopogląd i sympatyę dla chrześcijaństwa. Ale właśnie to, co go dzieliło od tamtego, stanowiło jeden jeszcze więcej powód charmonii, w jakiej żył ze swoimi młodymi zwolennikami i przyjaciółmi.

CXL.

Pośród przyjaciół owych, na wyróżnienie zasługiwał Gustaw Tridon, który później ogłosił studjum społeczne pt.: „*Hebertyści*“. Był to człowiek o umyśle głębokim, sceptyk w słowach zapaleniec w zakresie myśli i czynów, bogaty, a jednocześnie zdolny poświęcić wszystko. Przyjacielem jego był późniejszy znajomy Blanquiego, baron Ponnat, autor dzieła „*Variations du Christianisme*“, odgrywający w tej grupie rolę Holbacha. Blanqui polubił także uczestnika zebrań towarzyskich w swej celi, markiza de Montègre. Był to doskonały bajarz, człowiek nader łatwy w obejściu i miły, a przytem dziwny i tajemniczy. Zjawiał się zawsze wykwintnie czarno ubrany, a nie wiadano czem się zajmuje i z czego żyje. Później się okazało, że był nędzarzem, strzegł jeno troskliwie pozorów i w dniu, kiedy wyczerpał wszystkie środki i zjadł ostatni kęs chleba, poderzwał sobie gardło. Do gości Blanquiego zaliczał się też Ranc i cała czereda studentów medycyny, jak Villeneuve, Taule Clemenceau i inni. Clemenceau miał wówczas 22 lat i dopieroco wyszedł z Mazas, gdzie był internowany na mocy ustawy o zbiegowiskach ulicznych i zaraz, gdy go jeno przedstawił Blanquiemu Taule, przylgnął całą duszą do więźnia Św. Pelagii. Gdy się zjawił poraz pierwszy, zastał Blanquiego siedzącego na łóżku z rśmiechem wol-

teryańskim na ustach. Dziwnie wyglądał i ponuro ten uśmiech na żółtej, jak stara kość słoniowa twarzy więźnia. Wydało się, iż ją czynił czarną, jak kwas żrący. Z pod rozwartej koszuli, wyzierało ciało czyste, białe, starannie wytarte ośródką z chleba, a na kominku leżały jarzyny i przybory świadczące, że ten wegetaryanin sam sobie przyrządza jedzenie. Clemenceau przypro-wadził swego ojca i zaraz okazało się jaką posiada pa-mięć Blanqui. Przypomina sobie, że gość jego, w roku 1848 wystarał mu się o paszport przez pewnego mera wandejskiego w Bazoges-en-Pareds.

Młody student przychodził codziennie przez cały rok niemal. Niebawem Blanqui zwierzył mu się ze swych planów i Clemenceau pojechał do Belgii, by wziąć od doktora Watteau, wygnanego w roku 1851 ręczną prasę drukarską i czcionki. Potem Clemenceau został lekarzem chorób wewnętrznych w szpitalu de la Pitié, a że okna celi Blanquiego wychodziły właśnie na dziedziniec szpi-talny, więc mogli się dowoli porozumiewać zapomocą znaków. Konspirowali czas jakiś, ale nagle wszystko się urwało, a jeden z zaufańców Blanquiego zjawił się u Clemenceau i zabrał prasę drukarską i czcionki. Gdy młody lekarz wyraził w rozmowie z mistrzem swe zdzi-wienie, Blanqui oświadczył mu bez ogródek, że nie po-doba mu się, iż w café de Cluny prowadzi długie roz-mowy z jego wrogiem Delescluzem. Niedługo potem Cle-menceau wyjechał do Ameryki, a Blanqui pozostał na-dal w więzieniu, więc wszystko ustało.

CXLI.

Wszystkie te projekty, wszystkie rozpędy ku czy-nowi mają za tło chorobę. Z samego zaraz początku

pobytu w Św. Pelagii musiano Blanquiego przenieść do szpitala klinicznego, a w jesieni 1861 roku wykonano na nim operację chirurgiczną, która się okazała niezbędną. Przeleżał tam dwadzieścia dni i przewieziono go napowrót do więzienia. O wyzdrowieniu wówczas nie było i mowy, jeszcze w trzy miesiące potem nie mógł podnieść się z łóżka. Niedługo po tej chorobie ponowiły się bole żołądka, a że była to sprawa poważna, na którą rady znaleźć nie było można w infirmerii więziennej przeto dnia 12 marca 1864 roku przeniesiono go do szpitala Neckera, przy rue de Sévres położonego, gdzie też pozostał do końca swej kary więziennej, wedle wyroku najwyższego trybunału kończącej się w grudniu 1865 roku.

Zajmował w szpitalu łóżko Nr 24, w pokoiku pierwszego piętra, przytykającym do „sali św. Jana“. Leczył go Dr Desormeaux, obsługiwały zakonnice, przychodził doń jeszcze inny lekarz, internista i studenci medycyny w celach studyów fachowych. Prócz tego we czwartki i niedziele odwiedzały go siostry i młodzi przyjaciele, o których mówiliśmy wyżej, a co najciekawsze, w sąsiednim pokoju leżał w łóżku, nibyto chory, agent tajnej policji i pilnował Blanquiego. Zaraz też zjawił się, jak z pod ziemi wyrosły Cazavan i nie odstępował chorego.

Ale zwolenników politycznych w tym czasie nie było wielu. Wielka ich ilość siedziała w Św. Pelagii i Mazas. Z pośród tych, którzy przystali do stronnictwa Blanquiego w szpitalu Neckera, na pierwszy plan wysuwa się: Leonce Levraud, przyprowadzony przez Ville-neuva i brat jego Edmund Levraud, dalej Cléray i Jac-lard, który dopiero przybył z Nancy, dla studyów

medycznych. Poznał się z Villeneuwem i został wprowadzony do Blanquiego na początku roku 1865.

Co tygodnia, we czwartki i niedziele przez cały czas pobytu w szpitalu schodzili się znajomi chorego, znosili mu książki, zapoznawali z przeróżnymi młodymi ludźmi, którzy się Blanquiemu wydawali, bez wyjątku niemal rozumnymi i pełnymi energii. W ten sposób poznał Karola Longueta, wydającego wówczas czasopismo „*Ecoles de France*“, w którym Rogeard drukował „*Uwagi Labienusa*“, i zaproponował mu, by ogłosił w swem piśmie rzecz, drogiego mu Tridona, „*Hebertystów*“, noszących zrazu tytuł „*Skazańcy historii*“, („*Les Damnés de l'histoire*“). Pracę tę Tridona cenił Blanqui niezmiernie, mimo, że był zwolennikiem klasycyzmu, jasności, bezpośredniości, a tam było mnóstwo domyślników i romantycznej retoryki i frazeologii.

Wśród rozmów o tem i owem, zwolna wyłaniała się myśl przyspieszenia ataku na imperyalistyczne rządy Napoleona. W tym też czasie Blanqui postanowił napisać i wydać seryę broszur, traktujących o opozycji w Izbie. Tridon, Jaclard i Villeneuve podzielili się pracą i przy pomocy badań historycznych i krytycznych zestawili materiał, obciążający ludzi, których Blanqui uważał za członków i twórców reakcyjnego rządu najbliższych czasów, mogących się zjawić zaraz nazajutrz może po zwycięstwie republikanów nad imperyalistami. Poczęto się krzątać nie na żarty, a gorączka ożywiająca tych wszystkich młodych palonych wewnętrznym ogniom czynu, skierowanego ku wielkiej, zasadniczej odnowie społecznej, ogarnęła też Blanquiego. Znowu mu się marzyć poczęły idee organizacyi grup, oddziałów, tajne związki, kluby i zamachy nagłe, piorunowe, jakich miał pełną duszę czasu Restauracyi i Ludwika Filipa. Ale teraz

był ostrożniejszy, czynił sam sobie zarzuty, wspominał skutki, liczył się z krwią, co popłynie i bardzo często obrady kończyły się tem, że hamował i zaklinał wszystkich, by nie działali bez głębokiej rozwagi. Zwłaszcza doradzał Longuetowi, by nie narażał istnienia swego pisma umieszczając bez celu gwałtowne artykuły, ale uczynił zeń ognisko propagandy nowych idei i punkt zborny sił nowych.

CXLII.

Przez krótki czas, tegoż roku, 1865 miał Blanqui własne czasopismo. Nosiło nazwę „*Candide*“ i ukazywało się co środy i soboty każdego tygodnia. Pierwszy numer nosi datę środy 3 maja 1865. Nie można było i myśleć o polityce. „*Candide*“ był poświęcony krytyce religii i popularyzowaniu nauk przyrodniczych i filozoficznych. Prócz wydawcy, współpracowali tu: Gustaw Tridon, który ogłosił studyum o Karolinie Corday, ślusarzu Gomainie, Servecie i Giordanie Bruno, dalej P. Vaissier, E. Villeneuve, baron Ponnat, Ludwik Watteau-Losson, Viette, Sumino (Dr Onimus) i wielu innych.

Blanqui podpisywał się: Suzamel. Było to skrócenie obu imion żony: Zuzanna-Amelia. Z pod jego pióra wyszła krótka zapowiedź wydawnictwa:

„*Candide*“ — pisał — nie chce dawać „lekkiej“ lektury, na to jest zbyt seryo nastrojony. Nie myśli być tem mniej pismem nudnem, o nie, zginąłby bowiem przyniesiony olbrzymią konkurencją. Pouczyć i zjednać sobie czytelnika, oto jego zadanie. Jestto niewątpliwie bardzo wiele, nie wszyscy potrafią pogodzić miłe z użytecznem, ogromny to problem do rozwiązania i jeśli „*Candide*“ nie podoła, pójdzie tam, gdzie poszło tyle innych

i to tąsamą drogą. Zaprawdę nie wiele cmentarzy ma tak wiele mogił, jak ten wielki punkt zborny“.

W innym artykule podpisanym: „Redakcyą“, P. Vaisier z nazwy pisma wywodzi, iż jestto osobistość zmarłychwstała, nieboszczyk, co wyszedł ponownie na świat. Autor daje mu rysy Blanquiego. Jestto filozof zubożniały na blachostki, który długo w ciszy uprawiał jeno swój ogród, ale wreszcie nie mogąc wytrzymać począł nauczać moralności i sprawiedliwości. Naturalnie licho na tem wyszedł, musiał doznać wszystkich przeciwności, był zdradzony przez zawistnych, pochwycony podstępem obrzucony oszczerstwami. Już mu się dnia pewnego wydawało, iż pochwyci cel swych pożądań, gdy nagle poniósł klęskę, wrzucony został do więzienia, poddany torturom i zmasakrowany. „Candide“ — mówił dalej artykuł — nie mógł przy tej okazji nie zgorzknieć nieco. Cóż dziwnego, że tu i owdzie widna na nim blizna, nie bierze wszystkiego naiwnie i nie wydaje mu się świat różowym. Osmuca naturalnie, gdy się widzi obojętność, gniewa, podłość charakteru, ustawiczne spoglądanie na to, jak ludzie sprzedają się więcej dającemu i wielkie łajdactwo, wyciska z oczu łzy oburzenia. „Candide“ musi walczyć nietylko z wrogami, inkwizytorami wolnej myśli wieków minionych, nietylko ma za zadanie niszczyć urok ich i wpływy, ale zarazem musi tępić ich następców, ich kontynuatorów, a za takich uważa filozofów dwuznacznych, którzy głoszą tzw. religię natury, zamaskowany nauką fałsz. Za mistrzów swych przeciwnie uważa badaczy natury, tych prawdziwych poetów natury i męczenników, którzy w walce za ideały ludzkości nie nie wahali się wystawić siebie samych na cały impet gruzgoczącej nienawiści i figurowali długie czasy jako potępieńcy w historii, gdy byli zbawcami świata“.

W regularnych odstępach czasu Blanqui publikował artykuły, będące wynikiem lektury i rozmyślań. Oto niektóre tytuły: „Nôtre Morale“, „Un père de l'Eglise au IV siècle“, „Le Monotheisme“, „Science et foi“.

Wszędzie daje jasne określenie etyki, jako wytworu ludzkiego, wyłącznie praktycznym służącego celom, walczy z teologiczną formułą odnoszącą wszystko do nieba, wskazuje, iż jestto pułapka i wojenny fortel, żądnej władzy kleru, i omawia niebezpieczeństwo, na jakie naraża ludzkość idealizowanie wszystkiego poza zakres jasnego poznania. Nie zapomina przytem, że poświęcenie i męczeństwo, choć są to szczytne przywileje dusz olbrzymich, nie powinny być obowiązkiem wszystkich, obciążać sumień, podczas gdy przeciwnie poczucie sprawiedliwości i życie uczciwe obowiązuje ogół, bo w sercu każdego znajduje swą sankcyę. Blanqui chce dla każdego stworzyć obowiązek etyczny pracy społecznej. Twierdzi, że ewolucya sumienia ludzkości szła zawsze równem tempem z rozwojem nauk ścisłych i wierzy w przyszły, niedaleki nawet, wiele złoty, kiedy to obowiązywać i panować niepodzielnie będzie stara formuła pierwotnego chrześcijaństwa: „Nie czyń bliźniemu, co nie chcesz, by tobie czyniono“.

Jego krótki artykuł o monoteizmie jest najzwyczajniejszym, najtreściwszym, jakie znam, ujęciem tematu, pełnem mądrości i siły. Wspomina tam rozkwit nauki haldejskiej, ów niesłychany prąd wiedzy i kultury, niemal równej naszej i opowiada, jak zniszczał pod pałacem tchnieniem demona jednobóstwa semickiego, jasno zdaje sobie sprawę ze stosunku, który łączył wielobóstwo greckie i panteizm innych ras z wiedzą, w zakończeniu zaś wykazuje braki biblii, a podnosi Babilon i Grecyę.

W innych artykułach mówi o św. Hieronimie, Ojcu

Kościół w wieku IV, którego owionęło tchnienie starożytności barbarzyńskiej i o Ojcu Gracym, zakonniku wieku XIX, który rospaczliwie sięgał po wiedzę, widział ją na kartach Pisma świętego i chciał stworzyć harmonijną całość. A wszędzie Suzamel-Blanqui jest równie wymowny, bardzo przytem logiczny i porywający za serce.

„Oto noc zapadła — mówi. — Od skał Palestyny odbity zalew semickiego jednobóstwa runął na światy romańskie i pograżył je w swych czarnych nurtach. W ciągu niespełna stu lat świat cały stał się trupem. Wszędzie widać jeno pogorzelska i ruiny, znikła nauka, sztuka, cała kultura ducha. Fanatyzm chrześcijański z pochodnią w ręku przebiega rozłogi rzymskiego imperium, a pod jego stopy wala się świątynie, padają posagi, palą się biblioteki Rzymu i Aten. Na ten widok potwór wydaje ryki szalonej, zwierzęcej radości. Jak samum-niszczyciel, urodzony kędyś na spieczonej słońcem, bezpłodnej pustyni, zerwał się „geniusz chrześcijański“ i startł w pył nieśmiertelne, zdało się dzieła istotnego gieniuszu ludzkiego i wysiłku tylu wieków. Kłątwa i dziś by jeszcze chciano nas obłożyć, a niedawny tu czas, kiedy potępiano całą literaturę, piękną, łączącą w sobie majestat, wymowę, siłę i wdzięk..., potępiano i oczywiście zaraz niszczone, by nie było na świecie już nic więcej prócz piekielnej, wściekłej hysteryi religijnej i ryków bestyj pijanych swym szalem, pozbawionych zmysłów, wołających: Bóg! Bóg! Piekło! Potępienie! Śmierć!“.

Tak pisze, ale tragizm nie wyklucza też humoru. Blanqui w tych słowach charakteryzuje dzieje zdobyczy kleru poprzez długie wieki:

„Przez szesnaście wieków sprzedawali niebo, a skupywali ziemię“.

Nie wyczerpany jest, gdy mówi o Ojcu Gratrym i jego astronomii. Wówczas zdanie jego staje się krótkie, słowa ostre i trafne, jak strzały wbijające się w sylogizmy teologiczne zakonnika. Ale autor ten ma na Blanquiego wpływ, nawet swoje pojęcie Boga zdołał mu na chwilę wszczepić, tylko, że jestto:

„Bóstwo-maszyna, Bóg-siła motoryczna, Bóg odarty z cech i niepotrzebny zgoła, Bóg ateisty“.

I tak to rozumuje zakonnik. Straszliwy znak czasu.

Blanqui w zakończeniu ofiarowuje fotel w Akademii Umiejętności prostaczkowi, który umiał jednak takim być prorokiem.

„Idź tedy — mówi Blanqui — i nie grzesz więcej. Nie łąp dwu srok za ogon, nie pij herbaty u pani Gibon i nie zapominaj o pielgrzymce do Jeruzalem. W Imię Ojca, Syna i Ducha Świętego proklamuję cię największym niewiniątkiem tego wieku. Amen!“

Wydaje się, jakbyśmy słyszeli Voltaira, ale nowy ten Voltaire uczył się pilnie przez całe stulecie i wzmógł się na siłach.

CXLIII.

Nie mógł być trwałym żywot czasopisma Blanquiego, zostało też zawieszono i posypały się kary, przeważnie po miesiącu więzienia opiewające, a to za ogłaszanie rozpraw z zakresu ekonomii politycznej bez upoważnienia i kaucyi. Pismo było, po pierwsze zgłoszone inaczej co do treści swej, miało zajmować się rozstrząsaniem kwestyj religijnych, a po drugie, ponieważ obraziło „kult uznany przez państwo“, przeto przestało po ośmiu numerach istnieć.

Blanqui przekonał się, że niepodobna działać sku-

tecnie z więzienia, czy szpitala, będąc ciągle śledzonym przez szpiega policyjnego.

Nasuwała się też kwestya inna. Co prawda niebawem miał się skończyć czas jego kary więziennej, ale czuł, że go śledzą i wobec istnienia „ustawy o bezpieczeństwie publicznem“, ustawy podstępnej i stosowanej zazwyczaj jeno do niemiłych rządowi przestępców politycznych, obawiał się, że po wypuszczeniu z więzienia może zostać przemocą porwany i bez możności słowa protestu niezwłocznie wywieziony do Cayenny na dożywotnie, lub przynajmniej długoletnie osiedlenie. Ustawa powyż wymieniona, zniesioną została dopiero 31 października 1870 roku. Blanqui oświadczył tedy przyjaciołom, iż postanowił nie czekać zamachu i uciec parę dni przed czasem, w którym wedle jego obliczeń kończył się okres czteroletniej kary, na którą został skazany. Poczęto się zaraz krzątać koło wykonania zamiaru.

Cazavan i Blanqui przypomnieli sobie swe metody z Belle-Ile. Nie one były winne, że się wówczas nie udało, przeciwnie, gdyby nie zdrada przewoźnika, plan musiałby być wprowadzonym w życie do końca. Ale tutaj, w szpitalu, zgoła zbyt cieżko było robić lalki. Szło jeno głównie, by zataić ucieczkę przez kilka godzin w celu wydostania się z miasta i przebycia granicy. W tym celu Blanqui tak się urządził, że zakonnica, przynosząca mu kolację, nigdy go w pokoju nie zastawała. Przez pewien czas, gdy jeno nadchodził czas kolacyi, wydalał się na kurytarz, wałęsał się po całym gmachu, schodził nawet do ogrodu. Z początku pytano się o niego, potem zaprzestano. Zresztą zakonnice były to osoby bardzo dobre, jedną z nich, starą siostrę Martę, która sobie nabiła do głowy, że musi nawracać rewo-

lucyonistów, Blanqui nieraz zmuszał do odwrotu jakimś strasznym, bluźnierczym argumentem i śmiał się, gdy uciekała czerwona i zrospaczona. Druga była młoda, piękna, niebieskooka, nie dyskutowała wcale i prawdopodobnie uważała zawsze spokojnego, siwowłosego starca, który żył tak ascetycznie, za rodzaj świętego. Więc nie było co obawiać się nadzoru.

Tymczasem nadszedł sierpień i dzień oznaczony na wykonanie zamierzonej ucieczki. Była to niedziela, dnia 27 sierpnia. Do Blanquiego przyszli Cazavan i obaj Levraudowie wraz ze swym znajomym, studentem medycyny, Lemblinem. Lemblin nie zajmował się polityką i nigdy tu nie był, a wybrano go umyślnie, by odźwierny i agent policyjny stropili się, widząc obcego, wśród znanych sobie ludzi. Blanquiego bowiem miano przeistoczyć w innego zgoła człowieka. Leonce Levraud obciął mu włosy i brodę, potem ogolił go starannie. Pozbawiony swych siwych pukli i szpecinowatej brody, Blanqui stał się nie podobnym do siebie samego i to w tym stopniu, że przyjaciele zdumieli się. Dół twarzy znacznie się zwęził, czoło zaś i czaszka stały się niezmiernie wysokie i szerokie. Poznać go było może jeszcze tylko po oczach błyszczących, szybko rzucanych spojrzeniach i przenikliwym, ostrym głosie. Z drżeniem nadziei, utajonem w żartach, wsadzono mu na głowę perukę jasną, o długich, kędzierzawych włosach i przykryto ją kapeluszem miękkim. I jedno i drugie nadawało się wybornie do całości i czyniło więźnia niepoznawalnym. Blanqui podczas całej tej akcji, nieco gorączkowo prowadzonej, pozostał spokojnym, żartował z improwizowanym golibrodą, zaklinając, by go nie pozacinał i przeglądał się w małym lusterku, które mu trzymał blisko twarzy Levraud.

Nakoniec nadszedł czas ucieczki. Z pokoiów sąsiednich i sal szpitalnych dochodzą odgłosy pożegnań, ten i ów wychodzi na kurytarz, dozorczy chodzą wszędzie i oznajmniają, że godzina odwiedzin minęła. U Blanquiego nikt nie czeka wezwania, otwierają się drzwi i tworzy się pochód. Po pod nos agentowi policyi przechodzą wszyscy kurytarzem, na przodzie kroczy Lemblin, potem Blanqui, obok niego Leonce Levraud, potem Edmund Levraud, a na końcu Cazavan, który wychodząc, zwraca się jeszcze w progu i mówi, niby to do znajdującego się w pokoju chorego: „Tak, tak, niezawodnie zjawię się we czwartek drogi przyjacielu!“. Zamyka drzwi i łączy się z pochodem. Zresztą spiskowcy już zmieszali się z tłumem niedzielnych gości szpitalnych, którzy tu przybywają do swych krewnych i znajomych. Niebawem minęli lożę odźwiernego.

Nikt Blanquiego nie poznał. Agent policyjny mechanicznie wysłuchał słów Cazavana, odźwierny spojrział niedbale po wychodzących, a nawet zakonnica, przyniosłszy kolację, nie byłaby, wobec nieobecności chorego narobiła alarmu, bo powtarzało się to co dnia. W ten sposób o ucieczce dowiedzieć się nikt nie mógł przed ranem dnia następnego.

Spiskowcy znaleźli się na ulicy i zaraz natknęli się na Piotra Denis, dobrego znajomego Blanquiego, który go nie poznał. Longuet zjawił się też w pobliżu, ale widząc stojącego z dość głupią miną na czatach Villeneuve, roześmiał się tylko i domyślając się czegoś, tej niedzieli, nie odwiedził Blanquiego.

Tegoż wieczora Blanqui wyjechał. Wyszedłszy ze szpitala, musiał czekać na odejście pociągu do Brukseli. Jeden z przyjaciół wystarał się o bilet. Blanqui tedy powałęsał się po bulwarze strasburskim z Levraudem

i Jaclardem, na krótki czas przed odejściem pociągu wieczornego zjawił się na dworcu północnym, w uścisku dłoni przyjął bilet, przeszedł spokojnie poczekalnię, wsiadł i niebawem znalazł się za granicą.

Istotnie, dzięki młodej zakonnicy, nie dowiedziano się o ucieczce aż nazajutrz wieczorem. Opowiadała ona potem siostrzenicy Blanquiego, że spostrzegła zaraz ucieczkę, bo na podłodze zostały włosy obcięte. Ale poczciwa dusza nikomu nie wspomniała, zabrała włosy i wyszła, drzwi szczelnie zamykając za sobą. Zaprawdę dziwne są dzieje ludzkie... ów akt podłej zdrady przewoźnika z Belle-Ile zmasowała dobroć serca młodej zakonnicy.

CXLIV.

Jeszcze przed ucieczką Blanqui napisał do dzienników list z datą 28 sierpnia. Z listu tego wyjątki zamieściły różne pisma, ale tekst całkowity pojawił się w czasopiśmie Lonqueta i Rogearda p. t. „*Rive gauche*“, które teraz wydawali po zawieszeniu „*Les Ecoles de France*“. W liście swym Blanqui wyjaśnia, dlaczego uciekł, i oskarża trybunał kasacyjny o naruszenie ustaw, gdyż jego rekurs czekał na załatwienie sto czterdzieści dwa dni, gdy najdłuższy, zagwarantowany termin oznaczony jest na dni czterdzieści jeden.

„Nie trwała moja kara — mówi — lat cztery, ale cztery i pół, to jest o 12 proc. dłużej, jak brzmiał wyrok. Naturalnie nie myślę narażać się na dalsze gwałty. Sądzę, że poddawać się nielegalnemu, wołającemu o pomstę prześladowaniu, znaczy to niemal tyle, co nadawać mu cechę legalności. Przeto wynoszę się z kraju, protestuję przeciw nadużyciu i nie godzę się na dodatek ła-

skawy owych stu dni kary. Ukłony zasylam mym gnębiicielom i opuszczam ich... czy na długo, powiedzieć na razie nie mogę“.

W pięć dni potem, dnia 2 września pisze Blanqui nowy list z Brukseli, omawia w nim artykuł z „Gazette des Tribunaux“ i udowadnia, że go ponad czas przetrzymać chciano w więzieniu.

Poczęto na ten temat dyskutować, posypały się zaczepki, odpowiedzi, ataki, apologie, aż rzecz zakończył Rogeard, udowadniając, że mnóstwo ironii mieści się w całym tym formalizmie listów Blanquiego i drwin z „legalności“ współczesnych ustaw cesarstwa. Czyż nie wystarczy uznać zdrowym rozsądkiem, że dobrze zrobił że uciekł? Więcej hyba niema tu co dowodzić. Ucieczka co prawda znowu udaremniła Blanquiemu wszelką jawną działalność społeczną, propagandę otwartą, skazywała go na tajną konspirację, ale deportacya, zagrażająca po odsiedzeniu kary, byłaby jeszcze bardziej odcięła go od wszystkiego. Pozatem uzyskał spokój, swobodę ruchów niejaka, mógł się przynajmniej komunikować wprost z ludźmi, pozostać w kontakcie ze światem żywych i nie był już teraz skazany na owo ciągłe napięcie woli i myśli, wysyłanie duszy na zewnątrz celi, tam gdzie się formują stosunki ludzkie. Już teraz mógł własnymi oczyma oglądać te wszystkie drobne, ale bezustanne zmiany i modyfikujące się wciąż wzajem ruchy, które stanowią, które tworzą życie społeczne.

CXLV.

Niemal wprost z więzienia, tegoż jeszcze roku 1865, Blanqui udaje się do Genewy, gdzie wiedzie życie miłe,

ków trzymać w swych rękach miasto, ale by mógł stworzyć rząd, niezbędne mu były przyzwolenie i pomoc większej części ludności, a dla prowadzenia polityki ogólnej, zdolnej walczyć z warunkami, stwarzać nowe formy, zmierzać ku olbrzymim reformom społecznym musiałyby zostać uznany, móc mówić, być słuchanym i posiadać kredyt moralny mas.

Ale wiele rzeczy złożyło się na to. Samo jego stronnictwo starannie podtrzymywało często fałszywy pogląd, jaki sobie nań wytworzono w roku 1848, zamiast uczynić zeń wyobraziciela idei, którym sami wszyscy służyli. Przeszkodziły temu brzydkie namiętności ludzkie, zawiść, zazdrość, gniew, interes osobisty, nadzieja zysku, a ci właśnie, którzyby powinni byli dać przykład, poświęcić swe uprzedzenia sprawie wielkiej i świętej, nie zdobyli się na to, pozostali zaślepieni w egoizmie i wrogiej ślepcocie.

Nie mam na myśli ówczesnej „oficjalnej“ opozycji. Większość z nich brała czynny udział w ruchach roku 1848 i przekonano się co potrafią. Blanqui nadto uważnie i długo śledził fazy ich ewolucyi, by miał się łączyć nadzieją jakiegokolwiek porozumienia. Oni ze swej strony, też nie daliby mu nawet tej dozy sprawiedliwej oceny i uznania, do jakich każdy człowiek ma niezaprzeczone prawo. Leżała pomiędzy nim, a nimi przepaść niezgłębiona. Ale byli inni, ci którzy głosili codziennie z zapalem, że dążą ku nowemu jutru, ci, powinni by byli teraz właśnie, z wszystkich istniejących elementów stworzyć zastęp bojowników o lepszą przyszłość. Dziwne doprawdy, że nie uczynili nic. Blanqui w roku 1848 tak przeraził mieszczaństwo, że okrzyknięto go potworem, zakałą rodzaju ludzkiego. Ludzie ci, teraz właśnie powinni byli głośno powiedzieć, co ten człowiek

wart, odsłonić przed całym światem ile wycierpiał dla swych przekonań, przelamać głupie zapatrywanie, jakie się odnośnie do niego utrzymało, słowem nową energią tchnąć w jego życie. Tymczasem ci jedyni, którzy wiedzieli, jak sprawy stoją i mogli to uczynić, milczeli. Tu i owdzie odzywały się głosy pojedyncze, sumienia wołały o sprawiedliwość, ale tak cicho, że nie wielu usłyszało.

Blanqui poznał też, że nie wypłynie nigdy na powierzchnię i milczał. Zresztą cóż mógł uczynić? Był myślicielem i tworzył wciąż dzieła myśli. Ale dzienniki zamykały się przed nim, mógł się tedy wypowiadać jeno w broszurach i książkach. Ale był to równocześnie człowiek czynu, chciał widzieć natychmiastowe ucieleśnienie się myśli, a książka do tego się nie nadaje. Książka przenika w umysły powoli, jestto działanie systematyczne, obliczone najczęściej na przyszłe pokolenie. Inaczej trudno pojąć, by Blanqui nie miał natychmiast pozyskać sławy wielkiego publicysty. Pomijając nawet potęgę jego słowa, miał niezmierną łatwość pisania i pewnem jest, że choćby nie był doczekał żniwa, widziałby niewątpliwie kiełkowanie swych idei, imię jego, byłoby znane, wyrosłaby młodź, znająca jego dzieła wydane i czekanoby na ukazanie się w druku — tego, co pisał czasu swych długoletnich przesiadywań po więzieniach i w krótkich okresach wolności, w latach, gdy marzyły mu się plany przemiany zła w dobro, łez niedoli w uśmiech radości.

Ale wszystko to były jeno możebności. Pozostał czem był. Rwało się w nim wszystko do czynu od najwcześniejszej młodości, a zawsze poryw każdy musiał być zgębiony. Wszystko cokolwiek chciał, natychmiast wciągano na indeks, poddawano nadzorowi, zamykano

do ciemnicy za pierwszym zaraz przejawem, albo przedtem jeszcze i w ten sposób Blanqui był z natury swej i z przeznaczenia ciągłym, dożywotnym więźniem. Społeczeństwo, przeciw któremu powstał, okrzyknęło go niebezpiecznym maniakiem, potworem uosobionym. Z nazwiskiem jego zrosło się pojęcie przewrotu, kataklizmu i nieszczęść społecznych, to więc wszystko „obrońcy ładu i porządku“ odrzucali od siebie, zamykając Blanquiego ciągle do więzienia. Tak im się przynajmniej zdawało.

Takie to dziwne losy czekają jednostkę, żyjącą w obcym sobie, albo nawet wrogiem społeczeństwie. Określoną zostanie taką, a taką i nic już nie pomoże. Sam nawet ów człowiek musi poniekąd przystać na wyrok, który go deformuje nieraz na duszy i ugina pod jarzmo posłuchu wobec legendy szerzonej o nim samym. Pozostając tedy tym samym, człowiek staje się jednak innym i musi się natrudzić niemało ktoś, kto po pewnym czasie chce odnaleźć istotną postać danego indywidualum pod ową powłoką twardą, powstałą z chemicznych niejako w akcji wzajemnych idei sprzecznych, pod specjalną patyną „opinii“, na którą składają się niedokładne informacje i celowe kłamstwa, dyktowane interesem osobistym oszczercy.

CXLVII.

Po ucieczce swej ze szpitala Neckera, od roku 1865 do 1870, Blanqui żył jak zawsze zamknięty w sobie, tak, że nic istotnego o tym okresie nie wiemy, mimo, iż stykał się z mnóstwem osób przeróżnych. Nigdy większą tajemnicą nie osłaniał miejsca swego

mieszkania, szczegółów życia prywatnego, nawet wówczas, gdy sekret taki nakazywało własne jego bezpieczeństwo.

Zrazu, po podróży do Szwajcaryi przebywał w Brukseli i żył spokojnie zdala od zgiełku, polityki, dyskusyj z przeciwnikami. Widywał się z kilku jeno przyjaciółmi i był skąpy w objawach sympatii. Potem, jak gdyby nigdy nic nie zaszło, mimo ustawy o „bezpieczeństwie publicznem“ wracał raz po raz do Paryża, może w celu porozumienia się lepszego ze swymi stronnikami, uznawszy listy za niedostateczne w chwili, gdy zbiera się na coś poważniejszego, a może jeno pędzony tęsknotą za krajem i powietrzem paryskim.

Z Brukseli obserwował Blanqui wyczerpanie europejskie roku 1866 i apoteozę cesarstwa w roku 1867, słyszał też ostrzegawczy grzmot, katastrofę meksykańską, która się wydarzyła w pełni wystawy światowej. Upadek nadchodził szybko, można go już było spostrzedz. Dostatki i pomyślność doszły do granic ostatecznych, pieniądze napływały do cesarstwa, które korzystało z nowych warunków ekonomicznych, mnożących się z dnia na dzień wynalazków w zakresie budowy maszyn, zakładanych coraz to innych linii kolejowych, rozkwitu przemysłu. Ale jednocześnie szerzył się syty optymizm, beztroskie zadowolenie, lekkomyślność i złowrogie zamięłowanie reskoszy, co poprzedza zawsze katastrofę. Ktokolwiek pomyślał choćby przez chwilę, musiał dojść do pewności, że ucztę przerwie kataklizm i stronnicy rewolucyi, wierzący, że tą drogą Francya odzyska swą republikańską formę rządu, z niecierpliwością wyczekiwali walnej bitwy, któraby unicestwiła cały ten groźny i pasorzytniczy imperyalizm.

Nareszcie zdawało się, iż budzi się świadomość,

że poczynają się ruszać masy. Pauperyzm wzrósł niezmiernie równoległe z dobrobytem przemysłowym, a w Londynie, właśnie teraz, w r. 1864, na kilka tygodni przed śmiercią Proudhona założono „Międzynarodowy Związek robotniczy“, potężną „Międzynarodówkę“. Zjawiają się też jaśniej określone niż w r. 1848 i na bardziej naukowem tle oparte teorye socyalistyczne, cały świat zda się przecierać oczy. Ale Blanqui i teraz, jak zawsze zresztą poszedł swoją drogą. Pracował właśnie niezmiernie nad rozwiązaniem palących kwestyj, badał problemy z zakresu ekonomii politycznej, wreszcie jął się na nowo idei swojej dawnej, postanowił zbliżyć się do najbardziej niezadowolonych i za ich pomocą dać w rękę władzę tym, którzyby najmniej utrudniali w przyszłości dalszy rozwój, dalszą ewolucyę, którychby zresztą potem usunąć można.

CXLVIII.

Jał się tedy starych praktyk, wypróbowanych czasu Restauracyi i Ludwika Filipa. Postanowił sformować grupę centralną i zwolna przybierać nowych zwolenników, starannie przebierając między zgłaszającymi się, nie oznaczając ni programu, ni daty jakiejś zaczepnej akcji, jednym słowem postanowił zorganizować szeroko rozgałęziony związek tajny. Powiodło mu się to w znacznej części i został przywódcą, którego autorytet szerzył się coraz to dalej po dystryktach rewolucyjnych.

Sformowaniem owych dystryktów, owych grup ludzi zdecydowanych i uczciwych, zajęli się gorliwie przyjaciele Blanquiego, dziś oficerowie w służbie rewolucyi: Jaclard, Genton, Duval, Granger i Eudes. W latach 1866 i 67 rozpoczęto propagandę, cicho, zwolna, pod-

kradając się tylnymi wejściami w gmach imperyalizmu, z rozwagą i wprawą godną podziwu. Pod Paryżem widocznym dla wszystkich, objętym uciechami, połyskującymi iluminacjami, hałaśliwym i rozgadany, spał inny Paryż. Myślano, że umarł, ale teraz właśnie ta moc ogromna zbudziła się ze snu, poczęła skłębiać w sobie, skupiać, gotować do wybuchu. Budzi się Paryż rewolucyjny, republikański, odżywa i przypomina swą rację bytu, cel swego istnienia. Trzeba było piętnastu lat nędzy i katowań, by tchnąć w nowe pokolenia robotników, nie już nadzieję w powodzenie, ale samą wolę zaprowadzania jakichś zmian w ustroju społecznym. Tym razem jednak na widownię występuje uświadomiona klasa społeczna, jest to ruch oparty na jasnych postulatach ekonomicznych. Nareszcie poskutkowały nau czki, jakich los nie szczędził ludowcom, upojonym wiarą w dobrą wolę i pomoc ludzi stojących u steru i bogaczy. Filozofia pozytywna i literatura ożywiona duchem prawdy bezwzględnej, stworzyły atmosferę realistyczną, która ogarnęła wszystkich. Tak mówiono, tak pisały dzienniki. Romantyzm dobiegł kresu swego rozwoju, zabłysnął szeroką łuną w dziełach Wiktora Hugo i poetach „Wschodu“, a koroną jego są „Nędzarze“. Teraz wszystka energia i myśl cała większości skierowane są do zdobycia jutra, do czynu.

Tak sądziła większość, a mniejszość bawiła się, spacerowała po bulwarach, zapełniała teatry, areny wyścigowe, pokładała się od śmiechu, czytając satyryczne kroniki Rocheforta. Nie spostrzegali oni oznak, aż nadto widocznych, rozkładu i niewiele sobie robili z filozofii i literatury. I trudno było sobie wyobrazić, by ci „wybrańcy losu“ mieli się domyslać, że w Paryżu, owym oceanie hałaśliwym życia, regularnej, codziennej pracy,

miał się gotować spisek ludzi silnej woli, że ci ludzie dnia pewnego, pośród bachanalii, zjawią się z bronią w ręku i położyć będą chcieli koniec rządóm, które stoją w poprzek zadanióm i celóm najbliższým ludzkości. A jednak tak było. Pośród owych urzędników, robotników, snujących się ulicami, niczem nie wyróżniających się od innych atomów, składających razem tłumy, które pracowały po dniach całych, a wieczorami wypoczywały na werandach kawiarni, lub tylnych salkach handlarzy win, pośród nich wszystkich mnóstwo było spiskowców zajętych gorliwie propagandą, starających się usilnie o broń, gotowych na każde zawołanie. I jakżeby ci próżniacy mieli wiedzieć cokolwiek o robocie rewolucyjnej? Przez cały okres organizacyjny postępowano tak ostrożnie, tak sprytnie, przez całe miesiące i lata chowano tak wiernie tajemnicę, że ani jednego nie narażono zebrania, nie podano w podejrzenie ani jednego ruchu, całej tej, coraz liczniejszej gromady ludzi, a policya polityczna cesarstwa, w istocie słusznie ciesząca się opinią straszliwej i wszystkowiedzącej, ani razu nie miała sposobności wystąpić.

CXLIX.

Organizacya sięgnęła w istocie daleko. Pierwszą grupę sformowali Jaclard, Genton i Duval. Była to trójca, złożona z jednego studenta medycyny i dwu robotników i wyrażała doskonale wojenną formułę owych czasów. Zwolenników dostarczyły przeważnie północne i wschodnie dzielnice, począwszy od Montmartre, poprzez Chapelle, la Villette, Belleville, Ménilmontant, aż do Charonne. Granger i Eudes ze swej strony skupili

elementy rewolucyjne brzegu lewego, dzielnicy łacińskiej, Gobelinów i Montrouge. Niemal co dnia wzrastały zastępy, widać było w oczach, jak przybywa bojowników wolności. Jednostki bojowe szybko połączyły się w dziesiątki, z dziesiątek powstawały setki. Było ich pięćuset, potem ośmuset, potem tysiąc, potem dwa. Najwyższą zdaje się cyfrą, jaką osiągnięto, było 2500 spiskowców.

CL.

Gdy wszystko było już w pełni rozwoju i ruch szerzył się niepowstrzymanie, Blanqui począł w regularnych odstępach czasu przyjeżdżać do Paryża, Z początku wpadał jeno od pociągu do pociągu do starszej siostry, pani Barellier, zamieszkałej przy rue Cardinal-Lemoine, lub Eudesa, przy rue Vavin. Ani razu jednak policya nie domyśliła się i nie dała mu się we znaki, Wówczas począł przedłużać swe wizyty, żył tu, jakby go nie było, wszystkim pozwalając wierzyć, że mieszka w Brukseli. Nawet same jego siostry, dla oszczędzenia im przykrości, w razie denuncyacji czyjejs, nie wiedziały nic pewnego, tylko najbliżsi: Granger i Endes byli wtajemniczeni w to, gdzie mieści się jego kryjówka.

Przebywał czasem po pół roku w stolicy. Granger i Eudes wynajęli dlań pokój na szóstym piętrze przy bulwarze Montparnasse, niedaleko rue Vavin. Pod obcym nazwiskiem żył sobie tam i nikt o nim nie wiedział. Zwał się: pan Baduel. Z różnicą, że wychodził kiedy chciał, co także ma swą wartość, Blanqui żył w owym pokoiku w Paryżu, zupełnie jak żył w celi więzienia Mont-Saint-Michel, Doullens, Belle-Ile, Corte i Św. Pelagii. Nawykł do szarych murów i samotności

i nawet będąc na krótko wolnym, nie zmieniał już przyzwyczajęń. Więzienie ścigało go tedy niejako, otaczało go gdziekolwiek stanął, czy może on sam wysiłkiem woli stwarzał je dla siebie ku ochronie własnych, a drogich tajemnic.

Wstawał, jak zawsze, o świcie, oddychał u okna, jak ongi poprzez kraty, świeżem powietrzem, mył się starannie, pił mleko, cerował skarpetki, naprawiał ubranie i zaraz, ledwo ubrany, siadał do pisania, lub zanurzał się w książkach. Jednym też z głównych powodów owego odcinania się od ludzi, był głód wiedzy i namiętność do pracy umysłowej. Około południa wychodził, mijał ulice, aż na rogu rue Vavin wchodził do domu, gdzie mieszkał Eudes. Szczupłego, szybko idącego mężczyzny nikt, zda się, nawet nie spostrzegał. U Eudesa jadał obiady i kolacje, przyjmował znajomych i interesentów, nie znających jego prawdziwego mieszkania. Dla nich przemieszkował tu, albo przy rue Cardinal-Lemoine. Zastawali go też zawsze zajętego szyciem lub pisaniem, ciągle uśmiechniętego, uprzejmego. Lubił słuchać i zerkać z pod oka na mówiącego, potem pytał, zadawał dużo pytań, śmiał się nawet nie gardząc pieprzonymi dowcipami i dwuznacznikami.

W tym to małym pokoiku, przy bulwarze Montparnasse powstało studjum o Jezusie, napisane z racji pojawienia się książki Rénana, dalej rozprawy o fatalizmie, o wolności przekonań, o pozytywizmie, o idei bóstwa, o kobietach, mnóstwo notatek politycznych, w których coraz bardziej zaznacza się kierunek filozoficzny i uwag odnośnie do wydarzeń bieżących i artykułów dziennikarskich. Tutaj też doszedł do sformułowania swej życiowej maksymy: „myśl jest jedyną bronią słabego“ i tutaj też wracając do ulubionej swej idei, broni

materyalizmu, który obwiniano o srogość, z racyi iż głosił nicość po śmierci, wieczystą rozłąkę istot kochających się, odbierał wszelką pociechę. „To co mu zarzucacie — pisał Blanqui — jest jeno zaletą jego. O jakże wszyscy łatwo się pocieszają“.

Wieczorem wracał od Endesa do siebie i siadał do roboty. Czasem jednak, albo z Eudesem i Grangerem szli po Tridona, Jaclarda, Gentona i Duvala i całą gromadą włączyli się po mieście. Blanqui z wielką przyjemnością odnajdywał ulice znane z czasów młodocianych, odległe od miejsc, gdzie panoszyło się wyzłocone „drugie cesarstwo“, często też zjadano kolację w jednej z garkuchni przedmieścia St. Denis. Nachodziwszy się do syta Blanqui nie pogardzał mięsem i winem, zmieniał też czasem swoje menu i przy tej okazji zazwyczaj mówił o powodach i korzyściach pewnego, specjalnego sposobu życia w więzieniu.

Życie jego było niezmiernie proste. Teraz na wolności, był równie biedny, jak przedtem w więzieniu. Ale siostry dla brata pokonywały czasem niemożebność nawet samą i dostarczały mu co mogły, nie licząc ile nań wypada jako część spadku po matce. Spadek ten sam był niezmiernie mały, ale dałyby mu nawet miliony i życie w dodatku. Był ich bratem i dzieckiem jednocześnie. Zgody i miłości nic nie mąciło i choć pani Barrellier była gwałtowna i wymowna, a pani Antoine rozważna i przezorna, Blanqui szanował zapatrywanie obu siostr, był dla obu równie serdeczny, uważający zawsze jednako, pogodnie usposobiony, zadowolony, tak, że wprost dziwił obie kobiety tą swoją życiową filozofią, która każe wszystko jakiem jest przyjmować, tą regułą niezachwianie obserwowaną bez względu na okoliczności zewnętrzne.

Podobnie zachowywał się wobec odwiedzających go

przyjaciół. Nie wymieniono w takich sprawach nigdy ni słowa i Blanqui przyjmował egzystencję, jaką mu przygotowano. Wynajęto dlań pokój, zainstalowano go tam, dostarczono rzeczy najkonieczniejszych, a on sam nie potrzebował nawet wiedzieć w jaki czarodziejski sposób ułożyło się nowe jego życie. Nie trapił się tem nigdy. Tak się zacieśnił w swych wymaganiach, petrzebywał tak mało, że nie było się o co troszczyć. Człowiek domagający się dla wszystkich sprawiedliwości i szczęścia, umiał opanować swe pożądanja i radość nauczył się odnajdywać w sobie samym, tak że pogardzał wielu rzeczami, mającemi dla większości pierwszorzędne znaczenie, a może nawet nie znał ich wcale. Nie wiedział co to gorączka złota, uciech zmysłowych i wszystkie, a tak różnorakie środki zadowolenia pychy ludzkiej. Był tak czysty, tak uduchowiony, że kroczyć mógł ulicami stolicy świata bez drgnienia jakiegokolwiek pożądanja, zmieniać pomieszkowanie stosownie do tego jak mu poradzono, raz spać u siostry, to znów u jednego przyjaciela, potem u drugiego, że mógł tak żyć niemal poza życiem pod troskliwą opieką dwu kobiet i rzeszy wielbicieli jak mistrz wśród gromadki wiernych. Otaczano go niezmiernym szacunkiem i każdy za obowiązek sobie uważał uwolnić go wedle sił od trosk życiowych, zapewniając możność spokojnego myślenia i pracy.

CLI.

W czasie owym Blanqui pośród rozgorączkowanych żądnych czynu zwolenników swoich i żołnierzy, których sam skrzyknął w szeregi odgrywał rolę poskramiacza,

jakiegoś hamowniczego. Wiedział on dobrze, że szło o rozbicie maszyny potężnej i sprawnej, bał się przeto, by zbyt szybko wydane hasło do ataku nie udaremniło celu ostatecznego, przywrócenia republiki. Wszyscy zwracali mu uwagę na przejawy świadczące, że już czas zaczynać. W istocie wrzenie w masach potęgowało się z dnia na dzień, tłumy drżały z niecierpliwości. Opozycja parlamentarna okazała się niedostateczną, drwili też z niej wszyscy. Zmienił się nagle zasadniczo ton czasopism, zjawily się pamflety, nic nie pomagały kary, więzienia, grzywny. „Lanterne“ Rocheforta ziała ogniem, od którego snadnie zająć się mógł tron cesarski, Tenot ciągle opowiadał historię zamachu stanu, nastąpiła manifestacja Baudina i proces, nagle rozbrzmiał głos Gambetty, kwestyonującego „prawne zaczątki cesarstwa“. Paryż zadrżał, wszyscy nagle przemówili głośno, poczęli się kupić i naradzać. Jakże więc wśród owego wrzątku miała obojętną pozostać mała armia rewolucyj?

W tej chwili Blanqui zajęty jest pisaniem swej „Instrukcji dla powstańców“. Jestto wskazówka, co czynić należy czasu rewolucyj, rzecz napisana z ogromnem staraniem, roztropnością i na podstawie niepojętych wprost obliczeń. I tu przejawia się raz jeszcze łączność jego duchowa z Machiavellim, autorem dzieła „Dyalogi o sztuce prowadzenia wojen“. Jak tamten Blanqui jest równocześnie organizatorem, inżynierem i intendantem w tej wojnie ulicznej. Dla swych żołnierzy-przyjaciół stwarza rozumowaną teorię rewolucyj, szkicuje plany bitew, opisuje jak należy budować barykady, rysuje rozkład ulic, układa proklamacye do ludu, do armii, do żołnierzy, do oficerów.

Przy rue Vavin schodzą się ciągle Jaclard, Duval, Genton i wszyscy, wraz z Eudesem i Grangerem nastają

na Blanquiego, by dał hasło rozpoczęcia. Jest teraz, z końcem roku 1868, ośmiuset spiskowców, porozstawianych nawet w różnych punktach dziesiątkami, pięćdziesiątkami i setkami. Nocą, na wzgórzu Montmartre, od strony bulwarów zewnętrznych odbywały się teraz nawet prawdziwe wojskowe ćwiczenia, próby koncentracji, podchodzeń, rozsypywania się. Na owych 800, jednak ledwo stu posiadało broń. Pozostali 700 mieli bezpośrednio po wybuchu ruszyć na większy skład broni. Ale zwykły sklep nie byłby wystarczył, mieli przeto poleczone wziąć szturmem jedną z kasarń. Oczywiście pojawiły się różne plany, jedni radzili iść wprost na prefekturę, potem na ratusz, zająwszy kasarnię księcia Eugenisza w dzielnicy Temple. I w armii dawało się też czuć wrzenie. Nie było legendą, ale faktem, że blanquiści sięgnęli swą agitacją w armię, porozumieli się z podoficerami i rzucili tam posiew onego dnia, w którymby armia i lud porwały się razem i weszły do Tuilleryów.

Ale pojawił się też jeden projekt, do którego zdawał się wielką wagę przywiązywać Blanqui. Szło o zajęcie fortu Vincennes i trzymanie się tak długo, ażby się ruszył lud paryski. Istniały już pewne stosunki z żołnierzami, a Jaclard podjął się pracować dalej gorliwie i porozumieć się z demokratycznie usposobionymi oficerami. W tym celu chciał zamieszkać w pobliżu, żyć się z nimi. Blanqui na to wszystko spytał: „Jak długo potrwają te prace wstępne?“ — „Pół roku“ — odpowiedział Jaclard. „To za długo“ — rzekł Blanqui i projekt upadł na razie.

W ten sposób Blanqui ostrzegał, badał, kierował, wreszcie powstrzymywał rozgorączkowanych, mając na celu nie efemeryczny jakiś sukces, ale chcąc dać pochop do istotnej zmiany formy rządu do przywrócenia republiki.

CLII.

Z początkiem roku 1869 praca wzmaga się jeszcze, między innymi powraca projekt z fortem Vincennes. Ale następuje pewne starcie wśród przywódców stronnictwa i to w chwili najwyższego napięcia niecierpliwości w szeregach blanquistowskiej armii rewolucyjnej liczebnie niewielkiej, ale znakomicie teraz wyszkolonej. Do Eudesa zaproszeni zostają jeno Genton i Duval. Ale żądają oni, by przybył też Jaclard, z którym zawsze godzili się w zapatrywaniach, Blanqui posyła doń z uwiadomieniem, by nazajutrz zjawił się o oznaczonym czasie na Place Clichy. Był to punkt zborny pod gołem niebem w gęście Blanquiego. Miał upodobanie naznaczać schadzkę na jakimś ludnym bulwarze, ogrodzie Luwru, pośrodku jakiegoś placu, wogóle w miejscach odstępnych nie podejrzanych, otoczonych policyjnymi posterunkami, skąd wzrokiem można sięgnąć daleko i dostrzedz każdą podejrzaną figurę.

Blanqui i Jaclard rozmawiali tym razem, idąc obok siebie bulwarem zewnętrznym. Wnet przyłączył się do nich doktor Lacambre. Blanqui wykładał swój projekt zajęcia jakiejś, bliżej na razie nie oznaczonej kasarni i zapewniał, że wierzy w możliwość i powodzenie powstania. Doradzał też rozpocząć w któryś dzień karnawału, naprzykład niedzielę, poniedziałek, albo tłusty czwartek wogóle w czasie, kiedy ludność będzie myślała raczej o wszystkim innym, jak powstaniu. Zupełnie tak samo postąpiono w niedzielę 12 maja 1839. Na to Jaclard wystąpił z zarzutami, i wyraził przekonanie, że nie należy robić ludności niespodzianki, nie trzeba ryzykować akcji rewolucyjnej wśród otoczenia zdumionego, bo zdumienie dalekiem jest od zapału, a może przemienić się

w niechęć, może nawet wybuch uczuć wrogich. Lepiej jego zdaniem, wykorzystać jakiś dany nastrój, porwać za sobą ludzi już poniekąd przysposobionych, oczekujących czegoś wielkiego. Blanqui słuchał z wielką uwagą, Jaclard mówił długo, szeroko rozwodząc się nad kwestyami strategicznymi, obliczając odległości, aż wreszcie skończyło się sporem dość żywym z doktorem Lacambre, czemu położył kres Blanqui, dając Jaclardowi rendez-vous na dzień następny na Place du Château d'Eau, naprzeciwko kasarni księcia Eugeniusza.

Spotkali się tam istotnie i Blanqui oświadczył Jaclardowi, że uznaje słuszność jego zarzutów i całe przedsięwzięcie zostaje odłożone. Jaclard pragnął dowiedzieć się czegoś więcej, ale Blanqui, jak zawsze w podobnych razach nie odpowiadał wcale i zdawał się być Hamletem cichym i rozmarzonym, obliczającym cały ogrom zadania i zadumany nad swym losem.

CLIII.

Nie wyrzekł się jednak wszystkiego, na to był zbyt rozważny i wytrwały. Tylko w miarę przybywania lat coraz lepiej zdawał sobie sprawę z trudności, czuł wyraźniej dysharmonię między lotem myśli, co wszystko wyprzedza, a mozolnym ruchem społeczeństwa kroczącego zawsze w tyle i całą siłę woli wyteżył w kierunku zmienienia ustroju i sposobu myślenia mas. Wszystkie jego dzieła noszą niezatartą cechę tych usiłowań. A właśnie teraz, w owym najcichszym, najpewniejszym okresie życia uświadamia sobie wiele kwestyj, które go zdawna trapiły i pracuje nad rzeczą dłuższą z zakresu ekonomii politycznej pt.: „Kapitał i praca“, gdzie jeden

z najobszerniejszych rozdziałów poświęcony jest kwestyi publicznego nauczania i konieczności olbrzymiego budżetu specjalnego dla tegoż nauczania.

Niezmierzalnie byłby mu się teraz przydał dziennik. I myślało o tem stronnictwo po amnestyi z dnia 15 sierpnia 1869. Postanowiono nawet wydawać pismo: „La Renaissance“, a w skład komitetu wydawniczego miał wchodzić Blanqui, Ranc i Regnard. Ranc powtórzył mi nawet charakterystyczną rozmowę, jaką miał wówczas z Blanquim. Oto co mówił:

„Dziennik nasz nie ukazał się, ale to nie przeszkadzało nam zejść się pewnego dnia u Regnarda w celu ułożenia pierwszego numeru. Otóż mnie polecono napisać polityczny artykuł, zawierający pogląd na sytuację, Regnard podjął się kwestyj religijnych i filozoficznych. Ale któż obejmie dział społeczno-ekonomiczny? — spytał Blanqui. Jakto kto? Ależ wy sam obywatelu — odpowiedzieliśmy — to wam się należy z wieku i urzędu. Ha, jak chcecie — odparł Blanqui — ale nie będzie to wcale łatwym. Socjalizm bowiem moi drodzy wszedł teraz w okres krytycyzmu. — Mówiąc to uśmiechał się pół ironicznie, pół smutno“.

Podobne wspomnienie zachował Paweł Lafarque. Było to w dniu, w którym przyniósł Blanquiemu swą broszurę traktującą o mutualizmie, kolektywizmie i komunizmie.

„Jestto — powiedział mu Blanqui — rodzaj scholastyki rewolucyjnej. Ja nie lubię dyskutować nad tem, jakimi prawdopodobnie będą w przyszłości formy społeczne. Zdaniem mojem należałoby poddać przedewszystkiem krytyce system nauczania w szkołach ludowych. Uważam to za najważniejsze“.

CLIV.

Skutek rozmowy z Jaclardem był smutny. Zmniejszyła się liczebnie armia powstańcza. Sam Jaclard i ci co stali bliżej niego uczuli znużenie, nabrali przekonania, że wszystko na nic i organizacja z takim trudem prowadzona poczęła się rozchwiewać. Ale pracowali dalej Granger i Eudes, a obok nich Gois, Caria, Sourd i dalej stojący ale tym samym duchem ożywieni blanquiści „wolni“, nieklubowcy, gotowi stawić się w szeregach na pierwsze zawołanie, Ferré, Rigault i Protot. Zwolna, skutkiem wyżej opisanego zwlekania poczęli się odsuwać przyjaciele z roku 1861 i 1865, zagorzali propagatorowie, dążący do akcji żywszej i ogólnej, wedle słów Ranca, blanquiści drugiego stopnia, a pośród nich przede wszystkim sam Ranc, Levraud, Longuet, Ville-neuve, Germain, Case, wszyscy dobrzy znajomi, ale w szczególności nie wtajemniczeni. Clemenceau był wówczas w Ameryce, a Tridon, do którego Blanqui czuł szczególną sympatię nie zawsze był poinformowany o najbliższych przedsięwzięciach. Widocznie nie chciał on go narażać na niebezpieczeństwo, na zmienne koleje wypadków, jakie niósł z sobą dzień każdy, a wszyscy uznali to szczególniejsze upodobanie mistrza dla swego ukochanego ucznia.

CLV.

I wydało się nareszcie, że nadszedł ów upragniony czas, kiedy w podniecone umysły miano tchnąć myśl rewolucyjną. Było to w pierwszych dniach stycznia roku 1870 po śmierci Wiktora Noir. Dyszało wówczas buntem wszystko w Izbie, gdzie przemawiał Rochefort, Gam-

beta. stary Raspail, ciągle zwalczający ministra Oliviera i cesarstwo. Miasto mogło powstać, republika w ciągu dnia jednego stać się faktem. Blanqui wahał się jeszcze chwilę, wspomniał o krwi co ma popłynąć, ale zgodził się rozpocząć, wziął broń, pożegnał siostry i stanął na swej placówce w pałacu elizejskim. Tam to spotkał go Granger i powiedział, że każe przed nim przedefilować armii, której był naczelnym wodzem. Znał przywódców oddziałów, mógł przeto spostrzedz maszerujących za każdym z nich ludzi, zwartych w szeregi regularne, niby prawdziwe pułki.

Granger dotrzymał przyrzeczenia. Blanqui ujrzał całe swe wojsko, a nikt nie domyślał się nawet dziwnego widowiska. Oparty o drzewo, zatopiony w ciżbę gapiów ujrzał starzec swych wiernych. Ukazali się wśród tłumu ulicznego i rozgwaru, cisi, skupieni w sobie. Była to miniatura armii, blisko dwa tysiące ludzi podzielonych na oddziały, a szli żwawo i równo, jakby na parady, szli tutaj oto całą masą, by rozsypać się potem secinami po różnych punktach Paryża, a potem znów znaleźć w punkcie zbornym, w Neuilly. Rozeszły się jakieś pogłoski, mówiono o zbrojnych bandach sprowadzonych przez Gustawa Flourensa. Ale band tych wcale nie było, a nikt zgoła nie przypuszczał, by oto tą ulicą maszerowała armia rewolucyi pod okiem wodza naczelnego, własnym nieznanego żołnierzom.

Blanqui przeżyć musiał chwilę dumy i nadziei i pewnym był chyba, że dzień 12 stycznia zaczęty w ten sposób skończy się dramatem, którego aktem ostatnim będzie republika. Niepewny, oczekując rzeczy nadzwyczajnych poszedł przez avenue de la Grande Armée, widział jak wieziono, sprowadzone do Paryża zwłoki Wiktora Noir, towarzyszył im na Perè-Lachaise, i widział

w duchu, jak się poczyna naprzód walka z policją, potem z wojskiem na placu elizejskim. I tu była cała tragedia. Co uczyni wojsko? Czy z tego wyniknie rzeź, czy rewolucya? Złowrogo przedstawiały się nieruchome oddziały z pewną metodą przez przywódców rozstawione podczas gdy tłumy oblegały Łuk Tryumfalny. Ale wrócić musiały, na nich, jak na falach morza rozhlukanych miał tu zjawić się karawan, i w tej chwili oczekiwać należało wybuchu, starcia, które bodaj o wszystkim zdecydować mogło.

Ale nic się nie stało. Słuchano przemówienia brata zmarłego, Rochefort i Delescluze nie chcąc brać odpowiedzialności za masakrę interweniowali na rzecz Flourens. Nastąpiła chwila zamieszania, ale zaraz potem tłum, który szedł zwartą masą, rozpadł się na atomy i zniknął.

CLVI.

Był to ostatni dowód siły cesarstwa, potem, po dniu 12 stycznia broni się ono już tylko ostatkami, rzucając tu i owdzie gromy. Następuje przyaresztowanie Rocheforta i zaraz potem, podczas plebiscytu okazuje się wyraźnie, że imperyalizm należy do przeszłości. Mimo lojalnie oddanych głosów prowincyi, Paryż zaznaczył wyraźnie swe wrogie stanowisko. Okazało się, że wśród samej armii jest 50.000 przeciwników, głosujących: Nie! Nastąpiły oczywiście prowokacye ze strony rządu, w odpowiedzi na to rozpoczęły się ruchawki uliczne, aż wreszcie nadszedł złowrogi dzień 19 lipca. Wypowiedziano wojnę Niemcom.

Blanqui w lipcu wrócił do Brukseli, groziło mu bowiem, że wmieszany zostanie w proces toczący się w Blois,

który rozszalały rząd cesarstwa wytoczył wszystkim podejrzany o sprzyjanie republice. Naaresztowano mnóstwo osób i oskarżono ich o spisek przeciw państwu i knucie zamachów na życie cesarza.

W czerwcu tego roku zmarł Barbés w Hadze, gdzie od 1854 roku żył cicho, nie biorąc udziału w sprawach publicznych.

CLVII.

Od kiedy pojawiło się przypuszczenie, a potem pewność, że wybuchnie wojna, ogarnęło wszystkich nowe, nieznane uczucie, wyłonił się instykt narodowy. Wszystko znikło, a raczej przemieniło się w źródło skąd swe zasoby czerpać mogła żądza życia, konieczność przetrwania, oparcia się złemu, zwyciężenia w ten, czy inny sposób. Gwałtowność walki o życie ogarnęła dusze, wszystkie serca uderzyły żywszem tętnem, nerwy zagrały raźniej. Te sprawy obchodzą nawet tych, którzy przemieszkują w idealnej krainie myśli, państwie bez granic, snując dumanie o praprzyczynie i celu rzeczy ludzkich. Właśnie ich to obchodzić musiało najbardziej, bo ze zniknięciem Francji byłby przepadł jeden z najistotniejszych czynników cywilizacji i postępu, ludzkość poniosłaby klęskę, cofnęła się w tył może o lat setki. W takim czasie, w chwilach niebezpieczeństwa nagle i bez przejść jednoczą się poglądy na ojczyznę i braćmi się czują prostaczowie patryoci i filozofowie sięgający myślą w przyszłość. Tak się też stało w roku 1870. Łatwowierny tłum paryski nie widział machinacji cesarskiego rządu, dał się łatwo porwać podburzaniom policyjnym i po bulwarach i rozstajach rozległy się okrzyki: „A Berlin“! Ludzi otwarcie obstających za pokojem

zbito i obwołano szpiegami pruskimi, optymizm zawładnął umysłami, a naiwność poczęła naprzód eskontować przyszłe zwycięstwa. Zresztą czyż nie były one prawdopodobnemi. Tłum głosujący widział od szeregu lat powodzenie wojenne cesarstwa, żył wśród ciągłych przedstawień wojennych, bito się bez przerwy to w Krymie, to Chinach, Meksyku, Algierze, więc uwierzył, że tak samo będzie i teraz. Oczywiście nie liczone się ze zmęczeniem i wyczerpaniem wodzów naczelnych, nieporządkami wśród generalicyi i intendantury, nie znano nieprzyjaciela silnego, metodycznie od lat sześćdziesięciu zbrojącego się przeciw Francyi, gotowego do odwetu i prawie pewnego, że obali ów rząd galowy, który paradował przed całą Europą od roku 1867 w ciągłych baletowych podrygach się rzucając, nic nie myśląc, niczego nie przewidując. Niemcy tak bardzo pragnęły tej wojny, że aż Bismark posunął się do fałszowania dokumentów, a cesarstwo dało się wziąć na lep, parło do walki i gubiło się bezpowrotnie myśląc, że się ocala.

Natychmiast posypały się klęski, Wissenburg, Froeschwiller, Forbach, a instynkt narodowy przechodząc z fazy niedowierzenia do wybuchu gniewu stał się nagle jasnowidzącym i teraz już całą siłą dążyć począł do obalenia rządu, za słabego do obrony, ściągającego na kraj nieszczęścia bez granic.

CLVIII.

Wzburzone były tłumy i groźną przybierać poczęły postawę dnia 6 sierpnia, gdy nadeszły wieści o porażkach wojsk, a po obaleniu fałszywej pogłoski o zwycięstwie gniew wyraźnie się przejawiał na posiedze-

niu Izby dnia 9 sierpnia w atakach na gabinet Oliviera. Tłumy na placu Zgody niecierpliwiły się, gniewał je widok tych wszystkich żołnierzy, wołyżerów i gwardzistów zgromadzonych w Tuilleryach, tych lansierów, żnawów i liniowców ustawionych u skraju mostu przed Izba, których daremnie wysyłano na granice państwa, nie po zwycięstwa.

W Izbie, deputowany Juliusz Favre wraz ze swymi zwolennikami argumenty tak dosadne dnia tego przeciw cesarstwu wytoczyli, że większość niepewna co czynić, niemal bezwiednie obaliła gabinet i oto Olivier musiał się wynosić, a gdy przechodził placem Zgody dostrzegł go Juliusz Simon i wskazał tłumom, którego go obsypały obelgami. Rozlegały się długo okrzyki to dzikie, to radosne gwizdania, to znów oklaski, ale obserwatorom pilnym, jakimi byli obecni przyjaciele Blanquiego wydało się, że właśnie dzień 9 sierpnia mógłby być być decydującym, że wystarczył okrzyk rzucony w tłum przez kogoś śmielszego, jakiś odważny czyn jednostki, a cała ta masa byłaby runęła na Tuillerye i „Pałac Prawodawstwa“, by razem z gabinetem cesarskim, jemu samemu i jego rządowi koniec położyć. Ale nie skorzystano z chwili i wielu żałowało potem. A wiemy dziś, jaki niezmierny wpływ na późniejsze losy Francji miałyby był akt woli ludu objawionej dnia tego, kategorycznie i niedwuznacznie.

Sposobność coprawda nadarzyć się mogła nazajutrz, albo za tydzień. Tłum raz nawykłszy do gromadzenia się w wielkich masach zostaje temu obyczajowi długo wiernym. Mała armia blanquistów, pałając ciągle tą samą żądzą walki, domagała się sygnału rozpoczęcia akcji zaczepnej, a kierownicy jej nie wyrzekli się opanowania fortu Vincennes. Postanowiono bądź co

bądź wziąć się do rzeczy i oddać swe siły na usługi bliskiej rewolucyi i zarazem ojczyzny zagrożonej. Natychmiast dano znać Blanquiemu aby przyjeżdżał i napisano z prośbą naglącą, by się zdecydował dać znak do boju.

Powiadomiono go o tem dnia 10 sierpnia. List zastał go gotowym, wyczekiwał jeno nowin z placu boju i zasmuciły go te rozliczne klęski, których tak wiele nastąpiło w ciągu trzech ledwo dni. Jednastego sierpnia wyjechał bez paszportu ale zdecydowany na wszelki sposób dostać się do kraju. Na niewielką odległość przed granicą wysiadł z pociągu i minął ją pieszo w nocy z 11 na 12 sierpnia.

CLIX.

Nad różnymi możliwymi planami debatują dnia 12 i 13 sierpnia spiskowcy zebrani w mieszkaniu wynajętym przez Eudesa przy zaułku Jouvence w rue d'Alesia, na Montronge. Są tam: Endes, Granger, Caria, Regnard, Pilhes, dawny reprezentant ludu, Flotte, przybyły prosto z Kalifornii i inni. Najtrudniejszą rzeczą było przekonać Blanquiego o konieczności działania. Upierał się przy tem, że należy wyczekiwać i współdziałać jeno z naturalnym biegiem rzeczy. Jednak mimo całej wiary w rozum człowieka, którego słowa słyszeli właśnie, nie przestawali nalegać, doświadczonych rad „dziadka“ pojąć nie mogli niecierpliwi wnukowie. Głównym ich argumentem było, że mała armia blanquistowska topnieje z dniem każdym. I tak też się działo. Z dwu tysięcy ludzi, bo tyle liczyła w czasie najpomyślniejszym, spadła do 1500, potem do 1000, a od roku liczba ta do tego stopnia zmalała, że nie wiadomo, czy w razie potrzeby zbierze się 400 do

500 wiernych. Wszyscy inni odsunęli się i odsuwają ciągle znuzeni wiecznem odkładaniem wielkich projektów, zwątpieli i niechętni. Oprócz tego, ważnem też było, że uwagę policyi zwróciło co też robić może Blanqui od dawna tak cichy i grzeszny. Węszono i szukano za nim wszędzie, zachodziła przeto obawa, by nie wydało się przed czasem. Istotnie cudownem nazwać było można, że dotąd agentom nie wpadły w oczy ciągle podróże Blanquiego, że nie wpadli na trop jego mieszkań i kryjówek przy zaułku rue d'Alesia. A tam właśnie ziożona była broń, którą zakupił Granger wyzbywszy się do grosza swej spuścizny po ojcu, trzysta rewolwerów i czterysta sztuk ciężkich jak maczugi sztyletów, zrobionych przez ślusarzy, należących do związku. Zazwyczaj robotnicy nie chcieli brać rewolwerów i woleli sztylety. Twierdzili, że lepiej im w ten sposób bronić się przeciw kastetom policyi.

To wszystko przytaczano i przedstawiano Blanquiemu, że jeśli raz jeszcze minie sposobność, ostatki wiernych znikną i właśnie w chwili gdy dzieć się będą rzeczy pierwszorzędnej wagi zostaną przywódcy osamotnieni i bezsilni. Ludność cała drży od wewnętrznej ochoty do rewolucyi, wszystko gotowe do wybuchu, powstanie czeka jeno, by zjawić się na ulicach, trzeba je tedy wyprowadzić z zaułków i wskazać cel najbliższy. Wystarczy ruch, jedno wstrząśnienie a gmach cesarstwa legnie w gruzach. Czas ostatni obwołać republikę i zorganizować komitet i oddziały ochronne na czas pierwszego zamętu.

To ostatnie właśnie będzie miało swój wyraz w zbrojnym zajęciu fortu Vincennes. I tam już jest wszystko gotowe, porozumiano się z wojskiem, znanym jest plan cały i rozkład ubikacyi w najdrobniejszych

szczegółach, poinformowano się co do wszystkich szan-
ców, drzwi, obliczono ilu ludzi pchnąć należy na bramę
główną, jak silny oddział posłać trzeba okólną drogą
rontową do wejść innych, wiadomo ile jest posterunków
i wart i jak są liczne, a nawet wiele kroków przejść
trzeba korytarzem wiodącym do magazynu z bronią.

Blanqui słuchał wszystkiego, stawiał zarzuty, go-
dził się, to znów sprzeciwiał, wywiązała się dyskusya
dosyć ożywiona, a w tej dyskusyi człowiek, od którego
oczekiwano hasła dobitnymi i jasnymi słowy malował
grozę położenia, wskazywał na ogrom odpowiedzialności
i opłakiwał spodziewany rozlew krwi. Oczyma duszy
widział Blanqui, jak jego przyjaciół skrępowanych pro-
wadzą nad świeżo wybrany rów, by ich rozstrzelać.
Gdy o tem wspomniał, Eudes znużony nieco odpowie-
dział szorstko. Na to Blanqui rzekł mu, że jeśli tak
bardzo pragnie śmierci, może rzucić się na bruk z trze-
ciego piętra. W ten sposób się prędko załatwi i nie
narazi innych. Posypały się znów argumenty za i prze-
ciw i w rezultacie postawiono jeszcze pytanie, czy
także okolica i przedmieścia Paryża są gotowe do re-
wolucyi czekając jeno na hasło, na jakiś śmiały czyn.
Wszyscy twierdzą, że tak jest w istocie, i w końcu Blan-
qui zgadza się. Jak zazwyczaj wódz poddał się woli
żołnierzy. Pozostało jeno wydać rozkaz, by wszystko
było gotowe ruszyć za najmniejszym znakiem. Blanqui
uczynił to i nazaczył przyjaciołom schadzkę na dzień
następny w tymże samem mieszkaniu w zaułku Jouvence.
Znowu tedy miał zmierzyć się z siłą przeważną, wyzwąć
na rękę swych prześladowców, a stawką w tej grze
była jak dawniej wolność jego i życie.

CLX.

Nazajutrz, 14 sierpnia, w niedzielę rano, oczom wszystkich ukazał się inny zgoła Blanqui. Nie był to już starzec pełen powątpiewań, jakiego słyszeli wczoraj, dziś już nie słucha ani wie dzie dysput, mówi jeno jaki plan powziął i wydaje rozkazy. Poraz pierwszy budzi się w nim wódz. I chwila ta wywołała olbrzymie wrażenie. Zdawało się, że w tym wychudłym starcu, o bladej twarzy, ujętej w nimb siwych włosów zbudziły się do życia wszystkie tęsknoty bohaterskiego pokolenia republikańskiego, że wszyscy buntownicy podnoszą głowę, bojownicy radośni i płomienni zapalem lat trzydziestych, i zrospaczeni straceńcy, broniący od śmierci siebie i swe ideały, powstańcy roku 48. Z twarzy jego biła razem taka radość i wyglądała takąż męka duszna.

Grobowa się uczyniła cisza, a Blanqui spokojny i łagodny jak wczoraj, jak zawsze, dobitniejszym jeno głosem i twardszym jeszcze, z błyskiem oczu powiedział, że bitwa tegoż jeszcze dnia po południu się rozegra. Krótkie, ostre wyrazy wcięły się jak noże w serca słuchających.

Nie potrzeba — mówił — zajmować fortu Vincennes. Jest zbyt odległy. Niema najmniejszych widoków ogarnąć stamtąd dzielnicę Saint Antoine. Przeciwnie, spiskowcy udadzą się wprost w dzielnice robotnicze, rewolucyjne do la Villette i Belleville, gdzie od dwu lat trwa już wrzenie, skąd wielu wyszło ludzi czynu i ogół najpodatniejszy jest na artykuły dziennikarskie i słowa mowców. Tam to, na bulwarze de la Villette niedaleko kanału, w pokojowy sposób zawładną powstańcy kasarnią, a raczej bronią oddziału inżynierii wojskowej. Nie wolno będzie jeszcze teraz strzelać, ani wogóle

używać broni. Należy zdobyć karabiny, nim żołnierze przyjdą do siebie po pierwszym zdumieniu. W ten sposób zdołają powstańcy uniknąć konfliktu z armią, z tą samą armią, która jutro może być sprzymierzeńcem najlepszym. Atakując fort Vincennes starcia z wojskiem uniknąćby się nie dało, a właściwie walczyć należy tylko z policją.

Po zdobyciu broni zostaną obdzieleni nią ci, co się zgłoszą na ochotnika i pochód ruszy do następnej kasarni. Szło o to, by w ten sposób przebyć znaczną część miasta, wszędzie budzić ludzi do czynu, a wieczór nowo zacięzną armię zaprowadzić na jakiś plac wielki lub do budynku w śródmieściu i tam rozłożyć się obozem. Blanqui oznaczył za najodpowiedniejszy gmach Instytutu, skąd panowałyby się nad całą linią Sekwany, mając pod bokiem Tuillerye, prefekturę i ratusz.

Wszystko to zawarł Blanqui w kilku słowach. Nie było zarzutów, nie było nawet odpowiedzi, komendanci oddziałów oddalili się w milczeniu powiadomić swych ludzi, którzy przeczuwali jeno, że się coś gotuje, ale nie znali jeszcze dnia ni godziny i nie wiedzieli gdzie im pójść padnie.

Pierwszym na miejscu zbornem miał być Blanqui i dać znak rozpoczęcia.

CLXI.

Była cudna pogoda w owe poobiedzie letnie, a nieba nie plamiła ani jedna chmurka. Blanqui już o trzeciej znalazł się w alei, skryty w cieniu drzew, niewidzialny wśród tłumu przechadzających się. Niedługo dostrzegł znajomych i mógł śledzić z chwili na chwilę, jak się

formuje oddział spiskowców. Nikt nie widzi co się dzieje, a Blanqui chcąc jeszcze dłużej utaić ich w tłumie, poleca dowódcom sekcji, by kazali ludziom ustawić się wokóło jakiegoś kuglarza, pokazującego swe sztuczki na środku bulwaru. O kilka kroków jest kasarnia.

Ale cała armia powstańcza liczy ledwo stu ludzi. Nie wszystkich zastano w domu, inni wymówili się w różny sposób i tak naprzykład gdy szef sekcji, Brouillè, który miał przyprowadzić 25 ludzi, naglił ich, by szli, natrafił na zarzut, że jest to całkiem zbytecznem, bo za parę godzin cała ludność Paryża niewątpliwie utworzy nową gwardyę narodową, więc ludzi nie zabraknie. Z pośród 25-ciu, czterech tylko zgodziło się wyruszyć i w końcu na placu zbornym znalazł się sam jeno Brouillè.

O pół do czwartej Blanqui dał znak i powoli począł iść w kierunku kasarni. Za nim kroczył oddział. Ale w chwili, gdy z alei skierowali się w bok, wprost na wejście główne, żołnierz stojący na warcie krzyknął na alarm i ostrzegł pogotowie, a zarazem zagroził wejście. Powstało zamieszanie, a wśród ścisku padł przypadkowo strzał rewolwerowy i kula skaleczyła lekko żołnierza. Na ten odgłos porwali się do broni wszyscy, ale tymczasem Blanqui już wszedł, a przeciw jego piercion. wyciągnęły się ostrza bagnietów i wyloty luf karabinowych zamajaczyły mu przed oczyma. Ci, co go widzieli onej chwili, drwią sobie wprost z twierdzeń Barbésa, jakoby Blanqui w tragicznych sytuacjach miał okazywać pomieszenie, bez względu na to, czy zaskoczyły go niespodzianie, czy je sam spowodował. Bez drgnienia, nie wyciągnawszy nawet ręki, by odepchnąć lub pochwycić broń, czyniąc jeno ku żołnierzom gest wymowny ręką, obciągniętą w czarną rękawiczkę, począł

do nich mówić głosem spokojnym, wzywając, by się połączyli z powstańcami, pomogli zdruzgotać chwiejący się kolos cezaryzmu, obwołali republikę i stanęli bronić ojczyzny przed napaścią wrogów zewnętrznych. Był w tej chwili zupełnie spokojny i panował nad sobą, jakby siedział w swym pokoiku nad stosem książek. Gdy nie pomogło odrazu, powtórzył raz jeszcze, tłumaczył, przekonywał i czynił wszystko, co się dało, by porwać zdumionych i przerażonych żołnierzy. Słowa jego czasem ginęły w hałasie stapań i wrzawie bójki o broń, której coraz więcej odbierali spiskowcy.

Nagle z zewnątrz zagrzmiały strzały. To oddział spiskowców, którzy jeszcze wejść nie zdołali, bronił się kilkudziesięciu policyantom, którzy nadbiegli machając szablami. Blanqui, Granger, Pilhes i Bronillè wypadli z przedsionka, Eudes z podwórza wewnętrznego, gdzie zdołał dotrzeć i wszyscy, odpychając tłoczących się, dali ognia do policyantów. Trzech padło, jeden zabity, dwaj ranni, a reszta uciekła w popłochu i pospieszyła po posiłki przeciw tej bandzie, która niewiadomo skąd się wzięła. Żołnierze nie wzięli żadnego udziału w walce i Blanqui nie stracił nawet nadziei, że ich przekona. ale tym razem natknął się na porucznika Cottreya, który właśnie nadbiegł. Do niego się więc zwrócił, tłumacząc dlaczego wpadł z oddziałem swym do kasarni. Nalegał nań, przekonywał, że powinien połączyć się z nimi i obwołać republikę, ale natrafił na opór, oficer zasłonił się swą przysięgą służbową, nie chciał oddać broni, a Blanqui, wierny swym słowom, wypowiedzianym wczoraj, nie uciekając się do przemocy, wyszedł, jak wszedł przed chwilą. Rzuciwszy jeno okiem po bulwarze, spostrzegł odrazu, że wszystko na nic. Plan spełził na niczem, wołało uczyniło się równie pusto, jak czasu ruchawki

w roku 1839, znikli nagle spacerujący, uciekli, a tylko z oddali kilku ciekawskich wyglądało ostrożnie z bram i z za węglów kamienic.

Oddział w zupełnym porządku bez przeszkody przeszedł plac w kierunku kanału i skierował się bulwarem zewnętrznym ku Belleville. Spiskowcy szli z bronią w rękę i krzyczeli co sił: „Niech żyje Republika! Śmierć Prusakom!“ Ale nie odpowiedzieli im znikąd głosy bratnie. Ludność, którą porwać umyślili i natchnąć zapałem, spoglądała z trwogą na przechodzących. Ale szli dalej wołając: Do broni! Czasem, mijając ulicę, spostrzegali w dali policyantów, stojących na czatach. Ale przedmieście patrzyło obojętnie, nie rozumiejąc czemu ta garstka ludzi gorączkuje się wśród ogólnego odretwienia, rzuca w głąsę te gorące słowa nadziei, okrzyki bojowe, oddaje się na całopalenie na ołtarzu jakiegoś wielkiego, niepojętego dla nich bóstwa. Do broni! Takie się rozlegają okrzyki, a ci, którym wolność niesie garstka szaleńców, patrzą na nich zdala i powracają najspokojniej do przerwanej przechadzki, gdy się jeno oddała i ścichnie na skęcie ulicy echo gromkich głosów.

Z takim jeno rezultatem przebyli buntownicy kawał drogi, a wszędzie, gdzie się zjawili, gasło przed nimi życie, posuwali się jakby wśród zmarłych. Gdy doszli do starej barrière du Combat, Blanqui kazał stanąć i skonstatował, że rzecz się zgoła nie udała:

„Widzicie — mówił — że nam się nie udało dostać karabinów, nikt się z nami nie łączy. Jeno na wzniecenie ogólnej rewolucji liczyłem, bez tego niema się co ludzić. Nie powiodło się. Ale nie zapominajmy, że za chwilę spadną nam na głowy setki policyantów, zjawi się wojsko, a przeciw chassopotom, nasze rewol-

wery nie ostoją się. Trzeba się tedy rozejść, teren jest wolny, nikt nam nie przeszkodzi, schowajcie tedy broń i pojedynczo rozsypcie się po ulicach okolicznych“.

Tak też uczyniono. Porzucono trzy karabiny zdobyte w kasarni, ukryto rewolwery w kieszeni i każdy poszedł w swoją stronę.

CLXII.

Rzeczywiście podążali za nimi policyjanci w znacznej liczbie i w dobrą chwilę po zniknięciu oddziału konspiratorów, jak to zwykle bywa, stróżę porządku rzucili się na gromadę nic nie winnych gapiów i poczęli ich bić, tratować, wreszcie aresztować jako winnych. I oto z wielu owych, trwożnie kryjących się przed nawoływaniem do buntu, wielu z tych widzów stało się nagle aktorami — wbrew swej woli zostali rewolucjonistami, podczas gdy żaden z prawdziwych spiskowców nie został pochwycony przez policję przed kasarnią. Owych to zagarniętych niewinnie osmdziesięciu nieszczęśników stawiono przed sąd wojenny, żołnierze rozpoznali w nich napastników i posypały się wyroki śmierci, wygnania i ciężkich robót. Dwu jeno z pośród istotnych winowajców wpadło wieczorem tegoż dnia przed Pałacem Sprawiedliwości w ręce policyi. Był to Eudes i Bri-deau, a zdenuncyował ich jakiś przechodzień, ujrzawszy rączkę rewolweru, sterczącą z kieszeni Eudesa.

Paryż sam, nie mniej był od przedmieść zdumiony tem, co się stało. Umysły ludności łatwo było jakoś w tym czasie obalamnić, toteż lud wodzano ciągle za nos, wmawiając co się dało. Sfabrykowano na poczekaniu bajkę, że to pruscy szpiegowie chcieli wzniecić nieporządek w mieście i wielu uwierzyło. Sam nawet

Gambetta uwierzył i w Izbie, z trybuny, nie domyślając się istotnych sprawców, domagał się surowego przestrzegania ustawy o obcych poddanych. Na najgorsze baśnie wysadzała się oczywiście prasa bonapartystowska.

W czasie owych wypadków z powodu wojny panowały ustawy wyjątkowe, rada wojenna nie potrzebowała wcale zachęty, sprawiano się szybko i gładko i wygotowano na poczekaniu wyrok, mocą którego skazano ostatnich z obwinionych, a między nimi dwu prawdziwych winowajców, Eudesa i Brideau na śmierć wraz z przypadkowo połapanymi widzami, Drestem, Cahenem, Zimmermannem i Brissetem, dalej na dziesięć lat ciężkich robót Saint-Huberta, Roberta i Mordaca, a na pięć lat fortecy Lerina i Larregieuego. Proces ten zajął cztery posiedzenia i odbył się w dniach 10, 23, 29 i 31 sierpnia.

Niepodobieństwem było odnaleźć Blanquiego. Przez Ranca jeno, który go widział tegoż jeszcze dnia, wiemy, że w pierwszej chwili schronił się do doktora Pawła Dubois, potem ukrył go Cleray, a wreszcie Sourd. Domyślano się, że musiał w całej tej sprawie umoczyć palec, to też przetrząsnęto po aresztowaniu Eudesa mieszkanie przy zaułku Jouvence i wziąwszy na spytki mieszkańców dzielnicy, dowiedziano się, że przemieszkiwał tu w czasach ostatnich pewien „starszy jegomość“, pewien „markiz“, a opisy, jakie dawano tu i owdzie, odpowiadały wcale nieźle wyglądowi Blanquiego. Ale też na tem się skończyło, więcej policya dowiedzieć się nie zdołała.

CLXIII.

Nie wykonano jednak wyroków śmierci. George Sand i Michelet dowiedziawszy się, jak sprawy stały,

poczynili odpowiednie kroki. Michelet napisał list, który opublikowano, a w liście tym, adresowanym do „kierowników obrony narodowej“, czczony historyk protestuje przeciwko okrucieństwu i nieludzkości tak wielkiego rozlewu krwi bratniej.

Mówi tam, że dla pośpiechu list ten sam jeno podpisuje, ale gdyby miał choćby jeden dzień do dyspozycji, znalazłyby się tam nazwiska dziesięciu, dwudziestu tysięcy osób napewne.

„Znam Paryż! – woła. — Tam żył i tu umrę, znam jego duszę!“

W toku wywodów potępia ruchawkę, ale wskazuje na mętne źródła, niejasność powodów i przestrzega przed pośpieszną egzekucją, której mogliby potem wszyscy żałować. Między wierszami zawarte jest przypuszczenie, że czas tę sprawę zapewne wyświekli.

I inne osobistości rozwinęły akcję ochronną. Gambetta poinformowawszy się lepiej, wstawiał się za delikwentami u prezydenta rady wojennej, generała Palikao, ale tenże był nieugiętym i oświadczył, że gdyby jeno od niego to zależało jedynie, egzekucya odbyłaby się natychmiast. Do innego ministra, Brama, udawał się Edward Hervé, wreszcie decydujący wpływ na zapatrywanie Clementa Duvernois odniósł Ranc, udowadniając mu, że całe cesarstwo może nie przetrzymać i dwu tygodni, i że wykonać wyroku niepodobna, nie biorąc na siebie straszliwej odpowiedzialności, może nawet roli mordercy bojowników za republikę. To podziałało otrzeźwiająco na miłośników litery prawa, w parę dni potem nastąpił Sedan, Napoleon opuścił armię, echo klęski i ruiny Francji rozeszło się po świecie, a Paryż okrzyknął państwo republiką dnia 4 września, to jest

o 20 dni później, jak to uczynili powstańcy dzielnicy la Villette, oczywiście teraz znowu wolni, amnestyoniowani i noszeni na rękach.

CLXIV.

W miesiąc niespełna po powyż opisanym wypadkach Blanqui nie wchodząc w szczegóły i nie puszczając się na dyskusję opowiadał poprostu co się działo 14 sierpnia w dzielnicy la Villette jaki błąd popełniono, jak się przeraziła ludność, jak wszyscy uczyli, że nic zrobić się nie da.

„Nie wybiła godzina, — mówił — a trzeba umieć słyszeć jak bije. W rzeczach tak strasznych, jak bój, błąd myłka w obliczeniu, drobiazg każdy może zawążyć na sumieniu. — *Sądziłem* — słowa tego nie można żadną miarą uważać za usprawiedliwienie. Narażać swych przywódców, stronnictwo, może nawet wolność narodu całego, to błąd często nie do naprawienia i nic nie może zeń rozgrzeszyć. Szczęściem, w tym wypadku, błąd ten nie miał konsekwencyj i wkrótce przestał mieć wszelkie znaczenie wobec nowych wydarzeń historycznych. W dniu 14 sierpnia, było może za wcześnie na rewolucję, albo też może i za późno. Należało wziąć się do rzeczy dnia 7 sierpnia, nazajutrz po klęsce pod Reichshoffen i wówczas byłoby cesarstwo niewątpliwie padło, a zarazem ocalonoby armię Mac Mahona, oszczędzono Francyi Sedanu i zasłonięto przed wrogiem Paryż. Ale to wszystko nie usprawiedliwia opóźnienia, objaśnia jeno jego skutki. Gdy się raz człowiek wziął do polityki na seryo, nie wolno mu dać się zaskoczyć wypadkom“.

Nie wygląda to wcale na obronę siebie samego. Blanquiemu ponad wszystko szło o prawdę.

Ale jest tu błąd inny, z którego się nie spowiada, bo go nie dostrzega, a tym błędem jest wiara w powodzenie zamachu, atentatu, wogóle czynu jednostkowego w próżni. Zamachem jeno, a przenigdy rewolucją jest owdziękanie kasarnią, pewnej pięknej niedzieli, gdy wszystko co żyje spaceruje po ulicach, a ci, którzyby wzięli to sobie do serca i wyciągnęli z tego konsekwencje są nieobecni i dowiedzą się o wszystkim dopiero na drugi dzień z dzienników. Rewolucya, jeśli ma się udać, wymaga przedziwnej charmonii i łączności straszliwej wszystkich pierwiastków składowych społeczeństwa. Tłum musi instynktownie wylegać na ulice, być gotowym złamać każdą przeszkodę. Nie oznacza się dekretem dnia i godziny rewolucyi. Jestto widomy rezultat zgody milczącej wszystkich, ta zgoda decyduje o walce i o zwycięstwie, a ostatnim jeno powodem, ostatnią kroplą jest wtedy przypadek, jakiś fakt drobny, szarpnięcie za struny, już przedtem w akord zestrojone... wtedy rozlegnie się niezawodnie okrzyk tłumu, zabłyśnie stal, rozpęta się huragan sił niezmożonych śniący w ludzkich piersiach.

CLXV.

Rząd, który wyszedł z rewolucyi 4 września, był napół rewolucyjny, a to dlatego, że był samozwańczy i z tego tytułu naprzód już był w posiadaniu pewnej części władzy, jaką mu w całej pełni miał nadać plebiscyt. Deputowani paryscy, z których się rząd ten składał milcząco podjęli się ciężkiego zdania organizacyi bytu narodowego i stawienia czoła niebezpieczeństwu. To im przyznano, to stało się faktem nie tylko skutkiem oklasków ludności paryskiej, bo ludność ta cie-

szyla się przede wszystkim z upadku cesarstwa, ale także i to głównie przez milczące przyzwolenie tych czynników, które reprezentowały jeszcze rząd doby minionej, a więc przez brak protestu ze strony „Izby wyższej“, które to ciało prawodawcze po trzech posiedzeniach rozpadało się, stwierdziwszy jeno, że rządu właściwego wcale niema.

Wszędy ukazywały się twarze nowe, więc i delegaci tymczasowi, desygnowani byli jeno na dziś, na czas najgorszy, w celu obrony Francji przed najściem wroga. Innej misji nie mieli i gdy oświadczyli, że tej niezmiernie ciężkiej sprawy się podejmują, odrazu uzyskali wszelkie prawa, najszerszy kredyt moralny, geniusz historii pospiesznie na jej karty wpisał nazwiska „obrońców ojczyzny“ czegoby w innych warunkach żadną miarą nie uczynił. W ten sposób u steru znaleźli się: Juliusz Favre, Garnier-Pagès, Crémieux, Glais-Bizoin Arago, dalej z lewicy: Ferry, Pelletan, Picard i Simon, następnie człek potężny, który żądzą czynu natchnąłby był w stanie starych, niedowierzających i zubożniałych, Gambetta i wreszcie Rochefort, aby się coś i rewolucjonistom dostało.

Generał Trochu, mianowany przez cesarza dnia 17 sierpnia naczelnikiem sił zbrojnych Paryża nie stracił i teraz swego stanowiska i został prezydentem rządu obrony narodowej, a to dla swych talentów wojskowych, których się w nim doszukiwano, z powodu owego „nie“, które wypowiedział w dniu, kiedy Francję przemieniano w cesarstwo na podstawie uchwały plebiscytu, z powodu krytykowania ciągłego i głośnego organizacyi armii cesarskiej, no i wreszcie dlatego, że niedawno, jak przystało człowiekowi uczciwemu oparł się pokusom, któremi go wabił do siebie Napoleon III. Wszystko powyż wy-

mienione nie wystarczało, generał Trochu dał się zawsze powodować okolicznościami, popełnił mnóstwo błędów, a co główne, sprzeniewierzył się własnemu sumieniu i obciążył je bardzo godząc się na dalsze prowadzenie wojny, choć nie widział żadnej możebności zwycięstwa. Republice nie przysłużył się wiele, zawsze powątpiewał wahał się i wreszcie biernie współdziałał w tem, co sam zwał „bohaterskiem szaleństwem“. Nie był to dowódca armii na polu bitwy. W pierwszych dniach doradzał jeno pokój, a roznamiętniony, wojowniczy i naiwny Paryż z czasu rewolucyi wrześnieowej usłyszawszy głos jego, wziął go i postawił na naczelnem stanowisku, oczekując niezmiernej energii i potęgi dyktatorskiej w tej wojnie na śmierć i życie, od człowieka, który dać mógł jeno frazesy i jakiś mistycyzm dziwaczny i niejasny. Toteż od pierwszych zaraz dni obrona stała się dorywczą i słabą, a generał rozmyślał nad problemem jaką misję społeczną ma spełnić on, rewolucya i Prusacy. Była to po prostu omyłka, na placówkę gdzie się rozkazuje, dostał się człowiek, który powinien był jeno słuchać.

CLXVI.

Od pierwszych zaraz dni nowej ery skupiło się koło Blanquiego wszystko, co przedtem jeno sympatyzowało z nim i zaraz objawiła się rzecz dziwna dla wielu. Rozeszła się i utrwała pogłoska, że Blanqui bezustannie udaje i nigdy nie jest szczerym. Tak sądzić mogą tylko ci, którzy nie mieli nigdy sposobności zetknąć się z nim osobiście. Tylko obcujący z nim co dnia mogli sobie wyrobić zdanie słuszne, a tych właśnie teraz Blanqui zadziwił. Wielu z nich wprost nie zrozumiało co się

dzieje, znali dobrze surowy wyrok Blanquiego odnośnie do wartości intelektualnej i moralnej wszystkich niemal tych ludzi dziś stanowiących rząd i oczekiwali, że jeśli już nie zwalczał ich będzie teraz, to conajmniej zachowa się wobec nich ozięble i pogardliwie. Tymczasem Blanqui zaklinał swych stronników, by wymazali z serc wszelkie urazy, by oczy utkwili jeno w dziele, które ma być dokonane wspólnymi siłami. A dzieło to nie dopuszczało, by wśród współpracujących istniały kwasy, zastrzeżenia, niezgoda, trzeba było odrzucić wszystko, wziąć się do rzeczy szczerem sercem i żwawo. Zdumienie wielu wielbicieli Blanquiego pochodziło stąd, że nie znali swego mistrza. W zgoła innym świetle przedstawiała go legenda zarówno zwolennikom jak i przeciwnikom, wedle owego podania był to konspirator-maniak, uparty i w najwyższym stopniu zdenerwowany, rzucający się w każdą awanturę bez celu i planu, rewolucyj przynoszący jeno swą gigantyczną, a zawsze ku zniszczeniu skierowaną wolę. Tak o Blanquim już sądzono aż do jego śmierci. Innym Blanquiego nie widziano, a może tylko widzieć nie chciano i przemocą zamykano oczy, bo dziś nawet, gdy się go jeno oświetli faktami z życia i zapyta o tajemnicę jego istoty, wyłania się z omroki, mimo oddali czasu, taki jasny, taki zrozumiały.

To prawda, że odnośnie do środków, jakich używał przejawiały się jego południowe pochodzenie i włoska krew, ale w gruncie rzeczy był to typowy Francuz, z kultury i wiedzy XVIII wieku czerpiący swe myśli i uczucia, wrażliwy na ideał wolności, prawdziwy, jasno uświadomiony obywatel. Nie sięgajmy nawet do tego, iż matka jego pochodziła z Pikardyi. Sam fakt aneksyi ojczyzny ojca w roku 1792 był symbolem,

że rodzina Blanquich oddaje się Francji. Blanqui był szermierzem praw ogólnoludzkich, ale we Francji widział bojowniczkę o te ideały. Bez zastrzeżeń cały jej się oddał, wżył w jej tradycje i podporządkował im całe swoje życie. Nic odtąd nie miało odgrywać roli z jego spraw osobistych, nawet socjalno-polityczne postulaty odsunął na potem, teraz szło o istnienie Francji. Pamiętając o tem, nie zdziwimy się, że zaraz w początkach oblężenia miasta Blanqui okazuje się w całej postaci, podnosi się z nicości, w którą rzucić go usiłowali oszczercy, wstaje gorejący zapałem, niecierpliwy, jasnowidzący, czasem szalający z rozpacz, a zawsze miłość ojczyzny żyje w jego duszy, połyskuje w oczach pali go i trawi.

Dowodów szukać na to nie trzeba. Mnóstwo ich w działach jego, słowach codziennie wypowiedzianych wreszcie w każdym czynie. Niema hyba dokumentów bardziej autentycznych. Robi się koło] Blanquiego jasno, tak jasno, że rysy jego ducha geniusz historii pochwyci i przekaże potomnym pokoleniom.

CLXVII.

Gdy jeno mógł, począł Blanqui zaraz działać publicznie. Założył pismo „Patrie en danger“ i otworzył klub. Pierwszy numer ukazał się 7 września, tymczasowo zaś, redakcja mieściła się przy rue des Ecoles l. 34. Wyszło tam cztery numery, piąty, już podpisany przez Blanquiego, jako naczelnego redaktora wyszedł już z redakcyi, mieszczącej się na stałe przy rue d'Ahoukir l. 78. Klub obradował w café des Halles przy rue St. Denis l. 20. Trzeba przeczytać wszystkie 89 numerów pisma i protokoły posiedzeń klubu, chcąc po-

znać, jakim było postępowanie Blanquiego przez ciąg wojny francusko-pruskiej i oblężenia Paryża. Przejawia się tam w całej pełni entuzjastyczna jego dusza, jasnym konturem określają obywatelskie przymioty.

Zapowiedzią publiczną pojawienia się pisma był plakat, w którym podpisani oświadczają, iż iść nie będą przeciw rządowi tymczasowemu, ale przeciwnie popierać go. Deklarację tę, napisaną przez Blanquiego, podpisało dziewiętnaście osób: Balseng, Blanqui, Breuillé, Brideau, Caria, Eudes, Flotte, Gois, Granger, Lacambre, Ed. Levraud, Leonce Levraud, Pilhes, Regnard, Sourd, Tridon, Verlet, E. Villeneuve, H. Villeneuve, wśród nich zaś, jak widzimy kilku „zbrodniarzy“ i „buntowników“ z dzielnicy la Villette. W deklaracji owej jest powiedziane krótko, że woblizu nieprzyjaciela nie wolno rozpadać się na stronnictwa, że rząd powstały dnia 4 września jest wyobraźnikiem myśli republikańskiej i ducha narodowego, to zaś wystarcza, by na bok odłożyć wszelką opozycję, wszelkie spory. Główna i jedyna rzecz teraz, to ratowanie ojczyzny. Jest jeden jeno wróg, to jest Prusy i jego sprzymierzeniec, to jest reprezentant dynastji obalonej, któryby chciał opanować Paryż zapomocą pruskich bagnetów. Afisz kończy się słowami: „Przekleństwo temu, ktoby w strasznych czasach obecnych na pierwszym planie stawić się ośmielił osobiste uprzedzenia, niechęci, lub interesy. Podpisani, odkładając na później wszelkie odmienne zapatrywania, oświadczają swą gotowość popierać rząd tymczasowy z całą energią i całą szczerością, nie kładąc żadnych warunków, nie czyniąc zastrzeżeń, jeno wyrażając pewność, że mimo wszystko nie dopuści do upadku republiki i raczej w gruzy powali miasto i pochowa pod nimi jego mieszkańców, jak miałyby

podpisać kapitulację, równającą się najwyższej hańbie i zagładzie państwa“.

Nie podobna było sformułować jaśniej sytuacji, dać lepszego hasła. Człowiek samotny streszcza myśli ogółu, ale ten ogół nie spostrzega tego nawet. Samotnika otacza szeroki pierścień obojętności i niewiary i kroczy on dalej sam przez tę pustkę, bo taki już jego los.

CLXVIII.

Nazajutrz ukazuje się numer „La patrie en danger“, zawierający tekst deklaracji i zaraz poniżej artykuł Blanquiego „Obrona Paryża“. Autor bez wstępu rozpatrywać poczyna fakty, kreśli sytuację, jaka dziś istnieje po tylu klęskach, szczegółowo opisuje ruch naprzód wojsk pruskich i dochodzi do wniosku, że Paryż równie nie jest nie do zdobycia, jak nie była niezwykłą armią francuska.

W artykule czuć drżenie serca, gorące pragnienie, by go wszyscy usłyszeli i pojęli, zdania jego krótkie i świadczą, iż nie cierpi deklamacyj, rozwodzeń się szerokich, słów wielu, w których mnóstwie zazwyczaj skrywa się miłość własna. Idzie mu o broń i męstwo. Z nadzwyczajną, niepojętą wprost jasnością, starzec ten, któremu życie upłynęło w więzieniu, nad książkami i atlasami jeno, ocenia sytuację i gdy mówi o sztuce wojennej widać ze słów jego, że pilnie śledził tok wojen ostatnich i badał szczegółowo teren bojów najbliższej przyszłości. Podobnie, jak w zakresie kwestyj politycznych miał Blanqui dużo wspólnych cech z Machiavelim i Richelieum, posiadał w kwestiach wojskowych dar pochwylenia jednocześnie ogółu spraw i wszystkich od-

dzielnych faktów, przymiot niezmiernie rzadki, toteż nie dziwi mnie wcale, iż zwolennicy jego twierdzili, że powinienby był zostać generałem, bo to było jego powołaniem.

W wyż przywiedzionym artykule wykazuje, że Prusacy znali wszystkie okopy, rowy, fortyfikacje, cytadele francuskie, cały teren cal po calu przestudowali i wreszcie określa dwie możliwości strategiczne w najbliższym czasie: albo nieprzyjaciel, zakreśliwszy łuk, po cięciwie dostanie się wprost pod mury, albo zamknie koło na wielką stosunkowo odległość, odetnie dowóz żywności i ogłodzi stolicę i przedmieścia.

W dalszym ciągu wspomina też Blanqui na jakim terenie odbędzie się walka rozstrzygająca, wskazuje na przestrzeń 13 kilometrową pozbawioną wszelkich szańców i wałów obronnych, leżącą pomiędzy fortem de la Briche i Mont-Valérien, opisuje jak nieprzyjaciel skrywszy się za Asnières może rozpocząć swe operacje, potem przejść wioskę, Sekwanę, i z całym spokojem, bez strzału iść przez Clichy, aż do samego miasta. Nie na tem koniec, miejsc nie bronionych jest więcej, a mianowicie cała przestrzeń między Villeneuve-la-Garenne i Courbevoie, i druga między Mont Valérien, a fortem Issy. Dalej twierdzi Blanqui, że same nawet forty są za słabe, by obronić Paryż przed zbombardowaniem, że armaty pruskie rozstawione na przestrzeni od Maison do Clamart mogą zasypać granatami cały brzeg lewy i część prawego, i wreszcie że potwory te ziejące ogniem, wysyłające pociski na odległość 10 kilometrów mogą zniszczyć wszystko począwszy od Villejuif, aż po bulwar Montmartre.

Wyłuszczywszy zło, które istnieje — i zło, którego się obawiać można, wskazuje autor środki obrony, a więc

przedewszystkiem możliwie szybką inspekcją i wzmożeniem fortów, natychmiastową akcją koło budowy i odnowy kontraproszów, obsadzenie odnośnych miejsc artyleryą, wskazuje na konieczność posiadania półmilionowej conajmniej armii i wzywa całą ludność męską, wszystkich od 16 do 60 lat liczących, by się zgłosili, rząd zaś ze swej strony powinien, jego zdaniem, ściągnąć z całej pobliskiej prowincyi, więc departamentu Sekwany głównie, całą armię ruchomą, wszystkie jakie się jeno da pułki, nawet marynarzy. Również niezbędnem jest zgromadzenie broni z wszystkich arsenałów, i zarządzenie, by bezustannie odlewano nowe armaty, robiono mitraljezy, karabiny, kupowano, co się tylko da w Anglii i Ameryce dla uzbrojenia całego kraju.

„Niech strzały alarmowe — pisze w zakończeniu — głoszą, iż klęska grozi ojczyźnie. Niechaj się dowiedzą wszyscy, że oto rozpocznie się konanie, o ile wola zbiorowa i męstwo nie zmuszą śmierci do odwrotu i nie pomogą Francyi zmartwychwstać!“

Nie dosyć tego. Odwróćmy kartkę biednego dziś, poźólkłego, wyczytanego numeru. Oto nowy artykuł podpisany: Bl. Autor przewiduje tu, że bombardowanie nastąpi i omawia środki ochronne. Na stronie trzeciej, znajdujemy wreszcie trzeci artykuł pt.: „*Gdyby Paryż zdobyto*“ i w nim powiada Blanqui, że w tym ostatnim wypadku rząd powinienby opuścić stolicę i ulokowawszy się w miejscowości bezpiecznej dalej prowadzić wojnę. „Gdy nieprzyjaciół ogarnie stolicę — pisze Blanqui — spyta zapewne o warunki kapitulacyi. Odpowiedzią naszą powinna być komenda: Pal! Taką odpowiedzią musi zahuczyć kraj cały“. Blanqui domaga się, by rząd uprzedzając tę ewentualność ogłosił dekret, mocą którego zdrajcą ogłoszonym zostaje, pozbawionym czci i skaza-

nym na śmierć każdy, ktoby z rąk rządu ustanowionego przez wroga w stolicy przyjął jakąkolwiek misję, podjął się dlań jakiejś czynności, posłuchał w najdrobniejszej sprawie rozkazu, lub spełnił, co nakazywałyby mogło nowe prawo.

Wieczór, tegoż dnia, po napisaniu trzech artykułów Blanqui prezydował w klubie café des Halles i swym zwyczajnym, donośnym, wyrazistym głosem, wymownie, a bez hałasu, nie natrętnie, a tak, że natychmiast w sali cisza grobowa, powtarza to wszystko, co napisał, podkreślając konieczność uzbrojenia całego ludu. Ludzie, którzy mieli sposobność widzieć go tego wieczora czynili nieraz wzmiankę o wyrazie jego twarzy, w chwili gdy Lulliers przedstawiając go zgromadzonym nazwał go „czcigodnym patryarchą rewolucyi“. Wówczas oczy Blanquiego rozblęły ogniem takiej młodości, wyjrzała przez nie tak gorąca dusza, że w owej chwili bezsprzecznie najmłodszym był w całej tej wielkiej sali.

CLXIX.

I tak było co dnia. Pismo stało wiernie przy brzmieniu deklaracyi. Na pierwszym miejscu zawsze kładziono nowiny wojenne, starając się jednocześnie nie przerażać publiczności, i nie taić przed nią niczego. Potem następował zwykle artykuł Blanquiego, zestawienie zasłych wydarzeń, oświecenie ich i wezwanie do czynu, a wszystko przepełnione jasnowidztwem przedziwnem, przeczone, w słowach zaś naglających drżenie obawy, jakby strach, by głos jego nie przepadł bez echa, nie zatracił się, nie zmarnowały usiłowania.

Blanqui, od pierwszego dnia pisze się na pamiętne

słowa Juliusza Favra, ministra spraw zagranicznych zawarte w odezwie do Francuzów żyjących na obczyźnie:

„Nie damy sobie wydrzeć ni stopy naszego terytorium ojczyznego, wziąć ni kamienia jednego z murów fortec naszych. Hańbiący pokój, równałby się wyplenieniu nas w krótkim czasie ze ziemi. Straciwszy forty, cofniemy się w szańce i zasieki, wyparci stamtąd, staniemy na barykadach. Paryż może się trzymać przez trzy miesiące i zwyciężyć, gdyby jednak padł, porwie się do boju Francya cała i pomści go. Rozgorzeje nowa, straszna walka i nieprzyjaciół zginąć w niej musi!“

Godzi się na to Blanqui, dodaje jeno do słów: „ni stopy naszego terytorium ojczyznego... ni kamienia jednego z murów fortecznych...“ jeszcze jedno, mianowicie: „.....ni centima kontrybucyi wojennej“. Pokój bez wszelkich warunków, albo wojna do ostatniego tchu. Oto cała jego polityka i polityka jego pisma. Współpracownicy Blanquiego, Tridon, Levraud, Regnard, Granger, Verlet i inni dostosowują się do jego życzeń, od pierwszego zaraz dnia zmuszają się do milczenia, ilekroć czują, że stają w sprzeczności z poglądami swymi i samego stronnictwa. Blanqui nie narzuca im swej woli, ale przykład jego działa i rada wystarcza w zupełności. Na dziś tedy wszyscy odkładają sprawy społeczne na potem, łącząc się ku wspólnej obronie ojczyzny.

CLXX.

Tu jest nareszcie Blanqui na swoim miejscu. Co wieczora wstępuje na trybunę klubową, a co rana na drugą, siadając pisać artykuł. Teraz nareszcie wolno mu mówić, mówi tedy i to nieporównanie. Ze słów jego

biją potoki światła, wylądować teraz może całą swą wiedzę historyczną, przyrodniczą, filozofię, których zapasy gromadził przez lata milczenia i męki. Kaskady światła i akordy muzyczne obejmują słuchaczy zachwyconych i oniemiałych.

Jak wszystkie wielkie osobniki, widzi rzeczy dalekie i przyszłe. Z konieczności całą uwagę zwraca, zda się, na chwilę obecną, lepiej niż ktokolwiek inny zdaje sobie sprawę z tego, iż się rozgrywa straszliwy dramat, że dzieje Europy nie znają niczego podobnego, że trzeba się decydować szybko i wszystkie moce rzucić na punkt zagrożony, a jednak wysiłek ten nie przeszkadza mu patrzeć prosto w twarz sfinksovą przeznaczenia, które mówi mu głosem tajemnym, że wszystko co jest, paść musi, że ciągle powstawać muszą nowe umysły i nowe sumienia. Drugi jego artykuł zawiera ustępy najszlachetniejsze i najśmielsze jakie zostały w ogóle napisane przez człowieka w chwili grożącego niebezpieczeństwa. Artykuł nosi tytuł „*Braterstwo*“ i jest naglącem, gorączkowym wezwaniem pod broń całej męskiej ludności, bez względu na różnice etyczne nawet. Zna on potęgę uniformu, zna też siłę zrzeszenia, i wierzy, że w wielkich chwilach, nawet w wydziedziczonych i wyklętych, nawet w szkodnikach społecznych, zrodzić się mogą imperatywy wyższe, które sprawią, iż ludzie ci być mogą męczennikami najszczytniejszych ideałów, bohaterami białymi jak lilie. Domaga się tedy dla tych co winni, bo nieszczęśliwi i biedni prawa uczynienia próby i pała nadzieją, że ten najwyższy akt dobroci ocuci i na dobrą skieruje drogę dusze omamione złem, uczyni ze zbrodniarzy ludzi nowych, ludzi czystych, ludzi wdzięcznych, bo uratowanych. Przytacza Blanqui także dowody, wskazuje na rok 1793, kiedy to galernicy

tulońscy obdarzeni wolnością i bronią, wydarli płomieniom całą flotę francuską, a w mieście opuszczonym nie zdarzył się ani jeden wypadek kradzieży. Może w tej chwili zamajaczyli mu przed oczyma duszy owi złodzieje więzienia św. Pelagii, których nauczył czytać, może być, że ich widział, z ogromnym optymizmem i entuzjazmem żądając, by republika rozkuła łańcuchy krwawiące ręce zbrodniarzy, by z jej woli w sercach nieszczęśliwych powstały z martwych radość i nadzieja, a wraz z nimi urodzi się niezawodnie poczucie solidarności, miłości ojczyzny i wszystkie ockną się dobre instynkty. Domaga się mocy i sprawiedliwości, a wszędzie i na każdym miejscu podkreśla swą myśl przewodnią:

„Nie zapominajmy, że może jutro już poczniemy walczyć nie w obronie rządu, nie w obronie interesów kasty jakiejś, lub stronnictwa, nawet nie za honor, zasady, ideje, ale poczniemy poprostu wydzierać sobie z wrogiem rozpacznie to, co jest życiem samem, to, bez czego oddychać nie można, to co stanowi samą istotę człowieka w najwyższej jej manifestacyi, poczniemy walczyć o istnienie naszej ojczyzny!“.

I kończy:

A w cóż obrócimy się jutro, gdy Francya przestanie istnieć?

CLXXI.

Blanqui nie przestaje pisywać ni na chwilę swych artykułów o obronie Paryża. Ale słowa jego są jeno wyrazem tego co czuje ludność. Jest tłumaczem jej uczuć, to co pisze powtarzają grupy ludzi na ulicach, takie toczą się wieczorami rozmowy w pomieszkaniach.

Nigdy nie było może większej charmonii między osobnikiem a tłumem, ale tłumy nie znają człowieka opatrnościowego. Dzieli ich przepaść milczenia, niema możliwości żadnego porozumienia. Słowa te, któreby mogły porwać i porwały niewątpliwie całą ogromną masę ludności stolicy nie dochodzą do niej. Ledwo gdzieniegdzie oddziaływują poza ciasnem kołem adeptów i zwolenników mistrza, choć i tak wszędzie jednają ochotników. Prócz powodów, o których była wyżej mowa, powodów które wynikały z fałszywego mniemania o Blanquim, z dywergencji między jego właściwą istotą, a tem, co o nim mówiono, prócz tego wszystkiego co nagromadziło na ścieżce jego życie głupota i nienawiść była jeszcze inna przeszkoda nie pozwalająca rozgłosu temu, co pisał owego tragicznego roku. Pisał płomieniami tak palącemi i tak głęboko, że dziś czytać nie można nie odczuwając ich żaru jasności i proroczego uniesienia. Ale brak temu zalet literackich, niema tam efektów, niema retoryki, obrazów, kontrastowań ani też odrobiny romantyzmu. Ani śladu pompatyczności, nie powiewają pióropusze o jaskrawych barwach, niema nawet zwykłego pochlebstwa, jakie prosta grzeczność nakazuje tu i owdzie wetknąć.

Jestto namiętność czystego rozumu, jasna i naga. Z każdego wiersza bije siła, ale siła to miarkowana logiką, zjawia się oburzenie obywatela ale nie przychodzi do wybuchu, któryby zwrócił uwagę przechodniów, miarowego, opartego na faktach wykładu nic nie przerywa, jestto raczej wszystko szkicem historycznym, jak satyrą aktualną. Blanqui nigdy nie lubił zajmować się ludźmi, wolał same rzeczy. Oczerniony tylekroć, nienawidzony przez całe niemal życie, stąpa pośrodku falangi wrogów i oszczerców, miotających obelgi i zda się, że

ich nie widzi, tych jeno co mu zastępują drogę, pogardliwym odsuwa, zimnym gestem. Widzi całokształt zjawisk, na podstawie „dzisiaj“, odgaduje czem będzie „jutro“, a drży na myśl jak strasznym będzie rezultat ostateczny, wynik końcowy, który z każdą chwilą, z dniem każdym się zbliża. To mu jest rzeczą najważniejszą, reszta niczem.

Wszyscy tedy, którzy czytali artykuły jego byli wprost zachwyceni, ale autor nie porwał za sobą owych tłumów skazanych na głód, owych wszystkich, chcących tego samego co on, nie dopuszczających do siebie wprost myśli o upadku miasta i poddaniu wrogom stolicy. Wśród rozgwaru i zgiełku miasta broniącego się od zagłady, głos Blanquiego jest jako głos wołającego na puszczy. Usłyszanym będzie później, po niewczasie, żywszym coraz będzie się stawał w miarę upływających lat, aż wreszcie przyznają się doń wnukowie tych, co wyciągali ongiś ręce, wołając o pomoc nadaremnie, i dowiedzieć się nie mieli wcale, lub zapóźno, jaki obrońca stał krok od nich.

CLXXII.

W tym okresie życia Blanquiego możemy tedy śledzić go z dnia na dzień, słuchać co mówi z trybuny klubowej i czytać co pisze w każdym numerze swojego dziennika. Teraz nareszcie przyszedł czas mówienia temu, który całe niemal swe życie odcięty był od ludzi i skazany na milczenie... Możemy też oznaczyć datę i godzinę, której z ust jego w tym czasie uleciało każde słowo, określić porę każdego postępkę i poruszenia się.

Dnia 7 września w café des Halles, na jednym

z posiedzeń, w obecności Lulliera i Flourensa, Blanqui stawia na porządku dziennym kwestyę rozdziału między ludność broni i rozwija obszernie ten temat. Dnia następnego wraca do tegoż samego w artykule wstępnym, omawia niedostateczność obecnego uzbrojenia, gorszy się, że arsenały puste, artylerya zdekompletowana, bezczynne fabryki broni i warsztaty, ale jednocześnie nagli, by w istniejących już fabrykach, natychmiast począć przerabiać stare karabiny na nowe, produkować nowe chassepoty, mitrajlezy i armaty, następnie raz jeszcze zwraca uwagę na to, że forty, pobudowane przez Ludwika Filipa służyć mogą jedynie do zbombardowania Paryża, ale nigdy do obrony miasta, dalej kładzie nacisk na bezmyślnie założoną linię szańców, których akcyę niemal całkiem udaremniają wioski, leżące pomiędzy miastem, a fortami, powtarza, że cała część wschodnia pozbawiona jest wszelkiej fortyfikacyi, co pewnie miało zdawna tę przyczynę, że niema z tej strony przedmieść, roboczą ludnością zapełnionych, którą to ludność natchnąć było trzeba należnym szacunkiem dla „władzy“ i w zakończeniu nalega na to, by linię bojową wysunięto koniecznie na trzy kilomytry conajmniej przed forty.

Nazajutrz klub uchwalił obradować w permanencyi i ukonstytuował się odpowiednio, Blanqui pozostał prezesem, Regnarda i Levrauda obrano assesorami, zaś Tridon, Granger, Caria, Verlet, Endes i Brideau wysłani zostali do innych podobnych miejsc zebrań ludowych, by złączyć w jedno siły rozprószone po najróżniejszych dzielnicach Paryża. Zaraz też Blanqui przystępuje do kwestyi obrony i omawia problem szczegółowo, a więc zastanawia się nad fabrykacyą broni, kompletowaniem parku artylerzyckiego, rozpytuje Lulliera w jakim stanie znajdują się forty, zwierza się ze swych przeczuć od-

nośnie do ostatecznego wyniku sprawy, twierdzi mianowicie, że Prusacy nie wkroczą, ale będą się starali spalić miasto, ulica po ulicy. W artykule zaś wstępnym dnia następnego, traktującym o gwardyi narodowej stara się oznaczyć jak licznymi będzie najlepiej porobić oddziały, ze względu na łatwość uruchomienia i daje cały szczegółowy plan organizacyjny oparty na zasadzie batalionów po pięćset ludzi.

Nazajutrz, dnia 10 września nadchodzą wieści, że nieprzyjaciel oddalony jest o trzy dni drogi od stolicy, zjawiają się też równocześnie pogłoski o rokowaniach pokojowych. Nikt naturalnie jeszcze nie myśli o ustąpieniu jakiegoś terytorjum, ale wielu czuje już zmęczenie i pragnąc końca, w pieniądzach upatruje najprostsze załatwienie sprawy. Blanqui nie chce o tem słyszeć, upatruje hańbę w tym okupie proponowanym wrogowi, a zarazem źródło wielkiej nędzy dla mas ludności, gdy pięć miliardów zacieży na kraju i tak wyczerpanym ekonomicznie. Artykuł wspomina tak niedawne deklamacje i przysięgi umierania na barykadach. „Jeśli śmierć osiągnąć może — mówi Blanqui — jeno na barykadzie, to zdaje mi się, że większość pożyje długo, a Prusaków czekać będziemy do samego dnia sądu ostatecznego“. Dalej cytuje daty z bombardowania Strasburga. W Paryżu, nawet z poza fortów, nieprzyjaciel może razić dzielnice zewnątrz położone, gdy wziętym zostanie choćby jeden fort, granaty donosić będą do samego śródmieścia nieomal, gdy wreszcie przerwa w szarżach nastąpi w jednym tylko miejscu, pocznie się dzieło zagłady zupełnej, lunie deszcz pocisków miasto zapali się od szrapneli i nie będzie mowy o niczem prócz śmierci i zniszczenia zupełnego. Na myśl takiego nieszczęścia, takiego starcia z powierzchni ziemi tyluwiekowej sto-

licy świata rospacz wzbiera w sercu Blanquiego i z pod pióra wrywają mu się słowa:

„Sława Paryża stała się źródłem jego zagłady, ci ludzie chcą zgasić to źródło światła, bijące na Europę całą, ideje, co się tu rodzą, unicestwić. Hordy wieku V poraz drugi ruszyły się ze swych leżysk i zalewają Galię, chcą pochłonąć współczesną cywilizację, jak po chłoneły jej prababkę kulturę grecko-rzymską. Czyż nikt nie słyszy dzikich okrzyków: „Śmierć rasie łatyńskiej!“ Tak wołają, bo chcą, by Berlin stał się świętym grodem przyszłości, źródłiskiem światła bijącego na Europę całą. Zniknąć ze ziemi musi Paryż, ten samozwańczy, do głębi zepsuty Babilon, owa pierwsza prostytutka świata! Oto idzie wysłannik Boga, z mieczem ognistym i Biblią w dłoniach. Zbliża się koniec, zbliża się sąd. Czyż nie jest wyraźnym znak, którym Bóg nazaczył rasę germańską na przodowniczkę ludzkości w najbliższej przyszłości? Oto każdy Niemiec jest o trzy całe wyższy od Francuza. Oto znak. Brońmy się! Idzie dzicz łącząca okrucieństwo Odyna, z żarłocznością Molocha. Idzie czerniawa straszna na miasto nasze, rozpętała się barbaryja wandalaska i semicka. Brońmy się, nie licząc na pomoc niczyją!“

Prorokuje klęskę, jeśli armia ograniczy się jeno do odpora, dowodzi, iż koniecznością jest przesunąć linię bojową dużo dalej, na równie Saint-Denis i Asnières, na wyżyny Sannois i Meudon, odgaduje, że atak pierwszy skieruje się na wschodnią połąć miasta, a że paryska załoga i forty zwrócone mają oczy i działa na południe, więc wojska pruskie przejdą Sekwanę powyżej Paryża i lasami pójdą na Meudon, stamtąd zaś będą się starały przerwać, prostą w tem miejscu, linię szaniec na przestrzeni od Point-du-Jour, aż do Port Dau-

phinè i gdy się rozpocznie bombardowanie, pociski pójdą na dzielnicę XV, Grenelle i Vaugirard, oraz południową część dzielnicy XVI. Druga część armii przejść może Sekwanę koło Epinay, posunąć się ku Gennevilliers i Asnières i przez Vesinet, Montenon, Houilles i Sannois pójść do ataku od strony południowej. Blanqui przypomina, jaką drogą szli Prusacy w roku 1815 i zwraca uwagę, że należałoby na tej drodze jednocześnie uniemożliwić przejście wrogowi i stworzyć przesmyki komunikacyjne dla własnych oddziałów.

Dnia następnego kończy Blanqui swoje exposé i odpowiada tym, którzy z ufnością, będącą już ślepotą tylko, mówią, że Paryża zbombardować nie można. Dowodzi jasno, co zresztą wiedzą teraz już wszyscy, że baterie pruskie, ustawione poza linią fortów południowych, muszą zniszczyć dzielnicę XIII, XIV i XV, a działa operujące od zachodu, pošlą większość pocisków na dzielnicę XVIII i XIX. To się stanie zaraz w chwili pierwszej, gdyby przerwano linię szańców, bomby z wszystkich armat i kule wszystkich mitrajlez zasypią część miasta położoną między Sekwaną, wielkimi bulwarami, ulicami Gaillon, Saint Roch i rue du Temple, reszta zaś stolicy tylko w trzech czwartych zniszczoną być może.

Jest rzeczą konieczną wyjawić tę całą prawdę w celu usunięcia słabych i bezużytecznych, by pozbyć się z miasta 100.000 kobiet, które się tu schroniły.

Blanqui w dalszym ciągu powraca do owych robót ziemnych na linii spodziewanego przejścia pod Meudon, które jest kluczem całej sytuacji, kluczem, który otwori bramy Paryża, a także omawia planowaną bitwę w odległości mili od linii fortów, bitwę, w którejby wzięło udział pół miliona pospolitego ruszenia. „Paryż —

mówi — w ten sposób usłyszysz huk armat, ale nie ujrzysz ni jednego pocisku“.

Ciągle też bez przestanku nawoływa do przerwania pustej gadaniny, domaga się ścisłych danych co do ilości ludzi, zasobów amunicji, nie zapomina o niczem, troska się tem, że arsenały nie są dostatecznie osłonięte, zaklina, by bezzwłocznie kazano wysłać do Paryża materiały artylerzycki, broń, prochy, znajdujące się w miejscach otwartych, bez żadnej obrony. Aż do znużenia powtarza Blanqui ciągle to samo, udowadnia po raz dziesiąty jedno, jest on prorokiem jakoby, który widzi zagładę miasta i z zaciekłością ogromną chce je ocalić.

CLXXIII.

Znamiennem dla usposobienia Blanquiego w owym czasie jest odpowiedź jego na wniosek któregoś z członków klubu, który usiłował wprowadzić na porządek dzienny obrad kwestyę, czy nie dobrzeby było fabrykacyę broni uczynić komunistyczną, dopuścić każdego do warstatów. Blanqui odpowiedział na to, że gdyby nie było w pobliżu sąsiadów z za Renu, możnaby jeszcze dyskutować nad tem, ale w dzisiejszej sytuacji nie jest to wcale kwestya indywidualizmu, komunizmu, ani kolektywizmu, ale kwestya poprostu życia i śmierci. Nie ulega wątpliwości, że po wprowadzeniu daleko idących reform siła oporu byłaby wzrosła stokrotnie, ale trzeba się wmyśleć w sytuacyę, nie zapominać, że państwu całemu groziła ruina, a wszystkiemu temu stawić miał czoło rząd republikański, ustanowiony w chwili samej katastrofy. Trzeba było tedy przedewszystkiem popierać ten rząd, ufać, że posłucha rad, że energia jego wzra-

stać będzie w miarę niebezpieczeństw, „Czyż pewni być możemy, — woła Blanqui — że jutro będziemy jeszcze mieli ojczyznę?”

Nazajutrz rano jasnovidzący ukazuje skrawek najbliższej przyszłości. W dwudziestu wierszach na czele artykułu kreśli dzieje oblężenia Paryża, potem zaś oświadcza, że przeczuł plany wroga, odparł podstęp. Odnosi się do zapowiedzi Prusaków, że otoczą Paryż w odległości dziesięciu mil od szanów. Blanqui uważa, iż nieprzyjaciel umyślił:

„Zamaskować Paryż, jakby niezbyt ważny punkt operacyjny armią okupacyjną, zbyt małą do oblężania, ale dostateczną liczebnie, by udawać to oblężanie, przecinać linie komunikacyjne, wzbraniać wywozu i dowozu itp., z resztą zaś wojsk przejść Francję we wszelkich kierunkach, kilku korpusom nakazać niszczyć lub zdobywać wszelkie budynki i instalacje wojskowe, zwyciężać, lub rozpraszać opór, w samych początkach udaremniać wszelkie próby pospolitego ruszenia ludności cywilnej, a także wszelkie ruchy załóg miast mniejszych, wogóle łamać, druzgotać wszystko, niweczyć administrację, porządek, słowem pogrążyć kraj w nicości, a potem go zająć.

Blanquiego przeszywa na tę myśl ból straszny. Wykazuje, że nieprzyjaciel może przyjść pod mury bez strzału, nie napotkawszy nawet na gościńcach oporu, choć drogo powinien opłacić pozycje takie, jak Chelles, Montfermeil i Livry. „Smutne to — woła Blanqui — w fortach czekać nieprzyjaciela“. Także nie dowierza misji dyplomatycznej Thiersa, oburzają go te negocjacje u dworów obcych. Woła: „W jakąż przepaść stoczyć nam się padnie!“

Dnia 13-go września w klubie zwalcza konszachty

w celu uzyskania pokoju. Nie dowierza bezinteresownej interwencji głów koronowanych, a w rannym artykule daje wyraz tej obawie i podejrzewaniu. Z jednej strony nagromadzono wiele materiału wojennego, szcękają szable, snują się tłumy żołnierzy, ale gdy się zwróci oczy na naczelnych wodzów, przenika badacza dreszcz i przychodzi mu do głowy, czy też to wszystko, ten zgiełk, nie jest przypadkiem jeno pozorem, jeno czemś, co uczynić „wypada“. Blanqui odgaduje, iż wre walka, że się ścierają dwie wole, dwie chęci, że to będzie, co wyniknie ze starcia się poświęcenia i egoizmu. Patrzy na Europę, chciwie wyczekującą upadku Francyi i zaklina lud, by liczył jeno na siebie i nie zdradzał swej słabości, domagając się od obcych pomocy, której i tak nie uzyska.

CLXXIV.

Coraz szybszem tempem rozwija się dramat, a jednocześnie widocznem się staje, że Blanqui postanowił przeforsować swe ideje, wziąć na swe barki część pracy, ale też zyskać znaczny wpływ. Przez dwa dni, by rozwiać powątpiewania, wykazać jasno do czego zmierza i czego pragnie, opowiada szczegółowo w klubie dzieje ruchawki w la Villette. W tymże samym czasie Blanqui odnalazł Clemenceau, który został merem dzielnicy Montmartru i uzyskał, jako człowiek energiczny, znaczną popularność. Weteran rewolucyi postanawia skorzystać z tego i staje do wyborów na szefa batalionów w dzielnicy, gdzie przyjaciel jego ma wpływ. Ogromne to zgromadzenie wyborcze, złożone z 15 tysięcy gwardzistów, odbyło się w wielkiej jakiejś sali przy rue Clignancourt, a większość nic nigdy nie słyszała, ani nie

wiedziała o kandydacie. Widocznem jest tedy zdziwienie na widok tej białej głowy, wszystkich zdumiewa słaby głos, tego, zda się, widma gdzieś z zakamarków historii wypełzłego i trzeba dopiero przemowy przyzującego zgromadzeniu szefa, by go obrano, trzeba dopiero opowiadać, jaką tradycję rewolucyjną ma za sobą kandydat, jaka w nim jest utajona siła. Ale też po tej interwencji Blanqui zostaje przez aklamację z entuzjazmem wybrany komendantem 169 batalionu, a nazajutrz już ma odznaki mu przynależne, kepi z galonem na głowie i szablę przy boku.

W takim stroju znajduje się dnia 15 września w klubie w sali Faviera w Belle-Ile u samych bram rozgorączkowanego przedmieścia. I tu znowu oświadcza, że chce z wszystkich sił popierać rząd, prowadzi też dysputę z artykułem „Sièclu“, chce bronić miasta do ostatniego tchu, ale mówi, że nie będzie wszystkiego pomiął milczeniem, bo sprzyjałoby to jeno pozornej, powierzchownej akcji obronnej, przeciwnie, jak z roli jego wypada, będzie sygnalizował każdy błąd, przewidywał każde niepowodzenie i naglił do czynu ospałych.

CLXXV.

Ostatnie dni września, począwszy od osaczenia stolicy schodzą Blanquiemu na tych usiłowaniach, na próbach ciągłych, by dać się poznać, zmusić sfery decydujące, by go usłuchano i zrozumiano. Wieczorem tylko spoczywa trochę w mieszkaniu Sourda, ale zrywa się zaraz szybko i wychodzi. Od samego ranka chwytą wieści, zajmuje się sprawami swego batalionu, jest w ciągłym ruchu na przestrzeni od wałów miejskich do me-

rostwa Montmartre i stąd do ratusza i składów broni i mundurów, potem wieczorem, przed jedzeniem pracuje w redakcyi, po jedzeniu w klubie, przy rue d'Arras, lub w sali Faviera. Już niema klubu „la Patrie en danger“, Blanqui zmuszony został do coraz rzadszego ukazywania się po klubach wogóle, ale nie przestaje w codziennym artykule wstępny bić w dzwon alarmu i radby, by dźwięki te słyszeli wszyscy, poprzez zgiełk uliczny i grzmot dział pruskich, których ciągle już teraz huk stał się zwyczajnym każdemu odgłosem Paryża.

Dnia 19 września Blanqui zadaje sobie zasadniczej wagi pytanie: „Czy obrona ojczyzny jest dosyć energiczną?“ A odpowiedź brzmi przecząco. Odtąd dzień każdy przynosił będzie dowody, a każdy taki dowód Blanqui pokaże społeczeństwu w oświetleniu swego rozpłomionego zapalem słowa. I tak tegoż samego 19 września protestuje przeciw dekretowi naznaczającemu wybory municypalne na 25 września, a wybory do Izby na 2 października. Cóż to za wybory pośród ruin, spustoszenia, wśród zgiełku walki. Blanqui widzi ocalenie jeno w działalności energicznej, nieskrępowanej dyktatora wojennego. Paryż musi okrzyknąć nim kogoś i powierzyć mu całą władzę. Dnia 22 wzbiera w jego duszy groza zbliżającego się pogromu ostatecznego, toteż wybucha słowami rozpacz: „Już i wytrzymać nie sposób! Lada chwila musi paść cios ostatni. Jakże żyć w śmiertelnej groźby pełnej sprzeczności, jakże patrzeć na „rząd obrony narodowej“, który bronić się nie ehce wcale!“ Czuje że wszyscy dygnitarze z ratusza pożądamy jednego tylko, to jest pokoju, że odpowiedzialny za obronę generał nie wierzy w tę obronę, a wszystkie podkopy, szanice pod i dokoła miasta to czyste zabawki i pozory jeno, dla oka. Wszystko to obejmuje Blanqui

jednym rzutem oka i pyta, bardzo powściągliwie jeszcze: „Czy pewność porażki dobrze usposabia do walki?“

Jako komendant batalionu stara się w armii to przeprowadzić, o czym pisze w dzienniku i o to dnia 21 września pięćdziesięciu komendantów chce złożyć w ratuszu adres opatrzony 72 podpisami, w którym komsandanci batalionów gwardyi narodowej domagają się odsunięcia terminu wyborów i energicznej walki do upadłego. Ale nie dopuszczają ich do gmachu rządowego, wchodzi sam Blanqui, oddaje adres Juliuszowi Ferryemu, wyjaśnia mu w kilku słowach co myśli o sytuacji i pyta jaką ofiarą rząd chce okupić pokój. Ferry odpowiedział na to, że zapłatę oznaczy 7 i pół miliona głosów plebiscytu, zresztą odłożył rozmowę dłuższą do jutra. Więc tedy 21 września zjawiają się szefowie batalionów w ratuszu, a przyjmują ich Garnier-Pagès, Picard, Ferry, i Rochefort. Blanqui nie mogąc się doczekać żadnej wyraźnej konkluzji tej rozmowy formułuje ją w ten sposób w swym dzienniku: „Nadzieja kupienia sobie pokoju, zwalnia od jakiejś poważniejszej akcji obronnej. Nikt zajęty traktatami nie myśli o walce. Gdyby od 17 dni rząd nie handryczył się, ale myślał o zgromadzeniu chassepotów, byłby dalej posunął dzieło pokoju, jak przez ciągłe apele do obcych, ciągłe zebrany u mocarstw ościennych“.

CLXXVI.

Zarzucono naturalnie zaraz Blanquiemu, że sieje niezgodę i nienawiść, zamiast powołać go do rządu obrony narodowej. Ale nie na tem koniec, zapanowało wzburzenie, po jakiejś uwadze, która im się nie spodobała,

zjawili się oficerowie gwardyi narodowej i bez upoważnienia przyaresztowali sekretarza redakcyi, korektora i dwu funkcyonaryuszy „La Patrie en danger“. W ratuszu, polecono ich natychmiast uwolnić, ale zawsze wydarzenie to pozwalało się przekonać jak zirytowani byli przeciwnicy, jak gwałtowni i można było odtąd spodziewać się co dnia, że pobici w dyskusyi chwycą się zbrojnej siły, że nie oglądając się na środki zapragną zakneblować Blanquiemu usta. Udało się to też na przeciąg trzech dni. „La Patrie en danger“ przestała nagle wychodzić. Stało się to, po ogłoszeniu najrozumniejszego w świecie artykułu, pt.: „*Konieczność obrony*“, gdzie Blanqui domaga się spisania środków żywności i podzielenia ich na porcye, gdzie także wykazuje konieczność komunalizmu co uważano dotąd za utopię, a dziś stało się faktem tak nagłym, że życia sobie inaczej wyobrazić nie podobna. Dziennik wychodzić przestaje, bo drukarz domaga się zasiłku, a pieniędzy niema. Nigdy dotąd, ni Blanqui, ni jego przyjaciele nie troszczyli się o sprzedaż, nigdy nie żądali rachunków, drukarz robił co chciał i był zawsze zadowolony. Dziwnie to wszystko jakoś wyglądało.

Ale Blanqui ani myślał się poddać i przyjaciele jego też nie utracili wiary w jego słowa, w konieczność interwencji. Niedosć, że zawsze korzystali z przepysznych artykułów wstępnych i byli pilnymi czytelnikami wykładów o obronie improwizowanych przez tego stratega, który swe studye odbywał w więzieniu, ale jeszcze ponadto co dnia słuchiwali go i podziwiali, gdy mówił to, czego nie mógł napisać, gdy wykazywał wszystkie słabe strony planu Moltkego, planu ściśle dorywczego, opartego na prostej empiryi, który jeno dlatego wydaje się wielkim, że z drugiej strony Trochu

popelnia jeden nonsens po drugim. Dygnitarzom wojskowym dziwnem się wydać musiało i nieprawdopodobnem, by oto tak nagle przejawił się w Blanquim geniusz strategiczny i oile wogóle zwracali nań uwagę to bez względu na stopień wszyscy z góry do dołu musieli z politowaniem patrzeć na „cywila“, który się wtrącał i twierdził, iż zna się na sztuce, której oni byli uznanymi, patentowanymi przedstawicielami. Ale wśród przyjaciół Blanquiego nieustanny panował zachwyty, a zarazem gorycz i złość na widok, że ta gorączka, że ten talent i zapał marnieje i nie może w żaden sposób ogarnąć i natchnąć całego miasta. Toteż mowy niema o tem, by redaktor naczelny „la Patrie en danger“ utracił wszelki kontakt z ludnością, by nie miano się przekonywać w stolicy co dnia, z każdego artykułu, że oto żyje człowiek pełen genialnych pomysłów i gotów do działania.

Po trzech dniach, pierwszego października dzięki wspólnym wysiłkom przyjaciół, dziennik na nowo się ukazuje. Jestto coprawda tylko jedna kartka, ale formatu dużego i kosztuje 10 centimów.

CLXXVII.

„*Kwestya życia i śmierci!*“, — tak napisał Blanqui u wierzchu pierwszego artykułu, wzięwszy znów po trzech dniach pióro do ręki. Pierwsze to jego odezwanie się w tonie pogróżki.

„Oszczerstwo rozwieliżmożniło się, jak w roku 48 — pisze. — Wiemy co to znaczy, to wstęp, to pierwszy stopień na szafot to przygrywka proskrypcyj masowych. A co słyhać z obroną miasta? Jedno kłamstwo, jedna obłuda. Paryż nigdy, ani przez chwilę naprawdę bro-

ionym nie był, nie jest i nie będzie. Prusaków uważna rząd za lekarstwo zbawienne przeciw „demagogii“. Ale „demagogia“ stanie do walki i nie da się zdławić, niech to odnośne osoby przyjmą do wiadomości. „Demagogia“ będzie broniła ojczyzny, choćby przyszło iść na pięści z wrogiem. Tak, po wyciu roskoszy wsteczników, po tem, że reakcja zaczyna pokazywać zęby poznaliśmy bliskość niebezpieczeństwa, wiemy jak sprawy stoją, a dla zdrajców ojczyzny mamy szubienice“.

Artykuł wstępny, zatytułowany: „Dyktatura wojskowa“ zwraca się już wprost przeciw generałowi Trochu. Jest tam cały plik dowodów stwierdzających, że ten Bretończyk to klerykał, zwolennik monarchii i kościoła, niezdatny do czynu, pochopny do płytkiej polityki na gębę, że wzbrania się z powodu swych konserwatywnych przekonań użyć do boju 250.000 ochotników z przedmieść i nie chce im wydać broni, słowem całe oskarżenie, a w zakończeniu jest ustęp, będący rodzajem wyroku: „Ważne i doniosłe zdarzenie wysoko wznoszą ludzi wielkich druzgoczą małych“.

Wtem rozchodzi się wieść o wzięciu Toul i Strasburga, znaczy to, że osmdziesiąt tysięcy ludzi wraz z działami stawia się niedługo jako wzmocnienie kolumn oblegających Paryż. A z prowincyi ni śladu wieści. Artykuł komentujący te fakty wskazuje na rząd obrony narodowej, jako główną przeszkodę obrony: „Od dnia czwartego września — pisze Blanqui — bezustannie ją udaremnia, zarówno przez swą działalność polityczną, jako też administracyjną i wojskową. Rząd nas gubi, a tu wołają: „Trzymajcie go, wiedzie nas do przepaści“. Inni krzyczą: „Idźmy za nim“. Tak, trzeba wyjść z chaosu. Pierwszym aktem obrony winno być usunięcie tego, co tę obronę czyni niemożliwą.

Dnia 6 października pojawia się artykuł p. t.: „Przygotowania do zdrady”. Jestto krótki zarys sytuacji, mowa tam o ciągłej tęsknocie za pokojem, bez względu na straty, o tem, że Juliusz Favre bez upoważnienia polecał lizać buty Bismarka, byle tylko zasięgnąć języka jakie byłyby warunki, wreszcie znajduje się wzmianka o trzymaniu w tajemnicy przez dwa tygodnie wieści o kapitulacji Toul i Strasburga, jakoteż zatajanin sprawozdań z sytuacji na prowincyi.

W numerze z 7 października czytamy pt.: „Sytuacja” zestawienie nagich, a wymownych faktów, a więc pozostawienie w portach wschodnich artyleryi morskiej i wielkich mas materiału artylerzyckiego, zawieszenie fabrykacyi dział przeznaczonych na prowincye, począwszy od 4 października, wreszcie niezakupienie z Anglii karabinów Remingtona, chociaż zamówiwszy na czas można było mieć do chwili odcięcia stolicy przeszło trzyście tysięcy sztuk.

Blanqui traci na rząd nadzieję wszelką i postanowiwszy szukać ratunku gdzieindziej, godzi się teraz na rychłe wybory, choć myśl tę zwalczał 22 września w klubie przy rue d'Arras, przeciwko wywodom Longueta.

„Oczywistość“ — pisze 8 października — zaprzeczyła wszystkim złudom. Już się niema co wahać. Przejawy wściekłości i oszczerstwa są znakiem, po którym poznajemy, co czynić, by znaleźć ocalenie“.

Dnia 5 października Gustaw Flourens, szef 63 batalionu Belleville, ponadto noszący specjalny tytuł majora szafców objawił śmiało swe zdanie w ratuszu, krytykował w rozmowie z Dorianem fabrykacyę armat, potępił wobec generała Trochu opieszalą obronę i w końcu złożył swą rangę. Uważano go, rozumie się za niespełna rozumu, a conajmniej człowieka bardzo egzaltowanego.

Był nim w istocie, ale sytuacja wymagała właśnie takich zapaleńców pełnych szlachejnych porywów. Niestety poglądów Flourensa nie uwzględniono. A szkoda, bo mógł się być porozumieć z człowiekiem tak mądrym i tak praktycznym jak Dorian. Rząd tymczasowy, był zobowiązany wobec groźnej sytuacji nie odpychać żadnej siły, więc, w miarę zdolności Flourens, a przede wszystkim Blanqui powinien był od pierwszego dnia być powołanym do rady i kierownictwa. Ale któż go znał?

W trzy dni po manifestacji Flourensa, nazajutrz po odjeździe balonem Gambetty nowy krok został uczyniony, nowy wysiłek, by uzyskać coś od rządu. Komen-danci batalionów w otoczeniu tłumów bez broni gromadzą się i domagają się wyborów municypalnych. Ale u wejścia stoi w szyku bojowym oddział gwardyi ruchomej, a przed nim batalion gwardyi narodowej. Wejść dozwolono ledwo trzem delegatom i to jeno po to, by usłyszeli z ust Juliusza Ferrygo, że rząd nie wdaje się wcale w dysputy, a manifestanci mają się rozejść, w przeciwnym razie..... Nie pozostawało nic innego, jak odejść. Nazajutrz, dawszy krótki opis zajścia, Blanqui ogłosił jednocześnie artykuł p. t.: „Z łaski bożej“. Mówi on tam o członkach rządu, ludziach, którym się dostała w ręce władza, mówi o klątwie posiadania władzy i tychsamyh wadach, które dziedziczą po sobie najróżniejsze rządy. Tak, wszyscy „stojący u steru“ uważają za arogantów tych, którzy się ważą podawać w wątpliwość ich świeżą dostojność „z bożej łaski“ i lud zowią niewdzięcznym, jeśli nie pada plackiem. Blanqui z zupełną słusnością kończy ironicznie:

„A przecież ten niewdzięczny lud nie ma żadnych obowiązków, co więcej nic go nie łączy z indywiduami

jakieby tam były w górze. Ma prawo robić to co uzna za dobre i pomocne w swych interesach, a obojętne mu są jakieś fomy i konwenanse zarozumialców „u steru“. Bierze ich sobie lud poprostu, gdy mu potrzebni, odprawia, gdy nie mogą sprostać wymogom danej chwili. Ktoś, kto dziś oddał prawdziwą przysługę, jutro okazać się może niebezpiecznym, ale nie ma prawa gadać o niewdzięczności ludu, gdy pakuje swe manatki. Przeciwnie, obywatel, choćby na przeciąg dnia jednego zaszczycony zaufaniem ogółu przestaje już być atomem w szarym tłumie, i choć w odstawce, do końca życia pozostaje „mężem konsularnym“. To aż zbyt wiele honoru, a z powyższego hyba wynika jasno, jak śmiesznem jest, chcieć mandat otrzymany od ludu, uczynić własnością prywatną i przekazywać ją swym spadkobiercom.

CLXXVIII.

Dziś jasno widzimy w jaki sposób i co wypaczyło zdrowy sąd o rzeczach ludności paryskiej. Lud chciał koniecznie bronić się. Dowodzi tego ofiarność, z jaką znosił czteromiesięczne oblężenie z wszystkimi jego okropnościami. Wierzył, że komendant wojsk, którego ustanowił, będzie bronił miasta, świadczyło o tem same jego nazwisko będące synonimem zwycięstwa. Stąd wynikło, że lud ten za podejrzanych uważał wszystkich co widzieli jasno jaką będzie przyszłość tych, którzy to mówili zbyt wczesnie, usiłowali zerwać z wodzem przeniawierczym i właśnie pod hasłem tejże obrony i w imię jej, za wrogów i szerzycieli niezgody miano teraz najgorliwszych jej rzeczników. Dlatego to stało się, że dnia 8-go października bataliony gwardyi roz-

pedzając z przed ratusza demonstrantów przezywają ich rozbójnikami, łupieżcami, złodziejami, szpiegami pruskimi i krzyczą: „Precz z Blanquim!“ Zupełnie taksamo krzyczano w roku 48. Blanqui stwierdza tylko chłodno w swem piśmie, że obelżywymi wyrazami obrzucano obywateli, których całą winą jest, że życie oddali na usługi republiki, ironicznie wspomina o przezwiskach: „szerzyciele niezgody“, „szpiegowie i sprzymierzeńcy pruscy“ i notuje je poprostu jako zbrodnie dokonane na ludziach winnych co najwyżej zbytniego zapału i rospaczy. Przewiduje zresztą, że wszystko to wiedzie do kapitulacji. Nie długo nastąpi radość ogromna, kuchnie rozbłyszczą żarem niezmiernym, oslepiająco białe obrusy okryją stoły biesiadne i ogłodzony Paryż rzuci się do jedzenia. Ha, trudno, niedźwięczną jest walka z żołądkiem ludzkim i przegrać ją zawsze musi chudy, ascetyczny fantasta.

Nie czekano nawet chwili niedalekiej, w której się spełnić miało jego prorocstwo, ale już od dawna, a zwłaszcza po ogłoszeniu wspomnianego artykułu systematycznie wydzierano mu z rąk nawet te środki działania, które wywalczył sobie. Z jego własnych artykułów dowiedziawszy się, jakimi przeróżnemi szykanami można obalić i obezwładnić człowieka, stosują doń „sfery miarodajne“ szereg prześladowań. Nie dostawał niczego, albo nie dostawał na czas, żołnierzom swoim, dopiero po wszystkich mógł dać broń, przyrządy, ubranie, trzewiki, toteż niezadowolone wzrastało z dnia na dzień, a wrogowie umieli je wykorzystać. Niezadługo komendant ma opinię niedołągi, albo człowieka złej woli. Tak się rzeczy mają w 169 batalionie, aż 15 października bomba pęka. Zjawia się deputacya oficerów i gwardzystów i zeznaje że komendant batalionu Blanqui jest szerzycielem demonstracyj, że wszyscy czują wstręt do jego

przekonań politycznych, a za niedostateczne uważają jego wiadomości w zakresie spraw wojskowych. I natychmiast Trochu w rozkazie dziennym podnosi ten fakt groźnej rozterki i nieporządków, rozwiązuje kadry oficerskie i zarządza nowe wybory. Daremnie Blanqui przysięgał że pierwszym faktem rozterki i nieporządków w jego oddziale jest właśnie afera 15 października, że nigdy słowo propagandy politycznej nie padło z jego ust wobec żołnierzy. Mógł jeszcze dodać, że dla miłości tegoż batalionu usunął nawet polityczno-społeczne artykuły ze szpalt „La Patrie en danger“, z czego mu zarzut czynili jego przyjaciele i nakładcy i nieraz podnosili, że zbyt się stara o to, by mu nie zrobiono wymówki, że nie nałamuje się dostatecznie do funkcji prostego sierżanta instruktora. Wszystko na nic. W tydzień potem miały odbyć się wybory, a Blanquiego kepi z galonem miał wdziać na głowę któryś z byłych jego oficerów.

CLXXIX.

Powiedziano tedy, że dotąd nie będzie więc miał swej szabli, że pozostanie mu jeno pióro. Ale tem piórem teraz wojuje Blanqui, jak nigdy przedtem. Czyni cuda, niewyczerpany jest, wymowny. W chwili gdy intrygi się tworzą przeciw niemu w batalionie kreśli apoteozę rasy z której pochodzi i idei, której służy. Widzi, że zalew się zbliża barbarzyński, patrzy na ziemię francuską, gdzie się rozgrywają losy postępu i zastoju, dostojęstwa i służalczości ludzkiej, gdzie rozstrzyga się pytanie kto zwycięży, rasa romańska, czy germańska. I Blanqui pisze, coraz bardziej unosząc się:

„Teutoni przekroczyli Ren i raz jeszcze zagrażają

cywilizacji. Zadrzały ludy południa posłyszawszy dudnienie kroków tych gromad okrutników, co się zerwali z lasów północy i idą, pod jarzmo królów swych i władcyków ugiąć dumne karki ludów nad morzem śródziemnym rozsiadłych“.

„Italia przysłała na pomoc jednego ze swych najszlachetniejszych przedstawicieli, osłonięta ścianą Pirenejów wstrząsa się w posiadach Hiszpania, świat cały zadrzał na widok tej walki o życie, jaką idea braterstwa ludzkiego toczy z brutalnym i dzikim najeźdźcą“.

„Już przyszedli, już depcą nasze urodzajne niwy, ci ludzie o płaskich nogach, rękach, niby u małą długich, ludzie, co uzurpują sobie przywilej stanowienia najwyższego typu ludzkości, a są i zawsze byli jeno jej nieszczęściem, ludzie ci idą, by cofnąć nas tysiąc lat wstecz zepchnąć kulturę naszą w omroczone mgły Bałtyku“!

„Do broni! Do broni więc wielki szczepie ludzki, któremu przeznaczenie i wysiłek wieków udzieliło postaci pięknej, wykwintnej, w duszy którego zakwitły wszystkie myśli, porywy szlachetne wielkie i ideały, będące zaszczytem człowieczeństwa. Do broni! Na walkę straszną, trud was czeka ogromny, wypełnić musicie z naszej gleby zielsko bestyalskich hord, usunąć posiew zła i ciemności, wytrzebić dzikie małopoldy zelandzkie, które oto rozsiadły się ze zwierzęcym chichotem na ruinach cywilizacji“.

CLXXX.

W artykułach następnych Blanqui komentuje wieści z prowincji i nieruchomość armii nieprzyjacielskiej, która w zupełnym spokoju czeka, aż się skończą zapasy ży-

wności w stolicy. To nie ulega już dziś kwestyi, chcą wziąć Paryż głodem. I teraz Blanqui jest pierwszym, który spostrzegł i ogłosił ten pewny fortel wojenny wroga. Także wyraża obawę, czy Gambetta nie uwiózł ze sobą balonem z Paryża choroby, trapiącej rząd tymczasowy, to jest niepewności, strachu przed ludem i skłonności do reakcyi. W tym wypadku Garibaldi zostanie obsaczony przez kler i będzie już tylko nazwiskiem, pięknie brzmiącym w historii, a rewolucya wyda się wszystkim rzeczą podejrzaną, wroga może nawet.

Cisami, którzy aklamują republikę, niecierpią jej, radziby obalić i naprzód już ciągną zyski z tej roboty wsteczniczej, Blanqui też pisze:

„Nie znam większej na świecie męki nad widok tej strasznej obłudy. Zaprawdę zbyt ciężkiem jest dla jednego pokolenia patrzeć na to dwa razy w ciągu niepełna 25 lat. Kaci, nawet w tesame słowa zamykają swój program. O czyż będzie można kiedy zmierzyć przepastne głębie złości i głupoty ludzkiej?!“

I teraz już, gdy pierwsze, najcenniejsze dwa tygodnie minęły na szacherkach, a drugie dwa na wahaniu, Blanqui przestaje wierzyć, by Paryż mógł odnieść zwycięstwo. Jest jak dawniej uosobieniem czynu energii, rzeczniakiem oporu, ale nikt go nie słucha, sfery miarodajne nie mają odwagi pójść za głosem owego zagorzałego demokraty i rzucić cały Paryż na wroga. Generał Trochu świadomie i celowo nie chce więcej wojska ponad 40.000 gwardyi narodowej i z tą siłą urządza szereg wycieczek, które, wedle Blanquiego wiodą prosto do ogłędzenia, i kapitulacyi, rozkawałkowania Alzacyi i Lotaryngii i przywrócenia władzy królewskiej.

W tym okresie, jasnowidzący publicysta traci wiarę w powodzenie, i to właśnie skutek tego swego daru

przewidywania. Ale rozumuje i teraz na podstawie faktów. Widzi, że nie sprowadzono do miasta broni, że nie przerabiają starych strzelb na nowe z dostatecznym pośpiechem, że opieszale idzie odlewanie dział, że wszystkiego jest 50 dział lekkich dla całej gwardyi narodowej i że na pół miliona gwardzistów, ruchomych i liniowców, z których składa się załoga, ledwo 160.000 ludzi ma dostateczne uzbrojenie. Dodaje jednak, że przy wielkim wysiłku energii możnaby w ciągu trzech tygodni mieć 1200 armat, sformować 30.000 artyleryi i produkować dziennie 10.000 karabinów. Ale zdaje sobie też sprawę z tego, że sfery wojskowe pominą milczeniem wszystkie owe rady „cywila“. Szkoda, że jeszcze i tego nie widział Blanqui, co było faktem niezbitym dla generała Trochu, że w owej chwili armia nieprzyjacielska, oblegająca Paryż, liczyła niespełna 160.000 ludzi i że zwycięska walka, przerwanie na jednym punkcie pierścienia głodowego, mogło zadecydować o wszystkim, przywrócić komunikację z resztą kraju przywrócić stolicy możność oddychania i jasność. Historycy najumiarkowańsi i najbardziej ugodowo nastrojeni odnośnie do tego faktu wypowiedzieli się później równie kategorycznie i potępiająco, jak to uczynił, tejże samej chwili, zaraz tegosamego dnia, Blanqui w swej „La Patrie en danger“.

Generał Trochu ciągle dyskutował, pisał, a tymczasem, bez końca powtarzały się utarczki zgoła niepotrzebne i wycieczki bez planu i konsekwencyi, bez dawania posiłków oddziałom już zaplątanym w bitwę.

I tak dnia 21 października około 7000 ludzi podzielonych na trzy kolumny wraz z prawie równej siły rezerwą udaje się przez Buzenval ku Malmaison, i niepokoją póty nieprzyjaciela, aż tenże uciekać poczyna w panicznym strachu. Ale Niemcy mieli posiłki i mogli

w decydującej chwili posłać je na punkt zagrożony, podczas gdy zostawieni samym sobie Francuzi musieli się szybko cofać po zwycięskim ataku.

CLXXXI.

Wydarzenie z wioską Bourget mogło zaniepokoić najbardziej pobłażliwych. Miejscowość tę, 28 października, w pierwszym ataku zajęło trzystu franktireurów, potem oparli się o gwardyę ruchomą i narodową. Ale dnia 30 października odbili ją Niemcy. Więc przez ciąg dwu dni, pod samemi niemal bramami stolicy, garść ludzi czekała na pomoc, wojsko, armaty, czekała daremnie, a tymczasem otoczono ją i wycięto w pień po bohaterkiej obronie, z za węglów domów, okien i dachów. Nazajutrz Trochu wyrażał się o tych gigantycznych trzechdniowych zapasach, jak o przykrym wypadku i dosłownie oświadczył, że wieś Bourget nie leży w terytorjum objętem obroną, a jej zajęcie jest rzeczą niezmiernie małej wagi.

Do tego dołączyła się kapitulacja Metz. Gdy wiadomość tę posłyszano od Feliksa Pyata, wierzyć jej zrazu nie chciano. Spalono jego pismo „Combat“ i nawet w urzędowym „Officiel'u“ przedstawiono go za agenta wrogów. Ale było to prawdą i dnia 30 października afisz Juliusza Favra oznajmił jednocześnie powrót Thiersa, propozycję zawieszenia broni, z którą wystąpiły cztery wielkie neutralne państwa, zwołanie Zgromadzenia narodowego i wreszcie poddanie Metz przez Bazaina.

Więc po sześciotygodniowem oblężeniu nie było nic do roboty innego, jak stwierdzić bezczynność gen

Trochu, zły stan uzbrojenia, powolność robót wszelkich, pojawienie się w rządzie daleko wcześniejsze idei zawieszenia broni, jak obrony i w rezultacie obawa, że po Metz przyjdzie kolej na Paryż.

Tym razem podniosły się głosy oburzenia, dyskusje, poczęły odzywać się okrzyki czytających afisz, ulica zawrzała gniewem. Były to zwiastuny burzy.

CLXXXII.

Dnia 31 października merowie zjawili się w ratuszu i gabinecie mera Paryża, Stefana Arago i zdali mu sprawę ze stanu rzeczy, prosząc o radę jakąś, by uspokoić umysły i to natychmiast. Przyszli po raz pierwszy o 10-tej, zjawili się ponownie o 1-szej. Wszyscy wyrażali obawę, że przedmieścia rzucają się na ratusz, wszyscy oświadczyli zgodnie, że nieuniknionem jest rozpisanie wyborów municypalnych, poddanie pod sąd sprawy ze wsią Bourget i ukaranie winnych, a wreszcie sformowanie bezzwłoczne batalionów liniowych i wydanie wrogom walnej bitwy. Mer Paryża i jego doradcy poszli przedłożyć to wszystko rządowi zebranemu w sąsiedniej sali. Czas naglił. Wrzawa rosła z każdą chwilą, tłumy mogły się porwać do powstania.

Było już nawet zapóźno. Podczas gdy roztrząsano punkt po punkcie żądania merów, masy ludności nadciągnęły, wyłamały drzwi i załamywały ratusz.

CLXXXIII.

Czem były te tłumy, długo rozważać nie trzeba. Nie ulega kwestyi, iż było to pogotowie przejawionej

nagle rewolucyi społecznej. Nazwiska przywódców, ton artykułów dziennikarskich, dawno żywione, dziś głośno wyrażone pragnienia, wszystko świadczy aż nadto wyraźnie, że bojowników tych wydała klasa, całkiem różna od klas panujących, że szło im o nowy, inny zgoła porządek społeczny, że wszyscy kipieli gorączką i sił mieli dość, by swe żądania przeprowadzić natychmiast. To prawda. Ale myślę, i w tem zgodzą się ze mną wszyscy historycy, że w tej chwili, wszystkie uczucia i myśli tych mas tłumilo i opanowało jedno uczucie, uczucie niewoli, konieczności walki i obrony Paryża, że skutkiem całkiem naturalnych przyczyn, najzacieklejszym rowolucyonistom teraz nie szło o właściwe, rewolucyjne cele, ale o wojnę odporną dla ocalenia narodu.

Co to był za impet! Co za zapał! Pamiętam, jakby wczoraj. Byłem dzieckiem, żyłem ciągle na ulicy w owe czasy, rano i wieczór, ciągle spragniony, ciągle ciekawy czerpałem z tej krynicy wrażenie zmienne jak chmury na niebie. Chciałem widzieć i słyszeć wszystko, czytywałem niezliczone afisze, co godzinę niemal odświeżane, słuchałem zażartych dysput osób zbijających się w gromadki na każdym rogu ulicy, na placach, drogach, wszędy. Pamiętam, niebo było zawsze szare, chmurami nisko wiszącymi okryte, deszcz groził ciągle, powietrzem wstrząsał huk armat. Ludzie czytali dzienniki, chwyтали je chciwie, wydzierali nieraz roznosicielom, wykrzykującym tytuły, oblegali kioski i księgarnie.

Ileż to razy, czytając wieczór w domu pisane dzieje tych czasów, przed oczyma mam teżsame dzieje przeżyte osobiście. Słyszę wówczas te okrzyki, słowa, huk dział, widzę płachty dzienników, twarze przerażone i zagniewane, cały ten tłum wznoszący twarze ku ołowianemu niebu. Zdaje mi się wówczas, a zdawać się też musiało

niehybnie współczesnym, że znikły oddale czasu i że cudem jakimś przenosi się człowiek w ową epokę gdy był „Terror“ i „Ojczyzna w niebezpieczeństwie“ kiedy się działy cuda obrony narodowej. Zdało się iż się muszą powtórzyć w latach siedmdziesiątych. Fantazowałem tak wówczas, pozwalałem sobie na taki zbytek i jeno ciosy przeznaczenia, ciągłe zjawy oczywistości twardej mąciły marzenia o czynie.

Pamiętam więcej jeszcze przejawów życia ulicy. Były to długie, niezmiernie długie postoje, wielkie oczekiwania, na które każdy wówczas, doprawdy nie wiadomo czemu, był skazany. Na porcję chleba i mięsa długo, bardzo długo trzeba się było czaić u drzwi rzeźni, piekarni, czasem w mroczną, zimną noc, czasem przed świtem. Stały tak dzieci, stały kobiety pokornie, cicho, a przecież to im najbardziej dawał się we znaki niedostatek, ta tragedia, której winne było łajdactwo, czy głupota rządowców, najbardziej było to ich tragedią, największymi byli nędzarzami, bo maryonetkami w rękach ludzi, co nic nie czuli, co jak trupy były poruszane siłą pychy i chciwości.

A wszyscy, wszyscy ci nieruchomi pod sklepami i ci gestykulujący po bulwarach, wszyscy mówili jedno, wszyscy żywili jedną nadzieję, wieczyście, w kółko powtarzana, że rząd nie ustąpi, że tak będą co dnia, przez tygodnie i miesiące wystawać tutaj wszyscy, byle dostać kawałek lichej koniny i suchara wojskowego, że póty będą inni walczyć, aż armia prowincjonalna się zgromadzi, przebije przez pierścień oblężniczy i wraz z załogą Paryża rozprószy wojska niemieckie. To był temat ulubiony i niewyczerpany wszystkich, a oczy polyskiwały, gdy to mówiono. To samo przekonanie mieli

wszyscy, mężczyźni, kobiety i dzieci. Wszyscy wołali z pasją na różne tony: Nie poddamy się!

Ktokolwiek pamięta te czasy musi mieć pełne uszy i pełną duszę tego okrzyku, więc też dziwić nie powinniśmy, że wieczorem, dnia 31 października ruszył do ratusza pochód ogromny i płynął przez godziny całe ulicami. Byli tam mężczyźni, kobiety, dzieci, szczekała broń, grzmiały głosy, tętniły przyspieszone kroki po osłizłym od deszczu trotoarze. Tłum parł naprzód, a wszystkie serca rozpierało jedno jeno pragnienie: Ocalić Paryż!

I widzę plac przed ratuszem zalany czarnym tłumem, nie zapomnę nigdy tego wieczora ciepłego, tego deszczu, tych świateł, bijących o szyby i korowodu nieustannego batalionów. Pamiętam też dotąd, jakie drzenie przebiegło, jakie falowanie te masy zbrojne, gdy około szóstej rozeszła się wieść, że Blanqui wszedł do wnętrza, zajął ratusz i wydaje rozkazy. Wróciły zda się czasy 1848 roku. To samo nazwisko śmiałka co 22 lata wstecz i tłum ten sam, tą samą ożywiony nadzieją, wiedziony tymże instynktem walczenia ze złem. Ale o ileż piękniejszą od wszelkiej „historii“ była ta rzeczywistość, o ileż bardziej chwytiała za serce, jak najlepsza książka, ileż mieściło się w niej niepewności, jaka moc owego nieznanego, skrytego w ciemni, w dali tajemniczej, skąd ciągle dochodził odgłos walki.

CLXXXIV.

Blanqui istotnie wkroczył do ratusza, gdy go jeno poinformowano, co się stało. Nie było nic prostszego jak dzień 31 października. Ogromna masa ludności, roz-

gorączkowana, oszalała od złych wieści, wściekła na bezmyślność rządu, przyszła instynktem wiedziona do ratusza, bez wszelkich projektów, bez żądań nawet sformułowanych naprzód. Wiele pisano o tem, co się stało stać mogło tego dnia, a wszystkie, najróżniejsze opowieści i wrażenie godzą się na jedno, że na placu ratuszowym panowało zamieszanie, niepewność i napięcie oczekiwania. Jest to fakt najważniejszy.

Bataliony szły jeden po drugim, żołnierze nieśli karabiny lufami na dół, nad ich głowami powiewały chorągwie z napisem: Precz z pokojem! Niech żyje Komuna! Pospolite ruszenie! Przed ratuszem zarówno, jak pod oknami komendanta naczelnego w Luvrze, rozbrzmiewały okrzyki: Precz Trochu! Niech żyje Komuna! Broni! Tymczasem roztrząsa rząd życzenie merów, przemawia Trochu, Juliusz Simom, Garnier-Pagès i Rochefort. Nagle tłum ogarnia salę rady municypalnej ponad dziedzińcem Ludwika XIV., w której obradują merowie, i jednocześnie salę rządową, położoną na rogu ratusza od place de Grève i quai de Gesvres. Otoczeni masą ludzi wchodzą do sali merów Delescluze i Pyat, a Flourens na czele czterystu tyralierów wkracza wprost do sali rządowej.

Tymczasem mer Paryża wraz z czterema doradcami przechodzą salę du Trône chcąc przedłożyć rządowi rezultat obrad. Natykają się na napastników, ale przeciwskają się przez ich szeregi, i ostatecznie rząd przystaje na ogłoszenie wyborów municypalnych, a Stefan Arago oznajmia to tłumowi odczytując żądania merów i decyzyę rządu z wysokości schodów, a potem z okna. W sali rządowej Rochefort wchodzi na stół i ogłasza tosamo, ale źle zostaje przyjęty i schodzi na dół. Od tej chwili każdy, kto sądzi, że ma coś powiedzieć wchodzi na ten

stół, wokoło którego siedzą: Trochu, Juliusz Favre, Juliusz Simon, Juliusz Ferry, Emanuel Arago, Garnier-Pagès i Dorian. Pierwszy przemawia Lefrançais i oznajmia, że rząd upadł. Potem Flourens w butach wojskowych, ozdobiony galonami, odczytuje nazwiska członków nowego rządu, czyli raczej komitetu prowizorycznego, mającego zarządzić wybory komunalne. Tłum akłamuje, lub krzyczy: Nie! Lista, która utrzymała się ostatecznie jest następująca: Dorian, Flourens, Mottu, Wiktor Hugo, Ludwik Blanc, Delescluze, Blanqui, Avrial, Raspail, Ledru-Rollin, Feliks Pyat, Millière, Ravvier i Rochefort. Na Rocheforta nie wszyscy się zgodzili odrzucić, nazwisko zaś Doriana tłum sam kazał wpisać.

CLVXXV.

Teraz dopiero począł się nieporządek, dorywcze, przypadkowe zgoła odruchy i objawy gniewu niechamowanego już. Flourens złożył nowy rząd, ale go nie mógł przeprowadzić. Należało to dopiero uczynić. Nie wszyscy zamianowani przez ten improwizowany plebiscyt byli obecni. Blanqui pozbawiony swego batalionu nie poszedł na ratusz. Dowiedziawszy się o pół do szóstej, że wszedł w skład nowego rządu prowizorycznego, o szóstej już stawił się w ratuszu, przecisnął się z najwyższym wysiłkiem przez tłumy i niewiadomo w jaki sposób dotarł aż do biura prefektury dep. Sekwany, oddzielonego od sali rządowej przedsionkiem i klatką schodową. Przed-sionek ten i schody odegrały ważną rolę w wydarzeniach 31 października, tam bowiem mogły dostać się z łatwością i opanować dowolnie bataliony, które nadeszły z pomocą rządowi obalonemu. Flourens kazał zająć salę, gdzie się znajdował wraz generałem Trochu i jego ko-

legami i rozkazał tyralierom pilnować wejścia. W ten sposób izolował rewolucję przez siebie, jak sądził wywołaną, odcinał ją, ale właśnie powinien był zająć schody i przedsionek, bo tam właśnie wpakował się 106 batalion przedmieścia St. Germain, oddany gen. Trochu z duszą i ciałem.

Blanquiego poznali natychmiast przyjaciele i znajomi i dowiedział się też niezwłocznie o wszystkim, co uczynił Flourens. Właśnie chciał się z nim zobaczyć i przejść przedsionek, gdy u drzwi natknął się na wartę 106 batalionu i musiał cofnąć się. Spostrzegł zaraz niebezpieczeństwo, trudności wielkie, pospieszył tedy zrobić, co się dało.

Wrócił tedy cicho i spokojnie do sali i tam mimo ponurych myśli, tłoczących się, wspomniął nasamprzód o nieprzyjacielu. Należało zapobiedz, by nie doszły doń wieści o zamieszkach i przesileniu w mieście, pierwszym tedy rozkazem, wydanym przez niego jest, by zamknięto wszystkie wyjścia, przecięto wszelką komunikację, drugim zaś rozesłanie gońców do komendantów fortów z wieścią o tem co się stało i surowym nakazem zdwojenia czujności. Gdy to uczynił i szafety ruszyły we wszystkich kierunkach, Blanqui pomyślał o ochronie ratusza i wysłał do dwudziestu mniej więcej naczelników batalionów rozkaz, by zgromadzili swe wojska i przybyli niezwłocznie, batalionom zaś czekającym na placu polecił natychmiast wkroczyć do środka, wyparłszy na przód żołnierzy 106 batalionu. Jeden z nich prócz tego zająć miał prefekturę policyi. Merów powiadomiono, jakoteż wyznaczono dla kilku, trzech, czy czterech dzielnic nowych.

Wśród tego nadszedł Ledru-Rollin, spojrział na piszącego Blanquiego, postać chwilę i odszedł.

CLXXXVI.

Tymczasem w sali sąsiedniej wybuchł spodziewany konflikt. Batalion 106 wdarł się do sali zajętej już przez Flourensa, komendant Ibos wszedł na stół obok Flourensa i zagadywał go, a jego ludzie uprowadzili gen. Trochu, za którym wymknęli się Ferry i Emanuel Arago. Oszukany Flourens resztę członków wtłoczył we framugę okna i otoczył strażą tyralierów. Działo się to około godziny siódmej, a rewolucya, zamiast wzrastać, malała. Millière przybył, pełen zapału i zdecydowany działać rewolucyjnie, ale przyszedł sam, nie zebrał swego batalionu, zaś bataliony z placu poszły do domu. Po ogłoszeniu nowego rządu myślano, że się wszystko skończyło. Około północy niezawodnie odejdą też dwie kompanie, rozłożone we wnętrzu ratusza. Deszcz pada, tłum zgłodniał, każdy rad wracać do domu, zaś o tem co się stanie doniosą i tak pisma poranne.

W chwili, gdy się podniosła wrzawa przy okazji uprowadzenia gen. Trochu, Blanqui powziął ponownie zamiar widzenia się z Flourensem. Tymczasem zdołał wyjść do przedsiönka pełnego krzyczących, gestykulujących ludzi, rzucił się naprzód i dotarł do drzwi przeciwnych. Ale tam znów tyralierzy Flourensa zastąpili mu drogę. Kazano im nie puszczać, więc nie chcą robić dla nikogo wyjątków. Odepchnęli go raz i drugi, nareszcie zdołał doprowadzić do tego, że go wysłuchali i pojęli, poszedł i chciał wrócić z Flourensem do binra prefekta, by wytknąć jakiś plan akcji i wyjaśnić sytuację.

Ale w drodze powrotnej trzeba było przejść znowu niebezpieczny przedsiönek, gdzie kto wie, co kogo mogło spotkać. Rozległy się nagle okrzyki: „To już nie

106 batalion, lecz inny z St. Germain, 17-ty. Gwardzi-
stów teraz dużo, wszyscy podnieceni i gotowi do bitki
z tyralierami. Jeden z nich poznał Blanquiego i oznaj-
mił to innym. W jednej chwili porwali go od boku Flou-
rensa, w kilkunastu rzucili się na niego, chwycili, przy-
cisnęli jakimś stołem i poczęli dławić. Tyralierzy znów
porwali się do obrony i powstała jedna wielka kupa
ciał, pod którą znikł starzec. Ale gwardziści zwyciężyli,
pochwycili swą ofiarę i wyrzucili z przedsiönka na
schody. Tam upadł Blanqui zdyszany, pół omdlały, ale
zaraz przyszli mu z pomocą inni gwardziści 17 bata-
lionu i zamiast dobić, zaprowadzili do ławki i posadzili,
by mógł przyjść do siebie. Przez chwilę siedział nieru-
chomy, potem odzyskawszy oddech, pomyślał pewnie, że
bardzo trudno jest zostać zrozumianym, że na nic się
nie zda silić się, nieść ludziom dorobek nauki, filozofii,
zużywać mózg, poświęcać życie. I oni chcą tego samego
co on niewątpliwie, większość przynajmniej energicznie
domaga się uporczywej obrony, zwycięstwa Paryża i Fran-
cyi. Pragnie tego z równym zapałem, a większą jasno-
ścią i przeczuciem. A jednak ludzie ci traktują go jak
wroga, miotają nań obelgi, biją go. Oto niewiele bra-
kło, by go nie zabili, niezdolni wznieść się ponad swe
interesy klasowe, aż do idei miłości ojczyzny, tej mi-
łości, której rzecznikiem jest ten starzec.

Nic mu się nie stało, ale został uwięziony. Dano mu
szklanę wody, w otoczeniu gwardzistów z bagnetami
na karabinach sprowadzono go po schodach i powie-
dziono kurtytarzem ku wejściu na ulicę. Ale tam stali
znów na straży tyralierzy Flourensa i rzucili się bro-
nić Blanquiego. Olbrzymi gwardzista, który go prowa-
dził, chwycił za gardło tyraliera i cisnął o ścianę. Na-
gle rozległ się strzał, wypalił karabin, szczęściem w po-

wietrze i odrazu z jednej strony gwardziści, z drugiej tyralierzy poczęli się cofać, a Blanqui, pozostawszy sam pomiędzy nimi, podniósł głos i zaklinał obie strony, by nie wszczynali bójek i nie rozlewali krwi bratniej. Usłuchano go, wszystko się wyjaśniło i Blanqui pod eskortą wróciwszy do sali obrad, zajął swe miejsce.

CLXXXVII.

Znalazł się więc Blanqui za stołem obok Flourensa, Délescluza, Milliëra, Ranviera i Mottu. Poczęli obradować. Sytuacya przedstawiała się mniej więcej tak:

Członków dawnego rządu, którzy nie wymknęli się z gen. Trochu, przytrzymano pod strażą. Manifestacye w całym mieście ustały. Ni jeden batalion przedmiejski się już więcej nie pokazał, a te, które przyszły przedtem, wróciły do domów. Plac de Grève, przed chwilą pusty, począł od niedawna, ale stale napępniać się tłumami. Ulicami Rivoli i przez skwery poczęły napływać bataliony gen. Trochu i niebawem otoczyły ratusz. Ferry znalazł się pod drzwiami sali St. Jean na czele batalionu 106, z którym powrócił odprowadzony Trochu do domu. Niedługo, przewidzieć było łatwo, — gwardya, będąca wewnątrz połączy się z batalionami na placu i ratusz zostanie odbity. Trzeba było robić wobec tego, co się dało.

Dorian obrany pośrednikiem zgodził się na wybory do municypium na dzień następny, to jest wtorek, zaś na wybór nowego rządu tymczasowego we środę. Délescluze postawił wniosek, by przyjąć to do wiadomości i oczekiwać rezultatu wyborów. Blanqui odczytał odezwę do ludności paryskiej, zawierającą oświadczenie, że

ruch w dniu 31 października miał na celu jeno spowodowanie energicznej obrony i walki z wrogiem, a dał władzę w rękę komitetu, który tę władzę zatrzyma aż do chwili stwierdzenia wyniku wyborów. Było to sformułowanie wniosku Délescluza i po przyjęciu odezwy wszyscy sześciu poszli wręczyć ją Dorianowi, z którym też zawarli formalną konwencję co do wyborów municypalnych, dalej co do ponownego wyboru obecnych członków komisji, rozdzielenia pokojowego partji, któreby mogły począć ze sobą bójkę, a w końcu postanowiono, że z racyi wydarzeń dnia tego nie nastąpią żadne prześladowania, żadne nie zostaną użyte represalia.

Godzą się na to w zupełności Juliusz Favre, Simon, Garnier-Pagès i Tamisiér, generał gwardji narodowej, a nawet w oświadczeniu późniejszym Doriana przed komisją wyborczą powiedziano, że to członkowie rządu zaproponowali, by wybory odbyły się dnia następnego i postanowili poddać listę członków próbie plebiscytu. Juliusz Ferry stał ciągle pod drzwiami sali St. Jean. Jako parlamentarze udali się doń Dorian i Délescluze. Ferry przez uchylone drzwi oświadczył, że godzi się na wszystko, że należy zapytać lud o jego wolę, a władzę w ten sposób usankcjonować. Zgodził się też na ewakuację. Potem zamknął drzwi i pozostał tam jeszcze przez dwie godziny, czekając ostatecznej odpowiedzi Délescluza.

Po wszystkich tych próbach zgody i ostatecznej umowie, wiążącej w stopniu wystarczającym obie strony, zjawiała się siła zbrojna. W chwili, gdy wszyscy chcieli już wychodzić, wpadł batalion gwardji ruchomej departamentu Finistère pod wodzą komendanta de Legge i batalion dep. Indry z kapitanem Dauvergne na czele. Dostali się tu dwoma podziemnymi przejściami, które łą-

czyły kasarnię Laban z ratuszem. Nastąpiła chwila groźnej ciszy, wśród czarnej masy wojska połyskały karabiny, wystarczył jeden znak, jeden gest dowódcy, a pospałyby się strzały. Naprzeciw wojska stali Flourens, Dorian, Blanqui, Delescluze, Millière, a w kurytarzu za ich plecami zbrojni gwardziści. Mało co brakło, by popłynęła krew. Szczęściem na wezwanie Doriana zbliżył się oficer i powiadomiony o wszystkim, zgodził się czekać. Tymczasem bretońscy piechury zajęli parter i schody, berichońscy pierwsze piętro i salę du Trône, zaś Karol Ferry otworzył drzwi Juliuszowi Ferryemu, który krocząc z gwardzistami pułków 14, 17 i 106, poszedł prosto do sali posiedzeń rządu, wyłamał drzwi i uwolnił swych kolegów. Groźny konflikt pomiędzy tyalierami Flourensa, a przybyłymi świeżo gwardzistami został zażegnany dzięki słowności generała Tamisier, który obiecał był, że wszyscy wyjdą stąd razem. Podał rękę Blanquiemu i wraz z Flourensem wyszli, a za nimi ci wszyscy, co niedawno zajęli zbrojną ręką ratusz. Przez pół godziny pochód snuł się środkiem zgromadzonych na placu żołnierzy gwardyi ruchomej i narodowej. Stało się to o godzinie czwartej nad ranem, ciemno było całkiem, padał rześisty, zimny deszcz jesienny.

CLXXXVIII.

Rząd kilkugodzinny, proklamowany w ratuszu tego wieczora, obradujący przez część nocy, która mogła stać się tragiczną, a była jeno chaotyczną, nie był w stanie przedłużyć w żaden sposób swego istnienia. Nie miał żadnego związku z ludnością, żadnego oparcia, toteż z nieubłaganą koniecznością umrzeć musiał na zanik sił.

Żaden z członków tego rządu nie miał za sobą całego Paryża, ani Flourens, prosty komendant wojsk, ani Delescluze z wpływami dość ograniczonymi, ni Blanqui, jednym wcale nieznanym, zapoznawany przez innych, o opinii wypaczonyj, potwornej wprost. A siły rewolucyjne nie rozpętały się do tego stopnia, by im dać w rękę przygodną dyktaturę. Nietylko nie skupiono się dokoła nich w ratuszu, ale ich poprostu opuszczono, gwardya im sprzyjająca wróciła zwolna do koszar, rozprószyła się po domach. Nie byliby zostali poparci dłużej jak przez jeden dzień, to jest dzień wyborów, z których wyszliby niezawodnie co do jednego wszyscy byli członkowie rządu obrony narodowej. Mamy wszelkie prawo wykluczyć nawet samą możność wojny domowej w obliczu wroga. Wszyscy ludzie najsprzeczniejszych poglądów mówiąc o dniu 31 października godzą się na tym punkcie. Jest pewnem, że pierwszą myślą i postanowieniem napastników było nie używać broni.

Podobnie też i Trochu i Ferry odzyskawszy wolność nie uciekli się do przemocy. Trochu poszedł na kolację, a Ferry wszedł do wnętrza po gwardyi ruchomej, to jest gdy mu drzwi otwarto. Najoczywiej w świecie zwlekano i to umyślnie. Istniała tajna jakaś umowa stron obu, milczące postanowienie nie dopuścić do starcia wśród całego tego chaosu. Obu stronom przynosi to zaszczyt nie mały.

Ponad wszystko, silniejszym się okazał instynkt partyotyczny i zachowawczy wobec toczącej się wojny, toteż najbardziej zdecydowani obalić rząd dotychczasowy nie myśleli działać rewolucyjnie. Było to co prawda sprzeczne samo w sobie. Zdawano się przeto na wypadki, na to co wyniknie z aktu woli zbiorowej, licząc na dziś,

na napływ ludności, zaś na jutro na legalne środki wyborcze. Ale ludność nie objawiła dość wyraźnie swej woli.

Było niezmiernie łatwo potem przedrwiwać ludzi, którzy skrytykowawszy naprzód akcję obronną rządu, potem nie potrafili się nawet utrzymać na zdobytym stanowisku kierowników. Toteż pozwolono sobie na różne żarty i ordynarne porównania. Łatwo jednak zrozumieć że ludzie wyniesieni jakimś ruchem na pewną wysokość, gdy ruch ten ustanie i zmieni się upaść muszą niechybnie. Trzeba przypływu żeby statek wypłynął na pełne morze. Toteż wszystkie wysiłki Blanquiego były daremne. Widział sytuację, potrafił znaleźć metodę postępowania, wydać rozkazy, ale nie mógł sprawić, by cały Paryż równie jasno jak on zdał sobie sprawę z rzeczy i, by rewolucya wybuchła w oznaczonym czasie. Silna jego wyobraźnia, stwierdziwszy stan rzeczywisty, stworzyła fantazję czynu, projekcję jego, brakło jeno sił, któreby tchnęły życie w marzenie. W podobnych okolicznościach historycznych powtarza się zawsze, że o ile żołnierze wydać ze siebie mogą wodza, sam wódz nie może potęgą woli wywieść armii z nicości. Paryż, teraz już zaniepokojony, co będzie z obroną, na poły jednak wierzył generałowi Trochu, bo tenże ciągle mówił: Nie poddam się! Był bierny. Przeczył, a to znacznie łatwiejsze. Blanqui, który twierdził, że zachodzi obawa złęgo, był czynny i zdecydowany, pozostał przeto, czem był przez całe życie, wodzem bez armii, chociaż wodzem był niezaprzeczenie. I wiedziano o tem. „Rewolucya — powiedział Ludwik Fiaux — wiedziała, że ma swego Richeliengo“.

Dnia 31 października skorzystała jedno opinia Blanquiego. Do potwornego portretu jego przybył szczególnie nowy. Zmyślono, a znaleźli się półgłówki, którzy

te mu dali wiare, że Blanqui skorzystał z kilku chwil swej władzy w ten sposób, iż wysłał do ministerstwa finansów dwu posłańców z bonem na 15 milionów franków.

CLXXXIX.

Dnia 1 listopada, na afiszu Doriana, Schoelchera i Stefana Arago, donoszącym o wyborach municypalnych został nalepiony drugi, afisz Juliusza Favra, z oznajmieniem, że wybory zostają odłożone i że ludność Paryża dnia 3 listopada głosowaniem przez: Tak... lub Nie, zadecyduje czy wybory wogóle w najbliższym czasie są potrzebne. Było to sprzeniewierzenie się danemu słowu, co więcej cofnięcie samej decyzji rządu powziętej przed zajęciem ratusza, na wniosek merów dwudziestu dzielnic, nie zaś cofnięcie, jak mówił Juliusz Favre wymuszonej od trzymanyh pod strażą członków rządu.

Głosowano tedy, ale formuła pytania została raz jeszcze zmieniona w kierunku czysto plebiscytnym. Ludność odpowiadała na pytanie, czy chce utrzymać przy sterze państwa rząd obrony narodowej. Tak... odpowiedziało 321.373, nie... 53.585, głosowanie w armii dało 236.623 tak..., a 9.050 nie. Wybory municypalne odbyły się w sobotę.

Nie dotrzymano naturalnie także drugiego punktu umowy zawartej w ratuszu, rozpuszczono całą policję za tymi, którzy 31 października brali czynny udział w opisanych usiłowaniach obalenia rządu. Zostali przytrzymani Vermorel, Lefrançais, Vésinier i Tibaldi. Zaareztowano też, ale puszczono niebawem Ranviera, Jaclarda Tridona i Bauera. Za Blanquim śledzono, ale nie utra-

cił wolności. Prefekt policji Edmund Adam podał się do dymisy. Tamisier złożył dowództwo nad gwardyą narodową i został zastąpiony przez Thomasa.

CXC.

Blanqui zamieszkał u Leoncyusza Levraud, który nigdy nie bywał w domu, gdyż spełniał funkcje chirurga przy batalionie gwardji ruchomej, w okolicy Avron stacyonowanego. Nowy lokator przedstawił się właścicielce mieszkania przy rue Clauzel za krewnego Levrauda, który musiał opuścić swój dom zbombardowany przez nieprzyjaciół. Drugim lokatorem był tu przyjaciel Levrauda, doktor Cholet. Blanqui tedy zapada znów w ciemń, cicho koło niego, choć cały Paryż drży z obawy i cierpi nęczę. Przeznaczeniem jego było już widać przeżywać wstrząsające sceny, doznawać wrażeń okropnych, być świadkiem dramatów, a bezpośrednio potem zapadać w ciszę i samotność. Obezwładniony, w ciszy tej odnajdywał swobodę myśli, stawał się sobą samym na nowo. Zwyciężony, powstawał tem silniejszy, tem odporniejszy na całą złą wolę, na całą obojętność świata.

Mieszkanie Levrauda, to jakby nowa kaźń więzienna, ale zawsze jest tu towarzysz niedoli... można chodzić po pokojach, mieć kontakt z ludźmi i ich twórczością przez książki, których pełno w pracowni. Zresztą Blanqui nie przestaje i stąd działać, co dnia „La Patrie en danger“ drukuje jego artykuł wstępny.

W artykułach z tego czasu poddał Blanqui surowej krytyce wiarołomność rządu, milczenie Doriana, zmianę przekonań Favra. Wogóle radzi w piśmie swym głosić... Nie!, wysławia stronnictwo rewolucyjne za po-

wściągliwość przez co uniknięto wojny domowej, a gdy odbyło się już głosowanie pociesza się, że nie cała ludność tak sądzi, bo młodzieży głosowanie nie przysługuje, a najlepsi z pośród dorosłych byli na szafkach. Ale zdawał sobie sprawę z tego, że cyfry zrobią swoje, że bliskie już rozwiązanie, pokój i klęska, że niema rady na zaślepienie mas.

„Zaślepienie to — woła — jest dziś jeszcze straszniejsze, bo mu towarzyszy egoizm! Paryż musi ponieść klęskę, bo mu się zachciewa wrócić do wygodnego trybu życia, smakołyków, radości przeróżnych i rozrywek. Już ma dość tego, nie chce być dłużej Strassburgiem, ma obrzydzenie do szczurów zamiast pasztetów tam podawanych. Dość postu! Trwa zadługo.... Niech żyje karnawał! Głosujcie tedy sybaryci za „obroną narodową“ której spieszno oddać miasto Prusakom. Dostaniecie wówczas mięsa z tucznych niemieckich wołów, piwa dowoli, stroje berlińskie do sklepów i prostytutki niemieckie do lupanarów. „Obrona narodowa“ nie zrobiła nic, nie zajmowała się produkcją przyrządów niebezpiecznych, armat, karabinów, przeciwnie starała się o miłe, wygodne pokój i ciszę. Więc niech żyją... mięso, pokój, frykasy, bale, muzyka, berlińskie kobietki! Precz z republiką, Alzacyą, Lotaryngią! Cóż nam choćby cała Francya? Dziś Bismark górą i „Obrona narodowa“! Zprusaczejemy może... to i cóż? Ale nie będziemy wystawać godzinami u drzwi rzeźników, a wózki z mlekiem dojeżdżać będą pod same drzwi mieszkań naszych! Mleko! Ojczyznę dać warto za szklanekę mleka! A gałganów, którzy wam go bronią.... pod mur! Otwórzmy drzwi szeroko! I cóż że wejdzie niemi hańba?

Nie umiera się od hańby... o nie!

Przeciwnie, z hańby zwykli ludzie tyć... Tak mówi poeta i dobrze mówi....

Potem opisuje jak przyjdzie klęska ostatnia. Bezli-
tośnie, brutalnie rozdziera ranę, sięga aż do dna, by
wykazać, że pod samą wojną z Niemcami kryje się kon-
flikt inny, bój wre o posiadanie i burżuazya chętnie
przystanie na każdego, kto jej tylko zapewni przewagę
ekonomiczną i prawo gnębienia nieposiadających.

Mówiąc o tych co uciekli do miasta ze wsi powiada,
że chłop woli swój ogród, jak Francye. „Ale — dodaje —
czyż można im z tego czynić zarzut, gdy się nie uczy-
niło nic, by ich wykształcić na ludzi.....“ Wszystko
w oczach jego teraz jest zwiastunem klęski, wszystko sym-
ptomem śmiertelnym narodu chorego, konającego, któ-
rego ostatnie chwile napawają gieldę taką radością, że
wita śmierć haussą piętnastofrankową.

„Bo choć ojczyzna skona — mówi z goryczą —
gielda nie podda się!“

Sama teraz już gorycz, sama żałoba przemawia.
Czeka Blanqui ze drżeniem kapitulacyi i rozpasania się
najgorszej reakcyi.

„I pomyśleć — pisze — 11 listopada, że ci ludzie
ni na chwilę nie wierzyli w możliwość obrony, że przez
dwa miesiące zabawiali się w ten niecny sposób, na to
jeno, by się radować władzą, by być rządem! Ach...
Doprawdy pęka serce, gdy się pomyśli, że ten brak
wiary, ta obojętność wobec pewnej klęski wywołały za-
niedbanie wszelkich usiłowań obronnych i może będą
jedyną jej przyczyną, gdy przeciwnie na czas poczy-
nione przygotowania zapewniłyby zwycięstwo. Założyli
ręce, osądzili, że nie warto nic robić. A teraz jeno pa-
trzyć, jak przez głupotę, egoizm i płytką ambycję kilku
marnych kreatur, zginie Francya z karty Europy.

W numerze z 13 listopada, w artykule p. t.: „Co zrobił rząd“ zestawia w ten sposób destrukcyjną jego działalność: „Dziś jest Paryż zdenerwowany, wyczerpany, niepewny i zmęczony, choć od 4 września do 31 października pragnął gorąco i konsekwentnie bronić się. Tego ostatniego dnia uczynił rzut potężny, mógł się nazajutrz zbudzić niezmożonym, ale właśnie nazajutrz rozpoczęło się konanie. Mamy już zawieszenie broni, niedługo pokój będzie i rzeczywiście rząd będzie wyrazem woli ludu. Tak Paryż się przemienił z bohatera w egoistę i temu winien rząd. Gdy obejmował ster państwa, była ufność, nadzieja, zapał, ale ponieważ wśród członków jego nie było ni wiary ni woli, kultywowano to samo w ludzie i oto teraz panuje niepokój, zwątpienie, obojętność i przygnębienie.

I zwraca się do Paryża samego i mówi doń szczerze, prosto, bez frazesów i omówień łagodzących i pochlebnych. Czyni go odpowiedzialnym za wszystko.

Następny artykuł nosi tytuł: „Lud składa koronę“. Jest w nim to samo, jeno jeszcze jaśniej powiedziane. Blanqui przeczy prowincyi zalanej Prusakami przyznanego jej prawa rozstrzygania o Francyi, „głosowania pod ostrzem szabli“, odmawia także tego prawa Paryżowi „wpół umarłemu z głodu, drżącą ręką mogącemu jeno podpisać akt hańby i rozdarcia ojczyzny“. Blanqui jaśnieje tu glorią wielką, nieugięty jest, odważny. Stary buntownik, wśród katastrofy i ogólnego rozprzężenia jest uosobieniem cnót obywatelskich, cnót narodowych. Posłuchajmy co mówi:

„Temu przystoi władza, ten jest jej legalnym dzierżycielem dziś, kto się chce bronić. Nabój karabinowy, oto jedyna karta wyborcza. Póki wróg nie opuścił granic, wszelka inna jest nieważna. Departamenty zalane

wojskami i zagrożone najściem bliskiem, głosu nie mają. Brak im warunków stanowienia o losie kraju. Miasto obleżone, jak długo walczy reprezentuje naród i reprezentuje go lepiej, jak wszelki rząd. Rozdziera swój mandat, kapitulując. Gdyby prowincya się poddała, póki będzie bronił się jeszcze Paryż, Francya istnieć będzie. Jeśli padnie, a prowincya powstanie, na nią przejdzie prawo reprezentantki narodu. Republika, rząd prawny i faktyczny, to bataliony walczące o niepodległość. Całe zgromadzenie narodowe układające warunki pokoju z najeźdźcą, co zajął cały kraj, to zgraja buntowników, których ma prawo kazać wystrzelać jedno miasto, jedna prowincya walcząca o wolność....“

CXCI.

Upierał się ciągle przy obronie i dalszym boju mimo wszystko.

Dnia 15 listopada powrócił do organizacyi gwardyi narodowej, do owego, popełnionego z samego początku błędu. Dlaczego to z całej zdrowej, zdatnej do broni ludności Paryża nie utworzono armii obrończej, dlaczego nie podzielono istniejącej choćby gwardyi na ściśle określone jednostki, bataliony, pułki, brygady, dywizye i legiony, zamiast tworzyć same bataliony po 1500 ludzi, co stanowiło masę nieruchomą, z trudem jeno dającą się kierować, którą trzeba było dzielić ilekroć miało się naprawdę użyć gwardyi do boju.

W artykule z 16 odpowiada na proklamcyę Trochu, twierdzącą, że wypadki dnia 31 października przeszkodziły w obradach nad zawieszeniem broni. To samo myśli Blanqui, ale określa to inaczej, zaznaczając, że

w dniu tym ponieśli klęskę rewolucyoniści ludzie pełni zapału, chcący walczyć do upadłego. Sama ta zresztą proklamacya generała zawiera wyznanie. Oświadcza tam Trochu, że nigdy nie wierzył w możliwość zwycięskiej obrony stolicy. „Dlaczegoż tedy wziął na siebie tę obronę?“ — pyta całkiem słusznie Blanqui.

W artykule z 19 pod tytułem: „Precz z parlamentem“ kreśli Blanqui dzieje parlamentaryzmu. Znajdujemy tam bardzo śmiałe osądzenie „zgrupowań narodowych“, rewolucyi, „Izb“, Ludwika Filipa, i zgromadzeń lat 1848 i 1851. „Cóż to jest, takie zgromadzenie narodowych wysłańców? — pyta — Blanqui. — Czy obradują ludzie najwyższych cnót, talentu, wielkiego poświęcenia, inteligencyi, wybrańcy, to znaczy najlepsi z całej ludzkości, albo choćby narodu? Niestety nie. Od wieku niemal, w różnej formie egzystowało 15 do 20 próbek tego rodzaju, ale mogą zaświadczyć, że były to zawsze zbiorowiska nicości i drapieżnych egoistów w których prym wiodły jednostki, mające silniejsze od innych gardła, często zręczniejsze, najczęściej przewrotniejsze, reszta szła za nimi jak barany i jeszcze radowała się z tego niewiadomo czemu. W dniach burzy i spustoszenia, gdy ojczyzna chwieje się w postawach egoizm owych zer przejawia się strachem przed katastrofą przedewszystkiem, a potem interesem. Nie mówię o kilku szlachetnych, zabłąkanych wśród tej bandy opryszków. Przeznaczeniem ich patrzeć bezsilnie na to co się dzieje. Czy rzucam może oszczerstwa? Każdemu dostępne są źródła skąd czerpie, więc może zbadać te pamiątki 75-letniego czasokresu, dzieje „Senatu“ i „Ciała prawodawczego“ lat 1814 i 1870, „Izby deputowanych“ lat 1830 i 1848, „Konstytuanty“ i „Legislatywy“ za drugiej republiki“.

Wedle Blanquiego jedynem „Zgromadzeniem narodowem“ byłoby w Paryżu posiedzenie zgromadzenia złożonego z 500.000 mieszkańców zdolnych do broni, a tematem obrad mogłaby być teraz jedynie wojna. Prowincya powinna zwołać drugie tyle i takich samych delegatów... Prawdziwych obywateli szukać dziś jeno w szeregach, i o takich jeno idzie. Wszelka inna gadanina reszty, jest pustą i daremną komedyą.

Następnego dnia mówi o plebiscycie i wychowaniu ludu i doprawdy ani fanatyzmu, ani hipokryzyi wróg największy by nie znalazł w jego słowach:

„Republikanów — pisze Blanqui — już przed 22 laty drogo kosztowało, a będzie, obawiam się jeszcze drożej, stosowanie w praktyce tej metody idealnej może w przyszłości, ale wręcz niebezpiecznej dzisiaj. Lud jest takim jakim go wychowano i odpłaca tą samą miarką jakiej używano w stosunkach z niem. Żywiony głupstwem, będzie głupi, a żądać od niego mądrości, znaczy tyle, co spodziewać się, że wierzba wyda gruszki. Głosowanie powszechne, plebiscyt powstały w wielkich miastach, specjalnie w Paryżu, w czasie kiedy sądzono, że wszystko kończy się u rogatek, a reszta Francyi to jeno szereg miniatur stolicy. Tymczasem, jakże dziwne, iż nie spostrzeżono tego, przejaw poglądów politycznych ludu będzie zawsze odzwierciedleniem idei, któremi go pojono i po 20 latach despotyzmu, niewoli, systematycznego brutalizowania, skrutynium da plon wedle posiewu, jaki rzucono w mózgi i serca. Tak się stało w roku 1848 i 1849 skutkiem naiwnego zaślepienia demokratów. Chcieli koniecznie zbierać republiki w polu zasianem monarchiami i ku niezmiernemu swemu zdumieniu, w śpichrzu znaleźli, aż trzy, do dowolnego wyboru, odmiany tej, zgoła nieoczekiwanej rośliny. Zanim wy-

rosnąć może pszenica na roli zachwaszczonej od lat szeregu, musi się napracować dobrze pług i brony, przewrócić trzeba kilka razy skiby, wykorzenieć zło, inaczej posiew będzie stracony. Po rewolucji lutowej powinno było nastąpić kilka lat przygotowanie intelektualnego, a dopiero potem możnaby było zabierać się do plebiscytu. Naród pozyskuje się ideą wielką, nigdy siłą. Powszechne głosowanie jest naszym najwyższym dobrem, jedynym środkiem sprawowania uczciwej polityki ludowej, toteż kaleczyć go i nadużywać nie wolno. Byłoby to świętokradztwem. Że mam słuszność niech świadczą fakta. Plebiscyt, który powinienby był już od lat piętnastu zmienić postać świata, usunąć wszelką krzywdę i głupotę, wzamian za krótką zwłokę, zastosowany natychmiast, w zbyt dawnych czasach zabił nieledwie naród francuski i dobije go napewno, jeśli nadużycie powtórzy się naprzykład jutro“.

Artykuł kończy się twierdzeniem, że zasadniczym zadaniem rewolucji powinno być kształcenie mas, ale musi temu przeszkadzać natychmiastowy wybór jakiegoś zawsze „zgromadzenia narodowego“. Odnośnie do samej chwili, w której kreśli swe słowa, wskazuje Blanqui dla potwierdzenia na fakt, iż Bismark wraz z całą reakcją bardzo popiera wybór zgromadzenia narodowego... „Narodowego“... tak, tak... równie „narodową“ jest też tzw. „obrona narodowa“, która sparaliżowała wszelką obronę. *„Dziś „narodowem“ nazwać można wszystko, do służy do zniszczenia narodu“**.

*) Wielkie spostrzeżenia mają jakąś dziwną trwałość, choćby były wytworem bardzo przelotnych konjunktur społeczno politycznych. Słowa Blanquiego dziś piętnują z równą siłą polską tzw. „demokrację narodową“. Przep. tłum.

CXCII.

Po tym artykule nieporównanej piękności nastąpił 21 listopada drugi podobny pt.: „Włóczęgi“. Bierze tym razem Blanqui w obronę biedaków, chce uchronić od prześladowań ludzi nieszczęśliwych, którzy wychodzą poza szafce w poszukiwaniu za drzewem na opał, albo jarzynami. Wzięli to, co i tak było porzucone przez właścicieli. Ale połamali parkany, spustoszyli pola. Okropność! Zamach na własność! Nieszczęście! „A czemuż to, czy może ze strachu nie poszłicie tam sami dokonać zbioru bohaterscy obrońcy własności“? — pyta Blanqui! Niewątpliwie właściciele porzucili stoły, ławki, kapustę i marchew, bo się bali. Tak jest, przykrą była rozłąka, ale trudno... lepsze życie, jak najdelikatniejsze ziemniaki z trybulką. Ale w braku właścicieli, któż broił władzom wynieść meble z domów opuszczonych, zebrać co było w polu? Czyż brakło koni i ludzi? A tu naraz podczas oblężenia, gdy głód przyciska, w imię ideału św. własności zabrania się tknąć przeróżnych użytecznych rzeczy, przeznaczonych i tak na zagładę, gdy zabranie ich nikomu krzywdą być nie może, a wielu ludziom głód zaspokoić. O nie! Raczej śmierć, jak naruszenie cudzej własności!“

I Blanqui opowiada, że włóczęgi odpowiedzieli na te morały dzikimi krzykami. Przez cały dzień mężczyźni, kobiety i dzieci zbierali wśród deszczu, na zimnie drzewo pod gradem kul pruskich, a gdy się obładowani zjawili u bram, kazano im wszystko rzucić. Złożyli więc jak kazano, ale podpalili i tańczyli wokół, wrzeszcząc: „No to dobrze, nikt nie będzie miał“. Inni sprzedali swe zbiory Prusakom. Blanquiego fakty te osmucają i obrażają. „Biada ci o społeczności bez serca — woła —

co zabijasz w ludzie poczucie solidarności i poświęcenia, a siejesz złość i zemstę. Nikt nie będzie miał! Jestto formuła pomsty, wytępienia, eksterminacji, a panoszy się tam, gdzie żył instynkt braterstwa. Jakoż stać się mogło, by ludzie nam podobni mogli taką powziąć nienawiść, taką, powiedzmy, pogardę ku ojczyźnie, że poszli sprzedawać wrogowi to, co miało podsycić ogniska rodzinne? Ten epizod pozostanie najstraszniejszym ze wszystkich, w jakie obfitują dzieje oblężenia. Co dnia wylewa się z przedmieść szara fala ludności idącej na żerowisko, ogryzającej kaczany kapusty wśród syku kul niemieckich. Nikogo nie dotknęła większa nędza i sroższy ból moralny. Ci parysi noszą najcięższą żałobę po ojczyźnie“.

Widzimy, jakim echem odbijają się smutki oblężenia w duszy samotnika. Ostatnie dni listopada dodały do publicznej, jeszcze żałobę prywatną, zmarła bowiem jedna z siostrzenic Blanquiego, Marya Borellier.

CXCIII.

Ciągle, bez wytchnienia Blanqui pisze, oświadcza iż zgadza się z Gambetta, który potępiał „zgrupowanie“ w obliczu wroga, przedstawia, jak pruski „Monitor“ zbeszcześcił ruch 31 października, bada postępowanie Bazaina, powraca do kwestyi bezsilności paryskiej gwardyi narodowej, raz jeszcze protestuje przeciw rzucaniu oszczerstw na tych, co się upierają przy obronie. Dalej roztacza obraz stolicy. Tak wielka jest, tak potężna, a przecież z rezygnacją uległa woli, bezrozumnemu nakazowi jakiegoś tam generała najoczywistej niezdolnego do obrony i poprostu tchórza. Blanqui

nieszczędzi ironii, chłosty, klątw nawet i tak formułuje surowy swój wyrok: „Paryż na ślepo powierzył swą obronę człowiekowi, który oświadczył, iż jest ona niemożliwą. Paryż utracił rozum i wolę. Paryż abdykuje. Wobec tego los jego będzie losem ludów abdykujących ze swych praw, popadnie w hańbę i ruinę“.

W końcu Blanqui wykazuje, że źle osądzono Gambettę, domyśla się bowiem, że ten uporczywie chcący się bronić człowiek, podobnie jak i on sam opętany jest przez miłość ojczyzny, na nowo daje się unieść nadziei wobec wycieczki z 29 listopada, przejścia przez Marne, bitwy pod Champigny i nie traci ducha nawet po odwrocie, który uważa za konieczny ze względu na Paryż. A ciągle i zawsze radzi występować zaczepnie. Nawet odbicie Orleanu przez Prusaków nie pogrąża go w rozpacz i twierdzi, że, byle co dnia słyszała huk dział stolicy, prowincya zerwie się z letargu i pospieszy z pomocą.

CXCIV.

I nagle milknie Blanqui. Mimo wysiłków przyjaciół, mimo takiej wytrwałości, takiej wymowy, talentu, patriotyzmu. Nie podobna utrzymać małego pisemka.

Notatka na czele Nru 89 z dnia 8 grudnia oznajmia, że „La Patrie en danger“ przestaje wychodzić. „Powiedzmy otwarcie czemu — pisze Blanqui — oto brak nam środków. Mimo najdalej posuniętej oszczędności, mimo, iż cała redakcja pracowała całkiem darmo, pismo nie może pokryć swych wydatków. Deficyt jest wprost obowiązkiem dla bogaczy, nędzarza zabija. Zawieszamy przeto pismo z wielkim żalem, bo dzieje się to właśnie w chwili, kiedy każdy powinien walczyć z wyczerpaniem ostatniem. *Redakcja*“.

CXC.V.

Blanqui tedy zapada znowu, i to całkiem już, w ciemń i głuszę. Przez ciąg trzech miesięcy słyszano co dnia głos jego, dowiadywano się, co myśli człowiek, zawsze skrywany do najgłębszych kazamat, odcinany od świata murami i drzwiami kutymi fortec. W najtragiczniejszych chwilach wszyscy mogli się przekonać, ile w nim zasobów wiedzy, ile wiary dziecięcej czeka, by ojczyzna rzekła: Chodź i poświęć mi!

Teraz wszystko skończone. Ale odejść mu tak dać nie można, nie przytoczywszy świadectwa pewnego człowieka, nie będącego wcale jego przyjacielem, ale posiadającego umysł jasny, czyste sumienie, człowieka, który go widział w zawierusze owych czasów, słyszał jego słowa i czytał artykuły w samej chwili pojawienia się. Jest to krótkie wspomnienie, napisane później przez wybitnego uczonego I. J. Weissa, które stanowi epilog artykułów „La Patrie en danger“. Jest jasne, piękne przez swą szczerłość, prawdę i biją odeń płomienie odwagi.

Weiss nie wiedział o Blanquim wszystkiego, jakże jednak wiele odgadł! Zaczyna od wyrażenia swego zdumienia, że cała gromada błaznów przez 50 lat wiodła Francję od jednej katastrofy do drugiej, z upadku w upadek. Wymienia, surowo potępiając wszystkich, którzy podejmowali z kolei wielką odpowiedzialność i nosili dźwięczne tytuły. Wszystko to „mężowie stanu“, politycy, Blanqui zaś był prostym literatem.

„A jednak — mówi Weiss — wszyscy prawdziwi mistrze polityki, wszyscy, którzy znali jej prawa przyrodzone i umieli z nich korzystać, którzy ją, niejako podnieśli do rzędu nauk ścisłych, jak Tucydides, Guichardin, Machiavelli, Richelieu, Henryk Rohan i naj-

głębszy, a jednocześnie najsprawniejszy ze wszystkich kardynał de Retz, nie wzbraniałby się uznać tego szczególniejszego „literata“, jeśli nie równym sobie, to przynajmniej pokrewnym i obdarzonym zdolnościami, tylko urodzonym w warunkach, które zdolności tych nie pozwoliły rozwinąć“.

„Znam Blanquiego jeno osobiście, nie więcej o nim nie wiem. Cały dla mnie jest zawarty między 4 września, a 8 grudnia 1870 roku. Widziałem go na mównicy klubowej, czytałem w powyższym czasie to co napisał, widziałem każdy numer pisemka na lichym drukowanego papierze, którego mimo to utrzymać nie był w stanie, mimo, że wydawał je wraz z przyjaciółmi, poświęcając wszystko. Widziałem ową „La Patrie en danger“, nie mogącą z braku abonentów ni nabywców wychodzić dłużej jak trzy miesiące i jestem może jedynym, poza wydawcami i przyjaciółmi Blanquiego, który to pamięta. Znam tedy jeno Blanquiego z czasów obłęzenia, klubu w café des Halles i „Patrie en danger“. O nim tedy jeno mówić mogę“.

„Klub mieścił się w małej salce pierwszego piętra ponad kawiarnią. Był to klub nieliczny, panowały w nim powaga i skupienie. Wyobraźmy sobie wnętrze Komedyi Francuskiej w dzień, kiedy grają Korneilla albo Racina, i porównajmy audytoryum to z tłumem, napelniającym cyrk, w którym linoskoczki wykonywują niebezpieczne sztuki łamane. Otóż taka zachodziła różnica, takie dokładnie odnosiło się wrażenie, wchodząc do klubu rewolucyjnego Blanquiego w porównaniu do wrażenia, jakie dawały oba najmodniejsze kluby partii „ładu i porządku“, klub Foliès-Bergère i klub w sali Valentina. Była to jakby świątynia, poświęcona kultowi czystemu, konspiracyi klasycznej, której podwoje wprowadzie dla wszystkich stały otworem, ale wchodzić ochotę mieć mogli jeno adeptci.

„Naprzód odbywał się ponury korowód pogněbionych. Zjawiali się co wieczora u trybuny i niezmiennie jedni opowiadali o spisku możnych przeciwko ludowi, inni o nadużyciach swych własnych przełożonych, ten o swym szefie biura gadał, tamten o administracji kolei żelaznych. Gdy się to wreszcie skończyło, kapłan świątyni powstawał z miejsca i pod pozorem reasumpcyi krzywd klienta swego, ludu, które to krzywdy wszyscy słyszeli dopiero z ust tuzina najmniej natrętnych a głupich i żądnych pomsty oskarżycieli, dawał obraz sytuacji, rzucał gromy w gmach niewoli, pychy i obłudy“.

„Powierzchność Blanquiego zawsze była wytworna, ubrany był bez zarzutu, rysy miał delikatne, wyraz spokojny i łagodny, czasem tylko przelatywała mu dzika, ponura błyskawica przez oczy małe, przenikliwe, ale w stanie normalnym dobrotliwe. Mówił z zastanowieniem, poufale i bardzo jasno, głos jego nie miał w sobie nic deklamatorskiego. Nawet Thiers mógłby się z nim, pod tym zresztą jeno względem mierzyć. W wywodach jego wszystko było sprawiedliwe i bardzo logiczne. Obok mnie siadywał zazwyczaj w klubie des Halles jeden z młodszych współpracowników „Journal des Débats“, człowiek zasad, jak i ja sam zresztą, konserwatywnych, bardzo zdolny, nad wiek rozumny i zwracający przez to uwagę na siebie. Ileż to razy słyszałem, jak wzdychał głęboko w chwilach, gdy Blanqui opowiadał o obłożeniu, wykazywał błędy rządu, rzeczy i zarządzenia najniezbędniejsze, które jednak pominięto. „Ach, jakież to słuszne!“ Jakąże ten człowiek ma rację — mawiał. — Jakąż szkoda, że to Blanqui!“ Byłem tego samego zdania, mówiłem to samo, tylko nie wzdychałem. Prawda jest cenna, bez względu na to, skąd płynie“.

„Nazajutrz brałem do ręki pismo! Ach, nie było tam wczorajszych słów jasnych, ale zimnych i powściągliwych. Ogień z tego buchał i szła od tego łuna. Co za potęga! Co za szczery i rozdzierający serce żal za ojczyznę. Jakie odczucie każdej rany, każdej kłeski. A także jakiż gniew, jakie wspaniałe uniesienie, jaka chłosta niedołęstwa panującego i ohydnej pychy, co zagapiona w siebie samą, pozwalała staczać się stolicy w przepaść zatraty! Tak pisał ów człowiek w sześćdziesiątym piątym lub może późniejszym wieku, po 15 czy 20 latach więzienia, wyobraźnia jego musiała być już wówczas spętana, zmysły przygasłe, ciało wyczerpane i umysł znużony. Jakże musiał pisać za młodu!”

„Ale nie same to były jeno okrzyki, wyładowanie napięcia nerwowego. Każdy z nich był zarazem argumentem, był wybuchem, a zarazem pełnym siły i logiki wprost geometrycznej, sądem o rzeczy. Gdzież to Corneille uczył się sztuki wojennej? — wykrzyknął wielki Kondensz po pierwszym przedstawieniu „Sartoriusa“. Blanqui, przypuszczam, podobnie jak i Corneille, nie uczył się jej wcale, ale posiadając niezwykajny zmysł polityczny, w czasie od 4 września do 9 listopada, to jest póki był jeszcze czas po temu, dał, nawet w kwestjach wojskowych wszystkie przestrogi, których gdyby posłuchano, miasto byłoby ocalało niewątpliwie. Przeczłł i przepowiedział na długo przed oblężeniem katastrofę i wszystkie jej przyczyny i okoliczności towarzyszące...”

„Polityka dla Blanquiego słodką nie była. Niech mi tu będzie wolno użyć porównania, które nie jest tak elegijne, jak się wydaje. Była ona dlań poniekąd jak Celimena dla Alcesty. Z początku, oddając się bez zastrzeżeń na jej usługi, na pierwszej z brzegu baryka-

dzie, myślał, że jest szlachetną, hojną, lojalną i skłonną do przejawów życzliwości i sympatii, przekonał się jednak, że przeciwnie cechą jej niewdzięczność, fałsz, przewrotność, egoizm i co najgorsza, prostactwo i brutalność. Zabrała mu całe życie, szczęście i sławę nawet, a nie dała nic prócz pogwałcenia, klęsk szeregu, męczarni fizycznych i moralnych, pamięci potwora i obrzydzenia u większości. Nie można bez bolesnego wrażenia czytać, co o tem sam pisze w roku 1848.

„Doprawdy trudno przypuszczać, by tyle cierpień i tak długich, tyle zawodów, rozczarowań i zwątpień nie miały wpłynąć ujemnie na stan zdrowia tego potężnego umysłu. Pomysleć tylko co przeszedł: Miał jasną, pewną świadomość, że jest pierwszym wśród swego stronnictwa, a poświęcił wszystko sprawie rewolucyi. Oddał jej uciechy młodości, prace i studia wieku dojrzałego, majątek, wolność, honor, ukochaną kobietę. W więzieniu przemyślał tylko o niej, na wygnaniu, wśród długich wędrówek jako zbieg, w głębi czarnych jam, gdzie go wtrącono, ciągle rozważał, jakie są prawa rządzące polityką i jak może rząd działać na pewne. A badał to wszystko, by zastosować zaraz w dzień zwycięstwa rewolucyi. I przyszła upragniona rewolucya odniosła tryumf, monarchia legła na gruzach swej niemocy, a los zlecił świeżej tryumfatorce, by uwolniła ojczyznę od najazdu, ocaliła ojczyznę od hańbiącej kapitulacyi. Tak się stało i oto ujrzał Blanqui, jak kierownictwo republiki, której ziszczeniu oddał życie całe, przesunęło się w ręce „lokajów króla przeistoczonych w świetne motyle republikańskie“. I w dodatku ludzie ci byli miernotami, niedołęgami, nie wierzyli w ojczyznę, mieli, znali środka ocalenia, a nie zastosowali ich wcale. To widział Blanqui i miał świadomość, że nie jest niczem, podczas

gdy Juliusz Favre i generał Trochu są wszystkim, a są po to, by zgubić wszystko, słuchając frenetycznych oklasków owej demokracji, na której się wszyscy tak oszukali, tej głupiej, bezsensownej hałastry demagogów, z której sądzono, że wykwitną nowe siły zdolne rządzić. I cóż miał za pociechę z tego, że wołał co dnia, że krzychał tłumom niesłuchającym go, że są same wielkim władcą, a nie ci, których codzienna apoteoza okrywa hańbą cały naród? Nareszcie pewnego dnia nie mógł się nawet wypowiedzieć, a to dlatego, że nie miał za co kupić kawałka papieru, na którymby można wydrukować, co myśli... Teraz pozostawało już tylko umrzeć, i to bez celu, potrzeby i pożytku... zginąć wraz z ginącą ojczyzną. Ach! jeśli naprawdę istnieje piekło, to pewnie potępieńcy mają tam życie podobne do życia Blanquiego“.

CXCVI.

Po zniknięciu dziennika, po przymusowem zamknięciu Blanqui stał się jeno jednostką w tłumie, równie bezsilną, jak ci wszyscy czekający hasła do czynu w niepokoju, w gniewie, czy też rezygnacyi i bezwładzie. Ale o ileż cierpi bardziej on, który losu tego przyjąć nie jest w stanie bez męki, który ma całą świadomość swego bólu, czuje każde ukłucie. Myśl jego rozpaczliwie czynna, ciągle maluje okropności jutra, odgaduje je, widzi, jak krok po kroku, cicho zwolna, ale bez przerwy kroczy śmierć. Paryż okryty całunem śniegu, zdętwiały leży w grobie, nadchodzi wieczysty sen, z którego niemasz przebudzenia. Wokoło miasta-umrzyka huczą działa niemieckie i działa fortów, a to dudnienie monotonne, od którego drży zimowe powietrze, to głę-

boki bas organu, co zabrzmia lada chwila akordami: Requiem... I odbędzie się pogrzeb. Ogromne te zwłoki, cały lud paryski leży niby w trumnie w dolinie Sekwany, pod całunem ołowianego, przeraźnie smutnego nieba. Odbędzie się pogrzeb w oczach uradowanej Europy. Już niedługo.

Blanquiemu zdaje się, że nadszedł koniec wszystkiego, nie tylko że padły jego idee, jego nadzieje na bliską, wielką odnowę społeczną, a republika jest temu winna, ale także wydaje mu się, że ginie Francja i to w okresie najwyższego rozkwitu nauk i sztuk, filozofii i wiedzy przyrodniczej, polityki wojowniczej, umiejętności stwarzania warunków rewolucji. Śmierć pustoszy pole cudowne, gdzie rosły przepiękne idee, gdzie tyle spodziewano się zebrać o porze żniw błogosławionych. Całym życiem uczynił sobie nadzieję momentu jednego zwycięstwa, a zaszła noc i przyniosła czarną klęskę. Jeszcze drży i ciska się z bólu, ale to już koniec, jest stary, gromadziły się lata..., nie wiedział o nich, nie zauważył, teraz spadły nań, zda się, wszystkie odrazu, nadzieja pierzchła, a wokół jeno coraz to okropniejsza, coraz bardziej zawikłana tajemnica, śmierci, co przyjąć musi, a nie może dojść z wycieńczenia; taka powolna, taka okrutna. Wszystkie owe lata, całe życie i siły zabrała wielka sprawa od onej bitwy w roku 1827 począwszy. Tropiono za nim, łapano, skazywano na śmierć więziono, odcięto od świata żywych, zapoznano, obrzucano błotem, zignorowano i to wszystko z racji ogromnej żywotności, ogromnej energii rozwijanej w sprawie republiki i ojczyzny. Oto teraz starcem jest, a kryć się musi i czać w mieście, które chciał ocalić.

CXCVII.

Wojska wróciły z Champigny i już nie ponawiano wysiłków. Gwardya narodowa zabawiała się już jeno mustrą po swych dzielnicach, obrotami w prawo i lewo godnemi dzieci. Niektórzy jeno na ochotnika szli na warty, a ten i ów śmielszy puszczał się nawet na terytorjum zagrożone, służbę nocną, na forpoczty. Miasto zasypiało teraz wśród coraz silniejszych mrozów, a w powietrze wzbijały się balony, gołębie, a często gęsto śmignął też kartacz z piekielnym chichotem. Pod koniec grudnia wzięto się do bombardowania fortów, a z początkiem stycznia przyszła kolej na miasto. Poczęła się historia opowiedziana w szeregu artykułów. I rozwijała się z przedziwną dokładnością, całkiem wedle słów Blanquiego.

Nastąpiło wprawdzie małe intermezzo, Delescluze, wówczas mer XIX dzielnicy, postawił wniosek dymisji generła Trochu, Thomasa, Le Flô i ustanowienia najwyższej rady obronnej, ale miało jeno ten skutek, że Delescluze musiał się sam podać do dymisji. Pojawił się też afisz wysłańców 20 dzielnic domagający się akcji energicznej. Na afisz ten odpowiedział Trochu: „Nic nie wytrąci broni z dłoni naszych!.. Odwagi, ufności miłości ojczyzny jeno więcej! Gubernator Paryża nie otworzy bram miasta“.

Nadszedł dzień 6 stycznia. Miała nastąpić zbrojna wycieczka, a raczej jej pozory. Wszyscy historycy godzą się, że takim pozorem walki była bitwa pod Buzenval 19 stycznia. Towarzyszyły jej, jak zawsze przeróżne wypadki, jak, opóźnienie wojsk, brak posiłków, artylerji, a epilogiem jej było wystawienie w trumnach pozabijanych żołnierzy gwardyi narodowej w kostnicy na

Père-Lachaise. Na widok ten osmutnieli zrezygnowani jeszcze bardziej, ale też gniewem zawrzały serca wielu. Trochu podał się do dymisyi złożył godność głównodowodzącego obroną Paryża. W ten sposób to rozumiał obietnicę, że on nie otworzy bram miasta. Fakt ten jeden świadczy dostatecznie czem był Trochu, ów „gubernator wojenny obrony Paryża“, co śmiał brać na siebie obronę, wprost planując sobie z góry, że doprowadzi do klęski, przysposabiając ją przez opieszale postępowanie, okryte hypokryzją, godną istotnie wychowańca Kościółca.

Doprowadził do końca swe dzieło hańbiącej bezczynności i komendę miasta, zostającego w położeniu zupełnie zdesperowanem zostawił generałowi Vinoy, który prędzej jeszcze nim mógł zdążyć do obozu pruskiego, rzucił się na „stronnictwa wywrotowe“ i rzucił obrońcom ojczyzny piekielną prowokację. I naturalnie przykłaśnięto mu, bo u większości łatwo było wywołać takie konwulsje na tle bezładu codziennego. Flourensa zamknięto w Mazas, a po klubach zawrzało. Co gorętsi rzucili się też zaraz iść pod ratusz.

CXCVIII.

Wypadki dnia 22 stycznia poczynają się pojawieniem się na pustym dotąd placu gwardzistów. Pierwsi stają tu około pół do drugiej po południu, potem jawi się oddział na skwerze, inny w ulicy Rivoli, a do ratusza wchodzi deputacya pod wodzą Tony Revillona. Przyjmuje ją zastępca mera paryskiego, Gustaw Chaudey. Delegaci wyrażają życzenie, by rząd dymisyonował, i został zastąpiony Komuną. Potem wracają skąd przyszli, to jest do kawiarni gwar-

dyi narodowej, na rogu ulicy Rivoli u tegoż placu. Znajduje się tam Blanqui wraz ze swymi przyjaciółmi i inni pobici w dniu 31 października. Niechcą oni dziś brać udziału w tym ruchu, który uważają za spóźniony i daremny, ale drżą na myśl, co się też stać może.

Do ratusza wkracza druga deputacya pod wodzą młodego porucznika gwardyi narodowej, który sprzecza się żywo z Chaudeyem na temat obrony stolicy, a potem wychodzi i ma mowę do tłumów, które natychmiast utworzyły się z przechodniów, kobiet, dzieci, plac rozbrzmiewa okrzykami, szmerem rozmów, płaczem, to znów pokrzykami gniewu, skargami. W ten to tłum zgietkliwy zanurzają się przy odgłosie bębnów gwardziści pułku 101, którzy przybyli z lewego brzegu i 207 z Batignolles i wydostają się przy rue du Temple, gdzie się ustawiają w szereg, naprzeciw ratusza i oddziału gwardyi ruchomej umieszczonego pomiędzy wejściem, a kratą. I oto nagle poczyna się dziki, straszny dramat, jakby na dany znak, jakby strony wojujące umówiły się co do miejsca i czasu spotkania. Pada strzał, niewiadomo kto strzelił, ale następują dalsze, jeden z oficerów gwardyi ruchomej za kratą dostaje postrzał, a żołnierze tejże gwardyi znajdującej się w sali pierwszego piętra dają z okien salwę i oczyszczają plac.

Tłum bezbronny rzuca się do ucieczki, powstaje zgietk, zamieszanie mnóstwo osób pada, zda się, że tyle trupów, lub conajmniej rannych, ale nie, wszyscy szybko się zrywają z ziemi i uciekają z dzikim wrzaskiem.

Znowu salwa, potem strzały bezładne. To strzela gwardya narodowa, która cofnęła się na avenue Victoria, na rogu placu i rue Rivoli i ukryła po domach. Przez chwilę plac pusty, tylko zabitych kilku leży i ranni czynią wysiłki, by powstać. Na rogu placu, przed ka-

wiarnią gwardyi jeden jedyny człowiek, szczupły, mały. W mgłę zimowej i dymie strzałów mało kto dostrzegł Blanquiego, który z rozpaczą w duszy przybiegł tu, by widzieć, by się przekonać, że to możliwe, Blanqui z oczami wlepionemi w place de Grève, kędy przeszło tchnienie śmierci, a potem w okno ratusza, skąd padła błyskawica. A w ciszy strasznej, panującej na pobojuwisku, w pierwszym tym akcie wojny domowej, rozlega się grzmot jednostajny armat nieprzyjacielskich, bombardujących miasto.

Wszystko nie trwało długo. Gwardzistów przy avenue Victoria zaszedł z tyłu Vinoy i zmusił do złożenia broni. Ruchoma gwardya wyszła. Dowódca powstańców, Sapia został zabity, drugi dowódca Rigault, także, a oblegający cofnęli się zostawiając pięć trupów na placu, ośmnastu rannych, i dwunastu jeńców. We wnętrzu ratusza, jeden zabity, dwu rannych. Wieczór kluby pozamykano, zawieszono pisma rewolucyjne, przeszło sto osób aresztowano, a wśród nich ani jednego niemal uczestnika, ni nawet widza.

Delescluz, który nie brał żadnego udziału w rozruchach podobnie jak i Blanqui, wtrącono do więzienia w Vincennes.

CXCIX.

Najstraszniejszy to dzień w całym okresie oblężenia, tego dnia oblężani mordowali się wzajem. W obliczu wroga dopuszczono się zbrodni wojny domowej. Ale ci, na których sumienie to spada, dopuścili się tej ohydy przez szal patryotyczny, przez wściekłość, że grozi klęska, a nic się nie robi. Trzeba im to przyznać. Naza jutrz w proklamacyi rządu oskarżeni zostali o słuzenie

sprawie nieprzyjaciół, a jednak jeno chęć wygnania tych nieprzyjaciół z granic ojczyzny, jeno rozpacz, że to się nie dzieje pchnęła ich do okropnego czynu. Ale, jak wszystkie nieudane zamachy rewolucyjne, obrzucono też błotem dzień 22 stycznia. Co więcej powiedziano, że same nawet intencje i plany powstańców, były zbrodnicze. Oszczyrcy milkną jeno wobec zwycięskiej rewolucji, co więcej, po zwycięstwie osiągają różne godności. Tak się dzieje.

CC.

W tydzień potem Paryż kapitulował. Dzień przedtem posłano Doriana do Belleville, by ułagodził Flourensa i Miliéra i skłonił ich do ugięcia głowy przed koniecznością. „Officiel“ ogłosił rezultat pertraktacyj pokojowych. Ale w nocy z 27 na 28 stycznia Paryż się ocknął, po przedmieściach zaczął się rozjarzać gniew święty, spostrzeżono, że dusza ojczyzny ulatuje, że znicz ojczysty rzuca błyski ostatnie. Kobiety poczęły wołać strasznymi głosy. Stały się w jednej chwili jasnowidzące. Płuły w oczy mężom, braciom i synom nie całkiem pewnym co czynić. Kazały im brać karabiny i iść.

Zagrały bębny, ozwały się trąbki, Brunel i Piazza skreślili natychmiast plan wycieczki zbrojnej po nocy. Aresztowano ich rano. Nie chciano wierzyć, gdy dzień wstał nowy, nie można było poprostu zrozumieć, że.... wszystko stracone.... że Paryż kapitulował, że rząd wraz ze stolicą wydał wrogowi cały kraj, całą prowincję, zniszczył ostatnią nadzieję, armię wschodnią, co do której nie istniało zawieszenie broni i wreszcie tensam rząd, jak gdyby wszystko to było możliwe, zwołuje Zgromadzenie narodowe, które to ma zatwierdzić. Nikt nie mógł pojąć.

CCI.

Na wieść o tem, co się stało Gambetta usiłował opierać się rządowi, udowadniał, że wojna i obrona, teraz jeszcze są możliwe, chciał też od wyborów usunąć wszystkich byłych funkcyonaryuszy i oficjalnych kandydatów cesarstwa. Podobnie jak Blanqui przyzywał on teraz rewolucyę, chciał ją wywołać, bo ona jeno mogła jeszcze zbawić ojczyznę i republikę.

Ranc pod datą 6 lutego ogłosił list Blanquiego, napisany w celu zagrzania Gambetty do energicznego działania. Cała sytuacya jest tam skreślona w kilku wierszach, dosyć też tego dla Gambetty, który, jak Blanqui wie gdzie leży obowiązek, uznaje że prawa wyższe, stanowią o legalności, a widoczne to wszystko w jego, zbliżonej całkiem do Blanquiego krytyce, w twierdzeniu że rząd, jeniec wojenny niema prawa zwoływać Zgromadzenia narodowego, że punkt jakiś oblegany, może układać warunki kapitulacyi jeno dla siebie, a nie dla całego kraju i że wreszcie ściąga na siebie wielką odpowiedzialność w przyszłości ten, kto słucha rozkazów i dekretów rządu, będącego dziś już narzędziem w rękach nieprzyjaciela. Napiętnował też Gambetta członków rządu, co podpisali kapitulacyę, za pozwoleniem Niemców emigrujących do Bordeaux, zowiąc ich niewolnikami wroga, co ośmielają się wydawać rozkazy ludziom wolnym. Fakty potwierdziły to niezwłocznie. Zjawił się Bismark i podyktował prawo wyborcze zarówno Gambecie, jak Juliuszowi Favre, oznaczając głosowanie na dzień 8 lutego.

CCII.

Nie wywdzięczył się Paryż Blanquiemu za jego cywilną odwagę i niepokromiony zapał. Stolica, której tak był upornym obrońcą nie obdarzyła go mandatem, choć chciał w przyszłym ciele prawodawczem dalej bronić idei walki i głosić wiarę swą niezachwianą w gotowość oporu mas, jeśliby ojczyzna wysiłku tego ostatecznego zażądała. Odmówiono mu zaszczytu spełnienia tego ciężkiego obowiązku, nie było dlań miejsca na liście zestawionej przez różne kluby.

I tym razem zawiść i nieświadomość zrobiły swoje.

Gdy Flotte oznajmił mu, że nawet komitet de la Corderie, mimo nalegań Edwarda Vaillanta nie zgodził się nań, smutek zalał oblicze, a łzy napełniły oczy starca, który płakał jeno, gdy zmarła Amelia-Zuzanna, a potem żegnając matkę.

Opuszczony jest teraz przez wszystkich, choć właśnie teraz wszyscy się doń garnąć powinni, raz jeszcze zostaje sam, jakby wyklęty, choć był nosobieniem ojczyzny, za nią drżał, płakał i radował się. Rzadko to co prawda i krótko bywało. W skrutynium, dnia 8 lutego ma jednak 52.000 głów, co jest za mało, a tymczasem dostateczną ilość otrzymali ludzie najróżnorodniejsi, tak, że reprezentacya ludu francuskiego wygląda mocno na dom waryatów. Są tam wszyscy od Ludwika Blanc począwszy do Farcyego, od Wiktora Hugo i Garibaldiego, do Jana Bruneta, od Délescluza i Pyata do Saya, od Gambetty do Thiersa. Z pośród członków dawnego rządu ponownie wybrany został tylko Juliusz Favre, ale zato Thiers wyszedł w 26 departamentach, a potem te mandaty zagarnęła banda klerykalno-monarchistyczna, aż się zaczęło od sutann w nowem ciele prawodawczem.

CCIII.

I oto znowu, gdy jeno zatętnił nowem życiem Paryż owej smutnej zimy, Blanqui mimo, że pozbawiony dziennika, trybuny, chwytą za pióro i stylem swych artykułów w „la Patrie en danger“, krótko, wymownie, gienialnemi wprost pociągnięciami streszcza okres historyi dopieroco zamkniętej. Jest to afisz, sprzedawany po ulicach po pięć centimów, a nosi tytuł: „Ostatnie słowo“.

Jest to arcydzieło zamknięte w ośmiu kolumnach druku, konieczne, logiczne zamknięcie kart kreślonych podczas oblężenia od października do grudnia. W „la Patrie en danger“ Blanqui przepowiadał, co nastąpić musi, kreślił fazy rozwoju i oblężenia, teraz w „Ostatniem słowie“ streszczając to, co się stało, powiada, co byłoby mogło nastąpić.

Na bok odrzuca wszelkie lamentsy, całą retorykę, nie przytacza dowodów głupoty ludzkiej, przedajności, nieszczęść, nawet fatalizmu. Fatalizm uznał za prawo normujące stosunki materyalne wszechświata, nie mające jednak zastosowania do duszy ludzkiej. Przez całe życie nie uronił ni strzępką swej woli, myśli jego nic nie zaćmiło, przeto nie chce przyznać, że podlega także przeznaczeniu, które nosi w sobie i za los, jaki go spotka, czyni odpowiedzialną ludzkość samą. Błędem jego to, że nie uznaje żadnych stopni tej odpowiedzialności, ale jest to błąd, mający swe źródło w szlachetnem oburzeniu na indolencyę, jest to apel do dumy człowieczej. Narzędzia przeznaczenia są różne, raz mniej, to znowu bardziej uświadomione. Nie można jednako traktować takiego Trochu, Favra i Simona, obskurnego mieszczucha, bojącego się o swą skórę, winnego tyle tylko, że pojąć nie

mógł o co idzie. Blanqui sam udowodnił, że w odpowiedzialności istnieje stopniowanie.

Oddziela miasto samo, od września gotowe do walki, od ludzi beustannie udaremniających wszelką akcję.

„Wierzyć w niemożliwość przeprowadzenia jakiejś rzeczy, a mimo to podejmować się jej jest oczywiście szaleństwem — mówi — ale jeśli idzie o ojczyznę, leżącą na śmiertelnej pościeli, a wolno jest zrzucić z swych bark ów obowiązek, to podejmowanie się go jest zdradą“.

I Blanqui szczegółowo dowodzi, że dnia 4 września, mimo depresji moralnej, mimo klęsk sierpniowych, sprawa nie była przegrana. „Nie winna naszych klęsk wcale konieczność transcendentalna, jak plecie co dnia cała prasa, ale winni generałowie! — mówi dalej. Błąd ów militarny najcięższy popełniono podczas szesnastu dni, między proklamacją republiki, a przybyciem wojsk niemieckich pod mury Paryża. Od sposobu użycia tych dwu tygodni zależały losy wojny. Gwarancją powodzenia był Paryż sam, ze swymi fortami, szańcami i węzłem centralnym wszystkich linii kolejowych. Kwestyą do rozstrzygnięcia było to obliczenie statystyczne i zarządzanie transportów.

Blanqui oblicza, że po wliczeniu 200.000 zbiegów z okolicy, stolica liczyła dwa miliony dusz. Trzeba było wysłać w okolice bezpieczne dwa miliony kobiet i dzieci. a zastąpić je milionem młodych ludzi z prowincyi. Prócz tego trzeba było zaprowiantować się na przeciąg sześciu miesięcy. Tyle wszystkiego.

„Ostatnie słowo“ kreśli właśnie, coby w takim razie nastąpiło. Znajdujemy tam szczegółowe obliczenie plonów w Beauce nietkniętych palcem, które można było przewieźć szybko nie młócone, a które w miesiąc później ogromnie się przydały Prusakom. Zboża wszel-

kiego rodzaju z całej okolicy w obrębie mil trzydziestu można było, po zostawieniu pewnych ilości na siew i na konieczną potrzebę tych, co pozostali przy roli, w szybkim tempie zamknąć w magazynach Paryża. Departamenty zachodnie i centralne byłyby dostarczyły wołów, owiec, tak, że łatwo było zdwoić ilość bydła w stolicy. W ten sam sposób, z zupełną pewnością dało się zmagazynować około 60.000 prosiąt, zabitych i zasolonych, a z wolna, wedle zbywającego czasu można było skompletować zasoby jajami, masłem, jarzynami, rybami, serem, oliwą i t. d. Nic chyba łatwiejszego, jak zemleć w Paryżu zboże, a w grudniu byłoby chleba podostatkiem, za wiele może nawet.

„Ale cóż — mówi — w rządzie było wielu adwokatów, a ci nie są obowiązani wiedzieć, że chleb się robi z mąki, a mąkę ze zboża“.

Wymiana ludności pomiędzy Paryżem a prowincją obliczona jest z matematyczną ścisłością. Przedewszystkiem niech idą z miasta ochotnicy i to na koszt własny, przyczem nie trzeba namawiać, ani wstrzymywać uciekających, którzy są o wiele bardziej niebezpieczni w obliczu wroga jak pomocni. Potem należy przystąpić do zarządzenia przymusowej emigracji. Jest to rzecz smutna, Blanqui zdaje sobie z tego sprawę, ale jako naturalną przyjmuje tę ofiarę dla dobra ojczyzny. Oblicza, że jest 600.000 dzieci poniżej lat szesnastu, 200.000 matek, 130.000 kobiet powyżej lat pięćdziesięciu pięciu, a 70.000 mężczyzn powyżej siedmdziesiątki. To stanowi okrągło milion, który ma się rozmieścić po departamentach całkiem bezpiecznych, u mieszkańców, którym państwo zapłaci za pomieszczenie i utrzymanie emigrantów. Po wyjeździe tych ludzi, do 555.000 żołnierzy gwardyi narodowej paryskiej, skompletowanej mężczyznami zdolnymi

do boju w latach od 16 do 50, dodać należy 400.000, popisowych z obu klas asenterunkowych w latach od 18 do 19, potem 300.000 gwardyi ruchomej, 100.000 wysłużonych żołnierzy od 25 do 35 lat stanu wolnego, wdowców, bezdzietnych itp., 100.000 ludzi armii Sedanu i Metz, wreszcie około 1000 piechoty okrętowej, marynarzy, puszkarzy, sterników i na koniec 100.000 ludzi garnizonów rozprószonych po całym terytorium. Utworzy to wszystko armię milionową, która zastąpi w stolicy dzieci, kobiety i starców. Odliczywszy nawet popisowych od 18 do 19 lat i gwardyę ruchomą od cyfry gwardyi narodowej, Paryż sam dostarczy 500.000 ludzi, tak, że armia wojenna bez wątpienia wynosić będzie 1.500.000 ludzi. Naturalnie równa się to odsłonięciu prowincyi, ale zarazem jest jedyną formułą dania oporu i dania możności walki zaczepnej, koniecznej dla wygnania nieprzyjaciół z kraju. Zresztą Niemcy sami musieli się koncentrować, nie było ich tyle, by jednocześnie ogarnąć kraj cały.

Następnie zwraca się do sposobu przewozu. Nie chce zostawić ni jednego, możliwego zarzutu bez odpowiedzi. Wylicza wolne linie i wchodzi w szczegóły rozkładu jazdy pociągów, przyjmując co 24 godzin po 72 pociągów, po 1500 emigrantów każdy. Trzy dni wystarczają do wywiezienia. Wszędzie po stacyach mają czekać urzędnicy i natychmiast rozkwaterowywać emigrantów po miastach i wsiach, podobnie, jak się kwateruje wojska podczas wojny, lub ćwiczeń. Jednocześnie odbędzie się imigracya popisowych, gwardyi ruchomej, wogóle żołnierzy, bo koleje mają być oddane do dyspozycyi państwa. „W ten sposób — snuje dalej Blanqui swe marzenie, które mogło stać się rzeczywistością — w całej Francyi nastałby celowy, rozumny ruch, jedni wy-

jeżdżaliby ze stolicy, inni spieszyli ku jej obronie, a dobrzy obywatele i sprawni urzędnicy ułatwialiby wszystko, organizowali partye i kierowali niemi.

Teraz szłoby znowu o broń dla tego mnóstwa. Nie wiadomo, ile w dniu 4 września było wogóle do dyspozycji chassepotów. Bez względu jednak na to powinno się było wydać rozkaz wszystkim arsenałom, by wysłały do Paryża wszystkie karabiny starego i nowego typu, prochy, amunicyę, armaty okrętowe wraz z amunicyą, wogóle całą broń. Jednocześnie koniecznem było ściągnąć do miasta wszystkich możliwych robotników, od 25 do 50 lat wieku, robotników zwłaszcza z fabryk broni rządowych i odlewarń w St. Etienne, Châtellerault, Ruelle i Indret wraz z narzędziami do fabrykacji chassepotów, dalej robotników z kuźni i odlewarń w Nièvre, mechaników z Creusot a także wielkie ilości żelaza, stali, bronzu, miedzi, mosiądzu, ołowiu, saletry i siarki. Potem powinny ruszyć pociągi z węglem z kopalń Loary, Aveyronu, Gard, Anzin i Lille. Możnaby ponadto spróbować sprowadzić belgijski węgiel z Mons i Charleroi, dla Lille i Paryża, a z Newcastle dla Hawru. Dalej trzeba zakupić nafty, oliwy do palenia. Niech też statki węglowe i pociągi z drzewem idą z Morvanne, przez Jonne i Saonę. Trzeba zakupić pospiesznie w Anglii pewną ilość karabinów Snidersa i Remingtona i zacząć fabrykacyę armat dalekonośnych.

Następuje kwestya pieniężna. Blanqui nie zapomina o niczem, lista jego obejmuje wszystkie środki żywności, potem zaś oblicza koszta przeprowadzki dwu milionów osób, transportu żywności, materiałów, miliona karabinów szybkostrzelnych wraz z nabojami, sześciu tysięcy dział z prowincyi z amunicyą, płacę za utrzymanie emigrantów, licząc 1 fr. 50 dziennie za dorosłego,

a 50 centimów od dziecka, no i wreszcie dochodzi do sumy 996 milionów. Zaokrągła to na miliard, zgodzić się chętnie gotów na dwa miliardy i pyta co lepsze, czy za zwycięstwo zapłacić dwa, czy za hańbę, wedle recepty rządu dziesięć miliardów i szmat ogromny kraju.

Ale zatrzymuje się przy tej cyfrze na chwilę jeno i dalej odtwarza historię fantastyczną obrony Paryża. Puszcza więc w ruch fabryki, robi chassepoty, odlewa działa, wzmacnia fortyfikacye, klasyfikuje i organizuje wojsko, formuje kadry i przetwarza masę zbrojną w ruchome i bitne oddziały. W kilku dniach wszystko jest w porządku, wznoszą się reduty i zasieki w Garches, Meudon, Clamart, Thiais, Montmesly, Chelles, Montfermeil i Livry. Oczyma duszy widzi nastroszone kolczastymi płotami i zaporami drogi do Choisy, Villeneuve-Saint-George, Butte-Pinson, obwarowane wyżyny Sannois, równię Gonesse nie do przebycia z powodu rowów, raduje się, że nieprzyjaciel nie będzie w stanie dostać się do Chatillon, przejść Sekwanę pod Choissy, Villeneuve-Saint-George, nawet Corbeille i woła z uniesieniem, że teraz już nawet sam dyabeł nie opasze miasta, ani w promieniu mili, ani dziesięciu i dwudziestu, nie mogąc się rozpościerać bez końca. „I cóż teraz mogą zrobić Niemcy?“ — pyta Blanqui. Mogą jeno wędrować tam i napowrót po Francyi, nie spotkawszy żołnierza, zajmować i znów opuszczać i tak puste miasta, z ludnością bezbronną, albo obejmować w posiadanie forty bez garnizonu i artyleryi.

A tymczasem armia francuska zamknięta w stolicy będzie miała czas się zorganizować, bo teraz już nie pod murami miasta będzie się załatwiać rachunek... o nie! Wojsko pójdzie spytać pludrów, po co tu wogóle przyszli, a w razie niedostatecznej odpowiedzi.....

Niestety! Bez końca śnić nie można, to też i Blanqui spojrzeć musiał w twarz rzeczywistości. Smutny to był widok, a raczej szereg obrazów: Paryż, liczący na prowincję, udana obrona, bombardowanie, spóźniona formacja wojsk prowincjonalnych, choć mogła być w stolicy pierwszych zaraz dni, potem epilog, otwarcie bram, dowody niezbite, że losy Francji rozstrzygały się w Paryżu, zdanie całego kraju na łaskę po kapitulacji, wydanie wrogowi armii wschodniej z bronią w rękę i w końcu wybory narzucone z nakazu Bismarka, co jego niewolnicy, członkowie rządu wykonać musieli.

Oskarżeniem o zdradę stanu i zamach na całość i istnienie ojczyzny kończy swoje „Ostatnie słowo“ rewolucjonista, występujący tu w roli krytyka spraw wojskowych, generała i administratora, zagorzały patriota, historyk-wizjoner i świadek naoczny okropności oblężenia Paryża.

CCIV.

Dnia 12 lutego, kiedy rozpowszechniono „Ostatnie słowo“, Blanqui z Tridonem udał się do Bordeaux, spotkał tam Ranca i usłyszał wiele szczegółów z wojny na prowincji. A więc dzieje Clichanta, rzuconego ku Szwajcaryi z armią wschodnią, skutkiem wyjęcia jej z pod zawieszenia broni, bezsilności Faidherba, stosunków generała Chanzy z rządem zwyciężonym i wiele innych rzeczy. Osmuciło to jeszcze bardziej Blanquiego i był teraz przekonany, że przepadła Francja i republika. O ostatnich wypadkach i upokorzeniach Paryża wieści doszły go tutaj. Więc tedy nie widział na własne oczy jak w nocy, z 26 na 27 lutego, 50.000 gwardzistów

wyszło na Pola Elizejskie witać Prusaków, nie widział też, jak armia niemiecka zajęła nazajutrz jedną dzielnicę.

Dnia 9 marca rada wojenna sądziła zaocznie Blanquiego za udział w ruchawce dnia 31 października. Dwa tygodnie przedtem, 23 lutego załatwiono się z partją winowajców, nazajutrz z drugą, ale dla Blanquiego, Flourensa, Edmunda Levrauda i Cyrylla przeznaczono dzień osobny. Był to także rodzaj odznaczenia. Wyrok brzmiał mniej więcej tak:

Augusta Ludwika Blanquiego, literata, zamieszkałego w Paryżu, rue du Temple, u Cleraya skazuje się na karę śmierci, za zamach na rząd, który dnia 31 października właściwie jeszcze nie istniał, bo władza jego była usankcjonowana ledwo 3 listopada i to jeno umowa, którą złamano, bo rozpoczęto wbrew danemu słowu ścigać i prześladować ludzi oddanych ojczyźnie. Na śmierć! Dziwne, że oficerowie zasądzający na śmierć Blanquiego nie znaleźli dlań żadnych nawet łagodzących okoliczności.

Jedyną i wyłączną myślą Blanquiego od 4 września 1870 była wojna. Po klęsce nawet nie mógł wyzbyć się przypuszczenia, że zbudzi się i stanie do obrony prowincya. Nie pomyślał tylko, że mimo, że ludność miasta uzbrojona, roznamiętniona i objawia tą gorączką nadmiar energii, jakiego w nieudanej obronie wyładować nie mogła, nastąpią teraz straszne represalia. Wydawało się iż przyjsć musi do starcia między tłumem paryskim, republikańskim, rozdrażnionym wypadkami, a „Zgromadzeniem“, co rozsiadło się w Wersalu prowokująco monarchiczne z Thiersem, jako szefem władzy wykonawczej na czele, człowiekiem zdecydowanym „zaprowadzić ład i porządek“, a jednocześnie zatwierdzić definitywnie pokój. Paryż miał być ofiarą złożoną na ołtarzu nowej równowagi europejskiej. Ale kto ma dać hasło do roz-

pojęcia rozprawy, jakie to będzie hasło, z jakiego padnie powodu i w jakich okolicznościach, nie wiedział nikt. Przeciwnicy mierzyli się oczyma, besztali się po pismach, rysowali wzajem na siebie karykatury, a gorączka onej zimy rosła ciągle i rosła, aż zapalał nią, wszystek Paryż.

Zapewne Blanqui przewidywał co z nienubłaganą nastąpić musi koniecznością, ale nie mieszał się do niczego. Ci, którzy mieli sposobność widzieć go w tym czasie, po niendałych wyborach i wyroku śmierci opowiadali, że opanowała go w zupełności rozpacz z powodu klęski Francyi, a zwycięstwa Niemiec. Wedle niego, nie było już nadziei nawet w przyszłość, dającej się przewidzieć, nadziei w jakąś zmianę, w rewolucję. Klęska wyjąłowała całe, długie jutro.

Obok cierpień moralnych, czuł zresztą jeszcze wielkie zmęczenie i choroba wnet zawładnęła delikatnym organizmem, kierowanym do niedawna jeszcze gigantyczną wolą. Blanqui pragnął teraz już jeno schroniska, przytułku, gdzieby w ciszy mógł odzyskać sił trochę. W pierwszych tedy dniach marca wyjechał do Louliè, koło Bretenoux w departamencie Lot, do doktora Lacambra, który w międzyczasie ożenił się z jego siostrzenicą i właśnie w dzień przyjazdu Blanquiego wyruszył z żoną w podróż po Hiszpanii. Starzec tedy został sam z siostrą swą, panią Barellier. Potrzebował też jej starań. Ledwo wysiadł z wezu pocztowego, musiał się zaraz położyć, wystąpiło bowiem silne, ostre bronchitis.

W łóżku więc został 17 marca na rozkaz rządu aresztowany dzięki staraniom prokuratora z Figeac. Teraz miał dostać zapłatę za niezmierny rozum i czyste, najlepsze zamiary, jakich dowody dawał w ciągu całego obłączenia Paryża.

Nastąpiło teraz coś nieludzkiego, co wstrętem przejąć każdego musi. Chorego starca wśród silnego mrozu prowadzą żandarmi do więzienia w Figeac i zamykają w izbie bez jednego stołka. Następują zwykłe ceremonie, przewracają mu kieszenie, zabierają pieniądze, scyzoryk. Nazajutrz prokurator zawiadamia go, że w Paryżu wybuchła rewolucya, a wojsko i rząd cofnęli się do Wersalu. Blanqui nie może temu uwierzyć, sądzi tylko, że go aresztowano na podstawie przypuszczenia jego związku z tą drobną, jak mniemał, ruchawką. Nie wiedział tedy czy będzie długo musiał siedzieć i zażądał zwykłych towarzyszy, książek.

Z Figeac przewieziono Blanquiego wnet i to w tajemnicy do więzienia w Cahors i kategorycznie odmówiono widzenia się z siostrą. Pozostawał tam przez resztę marca, kwiecień, aż do 22 maja i nie tylko nie dopuszczono nikogo z rodziny, ale przecięto wszelką komunikację, nie mógł tedy ani dać znać co się z nim dzieje, ani też dostać wieści ze świata zewnętrznego. Nie wiedziała też siostra, w owym czasie nic o stanie jego zdrowia, nie wiedziała nawet czy żyje, a Blanqui może się uważał za opuszczonego przez najbliższych.

Przed oczyma jego ukazuje się jeno prokurator republiki z Cahors, prefekt departamentu Lot i naczelnik więzienia. Nie dopuszczono doń nawet prostego dozorca, którego by mógł sobie ująć. Ale też nie zjawił się kat, by wykonać to, co postanawiał „prawomocnie“ kodeks karny.

CCVI.

W tym czasie, 28 marca, został Blanqui wybrany członkiem Komuny paryskiej w dzielnicach XVIII i XX, to jest w Belleville i Menilmontant, wraz z Tridonem, Eudesem, Vaillantem i Rancem, to jest tymi, którzy mniej lub bardziej uczestniczyli w jego polityce, a wreszcie wyszli z tych wyborów inni, dalsi, ledwie że znani Blanquiemu, ale zgrupowani pod nazwą blanquistów, Rigault, Duval, Ranvier, Ferré, Protot, Vallès, Grousset, Couruet i Mortier. Dalej: Flourens, Vermorel, Delescluze i Pyat, reprezentanci Międzynarodówki: Varlin, Theisz, Malon, Beslay i Lefrançais, wreszcie z innych grup Méline, Brélay, Tirard, Lefevre i Robinet, zaś w wyborach ściślejszych, dnia 16 kwietnia: Longuet, Rogeard i Trinquet.

Grousset i Mortier na pierwszym zaraz posiedzeniu, Rigault na drugim domagali się, by Blanquiemu oddać honorowe przewodnictwo. Sprzeciwił się temu Delescluze, którego dawna nienawiść nie ustała i Couruet, zresztą zażądali, by coś pożyteczniejszego, coś realniejszego uczyniono dla więźnia.

Myśl ocalenia Blanquiego powziął Tridon i wezwał dnia 27 marca do Paryża Flotta. Gdy Flotte przybył, dnia 6 kwietnia kilkunastu członków Komuny zaproponowało mu, by ruszył na poszukiwanie więźnia, ale objaśnił Tridon, że Granger już pojechał i że może lepiej rządowi wersalskiemu zaproponować wymianę Blanquiego za kilku zakładników trzymanyh w la Roquette. W myśl tego, dnia 9 kwietnia Raoul Rigault z racji swej dziwacznej godności, delegata exprefektury Paryża ułatwił Flottowi widzenie się z arcybiskupem Paryża, Darboyem. Obaj interlokutorzy porozumieli się cudownie i arcybiskup zgodził się napisać do Thiersa z propozycją, by

wymienił za Blanquiego siostrę arcybiskupa, wikaryusza generalnego, proboszcza dyecezyi św. Magdaleny, senatora Bonjeana i wreszcie jego samego. List był nazajutrz gotów i ułożono, że zawiezie go wikaryusz generalny Lagarde. Dnia 12 kwietnia, Flotte wyprowadził księdza z więzienia i wziął od niego słowo, że wróci, bez względu na to, jakaby była odpowiedź. Wikaryusz dał na to samo już przedtem słowo arcybiskupowi w obecności Flotta.

Ale pertraktacye przeciągnęły się aż do 14 maja, to jest blisko miesiąc. Wikaryusz napisał jeno arcybiskupowi, że Thiers zwleka z odpowiedzią, a on cierpliwie czeka. Nareszcie 23 kwietnia, po 11 dniach arcybiskup zażądał od wikaryusza, by natychmiast wrócił do Paryża i więzienia, bez względu na stadium, w jakim się znajduje sprawa jemu powierzona, dziwił się zarazem zwłoce w odpowiedzi i nadmienił że kompromituje to więźniów i może mieć dla nich jak najgorsze skutki. List ten został doręczony adresatowi za pośrednictwem ambasadora Stanów Zjednoczonych Washburna ale miało to jeno ten skutek, że ksiądz Lagrande przestał pisywać i wbrew słowu pozostał w Wersalu.

Rozpoczęły się ponowne próby, w których udział brało wiele osób z niezmierną gorliwością, Cornuschi, nuncyusz papieski, ambasador angielski i delegat mera Londynu, nakoniec zacy Flotte udał się sam do Wersalu z listami od arcybiskupa i proboszcza św. Magdaleny. Flotte potem ogłosił rozmowę, którą miał z Thiersem dnia 13 maja.

Thiers nie chciał wierzyć, by życiu arcybiskupa groziło niebezpieczeństwo i pytał Flotta czemu się tego obawia, a tenże przytoczył dokonane przez Vinoya potrójne morderstwo Duvala i dwu jego adjutantów, oraz rozstrzelanie 80 gwardzistów przez generała Galliffeta.

Thiers zmienił temat rozmowy, dodając jeno, że prośbę podda uchwale rady i poprze ją, atoli wpływ jego jest bardzo mały. W zakończeniu rzekł: „Nie znam p. Blanquiego. Podobno jestto człowiek wielkiego rozumu, ale zarazem bardzo niebezpieczny i należy do skrajnego stronnictwa rewolucyjnego“.

Nazajutrz dnia 14 zawezwał Thiers Flotta o tej samej porze i oświadczył mu, że wymiana jest niemożliwą, bo oddać Blanquiego rewolucyji, to znaczyłoby tyle, co posłać jej w sukurs cały korpus armii, ale kazał powiedzieć arcybiskupowi, że sprawy mają się dziś, jutro całkiem inaczej ułożyć, a on nie zaniedba niczego, by go wyrwać z opresyi. Flotte zwrócił uwagę ministra, że w Mazas znajduje się jeszcze wielu innych zakładników, którychby Komuna oddała niewątpliwie za Blanquiego, ale odmówił. Na to rzekł Flotte:

„Więc dobrze. Czy zechcesz mi pan dać słowo, że podpiszesz rozkaz uwolnienia Blanquiego wzamian za natychmiastowe dostawienie wszystkich 84 zakładników?“

Thiers odmówił raz jeszcze, a wobec tego Flotte musiał zrezygnować, wrócił tylko do Paryża i opowiedział interesowanym wszystko, a proboszcz, ksiądz Deguerry i arcybiskup rzekli: „Tak, ten człowiek nie ma odrobiny serca“.

CCVII.

Dnia 18 maja pozwolono Blanquiemu widzieć się w więzieniu z siostrą. Miało to być pożegnanie, ale więźniowi o tem nie powiedziano, 21 maja wczesnym rankiem zawieziono go na dworzec kolei, wsadzono do wagonu wraz z pięciu żandarmami i pojechał niewiadomo dokąd.

Minął Perigueux, przyjechał w południe do Contras a o północy do Tours. Spostrzegł też, że z rozkazu władz eskorta tai, że to właśnie jego wiozą, ale sekret wydał się przez służbę kolejową. Oskarżono nawet brygadiera żandarmeryi, że to powiedział kolejarzom, którzy, wedle własnych słów Blanquiego, podczas całej tej dziwnej podróży dawali mu dowody wielkiego współczucia.

Ale inaczej jeszcze było w Tours. Więzienny wagon odczepiony od pociągu pozostawiono w cieniu, na uboczu. Blanqui zauważył, że szef eskorty rozmawia z kilku jakimiś ciemnymi postaciami. Nagle jakiś głos wezbrany szaloną złością ozwał się z ciemności: „Szubrawcy! Rozbójniki! Już ja wam go sprzątnę z przed nosa! Moja w tem głowa!“

Wagon przyczepiono teraz do innego pociągu, tym razem do pospiesznego i całą siłą pary Blanqui ruszył dalej. Nastąpiły krótkie postoje: Saumur, Angers, Nantes, Redon i Rennes, zewsząd o przejeździe donosił ministrowi wojny generał, lub prefekt. Pociąg przybył do Rennes w południe, ale nie zaraz miano ruszyć dalej, do Saint Brienc. Prefekt miasta Rennes chcąc uniknąć możliwego podniecenia u demokratycznych robotników, umówił się z generałem i przewieziono kareta więzienną Blanquiego na małą stacyjkę w polu, gdzie mu padło czekać pociągu przechodzącego tędy około godziny czwartej. Czekał tak obok stacyi l'Hermitage do pół do szóstej, a wokół niego utworzyło się zbiegowisko, wśród którego ukazali się dżentelmeni na koniach, z orderami papieskimi w butonierkach. Ogromnie ironicznie, ale bez słowa obejrzeni więźnia przez okno karetki, a Blanqui przeglądał się też tym dziwnym figurom, prosto z farsy wyjętym. Pociąg stanął, Blanqui musiał wyjść i przejść środkiem ciekawskich.

Od tej pory, niemal na każdej stacyi natrafiano na demonstracye wrogie dla konwojowanego. Poza stacyą Rennes, chłopci krzyczeli za pociągiem: „Niech żyje król!“ i powiewali kapeluszami. Wreszcie minięto Saint-Brienc i zaczęła się teraz powolna, długa jazda z ciągłemi postojami po miasteczkach, drogami snuli się chłopci bretońscy prowadzący bydło i kobiety z koszykami. Blanqui na każdej stacyi wychylał się z okna, chwytając w piersi świeży powiew.

W Châtelandren, o zmierzchu zebrał się tłum groźny, ludzie pęczeli się cisnąć z krzykami i pogrózkami, rzucając obelgi nieruchomemu starcowi, patrzącemu na nich przenikliwym wzrokiem. Pośród tłumu byli młodzi i starzy, musiał się też trafić zgrzybiały jaki starowina ubrany nie modnie w krótką, niebieską kamizolę, koszulę o szerokich, bufiastych rękawach, wielki kapelusz pończochy i saboty. Co to za dziwne było spotkanie, co za dziwny, bezsłowy dyalog. Oto człowiek przyziemny, oracz, zniszczony, blady, całkiem ogolony, z brodą jeno niesfornemi okrytą szczecinami, sztywny, jak suchy kłos co został na polu, a naprzeciw niego w ramie okna wagonu twarz blada, z której patrzą połyskliwie, odporne oczy buntownika. Twarz chłopca dziedzicznie głupia, ale oczy niewiarę wyrażają, podejrzliwe są, jakby spostrzeżły wilka. Parę jeno słów paść mogło, Bretończyk waha się zawsze, nawet nie zaraz się decyduje bać czegoś, co mu zajdzie drogę, tępota jego przypomina głęboką zadumę filozofa.

Ale Blanqui szybciej myślał i musiał rzec w duchu do starca: „Cóż ty jesteś stare ruino ludzka? Oto pocziwina teraz, oczywiście, dawny wasal, który stał się elektorem, i nie zrzucił jarzma niewoli, uprawiający jak dawniej rolę i żyjący taksamo w chacie, w głębi duszy zachowy-

wując wiarę w swego dawnego pana i słowa kazania proboszcza. Nie wiesz kto ja jestem i nie dowiesz się nigdy może. A jednak dla ciebie odbyłem podróż w krainę złud, zostałem raniony przy rue aux Ours, brałem udział w walce w roku 1830, tyle lat życia zmarniłem w Mont-Saint-Michel, Belle-Ile, Corte, Św. Pelagii, przecierpiałem oblężenie Paryża, i teraz oto znów wiozą mnie gdzieś do więzienia, na śmierć może. Ty, zaś całe życie zadowolniałeś się ziemią, wilgotnem powietrzem, idącym do morza, byłeś wolny, prawie, że szczęśliwy.... tak.... tak.. ja byłem głupcem... Ale wnuki twoje, synowie może, czcic będą moją pamięć.

CCVIII.

Plouaret, Plounérin, Plouigneau... oto szereg stacyi przed Morlaix, pociąg wreszcie przechodzi wiadukt, staje i oto na razie koniec podróży koleją. Jest godzina jednasta.

Ale teraz trzeba wsiąść do powozu, przejechać miasto, przybyć po nocy kawał drogi obstawionej domami, biegnącej wzdłuż brzegu morza. Nagle zjawia się łacha wody, niby zatoka, światła, a z ciemnej oddali dochodzi powiew słony. To Dourdu, czyli „Czarna woda“. Trzeba znów wysiąść, przedostać się do barki o wypukłych bokach, co stoi gotowa z przewoźnikiem i marynarzami. Blanqui zajął bez słowa miejsce i przez dwie godziny czuł rytmiczne kołysanie. Coraz większa szła fala, wypływano widocznie z zatoki i było coraz zimniej, ale jednocześnie wiatr ustał zupełnie. Nareszcie w dali ukazały się światła, z ciemni wyłoniła się w świtanie skała, na niej zamajaczyły mury... to zamek du

Taurean. Padło hasło, odpowiedział odzew i łódź przybiła do kamiennych schodów. Więzień wstąpił na most zwodzony, przeszedł sieni, gdzie stało szeregiem 30 żołnierzy z bronią u nogi pod wodzą oficera, który dał znak więźniowi, by szedł za nim, wstąpił na kamienne schody i otworzył niskie drzwi. Znnżony dwudniową podróżą chory starzec wszedł do ciemnej stancyi i spostrzegłszy w rogu łóżko, rzucił się na nie. Zapadły za nim drzwi ciężkie i zgrzytły zasuwę. Stało się to dnia 24 maja 1871 roku o godzinie trzeciej rano.

CCIX.

Gdy nazajutrz otworzył oczy, ujrzał się we wstępującej, mrocznej zawsze, brudnej stancyi, ale wiedział od razu doskonale, gdzie się znajduje. Znał lepiej od wszystkich strażników historię zamku, znał wszystkie niemal ścieżki kute w skale, wiedział czemu je tu wyżłobiono i kiedy.

Zamek wznosił się wśród morza na nagiej skale, o wyrazistych liniach, ostrych kątach i niezmiernie grubych murach, był starym fortem, jednym z wielu fortów, pobudowanych tu wokoło Morlaix dla obrony wybrzeży przeciw Anglikom i korsarzom. Była tu kasarnia dla żołnierzy i lochy na jeńców. Zamek zbudowali mieszczanie pobliskiego Morlaix, ale w roku 1642 zabrał im go król i przekształcił w roku 1660 na więzienie stanu. Był tutaj zamknięty w roku 1765 La Chalotais, generalny prokurator parlamentu, szpieg jezuitki i podobnie, jak Blanqui, nie mógł się zupełnie porozumiewać z nikim, wreszcie w roku 1795 przesiadywali tu ostatni montagnardzi, Romme, Soubrany i Bour-

botte. Są tu pomieszkania, jest studnia i zwodzony most, zamykający dostęp od północy. Przez szeroki przedsionek straszliwie zimny i wyłożony kwadratami granitu wychodziło się na wąskie, okrągłe podwórko, tam widniały schody oświetlone latarnią. Miały ośm stopni, potem musiało się skrócić w prawo i miało się przed sobą drzwi, koloru dawnej, zastygłej krwi. Następowaly schody o 13 stopniach i jeszcze jedne drzwi, wiodące ostatecznie do celi Blanquiego. Był to dość obszerny pokój, miał 10 metrów długości, a 5 szerokości, ale sklepienie ciężkie i niskie czyniło go ponurym i ciemnym. Zimno wiało z każdego kąta, saletra wykwitła na murach, wieczny mrok tu panował, nigdy nie wpadł przez okno, zwrócone na morze, promień słońca, okno to okratowane wpuszcza jeno szarą poświatę, tak że w stancyi czuje się człowiek niby na dnie mętnej rzeki, a morza nawet wcale nie widać, jeno smutne, wilgotne podwórko, jakby wykopane w cielsku olbrzymiego budynku. Cały to widok. Czasem jeszcze przesunie się żołnierz z warty i szczególnie broń, czasem też dostrzeże więzień wśród kamieni wyrastającą nędzną stokroć, lub rumianek.

Jedyni dawni i stali mieszkańcy zamczyska, to armaty wielkiego kalibru, stare, pozieleniałe, leniwo drzeмиące na niskich ławetach, wychylające się przez otwory kazamat parteru, ale pewnie nieużyteczne, tak przynajmniej wyglądają w swym bezładzie, zatopione w zielisku, co kryje ich paszcze bezmyślnie rozwarte i puste.

Pokój Blanquiego smutniejszy jeszcze, jak każn w Mont-Saint-Michel, bo tu z okna nie widać nic, a tam miało się chociaż rozłogi tundr i ławic piaszczystych, a porównywać go wprost trudno z celą na Belle-Ile, gdzie się czuło pod nogami ziemię, miało łąkę i zagon pod oknem. Tutaj ni skrawka morza, ni śladu zieleni,

żadnych barw, bo i granit nie różowy, ni piaskowiec nie biały. Jakże różne mają barwy rzeczy w każdym więzieniu Blanquiego. Tu wszystko zdaje się twardsze i cięższe. Niema barw południowych, zawsze jest wieczór, barwy przygnębiającej, nietoperzej, pajęczej. Nawet kwiatek na podworcu nie śmie mieć barwy. Zanurzono starca w mrok, mrokiem wydano na żer tę siłę skutą poprzód, szarość zjada nadzieję i ssie życie filozofa.

CCXI.

Nawet uwzględniwszy stosunki ówczesne i zgoła fałszywe mniemanie, jakie miano o Blanquim, nie można inaczej, jak niepojętym gwałtem nazwać takiego porwania chorego starca i wywiezienia go w nocy bez żadnego przesłuchania, ustalenia deliktu, wyroku. I pomyśleć tylko, że „sfery miarodajne“ były związane słowem, że nie dopuszczą do prześladowań i szukania pomsty nad rewolucjonistami. Ażeby się komu innemu nie dostał zaszczyt takiego zadrwienia z wszelkiej sprawiedliwości, trzeba tutaj zapisać nazwiska kierowników ówczesnej polityki, którzy za ten gwałt ponoszą odpowiedzialność. Więc tedy wiedzieć należy, że Ernest Picard, minister spraw wewnętrznych, sybaryta i sceptyk zarazem i minister sprawiedliwości Dufaure, purytanin surowy podali sobie ręce do wspólnego dzieła, a minister wojny, Le Flô, którego posiadłość Nec'hoat położona jest nad rzeką Morlaix, niedaleko zamku, wraz z ministrem marynarki Pothuan przedsiębiorą wszystko, co potrzebne, by dopełnić porwania. Obok nich, z pośród przytłoczonych „Obrony narodowej“ musimy posadzić na ławie oskarżonych rozgoryczonego Juliusza Favre i słodziuch-

nego Juliusza Simona, a także naczelnego bandytę, Thiersa, człowieka bez skrupułów, osobnika, który, przedtem za parawanem Ludwika Filipa, a teraz bez obsłonek jest wyobrazicielem niskich interesów jednej klasy, klasy bogaczy, z pominięciem interesów istotnych całego narodu, indywiduum, które wywołało rewolucyę, a teraz nie dopuszcza, by wrócił istotny spokój, bo chce pochłonać wszystkie korzyści i woli nawet wszystko stracić, jak w imię jakiej takiej sprawiedliwości oddać innym choćby mały kasek. Ta kreatura uparta, ten okrutnik i chciwiec był sprawcą rozstrzeliwań niedawnych przy rue Transnonain i bombardowania Paryża. Nie zmienił się od czasu swej intryganckiej komedyi w roku 1830, owej polityki jałowego parlamentaryzmu tegoż czasu i lat 48, chłodnych obliczeń w 1849, jest dziś panem i jeśli mu się spodoba, to w wielkich rozmiarach powtórzy rok 1839, represyą obejmie kraj cały, urządzi hekatombę i upuści krwi, zwłaszcza masom robotniczym.

Człowiek, co tak opanował politykę, nie mógł nie znać Blanquiego. Mimo, że powiedział to Flottowi, miał go wciąż przed sobą, jako własną kontradycyę, od pierwszych dni Restauracyi, którą obaj zwalczali, od pierwszych dni lipcowej monarchii, gdzie wczorajsi przymerzeńcy ujrzeli się naraz rozdzieleni przepaścią.

Od tego czasu Blanqui był Thiersowi wrogiem, uosobieniem buntu, nie dającego się nigdy zdławić w zarodku, rewolty, co dziś zgnieciona, dziś jeszcze wyrasta wysoko ponad głowę płomienna, zamknięta w loch grobowy, niby upiór podnosi wieko trumny i wyłazi z kazamat Mont-Saint-Michel w dni gorące w r. 1848.

Ludzie podobni Thiersowi mogą nie mówić o takich jak Blanqui, udawać, że ich nie znają, pogardliwie

odmawiać wdawania się z nimi w dyskusję, ale wiedzą doskonale, co się w nich kryje, czego wyobrazicielem jest ich życie bezinteresowne, pełne poświęceń, strasznych tortur i mąk dusznych. Wiedzą, że tak się przejawia instynkt sprawiedliwości, posiadania równych praw dla wszystkich, że to jest płacz z kazamat społecznych, że to jest wielkie i potężne, choć tłum nie wie nawet, że tak jest i krzyżuje nawet nieraz proroki swoje. Człowieka takiego jak Thiers podtrzymuje syndykat wszystkich sił społecznych, takiego jak Blanqui nic. Stoi sam. I to jest jeszcze jeden więcej powód nienawiści.

Czemże byłby Thiers, gdyby nie wiedział o „Patrie en danger“, nie czytał „Ostatniego słowa“? I właśnie dlatego, że czytał, tem większą zapalał nienawiścią do jasnowidza, który patrzył w jego duszę i odkryć mógł czarne plany. Czyż sam sobie nie przeczy, czyż nie potwierdza, że się boi Blanquiego, mówiąc do Flotta, że wydać go rewolucyi to znaczyłoby wzmocnić ją całym korpusem wojska? Niema i szukać nie potrzeba innych powodów, dlaczego nie chciał wymiany, poświęcił arcybiskupa i wszystkich zakładników, kazał porwać Blanquiego, a potem wbrew ustawom, potajemnie uwiózł go i rzucił do ciemnicy zamku du Taureau.. Wszystko to tkwi w słowach, które wyrzekł natychmiast, przeczytawszy depeszę o udaniu się porwania, stojąc na progu sali posiedzeń komisyi.

„Nareszcie mamy w rękach największego zbrodniarza“.

CCXII.

Szczegółowo był zresztą obmyślany i mądrze, bardzo mądrze przeprowadzony plan wtrącenia Blanquiego

do tej nory. Już dnia 3 maja generał dywizji stacjonującej w Brest raportował ministrowi wojny, że wszystko jest gotowe na przyjęcie „ważnego więźnia politycznego“, że oddział wojska i oficer są najzupełniej pewni. Dnia 21 maja prefekt dystryktu nadmorskiego donosi swemu przełożonemu, ministrowi marynarki, że garnizon składa się z 25 ludzi i oficera, a kapitan sztabu generalnego z Brestu, osobiście wszystko zarządził i dopilnował wszystkiego.

Ale nastąpiła komplikacja. Oto nagle, dnia 19 maja pewnemu porucznikowi gwardyi, przydzielonemu do marynarki w porcie Morlaix, jakaś osobistość tajemnicza ofiarowała pięć tysięcy franków za porwanie i wydanie Blanquiego, który zresztą zamknięty był wówczas jeszcze w Cahors. Nie ulega kwestyi, że Komuna szukała sposobów, by przemocą osiągnąć to, czego po dobru uzyskać się nie udało. Uchwalono kredyt 50.000 franków na ten cel po wyjeździe Grangera, ale niepodobieństwem było wybadać dokładnie, gdzie i kiedy wywieziono starca. Granger tedy napróżno kręcił się koło więzienia w Cahors.

Porucznik opowiedział wszystko i zdwojono środki ostrożności, a nawet podniesiono kwestyę, czy nie należałoby przy ujściu rzeki postawić jakiegoś statku eskadry dywizyjnej pobrzeży północnych „Moustique“ albo „Espiegle“. W istocie ministerstwo marynarki poleciło odkomenderować jeden z krażowników, dozorujących połowę i ustawić go naprzeciw portu na kotwicy, równocześnie zaś ze służby cłowej sformowano oddział strażników, patrolujący wzdłuż brzegów rzeki i w ujściu samem, a nawet jakby chciano rzecz doprowadzić do absurdu i ośmieszyć rząd, w wilię przybycia Blanquiego przeniesiono nagle oddział przysłany napowrót do Brestu, desygnu-

jąc jednocześnie inny na jego miejsce. Stało się to w przypuszczeniu, że tamci żołnierze mogą być przekupieni.

CCXIII.

Nazajutrz w stancyi zamyślonego Blanquiego zjawił się komendant fortu i powiadomił go, jakie właśnie otrzymał telegraficznie od ministra wojny polecenia. Oto, za najmniejszem, dostrzeżonem usiłowaniem ucieczki miano strzelać, a w razie prób czynionych przez osoby inne w celu odbicia więźnia, miał zostać natychmiast rozstrzelany i trup jeno mógł zostać wydany przybywającym z odsieczą. Na to Blanqui, przygnębiony tym piekielnym gwałtem, jakiego się na nim dopuszczono odpowiedział oficerowi szorstko:

„Myślę, że pan wiesz, iż postępowanie takie hańbę przynosi naszym czasom, a zresztą nim się wyda trupa, więźnia, może tymczasem cała załoga i jej komendant zamienić się w trupy“.

Na to odparł oficer: „Wiem o tem mój panie“.

I przekonał się rychło Blanqui, że czyni odpowiadają słowom. Po skończonem czytaniu rozporządzeń ministeryalnych kazał oficer więźniowi, by się udał za nim, zstąpił ze schodów i minął dwoje drzwi. U drugich czekało nań dwu żołnierzy z obnażonemi szablami, którzy wzięli więźnia między siebie, poprowadzili znów schodami w górę, minęli je, przebyli inne jeszcze schody i znaleźli się wreszcie na platformie.

Można stąd było objąć ogromny kawał morza, wzburzonego morza, barwy seledynowej. Pogoda była niepewna w ten ciepły dzień majowy, fale szły żwawo i rozbiły się u skalistych brzegów, w dali widniały latar-

nie morskie i okręt z flagą francuską wprost przystani. Taras otaczała baryera, z poza której wychylało ku górze, jakby mierząc w przelatujące jaskółki, swe paszcze ośm armat. Były to stare, forteczne kolubryny, zdobne herbami Bretanii, osadzone na lawetach, pozwalających obracać je na wszystkie strony. Blanqi mimo woli natężył słuch, jakby czekając jakiegoś bratniego głosu z oddali. Ale jeno morze huczało, i zaszemrała kropla deszczu, który nagle padać zaczął. Starzec wciągnął w pierś powietrze i doznał zawrotu głowy. Znów wysłał wzrok i słuch w oddale, ale dojrzał jeno chmury na nieboskłonie, na prawo przylądek Primel i pobrzeże Plougasnou, na lewo Roscoff i kończyste wieżycy Saint-Pol-de-Leon. Chcąc widzieć coś bliżej położonego, jeszcze w obrębie fortu, zbliżył się do parapetu, ale zatrzymał go dozorca i rzekł:

— „Nie wolno patrzeć na morze!“

Dalej tedy chodził po tarasie tam i napowrót od żołnierza do dozorca i klucznika. Taką przechadzkę odbywał każdego dnia rano i wieczór przez trzy kwadranse.

Sam opisał ceremoniał towarzyszący niezmiennie każdemu takiemu spacerowi.

O naznaczonej godzinie straż u wejścia stawała pod bronią i podnoszono most zwodzony. Łoskot starego żelaziwa oznajmiał więźniowi, że nadeszła pora. U ostatniego stopnia schodów spotykał żołnierza z obnażoną szablą, a na tarasie drugiego z karabinem. Dozorca i klucznik zawsze byli też obecni. Po powrocie jego do kaźni wszyscy się rozchodzili, pozostawiając jeno żołnierza z nabitym karabinem pod oknem kaźni, i z takim samym łoskotem opadał znów most zwodzony, głosząc całemu światu, że bez katastrofy i pomyślnie dla załogi fortu minęła pora przechadzki 70-cioletniego starca.

A o tę katastrofę wcale nie było trudno.

Wystarczało jeno, by straszliwy starzec, trzymający się ledwo na nogach, jednym uderzeniem pięści zabił na tarasie żołnierza, dozorcę i klucznika, zeszedł po schodach, u drzwi swej celi zamordował żołnierza, stojącego na warcie z obnażoną szablą w dłoni, a ośm schodów niżej wartownika z karabinem pod oknami kaźni, dalej już z wielką łatwością przedostał się przez sień, kuchnię i kantinę, pokonywując cały personal, który się tam zwykle tłoczył, wyłamał drzwi dzielące tę sień od strażnicy, wymordował ośmiu ludzi pogotowia, własnoręcznie spuścił most zwodzony, rzucił się w morze i wpław dostał się na wybrzeża Bretanii wśród gradu kul pozostałych piętnastu ludzi załogi, dziewięciu z pośród trzydziestu, zdatnych do użytku kolubryn z tarasu górnego i ognia okrętu, stojącego w porcie. Jako narzędzia dla wykonania tych wszystkich okropnych czynów więzień posiadał własne pięści i rządowe saboty, w które go ustrojono.

Blanqui nie podjął walki, poznawszy, że każdy, najmniejszy ruch będzie pozorem pozbycia się go, widząc, że wszyscy czekają jeno na to. Pozostał tedy spokojnym, skupił w sobie całą wolę, wyteżył wzrok i słuch śledząc każdy krok swych stróżów. I okazało się to bardzo wskazanem, pewnego bowiem dnia żołnierz z pod okna palnął doń z karabinu w przywidzeniu, że się wychyla przez kratę. Blanqui mógł przypuszczać, że była to jeno niezręczność, ale nabył przy tej okazji pewności, że broń jest zawsze nabita i pogróżki śmierci wcale nie są daremne.

Ponad wszystko jednak dręczył więźnia hałas, zgiełk beznstanny, przerywający sen, myśli, nie dający żyć poprosta. Od pierwszego zaraz dnia zauważył Blanqui, że cela jego posiadała taką dziwną akustykę, iż dolaływał tu i to wzmocniony, niby w tubie, każdy odgłos. Co pół godziny luzowano wartę pod jego oknem z okropnym wrzaskiem hasła i odzewu, to samo się działo ze strażnikiem na tarasie górnym, tylko w dodatku jeszcze chodzono po schodach, jakby każdy z uczestników tego piekielnego sabatu ważył po tysiąc kilo. Przez całą noc dudniły ronty oficerskie, podoficerskie, wrzeszczały patrole, a Blanqui, śpiący przy otwartem oknie, zrywał się co chwila.

Pierwsza jeno noc minęła spokojnie, po nadejściu instrukcyj ministra rozpoczęły się ryki nieludzkie, jakby żołnierzom nakazano umyślnie ćwiczenie siły płuc. A w dzień było gorzej jeszcze może. Kantyniarka miała bardzo silny głos i pretensye muzykalne, a zgoła nic słuchu, więc godzinami wydawała wycie godne gromady wilków, bezustannie z piersi jej wydobywały się ostre świsty i zgrzyty, przenikające mury granitowe, aż cały fort drżał w posadach. Dobroduszny jej mąż, rodzaj głuchego i ślepego safanduly, uważał za stosowne wtórować magnifice, a dzieci naturalnie uzupełniały piekielny koncert. Śpiew jest ponoś, podobnie jak ziewanie, zaraźliwy. Tem się tłumaczy, że muzyczna pasya napadała kilka razy na dzień także żołnierzy i rozlegała się dziwna kakofonia, bo każdy z dwudziestu pięciu obrońców ojczyzny śpiewał co innego. Gdy któremuś wyszło w gardle, walił pięścią w drzwi albo w najbliższy stół dając takt. Cały ten straszliwy hałas wpa-

dał tu i odbijał się o półkoliste sklepienie celi, a biedny więzień po całych godzinach palcami zatykał uszy, by nie oszaleć, lub nie dostać conajmniej zapalenia mózgu. Wystarał się nawet o wosk i zatykał nim uszy, ale po trzech dniach nastąpiło podrażnienie muszli ucha i musiał zaprzestać.

Gdy zjawił się komendant fortu, rzekł mu Blanqui:

— „Zamknięty zostałem w grobowcu, więc mi się należy cisza grobu conajmniej“.

— „Nie mogę zakazać śpiewać ludziom znudzonym“ — odparł oficer.

— „W żadnym więzieniu nie byłby tolerowany podobny skandal. Wszędzie w aresztach, cytadelach, więzieniach panuje spokój, powinno też być cicho w tej waszej bastyli“.

— „Nie jestto bastyla, ani więzienie, jest to kasarnia“.

— „Tak? Ależ kasarnia nie bywa miejscem pobytu więźniów politycznych, żelaznych masek, którym nie wolno do nikogo słowa przemówić. Jestem tutaj i nietylko mnie nie wolno rozmawiać z nikim, ale i mówić także niewolno nikomu do mnie.“

— „Tak, pan jesteś rodzajem żelaznej maski“.

— „Oczywiście, ale nie jest to wcale kasarnia. Podwórza i kurytarze nie są co nocy pełne patroli, rontów, strażników, wykrzykujących na cały głos hasła. W kasarni mogą ludzie spać. Pańska rzekomo kasarnia jest fortem średniowiecznym, bastylą Ludwika XIV, i zarazem obecnie pierwszą próbką nawrotu do dawnych, dobrych czasów i rządów. Jestto widome wyszydzenie wszelkich ustaw. Nie panuje tu żaden regulamin, wszystko świadczy o aroganckiej przemocy, jak czasu niedawnej monarchii. Porwano mnie w nocy, bez wiadomości sę-

dziego, bez wyroku, od ośmiu miesięcy nie widziałem ni cywilnego, ni wojskowego urzędnika, jestem ofiarą prostych opryszków.“

— „Sytuacja pańska, mojem zdaniem, jest bardzo jasna. Jesteś pan jeńcem wojennym. Uważam pana za jeńca i odpowiednio traktuję.

— „Cóż za omyłka! Nie jestem jeńcem, nie pochwycono mnie czasu wojny, jestem politycznym skazańcem, bez świadków i posłuchania, zaocznym wyrokiem ściganym. Ale jeśli tak jest, jak pan mówisz, to przyznaj, że żadnego jeszcze jeńca wojennego w czasach naszych nie trzymano dniem i nocą w kazamacie, na murach której saletra wykwita, nie pozbawiono wszelkich stosunków ze światem, nie broniono mu oddychać swobodnie i nie mówiono mu: za pierwszą próbą wyzwolenia zostaniesz rozstrzelany i obrońcy dostaną jeno twe zwłoki. Tak mój panie. Tak. Pańska bastylla jestto próbka bastyl, jakie teraz znów pocznie się budować za nowych rządów“.

CCXV.

Został w samej rzeczy „maską żelazną“. Nikt w okolicy, mówiąc o nim, nie wymieniał nazwiska. Nazywają go wszyscy „więzień zamczyska“. Taksamo zwie go lekarz z Morlaix, z okazji przesyłania dlań lekarstw z miasta.

„Ordynacja lekarska Dra Lacardachère dla więźnia zamczyska“..... Taksamo zwa go rybacy wrozmowie z kilku letnikami, którzy tu przybyli użyć kąpieli morskich i spędzić porę ciepłą w jednej z pobrzeżnych wiossek. Czasem kobiety idące na przechadzkę od strony Saint Pol, lub Karantec, zatrzymują się zdziwione. Z ta-

rasu widać ich woalki szafirowe i zielone. Ale nie z ciekawości, nie wolno im zbliżyć się do fortecy. Czasem wsiadają do łódki, wskazują palcami czarne mury na skale, widać, że pytają przewoźnika, kto jest ten człowiek stojący na tarasie pośród żołnierzy. Możliwe usłyszeć szmer rozmowy, lekkie okrzyki towarzyszące kołysaniu się łódki. Przez perspektywę marynarską można dojrzeć zdziwione i wyrażające litość twarze, i obojętność przewoźnika, który z gestami rąk opowiada jako rzecz intratną historię mąk więzionego starca. Jaskółki to są morskie, co ledwo musnąwszy fale skrzydłami, uciekają szybko, skąd przybyły.

Nie wolno tu wylądować, rzecz prosta, ale nie wolno nawet zbliżyć się na doniosłość głosu. Łodzie rybackie otrzymały nakaz mijania z daleka tej skalistej wyspy. Całymi dniami, często także w nocy słychać z tarasu jak żołnierze krzyczą na sterników przemykających za blisko. Czasem słychać szczęk karabina i plusk wiosel uciekającego co tchu rybaka. Wszystko ucieka od groźnej skały, od człowieka wyklętego, a za powrotem do domu ostrożnie, oglądając się i cichym głosem każdy mówi o tym potworze rewolucyi, którego strzec musi cała załoga i w dodatku okręt wojenny, dzikim szatańskim demonie, zamkniętym między niebem a ziemią, którego lepiej, by nikt nie widział, nie znał wcale.

CCXVI.

Rano i wieczór podczas przechadzek więzień spoglądał na uwijające się w dali łódki rybaków z Dourdu, Primel, Pemponl i Roscoff. Czasem, gdy wiatr był pomyslny, słyszał słowa komendy, skrzyp masztów i steru.

Nateżał słuch, te głosy dalekie chwytając, a oni rozmawiali o tem, po czemu będą się sprzedawać jakie gatunki ryb, śmiali się, albo wolno, miarowo śpiewali. Patrzył pogodnym wzrokiem za tymi prostymi, szczęśliwymi ludźmi, a i oni musieli widzieć jego białą głowę pomiędzy szablami żołnierzy.

Rybacy ci, to ludzie tej samej rasy, niemal nawet tacy sami, jak wieśniacy spotkani na stacyach od Rennes do Gningamp i Morlaix. Taksamo są nieświadomymi niewolnikami, ofiarami fatalizmu przyrody i stosunków społecznych, o których nic nie wiedzą. A z pozoru tak są wolni. Polityk pracuje dla tych ludzi, ale nie pyta, czy tego chcą. A może rybak taki oto jest zadowolony ze swego losu, nie pragnie niczego więcej i nawet bez grozy lufy karabinowej z nieufnością, pospiesznie oddaliłby się od miejsca, gdzie przebywa ponury geniusz czynu, co chce zmienić losy ludzkie, bez ich woli.

Więc może lepiej było żyć jako ci rybacy?

Więc może trzeba było nie rzucać się w ten czyn, nie rozpoczynać pod złą wróżbą podróży, nie nocować też w karczmie niepokoju tyle, tyle razy. Może szkoda tak strasznych wysiłków, bo rezultat niepewny.

Nie! Nie! Mijają chwile zwątpienia. Nikną myśli czarne, wywołane tak jasnym, tak barwnym zjawiskiem rybaka bretońskiego na morzu, człowiek co w piersiach nosi religię czynu, zbiera się w sobie, rad nawet tym wątpliwościom bo one mu świadczą, że jest istotą wyższą nad fatalistyczną rezygnację ogółu, że mógł i może wybierać drogi swego życia.

CCXVII

Szuka kryjówki przed życiem, chce ująć brutalizmowi rzeczy zewnętrznych, zasadzek wrogów, grożą-

cych śmiercią, chce żyć bez wielkich trosk i smutków. I znalazł. Pewne to schronienie, zamczysko niezdobyte, pewne i żaden wróg stamtąd nie wygoni. Cóż że zły jest los? A siła woli, a duch, który wszyskiem włada, gdy władnie sobą? Blanquiemu nie trudno było posunąć się po tej drodze tak daleko jak trzeba, by dotrzeć do zamczyska, na wyżyny, kędy nie dosięga fala zła i wszelkie namiętności tylko podnóże gryzą wściekle, a bezsilne. Wszędzie można go znaleźć, nie leży nigdzie, a Blanqui go odkrył wśród groźących niebezpieczeństw, wilczych dołów zawiści, na skrawku ziemi jałowej, gdzie żyć trzeba z tymi, co ciało skuli w kajdany, a nie wiedzą, że duch co dnia i co nocy szybuje daleko i cuda czyni.

CCXVIII.

Czasu tej nowej niewoli, wśród codziennego życia i dorywczych przechadzek w towarzystwie żołnierzy zbrojnych, Blanqui miał wiele sposobności przyjrzeć się morzu, które go tylko zadziwiło, gdy przebywał w Mont-Saint-Michel. Pojął je teraz. Zrozumiał, że jestto wieczny buntownik, wiekuisty więzień. Złości się czasem i pieni, czasem obłudnie spokojne i ciche. Jakże świat podobny do cytadeli! I morze musi spełniać codzienne zadanie, ciąglą pracę przymusową. Jestto katorga, jak każda inna, toteż ciągle ma na pogotowiu wybuch gniewu, w pieśni fal skryta ciągle groźba.

Co dnia rozpoczyna się na nowo ta sama bitwa, morze rzuca się wściekle na skałę, skała odbija fale i piana jeno, niby krew, spada. Słychać wyraźnie trzask salw, grzmot dział. Odzywają się echa walki ulicznej,

wichr je niesie. Oto słyhać spadające kamienie, jakby odłamki bruku z barykady. Ciągłe to samo, a ciągle nowy epizod. I tu, podobnie jak w zbuntowanym mieście ciągle... wszystko poczyna się na nowo, zrazu pewne zwycięstwo i nagle... klęska... A jednak morze musi pochłonać twarde głazy.

Blanqui wpatrywał się w morze w godzinach przechadzki, a potem, zwolna, podniósł głowę i posłał wzrok w przestrzeń, na niebo często szare, okryte chmurami deszczowymi, ale rozległe, ogromne, czasem przesiąknięte światłem i okrwawione zachodem słońca. Począł pojmo-
wać, że morze łączy jakieś bliskie stosunki z firmamentem, z ruchami ciał niebieskich i zajął się badaniem atmosfery, kształtów chmur. Przenikliwość i pamięć towarzyszyły mu stale, przeto bez książek mógł się oddać obserwacji, rozmyśleniom i obliczeniom. Tylko taki był samotny. Nie miał się z kim podzielić wrażeniami.

CCXIX.

Teraz co wieczora pisuje. Podczas rannych godzin, kiedy dozorca mniemają, że cały oddany jest chodzeniu, oddychaniu, po zaduchu swej celi, świeżem powietrzem, wypracowuje Blanqui plan pracy na cały dzień, wieczór zaś podczas przechadzki porządkuje i kontroluje swe całodziennie spostrzeżenia.

W miarę zbliżania się jesieni mrok nadchodzi prędkiej i widowisko, które go zaciekało staje się coraz to wspanialsze, ale też i coraz bardziej tajemnicze. W miarę wpatrywania, coraz przepaścistszym zdaje się niebo, coraz bardziej przejrzyste muślinowe mgły tkwiące daleko w przestrzeni.

Gdy jeno po zachodzie pobledną fioletowe światła, na niebie zjawiają się gwiazdy złote, blado srebrne, szafirowe, zielone i różowe. Zjawia się spokojna, łagodna twarz księżycy i wszystko co się kryło w cieniu odzyskuje swe kontury.

Więzień kąpie się, przez krótkie chwile przechadzki w tej cudnej jasności, niknie mu świat cały z przed oczu i trzeba mu kilka razy przypominać, że już czas wracać, żołnierze muszą go trącać lekko w ramię. Wyjść trzeba na brzeg czarny z tej topieli wynurzyć się z oceanu zachwytu, zejść po pasmie drogi mlecznej do głębokiej studni, do otworu schodów w tarasie, wpłynąć napowrót w skałę, chlupnąć znów w bagno ciemnicy.

Obmierzła ta studnia. Widać jeno drżących kilka ziół przez okno, za ziołami łyszczą się brutalne i głupie równocześnie armaty z otwartymi gębami bez zębów, dalej widać też wycinek prostolinijny nieba. Ale co to za niebo. Już to nie ocean bezdenne, już to nie wieczność przestrzeni, ale oto zwyczajna kałuża, w której duszą się i marnieją tylko gwiazdy. Stosownie do pory roku różne konstelacje i planety przesuwały się przez tę sadzawkę, wieszcie młoda Wenus nudzi się tu, wloką się ciężko wielka i mała niedźwiedzica. Wóz ledwo że się przesunie i Syryusz promienną swą glorię daremnie degraduje błyszcząc nie tam gdzie mu przystoi. Spadła gwiazda, deszcz gwiazd pada, a za chwilę robi się jasno, cicho, pogodnie. To pocziwina księżyc, póty szukał i próbował, aż jowialną swą gębę wsadził w mały wykrawek nieba widny z nory starca.

CCXX.

Zupełna przemiana nastąpiła w stosunku Blanquiego do świata zewnętrznego. Astronoma, uczonego i poe-
te

nie wiele obchodzą teraz przykrości i szykany ludzi, których on zda się nie spostrzegać wcale. Od końca czerwca, do września szuka on formuły naukowej, ściślej dla swych rojeń. A przedmiot jego badań jest ten sam co prastarych Hindusów, Chińczyków, Egipcyan i Chaldejczyków. Szuka tego, za czem szukali Thales, Pytagoras, Ptolomeusz, Kopernik, Tycho-Brahe, Kepller, Galileusz, Descartes, Newton, Euler, Herschel, Kant i Laplace. Ku tym ludziom wzlata myślą, ku tym dużym wielkim zatopionym w pracy, wśród czterech ścian więziennej celi, pracowni, czy obserwatorium. Tylko Blanqui nie posiadał żadnego instrumentu, żadnego przyrządu dla sprawdzenia swych marzeń, które zawarł w pracy pt.: „Eternité par les astres“.

Takie to myśli przyszły mu w obliczu paszcz armatnich, nabitych karabinów, łykliwych, nagich szabel i sformułować je zdołał bez książek, tabel pomocniczych, na podstawie jeno spojrzeń wysłanych na niebo czasu czasu przechadzek po tarasie zamkowym.

Wyszedł z pojęcia nieskończoności wszechświata, udokumentowanego niemożliwością wyobrażenia sobie granic przestrzeni. Pewność tę utwierdza w nim jeszcze przekonanie, że jeśli nieskończoność jest nie do pojęcia, to skończoność, tem mniej się da wyobrazić, a choć jak wszystko, co ważne dla człowieka nie da się problem ten rozstrzygnąć, sformułowanie takie jest jedynie możliwe. Być może, że kędyś, w przestrzeni istnieją inteligencye, którym rozwiązanie zagadki nie jest tajemnicą. Tak się pociesza, nie kryjąc zazdrości.

Taksamo rzecz się ma co do nieskończoności czasu. Niepodobieństwo innego pojęcia, musi się wziąć za prawo faktyczne. Przeto przyjąć musimy, że wieczyście był cały wszechświat i wszystkie jego drobiny najmniejsze,

zawsze istniał w nim ruch, ciepło, światło i elektryczność. Jestto skonstatowanie faktów, jakie mają miejsce czasu naszego przemijającego istnienia, ale na nich opiera Blanqui to, co zwie swoją teorią astronomiczną.

CCXXI.

Stwierdza jeszcze, nim wzniesie się w bezmiary przestrzeni, że pojęcie nieskończoności będzie poniekąd zrozumiałe jeśli wyjdziemy z pojęcia nieokreśloności, wyobrazimy sobie ilości ciągle dodawane do ilości bez oznaczonego terminu, ciągle z tem, żeśmy nie zaczęli jeszcze.

Blanqui zwraca teraz oczy na firmament, stara się zmierzyć jego głąb, widzi słońce, stara się określić jego stosunek do gwiazd drogi mleczej, dalej jeszcze mgławice, widne jeno przez teleskopy i wspomina, że najbliższe gwiazdy stałe są od nas odległe mniej więcej na siedm tysięcy miliardów mil.

I cały ten niezmierny kompleks ciał utworzony jest z jednolitej materji, jak to wykazała analiza spektralna. Sześćdziesiąt cztery ciał prestych znano w chwili, kiedy pisał Blanqui, dziś ich znamy więcej i wiemy, że nie wszystkie pierwiastki ziemskie odnaleziono w widmie gwiazd stałych, ale to co wiedziano za czasów Blanquiego wystarczało. Wiedziano, że w całej przestrzeni dostrzegalnej istnieją te same główne składniki, wodór wszędzie z tlenem tworzy wodę, że takie, a takie były warunki tworzenia się mórz, znów inne różnych pokładów geologicznych i że życie zwierzęce i roślinne pojawiło się stosunkowo późno dopiero.

Blanqui przechodzi to wszystko pokrótce, piąty zaś

rozdział poświęca dorywczej krytyce kosmogonicznej hipotezy Kanta i Laplaca. Mowa tam też o tajemniczym pochodzeniu i drogach komet, bo właśnie one stanowią główny szkopuł, o który się cała ta teoria rozbija. Blanqui mówi, że Laplace, nie mogąc w żaden sposób komet zmieścić w swoim systemie, wygnał je z niego, każąc im wędrować od jednej gwiazdy do drugiej. I to mu daje okazję do humorystycznych wycieczek pod adresem genialnego astronoma.

Potem wyraża zdziwienie, że dopuszczono się tylu błędów odnośnie do tych ciał właśnie i ze swej strony daje teorię tych utworów, tak zmiennych, twierdząc, że są identyczne ze światłem zodyakalnym. Mówi:

„Masy komet uwięzione w sferze przyciągania ziemi podobnie jak i innych ciał niebieskich skutkiem rotacji gromadzą się na równiku i tworzą owe pasma świetlne zapalające się w promieniach słońca nim jego wschód ujrzymy i po zachodzie. Te masy przejrzyste, bardzo subtelne, tak, że przez nie widać najmniejszą gwiazdkę zajmują przestrzenie ogromne, począwszy od równika, gdzie jest centr i punkt kulminacyjny zarówno co do masy jak i blasku, aż poza strefy tropikalne, a prawdopodobnie, aż po oba bieguny, gdzie stopniowo zmniejszają się ilościowo i gasną.

CCXXII.

Drugą rzeczą, która nie mieści się w teorii Laplaca jest pochodzenie mgławic. Blanqui nie miesza ich z kometami, które wedle niego są jeno masami lotnej materii oświetlonemi promieniem słońca, podczas gdy mgławica jestto przyszła gwiazda, ośrodek siły, światła, cię-

żaru i ciepła. Ale zachodzi pytanie, jak się tworzy mgławica, skąd się bierze ciepło, które ją ożywia, zrazu czyni rzadką, a potem kondensuje w słońce otoczone planetami? Teoria grawitacji daje ledwo część wyjaśnienia. Siła przyciągania usiłuje zbliżyć do siebie wszystkie ciała niebieskie, siła odśrodkowa stara odepchnąć po stycznej obrotu w przestrzeń. Bez odśrodkowej ziemia spadałaby na słońce, bez przyciągania wyleciałaby z orbity swojej.

Z dwu tych sprzeczności wynika równowaga, prawo wszechświatowe. Blanqui nie nazywa rzeczy tymi słowy, ale przedstawia ją samą, szuka poza ciepłem źródła światotwórczego i znajduje go w ruchu. W miejsce, rezygnującej z objaśnienia przyczyn pierwszych teorii stawia teorię ruchu tworzącego się z ustawicznej gry grawitacji i siły centryfugalnej i można z wywodów jego wyciągnąć wniosek, że stawia obok nieskończoności przestrzeni i wieczystości czasu, także nieśmiertelność ruchu w jednym rzędzie.

„Ustawicznie — mówi Blanqui — patrzymy na rozpadanie się wszystkiego i zmartwychwstawanie“. Nie widzi on więc porządku stałego i niezmiennego w wszechświecie, jest i tu rewolucjonistą, ale wśród chaosu chce na dany okres trwania zaprowadzać konieczny ład. Materję widzi w ciągłym syntetyzowaniu nowych związków i rozpadaniu się dawnych na pierwiastki:

„Wszystkie jej postaci skromne, czy olbrzymie są przejściowe i ulegają śmierci. Gwiazdy rodzą się, jaśnieją, gasną i tysiące tysięcy lat potem może jeszcze płacą się niby grobowce pośród żywych. Ileż miliardów tych zlodowaciałych trupów snuje się tak po ciemku czekając godziny swego rozbitcia, w której jednocześnie zmartwychwstana. Albowiem, mimo, że zdają się na wieki

zamarłe, ożyją i choć długą była noc, rozpłomieniają znów w jednej chwili jak od piorunu....“

I mówi o niezmiernych tłumach gwiazd zmarłych, co się potracają wzajem po ciemni i tłoczy się to wszystko w przestrzeni, jak na niezmiernym pobojowisku miliardy nieskończone mil rozległym, a jednak ani na sekundę nie przestają działać prawa natury, masy stałe zamieniają się w gazowe i ulegają znów grawitacyi, mgławice wirują koło własnych osi, tworzą się centra nowe, światy odżywają i znów giną, a materyi nie przybywa, ani nie zbraknie nigdy. Blanqui opowiada dzieje materyi, która nie mogła wyjść z nicości i mgławic, na których istnienie składały się ogromne wieki.

CCXXIII.

Czytając to wnikamy, zda się, w bezmiary czasu, wśród których rozgrywają się te ogromne dramaty, opowiedziane w ciągu minuty. A czas ten nie da się w nieskończoności nawet odnaleźć, jest niczem, podobnie jak gwiazda w całokształcie gwiazd jest nicością. Śmierć i odnowa są jednocześnie niezliczone i ciągłe, a zarazem niezmiernie rzadkie, zależnie od tego, czy patrzymy we wszechświat, czy w mały jego fragment. Dowodem niech nam będzie zwykły aerolit, który w przelocie przez naszą atmosferę zapala się i rozpryskuje na miazgę. Tak samo z ruchu przeistoczonego w ciepło powstać mogły słońca. Pojmijmy to, gdy uświadomimy sobie zjawisko wspomniane jako przykład prawa ogólnego, a ciągłość i stałe następstwo takich faktów jako warunki samego życia.

To ustawiczne mieszanie się ze sobą ciał różnych

stanowi nawet warunek zaobserwowanej jednolitości składu chemicznego wszechświata. Tensam fenomen musi wytworzyć tesame czy stosunkowe warunki ciepła, światła i gęstości w centralnych gwiazdach i całej hierarchii planet.

A oto dylemat: „Albo wieczne zmartwychwstawanie gwiazd, albo śmierć wszechświata“. Wreszcie konkluzya:

„Wszystkie ciała niebieskie bez wyjątku mają wspólne pochodzenie, rozgorzały przez zderzenie“.

CCXXIV.

Marząc w ten sposób, obliczając i wnioskując Blanqui odbył przechadzkę po przestrzeniach gwiazdzistych.

Łatwo pojąć z jakim pośpiechem gorączkowym, radością zmierzał do końca. Jest to, jakby chwytnie idei upewnianie się, że w istocie zdobył poczynił. Świadomie ciągle się powtarza, streszcza, opisuje proces rozumowania, kondensuje się w jasnych wyrazach, pragnie, by wszystko było pewne, dobrze pojęte i dopiero potem wszystkim buduje śmiałą fantazyę naukową, na kilku kartkach daje swe pojęcie świata, mówi o analizie i syntezie kosmosu.

„Natura — reasumuje — posiada jako materyał ledwo sto ciał prostych i warsztat ogromny, [to jest układ gwiazdoplanetarny. Te ciała proste mogą dać liczbę niezmiernie, przeraźliwie wielką kombinacyj, ale zawsze tylko liczbę określoną, ograniczoną. Tymczasem trzeba zapełnić nieskończoność. Warunki same tworzenia się tych połączeń i jednolitość metody ograniczają także liczbę, choćby bardzo wielką była, tych związków *oryginalnych*, czyli raczej *typowych*, a dopiero *powtórzonych* wielokrotne, mogą zapełnić przestrzeń“.

Blanqui w dalszym ciągu badania jednolitości słońca i planet wspomina o przyczynach, dlaczego różnią się pomiędzy sobą planety różnych systemów. Przyczyną są różnej wielkości mgławice i różnorodność zderzeń. Mówi też, że podobieństwa pochodzą z tejże samej formacji, mechanizmu i dowiedzionej przez spectrum tożsamości chemicznej. Wszystkie ciała stałe, pomieszane przez zderzenia i zamienione w płynnotną masę, rozdzielają się na nowo przez kondensację i układają się wedle praw ciężkości.

„Stąd, odnośnie do zawartości ciał prostych, a nawet odnośnie do mas, tendencja do podobieństwa pomiędzy planetami tego samego stopnia różnych systematów słonecznych“.

Teraz bezmiary mogą się zaludniać. Wszystko ma prawo do nieskończoności planeta, jednodniówka, czy człowiek.

„Sam w sobie, człowiek jest efemerydą, a tylko przez glob, którego jest dzieckiem ma swój udział nieskończoności w czasie i przestrzeni. Każden z naszych sobowtórów jest synem ziemi, będącej znów sobowtorem ziemi przez nas zamieszkałej. Jesteśmy jednym z powieleń. Ziemia-odbitka zawiera wszystko co było na oryginalne, więc każde indywiduum z rodziną, domem i wszystkimi wydarzeniami jego życia. Są to duplikaty naszego globu wierne, bez żadnego braku“.

Oto jaką jest hipoteza Blanquiego. Przyjmuje on kombinację ciał prostych, którą jest nasza ziemia i uważa ją za jednostkę w całej ilości kombinacji typowych, która z konieczności nabiera cech nieskończoności skutkiem powtarzań, powieleń takich samych kombinacji typowych, pełniących bezkresną przestrzeń.

CCXXV.

Przypuszcza przytem wielką różnorodność, a to przez prostą jeno analogiczność owych miliardów ziem, co mają, jak nasza, atmosferę, morza, teren warstwowany, florę, faunę, ludzi itp., dopuszczającą odmiany niezliczone, bo nie wymagającą podobieństwa ścisłego. To są też kombinacye typowe.

W końcu przyjmuje też podobieństwa ścisłe, ale przy jednoczesnem zdwojeniu, wreszcie inne jeszcze, o różnych trwaniach.

„Oto — mówi — jakiś egzemplarz czegoś, np. człowiek lub rzecz. Ma on, podobne, jak kamień, drzewo, strumień, zwierzę, zdarzenie lub cokolwiekbądź innego swe miejsce, swą chwilę i swoje duplikaty. Ziemia-odbitka istnieje w ogromnej ilości egzemplarzy, ale taka naprzykład, jaką była do dziś, do tej chwili, bo jutro ludzie i przypadki mogą pójść inną drogą, wejść w to, co dziś nam jest nieznanem. Każdej sekundy może począć się zdwojenie, rozejdą się drogi, ta, którą się pójdzie i ta, którą się pójść mogło. W każdym jednak razie droga, którą mają się toczyć losy planety, aż do ostatniego dnia jej istnienia, przebieżoną już była miliardy razy, jestto już jeno kopia, odbitka, której oryginał istniał gdzieś przed miliardami wieków“.

Blanqui przystępuje potem do problemu przeznaczenia ludzkiego.

„Same wypadki — mówi — nie stwarzają odmian ludzkich. Któryż z ludzi nie znalazł się raz choćby na punkcie, skąd mógł pójść w dwie strony. Ta, do której się obróci plecami, przy tejże samej indywidualności wiodłaby go w życie zgoła inne, niż ta, którą idzie. Jedna wiedzie do nędzy, wstydu, hańby, niewoli, druga-

by zawiodła do sławy i wolności. Tu kobieta piękna, szczęście, tam furja, rozpacz. Ale, czy człowiek wybierze po długim namyśle, czy na oślep na jedną z nich wstąpi, nie ujdzie przeznaczeniu, fatalizmowi. Ale na fatalizm niema miejsca w nieskończoności, bo ona nie zna wyboru, konieczności dwu alternatyw, mając dość miejsca na wszystko. Istnieje ziemia, na której człowiek idzie drogą, którą pogardził jego sobowtór na drugiej odbitec. Zrazu życie jego płynie na dwu ziemiach jednak, potem inaczej na każdym globie, potem się dwoi po raz drugi, trzeci, setny, miliardowy raz, człowiek tedy posiada sobowtóry dokładne i ogromne ilości wariantów tychże, które powielają i reprezentują zawsze jego osobę, ale biorą na siebie tylko część jego przeznaczenia, losu. Wszystkiem, czemby człowiek mógł być być tu na ziemi, a nie był z jakichkolwiek powodów, tem jest on gdzieś w przestrzeni. Prócz tego a tego życia całego, jakie jest od urodzin do grobu, czyli tych żyć na mnóstwie ziem, przeżywa się jeszcze wiele odmiennych wydań i wariantów, tychże samych w gruncie rzeczy żyć na miliardach innych odbitek ziem takichsamyh, lub odmiennych.

Blanqui czerpie przykłady z historii, mówi o Anglikach, co przegrywają pod Waterloo, bo generał Grouchy przybywa na czas, o Napoleonie pobitym pod Marengo i tak dalej, a także na zarzut spodziewany, że takie mnóstwo podobnych do siebie ziem muszą tłok czynić w przestrzeni — odpowiada: „Nie! Nie! Niema tam wcale tłoku — ziemie te, jedną od drugiej dzielą ogromne przestrzenie, chociaż liczymy je na miliardy, to znaczy nie możemy już wcale zliczyć“.

W ten sposób, jak widzimy, idąc jaknajdalej w fantazję, nie zatracą pojęcia nieskończoności. Z upodoba-

niem po kilka razy wraca do tego samego, zbacza, kończy i znów zaczyna na nowo. Widzi Pompejusza pobitego pod Farsalą, Cezara zasztyletowanego we wszystkich senatach, wszystkich Rzymów... Niepodobna bowiem, wedle niego, z gwiazdy na gwiazdę przesyłać sobie ostróg. „Ach — mówi — gdyby to można życie swe przeżyć, pomógłszy sobie tu i ówdzie radą sobowtóra ostrzegającego z głębin przestrzeni niezmiernych, o ileżby życie było mądrzejsze i szczęśliwsze!...”

„Wszystko to — dodaje — mimo żartów traktuję całkiem seryo. Nie idzie o kształty takie, jak antylew, antitygrys, ni o oczy na końcu ogona, idzie o matematykę i fakty pozytywne. Wiem, że natura nie wytwarzała w ciągłym istnieniu wszechświata wiernych kopij naszej ziemi marnej, ani nawet układów naszego słońca. Wiem, że musi się tu przyjąć odmiany, na jakie tylko pozwala rachunek prawdopodobieństwa. Nawet gdyby tych kombinacyj zbrakło, prostem jest, że nieskończoną ilość razy mogą się powtórzyć jako odbitki wierne, albo znów skombinowane...”

Przeto mimo wszystkich wpływów postronnych, wszystkich odmian i właściwości osobniczych spostrzeganych zjawisk, nasuwa się przypuszczenie, że każda kombinacya swoista cech ogólnych i osobowych, każda taka jednostka „musi się powtarzać miliardy razy, oile wyobrazić sobie chcemy przestrzeń zaludnioną...” A miliardować możemy bez skrupułów, nieskończoność bowiem zawsze jeszcze będzie pusta i pożądać będzie miliardów nowych.

CCXXVI.

Blanqui dochodzi do konkluzji swej fantazyi, reasumuje się raz jeszcze, mnożą się u niego obrazy, wy-

obraźnia jego nie zna granic, tworzy dla każdego z ludzi wieczystą egzystencję od nie-początku świata, aż do nie-końca jego trwającą, to jest do zawsze, do zawsze, bierze jednostkę w każdej sekundzie jej istnienia i powiela, stereotypuje nieskończoną ilość razy w przestrzeni. „Próżnobyśmy — mówi — cofali się ku źródłom rzeki wieków, by znaleźć chwilę, gdy nie istniało istnienie. Świat nie zaczynał się wcale, jakże więc człowiek mógł się począć w czasie?“

Na ostatnich stronicach mówi Blanqui o sobie samym:

„To co piszę w tej chwili w kazamacie fortu du Taureau, piszę i pisał będę przez wieki, piórem, siedząc przy stole, ubrany... wogóle w zupełnie tych samych warunkach“. W ten sposób na milionach i miliardach globów, przez wszystkie chwile całego istnienia kreśli dzieje swego życia w kaźniach, których liczbie nie masz końca i w całym kosmosie, równie jak na ziemi jest więźniem, którego siłę i myśl zamknięto w grobowiec kamienny.

CCXXVII.

Widocznie przywiązał się do swej pracy, trudno mu się z nią rozstać. Pisze:

„Postęp już dokonany na innych gwiazdach, urodzonych przed naszą erą nie jest dostępnym nam, ludziom tego czasokresu. Zostajemy niewolnikami chwili i miejsca, które nam przeznaczyły losy wśród powodzi bytów... Jesteśmy... ludzie wieku XIX... godzina naszego pojawienia ustanowiona, ważna zawsze, toteż powracamy ciągle ci sami, co najwyżej z nadzieją waryantów szczęśliwych, które nastąpić mogą w kolejach ży-

cia. Niewiele obietnic, nie wielka pociecha! Trudno, nie szukałem własnego zadowolenia ale prawdy..... nie daję tu, ani objawień, ani proroctwa, jestto jeno dedukcya z danych analizy spektralnej i kosmogonii Laplaca. Oba te odkrycia czynią nas więc śmiertelnymi. Jestże to dobra nowina? Jeśli tak, skorzystajmy z niej. A może to tylko mistyfikacya? W takim razie musimy się zdać na łaskę i niełaskę. Ale, pytam, nie jestże to wielką pociechą móc przypuścić, że się obcuje ciągle, na miliardach ziem z ukochanymi, których tu, na naszej już niema...“

W ostatnich wierszach Blanqui formułuje prawo ogólne, a słowa jego brzmią energicznie i pięknie:

„Całe życie naszej planety, jakie było od jej urodzenia i jakie będzie już do śmierci, dzień po dniu, z wszystkimi szczegółami, wraz z całą masą zbrodni i nieszczęść, powtarza się na miliardach gwiazd bratnich. To zaś, co nazywamy postępem, jest przywiązane do każdej gwiazdy z osobna i ginie wraz nią. Wszędzie i zawsze na pobojuwisku ziemi tensam dramat, na tejsamej ciasnej scenie odgrywa hałaśliwa, pewna swej wielkości ludzkość, mniemająca, że jest wszechświatem, żyjąca w więzieniu, którego jeno ścian nie widzi, staczająca się z dniem każdym bardziej w przepaść nicości wraz z globem, unoszącym w przestrzeni całą jej pychę, butę i nicość jednocześnie. Tosame zło i nicość, tensam bezruch w ruchu na wszystkich innych, nieznanych gwiazdach. Wszechświat się powtarza bez końca i niecierpliw, by coraz to nowe stwarzać kombinacye, na niezmiernym całunie wieczności, tesame wciąż wracają obrazy“.

CCXXVIII.

Skończył. Raz jeszcze dokonał trudnego dzieła wydobycia się z przemocy ludzkiej i schronienia w cytadelę własnego ja. Nie domyślali się patrzący, jaki dramat rozgrywał się w duszy uległego, milczącego więźnia, co posłusznie szedł za klucznikiem, dozorcą i żołnierzami pod wilgotnem sklepieniem, schodami czarnymi na taras, lub też wracał, by zanurzyć się na nowo w ciemń kazamaty, w której jeno błyskała zaraz potem lampa, jak mała gwiazdka. Przed nim leżały białe kartki, biegało po nich pióro, kresząc drobnem, wyrazistym pismem słowa, od których ożywało dokoła wszystko, wpadało w ruch wirowy, potrącało się, marło, rozpłomieniało i zmartwychwstawało. Starzec pośród czarnej, strasznej nocy, szczęką karabinów i zgiełku tajemnic przeżywał godziny rajskie.

Niepewny, jaki los go czeka, starał się ocalić ze siebie co mógł. Niewiadomo, co z nim uczynić spodoba się ludziom. Może tego jeszcze wieczora, tej nocy, zostanie rozstrzelany na dziedzińcu fortecznym, albo fiżach tarasu, na mocy rozkazów, które mu odczytano. Wystarczy gest jeden, głos jakiś, wołający z oddali i padnie, a gwiazdy podumają nad zwłokami i obleją je srebrzystą kaskadą światła. Więc trzeba ocalić przynajmniej myśli. Niech zbójcy wiedzą przynajmniej kogo zabili. A jeśli się uda wymknąć z tej pułapki, praca da mu chlubne świadectwo. Może obronią go przed opinią i radą wojenną wiedza, wymowa i poezya. W ten sposób broni się, pragnie ocalić i jeśli w życiu jego nieskazitelnem jest jaki dokument *Taschereau*, to jest nim bezwątpienia „*Eternité par les astres*“.

CCXXIX.

Trzykrotne więzienie Blanquiego zaznacza trzy okresy w jego umysłowym życiu. Nigdy cały nie był w niewoli, duchem wylatał poza kraty, wysoko, tam, skąd nie widać i szczytów wież cytadeli, na wyżyny się unosił marzeń o nieskończoności. Ale za każdym razem był odmienny.

W Mont-Saint-Michel jestto przywódca stronnictwa, toczy bój o sprawy społeczne, otaczają go ludzie współcześni, rodacy, cały jest oddany polityce.

Na Belle-Ile en Mer, spogląda poza fakty dzisiejsze, w tonie historyi, ponad głowy zjawisk wpatruje się w rzeczy nieznanne. Bada ziemię.

We forcie du Taureau unosi się ponad wszystko co wzrok ćmić może, opuszcza mały błotnisty glob ziemski, rzuca się śmiałym ruchem w bezdenną przestrzeń, spogląda w tonie wszechświata.

CCXXX.

Napisawszy ostatnie słowo, szuka Blanqui innego zajęcia i przygotowuje się do przepędzenia zimy na skale ponurej, wśród huraganów i deszczów. Nadeszły już długie wieczory, światła zapalają wcześniej, a latarnia morską, niby olbrzymia nocna lampa rzuca w wilgotną, mętną atmosferę mdłe połyski. O jej szyby obija się skrzydłami, dziobem, szponami ptactwo morskie. Czasem w oszołomieniu spuszcza się nawet w ciemną głęb podwórza, na dnie którego za szybą połyskuje lampa Blanquiego i chwieje się smutny cień więźnia. Ale nie są to jaskółki, co zataczają misterne łuki w powietrzu

i zdają zachwycać własną zręcznością, to ptaki białe, szare, oczy ich rozszerzone, chciwe, dzikie, a dzióby otwarte, ostre, krzywe, gotowe kąsać, szarpać i pić krew.

A dalej, nim zmierzch zapadnie widać lufy armat starych baterji dolnej, przy deszczu błyszczą one jasno, a krople dudniące po ich spiżu wydzwaniają donośne melodye jakieś bez końca.

Fale tłuką o skały, piana tryska w górę, morze się złości i ryczy.

Deszcz pada tłumiąc monotonią swą tamte dzikie pogłosy.

Gdy się uciszy trochę, słycać śmiechy żołnierzy na strażnicy.

Więzień jest sam, skończył pracę, złożył pióro... Ach jakże daleko teraz odeń młodość, owa wycieczka z Nizy do Bordighery, ggzie te palmy, stojące u drogi, kąpiące się w słońcu... gdzie to wszystko?

CCXXXI.

Tymczasem nadeszła pora opuszczenia fortu, dnia 12 grudnia przyszedł rozkaz przeniesienia. I Blanqui, po 5 miesiącach i 18 dniach pobytu, odchodzi o tej samej porze co przybył, po północy, w podobnej nawet do tamtej łódce. Wśród rześistego deszczu posuwają się w górę rzeki, łódka niema pokładu, ni nakrycia. Starzec przemoknięty, drżący wsiąść musi do powozu i jechać do Morlaix, stamtąd zaś znów koleją do Wersalu, gdzie nie przebrawszy się nawet, przybywa o trzeciej rano drugiego dnia. Ze stacy w Wersalu, do więzienia przy rue Saint Pierre musi mimo zmęczenia i zimna iść piechotą. Tam to dopiero pozwolono mu przez kraty,

w obecności klucznika porozmawiać z siostrami i stamtąd też wysłał do Akademii Umiejętności pracę o świetle zodyakalnym, tam też przesiedział aż do swego procesu, który odbył się 15 lutego 1872. Tegożsamego tygodnia wyszła w książce: „Eternité par les astres“, a jednocześnie długi ustęp z niej w *Revue scientifique*.

CCXXXII.

Autorem pracy astronomicznej, historyk czasów oblężenia Paryża i redaktor „*Patrie en danger*“ zasiadł w Wersalu na ławie oskarżonych w obliczu rady wojennej. Ale ani prezydujący pułkownik, ani komendant prowadzący śledztwo, ani żaden z oficerów mających głosować za werdyktem nie znali i znać nie mieli nigdy człowieka, którego im sądzić padło. Patrzyli nań, jako na owego legendarnego Blanquiego, recydywistę buntownika, diabła podbechtującego do wojny domowej, wilka wściekłego, potwora.

Publiczności było dużo. Wojskowi, deputowani, dziennikarze, monarchiści, kobiety z wszystkich krain świata i historyograf całej tej ludzkiej menażeryi, Dumas młodszy. Blanqui wszedłszy, nawet nie rzucił okiem na ten tłum cały. Był blady, grobowo blady, zdawało się, że to trup, któremu jeno nieprzysłonięto oczu powiekami. Ale oczy protestowały przeciw temu, błyszczały wewnętrznym blaskiem, wołały, że żyją, że chcą żyć wbrew wszystkim i wszystkiemu.

Poczęły się wstępne pytania:

- Niech oskarżony powstanie. Jak się pan nazywasz?
- Ludwik, August Blanqui.
- Wiek?

- Sześćdziesiąt siedm lat.
- Gdzie pan mieszka?
- Od dawna nigdzie dobrowolnie, a przez całe niemal życie w więzieniu.
- Zajęcie pańskie?
- Literat.

Szło o występki popełnione dnia 31 października. Całe postępowanie mogło być zamknięte zeznaniem uczciwego człowieka, jakim był Dorian, który poświadczył honorem ten fakt, że istniała pomiędzy członkami rządu, nie wyłączając Favra a przywódcami rewolty umowa, mocą której żaden z uczestników ruchawki nie miał być z tego powodu ścigany sędownie. Były prefekt policyi Edmund Adam potwierdził w zupełności zeznania Doriana. Ale rada wojenna przeszła nad tem wszystkiem do porządku i wolała się kierować insynuacjami, zastrzeżeniami, przypuszczeniami innych świadków, miast prawdą zeznaną przez tego jednego.

Oskarżenie komisarza republiki było zdumiewające, objęło równocześnie z wypadkami 31 października, także zajścia 4 września, i ze względu, że 31 października nie było jeszcze rządu legalnego domagało się skazania Blanquiego w imię autorytetu cesarza, a to tem więcej, że oskarżony mógł też brać udział w Komunie. Wbrew energicznemu protestowi Blanquiego przeciw barbarzyństwu dekretu o zakładnikach, to niezwykle oskarżenie twierdzi, że Blanqui, jako członek Komuny mógł być zamieszany w karygodne czyny. Uwierzono oskarżeniu, a nie adwokatowi, Jerzemu Le Chevalier, który skreślił pokrótce cały czysty, pełen poświęcenia żywot klienta, z przekonaniem podnosząc jego czysto republikańskie przekonania, czego dowodem najlepszym artykuły „Patrie en danger“, z których żaden nie został podykto-

wany namiętnością, albo wyrachowaniem i wreszcie scharakteryzował rewoltę 31 października jako manifestację, a nie zamach, przeszedłszy poszczególne fakty i wspomniawszy umowę tolerancyjną.

Nakoniec podniósł się Blanqui i przemówił:

„Nie mam nic do dodania do słów mego obrońcy, zależy mi jeno na stwierdzeniu, że nie za występki rzekome 31 października stawiono mnie tutaj. To jest drobiazg. Jestem tutaj przedstawicielem republiki, włóczynej za włosy po sądach przez monarchię, bo monarchicznym nawskroś jest ten trybunał. Pan komisarz-oskarżyciel rzucił tu klątwę na wielką Rewolucję 1789 roku, rewolucję lat 1830, 1848 i wreszcie rewolucję 4 września. Jestem, wedle jego własnych słów, sądzony przez ustawy monarchii, sprzeczne z duchem ustaw narodu wolnego i oto czasów schyłku republiki, co się stacza w grób, sądzi mnie już dziś imperator“.

Został naturalnie skazany na deportację w cytadeli, lub fortecy i utratę praw obywatelskich.

CCXXXIII.

Za pośrednictwem Ranca, Blanqui zdołał ogłosić w piśmie Gambetty „Republique française“ opis swej niewoli w forcie du Taureau, opis zresztą z wielkim taktem skreślony i jasnym poglądem na sytuację. W tem samym piśmie pojawiło się też sprawozdanie z procesu a wnet potem wspaniałe i pełne odwagi studjum Weissa.

Werdykt, z powodów formalnych zniesiono, proces wznowiono i dnia 29 kwietnia potwierdzono tenże sam werdykt. Blanqui wrócił znów do więzienia w Wersalu gdzie już przesiadywał w latach 1832 i 1833 z Raspai-

lem i Bonniąsem skazanymi podobnie, jak on w procecie piętnastu, w roku 1832. Blanqui zgłosił do trybunału najwyższego zażalenie nieważności, twierdząc, że rada wojenna nie była kompetentna do sądzenia go, ponieważ ustanowioną została na podstawie ustawy późniejszej od inkryminowanych faktów. Ale 6 lipca 1872 sprzeciw ten odrzucono. Była to ostatnia jeszcze nadzieja, teraz gdy zawiodła pozostawało jeno pogodzić się z losem.

Czas jakiś zdawało się, że zesłany zostanie do Nowej Kaledonii, ale lekarze sprzeciwili się temu i więzień wysłany został do głównego zakładu karnego w Clairvaux, w departamencie Aube, gdzie go zamknięto 17-go września.

CCXXXIV.

Skazany dożywotnio Blanqui, osadzony został w starożytnym opactwie z XII wieku, przerobionem na więzienie. Jest tu przeszło 140 więźniów zamkniętych za Komunę, a między nimi Lullier, Peyrouton i Fontaine. Reszta, to cała armia więźniów kryminalnych, przeszło 1500 mężczyzn i 600 kobiet. Zakład karny ma przeszło 4 kilometry murów, a mieści się w nim ludność liczna, zajęta wyrobem sukna, materyj jedwabnych, lnianych, bawełnianych, płótna, wyrobem rękawiczek, trzewików, sabotów, wypiekaniem bułek i gotowaniem. Straż składa się z 60 dozorców i oddziału 44 pułku piechoty liniowej.

Blanquiemu ledwo zdaleka dozwolono rzucić okiem na miejsce swego zamieszkania i umieszczono go całkiem osobno, w celi karnej w parterze budynku głównego, oddziale politycznych. Każn miała ledwo dwa i pół metra długości, a jeden metr jeno szerokości i bardzo

wąskie, niby szczelina okno okratowane. Mało tam było bardzo powietrza i światła. Zazwyczaj nie dłużej tam przebywa więzień, jak parę dni, Blanqui przesiedział ośm miesięcy. Blisko niego siedział Fontaine, były zarządca domen czasu Komuny. Ale ani myśleć o porozumiewaniu się, nawet z siostrami widywać mu się nie zawsze, a z początku prawie wcale nie pozwolono. Tutaj to spędził zimę, po całych dniach, po całych wieczorach czytając i pisząc, dwa razy dnia jeno wychodząc na krótką przechadzkę. Gdy było bardzo zimno nie wstawał z łóżka i naciągał jeszcze na głowę czapkę, pisywał zaś przeważnie obrócony plecami do słońca.

Zła to była zima. Przypomniały mu się wszystkie cierpienia i dolegliwości fortu du Taurean, a także czuł uderzenia krwi do głowy. To go też nawet uratowało, bo gdy w lutym 1873 wysyłano wielką partję skazańców do Nowej Kaledonii i chciano koniecznie włączyć do niej Blanquiego, trzech lekarzy sprzeciwiło się, stwierdziło u starca zwapnienie tętnic, częste zaburzenia w obiegu krwi, zaduszania i wszyscy razem oświadczyli, że zesłanie jest niemożliwe, o ile świetny rząd nie chce dobić delikwenta.

CCXXXV.

Przez cały ten rok 1873 siły go opuszczały coraz bardziej i zdrowie się psuło. Całą wolą, wszystkim ostatnim wysiłkiem bronił się chorobie. Każdy zbliżający się atak, wedle swej wypróbowanej metody odpieszał dyetą, a chwile lepsze obracał na czytanie i robienie notatek. Próbował też dowiadywać się, co słyhać w świecie nauki z „Revue Scientifique“, a co w po-

lityce z „La petite Presse“, które to pisma mu czytywać pozwolono, po długich i wytrwałych staraniach pani Borelliér i pani Antoine. Reszty musiał się domyśleć, a reszta ta była niezmiernie wielką.

Upadek Thiersa w maju 1873 nie przyniósł więźniowi żadnej ulgi, Mac Machon trzymał się zasad tychsamych dola jeńców Komuny pozostała tasama. Jaką była dla Blanquiego w tym czasie, dowiadujemy się z jednego listu pani Antoine:

„W więzieniu tem — pisze ona — przez długie lata zbywało mu na wszystkim. Nie mógł widywać nikogo, dopuszczono tylko najbliższych krewnych i to zawsze był obecny strażnik, a ani razu nie pozwolono porozmawiać z współwięźniami, którzy odsiadawali tam kary przeróżne w ciągu jego pobytu w Clairvaux. Biedny mój brat przebył kilka zim w celi bez pieca, mimo silnych mrozów, a nie pozwolono mi posłać mu żelaznego piecyka. Przeżyliśmy wiele trosk i obaw. Nagle rozszła się wieść o jego śmierci. Przybiegłyśmy, pozwolono nam wejść bez zwykłych komedyj, ale okazało się na szczęście, że był to jeno atak, który niebawem minął. Wtedy to zdołałyśmy nareszcie wymusić, by mu pozwolono przysyłać konieczne pożywienie, niezbędne, by podtrzymać siły wyczerpane tylu cierpieniami i brakami całego życia...“

Zły stan Blanquiego skłonił nareszcie władze więzienne do wyznaczenia mu innego mieszkania. Został teraz zainstalowany w głębi trzeciego dziedzińca na piętrze, tuż nad kostnicą, skąd zawsze wychodziły porgrzeby, w jednej z obszernych sal infirmaryi, nie zmodyfikowanej skutkiem jego proźby, tak, że podczas niepogody mógł używać przechadzki, nie wychodząc z pokoju. Wielka to była w istocie sala, miała 15 metrów

długości i siedem szerokości, oraz stosunkową wysokość czterech metrów. Ponieważ była narożną, więc pięć jej okien wychodziło na plac przechadzki, zaś trzy na ogród. Poza placem widziało się poprzez mury więzienne pola, drogi, któremi krążyły ronty, gaiki, lasy, tu i owdzie błyskała wstęga rzeki Auby. Okolice nie była zdrowa, zimna tu panowały i ciągnęła wilgoć. Poza ogrodem położony był plac przechadzki więźniów, skazanych na samotne celki; przyprowadzano ich też po kolei i przechadzali się sam na sam. Tamto zażywał ruchu Blanqui w czas pogodny i wdychiwał świeży powiew idący od rzeki.

CCXXXVI.

Mieszkał teraz w rogu ogromnej sali, miał łóżko żelazne, kilka krzeseł, fotel, stos drzewa, które sobie sam rąbał na ogień w kominku, który mu przysłały siostry. Miał teraz dosyć ubrania, bielizny, kilkanaście pudełek biszkoptów na półkach i wszędzie, gdzie się tylko dało, powbijał gwoździe i porozwieszał winogrona na witkach. Miał też teraz zawsze owoce, wedle pory roku gruszki, jabłka, cytryny, pomarańcze i figi, słowem wszystko, co mogły jeno przysłać siostry, które ustawicznie prosił. Miał prócz tego jarzyny, i sam je obierał, mył i gotował. Nosił zazwyczaj saboty, czapkę, lub kaszkiet i trykot na spodniach więziennych.

Stół niknął pod książkami. Widniały tam dykcjonarze najróżnorodniejsze, dużo podręczników matematycznych, algebraicznych, wiele książek przyrodniczych, historycznych i geograficznych, a wszystko były to dary sióstr. Blanqui prawie tak, jak o rodzynki i figi, dopominał się teraz o rozprawy wojskowe i karty sztabu

generalnego, chciał mieć w głowie całą Europę, znać każdą drogę, każdy przesmyk, jakby miał do dyspozycji olbrzymią armię i chciał podbić świat, przyswoiwszy sobie wiedzę wszystkich taktyków.

Życie mu teraz upływa wśród dróg, rzek, ścieżek, operuje ogromnemi masami ludzi, układa plany bitew, kreśli ich przebieg na wielkiej desce leżąc w łóżku, lub siedząc przy stole, zawalonym papierami. Po marzeniach gwiazdnych przyszła znowu kolej na zdobywanie ziemi.

CCXXXVII.

Jest ciągle samotny, żyje, jak pustelnik w rozpadlinie skalnej, jak anachoreta na pustyni. Samotność jest wrogiem jego największym. I właśnie w celu zwalczania tego wroga domaga się w styczniu 1873 roku, by pani Antoine wystarała się dlań o pozwolenie czytania dziennika, choćby bezbarwnego, a także możliwość obcowania z innymi więźniami politycznymi. Tą samą samotność, wobec trzech lekarzy, którzy go badali w lutym 1873 roku, nazywał Blanqui źródłem całej swej choroby. Wiecznie jest sam, w kaźni, na przechadzce po placu pośród murów i w dodatku brak mu wszelki słowa drukowanego, coby mu przypomniało, że przecież żyje gdzieś, choć daleko naród myślący, czytający. Tak się skarżył wówczas. Podobnie także pisał w marcu tegoż roku, w liście do siostry:

„Nie mogę ci o niczem donieść. Ot żyję, a właściwie istnieję dalej w moim grobie. Tylko przez ciebie dostaje się tu trochę światła i ciepła. Bez tego noc by jeno panowała ciemna“.

Pozwolono na dziennik, ale nie chciano się zgodzić na widywanie z innymi politycznymi. Syna swego nie widywał Blanqui, zresztą nie miał syna. Młody Blanqui nie dowiadywał się o ojcu, żył sobie dostatnio i był naczelnikiem straży pożarnej w małym miasteczku Mont-reuil-aux-Lions.

Poza rzadkimi z konieczności wizytami swych sióstr, Blanqui nie widywał nikogo prócz klucznika i czasem więźniów kryminalnych. Bardzo rzadko i tylko urzędowo zjawiał się dyrektor, lub lekarz. O jakże to odmienne od wesołego życia w więzieniu Św. Pelagii, gdzie ci ludzie, przy których wówczas, w 1861 roku czuł się młodym. Teraz musiał starczyć sam sobie, żyć z własnej myśli.

Tylko przy tak nadzwyczajnych zasobach, tak dziwnie bogatej inteligencji mógł dożyć siedmdziesięciu lat i nie poddać się.

Ani myśleć tutaj o ucieczce. Trzebaby wydostać się naprzód z infirmaryi zawsze pełnej ludzi na parterze, potem minąć trzy dziedzińce, przejść troje drzwi, a gdyby i znalazł się wreszcie przy budynku dyrekcyjnym, byłoby jeszcze daleko do wolności, należałoby jeszcze minąć bramę i dopiero wówczas wpadłoby się w sam środek strażnicy wojskowej, poza którą leżał dopiero mur zewnętrzny, a za nim jeszcze dwie linie wart, ciągle zmienianych. Gdzież jesteś Cazavanie, towarzyszu ucieczki z Belle-Ile-en-Mer i szpitalu Neckera? Cazavan zmarł. A gdzież obaj Levraudowie, Jaclard, wszyscy, którzy pomagali w r. 1865 i poczciwy Granger, który pojechał w r. 1871 szukać porwanego!! Jaclard i Granger byli na wygnaniu, jeden Levraud zmarł, drugiego by nawet nie dopuszczono do dawnego mistrza i komendanta. A wszyscy towarzysze lat dawniejszych? Po-

ginęli gdzieś, rozprószyło ich życie, lub obezwładniło i tylko „dziadek“ samotny, co dnia mrze w grobie, gdzie go żywcem złożono.

CCXXXVIII.

W roku 1877 Blanqui czuł się najgorzej. Już pięć lat był zamknięty w Clairvaux, pięć razy już wróciły tezsame pory roku wśród ciszy i osamotnienia, pięć razy już chciwie na świat wysyłając oczy, widział jeno pobrzeże Auby zielone, to żółkniejące, okryte zeszlými ziołami, lub wreszcie bielą śniegu zasnute. I nic nie słyszał tak długo, prócz pobrżeku karabinów, kroków żołnierzy i więźniów i musiał, by się nie odczytać mówić, czytać głośno, mówić, wyklądać samemu sobie. Z zewnątrz doszło go jeno jakieś spóźnione echo, ktoś gdzieś miał pono mówić, że zostanie ulaskawiony, albo wygnany. Ale któżby temu wierzył? Żaden z rządów w guście Mac Mahona nie zgodzi się ulżyć w czemkolwiek takiemu Blanquiemu, to też nie warto się nawet o to starać. W ciągu tych pięciu lat doszła go inna jeszcze pogłoska. Podobno wieść o złym stanie jego zdrowia doszła do ministra spraw wewnętrznych i tenże upoważniał odnośne władze, by go przeniosły do Châteaueau d'If przy ujściu Rodanu.

Ta wieść poruszyła Blanquiego, ale zbudziła jeno jego podejrzliwość, wydało mu się, że go czeka nowy fort du Taureau, jakaś kazamata podziemna na skale wśród fal. Napisał tedy zaraz dnia 15 lutego 1877 do pani Antoine:

„Upoważnił... co za łaska? Nie rosказаł, ale jak mówią, upoważnił. Jestto jakby połowiczne ulaskawienie, jakby pozwolenie, by przenieść chorego wprost na

cmentarz i to w celu, by odzyskał zdrowie. Toteż martwi mnie to wszystko, myślę, że jestto może wygnanie. Przytem nie mam pojęcia, kto mógł prosić o tę rzekomą łaskę, o to wydalenie mnie ze świata cywilizowanego, rzucenie znów gdzieś, na jakąś skałę. Myślę, że ani ty, ani Zosia, ani nikt z rodziny... Proszę cię bardzo, spytaj w ministerstwie i proś o wyjaśnienie... Muszę wiedzieć, czego się mam spodziewać. Nie zwlekaj z odpowiedzią. Nagłe porwanie stąd byłoby mi nad wyraz przykre. Château d'If! Co za romantyczna nazwa? Ale coś mi nie wygląda na pozorowaną amnestyę. Zresztą skądżeby? — I w końcu lakonicznie: — Zdrowie złe. Twój brat, Blanqui“.

Dnia 30 maja, tegoż roku tak pisze o sobie:

„Stan mój nie poprawia się wcale. Nie mogę ni jeść, ani też spać. Dławi mnie ciągle po całych nocach i serce tłucze się nieznośnie. Płuca też do niczego, równie, jak obieg krwi. Jestem ruiną. Jedyne jeszcze ryż z mlekiem jeść mogę. Gdybyście miały truskawki, to proś Zosi, niech przyśle. Dawniej dobrze mi robiły, dziś pewnie na nic się nie przydadzą. Bądź zdrowa“.

Nie przeszkodziło mu to jednak w miesiąc potem pisać 28 czerwca w sprawie, o którą go proszono:

„Nie napiszę artykułu o Sacharze do „Revue scientifique, przedewszystkiem dlatego, że pewny jestem, iż pomysł zmiany klimatu, przedemną, musiało mieć wielu innych i pewnie o tem pisano, a powtóre dlatego, że znalazłem druzgocący argument, który niweczy sam pomysł takiego sztucznego nawodnienia pustyni. Morze to, miećby mogło jeno bardzo niewielką głębokość, może kilka metrową, a osady, ustawicznie zewsząd przynoszone kanałami i rzekami, ciągleby ją jeszcze zmniejszały, tak, że niebawem rzekome morze byłoby jeno ogromnem bag-

niskiem, którego wyziewy wytrułyby w krótkim czasie całą ludność pobrzeżną i zakaziłyby atmosferę Morza Śródziemnego. Cuchnący opar unosiłby się bezustanku w górę i każdy powiew z południa niósłby na północ chorobę i śmierć. Nie, dziękuję za morze sacharyjskie“.

W lipcu tegoż roku zbrakło mu sił. List jego z d. 8 tego miesiąca nie ma już zwykłego wyglądu, prostych wierszych, równych odstępów i alinei, pismo też drżące, złe, litery się kłóca z sobą, a miejscami wprost przeczytać niepodobna. Oto, co mniejwięcej pisze:

„Coraz mi gorzej. Musiałem leżeć. Był atak nowy i to gorszy od ostatniego, którego koniec widziała Zosia. Jeszcze nie minęło. Już teraz straciłem ufność. Za prędko wraca choroba. Chociaż od dziesięciu dni leżę, nogi jeszcze opuchnięte. Wstałem jeno do listu. Kładę się zaraz. Straszne są te dławienia i bezsenność. Bez oddechu niemal i pięć nocy nie zmrzywszy oka! ...Ale wiesz... „Petite Presse“ donosi o mej śmierci i demen-tuje to w tymże samym numerze. Cóż za redakcja! Dwa kłamstwa naraz. Anim nie umarł, ani nie żyję. Pisz prędko“.

Nic dziwnego, że głoszone w Paryżu, iż zmarł. W Clairvaux spodziewano się tego z dnia na dzień. Lekarz więzienny stwierdził znaczne postępy, jakie zwapnienie tętnic uczyniło od miesiąca, a w dodatku dołączyła się teraz oedema serca i dolnych kończyn i wystąpiła silna albuminurya. Prócz tego: „Chory znajduje się w stanie wielkiej anemii, która pochodzi z niedostatecznego odżywiania się, do czego przyczynia się sam chory, usiłując dyetami zmniejszyć dotkliwe objawy bicia serca“. To wszystko skłoniło dyrektora zakładu więziennego do obszernego raportu, który się kończy w ten sposób, że chociaż lekarz zakładowy nie twier-

dzi, że jest bardzo bliską śmierć Blanquiego, to jednak wcale jej nadejścia nagłego nie wyklucza i wyłania się kwestya domagania się rodziny wydania zwłok, w celu pochowania ich albo w Paryżu, albo w departamencie Alp nadmorskich, a w razie pogrzebu przyjść może do zawikłań, którychby pewnie należało unikać. Przeto podpisany prosi o informacye ze strony ministerstwa spraw wewnętrznych czy ma, w razie „zaszłej śmierci“ oddać zwłoki rodzinie, czy też odmówić i kazać pocho- wać zwłoki na cmentarzu zakładowym.

Przez cały miesiąc waży się w ministerstwie, jak rozstrzygnąć ten problem, wreszcie nadchodzi pytyjska odpowiedź, że wprawdzie należy zwłoki wydać rodzinie, jeśli tego zażąda, ale trzeba przedsięwziąć środki ostrożności na czas transportu, a w Paryżu chować Blanquiego nie byłoby wcale wskazanem“. Ciekawe, jak zrozumiał to dyrektor.

CCXXXIX.

Ale „dziadek“ miał duszę rogatą. Nie dał się i nawet począł przychodzić do siebie. Równocześnie zaś do samotni jego, w ciemność wpadł promień słońca, nadzieja wątła zamajaczyła, a blask jej oświecił białe włosy starca, jego steraną twarz, rozradował serce chore i umysł zawsze czujne, czekające jeno jakich takich warunków, by ożyć na nowo. A zanosi się właśnie na taką zmianę. To, czego Blanqui dokonać nie mógł ongiś, gdy był młodym męczennikiem wielkiej sprawy, czego nie zrobił, gdy był wolny i czynny, to się stało nagle teraz, gdy siedział ledwo w fotelu wybladły, drżący, opuszczony przez lekarzy, bliski grobu. Wybiła nakoniec godzina i 73 letni starzec, po 37 latach więzienia poruszył masy,

niecił zapał samem brzmieniem swego nazwiska i jasnością niezmierną były teraz wszystkiem owe dwie sylaby, które do niedawna jeszcze oznaczały potwora, widmo rewolucyi i rzezi.

Wszystkie owe pogłoski o ułaskawieniu, wygnaniu starca nad grobem, śmiertelnie chorego, wreszcie wieść o śmierci, wszystko to trafiło do serca tłumów, które nie chciały nic wiedzieć o nim przedtem, gdy się za nie wydawał na męki. Przesadzili też wrogowie, i przesada zniweczyła siebie samą. Mimo wszystkie zarzucane mu błędy i winy, starzec cichy, niezłomny zaświadczył swem życiem, że go oczerniono. Poczęto dumać, jak też to ów „dziadek“ z tamtego wieku, jak może wyglądać ten anachoreta, tak bystro myślący, taki przytem społeczny i pełen nadziei na przyszłość. Nie wiedziano jednak jeszcze i małej części z tego, co wiedzieć należało. Oczom ogółu przedstawiał się jeno więzień wieczysty, pełen odwagi, rzucający pioruny w oczy swym sędziom. Ale to nie cały Blanqui. Gdzież jego myśli i czyny?

Ale w każdym razie przestaje on już być dla ogółu potworem, łakącym krwi i rodzi się powoli myśl wydobycia z podziemi człowieka, który zda się był upatrzony przez los ofiarą, na którą złożono wszystkie winy i którą skazano za całe pokolenie, za cały ten wiek tak buntowniczy, tak skłonny do ruchawek.

Od pierwszych zaraz miesięcy roku 1878 poczęły się mnożyć przejawy tego uczucia i pojawiać takie żądania. Wszyscy omawiali srogość ministra Dufaure, który nie chciał wypuścić Blanquiego, a w marcu ktoś podjął myśl postawienia kandydatury Blanquiego w Marsylii. To był pierwszy zwiastun. Zaraz też w klubie przy rue d'Arras, gdzie tyle razy przemawiał został przez wszystkich obrany honorowym prezydentem. Niedługo

potem obywatele marsylscy wnieśli petycję o uwolnienie Blanquiego do Grevyego, który zastąpił miejsce Mac Mahona. Na tem przeszedł kwiecień, nastął maj.

Dnia 7 lipca miały się odbyć w Paryżu, na lewym, brzegu w szóstej dzielnicy wybory do parlamentu. Dnia 16 maja grupa studentów i robotników na zgromadzeniu przy rue des Ecoles uchwaliła kandydaturę Blanquiego. Od tej chwili nieustannie odbywały się podobne zgromadzenia, a zwoływał je Stephan Pichon, główny zwolennik tej kandydatury.

Po zgromadzeniu przy rue d'Arras odbyły się inne, przy bulwarze Belleville i rue Oberkampf. Przedmieście zdziesiątkowane w roku 1871 kulami Thiersa odżyło, a tu i owdzie przypominano sobie o Blanquim, wymieniono jego nazwisko. Ruch wzmagał się przez pierwszy tydzień lipca, nie ustawały zgromadzenia przy rue d'Arras, potem przy rue Vaugirard, rue Diderot, a na tych ostatnich prezydował Closmadeuc, przyjaciel i towarzysz więzienny Blanquiego z Belle-Ile-en-Mer. Tak wszystko jest w ruchu, aż do dnia wyborów, w którym chociaż doniesiono, że jest skutkiem utraty praw obywatelskich niewybieralny, Blanqui otrzymał 618 głosów. Skończyła się tedy pierwsza demonstracya. Od tego czasu opinia przy każdej okazji upomina się już wprost o więźnia. Dnia 14 lipca zostaje obranym prezydentem honorowym bankietu, który się odbył ku czci i na pamiątkę zburzenia Bastylli. W sierpniu, znów Lyon występuje z jego kandydaturą. We wrześniu w Vaise zostaje wybrany honorowym prezydentem bankietu odbytego na pamiątkę proklamowania republiki.

CCXL.

To były cuda. Ale Blanqui zrobił cud największy. Wyzdrowiał. Za każdą wieścią, którą mu przynosiły listy, za każdą bytnością sióstr, ile razy znalazł wymyślanie na siebie samego w swem pisemku, zdawało się, że czerpie skądś nowe siły, że haustami pije nowe życie, starość gdzieś się podziewa, a rodzi zapał, wiara i chęć rozpoczęcia wszystkiego na nowo. Nie myśli, by rząd ustąpił, ale radością wzbiera mu serce na każde zawołanie z oddali, choćby najslabsze. Dochodzą go okrzyki tłumów z Marsylii, Lyonu i Paryża i dają zdrowie, z dnia na dzień.

Teraz, w swych nieodłącznych sabotach, w czapce na głowie krząta się po sali, gotuje sobie obiady, rąbie sam drzewo, zawsze spokojny jak i przedtem, ale nie do poznania żwawy i czynny. Szybko i elastycznie nawet spaceruje sobie też czasem od okna do okna i z jakąś jakby niecierpliwością patrzy na lśniącą Aubę, jakby czekał, rychło mu każą wyjść i wziąć się do roboty. Znowu teraz wyżej uszu zakopany jest w polityce, która jeno przyczaiła się w nim czasu choroby. Jak dawniej, cudownym sposobem skądś czerpie informację, wysnuwa je z najdrobniejszej wzmianki, odgaduje iście po czarodziejsku. To nic, że minęły lata, że po okruszynie dostawał informację. Dał sobie radę z tem wszystkim i w swej salce ma przed oczyma całą Francję wyborczą, wie gdzie się poczyna budzić opinia, w jakim stadium znajduje się ruch za amnestją, jakie istnieją stronnictwa, wie że radykali gromadzą się pod dawniej głośzonymi hasłami, a Clemenceau rzuca pioruny w Izbie. Wie to wszystko stary Blanqui i rokuje sobie, że rok 1879 przyniesie wiele pożądaných zmian.

CCXLI.

Zaraz z początkiem roku wchodzi na porządek dzienny kwestya uwolnienia Blanquiego przez plebiscyt. Pisma o zasadach rewolucyjnych i radykalnych zarówno w Paryżu, jak i na prowincyi podnoszą nareszcie głos. Przypominają sobie o nim dawniejsi znajomi. Sympatyczny dla więźnia ruch ogarnia młodzież roku 1879 podobnie, jak to miało miejsce w r. 1865, a w dzienniku „*Revolutions française*“ codziennie jest memento poświęcone Blanquiemu. Gabryel Deville zwłaszcza rozwodzi się nad bezprawiem popełnionem w imię prawa. Na ręce Clemenceau wpływają petycye Marsylii, Tuluzy, Nizy i Paryża, a siostry dokazują cudów. Z nieopisanym zapalem i ruchliwością prostują myłki kłócących się ze sobą o brata dzienników i stwierdzają w niezliczonych listach jak się sprawy miały w rzeczywistości, a czynią to wszystko z ogromną godnością i rezerwą wielką. Jakaś dama nieznana posyła do więzienia kwiaty, a jednocześnie dostaje Blanqui adres z Nizy, opatrzony wieloma podpisami. Piszę tedy zaraz do siostry:

„Powiedz im wszystkim, jak głęboko wnikają mi w serce te słowa z mej ziemi ojczystej, gdzie spędziłem najstarsze lata. Nie zapomniałem nigdy całkiem o tej ziemi przesiąkniętej promieniami słońca. Blask jakiś szedł stamtąd zawsze i dlatego może nie było nigdy całkiem ciemno w moim grobowcu.“

Z końcem marca uchwaloną została kandydatura Blanquiego w Bordeaux. Wybory odbyć się miały 6-go kwietnia. Pewien młody człowiek, Ernest Roche agitował za tem niezmordowanie, sypały się artykuły, wrzała polemika, zarządzo subskrypcyę, końca niema zgromadzeń w całym Bordeaux. Z Genewy i Londynu nade-

słali apele Rochefort i Vallès, Deville ogłosił broszurę wyświetlającą najważniejsze fakty z życia Blanquiego, Garibaldi napisał z Rzymu list, w którym poleca wyborcom: „bohatera i wojownika niestrudzonego o wolność ludzką“. Nareszcie nadchodzą wybory i po obliczeniu, 20 kwietnia Blanqui 6.800 głosami wybrany przeciw 5332 głosom, które otrzymał jego przeciwnik, Lavertujon. Tym razem, ci, za których szczęście Blanqui walczył przez całe życie uparcie, bez nagrody, zrozumieli go, powstali i ruszyli ku jego więzieniu, a od samego tententu idących mas pękły bramy, piorun padł z wyciągniętej pięści olbrzyma nim dotknęła krat, a z pośród gruzów Bastylli wyszedł białowłosy starzec, z dobrym, pełnym nadziei uśmiechem na twarzy, spokojny i skromny, jak zawsze.

CCXLII.

Wybitną osobistością stał się teraz Blanqui. Reporterowie Figara i Timesa trafili jakoś do jego celi, a mnóstwo petycyj co dnia domagało się uwolnienia z więzienia nowego posła. Clemenceau zażądał tedy wypuszczenia go prowizorycznie na wolność, by mógł w Izbie uzyskać potwierdzenie swego wyboru i uzyskać zniesienie wyroku sądu wojennego, na podstawie którego utracił swe prawa obywatelskie. Inaczej wybór jego dokonany przez jedną z grup wyborczych byłby nie ważny. Izba jednak nie chciała go słuchać. Dnia 3 czerwca Clemenceau wstąpił na mównicę i bronił piękną, pełną śmiałości mową swego dawnego mistrza z roku 1862.

„Na bok usuwam — mówił — samą osobistość Blanquiego. Nie prosił on nikogo o litość, ma więc prawo

żądać, by дума jego została uszanowaną. Ale twierdzą, że jeśli człowiek rozumny poświęcił idei sprawiedliwości całe życie i 40 lat za nią znosił katusze więzienia, to człowiek ów jest szlachetnym, a idea, choćby może nieco chimerycznie pojęta jest podziwu godną“.

Ale wszystko nie na wiele się zdało, ani tłumaczenie, że dzień 31 października był przejawem odruchowym, podyktowanym przez miłość ojczyzny, ani objaśnianie, że nielegalnym był wyrok sądu wojennego, bo tenże sąd nie mógł znać fakt zaszłych przed 13 marca, ani wreszcie wykazanie nielegalności kary deportacji, której nie wolno było stosować do starca sześćdziesięcioletniego. Wszystko było daremne, Blanqui pozostał, jak był skazanym za 31 października, Izba tylko przychyliła się do unieważnienia wyroku. To się stało dnia 3 czerwca, dziesiątego zaś Blanqui został ułaskawiony na podstawie amnestyi ogólnej, dekretem prezydenta republiki.

CCXLIII.

Telegram zwiastujący dobrą wieść nadszedł do Clairvaux o dziesiątej wieczór. Pani Barellier, czekająca już od dwu tygodni w hotelu naprzeciw więzienia, została zaraz powiadomiona, pobiegła tedy do brata i zastawszy go już gotowego do drogi zabrała go, niby matka syna odratowanego. Ona miała wówczas lat 76, on zaś 74. Dyrektor więzienia odprowadził ich na stację do pociągu odchodzącego o trzeciej nad ranem. Blanqui pożegnał się, wsiadł do wagonu i był już dnia 11 czerwca o 6-tej rano w Paryżu. Nie pozwolił powiadomić nikogo i udał się wprost na rue Rivoli l. 43, do swej siostrzenicy, pani Lacambre, a potem do siostry, pani Antoine,

zamieszkałej przy bulwarze Montparnasse l. 145. Wreszcie pod wieczór wrócił do p. Borellier na rue Linné, tu zamieszkał. Tutaj też przyjmował zaraz Clemenceau, tych wszystkich, którzy przyczynili się do jego uwolnienia, dziennikarzy, literatów i wielu innych. Tutaj też, w rozmowie z Gabryełem Deville i Ernestem Gautier wyraził w krótkości, czego go nauczyło życie. Formułka ta brzmi: „Przeprowadzić czynną propagandę, nie dając jednak pretekstu do aresztowania, unikać więzienia, bo tam marnieje się straszenie a trzeba zachować do końca cały talent oratorski i siły, i wreszcie wprowadzać o ile się da robotników do parlamentu i wogóle ciał reprezentacyjnych, bo to przyspiesza rozwiązanie kwestyi społecznej. Wyraził się wówczas też, że jest pewnym, iż niebawem Clemenceau zostanie przywódcą zjednoczonej lewicy w Izbie i najlepszym mówcą w Europie.

Blanqui postanowił udać się zaraz do Bordeaux w celu poparcia swej kandydatury przy wyborach rozpisanych na dzień 31 sierpnia. Przyjął tę kandydaturę listem z 14 czerwca i miał zamiar stawić się niebawem, ale nie mógł się oprzeć, by nie nacieszyć się przez dni kilka tem wszystkiem, co mu było tak cennem, a więc stosunkami z ludźmi, rozmową, swobodą ruchów, przebudzaniem w otoczeniu ścian domu, widokiem twarzy przyjaznych, możliwością wychodzenia rankiem z domu. Używał też co się zowie, chodził sam po listy i dzienniki, wałęsał się po starodawnych ulicach, marzył, dumał po alejach ogrodów w Jardin des Plantes napatrzeć nie mógł kwiatom ojczystym i zwierzętom z wszystkich części świata w menażeryi. Był całkiem jak dziecko i nic w tem dziwnego. Nie licząc dawniejszych, przesiedział w więzieniu ostatnio 8 lat.

CCXLIV.

Dnia 25 czerwca udał się w towarzystwie siostry, pani Antoine i Ernesta Roche, do Bordeaux. Przyjaciele powitali go na dworcu oklaskami i zabrali zaraz na ucztę. Otoczyli go członkowie komitetu wyborczego i całowali, a żaden nie mógł przemówić słowa. Został tam aż do 18 lipca i przez ciąg tych 20 dni przyjmował bez końca swych wyborców. Zawrzało w całym mieście. Popędliwi południowcy zbiegli się śmiali, się i płakali po całych dniach. Blanqui był całkiem jak ów starzec odnaleziony w Bastylli. Każdy chciał go widzieć, uścisnąć jego dłoń, kobiety dotykały jego ubrania, podawały mu swe dzieci. Wszystkim wydał się człowiekiem ocalonym przez cud, wydobytym z czarnego grobu, gdzie przepędził niezmiernie długie lata w ciemności i głuszy.

Ale i teraz niedano spokoju dawnym zarzutom. Przeciwnicy wydobyli znowu „dokument Taschereau“, wznowiono dawne sprawy z roku 1848, rozpoczęła się raz jeszcze polemika. Mógł wówczas któryś z tych, co 4 września stanęli u władzy i wspomnieć choćby o znalezionej w prefekturze policji wzmiance o Blanquim. Brzmiała ta: „Uchodzi za człowieka uczciwego. Wielu twierdziło przedtem że Blanqui był agentem rządu lipcowego, ale żadnego dowodu na to nie można było przytoczyć“. A nowy prefekt policji republiki dopisał: „Te notatki, ze względu, że istniały już 4 września 1870 wydają mi się być bardzo zmienionymi. Przedewszystkiem należałoby zbadać skąd Blanqui wziął pieniądze na uzbrojenie dzielnicy la Villette. Jest to bardzo ważne. Pan Claude, szef władzy bezpieczeństwa publicznego powinienby rozpocząć śledztwo“. Prefekt, zarówno jak i pan

Claude powinni byli spytać się Grangera, który dostarczył owych tajemniczych środków uzbrojenia.

Ale nikt ze sfer rządowych nie rzekł nic na obronę Blanquiego. I znów musiał sam się bronić i zgniewało go to, że ciągle takiej przeciw niemu dobywają broni. Ale daremnie musiał raz jeszcze zniżać się do tłumaczenia, że żadnych dowodów najpilniejsze śledztwo dać nie mogło i nie dało, ani badania komisji klubów w roku 1848, która rozwiązała się nie wydawszy wyroku, ani śledztwo trybunału Sekwany z okazji skargi przeciw Taschereau o oszczerstwo.

Ale udało się wrogom pozbawić go głosów ludzi niezdecydowanych i osiągnięto pożądaný rezultat. Dnia 31 sierpnia podczas wyborów ściślejszych pomiędzy trzema kandydatami, a potem powtórnie dnia 14 września przy ostatecznych, Blanqui przepadł ze swymi 4.541 głosami, a wyszedł kandydat umiarkowany, dostawszy 4.697 głosów.

CCXLV.

Od tego dnia zaczęło się dla Blanquiego życie nader ruchliwe. Ciągłe jeździł i agitował. Wydawało się, że chce sobie powetować tyloletnią nieruchomość i milczenie, że spieszy się, by dużo nażyć się jeszcze przez te dni, które mu są jeszcze darowane. Dnia 21 września bierze udział w Bordeaux, w bankiecie pamiątkowym proklamacyi republiki, zaś 21 jest już w Marsylii i tam mu ludność urządza ogromną owacyę. Tłumy czekają u drzwi dworca i przywykłe objawiać głośno swe uczucia, gdy jeno ukazał się, porywają go cisa, podnoszą, tulą do serca. Wznoszą go jak sztandar, wsadzają do powozu, odprzegają konie, chcą wieść. Ledwo zdołał

swym słabym głosem doprosić się, przy wzruszeniu, jakiego doznawał, by dano spokój tej tryumfalnej awanturze i dopiero po długich perswazyach wymógł, że zaprzęgnięto konie i tłumy zaprowadziły go powoli, wśród wielkiego upału, rzucając ciągle kwiaty do powozu przed gmach klubu niezawisłych posłów. Tam dopiero z balkonu, wśród wielkiej ciszy dziękował. Słowa jego płynęły z ust wśród milczenia mas, były fontanną pod owo ciemne niebo ojczyzste polatywały ponad szafirową toń łatyńskiego morza, wnikały w serca słuchaczy, a gdy skończył okrzykiem na cześć republiki nieruchome tłumy ożyły znowu, zahuczały oklaski, a starzec pewnie ze smutkiem patrzył na tę ogromną potęgę, która mu się oddawała zapóźno, a tak była odeń daleką, gdy jej pragnął, by podbić rajską krainę szczęścia. Wargi mu nieco drżały, w oczach łzy się kręciły, ale były to łzy radości, która nagle objęła jego biedne chore serce i spragniony umysł.

CCXLVI.

Wieczorem tegoż dnia Blanqui przydował na bankiecie, a głównymi ozdobami sali biesiadnej był jego portret i wielki biust republiki. Dnia 28 ufetowała go takimże bankietem Nizza, a jeden z mowców wspomniał pierwsze aresztowanie Blanquiego przez wojska sardyńskie. Potem objechał kolejno Manosque, Toulon i Seyne, przewędrował raz jeszcze całą tę cudną ziemię, nadychał się ojczyzstego powietrza zażył gościnności rodaków, brał udział w niezliczonych bankietach i w pełnym słońcu napolitykował się do woli.

W Lyonie stanął w połowie października i teraz tensam człowiek, który jeździł zazwyczaj tylko karet-

kami więziennymi paraduje w karecie, a tłum nie pozwala koniom iść inaczej jak stępa, tensam człowiek, który nie miał się do kogo odezwać i mówił do siebie samego, przemawia pod gołem niebem. Nazajutrz był w Croix-Rousse, gdzie pamiętna wrzała głodowa rewolucya, następnego zaś dnia pojechał do Tawary. W początkach listopada zjawił się w Saint Etienne, gdzie nań, na dworcu czekało dziesięć tysięcy ludzi. Powstał piekielny wrzask gdy go ujrzano, nie było końca oklaskom, owacyom, wsadzano do jego powozu małe dziewczynki ubrane czerwono w czapkach frygijskich na główkach. Czytały powinszowania, mówiły wiersze, dawały mu bukiety, a starzec całował je, tulił i sadzał wszędzie póki starczyło w powozie miejsca. Na widok tej białej głowy i czerwonych czapeczek musiało niejednemu z obecnych przyjść do głowy, że jestto niejako symbol tego co było i tego co wyniknąć mogło z połączenia niedawnej, wczorajszej dopiero rewolucyi z republiką.

W jakim usposobieniu po całej tej podróży tryumfalnej wrócił do domu, świadczy list, który napisał z Paryża przy końcu listopada do zapraszających go do Beziers wyborców:

„Byłbym doprawdy bardzo szczęśliwym — pisze — mogąc z Wami moi mili pogadać o sprawach republiki, a przede wszystkim o sposobach położenia końca nędzy i gniebieniu obywateli, którzy sieją zawsze, a nie zbierają nigdy, produkują, aż do wyczerpania sił, a nie konsumują... Ale cóż Wam powiem obywatele? Oto jedno słowo. Kwestya społeczna nie wejdzie na porządek dzienny poważnej dyskusyi i niema mowy o próbach nawet jej rozwiązania, przed zupełnem, energicznym i radykalnem uregulowaniem kwestyi politycznej. Postępować inaczej, znaczy to tosamo co zaprzęgać wołu

za pługiem. Probowano już tego i uregulowanie kwestyi socyalnej cofnięto o jakieś lat dwadzieścia. A jednak pracowano nad tem szczerze, programy były jasne, szczegółowe i było ich conajmniej z pięćdziesiąt. I cóż z tego wynikło. Wszystko przepadło w rękach odpornej władzy wykonawczej, którą trzeba było naprzód obalić i zreformować, by mieć wolne miejsce i odpowiednie warunki. Skorzystajmy z nauki, jaką nam dała przeszłość i nie zaczynajmy od tychże samych błędów“.

CCXLVIII.

W grudniu, wróciwszy do Paryża nie odmawiał Blanqui żadnemu zaproszeniu, brał udział we wszystkich zebraniach, jakie jeno urządzano. Dnia 7 grudnia przemawiał w Puteaux, gdzie domagał się odszkodowania za czas więzienia dla amnestyonowanych i zakończył refrenem Marsylianki, 10 grudnia w sali stu kolumn przy rue de la Gaité, 14 w sali des Ecoles, w klubie rue d'Arras, 21 w sali Graffarda przy bulwarze Menil-montant.

Taksamo czynny był i w roku 1880. Pozostał wiernym swemu dawnemu pogładowi, że nie należy czasu republiki stosować tajnej organizacyi, tworzyć went, dokonywać zamachów i t. p. Podobnie, jak w roku 1848 i 1870 chce polityki jawnej, otwartej, gdy formą rządu, jest gwarantująca wolność, republika. Zaleca tedy spory, dyskusye, wydawanie dzienników i zwoływanie zgromadzeń, dla wykształcenia członków stronnictwa. Gotowy zawsze wykonać, co powiedział biega po całym Paryżu, podejmuje swą część pracy, mówi wszędzie, wszędzie prowadzi obrady.

Wielu zapewne z pośród tych, którzy uczęszczali na liczne zgromadzenia tego roku odbywane szukało w zachowaniu się Blanquiego i w jego twarzy przyczyn dłaczego wywierał wpływ tak przekonywujący ludzi i takim się cieszył poszanowaniem swych zdolności, że te rzeczy przetrwały go znacznie. Ale odnalezienie owych przyczyn nie było łatwym. Blanqui był niemal nieruchomy i zawsze zamknięty w sobie. Szedł wszędzie, gdzie go wzywali organizatorowie urządzający zgromadzenia i pogadanki polityczne, a więc w sali przy rue Rivoli, sali Ragacha, Graffarda, sali ulicy des Ecoles, Elysée-Montmartre, Petrelle Levis, wszędzie gdzie jeno były ławki, trybuna i biust republiki, albo czerwony sztandar. Po wyjściu z Clairvaux, tak spędzał każdy niemal wieczór. Przybył czasem w otoczeniu kilku młodzieńców o poważnych twarzach nacechowanych wolą. Powstawał zazwyczaj ruch, cofali się ci, co stali blisko trybuny, by mu zrobić miejsce, natomiast stojący daleko cisnęli się na przód, by go widzieć. Albo też zjawiał się nagle na miejscu przewodniczącego, jakgdyby wyszedł z pod desek estrady. Nie ulega wątpliwości, że ci, co mu bili brawo i chrypli z entuzjazmu nie widzieli zgoła, że przed sobą mają człowieka dziwnego, wśród chaosu i grzmotu oklasków skupionego, zasłuchanego w to co się dzieje. I ciągle nawet uwaga tych, których zadaniem jest jeno patrzeć pierzchała szybko spotkawszy owo coś niepoznawalnego.

Blanqui mały był teraz, mniejszy jeszcze jak dawniej, czarno zawsze ubrany, w czarnych rękawiczkach, ruchy jego były krótkie, dobitne, włosy białe, broda krótko ostrzyżona, a profil wydatny, przypominający lwa. W zachowaniu jego przebijały kolejno niepokój i powaga, a leżący przy nim czarny kapelusz i parasol na-

dawały mu wygląd uczonego biedaka, jakiegoś bardzo dawnego szefa biura ruchawki, jakiegoś urzędnika rewolucyi.

Podczas gdy mowcy mówili i tłum chwiał się w różne strony, Blanqui skupiony w sobie, maleńki tkwił we wysokim krześle gdzie go usadowiono i zdawał grać u płomyka gazowego.

Zdawało się, że za obowiązek swój uważa kryć się i zapał, które w nim tkwiły. Usta miał zawsze zamknięte, powieki w dół spuszczone, głowę zwieszoną, ręce ukryte w rękawach. Nie wiadomo było czy słucha, czy marzy. Może właśnie sprawiedliwa ocena wszystkich tych przejściowych tryumfów i przeciwności, nagłych wybuchów i takichże odpływów, niespodzianek i długich cierpień bez ulgi, może to właśnie dało mu ten dobroduszny uśmiech, podobny czasem do grymasu znudzenia. Chwilami zdawało się, że zasnął pośród rozgwaru, wybuchów namiętności, krzyków i nawoływań, które czyniły zgromadzenie podobnem do formującej się rewolty.

Gdy jednak nadeszła nań kolej zabrania głosu powstawał i czyniło się zaraz absolutnie cicho. Głosem złamanym, ale pewnym jeszcze wypowiadał kilka zdań o armii, o klerze, o burżuazji. Powtarzał to wszystko poraz drugi ze słodyczą i uporem, potem powracał ponownie do tegoż samego, przerywał na chwilę, nadśluuchiwał, jakby się pragnął przekonać, że wszyscy dokładnie zrozumieli. Czują się w nim tęsamą chęć wpojenia, co w nauczycielu, tęsamą dążność, która stała się manią starca, zostawienia po sobie w duszach ludzkich bodaj kilku zdań, bodaj szematu paru zasadniczych idei.

Klaskano, a on bardziej jeszcze pochylał głowę i znowu powtarzał, reasumował swą mowę i wreszcie czasem pod koniec nagle zrobił ponad głowami obecnych gest tragiczny, desperacki, tak, że dreszcz wszystkich

przechodził, a czoła się rysowały zmarszczkami. Wydawało się, że się błysło, że jakieś wielkie słowo bezdźwięcznie przesunęło się i znikło. I znowu oczom wszystkich widny był jeno mały, szczupły starzec opowiadający o swych nadziejach i troskach i dający rady tonem niemal, powiedzmy, kupczyka, co ciągle się uśmiecha i kiwa głową zachwalając swój towar.

A potem tonał, jakby we worku, w swym obszernym płaszczu i wychodził. W takim to zawsze jeno stroju ukazywał się oczom ciekawych po owych małych kawiarenkach, które są niby kulisami zgromadzeń i służą za poczekalnie mowcom i organizatorom.

Blanqui, zatrzymał się tak dnia pewnego w hałaśliwym „lokalu“ przytykającym do sali Levisa. Wokoło niego pito, ale on, asceta, żywiący się jeno mlekiem, jarzynami i owocami nie wziął nic w usta, nawet nie napił się wody. I tu jeszcze słuchał i patrzył. Wpatrzyłem się w jego oczy pochwyciłem ich spojrzenie i zdaje mi się, że tym razem zrozumiałem czar, jaki wywierał.

Spojrzenie jasne, zmienne, żywe, czyste, dziecięce, łagodne, jak u gazelii nagle teżsame oczy spoglądają dziko, rzucają błyski godne rysia. Rozświetlała je dobroć, a émiło zarazem niedowierzanie. W oczach jego wyczytać mogłeś dzieje wszystkich zawodów, dawały one szczegółowy komentarz do życia człowieka ranionego na barykadzie, internowanego na Belle-Ile, w Corte, Afryce, forcie du Taureau obryzgiwanym pianą morską. Znaleść tam było można wszystko, ból czterdziestu lat samotności, pięćdziesięciu lat wysiłków, rozpacz, oskarżenie o zdradę, żal, że wolność przyszła tak późno. Oto comówiły te oczy na bladej twarzy. I jeszcze coś.... ów płomień, ten błysk jakby poblask krwi, z rany ciekącej, ten dziki błysk bólu i tęsknoty za Zuzanną—Amelią....

CCXLVIII.

W maju wraca do agitacji wyborczej, trzeba stoczyć walkę w Lyonie. Przychodzi do balotowania i ma największą ilość głosów zaraz po pierwszym skrutynium, mimo zacieklej walki przeciwników i przeróżnych kombinacyj, któremi się starano zmienić wynik głosowania. Wśród tego doszła go wieść o chorobie starszej siostry, pani Barellier. Wrócił więc coprędzej, niestety za późno, by zastać jeszcze przy życiu najlepszą pod słońcem i najwierniejszą opiekunkę i przyjaciółkę. Odprowadził ją więc tylko na cmentarz Mont-Parnasse. Był bardzo wzruszony i powiedział któremuś z przyjaciół, iż nie myślał, by po takim życiu mógł jeszcze tak cierpieć. Nad grobem wyrzekł słów parę:

„Żegnam cię. Życie twoje było jednym pasmem poświęceń i miłości. Żyłas i umarłas, jak przystało republikance. Żegnaj mi“. Potem podziękowawszy tym, co przybyli, odszedł z bratem Hieronimem i siostrą, panią Antoine, naprzód do niej, a potem na rue Linné, do siostrzenicy. Przez całą drogę, przez bulwar Mont-Parnasse, bulwar Port-Royal, rue Monge i rue Lacépède szła w ślad za nim gromadka ludzi, socjalistów francuskich, niemieckich i rosyjskich. Gdy znalazł się u drzwi mieszkania pożegnali go okrzykiem: „Niech żyje Blanqui!“

Wrócił jednak niedługo do Lyonu, gdzie zamieszkał w hotelu pod „Czarnym koniem“ i dalej agitował usilnie wraz z Edmundem Lepelletierem i Olivierem Pain. Ale upadł w wyborze ostatecznym i wrócił do Paryża do życia zwykłego, to jest ustawicznych zgromadzeń, począwszy od sali klubu d'Arras, aż do sali Chaynesa.

Wreszcie w lipcu, na mocy dekretu odzyskał swe

prawa obywatelskie. W listopadzie odbył podróż do Włoch, pojechał do Medyolanu z Rochefortem i brał udział w uroczystościach na cześć Garibaldiego. Dawno już pragnął ujrzeć znów tego bohatera, człowieka czynu, któremu udało się swe dzieło doprowadzić do końca. Blanqui mówił bardzo cicho, to też niezmiernie tłumy słyszały go ledwo, ale choć głosu brakło, pozostała myśl, jak dawniej jasna i kierowana logiką. Mówił o scharmonizowaniu instytucyj ekonomicznych z prawdziwą sprawiedliwością i zakończył zdaniem, w którym zamknął całą swą ideję pedagogiczną: „Nie próbujmy robić skoków, chodźmy, jak ludzie spokojni, ale idźmy ciągle naprzód“.

CCXLIX.

Idzie też sam ciągle naprzód, aż do końca. Po powrocie do Paryża zakłada dziennik pt.: „Ni Dieu ni maitre“, który jest jego testamentem politycznym i filozoficznym, proklamacją jednego przez całe życie ideału. Mówi on tam o wolności i potędze człowieka, prawie ludzkim, legalności rewolucyjnej i przeciwstawia je czysto formalnym zwyczaj, „prawom boskim“.

Współpracownikami jego są znowu starzy znajomi z czasów schyłku cesarstwa i obłężenia, a prócz nich kilku nowych. Są tedy: Granger, Endes, Vaillant, Gois, Breuillé, Fryderyk Courmet, bracia Margueritte i inni. Naczelny redaktor nie może jednakże już pracować, jak przed dziesięciu laty w dzienniku „Patrie en danger“ pracował. Ogłasza teraz najczęściej fragmenty ze swych prac dokonanych w więzieniu. Mimo to jednak pisze złośliwe i trafne uwagi w sprawach aktualnych, bierze czynny udział w całej kampanii reorganizacyi

armii i wyraża niejednokrotnie pogląd, że chociaż musi stać na tym samym stopniu, co armie innych państw Europy, można jednak w niej zaprowadzić daleko idące zmiany odnośnie do usunięcia poboru, bardziej celowego nauczania gimnastyki młodzieży i wiele innych.

Wszystkie te plany wyłuszczył w rozumnej i poważnie traktowanej broszurze p. t.: „Armée esclave et opprimé“. Też samej treści miał wykład niedługo potem w Lille na wielkim zebraniu, któremu przewodniczył. Podobnie jak w Bordeaux i Marsylii doznał tam gorącego przyjęcia, lud klaskał, kobiety płakały, cisnęły się do starca, chciały go widzieć, usłyszeć, dotknąć jego ubrania, ucałować białe ręce. Naiwnemu temu ludowi jasnym było, że stary Blanqui, wypuszczony z więzienia, to apostoł i męczennik nowej wiary, religii serca ludzkiego. A on, pośród całego tego entuzjazmu i wrzawy, jak zawsze wierny samemu sobie, powtarzał po niezliczone razy swe rady, poglądy i objawiał swą wiarę w jutro.

CCL.

W Paryżu wedle sił pędził ciągle teraz jeszcze zwyczajne życie. Czas podzielił sobie tak, że miał i godziny samotności i pracy i spoczynku. Od śmierci pani Barellier poprosił o przytułek człowieka, który był jego przyjacielem od dnia pamiętnej walki w roku 1856, Ernesta Grangera i znalazł w nim brata, opiekuna, wesołego i szczerego towarzysza, a przytem wykształconego filozoficznie i literacko człowieka. W rozmowie z Grangerem był Blanqui całkiem otwarty i nie krył wesołości, która w nim tkwiła i przebijała zawsze przez najgorszy humor. Zamieszkali przy bulwarze włoskim

pod liczbą 25, na piątym piętrze podmiejskiego domu, a z okien ich roztaczał się widok na cały Paryż. Każdy z nich miał osobny pokój i Blanqui mógł się raz jeszcze delectować samotnością, własnym stołem, książkami i papierami. Jadali też wspólnie, a przy jedzeniu nie przestawali mówić o tem i owem — o wszystkim, o przeszłości i przyszłości, zwłaszcza o przyszłości, bo Blanqui spoglądał ciągle przed siebie i starał przeniknąć przyszłe losy człowieka i społeczeństwa. Tej jesieni odbyli razem kilka przechadzek do lasku bulońskiego, w pole, ku Meudon i Clamart, ale Blanqui dopominał się zawsze, by wracać. Wolał ulice Paryża, swój pokój, rozmowę. Wreszcie przyszła nań fala wspomnień. Przypominał sobie teraz chętnie wszystko, mówił, że ostatni raz był w teatrze przed pięćdziesięciu laty wraz z żoną, w roku 1830. Często też mówił o Amelii Zuzannie i Vaillantovi, który pewnego dnia przyszedł go odwiedzić i powiedział, że największem szczęściem w życiu człowieka skazanego na walkę jest miłość, posiadanie serca wiernego pośród niepewności i niebezpieczeństw ustawicznych.

Z tego to mieszkania wybrał się dnia 12 grudnia na zgromadzenie w sali des Ecoles. Przemawiała tam także Ludwika Michel, potem 17 grudnia przewodniczył w sali przy rue Rivoli, gdzie mu trudno było mówić i czuł zmęczenie, 24 w sali Arnolda przy bulwarze de la Gare, wreszcie 27 w sali Ragacha w Grenelle. Tej nocy powrócił późno, około godziny drugiej, gdyż nie mógł zaraz znaleźć dorożki. Wrócił jednak i zastał Grangera jeszcze przy stole. Usiadł tedy, począł z nim rozmowę, opowiedział o przebiegu zgromadzenia, potem wstał i wyrzekł parę słów bez związku. Granger podniósł głowę i spojrzął nań zdziwiony. Blanqui postąpił

jeszcze krok, zatrzymał się na chwilę i nagle runął na ziemię.

Przybyły lekarz stwierdził udar mózgu. Czyniono co można przez pięć dni, ale wszystko nadaremnie, paraliż postępował ciągle, a wątłe ciało poddawało się coraz więcej niszczącej sile. Blanqui już nie poznawał siostry, przyjaciół, odwiedzających go, Grangera, Courmeta, Vaillanta, Clemenceau. Nie odzyskawszy przytomności, August Blanqui zmarł o godzinie dziewiątej, minut 13 wieczór, pierwszego stycznia 1881 roku, w wieku lat siedemdziesięciu sześciu.

CCLI.

Leżał, jeszcze widoczny dla ludzi przez trzy dni w skromnym pokoju, na małym łóżeczku, pokrytem kwiatami, wieńcami laurowymi i dębowymi. Zdjęto maskę z twarzy pogodnej teraz, uśmiechniętej, odmłodniałej i uspokojonej po skurczu śmiertelnym. Pochowano go 5 stycznia. Za trumną, prócz pani Antoine i Hieronima siedł też syn zmarłego. Zgromadziła się cała partya rewolucyjna, niesiono wieńce z nieśmiertelników, choraągwie. Paryż przebiegł prąd dziwny i tłum, który nie chciał uznać żywego, garnał się do zmarłego. Przeszło sto tysięcy osób wzięło udział w kondukcie, który posuwał się ku bulwarom włoskim, przez avenue des Gobelins, bulwarem Saint Marcel, bulwarem de l'Hopital, pont d'Austerlitz i Contrescarpe, potem przez plac Bastylli i rue Roquette. I dziwnie było patrzeć na to zbieganie się do człowieka, który tyle wycierpiał przez samotnienie..

CCLII.

Zaraz nazajutrz po śmierci, sztuka uwieczniła jego pamięć. Rzeźbiarz Dalou przedstawił go w postaci leżącej na płycie granitowej. Blanqui odlany z brązu leży jako pokonany, męczennik, człek zmarły. I hyba musi zamilknąć oszczerstwo, a zapanować jeno podziw na widok tej wychudłej, dobrotliwej twarzy, tego ramienia drobnego i ręki, co wpół zamarła, szuka jeszcze pióra, by bronić, radzić, oświecać.

Każdego uwagę musi zwrócić obraz tej siły wyčerpanej, tego męczennika życia, który jednocześnie sprawę swą wygrał i śpi teraz pod głazem cichy i spokojny w sumieniu.

I co roku przyjaciele, którzy nigdy nie wątpili, uczniowie, co pamiętają nauki i rady udzielane na pogadankach, drukowane w pismach ulotnych, przychodzą wierni zawsze tejżesamej idei filozoficznej i religii społecznej. Cmentarz roi się od obojętnych, a oni jedni może z niewielu obchodzą, z całą tkliwością serc dziecięcych, choć może szorstkim to wyrażają, rewolucyjnym językiem rocznicę zgonu swego „starego“, swego „dziadka“.

Nie często się trafia, by człowiek, co odszedł na zawsze, zostawił po sobie tak trwałą pamięć, tak głęboką cześć u ludzi, wśród których żył.

CCLIII.

Pisałem to wszystko, by dać świadectwo prawdzie, by ułatwić poznanie tego zapoznanego, by oddać mu sprawiedliwość, jaką się winno każdemu.

Nieszczęściem Blanquiego było, że nikt nie dostrze-

gał w nim człowieka, pod powłoką buntownika, polityka pod pozorami konspiratora. Przez całe życie trwało to rozdwojenie. I dziś jeszcze jakże nie wielu zna poetę, co napisał piękną książkę „Eternité par les astres“, stratega, który od września 1871 przepowiedział wszystkie fazy oblężenia Paryża, męża stanu, który kierował się okolicznościami, a do nich jeno stosował program dyplomaty jasnowidzącego, dystyngowanego, który jednak ma dosyć woli, by wykonać, to co uznał za dobre. Wszystkiem tem był Blanqui tylko zła wola i wiara przeciwników i ekskluzywność i ciemnota stronników rzuciła go bez ratunku w objęcia ślepego buntu i popychała ciągle do zamachów. To była klątwa jego życia.

Blanqui był w pierwszej linii genialnym obserwatorem i krytykiem. Dlatego to nie chciał być ni zwolennikiem, ani też przywódcą żadnej grupy socjalistycznej, choć pisał: „Ekonomia polityczna jestto skodyfikowana lichwa... Biedak jest niezbędną koniecznością dla bogacza... Nie można się spodziewać, by komunizm zjawił się nagle, równie nieprawdopodobnem jest to jutro, jak nawet nazajutrz po zwycięstwie...“

Podobnie i tu Blanqui kładzie znak zapytania po słowie... przyszłość... a swój program rządzenia zamyka w dwu słowach: „Dyktatura Paryża“.

Tak, jestto krytyk nieporównany, a chociaż przejdzie do historii jako generał bez armii, to mimo wszystko może on właśnie najlepiej reprezentuje politykę wieku, która z jednej strony rozważała wszystko jak najdokładniej, a potem nie uznawała etapów na swej drodze, która wahała się wciąż pomiędzy ścisłymi studjami ekonomicznymi, a ruchawką uliczną.

Blanqui zamyka swem życiem okres bardzo burzliwy i chaotyczny. Cóż winien, że urodził się w roku 1805,

że poznał się z polityką za Restauracyi, jako uczeń patrzył na mordy w Rochelle, i że wprost z ławy szkolnej wstąpił do stowarzyszenia tajnego? Postępował też podobnie za monarchii. Ale należy zwrócić uwagę że zmieniał natychmiast taktykę, ilekroć zjawiała się republika i wówczas zwoływał zgromadzenia i wygłaszał mowy po ulicach. Tak robił w latach 1847, 1870 i 1879.

On też sam był pierwszą ofiarą towarzystw tajnych, konspiracyi i zamachu, więc przynajmniej odcierpiał, co zawinił, przygotowawszy kielich, umiał go spełnić do dna. Inaczej rzecz się ma z drugim nieszczęściem jego życia. Nie on ponosi winę. Stał się ofiarą zawiści i nieświadomości swych sprzymierzeńców, a jednocześnie warunków socyalnych sobie przeciwnych. U kilku ludzi, nawet z pośród wrogów objawił się żal, że tak pośpiesznie rzucono nań błotem i doprowadzono do katastrofy w roku 1848. Ludwik Blanc przybył na pogrzeb, a w jakiś czas potem Martin Bernard w rozmowie z Floquetem przyznaje, że należało wstrzymać się trochę z oskarżeniem. Ale stało się. Im dalej postępowała ta moja praca, tem bardziej upewniałem się, że Barbés i jego stronnicy dopuścili się wielkiego występku wobec Blanquiego, wobec całej ludności i za czyn swój poniosą odpowiedzialność wobec potomnych. Oni to przez swe napaści wytrącili go do reszty z orbity jego twórczości, zatamowali w wielkim stopniu jego rozwój i skazali go na to dziwnie intensywne życie wewnętrzne, które się stało jedynym jego udziałem.

CCLIV.

To jest historia nieszczęść Blanquiego, jako człowieka, jednostki inteligentnej i tę to właśnie jednostkę

odtworzyć chciałem w mej pracy. Nie pisałem wcale apologii konspiratora i przywódcy rozruchów. Stwierdziłem jeno, że musiała się w to obrócić jego miłość wolności. Ale rzucono na Blanquiego potwarz, że jest potworem, widmem krwawem, więc z tej to potwarzy starałem się go oczyścić, wykazać, iż był człowiekiem jak inni.

Śmierć uwalniając go od przynależności do pewnej sekty, pozwoliła dostrzec to, co jest piękne, silne i wolne w jego duszy. Samo świadectwo ludzi, którzy go znali, mogłoby wystarczyć, ale mamy jego dzieła, jego: „Obronę“, „Patrie en danger“, „Eternité par les astres“ i mnóstwo zeszytów z Doullens, Belle-Ile-en-Mer, Corte, Św. Pelagii, Taureaux, Clairvaux, bardzo wiele prac, które zapewne będą opublikowane i pozwolą śledzić jeszcze dokładniej przejścia jego duszy. Wreszcie mamy jeszcze jedno dzieło niepośledniej miary, to życie jego. Oddał je całej kulturze umysłu, wzgardziwszy pieniędzmi, zapoznawszy je, nie bacząc, że przez to ściąga na siebie jeszcze więcej nieufności i zawiści. Nienawidzono go, bo był biedny i nieugięty. Surowy nań wyrok wydali ci zwłaszcza, którzy umieli sobie życie ułatwiać niezliczonemi ustępstwami. Musiano go pokonać, ale rzucono go jeno o ziemię, a nie zwyciężono. Zdeptano jego ciało, a nie ducha. On, ciągle, jak buntownik Baudelaira mówił: „Nie chcę od was nic!“ Miał zawsze w sobie swą kaźń i swój grób i żył silny i napełniony radością.

Z powyższych tedy powodów po uczynionych uwagach i wyjaśnieniach czuję obowiązek w zakończeniu tej książki złożyć hołd jego pamięci i wyrazić silną wiarę, że był pożyteczny.

Czyż daremnie mogłoby być to życie nad ludzką miarę pełne cierpień dobrowolnie podjętych, poświęceń

cichych... Los mu zabrał wszystkie radości, dał ciągly ból i świadomość, że nikt go nie rozumie, ani nie kocha, więc na twarzy jego zjawił się cień... wydawał się obrażonym. Czyż to dziwne. A obok tego, wiemy przecież, że dusza ludzka może przenieść dwa tak sprzeczne uczucia jak rezygnację i bunt. Blanqui wobec siebie był pełen rezygnacji, na zewnątrz jeno zachowuje gest protestu dzikiego. I rezygnacja ta czyni go jednym z największych stoików. Duch buntu starego Blanquiego zdrowy jest, potrzebny historii, jak sól morzu. Nie chciał szczęścia dla siebie, nie przyjął za życie nagrody i dlatego większym mi się wydaje od świętych, co liczą się w duszy z rajem zagrobowym. Nie chciał ani pociechy, ani zapłaty, dumnie przyjął swój los bez pytania o odszkodowanie, jest mi tedy bohaterem czasów naszych, a wychodowały go ideały tesame, jakie wszyscy nosimy w piersiach.

Podajemy poniżej opis pogrzebu Augusta Blanquiego, opowiedziany przez naocznego świadka, Gica, który znał osobiście więźnia, jeszcze czasu studyów swoich medycznych w Paryżu. Opis ten stanowi ciekawy dodatek do wszystkiego, co powiedział o Blanquim Gustaw Geffroy, maluje w żywych barwach proletaryat Paryża, w chwili, gdy chowa swego wielkiego obrońcę i męczennika.

„Już od rana — pisze Gica — zwarte tłumy ludu zaległy wszystkie ulice przyległe do bulwaru włoskiego. Ruch omnibusów i tramwajów był utrudniony, wreszcie zupełnie ustał. Na samym bulwarze natłok publiczności był tak wielki, że zaledwie można się było poruszać. Ponad tłumem powiewało mnóstwo chorągwi i wieńców z olbrzymimi napisami, okna zaś, a nawet dachy i drzewa przepelnione były widzami.

Poważna cisza panowała w całym tłumie. Czasem tylko przesunęły się młode obywatelki, sprzedające nieśmiertelniki i zbierające składkę na więźniów, którzy wskutek amnestyi mieli wkrótce powrócić do ojczyzny na statku „Le Navazin“.

Jakiś dorożkarz zwrócił się do mnie i rzekł:

„Szkoda, że w żaden sposób nie można tędy przejechać! Chciałem swoim powozem służyć rodzinie zmarłego. Jestem szczerym republikaninem, a i panu dobrze z oczu patrzy, więc siadaj pan“.

W tejże chwili zjawił się Rochefort. Powitano go oklaskami. Tłum rozsunał się, aby przepuścić znakomitego pamflicistę, więc tedy i my, korzystając z tego

posunęliśmy się naprzód. Po wielu wysiłkach dotarliśmy wreszcie do domu pod liczbą Nr. 25. Brama obita czarnem sukniem z wytłoczoną literą B. Odwiedzający ciało snują się długim korowodem, wejście zaś przedziolono na dwie części, dla wchodzących i wychodzących. Wszedłem na 5-te piętro. W małej izdebce, której całe umeblowanie składało się ze stołu i krzesła, na żelaznym łóżku spoczywały zwłoki sędziwego mężczyzny, który był postrachem reakcyi przez pół wieku. Śmierć nie zeszcpeciła rysów twarzy, i gdyby nie bladeńść trupia, zdawałoby się, że śpi. U wezgłowia wisiał wieniec z dębowych liści.

Wielu przyjaciół otoczyło panią Antoine, która czuwała przy zwłokach. Zauważyliśmy wśród nich Valiana, byłego ministra oświaty podczas Komuny, Cournégo, posła do parlamentu i członka Komitetu Obrony Paryża Arnolda, jednego z członków Centralnego Komitetu i Rocheforta. Tutaj też spotkaliśmy Ludwikę Michel i sławną lektorę, panią Paulinę Mink. Na stole leżała księga pamiątkowa, a na jej kartach widniało mnóstwo nazwisk republikańskich znakomitości, jak Ludwika Blanc, Cantagrela, Talliandrégo, senatora Tolaina i innych.

O wpół do dwunastej, ciało złożono do trumny dębowej. Na wieku był napis: „Ludwik August Blanqui, zmarł w 75 roku życia“. O dwunastej trumnę postawiono na skromnym karawanie. Wtedy odkryto głowy i ze stu tysięcy piersi zagrzmiął okrzyk: „Niech żyje republika!“ Jeden z przyjaciół zmarłego rozpostarł na trumnie szkarłatny płaszcz, lecz zarządzający obrzędem pogrzebowym zaprotestował powołując się na przepisy policyjne. Cały karawan okryto wieńcami, tak, iż nie było go widać z pod kwiatów, poczem przeróżne delegacje ustawiły się wokoło przy swoich sztandarach.

Orszak ruszył z miejsca otoczony gwardyą narodową. Na czele pochodu, w oddaleniu dwustu kroków posuwał się spory oddział policyantów. Tuż za trumną przyjaciele nieśli biały bukiet i piękny wieniec od redakcji pisma Blanquiego „Ni Dien ni maitre“. Dalej szli przedstawiciele prasy paryskiej, redakcyj pism „Intransigeant“ „Justice“, na wieńcu której widniał napis: „Obleżenie Paryża“ i „La patrie en danger“ i wielu innych.

Za nimi postępowało przeszło dwieście delegacyj. Byli tu przedstawiciele wszystkich radykalnych komitetów, syndykalnych i socjalistycznych grup, nietylko z Paryża, lecz i całej Francyi, robotnicy serowni paryskich z czerwonym sztandarem, kamieniarze, ze sztandarem takiegoż koloru, z przymocowaną doń czapką frygijską i krepą żałobną, dalej szli cieśle, stolarze, krawcy, ślusarze, piekarze i t. d. Stowarzyszenie „Wolnej myśli“ stawiło się również z czerwonym sztandarem, na drzewcu którego przybito czapkę frygijską z żałobną krepą. „Centralny Komitet pomocy więźniom“ szedł z olbrzymim wieńcem, przeszło 2 metry średnicy mającym, z ponsowych nieśmiertelników uwitym. Dalej widniały napisy: „Augustowi Blanqui od demokratów z Montreuil“, „Weteranowi demokracji, Demokraci z Clichy“. „Blanquiemu od starych demokratów“, „Od Związku Ludów“, „Od republikańsko-kollektywistycznej młodzieży“, „Od mieszkańców włoskiego bulwaru“, „Od anarchistów 3-go i 5-go okręgu“. Przysłały wieńce miasta Reims, Tulon, Beziers, Saint-Etienne, Marsylia, Montpellier, Lyon, Lille, Nantes i Arles. Z Rouen było aż cztery deputacje, reprezentujące: Komitet socjalistyczny, radykalny, socjalistyczny robotniczy i Związek republikański. Prócz tego mnóstwo deputacyj licznych kobiecych stowarzyszeń zastępowało: „Komitet kobiecy socjalistyczny“, „lyoński

kobięcy komitet“, „Stowarzyszenie praw kobiety“. Wśród zagranicznych grup była i rosyjska, niosąca dwa wieńce.

Ten niezmiernej długości pochód sunął w zdumiewającym porządku przez bulwary: włoski, de l'Hopital i de la Contréscarpe. Rodzina i przyjaciele zmarłego wytknęli inny plan drogi, lecz zarząd pogrzebowy zmusiła policja do takiego pochodu.

Wzdłuż wszystkich ulic, na placu Bastylli i na pont d'Austerlitz skupiły się tłumy ludu. Gdy na skrawku ulicy dostrzegano ukazujący się wóz żałobny — odkrywano głowy. Z okien jak deszcz sypały się kwiaty. Na wszystkich ustach był jeden okrzyk: „Niech żyje republika!“

Nigdy w życiu nie widziałem nic bardziej wspaniałego i wzruszającego, jak ta olbrzymia manifestacja mas ludowych, które się zgromadziły by oddać sprawiedliwość starcowi - męczennikowi. Szczególniej potężnie wyglądały fale tłumu w wąskiej, a długiej ulicy de la Roquette. Płynęły zwolna, rozsuwając na bok stojące grupy widzów i pochłaniając wciąż nowe fale z przyległych ulic. Gdzie okiem sięgnąć, widać było tylko ruchliwą, zwartą masę głów, a na tem czarnem tle czerwieniły się wieńce i bukiety i powiewały kirem okryte chorągwie.

Niebo zasnuły białe obłoki, przez które z trudem przedzierało się słońce, rzucając niepewne blaski.

W miarę jak zbliżaliśmy się do miejsca wiecznego spoczynku, cisza stawała się coraz głębszą; rozlegał się tylko odgłos miarowych kroków ludzkich po zmarłej ziemi. Lecz cisza i spokój tłumów podniecają zwykle nerwy policyantów. Tak się też stało i teraz. Rochefort i kilku członków redakcyi „Intransigeant“ i „Justice“ znajdowali się właśnie na chodniku i chcieli wrócić do

orszaku, aby pójść za trumną. W tej chwili ze dwudziestu policyantów wraz z komendantem rzucili się na Rocheforta i jego towarzyszy i wywijając pięściami, nie chcieli ich puścić. Kilka osób upadło na ziemię. Głuchy pomruk oburzenia powstał w tłumie... policya stchórzyła i cofnęła się.

Pochód stanął u bram cmentarza Père Lachaise. Oczekiwało tu nań mnóstwo policyi. Gdy się orszak zbliżył, policyanci ustawili się we dwa rzędy po bokach alei, przy której znajdował się przygotowany dół, dla tymczasowego umieszczenia trumny Blanquiego. Naprzeciwko był grób znakomitego ministra Ludwika Filipa, a dwa kroki dalej grób Raspaila. Przepuściwszy niosących ciało, policya otoczyła aleję w półkole i zagrodziła dostęp tłumom. Przepuszczono za kordon jedynie krewnych i przedstawicieli prasy. Publiczność skupiła się u wejścia, każdy wdrapywał się gdzie mógł, byle wyżej, niektórym udało się obejść wokół i przedostać się do samego grobu. Tymczasem robotnicy wyjęli płytę, pokrywającą otwór lochu i spuścili weń trumnę. Obok stały dwie płaczące kobiety — pani Antoine i siostrzenica Blanquiego.

„Obywatele, odkryjcie głowy! Zawołał ktoś i stanął na krawędzi lochu.

Był to znak dla mowców, którzy kolejno poczęli w mowach sławić zmarłego. Napomknąwszy o wielkich przymiotach bohatera, każdy przebiegał pokrótce ważniejsze chwile jego długiego, pełnego walk zaparcia się życia. Wielu przemawiało z głębokim uczuciem. Po przyjaciółach zmarłego zabrali głos delegaci wyborców lyońskich i miasta Bordeaux.

„Człowiek ten — mówił jeden z nich obywatel Rotte — przeżył 40 lat w więzieniu. Tchórzliwe i po-

dłe wstecznicstwo trzymało pod kluczem 75-letniego starca, jakby dziki zwierz, nie wypuszczający z pazurów swej ofiary. Kochać opuszczonych, bronić słabych, narażać własną wolność i życie dla szczęścia pracującego ludu, oddawać na ofiarę ludzkości ciało swe i duszę, to oczywiście, rozumie się, zasługuje na wieczne więzienie i katusze wszelkiego rodzaju. Człowiek ten cierpiał. Naród to wiedział i sprawę cierpiącego uznał za swoją. Wyborcy, czyniąc zadość sprawiedliwości, oddali głosy swoje wyklętemu Blanquiemu i uczynili go wolnym, ku zdumieniu zasklepionej w egoizmie i okrucieństwie burżnazi, która sądziła iż pochowała go już na zawsze. Naród orzekł, że niegodnie jest więzić 70-letniego starca, najzarliwszego z apostołów republiki w chwili, kiedy republika jest faktem dokonanym, a bohaterowie 16-go maja, ochotnie ułaskawieni przez rząd, puszczają na głupstwa wydarte krajowi miliony.

Naród zrozumiał że niesprawiedliwą jest wieczna niewola ludu roboczego w jarzmie próżnującego kapitalisty, którego zadanie ogranicza się do zjadania tego, co wytwarza robotnik, gdy temuż robotnikowi w razie braku pracy, kalectwa lub starości pozostaje tylko kij zebraczy.

I naród powiedział sobie: Dam mandat temu, kto będzie najlepszym rzecznikiem moich spraw i potrzeb, człowiekowi, który najwięcej cierpiał przez oszczerstwo, temu kto poświęcił swój talent i zapał tylko sprawie ludu. W taki to sposób wybrano Blanquiego w Bordeaux przeszło 9 tysiącami głosów. Nie było wyboru bardziej czystego i prawidłowego i bardziej godnego szacunku. Lecz oportuniści sądzili inaczej. Już to, że lud ośmielił się wystąpić jako pan swej woli i umotywować wyraźnie swoje prawo, to już samo było niebezpiecznem mogło

stać się przykładem i mieć naśladowców. Natychmiast odgrzebano ustawę „praw człowieka“, która dotychczas nie była stosowana nigdy, bo nawet Bonaparte nie śmiał z niej korzystać. Na podstawie tej to ustawy unieważniono wybór Blanquiego“.

Tensam mówca przypomniał także nikiemne sposoby walki, do których się uciekano, po wyczerpaniu wszelkich możliwych sposobów sparaliżowania agitacji prowadzonej na korzyść Blanquiego, nie wstydzono się odgrzebać nawet stare zarzuty, których oddawna już zaniechali jego wrogowie.

„Takim był — kończył mówca — ten zamało ceniony człowiek, którego się tak bały sfery wyższe. A musieli bać się jego głębokiej prawości ci, co instytucje republikańskie łatają szmatami monarchizmu, ci, którym sumienie polityczne pozwala na użycie powszechnego głosowania za narzędzie do zdobycia władzy i odrzucenie go, gdy niepotrzebne“.

Delegat z Marsylii, Dr. Sonzini wspomniał o pobycie Blanquiego w Marsylii i o słowach, które wówczas wyrzekł: „Do każdej walki z rządem pobudzała mnie sama reakcja. Szedłem za głosem najświętszego obowiązku, zdaje mi się, że nikiemność oportunistów popchnie mnie jeszcze raz do wypełnienia tego obowiązku“. Mówca zakończył: „O ty, który tak ukochałeś ludzkość, męczenniku, czczony przez nas głęboko, niech imię Twoje będzie ogniwem, łączącym nas w walce z oszczerstwem. Niech nam będzie wzorem jak służyć sprawie i walczyć nieugięcie, niech będzie sztandarem dla wszystkich co prawdziwie ukochali lud. Wyteżmy wszystkie siły by iść za jego wielkim przykładem!“

Z kolei przemówiła krótko Ludwika Michel w te słowa: „Nienawiścią i prześladowaniem Blanquiego nie

nie wskórali wrogowie rewolucyi socyalnej! On i z grobu nie przestaje im grozić. Jego przykład i pamięć, to broń którą nam zostawił, abyśmy zwyciężali. Już nad tą mogiłą zajaśnieje może zorza wstającej rewolucyi socyalnej! Lecz wśród tych, co walczyli w jednych szeregach z bohaterem, wielu nie przyszło by uczcić pamięć jego. Nie przyszli, bo trzydzieści tysięcy rozstrzelano. Niechże ich dzieci przyjdą na tę mogiłę, uczyć się poświęcenia i ofiarnego oddania się sprawie ludowej! I nie sam tylko Paryż uczcił Blanquiego. Sławia go rewolucyoniści wszystkich narodowości, całego świata. Nim więc odejdziemy stąd, przysięgnijmy, że zachowamy w pamięci przykład wielkiego obywatela i będziemy walczyć tak jak on walczył, za tę samą sprawę!“

Po mowie czerwonej dziewicy, jak nazywano Ludwikę Michel, mówił Cambier w imieniu demokratów z Roubais i Lille. Lecz ledwo zdołał wypowiedzieć słów kilka, wzruszenie zatamowało mu głos, poczem obywatel Labesse pożegnał zmarłego w imieniu młodzieży szkolnej. Wreszcie Ławrow przemówił ostatni w imieniu rosyjskich socyalistów.

Ułożono nakoniec wieńce na grobie i ludzie powoli się rozeszli ale jeszcze od czasu do czasu dolatywały z dali okrzyki: „Niech żyje rewolucya!“

